

W cieniu zakwitających dziewcząt





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MARCEL PROUST

W cieniu zakwitających dziewcząt

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

W cieniu zakwitających dziewcząt

TOM PIERWSZY

Kiedy była mowa o tym, aby zaprosić pierwszy raz pana de Norpois na obiad, matka wyraziła żal, że profesor Cottard jest w podróży i że się tak rozchwały stosunki ze Swannem, bo i jeden i drugi zainteresowałby z pewnością byłego ambasadora. Na co ojciec odpowiedział, że człowiek wybitny, znakomity uczony, jak Cottard, zawsze może być ozdobą stołu; ale Swann, ze swoją manią puszenia się i przechwalania byle znajomościami, jest pospolity bufon, o którym margrabia de Norpois orzekłby z pewnością, że — aby użyć jego wyrażenia — „cuchnie”.

Ta odpowiedź ojca wymaga paru słów objaśnienia, niektórzy bowiem przypominają sobie pana Cottard jako bardzo mierną figurę, Swanna zaś jako człowieka posuwającego do najdalszych granic skromność i dyskrecję towarzyską. Ale, co się tyczy Swanna, zdarzyło się, że do „młodego Swanna”, a także do Swanna z Jockey Clubu, dawnego przyjaciela rodziców, przybyła nowa (i nie ostatnia jeszcze) osobistość: — Swann jako mąż Odety. Przystosowując do niewysokich ambicji tej kobiety instynkt, pasję, spryt, które zawsze posiadał, Swann silił się zbudować, o wiele poniżej swojej dawnej sfery, nową pozycję, dostosowaną do towarzyski życia mającej ją z nim dzielić. Otóż w tej sytuacji Swann był jak gdyby innym człowiekiem. Bywając wciąż na własną rękę u swoich osobistych przyjaciół, którym nie chciał narzucić Odety, skoro sami nie objawiali chęci poznania jej, równocześnie rozpoczynał z żoną nowe życie wśród nowych ludzi; można by tedy zrozumieć, że, dla określenia ich stanowiska, a tym samym własnej satysfakcji czerpanej w obcowaniu z nimi, posługiwał się, jako punktem porównania, nie ludźmi najświetniejszymi, stanowiącymi przed małżeństwem jego sferę, lecz poprzednimi stosunkami Odety. Ale, nawet kiedy się wiedziało, że dzisiejszy Swann łącznie znajomości z dość obskurnymi urzędnikami, z wątpliwymi damami — ozdobą ministerialnych bałów — można się było zdumieć, iż on, który niegdyś — a nawet jeszcze dzisiaj — tak wykwintnie ukrywał jakieś zaproszenie do Twickenham albo do Buckingham Palace, chełpi się głośno, że małżonka jakiegoś zastępcy naczelnika wydziału rewizytowała jego żonę. Powie może ktoś, że poprzednia prostota wytwornego Swanna była jedynie wyrafinowaną formą próżności i że, jak się zdarza u Izraelitów, ten dawny przyjaciel moich rodziców mógł streszczać kolejne etapy ludzi swojej rasy, od prymitywnego snobizmu i pospolitego chamstwa aż do najwyrafinowanej¹ grzeczności. Ale główną przyczyną — i tę można przypisać ludzkości w ogóle — było to, że nawet nasze cnoty nie są czymś luźnym, płynnym, czym możemy zawsze rozrządzać do woli; zespalają się one w końcu tak ściśle w naszym umyśle z czynnościami, które nam je nałożyły, że, o ile się nastęrczy aktywność innego rodzaju, zastaje nas ona nieprzygotowanych, i nawet nam na myśl nie przychodzi, że mogłaby się kojarzyć z działaniem tych samych zalet. Swann, zabiegający o te nowe stosunki i chełpiący się nimi, był jak owi wielcy a skromni artyści, którzy, skoro pod koniec życia zapalą się do kuchni lub ogrodnictwa, objawiają naiwne zadowolenie z pochwał, jakimi ktoś darzy ich potrawy lub ich grządki; w tym przedmiocie nie dopuszczają krytyki, którą znoszą tak łatwo, gdy chodzi o ich arcydzieła; inni znowuż, hojnie rozdając swoje obrazy gratis, nie umieją pogodnie znieść parofrankowej przegranej w domino.

Ale profesora Cottard ujrzymy na dłużej, znacznie później, u „pryncypalki”, w posiadłości jej la Raspeliere. Na razie niech w jego przedmiocie wystarczy jedna uwaga, w zestawieniu ze Swanem. Co się tyczy Swanna, odmiana jego może ostatecznie zdziwić, ile że się spełniła bez mojej świadomości wówczas, gdy widywałem ojca Gilberty na Polach Elizejskich, gdzie zresztą nie odzywał się do mnie, nie mógł się tedy popisywać przede mną swymi stosunkami w świecie oficjalnym. (Prawda, że gdyby nawet to robił, nie byłbym się może zaraz poznał na jego próżności, pojęcie bowiem, jakieśmy sobie od dawna wytworzyli o danej osobie, zamyka nam oczy i uszy: tak np. matka moja przez trzy lata nie spostrzegła, że jedna z jej siostrzenic maluje sobie usta; zupełnie tak jak gdyby szminka rozpuściła się nieznacznie a doszczętnie w jakimś płynie, aż do dnia, w którym nadmiar barwiczki lub inny jakiś powód wywołał zjawisko zwane przesycaeniem;

¹wyrafinowańszy, najwyrafinowańszy — dziś popr.: bardziej wyrafinowany, najbardziej wyrafinowany. [przepis edytorski]

cała wprzód niezauważona szminka skryzalizowała się i, wobec tej nagłej rozpusty barw, matka oświadczyła — stylem Combray — że „to ohyda”, zrywając niemal wszelkie stosunki z siostrzenicą). Przeciwnie, co się tyczy pana Cottard, epoka, w której ukazaliśmy go świadkiem pierwszych kroków Swanna u państwa Verdurin, była już dość odległa; otóż, zaszczyty i tytuły przychodzą z wiekiem; po wtóre, można być niewykształconym literacko, robić idiotyczne kalambury, a posiadać swoisty dar, którego nie zastąpi żadna ogólna kultura; dar wielkiego wodza lub wielkiego klinicysty. Koledzy patrzyli na Cottarda nie tylko jak na pokątnego praktyka, który się stał z czasem europejską sławą. Najinteligentniejsi młodzi lekarze oświadczały — bodaj przez kilka lat, bo mody się zmieniają, zrodziwszy się z potrzeby zmiany — iż gdyby się im zdarzyło zachorować, jednemu Cottardowi oddaliby się w ręce. Bez wątpienia, woleli towarzystwo innych profesorów, bardziej odczytanych, wyrobionych artystycznie, z którymi można było mówić o Nietzschem, o Wagnerze. Kiedy muzykowano w dniu przyjęć u pani Cottard, która przyjmowała kolegów i uczniów męża w nadziei, że profesor zostanie kiedyś dziekanem, on sam, zamiast słuchać, wołał grać w karty w sąsiednim pokoju. Ale chwalono szybkość i przenikliwość jego spojrzenia, pewność jego diagnozy.

Po trzecie, co się tyczy wzięcia profesora Cottard, oglądanego oczami człowieka takiego jak mój ojciec, zauważmy, że natura, jaką ujawniamy w drugiej połowie życia, nie zawsze jest — choć i to bywa — pierwotną naszą naturą rozwiniętą lub zmarniałą, zgrubiałą lub zwątloną; czasem jest to natura wręcz przeciwna, niyby przenicowane ubranie. Z wyjątkiem państwa Verdurin, którzy się rozkochali w doktorze, niepewna mina Cottarda, jego nieśmiałość, jego nadmiar uprzejmości, ściągaly nań od młodu wieczne przycinki. Któryż miłosierny przyjaciel doradził mu minę lodowatą? Powaga stanowiska ułatwiła mu przybranie tej miny. Wszędzie, z wyjątkiem salonu państwa Verdurin, gdzie bezwiednie stawał się z powrotem sobą, Cottard robił się zimny, rozmyślnie milczący, apodyktyczny, gdy trzeba było zabrać głos, przy czym nie omieszkwał mówić ludziom przykrych rzeczy. Mógł wypróbować to nowe wzięcie na pacjentach, którzy, nie znając go wprzód, nie mogli robić porównań i byłiby bardzo zdziwieni, dowiadując się, że szorstkość profesora nie płynie z jego natury.

Silił się zwłaszcza na chłód, i nawet podczas wizyty szpitalnej, popelniając jeden z owych kalamburów, które rozmieszały wszystkich, od pierwszego asystenta do najmłodszego eksterna, robił to zawsze tak, aby ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy, zmienionej zresztą do niepoznaki przez zgolenie brody i wąsów.

Powiedzmy na zakończenie, kim był margrabia de Norpois. Był przed wojną ministrem pełnomocnym, ambasadorem z 16 maja, mimo to, ku zdumieniu wszystkich, nieraz od tego czasu reprezentował Francję w specjalnych misjach, nawet jako kontroler długu publicznego w Egipcie, gdzie, dzięki swoim finansowym zdolnościom, oddał ważne usługi. Używały go do tych celów gabinety radykalne, którym prosty mieszczanin-reakcjonista wzdragałby się służyć, a które powinny by były zachować podejrzliwość wobec przeszłości pana de Norpois, wobec jego stosunków i przekonań. Ale ci postępowi ministrowie zdawali sobie widocznie sprawę, że taką nominacją okazują, jak daleko sięga ich szerokość poglądów, gdy chodzi o dobro Francji; tym samym wysuwali się na czoło polityków, zyskując to, że nawet sam „Journal des Debats” mienił ich mężami Stanu; przy czym korzystali i z uroku arystokratycznego nazwiska, i z sensacji nieoczekiwane go wyboru. Wiedzieli zarazem, że, powołując pana de Norpois, mogą zebrać wszystkie korzyści, nie potrzebując się obawiać z jego strony uchybienia lojalności politycznej; urodzenie margrabięgo, zamiast go czynić podejrzanym w tej mierze, było im raczej rękojmnią. I w tym rząd Republiki nie mylił się. Arystokraci pewnego typu przywykli od dziecka uważać swoje nazwisko jako² organiczną właściwość, której nic nie może wydrzeć, a której wartość równi im lub jeszcze wyżsi znają dość dokładnie; tacy wiedzą, że mogą sobie oszczędzić daremnych wysiłków, jakich, przeważnie bez rezultatu, dokłada tylu mieszczan, aby wyznawać jedynie poglądy dystyngowane lub przestawać z osobami „dobre myślącymi”; w zamian za to, pragnąc się podnieść w oczach rodzin magnackich, poniżej których znajduje się bezpośrednio, arystokracja ta wie, że może to osiągnąć jedynie dodając do swego nazwiska coś, czego ono nie posiadało, a co, przy równej wartości nazwisk,

²uważać coś jako — dziś popr.: uważać coś za. [przypis edytorski]

przeważy szalę na ich korzyść: wpływy polityczne, sławę literacką lub artystyczną, wielki majątek. Obojętni dla bezpożytecznego szlachciury, cenionego przez mieszczaństwo, a nieprzynoszącego im swoją jałową przyjaźnią żadnego prestige³ w oczach magnatów, karierowicze ci zachowują wszystkie swoje względy dla ludzi politycznych, choćby masonów, którzy mogą im pomóc do uzyskania ambasady lub mandatu; dla artystów lub uczonych, zdolnych poparciem swoim ułatwić „wypłynięcie” w sferze, w której królują; dla wszystkich wreszcie mogących im użyczyć nowego blasku lub pomóc do bogatego małżeństwa.

Ale, co się tyczy pana de Norpois, miał on za sobą przede wszystkim to, że w długiej praktyce dyplomatycznej nasiąkł owym duchem negatywnym, rutynicznym, konserwatywnym, zwanym „duchem rządu”, a będącym w istocie duchem wszelkich rządów, w szczególności zaś, pod wszelkimi rządami, duchem biurokracji. Nabył w dyplomacji wstrętu, lęku i wzgardy do owych mniej lub więcej rewolucyjnych, a co najmniej niepoprawnych metod, jakimi są metody opozycji. Z wyjątkiem pewnych prostaków z ludu i z „towarzystwa”, dla których różnice gatunków są martwą literą, zbliża ludzi nie jedność przekonań, lecz powinowactwo ducha. Akademik typu pana Legouvé, zwolennik klasyków, chętniej oklaskiwałby pochwałę Wiktora Hugo wygłoszoną przez Maksyma du Camp lub pana de Mézières, niż pochwałę Boileau w ustach Claudela. Nacjonalizm wystarczy, aby zbliżyć Barrésa do jego wyborców, którzy nie robią zapewne różnicy między nim a panem Georges Berry; ale nie wystarczy, aby go zbliżyć do tych jego kolegów z Akademii, którzy, posiadając wspólne z nim przekonania, ale inną umysłowość, będą woleli od niego nawet przeciwników, jak panowie Ribot i Deschanel; a z tymi znowuż wierni monarchiści czują się o wiele bliżej niż z Maurrasem i Leonem Daudet, również pragnącymi powrotu króla.

Skąpy w słowach nie tylko przez zawodowy nawyk ostrożności i umiaru, ale także dlatego że słowa mają większą cenę, że przedstawiają więcej odcieni w oczach ludzi, których dziesięcioletnie wysiłki dla zbliżenia dwóch krajów streszczają się i wyrażają w przemówieniu, w protokole — prostym przymiotnikiem, banalnym na pozór, ale dla nich zawierającym całe światy, pan de Norpois uchodził za bardzo chłodnego w komisji, gdzie zasiadał obok mego ojca i gdzie każdy wieszował ojcu przyjaźni eks-ambasadora. Przyjaźń ta dziwiła nawet ojca. Z natury niezbyt uprzejmy, przywykł do tego, że nie cieszy się popularnością poza kręgiem bliskich znajomych i przyznawał się do tego z prostotą. Miał świadomość, że w życzliwości dyplomaty grał rolę moment na wskroś indywidualny, rozstrzygający o ludzkich sympatiach; ile że najcenniejsze przymioty umysłu lub serca u osoby, która skądinąd nudzi nas lub drażni, mniej będą dla nas warte niż swoboda i wesołość innego człowieka, dla wielu znowuż czcze i puste.

— Norpois zaprosił mnie znowu na obiad; to nadzwyczajne; wszyscy zdumieni są w komisji, gdzie nie utrzymuje z nikim stosunków osobistych. Jestem pewien, że znów mi opowie wstrząsające rzeczy o roku 1870.

Ojciec wiedział, że jedyny może pan de Norpois ostrzegał był swego czasu cesarza o rosnącej potęgze i o wojennych zamiarach Prus i że Bismarck miał jego inteligencję w osobliwej cenie. Świeżo jeszcze, w Operze, podczas gali na cześć króla Teodozjusza, dzienniki zauważyły długą rozmowę, jaką monarcha ów zaszczycił pana de Norpois.

— Muszę się dowiedzieć, czy ta wizyta króla jest naprawdę czymś ważnym — rzekł ojciec, który bardzo się interesował polityką zagraniczną. — Wiem, że stary Norpois nie jest skłonny do wynurzeń, ale ze mną tak się rozkrochmała!

Co się tyczy matki, być może iż z natury nie przepadała za rodzajem inteligencji, który reprezentował eks-ambasador. Godzi się rzec, iż konwersacja pana de Norpois była tak kompletnym repertuarem przestarzałych form wysłowienia, właściwych pewnemu zawodowi, pewnej klasie i epoce — epoce, która, dla tego zawodu i dla tej klasy, nie była może tak zupełnie minioną — iż żałuję czasami, że nie zapamiętał po prostu i dosłownie jego rozmów. Byłbym wówczas osiągnął wrażenie zamierzchłej mody równie tanim kosztem i w ten sam sposób, co ów farsowy aktor, który, pytany, skąd bierze swoje kapelusze, odpowiedział: „Ja ich nie biorę, ja je przechowuję”.

³prestige'u — dziś popr. zapis spolszczony: prestiżu. [przypis edytorski]

Słowem, sędzę, że matce wydawał się pan de Norpois nieco antyczny, co nie raziło jej bynajmniej z punktu widzenia manier, ale mniej zachwycało ją w dziedzinie nie poglądów — bo poglądy pana de Norpois były bardzo nowoczesne — lecz wyrażań. Czula jednakże, że mile głaszcze męża, mówiąc z zachwytem o dyplomacie, który darzył go tak rzadkim wyróżnieniem. Utrwalając w umyśle ojca jego dobre mniemanie o panu de Norpois i wzmacniając w nim przez to jego dobre mniemanie o sobie samym, matka miała uczucie, że spełnia jeden ze swoich obowiązków, polegający na tym, aby umilać życie mężowi, jak to czyniła czuwając nad tym, aby kuchnia była wyborna, a usługa cicha. Że zaś była niezdolna skłamać ojcu, ćwiczyła się sama w podziwieniu dla ambasadora, aby go móc szczerze chwalić. Ceniła zresztą w panu de Norpois wyraz dobroci, uprzejmość trochę niemodną i tak wyszukaną, kiedy np. idąc i prostując swoją wysoką postać, spostrzegłszy matkę jadącą powozem, zanim się jej uklonił, odrzucał ledwie napoczęte cygaro; rozmowę tak pełną umiaru, w której mówił jak najmniej o sobie i zawsze liczył się z tym, co może być najprzyjemniejsze partnerowi; zdumiewającą wreszcie punktualność w odpowiadaniu na listy. Czasami, kiedy, ledwie wysławszy list, ojciec otrzymywał kopertę z pismem pana de Norpois, pierwszą jego myślą było, że nieszczęśliwym wypadkiem listy ich się zmięły; można by sądzić, że dla pana de Norpois poczta wybiera listy w nadliczbowych godzinach! Matka zdumiewała się, że margrabia jest tak akuratywny, mimo iż tak zajęty, że jest tak uprzejmy, chociaż tak rozrywany, nie myśląc, że wszelkie „mimo” jest zawsze zapoznanym „ponieważ”, i że (tak samo jak starcy są zdumiewający na swój wiek, królowie pełni prostoty, a mieszkańcy prowincji *au courant*⁴ wszystkiego) te same przyzwyczajenia pozwalają panu de Norpois czynić zadość tylu zajęciom i być tak akuratywnym w odpowiedziach, być miłym w wielkim świecie i uprzejmym dla nas. Co więcej, błąd mojej matki, jak u wszystkich osób zbyt skromnych, pochodził stąd, że rzeczy, które dotyczyły jej, kładła poniżej innych, tym samym poza innymi. Szybko odpowiedź, którą poczytywała za zasługę przyjacielowi ojca, dlatego że miał w ciągu dnia dużo listów do napisania, wyłączała z owej mnogości, w której ten list był tylko jednym więcej; tak samo nie zastanawiała się, że obiad u nas był dla pana de Norpois jednym z niezliczonych obrzędów jego życia towarzyskiego; nie przychodziło jej na myśl, że ambasador z dawna przywykł w dyplomacji uważać prośzone obiady za część swoich funkcji i rozwijać na nich zastarzały wdzięk, z którego nie miał powodu wyzuć się specjalnie, będąc na obiedzie u nas.

Pierwszy obiad z panem de Norpois, w roku, gdym jeszcze chodził się bawić na Pola Elizejskie, pozostał mi w pamięci, bo popołudniu tego samego dnia ujrzałem wreszcie Berme w *Fedrze*, a także bo w rozmowie z panem de Norpois zdałem sobie nagle sprawę, jak dalece uczucia moje we wszystkim, co dotyczyło Gilberty Swann i jej rodziców, różnią się od uczuć, jakie ta rodzina budzi w kimkolwiek innym.

Zapewne widząc przygnębienie, w jakim mnie pograżyły nadchodzące ferie noworoczne, podczas których — jak mi to Gilberta sama oznajmiła — nie miałem jej widzieć, jednego dnia, aby mnie rozerwać, matka rzekła:

— Jeżeli wciąż masz jeszcze wielką ochotę ujrzeć Berme, sędzę, że może ojciec pozwoliłby ci iść z babką do teatru.

To pan de Norpois powiedział ojcu, że powinien by mi pozwolić zobaczyć Berme, że to jest dla młodego człowieka cenne wspomnienie. Ojciec, dotąd przeciwny temu, abym miał tracić czas i narażać się na chorobę dla rzeczy, którą, ku zgorszeniu babki, nazywał głupstwem, skłonny był — pod wpływem uwagi ambasadora — uznać ten wieczór w teatrze za nieokreśloną część całokształtu cennych przepisów wiodących do świetnej kariery. Babka, która, wyrzekając się dla mnie korzyści, jaką, wedle niej, byłoby dla mnie widzieć Berme, robiła wielką ofiarę dla mego zdrowia, dziwiła się, że ten wzgląd stał się nagle nieważny na jedno słowo pana de Norpois. Pokładając niezłomne nadzieje racjonalistki w świeżym powietrzu i we wczesnym chodzeniu spać, które mi zalecano, bolała nad wyłomem w owym trybie i powtarzała ojcu: „Jakiś ty lekkomyślny!”. Na co ojciec, wściekły, odpowiadał: „Jak to! więc teraz mama nie chce, żeby on szedł do teatru! To paradne, a cały czas powiadała mama, że to będzie dla niego z pożytkiem”.

⁴*au courant* (fr.) — na bieżąco. [przypis edytorski]

Ale pan de Norpois odmienił intencje ojca w rzeczy o wiele dla mnie ważniejszej. Ojciec zawsze pragnął, abym został dyplomatą, ja zaś nie mogłem znieść myśli, iż, nawet gdybym miał spędzić jakiś czas w „centrali”, byłbym narażony na to, że mogliby mnie wysłać kiedyś jako ambasadora w kraje, gdzie nie mieszka Gilberta. Byłbym wolał wrócić do projektów literackich, którym tworzył niegdyś, a którym porzucił w czasie swoich spacerów w stronę Guermantes. Ale ojciec był stale przeciwny karierze literackiej, którą uważał za coś o wiele niższego od dyplomacji, odmawiając jej nawet miana kariery; aż do dnia, w którym pan de Norpois, nie bardzo lubiący dyplomatów z mieszczaństwa, upewnił go, że można jako pisarz zdobyć sobie tyleż uznania, działać równie skutecznie, a zachować większą niezależność.

— No i co, nie byłbym przypuszczal, stary Norpois nie jest wcale przeciwny literaturze — rzekł ojciec. Że zaś, dość ustosunkowany sam przez się, ojciec wierzył, iż nie ma rzeczy, której by się nie dało ułożyć i załatwić pomyślnie w rozmowie wpływowych ludzi, dodał:

— Ściągnę go któregoś dnia po komisji na obiad. Pomówisz z nim trochę, aby cię mógł ocenić. Napisz coś dobrego, co by mu można było pokazać; on żyje blisko z redaktorem „Revue des Deux Mondes”, wkręci cię tam, to spryciarz; a dalibóg, on, zdaje się, uważa, że dzisiaj dyplomacja!...

Szczęście, jakim byłoby nie rozstawać się z Gilbertą, wzbudziło we mnie chęć (ale nie zdolność) napisania pięknej rzeczy, którą by można pokazać panu de Norpois. Po pierwszych stronicach, nuda wytrącała mi pióro z ręki; płakałem z wściekłości, myśląc, że nigdy nie będę miał talentu, że nie mam zdolności i że nie będę mógł nawet skorzystać z szansy pozostania na zawsze w Paryżu, jaką mi daje bliska wizyta pana de Norpois. Jedynie myśl, że będę mógł zobaczyć Bermę, łagodziła moją zgrzyotę. Ale tak samo jak byłbym chciał oglądać burzę jedynie na wybrzeżach, gdzie bywa najgwałtowniejsza, tak samo byłbym chciał ujrzeć wielką aktorkę jedynie w jednej z klasycznych ról, w których, jak mi to mówił Swann, sięgała szczytu. Kiedy, w nadziei cennego odkrycia, pragniemy kosztować pewnych wrażeń natury lub sztuki, niezbyt jesteśmy skłonni zadowolić się w ich miejsce wrażeniem słabszym, zdolnym omamić nas co do ścisłej wartości Piękna. Berma w *Andromace*, w *Kapryśach Marianny*, w *Fedrze*, to były owe rzeczy sławne, których tak łaknęła moja wyobraźnia. Gdybym usłyszał Bermę recytującą ten wiersz:

„Mówią że nas opuszczasz w najbliższej godzinie,
Książę,” etc.⁵

doznałbym tego samego zachwyty, co w dniu, w którym gondola zawiozłaby mnie do stóp Tycjana u Frari lub Carpaccia w San Giorgio dei Schiavoni.

Znałem te wiersze jedynie z prostej czarno-białej reprodukcji w druku; ale serce biło mi, kiedy myślał, niby o ziszczeniu jakiejś podróży, że ujrzeć je wreszcie skąpane w rozświetlonej atmosferze złotego głosu. Carpaccio w Wenecji, Berma w *Fedrze*, arcydzieła sztuki malarskiej lub dramatycznej! — związany z nimi urok czynił z nich coś tak żywego, to znaczy tak niepodzielnego, że gdybym zobaczył Carpaccia w Luwrze lub Bermę w jakimś nieznanym mi utworze, nie doświadczyłbym tego rozkosznego zdumienia, iż nagle oczy moje otwały się wobec niepojętego i jedynego przedmiotu tylu tysięcy moich snów. Oczekując zarazem od Bermy objawienia pewnych form szlachetności, bólu, sądziłem, że to co jest w jej grze wielkie i prawdziwe, musi być większe i prawdziwsze, gdy aktorka zwiąże to z dziełem istotnej wartości, zamiast jedynie haftować prawdę i piękno na miernej i pospolitej kanwie.

Gdybym wreszcie zobaczył Bermę w jakiej nowej sztuce, niełatwo by mi było osądzić jej kunszt, jej dykcję, skoro nie mógłbym dokonać rozdziału między tekstem — nieznanym mi z góry — a tym, co by mu przydały akcenty i gesty, zlewające się dla mnie z tekstem; natomiast dawne dzieła, umiane na pamięć, zdawały mi się niby wielkie przestrzenie, umyślnie zastrzeżone, gdzie bym mógł z całą swobodą oceniać inwencje, jakimi, niby freskiem, pokrywały je Berma w nieprzerwanym bogactwie natchnienia. Na nieszczęście od czasu, gdy opuściła wielkie sceny i napełniała kasę bulwarowego teatru, którego była

⁵etc. — skrót od łac. *et caetera*: i inne; i tak dalej. [przypis edytorski]

gwiazdą, nie grywała już klasyków; daremnie śledził⁶ afisze; zawsze oznajmiały sztuki zupełnie nowe, fabrykowane specjalnie dla Bermy przez wziętych autorów. Naraz, jednego rana, szukając na słupie z afiszami „popołudniówek” na świąteczny tydzień, ujrzałem pierwszy raz — na zakończenie spektaklu, po jakiejś blahej (jak sądziłem) sztuczce, której tytuł wydał mi się mętny, ponieważ personifikował treść nieznaną mi akcji — dwa akty Fedry z panią Bermą, w dalszych zaś popołudniowych spektaklach *Półświatek*, *Kaprysy Marianny* — tytuły, które, jak *Fedra*, były dla mnie przejrzyste, napelnione samą jasnością, tak dobrze owe dzieła były mi znane, rozświetlone do głębi uśmiechem sztuki. Tytuły te pomnażały mi dostojność samej Bermy, kiedy wyczytał obok programu w dzienniku, że to ona zapragnęła pokazać się na nowo publiczności w paru dawnych kreacjach.

Zatem, artystka wiedziała, że niektóre role mają wartość trwalszą niż moment ich premiery lub sukces wznowienia; uważała je, w swojej interpretacji, za arcydzieła muzealne, warte, aby je na nowo ukazać oczom pokolenia, które ją w nich podziwiała, lub tego, które jej w nich nie zna. Kładąc tak na afiszu, pośród sztuk przeznaczonych jedynie na wypełnienie wieczoru, *Fedrę*, której tytuł, nie dłuższy od tamtych tytułów, wydrukowano takimi samymi czcionkami, Berma czyniła jak gdyby gest gospodyni domu, gdy przedstawiając nas gościom w chwili siadania do stołu, wymienia pośród obojętnych nazwisk, nie zmieniając tonu: „pan Anatol France”.

Lekarz, który mnie miał w swojej opiece — ten sam, który mi zabronił wszelkich podróży — odradzał rodzicom dla mnie teatr; wróciłbym (powiadał) z teatru chory, może na długo, i w sumie przyniosłoby mi to więcej cierpienia niż przyjemności. Ta obawa mogłaby mnie powstrzymać, gdyby to, czegom oczekiwał po takim widowisku było tylko przyjemnością, którą suma późniejszego cierpienia może sprowadzić do zera. Ale to, czegom żądał od tego widowiska — tak samo jak od wymarzonej podróży do Balbec lub do Wenecji — było zupełnie czymś innym niż przyjemnością; spodziewałem się po tym prawd należących do świata realniejszego niż ów, w którym żyłem; prawd, których, skoro je raz posiadam, nie mogłyby mi wydrzeć blahe — choćby nawet bolesne dla mego ciała — wypadki mojej częściej egzystencji. Co najwyżej, przyjemność, jakiej kosztowałbym w teatrze, wydawała mi się potrzebną może formą doznania tych prawd; to wystarczało, abym pragnął, by przepowiedziane cierpienia zaczęły się aż po spektaklu, nie psując i nie fałszując tej przyjemności. Błagałem rodziców, którzy, od czasu wizyty lekarza, nie chcieli mi pozwolić iść na *Fedrę*. Powtarzałem sobie bez końca tyradę: „Mówią, że nas opuszczasz w najbliższej godzinie”, próbując wszelkich intonacji, jakie można by w nią włożyć, iżbym mógł lepiej zmierzyć niespodziankę akcentu, jaki znajdzie dla niej Berma. Boskie Piękno, ukryte jak *sanctissimum* pod zasłoną, która mi je kryła i poprzez którą użyczałem mu co chwilę nowej postaci, w duchu słów Bergotte’a — w plakietce odnalezionej przez Gilbertę — wciąż powracających w mojej myśli: „uplastyczniona szlachetność, chrześcijańska włościennica, jansenistyczna bladeść, księżna Trezeny i de Clèves, mykeński dramat, delficki symbol, mit słoneczny”, — boskie Piękno, które miała mi odsłonić gra Bermy, królowa dniem i nocą na wciąż oświetlonym ołtarzu, w głębi mojej duszy, w oczekiwaniu, aż wyrok moich surowych i lekkomyślnych rodziców orzeknie, czy dusza ta posiada — i to na zawsze — doskonałości Bóstwa odsłoniętego w tym samym miejscu, w którym wznosił się jego niewidzialny kształt.

I z oczyma wlepionymi w niepojęty obraz, walczyłem od rana do wieczora przeciw zaporom, jakie stawiała mi rodzina. Ale, kiedy zapory runęły, kiedy matka — mimo że przedstawienie wypadło właśnie w dniu komisji, po której ojciec miał przyprowadzić na obiad pana de Norpois — powiedziała mi: „No cóż, nie chcemy cię dręczyć; skoro sądzisz, że ci to sprawi taką przyjemność, to już idź”; kiedy teatr, dotąd zabroniony, zależał tylko ode mnie, wówczas, po raz pierwszy, niepochlōnięty już tym, aby ów teatr przestał być niemożliwością, pytałem sam siebie, czy on jest upragniony, czy inne racje niż zakaz rodziców nie powinny by mi kazać się go wyrzec.

Po pierwsze, przez kontrast do nienawistnego okrucieństwa, zgoda rodziców zrodziła we mnie taką dla nich czułość, że myśl o ich przykrości sprawiała ból mnie samemu.

⁶daremniem śledził — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: daremnie śledziłem. [przypis edytorski]

Celem życia wydała mi się już nie prawda, ale czułość; wartość jego mierzylem jedynie tym, czy rodzice będą szczęśliwi. „Wolałbym raczej nie iść, gdyby cię to miało zmartwić” rzekłem do matki, która, przeciwnie, starała się oddalić ode mnie tę myśl, iż mogłaby być z tego powodu smutna: ta myśl — powiadała — zepsułaby mi przyjemność, jakiej miałem kosztować na *Fedrze*, i dla której i ona sama, i ojciec cofnęli zakaz. Ale wówczas ów jak gdyby obowiązek doznania przyjemności wydał mi się bardzo ciężki. Przy tym, gdybym wrócił chory, czy wyzdrowieję dość szybko, aby móc iść na Pola Elizejskie po feriach, skoro tylko zaczniesz tam chodzić Gilberta?

Z wszystkimi tymi racjami zestawiałem — aby rozstrzygnąć, co ma przeważać — niewidzialną pod swymi zasłonami myśl o doskonałości Bermy. Na jedną szalę kładłem myśl, że mama jest smutna, ryzyko, że nie będę mógł iść na Pola Elizejskie, na drugą „jansenistyczną bladłość, mit słoneczny”; ale nawet te słowa mętniały w końcu w moim umyśle, nie mówiły mi już nic, traciły wszelki ciężar gatunkowy; stopniowo wahania moje stawały się tak bolesne, że gdybym się teraz zdecydował na teatr, to już tylko dlatego, aby je zakończyć i uwolnić się od nich raz na zawsze. Uczyniłbym to po to, aby skrócić swoje cierpienia, nie zaś w nadziei intelektualnej korzyści, ani pod urokiem doskonałości; dałbym się poprowadzić nie ku Mądrej Bogini, ale ku niewidzialnemu Bóstwu bez twarzy i nazwy, które zniemacka wstawiono pod zasłoną w jej miejsce.

Ale nagle wszystko się odmieniło; moje pragnienie ujrzenia Bermy otrzymało nową podniecie, która pozwoliła mi niecierpliwie i radośnie oczekiwać teatru. Wybrawszy się na swoją codzienną, a od niedawna tak okrutną stację słupnika pod kolumną z afiszami, ujrzałem mokry jeszcze szczegółowy afisz *Fedry*, który przylepiono po raz pierwszy. Prawdę mówiąc, reszta obsady nie przyniosła nowego uroku, który by mógł mnie zdecydować. Ale widok ten dawał jednemu z celów, między którymi wahało się moje niezdecydowanie, kształt bardziej konkretny: data afisza oznaczała nie dzień, w którym go czytałem, ale ów, w którym miało się odbyć przedstawienie, godzinę podniesienia kurtyny; było to tak bliskie, tak realne, że podskoczyłem z radości przed słupem na myśl, że owego dnia, prawie o tej samej godzinie, siedząc na swoim miejscu, będę się gotował ujrzeć Bermę. I z obawy, że rodzice mogą już nie dostać dobrych miejsc dla babki i dla mnie, pobiegłem pędem do domu, smagany magicznymi słowami, które zastąpiły w mojej myśli *jansenistyczną bladłość* i *mit słoneczny*: „przed zajęciem miejsc w krzesłach, panie obowiązane są zdjąć kapelusze” i „punktualnie o godzinie drugiej, drzwi będą zamknięte”.

Niestety! ten pierwszy poranek stał się wielkim zawodem. Ojciec zaproponował, że udając się na komisję, odwiezie babkę i mnie do teatru. Wychodząc, rzekł do matki:

— Postaraj się, żeby był dobry obiad; pamiętasz, że mam przyprowadzić pana de Norpois?

Matka nie zapomiała. I od poprzedniego dnia Franciszka, szczęśliwa, że może się oddawać sztuce kuchennej, do której miała niewątpliwy talent, podniecona zresztą zapowiedzią nowego gościa, wiedząc, że będzie musiała przyrządzić wedle jej tylko wiadomej recepty sztukamię w auszpiku, żyła w gorączce tworzenia; że zaś przywiązywała ogromną wagę do jakości produktów mających wchodzić w skład jej dzieła, udała się sama do Hal, aby wybrać najpiękniejsze płyty rumsztyku, nogi wołowe, nóżki cielęce, niby Michał Anioł, spędzający osiem miesięcy w górach Karary, aby wybrać najdoskonalsze złomy marmuru na pomnik Juliusza II. W te wstępne przygotowania wkładała Franciszka tyle żaru, że mama, widząc jej rozplamioną twarz, obawiała się, aby stara służąca nie rozchorowała się z przemęczenia, jak twórca grobowca Medyceuszów w łomach Pietraganta. I już poprzedniego dnia Franciszka posłała szynkę, którą nazywała nefiorską, osłonioną miękiszem chleba niby różowy marmur, aby ją upiec u piekarza. Niewątpliwie za pierwszym razem, kiedy usłyszała o szynce *yorskiej*, Franciszka, uważając język za mniej bogaty i swoje własne uszy za nie dość pewne, nie uwierzyła w tę rozrzutność słownika i w to, aby mógł istnieć zarazem i York, i Nowy York; sądziła tedy, że się przesłyszała i że chodzi po prostu o słowo znane jej wprzód. Toteż od owego czasu, przed słowem *York* zjawiał się w jej uszach lub przed jej oczami — kiedy czytała anons — przydatek *New*, który wymawiała *Nef*. I z najlepszą wiarą mówiła do posługaczki:

— Idź, przynieś mi szynkę od Olidy. Pani mówiła koniecznie, żeby była nefiorska.

Tego dnia, o ile Franciszka oddychała płomienną pewnością twórców, moim udziałem był okrutny niepokój poszukiwaczy. Bez wątpienia, dopókim nie usłyszał Bermy, dozna-

wałem przyjemności. Doznawałem jej na skwerku przed teatrem, gdzie w dwie godziny później nagie kasztany miały się lśnić metalicznym blaskiem, gdy płomyki gazu oświetlą szczegółowo ich gałęzie; i w obliczu kontrolerów, których wybór, awans, los zależał od wielkiej artystki: ona sama dzierżyła władzę w zarządzie teatru, na którego czele przesuwali się kolejno znikom i czysto nominalni dyrektorowie. Kontrolerzy odebrali bilety, nie patrząc na nas, przejęci myślą, czy wszystkie zlecenia ich pani wiernie przekazano nowemu personelowi; czy dobrze zrozumiano, że klaka nigdy nie ma oklaskiwać jej samej; że okna mają być otwarte, póki jej nie ma na scenie, a najmniejsze drzwi zamknięte potem; że garnek z gorącą wodą ma stać ukryty w jej pobliżu, dla oczyszczenia powietrza z kurzu. I w istocie, za chwilę powóz Bermy, zaprzężony w dwa długogrzywe konie, zatrzyma się przed teatrem, ona wysiądzie zakutana w futra i, odpowiadając znudzonym gestem na ukłony, pośle którąś z pokojówek, aby się upewniła, czy zarezerwowano łożę dla przyjaciół, aby sprawdziła temperaturę sali, klasę publiczności, zachowanie się odźwiernych. Teatr i publiczność to był dla Bermy jedynie drugi, bardziej zewnętrzny kostium, w który wchodziła; atmosfera zaś sali była lepszym lub gorszym przewodnikiem jej talentu.

Byłem szczęśliwy również na samej widowni. Od czasu jak wiedziałem — na wspak temu, co sobie długo wyobrażały moje dziecięce urojenia — że jest tylko jedna scena dla wszystkich, myślałem, że przez głowy innych widzów musi być równie trudno widzieć, co kiedy się jest w tłumie; otóż, przekonałem się, iż przeciwnie, dzięki urządzeniu, które jest symbolem wszelkiej percepcji, każdy czuje się niby w centrum widowni. To mi wytłumaczyło, iż raz, kiedy posłano Franciszkę na jakiś melodramat na galerię, upewniała za powrotem, że miała miejsce najlepsze w całym teatrze, i nie tylko nie uważała, że siedzi za daleko, ale przeciwnie, czuła się zaniepokojona tajemniczą i żywą bliskością kurtyny.

Przyjemność moja wzrosła jeszcze, kiedy za spuszczoną kurtyną zacząłem rozróżniać mętne odgłosy, podobne tym, które się dają słyszeć w skorupie jajka, kiedy się ma wyląc pisklą. Niebawem hałasy wzmogły się i naraz z tego świata niedostępnego naszym oczom, ale widzącego nas, skierowały się niewątpliwie do nas w despotycznej formie trzech uderzeń, równie wzruszających co sygnały nadane z Marsa. I skoro się już podniosła ta kurtyna, kiedy biurko i kominiek, dosyć pospolite zresztą, oznajmiły nam, iż osoby, które zaraz wejdą na scenę, to będą nie deklamatorzy, tacy, jakich raz widziałem na wieczorze, ale ludzie przeżywający u siebie w domu jeden dzień swego życia, w które wdzieralem się przemocą, niewidziany przez nich — przyjemność moja trwała nadal. Przerwał ją krótki niepokój: właśnie kiedym nadstawiał uszu, zanim się zaczęła sztuka, weszło na scenę dwóch ludzi, widocznie rozgniewanych, skoro mówili tak głośno, że w tej sali, liczącej więcej niż tysiąc miejsc, można było rozróżnić ich słowa, gdy w małej kawiarence trzeba się pytać garsona, co mówią dwaj goście, którzy się pokłócili z sobą. Ale w tej samej chwili, zdumiony, że publiczność słucha ich bez protestu, zatopiona jednomyślną ciszą, z której to tu to tam zachlupotał śmiech, zrozumiałem, że ci kłótnicy to są aktorzy i że zaczęła się właśnie jednoaktówka, zwana *lever de rideau*.

Nastąpił po niej antrakt tak długi, że widzowie, wróciwszy na miejsca, niecierpliwiili się, tupali nogami. Przeraziło mnie to; tak samo bowiem, jak kiedy czytałem w sprawozdaniu z procesu, że jakiś szlachetny człowiek z własną szkodą złożył świadectwo na korzyść niewinnego, bałem się, iż nie będą dla tego świadka dość mili, że nie okażą mu dosyć wdzięczności, że go nie wynagrodzą dość hojnie i że, zmierzony tym, przejdzie na stronę niesprawiedliwości, tak samo, upodabniając w tym geniusz do cnoty, bałem się, że Berma, zrażona niesfornym zachowaniem się tak źle wychowanej publiczności — wśród której, przeciwnie, byłbym rad, aby mogła z satysfakcją rozpoznać kilka znakomitości, na których sędzie by jej zależało — wyrazi jej swoje niezadowolenie i wzgardę, grając lichy. I patrzyłem błagalnie na te tupiące bydlęta, zdolne w swojej wściekłości skruszyć wątłe i cenne wrażenie, po którym przyszedł.

Wreszcie, ostatnie chwile mojej przyjemności przypadły w czasie pierwszych scen *Fedry*. Sama Fedra nie pojawia się w owym początku drugiego aktu; jednakże, z chwilą gdy kurtyna się podniosła i gdy się rozsunała druga kurtyna z czerwonego aksamitu, przecinająca scenę we wszystkich sztukach, w których występowała gwiazda, weszła głębią aktorka o twarzy i głosie podobnych tym, jakie, wedle tego co mi mówiono, miała mieć Berma. Musiano widocznie zmienić obsadę; cała pilność, jaką włożyłem w studiowanie roli małżonki Tezeusza, poszła na marne! Ale jeszcze inna aktorka brała udział w dialogu.

Musiałem się pomylić, biorąc tamtą za Bermę, bo ta druga była do niej jeszcze podobniejsza; — co więcej, miała jej dykcję. Obie zresztą stroiły swoje role w szlachetne gesty — które dobrze rozróżniałem, pojmując ich związek z tekstem, gdy aktorki podnosiły swoje piękne fałdziste szaty — a także w bogate, to namiętne, to ironiczne intonacje, pozwalające mi zrozumieć sens wierszy, które czytałem w domu, nie dość zwracając uwagę na ich znaczenie. Ale naraz, między czerwonymi oponami sanktuarium, ukazała się, niby w ramie, inna kobieta i natychmiast odczułem lęk o wiele dotkliwszy, niż mógł być lęk Bermy o to, że jej nie w porę otworzą okno, że ktoś skazi dźwięk jej słów szeleszcząc programem, że publiczność urazi ją, oklaskując jej koleżanki lub nie dość oklaskując ją samą. Z tego wzruszenia, w którym od tej chwili — i jeszcze absolutniej niż dla samej Bermy — sala, publiczność, aktorzy, sztuka i moje własne ciało stały się dla mnie wyłącznie przewodnikiem akustycznym, mającym znaczenie jedynie w tej mierze, w jakiej jest on korzystny dla modulacji tego głosu, zrozumiałem, że dwie aktorki, podziwiane przeze mnie od kilku minut, nie mają żadnego podobieństwa z tą, którą przyszedłem oglądać.

Ale równocześnie cała moja przyjemność ustała; daremnie wyteżczałem ku Bermie oczy, uszy, myśl, aby nie uronić ani okruszyny z przyczyn, jakich dostarczała mojemu podziwowi; nie zdołałem pochwytać ani jednej. Nie mogłem nawet, jak u jej koleżanek, rozróżnić w jej dykcji i grze inteligentnych akcentów, pięknych gestów. Słuchałem tak, jakbym czytał *Fedre* lub jakby sama Fedra mówiła w tej chwili, bez żadnego naddatku płynącego z talentu Bermy. Aby móc zgłębić, aby próbować odkryć, w czym tkwi jej artyzm, byłbym pragnął zatrzymać, unieruchomić na długo każdą intonację artystki, każdy wyraz jej fizjonomii; starałem się bodaj, za pomocą umysłowego wysiłku, ustaliwszy i wycelowawszy przed każdym wierszem swoją uwagę, nie strwonić na przygotowania ani jednej cząstki trwania każdego słowa i gestu i dzięki nasileniu uwagi wnikać w nie tak głęboko, co gdybym miał na ten cel długie godziny. Ale jakże to trwanie było krótkie! Ledwie dźwięk jaki dostał się do mego ucha, już zastępował go inny. W scenie, gdy Berma trwała nieruchomo jakiś czas z ręką na wysokości twarzy, skąpiana dzięki grze reflektorów w zielonkawym świetle, na tle dekoracji przedstawiającej morze, sala buchnęła oklaskiem; ale już artystka zmieniła miejsce: obraz, który byłbym chciał studiować, przestał istnieć.

Powiedziałem babce, że nie widzę dobrze; dała mi lornetkę. Ale kiedy się wierzy w realność rzeczy, posługiwać się sztucznym środkiem, aby ich osiągnąć, nie jest tym samym, co czuć je blisko siebie. Miałem uczucie, że już nie Bermę widzę, ale jej obraz w powiększającym szkłe. Odłożyłem lornetkę; ale może obraz, który przyjmowało moje oko, zmniejszony oddaleniem, nie był wierniejszy: która z dwóch Berm była prawdziwa? Co się tyczy jej oświadczeń Hipolitowi, bardzo liczyłem na ten ustęp, w którym, wnosząc ze znaczących akcentów, jakie koleżanki Bermy odkrywały mi co chwila w mniej pięknych miejscach, spodziewałem się u niej samej akcentów niezwyklejszych niż te, które czytając starałem się w domu wydobyć; ale nie dosięgła nawet tych, na które się zdobyły dotąd Enona lub Arycja; wszystko przeciągnęła strychulcem jednotonnej melopei, całą tyradę, w której mieszały się przeciwieństwa, tak przecież wyraźne, że bodaj trochę inteligentna tragiczka, nawet uczennica liceum, nie omieszkałaby ich wyzyskać. Zresztą Berma wygłosiła ten ustęp tak szybko, że dopiero kiedy doszła do ostatniego wiersza, umysł mój uświadomił sobie rozmyślną monotonię, jaką narzuciła pierwszym.

Wreszcie buchnęło moje pierwsze uczucie podziwu: wywołały je frenetyczne oklaski publiczności. Dołączyłem do nich swoje, starając się przedłużyć owacje, iżby Berma przez wdzięczność przeszła samą siebie, tak abym był pewny, że ją oglądałem w jednym z jej najlepszych dni. Ciekawe jest, że chwila, w której rozpętał się ten entuzjazm, była — dowiedziałem się o tym później — momentem, gdy Berma ma jeden ze swoich najpiękniejszych efektów. Zdaje się, że pewne wyższe realności wysyłają dokoła siebie promienie, na które tłum jest wrażliwy. Tak na przykład, kiedy się spełnia jakieś wydarzenie, kiedy na granicy armia jest w niebezpieczeństwie albo pobita, albo zwycięska, wówczas mętne wiadomości, niewiele dostarczające materiału wykształconemu człowiekowi, niecą w tłumie wzruszenie, które nas zdumiewa, a w którym, skoro raz eksperci uświadomią nam istotną sytuację wojenną, uznajemy wrażliwość tłumy na ową „aurę”, jaka otacza wielkie wypadki i może być widzialna na setki kilometrów. Człowiek dowiadyuje się o zwycięstwie albo po wszystkim, kiedy wojna jest skończona, albo natychmiast z radości odzwiernego. Odkrywa się genialny rys gry Bermy w tydzień po przedstawieniu

z krytyk albo natychmiast z oklasków widowni. Że jednak ta bezpośrednia świadomość tłumu miesza się z setką innych, całkowicie błędnych, brawa padały najczęściej fałszywie, nie licząc, że wzbudzała je już mechanicznie siła poprzednich braw, jak w czasie burzy raz rozhuśtane morze wzbiera dalej, nawet gdy wiatr się już nie wzmaga.

Ale mniejsza; w miarę jak klaskałem, zdawało mi się, że Berma lepiej gra. „Przynajmniej — mówiła obok mnie kobieta dosyć pospolita — ta się nie oszczędza; wali się w piersi, że aż dudni, biega po scenie; to, to rozumiem, to się nazywa grać”. I szczęśliwy, żem znalazł te racje wyższości Bermy, mimo moich podejrzeń, że one nie tłumaczą jej, jak nie tłumaczy *Giocondy* lub *Perseusza* Benvenuto wykrzykownik kmiotka: „To ci pięknie odrobione! całe ze szczerego złota, i co za praca!” — z upojeniem dzieliłem tanie wino tego ludowego entuzjazmu.

Czułem mimo to, po zapadnięciu kurtyny, rozczarowanie, że ta przyjemność, której tak bardzo pragnąłem, nie była większa; ale równocześnie czułem potrzebę przedłużenia jej, nie pożegnania na zawsze, wraz z opuszczeniem sali, tego życia teatru, które przez kilka godzin było moim życiem, z którego byłbym się wyrwał, niby na wygnanie, gdybym, wracając do domu, nie miał nadziei dowiedzenia się tam wiele o Bermie od jej wielbiciela, któremu zawdzięczałem, że mi pozwolono iść na *Fedre* — od pana de Norpois.

Ojciec przedstawił mnie ambasadorowi przed obiadem, wezwawszy mnie w tym celu do gabinetu. Kiedym wszedł, dyplomata wstał, podał mi rękę, pochylił wysoką postać i wlepił we mnie bacznie niebieskie oczy. Ponieważ przejezdni cudzoziemcy, których mu przedstawiano w epoce, gdy reprezentował Francję, byli mniej lub więcej — licząc w to głośnych śpiewaków — figurami wybitnymi, o których pan de Norpois wiedział, iż będzie mógł powiedzieć kiedyś — gdy kto wymieni ich nazwisko w Paryżu lub w Petersburgu — że sobie doskonale przypomina wieczór spędzony z nimi w Monachium lub w Sofii, ambasador przywykł podkreślać swoją uprzejmością radość z ich poznania; co więcej, przekonany, iż w życiu stolic, przez równoczesny kontakt z zajmującymi osobami, które przez nie przejeżdżają i ze zwyczajami ludu, który je zamieszkuje, nabywa się głębokiej i niepodobnej do uzyskania z książek znajomości historii, geografii, obyczajów rozmaitych narodów, ruchu umysłowego Europy, pan de Norpois ćwiczył na każdym nowo przybyłym swoją bystrość, aby od razu przejrzeć, z jakim gatunkiem człowieka ma do czynienia. Rząd nie powierzał już od dawna panu de Norpois placówek zagranicznych, ale z chwilą gdy eks-ambasadorowi przedstawiano kogoś, czy jego, tak jakby nie przyjęły do wiadomości jego „stanu spoczynku”, zaczynały owocnie obserwować, gdy on sam całą postawą starał się okazać, że nazwisko cudzoziemca nie jest mu obce. Toteż, mówiąc do mnie z dobrocią i z ważnością człowieka mającego świadomość swego rozległego doświadczenia, nie przestawał mnie badać z roztrępnym zaciekawieniem, dla własnej przyjemności, tak jakbym był jakimś egzotycznym zwyczajem, pouczającym zabytkiem lub gwiazdą na *tournée*. W ten sposób pan de Norpois dawał w stosunku do mnie zarazem dowód majestatycznej uprzejmości roztrępnego Mentora i pilnej ciekawości młodego Anacharsisa.

Nie ofiarował mi się absolutnie z niczym w przedmiocie „*Revue des Deux Mondes*”, ale zadał mi pewną ilość pytań co do mego życia i studiów, co do moich upodobań, o których pierwszy raz w mojej obecności mówiono jak o czymś godnym wzięcia pod uwagę, gdy dotąd sądziłem, iż obowiązkiem jest sprzeciwiać się im. Ponieważ wiodły mnie one ku literaturze, ambasador nie odwracał mnie od tego; przeciwnie, mówił o literaturze z szacunkiem, niby o czcigodnej i uroczej osobie z najlepszego towarzystwa, o której zachowało się z Dreżna lub z Rzymu wyborne wspomnienia i z którą, ku swemu ubolewaniu, wskutek warunków życia, człowiek spotyka się zbyt rzadko. Z frywolnym niemal uśmiechem ambasador zdawał mi się zazdrościć szczęśliwych chwil, które ja, szczęśliwszy od niego i swobodniejszy, będę mógł z nią spędzić. Ale same wyrażenia, którymi pan de Norpois się posługiwał, ukazywały mi Literaturę jako coś bardzo odmiennego od jej obrazu, jaki sobie stworzyłem w Combray; i zrozumiałem, żem miał podwójnie racje, wyrzekając się jej. Dotąd zdawałem sobie jedynie sprawę z tego, że nie mam daru pisania; obecnie pan de Norpois odbierał mi nawet ochotę do pisania. Chciałem się z nim podzielić swoimi rojeniami; drżąc ze wzruszenia, byłbym sobie wyrzucał, gdyby słowa moje nie były najszczerzym wyrazem tego, com odczuwał i czegom nigdy nie próbował sobie sformułować; tym samym słowa moje dalekie były od ścisłości. Może z zawodowego nawyku, może siłą spokoju, jakiego nabywa człowiek ważny, którego proszą o radę i który,

wiedząc, iż zachowa w ręku bieg rozmowy, pozwala interlokutorowi miotać się, wysilać, męczyć; może również, aby uwydatnić typ swojej głowy (wedle niego samego grecki, mimo wielkich bokobrodów), pan de Norpois, kiedy mu się coś tłumaczyło, zachowywał twarz równie nieruchomą, co gdyby się mówiło w gliptotece przed jakimś popiersiem antycznym — i głuchym. Naraz, spadając niby młotek taksatora lub wyrocznia delficka, głos ambasadora, rozlegający się w odpowiedzi, wzruszał cię tym bardziej, ile że nic na twarzy pana de Norpois nie zwiastowało wrażenia, jakie na nim wywarłeś, ani zdania, jakie miał wyrazić.

— Właśnie — rzekł do mnie nagle, tak jakby sprawa była osądzona, i pozwoliwszy mi bredzić pod swoim nieruchomym spojrzeniem, które nie opuszczało mnie ani na chwilę — właśnie znam syna jednego z przyjaciół, który, *mutatis mutandis*⁷ jest w podobnym położeniu. — (Mówiąc o naszych wspólnych skłonnościach, pan de Norpois przybrał ten sam pocieszający ton, co gdyby to były skłonności nie do literatury lecz do reumatyzmu i gdyby mnie chciał upewnić, że się z tego nie umiera). — Toteż wołał opuścić Quai d'Orsay, gdzie, bądź jak bądź, miał już wytyczoną drogę przez swego ojca, i nie troszcząc się o ludzkie języki, zaczął pisać. To pewna, że nie miał powodu tego żałować. Ogłosił przed dwoma laty (jest zresztą o wiele starszy od pana, oczywiście) dzieło traktujące o poczuciu Nieskończoności na zachodnim brzegu jeziora Victoria Nyanza, a w tym roku dziełko mniej ważkie, ale skreślone piórem żwawym, niekiedy nawet ciętym, o karabinie repetiesowym w armii bułgarskiej; które to dwie prace stworzyły mu sytuację zupełnie wyjątkową. Zrobił już ładny szmat drogi, a nie jest to człowiek, który by się zatrzymał w połowie, i wiem, że, nie biorąc co prawda w rachubę ewentualnej kandydatury, rzucono parę razy jego nazwisko, ot, w rozmowie, w Akademii Nauk Politycznych, i to w sposób zgoła niemający nic nieprzychylnego. W sumie, mimo iż nie można powiedzieć, aby już się znalazł na szczycie cokołu, zdobył sobie wstępny bojem ładną pozycję. Sukces, który nie zawsze przypada jedynie niespokojnym i mętnym głowom, ryerczom idei często będącym po prostu ryerczami przemysłu, sukces, powiadam, uwieńczył jego trudy.

Ojciec, widząc mnie już za kilka lat członkiem Akademii, oddychał z zadowoleniem, a pan de Norpois spotęgował je jeszcze, kiedy po chwili wahania, podczas której zdawał się obliczać następstwa swego czynu, rzekł, podając mi swój bilet: „Niech pan do niego zajdzie, powołując się na mnie; będzie mógł panu udzielić cennych wskazówek”. Słowa te przyparowały mi o wstrząs równie gwałtowny, co gdyby mi oznajmiono, że mam się znaleźć nazajutrz jako majtek na pokładzie żaglowca.

Ciocia Leonia zrobiła mi spadkobiercą nie tylko wielu przedmiotów i mebli bardzo kłopotliwych, ale i całego swego ruchomego majątku, zdradzając tym przywiązanie, którego nie domyślałem się za jej życia. Ojciec, mający zawiadywać tym majątkiem do mojej pełnoletności, poradził się pana de Norpois co do niektórych lokat. Pan de Norpois polecił papiery słabo procentujące, które uważał za szczególnie pewne, mianowicie konsolidy angielskie i czteroprocentową pożyczkę rosyjską. „Przy tych walorach, zupełnie pierwszorzędnych — rzekł pan de Norpois — jeżeli dochód nie jest zbyt wysoki, masz pan przynajmniej pewność, że nigdy nie uronisz kapitału”. Co się tyczy reszty, ojciec zwierzył się z grubsza z tym, co kupił. Pan de Norpois powinszował mi nieznanym uśmiechem: jak wszyscy kapitaliści, uważał majątek za rzecz godną zazdrości, ale wydawało mu się delikatniejsze komplementować jego posiadacza ledwie dostrzegalnym znakiem porozumienia; z drugiej strony, sam będąc kolosalnie bogaty, uważał za rzecz dobrego smaku okazywać uznanie dla czyichś znacznie mniejszych dochodów, radośnie i przyjemnie oceniając w duchu przewagę własnych. W zamian nie wahał się winszować ojcu „kompozycji” jego portfela „o smaku bardzo pewnym, bardzo delikatnym, bardzo finezyjnym”. Można by rzec, iż pan de Norpois przypisuje stosunkom papierów wartościowych między sobą lub nawet papierom wartościowym jako takim coś jakby wartość estetyczną. Kiedy mu ojciec wspomniał o pewnym dość nowym i mało znanym papierze, pan de Norpois, podobny ludziom znającym książkę, o której sądziliśmy, iż znamy ją tylko my jedni, rzekł: „Ależ tak, śledziłem jakiś czas ten papier dla rozrywki w cedułkach, bardzo zajmujący” — z retrospektywnym i uśmiechniętym zainteresowaniem abonenta, który czytał ostatnią powieść w miesięczniku, partiami, w odcinkach. „Nie

⁷*mutatis mutandis* (łac.) — z uwzględnieniem istniejących różnic. [przypis edytorski]

odradzałbym panu podpisania emisji, którą wypuszczą niebawem. Jest bardzo apetyczna, proponuje panu walory po kuszących cenach”. Mówiąc znowuż o pewnych dawnych papierach, ojciec, nie przypominając sobie dobrze nazw, łatwych do pomylenia z innymi pokrewnymi, otworzył szufladę i pokazał ambasadorowi oryginalne akcje. Widok ich zachwycił mnie; zdobyły je katedry i alegoryczne postacie, jak w starych romantycznych wydawnictwach, którym przeglądał niegdyś. Wszystko, co jest z jednej doby, podobne jest do siebie; ci sami artyści, którzy ilustrują poematy jakiejś epoki, pracują dla przedsiębiorstw finansowych. I nic tak nie przywodzi na pamięć zeszytów *Notre-Dame de Paris* i dzieł Gerarda de Nerval, widniejących na wystawie kupca korzennego w Combray, jak, w swojej prostokątnej i kwiecistej obwódce, wspieranej przez bóstwa rzeczne, nominalna akcja Towarzystwa Okrętowego.

Ojciec miał dla mojego rodzaju inteligencji wzdargę na tyle skorygowaną czułością, aby w sumie uczucie jego w stosunku do wszystkiego, co robiłem, wyrażało się ślepym pobożaniem. Toteż nie zawahał się wysłać mnie po mały poemacik prozą, niegdyś napisany w Combray za powrotem z przechadzki. Pisałem go w ekstazie, która — sadziłem — musi się udzielić czytającemu. Ale nie zdołała snadź⁸ ogarnąć pana de Norpois, bo oddał mi rękopis bez słowa.

Matka, pełna szacunku dla zajęć ojca, przyszła zapytać nieśmiało, czy można podać. Bała się przerwać rozmowę, w której nie uważano by może jej udziału za potrzebny. I w istocie, co chwila ojciec przypominał margrabiemu jakiś pożyteczny wniosek, który postanowili poprzeć na najbliższej komisji, a czynił to owym specjalnym tonem, jaki — podobni w tym dwóm uczniakom — mają w odmiennym środowisku dwaj koledzy, posiadający wspólne, a niedostępne innym wspomnienia zawodowe, i niemal zażenowani tym, że się im oddają w przytomności⁹ obcych.

Ale idealna autonomia mięśni twarzy, do jakiej doszedł pan de Norpois, pozwalała mu słuchać, nie zdradzając, że słyszy. Ojciec zmieszał się w końcu. „Zamierzałem spytać o zdanie komisji...” — mówił do pana de Norpois po długich wstębach. Wówczas, z twarzy arystokratycznego wirtuoza, który zachował martwość muzyka, zanim przyjdzie moment jego partii, wychodziło równo i miarowo, tonem ostrym i jak gdyby kończącym — tym razem innym brzmieniem głosu — rozpoczęte zdanie: „...której z pewnością nie omieszka pan zwołać, tym snadniej, że jej członkowie znani są panu poszczególnie i mogą się zebrać bez trudu”. Samo w sobie zakończenie to nie miało zapewne nic niezwykłego. Ale nieruchomość, która je poprzedziła, odcinała je z krystaliczną przejrzystością — niemal filuternością fraz, jakimi w koncercie Mozarta, milczący dotąd fortepian odpowiada w danym momencie wiolonczeli.

— I cóż, kontent jesteś ze swojego teatru? — rzekł w chwili, gdyśmy przechodzili do jadalni, ojciec, aby mi dać sposobność zablęśnięcia i sądząc, że mój entuzjazm da o mnie dobre pojęcie panu de Norpois. — Był właśnie oglądać Bermę; przypomina pan sobie, żeśmy mówili o tym. — rzekł ojciec, obracając się do dyplomaty, tym samym tonem retrospektywnej, technicznej i tajemniczej aluzji, co gdyby chodziło o posiedzenie komisji.

— Musiał pan być zachwycony, zwłaszcza jeśli ją pan widział po raz pierwszy. Ojciec pański niepokoił się, jak ta mała eskapada odbije się na pańskim zdrowiu, bo pan jest, o ile wiem, nieco delikatny, nieco wątpliwy. Ale uspokoiłem pańskiego ojca. Teatry nie są dziś tym, czym były jeszcze przed dwudziestu laty. Mamy fotele mniej więcej wygodne, niezłą wentylację, mimo że wiele musielibyśmy jeszcze dokładać starań, aby dogonić Niemcy i Anglię, które pod tym względem, jak pod wieloma innymi, wyprzedziły nas kolosalnie. Nie widziałem pani Bermę w *Fedrze*, ale słyszałem, że ma być wspaniała. I był pan oczarowany, naturalnie?

Pan de Norpois, tysiąc razy wytrawniejszy ode mnie, musiał posiadać ową prawdę, której ja nie umiałem wycisnąć z gry Bermę, i odkryje mi ją z pewnością; w odpowiedzi na jego pytanie, miałem go prosić, aby mi powiedział, na czym polega ta prawda; tym samym usprawiedliwiłby moją uprzednią żądzą oglądania tej aktorki. Miałem tylko chwilę czasu, trzeba było skorzystać z niej i skierować wywiad na zasadnicze punkty. Ale które?

⁸snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

⁹w przytomności (daw.) — tu: w obecności. [przypis edytorski]

Skupiając całkowicie uwagę na swoich tak mętnych wrażeniach, nie siląc się bynajmniej olśnić pana de Norpois, lecz raczej uzyskać od niego upragnioną prawdę, nie starałem się zastąpić słów, których mi brakowało, gotowymi zwrotami; belkotałem coś i w końcu, aby tym skuteczniej wydobyć zeń, co w Bermie jest cudowne, wyznałem, że doznałem zawodu.

— Jak to — wykrzyknął ojciec, niekontent z ujemnego wrażenia, jakie wyznanie mojej niekompetencji może sprawić na panu de Norpois — jak możesz mówić, żeś nie czuł przyjemności! Babka opowiadała nam, żeś nie uronił ani słowa z roli Bermy, żeś wybałuszał na nią oczy, i że ty jeden zachowywałeś się tak w całej sali.

— Ależ tak, słuchałem, ile tylko mogłem, aby zbadać, co w niej jest tak nadzwyczajnego. Niewątpliwie, jest bardzo dobra...

— Jeżeli jest bardzo dobra, czegoż ci trzeba więcej?

— Jedną z rzeczy, które niewątpliwie przyczyniają się do sukcesu pani Berma — rzekł pan de Norpois, zwracając się dwornie do matki, aby jej nie zostawiać poza nawiasem i aby sumiennie dopełnić obowiązków grzeczności wobec gospodyni domu — jest doskonały smak, jaki wkłada w wybór swoich ról, co jej zawsze przynosi rzetelny i dobrze zasłużony sukces. Rzadko grywa w rzeczach miernych. Ot, i teraz zmierzyła się z rolą Fedry. Zresztą, ten sam smak wkłada w swoje tualety, w sposób gry. Mimo że odbywała częste i lukratywne tournée po Anglii i Ameryce, pospolitość, nie powiem Johna Bulla, co byłoby niesprawiedliwe, przynajmniej dla Anglii wiktoriańskiej, ale wujaszka Sama, nie przyłgnęła do niej. Nigdy zbyt jaskrawych barw, przesadnych krzyków. A przy tym ten cudowny głos, którym włada z takim kunsztem i którym posługuje się tak czarująco, byłbym niemal skłonny powiedzieć — muzycznie!

Moje zainteresowanie grą Bermy wzrastało nieustannie od czasu, jak przedstawienie się skończyło, bo nie podlegało już uciskowi i granicom rzeczywistości; ale czułem potrzebę znalezienia dla niego motywów; co więcej, podczas gdy Berma grała, kierowało się ono równie żarliwie na wszystko, co ona, siłą niepodzielności życia, dawała moim oczom, moim uszom; nie oddzielałem i nie wyróżniałem nic; toteż szczęśliwy byłem, że znajduję racjonalną przyczynę w pochwałach pana de Norpois oddanych prostocie, dobremu smakowi artystki. Zainteresowanie moje przyciągało te pochwały ku sobie całą siłą swej absorpcji, zagarniało je tak, jak optymizm pijanego zagarnia uczynki sąsiada, w których znajduje powód do rozczuleń. „To prawda — powiadałem sobie — co za piękny głos, co za brak wszelkiego krzyku, co za prostota stroju, co za inteligencja w wyborze Fedry! Nie, nie zawiodłem się”.

Zjawiała się zimna wołowina z marchewką, ułożona przez Michała Anioła naszej kuchni na ogromnych płatach auszpiku, podobnych przezroczystym blokom kryształu.

— Ma pani kuchmistrza zupełnie bezkonkurencyjnego — rzekł pan de Norpois. — A to nie jest rzecz błaha. Ja, który musiałem prowadzić zagranicą dom na pewnej stopie, wiem, jak jest czasem trudno znaleźć autentycznego wirtuoza patelni. Ależ to prawdziwa biesiada, to, czym nas pani dziś raczy.

W istocie, Franciszka, podniecona ambicją popisania się wobec niezwykłego gościa obiadem nareszcie najeżonym godnymi jej trudnościami, zadała sobie trud, jakiego nie zadawała już sobie dla nas; odnalazła swoje niezrównane sekrety z Combray.

— Oto czego nie można dostać w garkuchni (mam na myśli pierwszorzędne): zraz wołowiny, przy której auszpiku nie byłoby czuć klejem i gdzie mięso przesiąkło zapachem marchewki, to cudowne! Pozwoli mi pani powtórzyć — dodał, robiąc znak, że chce dobrać auszpiku. — Byłbym teraz ciekaw osądzić tego artystę przy daniu zupełnie odmiennym, ujrzeć go na przykład mierzącego się z *boeuf à la Stroganoff*!

Aby się również opodatkować na rzecz uroków obiadu, pan de Norpois poczęstował nas historyjkami, którymi raczył obficie swoich kolegów po fachu, to cytując jakiś pocieszny zwrot, użyty przez męża stanu uprawiającego długie zdania i mętne obrazy, to jakąś lapidarną formułę dyplomaty pełnego attycyzmu. Ale, prawdę mówiąc, kryterium, wedle którego pan de Norpois rozróżniał te dwa rodzaje powiedzeń, nie było w niczym podobne do tych, które stosowałem w literaturze. Wiele odcieni umykało mi się; powiedzenia, które pan de Norpois cytował, parszkając śmiechem, nie wydawały mi się zbyt różne od tych, które przytaczał jako niepospolite. Należał do typu ludzi, którzy na moje ulubione utwory powiedzieliby: „Zatem pan to rozumie? Co do mnie, przyznaję się, że nie rozumiem nic, nie należę do wtajemniczonych”; ale ja mógłbym mu odpłacić tym

samym; nie chwyciłem dowcipu lub głupoty, lapidarności lub pustki, które on znajdował w jakiejś replce czy przemówieniu. Brak wszelkiej uchwytnej racji, czemu jedno jest złe, a drugie dobre, sprawiał, że ten rodzaj literatury był dla mnie bardziej tajemniczy, ciemniejszy niż jakikolwiek inny. Pojmowałem jedynie, że powtarzać to, co wszyscy myślą, nie jest w polityce oznaką niższości, lecz wyższości. Kiedy pan de Norpois posługiwał się pewnymi wyświechtanymi po dziennikach zwrotami i wygłaszał je z siłą, czuć było, że przez to samo, iż on ich użył, nabierają one wagi czynu, i to czynu, który wywoła komentarze.

Matka liczyła bardzo na sałatę z ananasów i truflii. Ale ambasador, skierowawszy przez chwilę na tę potrawę bystre oko obserwatora, jadł spowity w dyplomatyczną dyskrecję i nie zdradził nam swojej myśli. Matka nalegała, aby dobrał, co też pan de Norpois uczynił, ale powiadając jedynie, w miejsce spodziewanego komplementu:

— Jestem posłuszny, pani, skoro widzę, że to jest prawdziwy „ukaz¹⁰” z jej strony.

— Czytaliśmy w „organach opinii”, że pan długo rozmawiał z królem Teodozjuszem — rzekł ojciec.

— W istocie, król, który ma rzadką pamięć fizjonomii, był tak łaskaw, widząc mnie w fotelach w teatrze, przypomnieć sobie, iż miałem zaszczyt widywać go przez szereg dni na dworze bawarskim, kiedy nie myślał o swoim wschodnim tronie (wiadomo panu, że go nań powołał kongres europejski i że król nawet bardzo się wahał z przyjęciem, uważając ten tron za niezupełnie odpowiadający jego rodowi, najszlachetniejszemu — biorąc heraldycznie — w całej Europie). Adiutant przyszedł mi oznajmić, abym pośpieszył przedłożyć swoje służby jego królewskiej mości, któremu to rozkazowi skwapliwie uczyniłem zadość.

— Czy był pan kontent z wyników pobytu króla?

— Zachwycony! Wolno było mieć niejaki obawy co do sposobu, w jaki tak młody jeszcze monarcha wywiąże się z trudnej sytuacji, zwłaszcza w tak delikatnej konfiguracji. Co do mnie, pokładałem pełne zaufanie w politycznym zmyśle młodego suwerena. Ale wyznaję, że przeszedł moje oczekiwania. Toast, który wygłosił w Elizeum i który, wedle informacji z miarodajnego źródła, jest od pierwszego do ostatniego słowa jego dziełem, był w pełnej mierze godny zainteresowania, jakie wszędzie obudził. To było po prostu mistrzowskie posunięcie; nieco śmiałe, przynajmniej chętnie, ale ostatecznie wypadki w pełni usprawiedliwiły tę śmiałość. Dyplomatyczne tradycje mają swoje zalety, ale w tym wypadku stworzyły one w końcu między jego a naszym krajem atmosferę duszną, w której niepodobna było oddychać. Otóż, jednym ze sposobów odświeżenia powietrza (oczywiście sposobem, którego nie można zalecać, ale na który król Teodozjusz mógł sobie pozwolić), jest stłuc szyby. I zrobił to z humorem, który oczarował wszystkich, i z celnością słowa, nieomylnie zdradzającą ową kulturalną rasę dynastii, do której król Teodozjusz należy przez matkę. To pewna, że kiedy mówił o „powinowactwach”, łączących jego kraj z Francją, wyrażenie to, choć mało używane w słowniku dyplomatycznym, okazało się niezwykle szczęśliwe. Widzi pan, że literatura nie przeszkadza, nawet w dyplomacji, nawet na tronie — dodał pan de Norpois, zwracając się do mnie. — Sama rzecz, przynajmniej to, była skonstatowana od dawna i stosunki między dwoma mocarstwami stały się doskonałe. Ale trzeba było to powiedzieć. Oczekiwano tego słowa; wybrane było cudownie i widzieliście państwo, jaki znalazło oddźwięk. Co się mnie tyczy, oklaskiwałem je ze wszystkich sił.

— Przyjacieli pański, pan de Vaugoubert, który przygotowywał od lat to zbliżenie, musiał być rad.

— Tym więcej, że jego królewska mość, dość świadom tych okoliczności, pragnął mu zrobić niespodziankę. Niespodzianka ta była zresztą zupełna dla wszystkich, począwszy od ministra spraw zagranicznych, któremu (wedle tego, co mi powiadano) nie przypadła ona do smaku. Komuś, kto go o to zagadnął, minister odpowiedział wręcz, dość głośno, aby sąsiednie osoby mogły słyszeć: „Ani się mnie nie radzono, ani mnie nie uprzedzono”, wskazując jasno, że się uchyla od wszelkiej odpowiedzialności w tej mierze. Trzeba przyznać, że incydent narobił ładnego hałasu, i nie śmiałybym twierdzić — dodał pan de Norpois ze złośliwym uśmiechem — czy ci z moich kolegów, dla których najwyższym

¹⁰ukaz (z ros.) — rozporządzenie. [przypis edytorski]

prawem zdaje się być prawo najmniejszego wysiłku, nie uczyli się zakłóceni w swojej inercji. Co się tyczy Vaugouberta, czy pan wie, że on był bardzo atakowany za swoją politykę zbliżenia z Francją i musiał cierpieć nad tym, ile że to jest człowiek bardzo wrażliwy, najtkliwsze serce. Mogę o tym zaświadczyć lepiej niż ktokolwiek, bo mimo że jest ode mnie młodszy, i to znacznie, stykałem się z nim często, jesteśmy starymi przyjaciółmi, znam go dobrze. Zresztą, któż by go nie znał? To kryształ. To nawet jedyna wada, jakiej by się w nim można dopatrzeć; bo nie jest konieczne, aby serce dyplomaty było aż tak przezroczyście. To nie przeszkadza, że mówią o wysłaniu go do Rzymu, co stanowi nie tylko piękny awans, ale i ciężki orzech do zgryzienia. Mówiąc między nami, sądzę, że Vaugoubert, mimo iż tak wyzuty z ambicji, byłby z tego bardzo rad i nie żąda wcale, aby od niego oddalono ten kielich. Dokaże tam może cudów; jest kandydatem Consulty; co do mnie, widzę go bardzo dobrze, z jego artystyczną naturą, w ramie pałacu Farnese i galerii Carraccia. Zdawałoby się, że przynajmniej nikt nie powinien go nienawidzić; ale jest koło króla Teodozjusza cała kamaryła mniej lub więcej zaprzędana w lenno Wilhelmstrasse, strzegąca posłusznie płynących stamtąd inspiracji, starająca się na wszelkie sposoby szyc naszemu przyjacielowi buty. Vaugoubert miał przeciwko sobie nie tylko intrygi kularowe, ale zniewagi najemnych pismaków, którzy później, nikczemni jak każdy płatny skryba, wywiesili białą chorągiew, wprzód nie wahając się wytaczać przeciw naszemu przedstawicielowi bezmyślnych oskarżeń, godnych ludzi z rynsztoka. W ciągu wielu miesięcy wrogowie Vaugouberta tańczyli dookoła niego taniec skalpu — rzekł pan de Norpois, akcentując z siłą to ostatnie słowo. — Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże; Vaugoubert odtrącił te obelgi kopnięciem nogi — dodał ambasador jeszcze energiczniej i ze spojrzaniem tak srogim, że na chwilę przestaliśmy jeść. — Jak powiada piękne przysłowie arabskie: „Psy szczekają, karawana idzie dalej”...

Wyrzuciwszy ten cytat, pan de Norpois zatrzymał się, aby spojrzeć na nas i ocenić wrażenie. Wrażenie było wielkie; znaliśmy to przysłowie. Zastąpiło ono tego roku u ludzi miarodajnych owo drugie: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”, które potrzebowało nieco wypocząć, nie mając tak niestrudzonej żywotności jak to: „Pracować dla króla Prus”. Bo kultura owych znamienitych ludzi była gospodarką płodozmienną, przeważnie trójpolową. Zapewne, cytaty tego rodzaju, którymi pan de Norpois umiał jak nikt okraszać swoje enuncjacje w „Revue des Deux Mondes”, nie były nieodzowną rękojmą solidności i dobrej informacji tych artykułów. Nawet bez tej okraszy wystarczyło, aby pan de Norpois napisał we właściwym momencie (czego nie zaniedbał nigdy): „Gabinet Saint-James nie ostatni zrozumiał niebezpieczeństwo” albo: „Poruszenie było wielkie na Pont-aux-Chartrés, gdzie niespokojnym okiem śledzono samolubną, ale zręczną politykę dwugłowej monarchii”, albo „Krzyk na alarm rozległ się z Montecitorio”, lub wreszcie: „Owa wiekusta podwójna gra, najzupełniej w stylu Ballplatz”. Po tych wyrażeniach profan poznawał natychmiast zawodowego dyplomata i oddawał mu pokłon. Ale opinię człowieka będącego czymś więcej niż dyplomata, człowieka o wyższej kulturze, stworzyło panu de Norpois umiejętne posługiwanie się cytatami, których idealnym wzorem był wówczas taki aforyzm: „Róbcie dobrą politykę, a ja wam będę robił dobre finanse, jak zwykł był mawiać baron Louis”. (Jeszcze nie sprowadzono ze Wschodu tego: „Zwycięstwo przypada temu z przeciwników, który umie cierpieć kwadrans dłużej, jak powiadają Japończycy”.) Ta reputacja człowieka wielkiej kultury, połączona z prawdziwym geniuszem intrygi, ukrytym pod maską obojętności, wprowadziła pana de Norpois do Akademii Nauk Politycznych. I pewne osoby myślały nawet, że nie byłby nie na miejscu w Akademii Francuskiej, w dniu, kiedy, chcąc wskazać, iż, zacieśniając sojusz z Rosją, zdołamy dojść do porozumienia z Anglią, pan de Norpois nie zawahał się napisać: „Niechaj to dobrze wiedzą na Quai d’Orsay, niech tego odtąd uczą we wszystkich podręcznikach geografii, bardzo pod tym względem zacofanych, niech palą bezlitośnie przy maturze każdego kandydata, który nie będzie umiał powiedzieć: »O ile wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, w zamian za to droga, wiodąca z Paryża do Londynu, idzie nieodzownie przez Petersburg«”.

— *Summa summarum* — ciągnął pan de Norpois, zwracając się do mego ojca — Vaugoubert uszczknął sobie w tej okoliczności ładny sukces, przechodzący nawet jego uzasadnione nadzieje. Spodziewał się w istocie toastu poprawnego (co, zważywszy chmury tych ostatnich lat, byłoby już bardzo piękne), ale nic więcej. Wiele osób upewniało mnie, że niepodobna, czytając ten toast, zdać sobie sprawę z wrażenia, jakie sprawił, wy-

głoszony i znakomicie wypunktowany przez króla, który jest mistrzem wypowiedzenia i który mówiąc, podkreślał wszystkie intencje, wszystkie finezje. Opowiadano mi przy tej sposobności fakt dosyć pikantny, który jeszcze jeden raz więcej uwydatnia w królu Teodozjuszu ów młodzieńczy wdzięk, jednający mu wszystkie serca. Upewniano mnie, że właśnie przy tym słowie „powinowactwa”, które było w rezultacie olbrzymim nowatorstwem i które będzie jeszcze długo (zobaczy pan) przedmiotem dyplomatycznych komentarzy, jego królewska mość, przewidując radość naszego ambasadora, który miał w tym znaleźć zasłużone uwienczenie swoich wysiłków, można powiedzieć swoich marzeń, swoją, aby rzec wszystko, buławę marszałkowską, obrócił się w stronę Vaugouberta i wlepiając w niego owo tak ujmujące spojrzenie Oettingenów, podkreślił to tak dobrze wybrane słowo „powinowactwa”, słowo stanowiące prawdziwą rewelację, tonem, który powiadał wszystkim, że użyto tego słowa bardzo świadomie i z pełną odpowiedzialnością. Zdaje się, że Vaugoubert ledwie mógł pohamować wzruszenie i do pewnego stopnia przyznając, że go rozumiem. Osoba ze wszech miar wiarygodna powiedziała mi w zaufaniu, że król zbliżył się do Vaugouberta po obiedzie, kiedy jego królewska mość odbywał *cercle*, i jakoby miał mu powiedzieć półgłosem: „Czy jesteś rad ze swego ucznia, drogi margrabio?”.

— To pewna — zakonkludował pan de Norpois — że podobny toast zdziałał więcej niż dwadzieścia lat rokowań dla zbliżenia dwóch krajów, ich „powinowactw”, wedle malowniczego wyrażenia Teodozjusza II. To jest, mógłby ktoś powiedzieć, tylko słowo, ale widzi pan, jaką karierę zrobiło, jak cała europejska prasa powtarza je, jakie zainteresowanie budzi, jaki nowy dźwięk wydało. Jest zresztą bardzo w stylu tego monarchy. Nie posunę się tak daleko, aby twierdzić, że on co dnia znajduje diamenty tak czystej wody. Ale rzadkie jest, aby w swoich mowach obmyślanych, a jeszcze bardziej w improwizacji swobodnej rozmowy, nie wykazał się jakimś brawurowym powiedzeniem, omal nie rzekłem: nie położył pod nim swojego podpisu. Tym mniej można mnie podejrzewać o stronniczość, ile że jestem wrogiem wszelkich tego rodzaju innowacji. Dziewięć razy na dziesięć są one niebezpieczne.

— Tak, myślałem sobie, że świeży telegram cesarza Niemiec nie musiał być w pańskim guście — rzekł ojciec.

Pan de Norpois podniósł oczy do nieba, jakby mówił: „Och! ten...”.

— Po pierwsze — rzekł — to jest akt niewdzięczności. To więcej niż zbrodnia: to błąd i głupota, którą nazwałbym piramidalną! Zresztą, jeżeli nikt tu nie powie: „hola!”, człowiek, który wypędził Bismarcka, bardzo jest zdolny odtrącić stopniowo całą politykę bismarkowską, a wówczas to jest skok w nieznaną.

— Mąż mówił mi, panie ambasadorze, że pan go może porwie gdzieś na wybrzeża Hiszpanii; bardzo jestem szczęśliwa za niego.

— Ależ tak, to uroczy projekt, na który serdecznie się cieszę. Bardzo bym rad odbyć z panem tę podróż, drogi kolego. A łaskawa pani czy już myślała, jak spędzić wakacje?

— Pojadę może z synem do Balbec, nie wiem jeszcze.

— O, Balbec jest miłe, bawiłem tam przelotnie przed paru laty. Zaczynają tam budować wille bardzo eleganckie; sądzę, że okolica spodoba się pani. Ale wolno mi spytać, co skierowało pani wybór na Balbec?

— Syn ma wielką ochotę zobaczyć niektóre tamtejsze kościoły, zwłaszcza kościół w samym Balbec. Bałam się trochę dla niego niewygód podróży, a zwłaszcza pobytu. Ale dowiedziałam się, że zbudowano tam wyborny hotel, co mu pozwoli spędzić czas w warunkach pewnego komfortu, jakich wymaga jego zdrowie.

— A! muszę się podzielić tą informacją z pewną osobą, która nie puści jej pewnie mimo uszu.

— Kościół w Balbec jest cudowny, proszę pana? — spytałem, przewyciężając smutek, jakim przejęła mnie wiadomość, że jednym z uroków Ballbec są eleganckie wille.

— Nie; niebrzydki jest, ale ostatecznie nie może wytrzymać porównania z istic jubilerską robotą takiej katedry w Reims, w Chartres i (na mój smak) perły wśród wszystkich, Sainte-Chapelle w Paryżu.

— Ale kościół w Balbec jest po części romański?

— W istocie, jest w stylu romańskim, który już sam przez się jest raczej zimny i niczym nie zapowiada wykwintu i fantazji architektów gotyckich, umięjących wystrzygać

kamień jak koronkę. Kościół w Balbec wart jest zwiedzenia, o ile ktoś bawi w tamtych stronach; jest dosyć ciekawy; jeżeli któregoś dżdżystego dnia nie będzie pan miał nic do roboty, może pan tam zajść, zobaczy pan grobowiec Tourville'a.

— Czy pan był wczoraj na bankiecie Spraw Zagranicznych? Ja nie mogłem iść — spytał ojciec.

— Nie — odparł pan de Norpois z uśmiechem — wyznaję, że poniechałem go dla wieczoru o dość odmiennym charakterze. Byłem na obiedzie u kobiety, o której pan może słyszał: u pięknej pani Swann.

Matka powstrzymała wzdrygnięcie się, wrażliwość jej bowiem, bardziej chyża, niepokoiła się za ojca o wszystko, co jego miało osiągnąć aż w chwilę potem. Przykrości, które go spotykały, odczuwała wprzód, niby owe złe nowiny z Francji wcześniej znane za granicą niż u nas. Ale ciekawa, jakiego rodzaju osoby Swannowie mogą przyjmować, spytała pana de Norpois, kogo tam spotkał.

— Mój Boże, to jest dom, gdzie bywają zwłaszcza... panowie. Było tam kilku mężczyzn żonatych, ale żony ich były tego wieczora cierpiące i nie przyszły — odparł z dobroduszną finezją ambasador, rzucając dokoła spojrzenia, których spokój i dyskrecja niby to łagodziły, a w gruncie podkreślały złośliwość.

— Muszę dodać — rzekł — aby być zupełnie sprawiedliwym, że bywają tam i kobiety, ale... należące... jakby to powiedzieć, raczej do świata republikańskiego niż do świata Swanna — (ambasador wymawiał: *Suann*). — Kto wie? to będzie może kiedyś salon polityczny albo literacki. Zresztą zdaje się, że oni są zadowoleni. Uważam, że Swann nawet to zbyt okazuje. Wymieniał ludzi, do których oboje z żoną zaproszeni są w przyszłym tygodniu, a z których zażyłości nie ma powodu się chlubić; i czynił to z brakiem miary, smaku, niemal taktu, który mnie zdziwił u człowieka tak subtelного. Powtarzał: „Nie mamy ani jednego wieczoru wolnego”, jakby to była chluba, i jak prawdziwy parweniusz, którym przecież nie jest. Bo Swann miał wielu przyjaciół, nawet przyjaciółek, i nie posuwając się za daleko, ani pragnąc popełniać niedyskrecję, mogę powiedzieć, że nie wszystkie, ani większość z nich, ale co najmniej jedna, bardzo wielka dama, nie byłaby może całkowicie oporna ewentualności nawiązania stosunków z panią Swann, w którym to wypadku niejedna z owiec Panurga poszłaby za nią. Ale zdaje się, że nie było ze strony Swanna ani nawet próby usiłowań w tym kierunku. Jak to! jeszcze pudding *à la Nesselrode*! To grozi Karlsbadem, jako ekspiacją za taką ucztę Lukullusa! Może Swann uczuł, że trzeba by zwalczyć za wiele trudności. Małżeństwo jego, to fakt, nie zyskało uznania. Mówiono o majątku żony, co jest oczywiście brednia. Ale w sumie, wszystko to nie wydało się przyjemne. A potem Swann ma ciotkę, nadzwyczaj bogatą i znakomicie ustosunkowaną, żonę człowieka, który, biorąc finansowo, jest potęgą. I nie tylko ta ciotka odmówiła przyjmowania pani Swann, ale podjęła formalną kampanię, aby jej przyjaciółki i znajome zrobiły toż samo. Nie chcę przez to powiedzieć, aby którykolwiek prawdziwy paryżanin uchybił kiedy pani Swann... Nie! po sto razy nie! Zresztą, mąż jest człowiekiem, który by podjął rzuconą rękawiczkę. W każdym razie ciekawym zjawiskiem jest, jak dalece Swann, który ma tyle stosunków i to najwyborniejszych, zabiega o towarzystwo, o którym najmniej, co można by powiedzieć, to, że jest bardzo mieszane. Ja, który znałem go niegdyś, wyznaję, że z równym zdziwieniem jak zabawą patrzę na człowieka tak dobrze wychowanego, tak dobrze widzianego w koteriach najbardziej przesianych przez sito, który dziękuje gorąco szefowi gabinetu ministra poczty za to, że przyszedł do nich, i pyta go, czy pani Swann *wolno będzie* odwiedzić jego żonę! Musi przecież czuć się tam obco: jasna rzecz, że to nie jest ten sam świat. Nie zdaje mi się jednak, aby Swann był nieszczęśliwy. Były, to prawda, w latach poprzedzających jego małżeństwo, próby dość brzydkiego szantażu ze strony jego żony; pozbawiała Swanna widoku córki, ilekroć jej czegoś odmawiała. Biedny Swann, równie naiwny, jak jest skądinąd rafinowany, uważał za każdym razem zniknięcie córki za przypadek, nie chciał widzieć rzeczywistości. Pani Odeta robiła mu przy tym sceny tak ustawiczne, że zdawało się, iż w dniu, gdy osiągnie wreszcie swój cel i doprowadzi Swanna do małżeństwa, nie będzie już miała żadnego hamulca i życie ich stanie się piekłem. I ot! stało się zupełnie przeciwnie. Ludzie żartują sobie ze sposobu, w jaki Swann mówi o żonie, ostrzą sobie języki na nim. Nie spodziewano się, rzecz prosta, aby Swann, nawet mniej lub więcej świadomy, że jest... (znacie państwo termin Moliera), proklamował to *urbi et orbi*; co nie przeszkadza, że wydaje

się przesadą, kiedy ten mąż głosi, iż jego połowica jest wyborną żoną. Otóż to nie jest tak dalekie od prawdy, jak by ktoś mógł mniemać. Na swój sposób (nie jest to sposób, jakiego by sobie życzyli wszyscy mężowie, ale ostatecznie, mówiąc między nami, wydaje mi się trudne, aby Swann, który znał Odetę od dawna i który wcale nie jest dudkiem, nie wiedział, co ma o tym sądzić), na swój zatem sposób, nie ulega wątpliwości, że ona jest do niego przywiązana. Nie mówię, aby nie miała swoich awanturek, i Swann też ich sobie nie odmawia, o ile wierzyć zacnym językom, które (możecie państwo zgadnąć) nie próżnują. Ale ona mu jest wdzięczna za to, co dla niej zrobił i, na wspaniałe obawom całego świata, zdaje się, że się stała istotą anielskiej słodyczy.

Zmiana ta nie była równie niezwykła, jak mniemał pan de Norpois. Odeta nie przypuszczała, że się z nią Swann w końcu ożeni; za każdym razem, kiedy mu oznajmiała dyplomatycznie, że jakiś dystyngowany człowiek zaślubił swoją kochankę, widziała, że Swann zachowuje lodowate milczenie. Co najwyżej, kiedy go zagadnęła wprost, mówiąc: „Więc ty nie uważasz, że to bardzo dobrze, bardzo pięknie, to co on zrobił dla kobiety, która mu poświęciła młodość?” — Swann odpowiadał sucho: „Ależ ja wcale nie mówię, że to jest źle; każdy robi, co uważa za właściwe”. Odeta nie była nawet daleka od przypuszczenia, że, jak jej to Swann powtarzał w momentach gniewu, porzuci ją zupełnie. Słyszała bowiem niedawno, jak pewna rzeźbiarka mówiła: „Można się wszystkiego spodziewać po mężczyznach, to takie chamy”, i Odeta, uderzona głębią tej pesymistycznej maksymy, przyswoiła ją sobie, powtarzała ją przy każdej sposobności z miną zrezygnowaną, która zdawała się mówić: „Ostatecznie, nie ma w tym nic niemożliwego, takie moje szczęście”. Tym samym straciła dla Odety wszelką wartość optymistyczna maksymy, przyświecająca jej dotąd: „Wszystko można zrobić z mężczyzną który kocha, to tacy idioci!”. Myśl ta wyrażała się na jej twarzy przymrużeniem oczu, które mogłoby towarzyszyć wyrazom np. takim: „Nie bójcie się, nic nie potłucze”.

Na razie Odeta cierpiała, myśląc, co jakaś przyjaciółka, zostawszy żoną człowieka, który żył z nią krócej niż ona ze Swannem i który nie miał z nią dziecka, obecnie (o tyle, o ile) poważana, zapraszana na bale do prezydenta Republiki, musi myśleć o postępowaniu Swanna. Diagnosta głębszy od pana de Norpois poznałby z pewnością, że właśnie to poczucie upokorzenia i wstydu skwasilo Odetę; że ten piekielny charakter nie był jej wrodzony, że nie był złem bez ratunku. Ten diagnosta przepowiedziałby z łatwością to, co się stało; mianowicie, że nowy ustrój, ustrój matrymonialny, z magiczną niemal szybkością położy koniec owym zjawiskom przykrym, codziennym, ale zgoła nie organicznym.

Prawie wszyscy dziwili się temu małżeństwu, i to jest właśnie zadziwiające. Bez wątpienia, mało kto rozumie na wskroś subiektywny charakter zjawiska, jakim jest miłość, stwarzająca jak gdyby nową osobę, różną od tej, która w świecie nosi to samo nazwisko. Większość składników tej nowej osoby czerpiemy z siebie samych. Toteż mało komu mogą się wydać naturalne olbrzymie proporcje, jakie przybiera w końcu dla nas istota niebędąca tą samą, którą widzą oni. Mimo to, co się tyczy Odety, można było sobie zdać sprawę z tego, że o ile — rzecz prosta — nigdy nie pojęła całkowicie inteligencji Swanna, znała bodaj tytuły i szczegóły jego prac, tak że nazwisko *Ver Meer* było jej tak poufale jak nazwisko własnego krawca; znała w Swannie do gruntu owe cechy charakteru, których reszta świata nie zna albo je ośmiesza, a których podobny i kochany obraz posiada jedynie kochanka lub siostra; my zaś tak jesteśmy przywiązani do owych cech, nawet do tych, z których najbardziej chcielibyśmy się poprawić! Przez to, że kobieta przyzwyczaja się do nich w końcu, odnosząc się do nich w sposób pobłażliwy i przyjacielsko drwiący, podobny do sposobu, w jaki my traktujemy samych siebie i w jaki traktują nas rodzice, takie dawne stosunki mają coś ze słodyczy i z siły przywiązań rodzinnych. Więzy łączące nas z jakąś istotą, uświęca to, że owa istota, sądząc nasze przywary, staje na tym samym punkcie, co my sami. Pomiędzy swoistymi rysami Swanna, niektóre wynikały tyleż z jego inteligencji, co z charakteru, i te właśnie, dlatego że mimo wszystko tkwiły w charakterze, Odeta zrozumiała łatwiej. Skarżyła się, że kiedy Swann występuje jako pisarz, kiedy ogłasza swoje studia, nie odnajduje się tych rysów, jak w jego listach lub w rozmowie, gdzie ich było pełno. Radziła mu, aby im dał więcej miejsca. Pragnęłaby tego, bo to były rysy, które w nim lubiła; ale, ponieważ je lubiła dlatego, że były bardziej jego własne, może miała rację, pragnąc, aby się wyrażały w tym, co on pisze. Może też sądziła, że

utwory bardziej żywe, dając wreszcie Swannowi sukces, pozwolą jej stworzyć sobie to, co nauczyła się u Verdurinów cenić ponad wszystko: salon.

Pomiędzy ludźmi, którym takie małżeństwo wydawało się śmieszne, ludźmi, którzy, myśląc o samych sobie, zapytywali się: „Co pomyśli pan de Guermites, co powie Bréauté, kiedy zaślubię pannę de Montmorency?” — pomiędzy ludźmi mającymi ten typ socjalnego ideału, byłby się dwadzieścia lat wprzód znalazł sam Swann; Swann, który zadał sobie tyle trudów, aby wejść do Jockey Clubu, i który liczył w owym czasie na świetne małżeństwo, zdolne, umacniając jego sytuację, uczynić go jedną z najbardziej znanych osobistości paryskich. Ale obrazy, jakie oczom zainteresowanego nastręcza takie małżeństwo, aby nie zmarnieć i nie zatrzeć się, potrzebują jak wszystkie obrazy — podniety z zewnątrz. Najwyższym waszym pragnieniem jest upokorzyć człowieka, który was zniewał. Ale jeżeli, osiadłszy w innym kraju, nie będziecie już nigdy słyszeli o nim, wróg ten przestanie mieć w końcu dla was wszelkie znaczenie. Jeżeli w ciągu dwudziestu lat straciło się z oczu wszystkie osoby, z powodu których chciałoby się być członkiem Jockey Clubu lub Instytutu, perspektywa dostania się do jednego z tych ugrupowań zupełnie przestanie być kusząca. Otóż, tak samo jak przejście w stan spoczynku, jak choroba, nawrócenie, tak samo długi stosunek z kobietą zastępuje dawne obrazy nowymi. Kiedy Swann zaślubił Odetę, nie było to z jego strony wyrzeczeniem się światowych ambicji, bo od dawna Odeta — w duchowym znaczeniu słowa — oderwała go od tych ambicji. Zresztą, gdyby nawet tak się nie stało, Swann miałby tylko większą zasługę. Takie hańbiące małżeństwa, dlatego właśnie, że dla słodczy czysto poufnych każą nam rezygnować z mniej lub więcej pochlebnej sytuacji życiowej, są najgodniejsze szacunku. (Nie można za małżeństwo hańbiące uważać małżeństwa dla pieniędzy, bo nie było przykładu związku, w którym żona albo mąż się sprzedali, aby w końcu świat nie zaczął przyjmować ich, choćby z tradycji i na wiarę tylu przykładów, i aby nie mieć dwóch wag i dwóch miar).

Może skądinąd, przez zmysł artysty, jeżeli nie przez rozpustę duchową, Swann byłby w każdym wypadku znajdował pewną rozkosz w tym, aby się sparzyć — w jednym z krzyżowań uprawianych przez *mendelistów* lub znanych z mitologii — z istotą odmiennej rasy, arcyksiężniczką lub kokotą; wejść w parantele królewskie lub popełnić megalians. Była w świecie jedna jedyna osoba, o której myślał za każdym razem, gdy rozważał możliwość związku z Odetą; była to — i nie przez snobizm — księżna Oriana de Guermites. Przeciwnie, Odeta dbała o księżnę bardzo mało, myśląc jedynie o ludziach położonych bezpośrednio wyżej, nie zaś żyjących w tak mglistym empireum. Ale kiedy Swann w godzinach dumań widział Odetę jako swoją żonę, nieodmiennie wyobrażał sobie chwilę, gdy ją zaprowadzi — ją, a zwłaszcza swoją córkę — do księżnej des Laumes, która niebawem, wskutek śmierci teścia, stała się diuszessą de Guermites. Nie pragnął ich wprowadzić gdzie indziej, ale rozczulał się, kiedy sobie roił (dobierając nawet słów) wszystko, co księżna powie o nim Odecie, a Odeta pani de Guermites; czułość, jaką księżna okaże Gilberte, rozpieszczając ją, czyniąc go dumnym ze swojej córki. Odgrywał sam przed sobą scenę prezentacji z tą samą ścisłością urojonych szczegółów, jaką mają ludzie rozważający, jak by w razie wygranej zużyli sumę, której wysokość oznaczają do woli.

W tej mierze, w jakiej obraz towarzyszący naszemu postanowieniu motywuje je, można powiedzieć, że, jeżeli Swann ożenił się z Odetą, to dlatego, aby ją i Gilbertę przedstawić księżnej de Guermites — choćby przy tym nikogo miało nie być, choćby nawet nikt nigdy nie miał się dowiedzieć o tym. Ujrzymy, iż ta jedyna światowa ambicja, jaką żywił dla żony i córki, była właśnie tą, której ziszczenia mu odmówiono, i to tak absolutnie, że Swann umarł, nie przypuszczając, aby księżna Oriana miała kiedykolwiek poznać jego panie. Ujrzymy też, iż przeciwnie, pani de Guermites zbliżyła się z Odetą i Gilbertą po śmierci Swanna. I może Swann okazałby rozsądek — w przypuszczeniu, że mógłby przykładać wagę do tak błahej rzeczy — nie widząc przyszłości zbyt czarno w tej mierze i wierząc, iż upragnione spotkanie może nastąpić wówczas, gdy on już nie będzie się nim mógł cieszyć. Działanie przyczynowości, wydające w końcu mniej więcej wszystkie możliwe następstwa, tym samym i te, które byśmy uważali za najmniej możliwe, działanie to jest czasem powolne — powolniejsze nieco wskutek naszych pragnień, które, starając się je przyspieszyć, hamują je przez fakt samego naszego istnienia — i ziszcza je dopiero wówczas, kiedy przestaliśmy pragnąć, a niekiedy i żyć. Czyż Swann nie wiedział tego

z doświadczenia i czy — niby przedsmak tego, co się miało zdarzyć po jego śmierci — nie było już w jego życiu szczęściem pośmiertnym małżeństwo z ową Odetą, którą dawniej tak namiętnie kochał — mimo że mu się nie podobała z pierwszego wejrzenia — a którą zaślubił wówczas, gdy jej już nie kochał, kiedy umarła już istota tak rozpaczliwie w Swannie pragnąca przeżyć całe życie z Odetą?

Zacząłem mówić o hrabi Paryża, pytając, czy to prawda, że jest przyjacielem Swanna, tak bardzo obawiałem się, aby rozmowa nie odbiegła od jego osoby.

— Owszem, w istocie — odparł pan de Norpois, zwracając się do mnie i wlepiając w moją skromną osobę błękitne spojrzenie, w którym pływały, niby w swoim osoczu, jego wielka zdatność do pracy i zdolność przystosowania się. — Och, Boże — dodał, zwracając się na nowo do ojca — nie sądzę, abym przekraczał granice szacunku, jaki żywię dla krwi monarszej (mimo iż nie utrzymuję z jego wysokością stosunków osobistych, które utrudniłyby moją sytuację, choćby tak mało oficjalną), cytując panu pewien fakt dość pikantny. Otóż, nie dawniej niż przed czterema laty, na stacyjce kolei żelaznej w jednym z krajów centralnej Europy, jego królewska wysokość miał sposobność ujrzeć panią Swann. Z pewnością nikt z bliskich nie pozwolił sobie pytać jego wysokości, jak mu się wydała. To by nie było przystojne. Ale, ilekroć jakiś traf konwersacji przywodził nazwisko tej osoby, wówczas, po pewnych oznakach (nieostrzegalnych, powiedzmy, ale nieomylnych) jego wysokość zdawał się dość chętnie dawać do zrozumienia, że w sumie wrażenie zgoła nie było niekorzystne.

— Ale czy nie było możliwości przedstawienia jej hrabiemu Paryża? — spytał ojciec.

— Ba! nie wiadomo, z tymi królewietami nigdy nie można wiedzieć — odparł pan de Norpois — najdumniejszy z nich, ci, co najbardziej umieją żądać tego, co się im należy, często najmniej się troszczą o sądy opinii, nawet najsluszniejsze, z chwilą gdy chodzi o to, aby wynagrodzić pewne przywiązanie. Otóż faktem jest, że hrabia Paryża zawsze bardzo łaskawie przyjmował oddanie Swanna, który jest poza tym człowiekiem ze wszech miar inteligentnym.

— A jakie było pańskie wrażenie, panie ambasadorze? — spytała matka przez grzeczność i z ciekawości.

Z energią starego znawcy, odbijającą od zwykłego umiaru w jego sposobie mówienia, pan de Norpois odparł:

— Jak najdotatniejse¹¹!

I wiedząc, że przyznanie się do silnego wrażenia sprawionego przez kobietę stanowi — byle go dopełnić na wesoło — bardzo cenioną formę wdzięku rozmowy, pan de Norpois parsknął lekkim śmiechem, który przeciągnął się przez kilka chwil, wilżąc błękitne oczy starego dyplomaty i wstrząsając skrzydła jego nosa, pocętkowane czerwonymi żyłkami.

— Jest zupełnie czarująca!

— Czy autor nazwiskiem Bergotte był na tym obiedzie, proszę pana? — spytałem nieśmiało, aby zatrzymać rozmowę przy temacie Swannów.

— Owszem, Bergotte był również — odparł pan de Norpois, skłaniając dwornie głowę w moją stronę, jak gdyby, chcąc się okazać uprzejmym dla ojca, przykładał wysoką wagę do wszystkiego, co się z nim łączy, nawet do pytań chłopca w moim wieku, nieprzyzwyczajonego do takiej grzeczności ze strony poważnych osób. — Czy pan go zna? — dodał, wlepiając we mnie owo jasne spojrzenie, którego przenikliwość podziwiał Bismarck.

— Nie zna, ale bardzo podziwia — rzekła matka.

— Mój Boże — rzekł pan de Norpois (co zrodziło we mnie, w przedmiocie własnej inteligencji, obawy poważniejsze niż te, które mną szarpały zazwyczaj, skorom ujrzał, iż to, co ja stawiałem tysiąc tysięcy razy powyżej siebie, com uważał za najwyższe w świecie, znajduje się dla pana de Norpois na najniższym szczeblu drabiny jego podziwu) — nie podzielał tego zapatrywania. Bergotte jest tym, co nazywam wirtuozem na flecie; trzeba zresztą przyznać, że gra przyjemnie, mimo iż z dużą dawką maniery, afektacji. Ale ostatecznie, to jest tylko tyle, i to jest niedużo. W jego dziełach pozbawionych muskułów nigdy nie znajdzie się tego, co można by nazwać kośćcem. Żadnej akcji (albo bardzo mało), ale zwłaszcza żadnego ciężaru gatunkowego. Jego książki grzeszą u podstaw lub

¹¹najdotatniejse — dziś popr.: najbardziej dodatni. [przypis edytorski]

raczej nie mają żadnej podstawy. W epoce takiej jak nasza, gdy rosnąca złożoność życia ledwie zostawia czas na czytanie, gdy mapa Europy doznała głębokich przeobrażeń i jest w przededniu głębszych może jeszcze, gdy tyle nowych i groźnych zagadnień nastęrcza się ze wszystkich stron, przyzna pan, że mamy prawo żądać od pisarza, aby był czymś więcej niż pięknoduchem, dającym nam zapomnieć, w czczych i bizantyńskich dyskusjach nad walorami czystej formy, że nas może z dnia na dzień zalać podwójna fala barbarzyńców, z zewnątrz i od wewnątrz. Wiem, że to znaczy bluźnić przeciw Przenajświętszej Doktrynie tego, co ci panowie nazywają Sztuką dla Sztuki; ale w naszej epoce są zadania pilniejsze niż harmonijne składanie słów. Pan Bergotte robi to dość zgrabnie, nie przeczę; ale w sumie, jest to bardzo mdłe, bardzo wątłe, bardzo niemieckie. Rozumiem teraz lepiej, w związku z pańskim przesadnym podziwem dla pana Bergotte, tych parę stroniczek, które mi pan pokazał przed chwilą. Byłoby zresztą niewłaściwe z mojej strony nie puścić ich w niepamięć, skoro mi pan sam z całą prostotą powiedział, że to są dziecinne próby — (powiedziałem tak w istocie, ale nie myślałem tego ani trochę). — Wszelki grzech winien być odpuszczony, zwłaszcza grzech młodości. Ostatecznie, nie pan jeden masz podobne rzeczy na sumieniu i nie jesteś pan jedyny, który się w pewnych latach uważał za poetę. Ale w tym, co mi pan pokazał, widać zły wpływ Bergotte'a. Oczywiście, nie zdziwię pana, kiedy powiem, że nie ma w pańskiej próbie żadnej z jego zalet, skoro on doszedł do mistrzostwa w sztuce (zupełnie powierzchownej zresztą) pewnego stylu, którego pan, w swoim wieku, nie możesz posiadać nawet pierwszych elementów. Ale to już ta sama wada, ta maniera w szeregowaniu słów bardzo dźwięcznych, z bardzo niewielką troską o ich sens. To znaczy dbać o klatkę bardziej niż o ptaszka; nawet w książkach Bergotte'a. Wszystkie te chińszczyzny formy, wszystkie te subtelnosci spróchniałego mandaryna wydają mi się bardzo czcze. Ot, parę fajerwerków, przyjemnie puszczone przez pisarza i zaraz krzyczy się: arcydzieło! Arcydzieła nie zjawiają się tak często! Bergotte nie ma w swoich aktywach, w swoim dorobku, jeżeli można tak powiedzieć, powieści wyższego lotu, nie ma ani jednej z tych książek, które się umieszcza na honorowym miejscu w swojej bibliotece. Nie widzę nic takiego w całej jego produkcji. Co nie przeszkadza, że gdy o niego chodzi, dzieło jest nieskończenie wyższe od autora. A! oto chodzący argument na poparcie aforyzmu, że nie powinno się nigdy poznawać autorów inaczej niż przez ich książki. Trudno o człowieka, który by się mniej pokrywał ze swoimi utworami; bardziej pretensjonalnego, nadętego, mniej człowieka z towarzysztwa. Chwilami zupełnie pospolity, to znów rozprawia jak książka, i to nawet nie jak własna książka, ale jak książka nudna (a jego książki nie są przynajmniej nudne): oto pański Bergotte. To mózg najbardziej mętny, zmanierowany, to co nasi ojcowie nazywali „górnogłębski”; a to, co mówi, staje się jeszcze mniej smaczne przez sposób wypowiedzenia. Nie pamiętam, czy to Loménie, czy Sainte-Beuve opowiada, że Vigny miał tę samą przykrą wadę. Ale Bergotte nie napisał nigdy *Cinq-Marsa*, ani *Czerwonej pieczęci*, gdzie niektóre stroniczki godne są zaiste antologii.

Zmiażdżony tym, co pan de Norpois orzekł o mojej własnej próbie, myśląc z drugiej strony o trudnościach, jakich doznawałem, kiedy chciałem napisać jakiś esej lub bodaj oddać się poważnym rozmyśleniom, czułem jeden raz więcej swoją intelektualną nicłość, brak danych do uprawiania literatury. Bez wątplenia niegdyś w Combray, pewne wrażenia bardzo skromne — lub lektura Bergotte'a — wprawiały mnie w zadumę, która mi się zdawała bardzo cenna. Ale ten stan odbijał się w moim poemaciku prozą; nie ma wątpliwości, że pan de Norpois natychmiast pochwycił i podkreślił w nim to, co mnie się wydawało piękne jedynie mocą zwodnego mirażu, skoro ambasador nie dał mu się omanąć. Dowiódł mi, przeciwnie, jak skromne zajmuję miejsce, kiedy mnie sędzi z zewnątrz, obiektywnie, najlepiej usposobiony i najinteligentniejszy znawca. Czułem się przybity, stropiony; i duch mój, niby płyn mający jedynie wymiary używanego mu naczynia, jak niegdyś rozszerzył się do olbrzymiej pojemności geniuszu, tak obecnie, skurczony, mieścił się cały w ciasnej mierności, w jakiej go pan de Norpois nagle zamknął i ograniczył.

— Nasze poznanie się z Bergottem — dodał, obracając się do ojca — było cokolwiek drażliwe, aby nie powiedzieć drastyczne. Kilka lat temu Bergotte wybrał się do Wiednia, gdy ja tam byłem ambasadorem; przedstawiła mi go księżna Metternich, złożył mi bilet i pragnął uzyskać zaproszenie. Otóż, będąc zagranicą przedstawicielem Francji, której ostatecznie pan Bergotte w pewnej mierze (powiedzmy, dla ścisłości, w bardzo nikłej

mierze) przynosi zaszczyt, byłbym przeszedł do porządku nad smutną opinią, jaką mam o jego życiu prywatnym. Ale nie podróżował sam, i co więcej, miał pretensje być zaproszonym nie bez swojej towarzyszki. Nie sądzę, abym był zbyt świętoszkiem; będąc zaś kawalerem, mogłem zapewne otworzyć drzwi ambasady nieco szerzej niż gdybym był żonatym i ojcem rodziny. Mimo to, wyznaję, że jest stopień bezwstydu, z którym nie umiałbym się pogodzić, a który jest jeszcze wstrętniejszy przez ten ultra-moralny, powiedzmy, wręcz moralizatorski ton, jaki Bergotte przybiera w swoich książkach, gdzie powtarzają się ustawiczne i, między nami mówiąc, nudnawe analizy bolesnych skręplów, chorobliwych wyrzutów sumienia, i to z powodu zwykłych grzeszków, istne kazania wielkopostne (wiadomo po czemu łokieć), wówczas gdy on sam zdradza tyle nieodpowiedzialności i cynizmu w życiu prywatnym. Krótko mówiąc, uchyliłem się od odpowiedzi, księżna jeszcze raz przypuściła atak, ale z nie lepszym skutkiem. Tak, iż nie sądzę, abym był bardzo dobrze notowany u tego pana, i nie wiem, w jakiej mierze ocenił on uprzejmość Swanna, który go zaprosił wraz ze mną. O ile nie sam Bergotte prosił go o to. Nie można wiedzieć, bo w gruncie to chory człowiek. To nawet jego jedyne usprawiedliwienie.

— Czy córka pani Swann była na tym obiedzie? — spytałem pana de Norpois, korystając z chwili, gdy (przechodziliśmy właśnie do salonu) mogłem ukryć wzruszenie łatwiej, niż kiedyś siedział przy stole nieruchomo i w pełnym świetle.

Pan de Norpois starał się sobie przypomnieć przez chwilę:

— Tak, młoda osoba czternasto- czy piętnastoletnia? W istocie, przypominam sobie, że mi ją przedstawiono przed obiadem jako córkę naszego amfitriona. Przyznam się panu, że mało ją widziałem, poszła spać wcześniej. Albo poszła gdzieś do przyjaciółki, nie przypominam już sobie. Ale widzę, że pan jest dobrze obznajmiony z domem państwa Swann.

— Bawię się z panną Swann na Polach Elizejskich, jest przemiła.

— A! A! Ależ tak, w istocie wydała mi się urocza. Mimo to przyznam się panu, iż nie sądzę, aby dorównała kiedy matce, jeżeli mi wolno to powiedzieć bez urażenia pańskich nazbyt żywych uczuć.

— Wolę urodę panny Swann, ale podziwiam też niezmiernie jej matkę; chodzę na spacer do Lasku jedynie w nadziei ujżenia jej.

— Ależ muszę im to powiedzieć, pochlebi to im niezmiernie.

Wymawiając te słowa, pan de Norpois był na kilka sekund jeszcze w położeniu wszystkich osób, które, słysząc mnie mówiącego o Swannie jako o człowieku inteligentnym, o jego ojcu jako o szanownym finansjście, o jego domu jako o pięknym domu, mogą myśleć, że ja mówiłbym równie chętnie o innym człowieku równie inteligentnym, o innych finansistach równie szanownych i o innym domu równie pięknym; to jest chwila, w której człowiek zdrowy na umyśle, a rozmawiający z wariatem nie spostrzegł jeszcze, że to wariat. Pan de Norpois wiedział, że zupełnie naturalną rzeczą jest przyjemność oglądania pięknych kobiet; że grzecznie jest, kiedy ktoś mówi z zapalem o jednej z tych kobiet, udawać, że się wierzy, iż ten ktoś jest w niej zakochany, żartować z niego i ofiarowywać mu się z pomocą. Ale mówiąc, że wspomni o mnie Gilbertcie i jej matce (co by mi pozwoliło, na kształt olimpijskiego bóstwa przybierającego płynność wietrzyka lub raczej wygląd starca, od którego zapożycza rysów Minerwa, wnikać samemu, niewidzialnie, do salonu pani Swann, ściągnąć na siebie jej uwagę, zaprzętnąć jej myśl, zyskać jej wdzięczność swoim podziwem, objawić się jej jako przyjaciel znacznej osobistości, godny zbliżenia i zażyłości z rodziną Swannów), ten ważny człowiek, przyrzekający wyzyskać na moją korzyść urok, jaki musiał mieć w oczach pani Swann, obudził we mnie czułość tak wielką, że ledwie mogłem się wstrzymać, aby nie ucałować jego miękkich, białych i pomarszczonych rąk, wyglądających tak, jakby za długo leżały w wodzie. Niemal uczyniłem ten gest, który (tak mi się zdawało) ja jeden zauważyłem. Trudno jest w istocie człowiekowi samemu ściśle obliczyć, w jakiej skali słowa jego lub ruchy objawiają się komuś drugiemu; z obawy przecenienia przed sobą własnej doniosłości, powiększając do ogromnych rozmiarów pole, na które muszą się rozciągać wspomnienia innych ludzi w ciągu ich życia, wyobrażamy sobie, że nieważne szczegóły naszej mowy i naszych gestów ledwie przenikają do świadomości osób, z którymi rozmawiamy, a tym bardziej nie pozostają w ich pamięci. Tego rodzaju złudzeniu ulegają również zbrodniarze, kiedy przekształcają po niewczasie jakieś słowo, którego użyli, w mniemaniu, że się nie uda skonfrontować tego wariantu z żadną inną

wersją. Ale bardzo możliwe jest, że nawet w perspektywie tysiącletniego życia ludzkiego, filozofia felietonisty, wedle której wszystko skazane jest na zapomnienie, mniej jest prawdziwa niż wręcz przeciwna filozofia, która by przepowiadała trwanie wszystkiego. W tym samym dzienniku, w którym felietonowy moralista, mówiąc o jakimś wydarzeniu, arcydziele — tym bardziej o śpiewaczce, mającej swoją „godzinę sławy” — wykrzykuje: „Kto będzie o tym pamiętał za dziesięć lat?”, czyż na innej stronnicy sprawozdanie z Académie des Inscriptions¹² nie mówi często o fakcie mniej ważnym, o lichym poemacie, który sięga epoki faraonów, a który dziś jeszcze znamy w całości? Nie zupełnie może tak samo jest w krótkim życiu ludzkim. Mimo to, w kilka lat później, w domu, gdzie pan de Norpois, będący tam z wizytą, zdawał mi się najpewniejszym oparciem, jako przyjaciel ojca, pobłażliwy, życzliwy dla naszej rodziny, nawykły zresztą z zawodu i z urodzenia do dyskrecji, po wyjściu ambasadora powtórzono mi jego aluzję do jakiegoś dawnego wieczoru, w czasie którego „czuł, że za chwilę ucałuję mu ręce”. Nie tylko zacerwieniłem się po uszy, ale zdumiałem się, że sposób, w jaki pan de Norpois mówi o mnie, a także charakter jego wspomnień są tak odmienne od tego, com mógł przypuszczać. Plotka ta odkryła mi nieoczekiwane proporcje roztargnienia i przytomności umysłu, pamięci i zapomnienia, z jakich składa się umysł ludzki; i uczulem się równie zdumiony, co w dniu, kiedy pierwszy raz przeczytał w książce pana Maspero, że znana jest dokładnie liczba myśliwych, których Assurbanipal zapraszał na swoje polowania, na dziesięć wieków przed Chrystusem.

— Och, proszę pana — rzekłem, kiedy mi pan de Norpois oznajmił, iż zakomunikuje Gilbertcie i jej matce moją admirację — gdyby pan to uczynił, gdyby pan wspomniął o mnie pani Swann, całe życie nie starczyłoby, aby panu okazać moją wdzięczność; życie moje należałoby do pana! Ale muszę zwrócić pańską uwagę, że ja nie znam pani Swann i że nigdy jej nie byłem przedstawiony.

Dodałem to przez skrupuła, aby nie wyglądać na człowieka chwającego się stosunkami z ludźmi, których nie zna. Ale wymawiając te słowa, czulem już, że są zbyteczne; od początku mego podziękowania, wygłoszonego z ostudzającym żarem, ujrzałem na twarzy ambasadora wyraz wahania i niechęci, a w jego oczach owo spojrzenie prostopadłe, wąskie i skośne (niby, w perspektywicznym rysunku bryły, oddalająca się linia jednej z powierzchni); spojrzenie, zwracające się do owego niewidzialnego partnera, jakiego mamy w samych sobie w chwili, gdy mu mówimy coś, czego interlokutor, osobnik, z którym rozmawiało się dotąd — w danym wypadku ja — nie powinien słyszeć. Zdałem sobie natychmiast sprawę, że słowa moje — słabe jeszcze w stosunku do fali wdzięczności, jaka mnie zalewała, słowa, które powinny były (wedle mnie) wzruszyć pana de Norpois i tym bardziej skłonić go do interwencji dla niego tak łatwej, a dla mnie tak błogosławionej, były to może właśnie (wśród wszystkich słów, jakie mógłby znaleźć diabolicznie ktoś chcący mi zaszkodzić) jedyne zdolne powściągnąć go od tego kroku. Wyobraźmy sobie, że z jakimś nieznanym wymieniliśmy przyjemne i zgodne (naszym mniemaniu) wrażenia na temat przechodniów, których pospolitość zauważyliśmy obaj; i naraz objawi się nam dzieląca nas patologiczna przepaść, gdy ów nieznanomy, macając się po kieszeni, doda niedbale: „Żałuję, że nie mam rewolweru; ani jeden nie zostałby żywy”. Tak samo pan de Norpois, który wiedział, że nic nie było prostsze i łatwiejsze niż poznać panią Swann i dostać się do jej domu, widząc, iż, przeciwnie, dla mnie przedstawia to taką cenę i tym samym z pewnością wielką trudność, pomyślał, iż owo normalne na pozór i wyrażone przeze mnie pragnienie, musi skrywać jakąś inną myśl, jakiś podejrzany cel, jakiś dawniejszy błąd, z powodu którego, w obawie niezadowolenia pani Swann, nikt dotąd nie chciał się podjąć w moim imieniu tej misji. I zrozumiałem, że pan de Norpois nie uczyni tego nigdy; i że mógłby widywać panią Swann co dzień przez całe lata, a nie wspominałby o mnie ani razu.

Poprosił ją jednak w kilka dni potem o jakieś wyjaśnienie, którego pragnąłem, i przekazał mi je przez ojca. Ale nie uważał za potrzebne powiedzieć pani Swann, dla kogo o nie prosi. Nie dowie się tedy, że ja znam pana de Norpois i że tak pragnąłbym bywać u niej! Ale to nieszczęście było może mniejsze, niż sądziłem. Bo druga z tych wiadomości niewie-

¹²*Académie des Inscriptions* — pełna nazwa: *Académie des Inscriptions et Belles-Lettres* francuskie towarzystwo naukowe (jedno z pięciu składających się na Instytut Francuski), założone w 1663 i zajmujące się naukami humanistycznymi. [przypis edytorski]

le byłaby zapewne przydała skuteczności, wątpliwej zresztą, pierwszej. Ponieważ w Odecie myśl o jej własnym życiu i domu nie budziła żadnych tajemniczych wzruszeń, człowiek, który ją znał, który u niej bywał, nie wydawał się jej istotą bajeczną, jak wydawał się mnie, który byłbym cisnął w okna Swannów kamień, gdybym mógł na nim napisać, że znam pana de Norpois; byłem przekonany, że taka informacja, nawet przekazana w ten brutalny sposób, o wiele więcej dałaby mi w oczach pani domu uroku niż wywołała oburzenia. Ale nawet gdybym sobie mógł zdać sprawę, że misja, z której nie wywiązał się pan de Norpois, zostałaaby daremna, i że, co więcej, mogłaby mi zaszkodzić wobec Swannów, i tak nie miałbym siły — w razie, gdyby ambasador okazał się chętny — zwolnić go z niej i wyrzec się tej rozkoszy, choćby najopłakańszej w skutkach, że moje nazwisko i osoba znalazłyby się na chwilę w pobliżu Gilberty, w jej nieznanym domu i życiu.

Kiedy pan de Norpois odszedł, ojciec zaczął przeglądać wieczorny dziennik; ja myślałem znów o Bermie. Przyjemność, jakiej doznałem, słuchając Bermy, domagała się skompletowania, tym bardziej, że o wiele nie dorównała rozkoszy, jaką sobie obiecywałem; toteż czepiała się wszystkiego, co było zdolne ją podsyć, jak na przykład owe wartości, które pan de Norpois przyznał Bermie i które dusza moja — niby zbyt suchy trawnik, gdy się go zleje wodą — wypila jednym haustem. Otóż, ojciec podał mi dziennik, pokazując notatkę skreśloną w tych słowach:

„Przedstawienie *Fedry*, odegranej wobec rozentuzjasmowanej sali, w której zauważono znakomitości sztuki i krytyki, było dla pani Berma, odtwórczyni roli *Fedry*, jednym z najświetniejszych tryumfów jej zawrotnej kariery artystycznej. Niebawem omówimy obszerniej ten występ, będący prawdziwym ewenementem teatralnym; na razie stwierdzimy tylko, że najbardziej autorytatywni sędziowie oświadczyli zgodnie, iż kreacja pani Berma całkowicie odnawia rolę *Fedry*, jedną z najpiękniejszych i najgłębszych w teatrze Racine’a, stanowiąc najwyższe i najczystsze objawienie sztuki, jakiego naszej epoce dane było być świadkiem”.

Z chwilą gdy mój umysł przyswoił sobie wiadomość o „najczystszym i najwyższym objawieniu sztuki”, idea ta zbliżyła się do niedoskonałej przyjemności, jakiej doznałem w teatrze, dodała jej trochę tego, co jej brakowało, a połączenie ich stworzyło coś tak podniecającego, że wykrzyknąłem: „Cóż za wielka artystka!”.

Z pewnością może ktoś uznać, że nie byłem całkowicie szczery. Ale pomyślcie raczej o tylu pisarzach, którzy, niezadowoleni ze świeżo napisanego ustępu, przeczytawszy pochwałę geniuszu Chateaubrianda lub wspomniawszy jakiegoś wielkiego artystę, któremu pragnęli dorównać, nucąc na przykład w duchu frazę Beethovena, której smętek porównują z tym, jaki chcieli tchnąć w swój styl, wzruszają się ową ideą geniuszu tak bardzo, że darzą nią swój własny utwór, myśląc o nim na nowo; nie widzą go już takim, jak się im wydał zrazu, i ryzykując akt wiary w wartość własnego dzieła, powiadają sobie: „To nie jest złe!”. Nie zdają sobie sprawy, że w owo podsumowanie, dające im końcowe zadowolenie, wciągnęli echo wspaniałych stronich Chateaubrianda, które stapiają z własnymi, ale których bądź co bądź nie napisali. Przypomnijcie sobie tylu ludzi, wierzących w miłość kochanki, od której doznali samych zdrad; i wszystkich, którzy spodziewają się na przemian to niepojętego drugiego życia, z chwilą gdy jako niepocieszeni mężowie myślą o kobiecie, którą stracili i którą kochają jeszcze, lub jako artyści o przyszłej sławie, którą będą się mogli cieszyć; to znów marzą o kojącej nicości, kiedy przeciwnie świadomość ich ogarnie błędy, które inaczej przyszloby im odpokutować po śmierci; pomyślcie wreszcie o turystach, zachwyconych całością podróży, której każdy dzień przynosił im tylko nudę; i powiedzcie, czy we wspólnym życiu, jakie wiodą idee w łonie naszego ducha, istnieje bodaj jedna z tych, co nam dają najwięcej szczęścia, która by nie pasożytowała na obcej i sąsiedniej myśli, czerpiąc z niej najlepsze cząstki brakującej siły?

Matka nie była zbyt rada, że ojciec przestał myśleć dla mnie o karierze dyplomatycznej. Sądzę, iż dbając przede wszystkim o to, aby uregulowane życie ujęło w karby kaprysy moich nerwów, żałowała nie tyle tego, że się wyrzekam dyplomacji, ile że się poświęcam literaturze.

— Dajże pokój — wykrzyknął ojciec — przede wszystkim trzeba mieć zamiłowanie do tego, co się robi. Przecie to już nie dziecko. Wie, co lubi, mało prawdopodobne jest, aby się zmienił; zdolny jest sobie zdać sprawę z tego, co mu da szczęście.

Czas, Przemijanie,
Młodość, Starość

Szczęście lub nieszczęście, będące wynikiem swobody, jaką mi przyznawały słowa ojca, były rzeczą dalszą; na razie, tego wieczora, słowa ojca sprawiły mi przykrość. Tego rodzaju objawy jego nieoczekiwanej dobroci zawsze budziły we mnie taką chęć ucałowania, ponad bujnym zarostem, jego rumianych policzków, że jeżeli nie ulegałem tej chęci, to jedynie z obawy niezadowolenia ojca. Dziś, tak jak autor przeraża się, widząc, że jego rojenia (które zdają mu się bez wartości, bo ich nie oddziela od samego siebie) zmuszają wydawcę do wybrania papieru, do użycia czcionek może za pięknych na ten cel, pytałem sam siebie, czy moja chęć pisania była czymś dosyć ważnym, aby ojciec objawiał z jej powodu tyle dobroci. Ale zwłaszcza, mówiąc o moich upodobaniach, które się nie zmieniają, o tym, co ma być moim szczęściem, ojciec rodził we mnie dwa straszliwe podejrzenia. Pierwsze, że (wówczas gdy każdego dnia czułem się jakby na progu jeszcze nietkniętego życia, mającego się rozpocząć aż jutro rano) moja egzystencja już się zaczęła; a bardziej jeszcze, że to, co w niej nastąpi, nie będzie zbyt różne od tego, co było przedtem. Drugim podejrzeniem, będącym po prawdzie jedynie inną formą pierwszego, było to, że nie znajduję się na zewnątrz Czasu, ale że podlegam jego prawom, zupełnie jak owe figury z powieści, które przez to właśnie pogrążyły mnie w takim smutku, kiedy czytałem ich życie w Combray, schowany w swojej budce. Teoretycznie wiemy, że ziemia się obraca, ale faktycznie nie spostrzegamy tego; ziemia, po której chodzimy, nie rusza się, i żyjemy spokojnie. Tak samo jest z Czasem. I, aby dać uczuć jego uciekanie, powieściopisarze zmuszeni są, przyspieszając szalenie ruch wskazówki, kazać czytelnikowi przebywać dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat w dwie minuty. Z początkiem stronicy opuściło się kochanka pełnym nadziei, u dołu następnej odnajduje się go osiemdziesięcioletnim starcem, który z trudem odbywa na dziedzińcu przytułku swoją codzienną przechadzkę, ledwie odpowiada na słowa do niego zwrócone, niepomny przeszłości. Powiadając o mnie: „To już nie dziecko, skłonności jego nie zmieniają się” itd., ojciec ukazał mi nagle mnie samemu w Czasie i pogrążył mnie w smutku tego samego rodzaju, co gdybym był, jeszcze niezramolałym lokatorem przytułku, ale jednym z owych bohaterów, o których autor powiada z końcem książki owym obojętnym tonem, dla mnie tak szczególnie okrutnym: „Coraz rzadziej opuszczał swoją wioskę. Osiadł tam w końcu ostatecznie” itd.

Tymczasem ojciec, aby ochronić gościa przed naszą możebną krytyką, rzekł do mamy:

— Przyznaję, że stary Norpois „celebrował” trochę, jak wy to nazywacie. Kiedy powiedział, że byłoby „niezbyt przystojne” zadawać pytania hrabiemu Paryża, bałem się, abyście nie parsknęli śmiechem.

— Ależ wcale nie — odparła matka — bardzo mi się podoba, że człowiek tej wartości i w tym wieku zachował coś z naiwności, świadczącej jedynie o uczciwym gruncie i o starannym wychowaniu.

— Z pewnością! Co mu nie przeszkadza być sprytnym i inteligentnym; mogę o tym mówić, bo widuję go w komisji zupełnie innym, niż jest tutaj — wykrzyknął ojciec, szczęśliwy, że mama uznaje pana de Norpois i chcąc jej dowieść, że eks-ambasador jest jeszcze niepospolitszy niż ona przypuszcza, ile że przyjaźń przecenia z taką samą przyjemnością, z jaką złośliwość lubi nie doceniać. — Jak on to powiedział... „Z tymi królewietami nigdy nie wiadomo”...

— Tak, tak, właśnie to. Zauważyłam, to było bardzo finezyjne. Widać że ma głęboką znajomość życia.

— To szczególne, że on był na obiedzie u Swannów i że tam spotkał na ogół ludzi przyzwoitych, urzędników. Gdzie pani Swann mogła złowić całą tę sosjetę?

— Czyś uważał, jak on złośliwie zrobił ten nawias: „To dom, gdzie bywają zwłaszcza mężczyźni!”?

I oboje silił się odtworzyć sposób, w jaki pan de Norpois wypowiedział te słowa, tak jakby chodziło o jakąś intonację Bressanta lub Thirona w *Awanturnicy* lub w *Zięciu pana Poirier*. Ale ze wszystkich powiedzeń, największy sukces miało to, które oceniła Franciszka: jeszcze w kilka lat później nie mogła „strzymać śmiechu”, kiedy się jej przypomniało, że ambasador potraktował ją jako „bezkonkurencyjnego kuchmistrza”, co jej matka poszła powtórzyć, jak minister wojny przekazuje po rewii komplement przejeżdżającego monarchy. Udałem się zresztą do kuchni przed mamą. Bo kazałem przyrzec Franciszce, pacyfistce, ale okrutnej z natury, że nie będzie zanadto męczyła królika prze-

znaczonego na zabicie; i nie miałem jeszcze biuletynu o tej śmierci. Franciszka upewniła mnie, że wszystko się odbyło jak najlepiej i bardzo szybko: „Nie widziałam jeszcze takiego stworzenia! ani krzykło, ani pisnęło słówka, myślałby kto, jaka niemowa”. Mało obyło ze słownikiem zwierząt, napomknąłem, że królik nie krzyczy może jak kura. „Też panicz utrafił — rzekła Franciszka oburzona moim nieuctwem — królik nie krzyczy jak kura! Głos to nawet ma mocniejszy”.

Franciszka przyjęła komplementy pana de Norpois z dumną prostotą, ze wzrokiem radosnym i bodaj przez chwilę — inteligentnym; ze wzrokiem artysty, gdy mu się mówi o jego sztuce. Matka posyłała ją swego czasu do paru sławnych restauracji, aby zobaczyła, jak tam gotują. Słyszając, jak najslawniejsze z nich Franciszka traktuje od „garkuchni” doznawałem takiej samej rozkoszy, jak niegdyś dowiadując się, że prawdziwa hierarchia aktorów nie pokrywa się ze stopniem ich reputacji.

— Ambasador — rzekła do kucharki matka — upewnia, że nigdzie się nie jada zimnej sztuki mięsa i sufletu takiego jak Franciszki.

Franciszka z miną osoby skromnej, oddającej hołd prawdzie, przytaknęła, bynajmniej zresztą niewzruszona tytułem ambasadora: mówiła o panu de Norpois z przychylnością należną komuś, kto ją wziął za kuchmistrza: „To poczciwy stary, taki jak ja”. Starła się go wprawdzie widzieć kiedy przybył, ale wiedząc, że mama nie cierpi wystawiania za drzwiami lub za oknem i bojąc się, że się dowie przez innych służących lub przez odźwiernego, iż ona stała na czatach (bo Franciszka widziała wszędzie tylko „zazdrości” i „gadania”, grające w jej wyobraźni tę samą ustawiczną i złowrogą rolę, co dla wielu osób intrygi jezuitów i Żydów), poprzestała na zaglądaniu przez okienko kuchenne, „aby się nie nasłuchać od swojej pani”. Ostatecznie, z ogólnego wyglądu, wzięła pana de Norpois „za pana Legrand”, z przyczyny jego *zwawości*, mimo że nie było między nimi żadnego podobieństwa.

— Ale — spytała matka — jak Franciszka sobie tłumaczy, że nikt nie umie zrobić auszpiku tak jak Franciszka, kiedy się przyłoży?

— Nie wiem, skąd mi to się pochodzi — odpowiadała Franciszka, która nie ustaliła w swoim słowniku form słowa „pochodzić”.

Mówiła zresztą po części prawdę i tak samo nie umiała — ani nie miała ochoty — odsłonić tajemnicy stanowiącej wyższość jej auszpiku i jej kremów, jak wielka elegantka strzeże sekretu swoich toalet lub wielka śpiewaczka swego śpiewu. Wyjaśnienia ich niewiele tłumaczy i tak samo było z przepisami naszej kucharki.

— One gotują zanadto na lap-cap — odpowiadała, mówiąc o wielkich restauratorach — i także nie wszystko razem. Trzeba, żeby mięso zrobiło się jak ta gąbka; wówczas pije wszystek sok aż do dna. Ale była jedna taka restracja, gdzie na mój rozum umieją trochę gotować. Nie mówię, żeby to był auszpik całkiem po mojemu, ale było robione pomału, a w sufletcie to czuło się śmietankę.

— Może Henry? — spytał ojciec, który wszedł za nami (ojciec bardzo cenił restaurację na placu Gaillon, gdzie w oznaczone dni miewał koleżeńskie obiady).

— Och, nie! — rzekła Franciszka ze słodyczą, pod którą kryła się głęboka wzgarda — ja powiadam o małej restracyjce. U tego Henry jest bardzo dobrze, pewno, ale to nie jest restracja, to prędzej bar.

— Weber?

— Och, nie, proszę pana, ja myślę dobra restracja. Weber, to jest przy rue¹³ Royale; to nie restracja, to piwiarnia. Albo to tam umieją uczciwie podać? Nawet nie mają tam obrusów, wałą wszystko na stół jedno na drugie.

— Może Cirro?

Franciszka uśmiechnęła się:

— Och, ja myślę, że tam najlepsze w jeich kuchni to te panie ze światka. — („Światek” oznaczał dla Franciszki półświatek). — Ha, i to jest potrzebne dla młodzieży.

Spostrzeżliśmy, że pod pozorami naiwności, Franciszka jest dla sławnych kuchmistrzów groźniejszą „koleżanką”, niż może nią być najbardziej zawistna i zarozumiała aktorka. Uczuliśmy zresztą, że ma słuszne poczucie swojej sztuki i poszanowanie tradycji, bo dodała:

¹³rue (fr.) — ulica [przypis edytorski]

— Nie, ja myślę restrację, co wygląda na taką sobie domową kuchenkę. Tam to są odpowiednie ludzie. Mają dość roboty. Targują tam dość susów. — (Oszczędna Franciszka liczyła na *sou*, nie na *ludwiki*, jak „okpisze”). — Pani zna przecie, po prawej na wielkich bulwarach, trochę z tyłu...

Restauracja, o której mówiła z tą sprawiedliwą miarą, nie bez odcienia dobroduszości i dumy, to było... „Café Anglais”.

Kiedy przyszedł 1 stycznia, odbyłem najpierw wizyty rodzinne z mamą, która, aby mnie nie męczyć, poklasyfikowała je z góry (przy pomocy planu nakreślonego przez ojca), raczej wedle dzielnicy niż wedle ścisłego stopnia pokrewieństwa. Ale ledwieśmy weszli do salonu dość dalekiej kuzynki, której racją pierwszeństwa było to, że mieszkała blisko nas, matka przeraziła się, widząc — z torebką cukrowanych kasztanów w ręku — najlepszego przyjaciela najdrażliwszego z moich wujów, który w ten sposób dowie się z pewnością, żeśmy nie rozpoczęli od niego swojej pielgrzymki. Ów wuj będzie z pewnością urażony; wydałoby mu się zupełnie naturalne, gdybyśmy szli od Madeleine do Jardin des Plantes, gdzie on mieszkał, aby się potem zatrzymać koło Saint-Augustin i ruszyć z powrotem na ulicę de l'École-de-Médecine.

Po skończeniu wizyt (babka zwalniała nas od wizyty, wobec tego że mieliśmy być u niej tego dnia na obiedzie) pobiegłem na Pola Elizejskie, aby zanieść naszej straganiarce list przeznaczony dla osoby zachodzącej tam kilka razy w tygodniu od Swannów po pierniki. Od dnia, gdy Gilberta sprawiła mi tyle przykrości, postanowiłem wysłać na Nowy Rok ten list, w którym oznajmiłem jej, że nasza dawna przyjaźń wygasa z końcem roku, że zapominam swoich uraz i zawodów, i że od 1 stycznia zbudujemy nową przyjaźń, tak trwałą, że jej nic nie zniszczy, tak cudowną, że mam nadzieję — pisałem — iż Gilberta włoży nieco kokieterii w to, aby zachować całą piękność tej przyjaźni i ostrzec mnie na czas — co i ja przyrzekałem uczynić — skoro tylko się zjawi najmniejsze niebezpieczeństwo zdolne ją naruszyć.

Za powrotem Franciszka zatrzymała mnie na rogu rue Royale przed wystawą, gdzie wybrała sobie na kolędę fotografie Piusa IX i Raspaila, ja zaś kupiłem fotografię Bermmy. Niezliczone zachwyty, jakie budziła artystka, czyniły czymś dość ubogim tę jedyną twarz, która mogła im uczynić zadość; twarz niezmienną i nikłą, niby strój osób niemających sukni na zmianę; twarz, którą zawsze mogła przystroić jedynie małą fałdką nad górną wargą, podniesieniem brwi, paroma wreszcie innymi właściwościami, zawsze tymi samymi i będącymi ostatecznie na łasce jakiegoś oparzenia lub innego wypadku. Ta twarz nie byłaby mi się zresztą sama przez się wydała piękna, ale budziła we mnie myśl — i tym samym ochotę — ucałowania jej, dla wszystkich pocałunków, które musiała znieść w życiu i które z głębi albumu z „widokówkami” zdawała się przyzywać jeszcze swoim zalotnie tklwym spojrzeniem i sztucznie naiwnym uśmiechem. Berma musiała istotnie odczuć wobec wielu młodych ludzi owe pragnienia, do jakich przyznawała się pod osłoną postaci Fedry, a zaspokojenie ich musiała jej przychodzić z łatwością, bodaj dzięki urokowi nazwiska, przydającego jej urody i przedłużającego młodość.

Wieczór zapadał, zatrzymałem się przed słupem z afiszami zapowiadającymi występ Bermmy na 1 stycznia. Był wilgotny i ciepły wiatr; pogoda, jaką znałem: miałem wrażenie i przecucie, że ten Nowy Rok nie różni się od innych dni, że nie jest pierwszym dniem nowego świata, w którym mógłbym, z nienaruszoną jeszcze szansą, odnowić znajomość z Gilbertą niby w momencie stworzenia świata, tak jakby nie istniała jeszcze przeszłość, jak gdyby znikły, wraz z jej możebnymi wróżbami na przyszłość, zawody, jakie mi nieraz sprawiła: nowy świat, gdzie by nie pozostało nic z dawnego... jedynie to: moje pragnienie, aby mnie Gilberta kochała.

Zrozumiałem, że jeśli moje serce pragnie tej odnowy otaczającego je świata, który go nie zadowolił, to dlatego, że ono, moje serce, nie zmieniło się. I powiedziałem sobie, że nie ma racji, aby serce Gilberty odmieniło się bardziej od mego: uczułem, że ta nowa przyjaźń, to jest ta sama, tak jak nie są od dawnych lat oddzielone jakimś rowem nowe lata, które pragnienie nasze, nie mogąc ich dosięgnąć i przeobrazić, znaczy — bez ich wiedzy — odmienną nazwą. Daremnie ofiarowywałem ten rok Gilbertcie, tak jak się nadbudowuje religię na ślepych prawach przyrody; daremnie siłem się wycisnąć na tym Nowym Roku osobliwe pojęcie, jakie sobie o nim stworzyłem; wszystko na próżno; czułem, iż on nie

wie, że go nazwano Nowym Rokiem, że kończy się w zmierzchu w sposób, który mi nie był nowy: w łagodnym wietrze, jaki wiał dokoła słupa z afiszami, poznałem, uczułem powracającą wieczną i pospolitą materię, znaną wilgoć, nieświadomą płynność dawnych dni.

Wróciłem do domu. Przeżyłem 1 stycznia ludzi starych, którzy różnią się w tym dniu od młodych, nie dlatego, że im się już nie daje kolędy, ale dlatego, że już nie wierzą w Nowy Rok. Kolędę dostałem, ale nie tę, która byłaby mi sprawiła przyjemność, a którą byłoby słówko od Gilberty. Ale byłem jeszcze młody, skorom mógł napisać do niej list, w którym spodziewałem się, mówiąc o samotnych marzeniach swojego serca, obudzić w Gilbertce podobne uczucia. Smutek ludzi, którzy się zestarzelili, tkwi w tym, że nawet nie myślą o pisaniu takich listów, zrozumiawszy ich daremność.

Kiedym się położył, odgłosy ulicy, przedłużające się w ten wieczór świąteczny do późna, nie pozwoliły mi zasnąć. Myślałem o wszystkich ludziach, którzy zakończą tę noc przyjemnie; o kochanku, może o hulaszce zgrai, która wpadnie z pewnością po Bermę z końcem tego zapowiedzianego na wieczór spektaklu. Nie mogłem nawet — aby uspokoić podniecenie, jakie ta myśl rodziła we mnie w ciągu bezsennej nocy — powiedzieć sobie, że Berma nie myśli może o miłości, skoro recytowane przez nią, a długo studiowane wiersze przypominały jej co chwilę, że miłość jest rozkoszna, co wiedziała zresztą tak dobrze, że demonstrowała jej wzruszenia, dobrze znane, ale obdarzone nową siłą i nieprzeczuwaną słodyczą; demonstrowała je oczarowanym widzom, z których każdy przecie poznał je kiedyś sam przez się. Zapaliłem świecę, aby jeszcze raz popatrzeć na jej twarz. Na myśl, że ta twarz była z pewnością pieszczona w tej chwili przez owych mężczyzn, którzy w mojej wyobraźni dawali Bermie i otrzymywali od niej nadludzkie i nieznanne rozkosze, odczuwałem skurcz bardziej bolesny niż rozkoszny, nostalgię, którą pogłębiał dźwięk rogu, taki jak się słyszy w noc Mi-Carême, a często w inne dni zabaw; dźwięk, przez to że wyzuty z poezji, smutniejszy wówczas, gdyż wychodzący z szynkowni, niż „wieczorem w głębi lasu”. W tej chwili list Gilberty nie byłby może tym, czego by mi było trzeba. Nasze pragnienia krzyżują się i w zamęcie bytu rzadkie jest, aby szczęście pokryło się ściśle z pragnieniem, które go wzywało.

Chodziłem nadal na Pola Elizejskie w pogodne dni, przez ulice, których różowe i wytworne domy kąpały się — był to moment wielkiego sukcesu Wystawy Akwarelistów — w ruchliwym i lekkim niebie. Skłamałbym, mówiąc, że w owym czasie pałace Gabriela zdawały mi się piękniejsze lub nawet różną epoką od sąsiednich domów. Stylowszy i niemal starożytniejszy wydawał mi się jeżeli nie Palais de l'Industrie, to przynajmniej gmach Trocadero. Zanurzona w niespokojnym śnie, młodość moja spowijała wspólnym marzeniem całą dzielnicę, po której je wodziła, i nigdy nie pomyślałem, aby mogła istnieć budowla z XVIII wieku przy ulicy Royale, tak samo jak byłbym zdziwiony, dowiadując się, że Porte-Saint-Martin i Porte-Saint-Denis, arcydzieła z epoki Ludwika XIV, nie są współczesne najświeższym kamienicom tych plugawych dzielnic. Raz tylko któryś z pałaców Gabriela zatrzymał mnie długo; bo kiedy zapadła noc, jego kolumny, odmaterializowane blaskiem księżyca, wyglądały jak wycięte z kartonu i, przypominając mi dekoracje operetki *Orfeusz w piekle*, dały mi pierwszy raz wrażenie piękności.

Ale Gilberta wciąż nie przychodziła na Pola Elizejskie. A ja tak potrzebowałem ją ujrzeć, bo nie pamiętałem nawet jej twarzy! Badawczy, trwożliwy, wymagający sposób, w jaki patrzymy na osobę, którą kochamy; oczekiwanie słowa, dającego nam lub odbierającego nadzieję spotkania jej nazajutrz; i aż do czasu, gdy to słowo padnie, nasze kolejne — o ile nie równoczesne — ataki nadziei i rozpaczy, wszystko to wprawia nas w obliczu ukochanej istoty w zbyt silne wewnętrzne drżenie, abyśmy mogli uzyskać jasny jej obraz. Może też owa czynność wszystkich zmysłów naraz, próbująca poznać samym wzrokiem to, co jest poza nim, zbyt pobłażliwa jest na tysiąc form, na wszystkie smaki, na ruchy osoby żywej, którą zazwyczaj, nie kochając, unieruchomiamy. Przeciwnie, model ukochany porusza się: otrzymujemy zeń zawsze tylko zepsute fotografie.

Nie wiedziałem już doprawdy, jak wyglądają rysy Gilberty, z wyjątkiem boskich chwil, w których rozwijała je dla mnie: przypominałem sobie tylko jej uśmiech. I nie mogąc odtworzyć tej ukochanej twarzy, mimo wszelkich wysiłków, jakie czyniłem, aby ją sobie przypomnieć, irytowałem się, znajdując wyrysowane w swojej pamięci ze skończoną dokładnością bezużyteczne i wyraziste twarze przekupki i człowieka od karuzeli,

Starość, Młodość, List,
Nadzieja

podobnie jak ci, co stracili ukochaną istotę i nigdy nie oglądając jej we śnie, wściekają się, że wciąż spotykają w snach tyle nieznośnych osób, które aż nadto wystarczy znać na jawie. W niemożności wyobrażenia sobie przedmiotu swego bólu, obwiniają się niemal o to, że nie czują bólu. I ja byłem niedaleki od myśli, że skoro sobie nie mogę przypomnieć rysów Gilberty, zapomniałem jej samej, nie kocham jej już.

Wreszcie zaczęła znów przychodzić na Pola Elizejskie prawie co dzień, następcząc mi wciąż nowe pragnienia i prośby odkładane do jutra, czyniąc w tym sensie moją czułość każdego dnia czymś nowym. Ale jedna rzecz zmieniła — jeszcze raz, i to nagle — sposób, w jaki co popołudnia około drugiej wyłaniał się problemat mojej miłości. Czy pan Swann znalazł mój list do córki, czy też Gilberta, chcąc mnie skłonić do ostrożności, wyznała mi aż znacznie później dawny już stan rzeczy? Kiedym jej mówił, jak bardzo podziwiam jej rodziców, przybrała ową nieuchwytną, pełną zastrzeżeń i sekretów minę, jaką miała, kiedy się mówiło o jej projektach, sprawunkach i wizytach, i naraz powiedziała wręcz: „Wiesz, rodzice wcale nie przepadają za tobą!”. I, wyslizgując się jak ondyna — to był jej styl — parsknęła śmiechem. Często śmiech Gilberty, kłócąc się z jej słowami, zdawał się, jak to robi muzyka, opisywać na innym planie niewidzialną powierzchnię.

Państwo Swann nie żądali od córki, aby przestała się ze mną bawić, ale byliby woleli — tak sądziła Gilberta — aby się to nie było zaczęło. Nie patrzyli na nasze stosunki przychylnym okiem, nie mieli dobrego pojęcia o moim poziomie moralnym; sądzili, że mogę wyrzucić na ich córkę jedynie zły wpływ. Ten gatunek zepsutej młodzieży, z którą utożsamiał mnie pan Swann, wyobrażałem sobie jako osobników, którzy nienawidzą rodziców swojej wybranej, schlebnią im w oczy, ale drwią z nich wraz z córką, popychają ją do nieposłuszeństwa, a skoro raz ją zdobyli, pozbawiają rodziców nawet jej widoku. Tym rysom (pod jakimi nawet największy nędznik nigdy nie widzi samego siebie) serce moje z uniesieniem przeciwstawiało swoje uczucia dla ojca Gilberty; a uczucia te były tak gorące, że nie wątpiłem, iż gdyby pan Swann mógł się ich domyślać, pożałowałby swojego sądu o mnie niby omyłki sądowej. Wszystko, com czuł dla niego, ośmieliłem się wypisać mu w długim liście, który powierzyłem Gilbertce, prosząc, by go oddała ojcu. Zgodziła się. I oto, ach, Swann widział we mnie większego jeszcze szalbierza niż myślałem; wątpił o uczuciach, które starałem się odmalować z taką prawdą na szesnastu stronicach; list mój do niego, równie gorący i szczery jak mój wylew wobec pana de Norpois, okazał się równie bezskuteczny. Odciągnąwszy mnie na bok poza klomb laurów, na ścieżkę, gdzieśmy usiedli obok siebie na krzeselkach, Gilberta opowiedziała mi nazajutrz, że czytając list (który mi odniosła), ojciec wzruszał ramionami, mówiąc: „To wszystko nic nie znaczy; to tylko dowodzi, jak bardzo mam słusność”.

Ja, który znałem czystość własnych intencji, piękno własnej duszy, czułem się oburzony, że moje słowa nawet nie musnęły niedorzecznej omyłki Swanna. Bo to była omyłka, nie wątpiłem o tym wówczas. Opisałem tak ściśle pewne niezawodne znamiona swoich szlachetnych uczuć, że skoro Swann nie odtworzył sobie natychmiast z tych znamion mego stanu duszy, skoro nie przyszedł mnie przeprosić i wyznać, że się omylił, widać sam nigdy nie doznał tych szlachetnych wzruszeń, a co za tym idzie, niezdolny był pojąć ich w drugich.

Otóż może po prostu Swann wiedział, że szlachetność jest często wewnętrznym obrazem naszych samolubnych uczuć, kiedyśmy ich jeszcze nie nazwali i nie sklasyfikowali. Może w sympatii, jaką mu wyrażałem, ujrzał proste działanie — i entuzjastyczne potwierdzenie — mojej miłości do Gilberty, która to miłość — nie zaś wtórna cześć dla ojca ukochanej — kierowałaby niechybnie na przyszłość moimi postępami. Nie mogłem podzielać jego przewidywań, bo nie udało mi się swojej miłości oderwać od samego siebie, aby spojrzeć na nią z ogólnej perspektywy i dopuścić doświadczalnie jej konsekwencji; byłem w rozpacz.

Musiałem na chwilę opuścić Gilbertę, Franciszka wołała mnie. Trzeba mi było tarzyszyć jej do małego kiosku o ścianach pokrytych zieloną kratą, dosyć podobnego do opuszczonych domków akcyzy starego Paryża. Od niedawna urządzono tam to, co w Anglii nazywa się *lavabo*, a we Francji, przez źle poinformowaną anglomanię — wateklozet. Stare i wilgotne mury przedsiionka, gdzieś czekał na Franciszkę, wydzielają chłodną woń stęchlizny, która rozpraszając natychmiast troski zrodzone ze słów Swanna, przeniknęła mnie przyjemnością nie tego samego rodzaju co inne, mniej stałe, tak trud-

Miłość, Samolubstwo

no dające się pochwycić, zatrzymać, posiadać, ale przeciwnie, przyjemnością rzetelną, na której mogłem się oprzeć, rozkoszną, spokojną, bogatą w prawdę trwałą, niewytłumaczoną i pewną. Byłbym chciał, jak niegdyś w swoich wycieczkach w stronę Guermantes, przeniknąć czar tego wrażenia i trwać bez ruchu, zgłębiając tę stareńką emanację, skłaniającą mnie, aby się nie tyle cieszyć przyjemnością (ofiarowaną mi jedynie w naddatku), ile zstąpić w realność, której nie odsłoniła mi jeszcze. Ale gospodyni *lavabo*, starsza dama o utynkowanych licach, w rudej peruce, zagaiła rozmowę. Franciszka uważała ją za „bardzo dobrze z domu”. Córka jej poślubiła — znów wedle wyrażenia Franciszki — „chłopca z odpowiedniej rodziny”, tym samym kogoś, kogo od robotnika dzieliła większa przepaść niż dla Saint-Simona dzieli diuka od kogoś kto „wyszedł z mętów gminu”. Bez wątpienia dama w *lavabo*, nim doszła do tej profesji, musiała przeżyć jakieś katastrofy. Ale Franciszka upewniała, że to jest margrabina i że pochodzi z rodziny Saint-Ferréol. Owa margrabina poradziła mi, żebym nie stał na chłodzie i otworzyła mi nawet ubikację, mówiąc: „Nie chce pan wejść? tu jest zupełnie czysto, dla pana będzie gratis”. Robiła to może tylko tak jak panny od Gouache’a, które, kiedyśmy przychodzili z jakimś zamówieniem, częstowały mnie cukierkiem (niestety, mama zabraniała mi go przyjmować) wyjętym z klosza na ladzie; może i mniej niewinnie, jak pewna stara kwiaciarka, która zaopatrywała z urzędu żardiniery mamy i która dawała mi różę, robiąc słodkie oczy. Bądź jak bądź, jeżeli margrabina miała pociąg do młodych chłopców, w takim razie otwierając im podziemne bramy owych kamiennych sześcianów, gdzie ludzie kulą się przycupnięci jak sfinksy, musiała czerpać w swojej hojności nie tyle nadzieję uwiedzenia ich, ile przyjemność, jakiej doznajemy, okazując bezinteresowną rozrzutność wobec przedmiotu ukochania; nigdy bowiem nie widziałem u niej innego gościa prócz starego stróża ogrodowego.

W chwilę potem opuściłem markizę w towarzystwie Franciszki, po czym opuściłem Franciszkę, aby wrócić do Gilberty. Spostrzegłem ją natychmiast na krześle, za klombem laurów; chodziło o to, aby jej przyjaciółki nie dojrzały: grały w chowanego. Siadłem koło niej. Miała płaski toczek, który jej schodził dość nisko na oczy, dając tym oczom to samo spojrzenie „spode łba”, marzące i nieszczerze, jakie widziałem u niej pierwszy raz w Combray. Spytałem, czy nie byłoby sposobu rozmówić się z jej ojcem. Odrzekła, że mu to proponowała, ale że pan Swann uważa to za zbyt czyste. „Masz — dodała — zabierz swój list, trzeba iść do tamtych, skoro mnie nie znaleźli”.

Gdyby Swann nadszedł wówczas, zanim jeszcze odebrałem ów list, o którego szczerości wątpić wydawało mi się takim szaleństwem, może przekonałby się, że to on miał słuszość. Bo zbliżając się do Gilberty, która, przechylona w tył na krześle, mówiła, żebym wziął list, nie dając mi go, odczułem taki pociąg do jej ciała, że powiedziałem:

— Słuchaj, nie daj go sobie odebrać, sprawdzimy, kto jest silniejszy.

Ukryła list za plecami, ja ująłem ją rękami za kark, podnosząc warkocze, spadające jej na ramiona (czy że to było odpowiednie dla jej wieku, czy że matka chciała z niej dłużej robić dziecko, aby się odmłodzić sama); mocowaliśmy się wyprężeni. Staralem się przyciągnąć Gilbertę, opierała się; policzki jej, rozpalone wysiłkiem, były czerwone i okrągłe jak wiśnie; śmiała się tak, jakbym ją łaskotał; trzymałem ją ściśniętą między nogami jak drzewko, na które bym się wdrapywał; i pośród tej gimnastyki, z lekkim przyspieszeniem oddechu, zrodzonym z wysiłku mięśni i z podniecenia zabawą, rozlałem — niby kilka kropel potu wyciśniętego wysiłkiem — swoją rozkosz, przy której nie mogłem się zatrzymać nawet na tyle, aby poznać jej smak. Natychmiast wziąłem list. Wówczas Gilberta rzekła z dobrocią:

— Wiesz, jeżeli chcesz, możemy się mocować jeszcze trochę.

Może uczuła mętnie, że moja gra miała inny cel niż ten, który podałem, ale nie umiała poznać, żem go osiągnął. A ja, obawiając się, aby tego nie spostrzegła (a pewne cofnięcie się wstecz, niby gest obrażonego wstydu, zbudziło we mnie w chwilę potem myśl, że miałem rację się lękać), zacząłem się dalej mocować, iżby Gilberta nie przypuszczała, że ja nie miałem innego celu tylko ten, po którym pragnąłem już tylko siedzieć spokojnie przy niej.

Wracając, spostrzegłem, przypomniałem sobie nagle ukryty dotąd obraz, do którego zbliżył mnie, nie dając mi go ujrzeć ani rozpoznać, cuchnący prawie sadzą chłód okratowanego kiosku. Obrazem tym był pokoik wuja Adolfa w Combray, wydzielający

Zabawa

Zapach

w istocie ten sam zapach wilgoci. Ale nie mogłem zrozumieć (i odłożyłem dociekanie tego na później), czemu przypomnienie tak nikłego obrazu dało mi tyle szczęścia. Na razie, zdawało mi się, że w istocie zasłużył na wzdargę pana de Norpois; ponad wszystkich pisarzy przekładałem dotąd tego, którego on nazywał prostym „wirtuozem na flecie”, a w prawdziwą egzaltację wprawiła mnie nie jakaś doniosła myśl, ale woń stęchlizny.

Od pewnego czasu w pewnych rodzinach nazwa Pól Elizejskich — jeżeli ją ktoś wymówił w czasie wizyty — spotykała się u matek z ową niechętną miną, z jaką przyjmują nazwisko głośnego lekarza, który, jak twierdzą, postawił zbyt wiele błędnych diagnoz, aby móc jeszcze budzić zaufanie. Upewniano, że ten ogród nie służy dzieciom; że można by przytoczyć niejeden wypadek zapalenia gardła, niejedną odrę i sporo gorączek, za które on był odpowiedzialny. Nie kwestionując otwarcie troskliwości matki, która wciąż mnie tam posyłała, przyjaciółki ubolewały jednak nad jej zaślepieniem.

Mimo uświęconego poglądu, neuropaci są może ludźmi, którzy obserwują się — „nasłuchują” — najmniej; słyszą w sobie tyle rzeczy, którymi — jak się okazuje potem — niesłusznie się niepokoi, że w końcu nie zwracają uwagi na żadną. Ich system nerwowy tak często krzychał: „Ratunku!”, niby w ciężkiej chorobie (kiedy po prostu miał padać śnieg albo miało się zmienić mieszkanie), że przyzwyczajają się nie brać w rachubę owych ostrzeżeń, podobnie jak żołnierz, który w zapale walki lekceważy je tak bardzo, że, będąc umierający, zdolny jest prowadzić jeszcze przez kilka dni życie zdrowego człowieka. Pewnego ranka, nosząc w sobie zespół zwykłych niedomagań, których stałe i wewnętrzne krążenie zawsze ignorowałem, niby krążenie swojej krwi, wbiegłem rażno do jadalni, gdzie rodzice już siedzieli przy stole. Powiadając sobie, jak zwykle, iż czuć zimno może znaczyć nie to, że trzeba się ogrzać, ale na przykład to, że się było połajany, a nie mieć apetytu to, że będzie padał deszcz, nie zaś, że nie trzeba jeść — siadłem do stołu. Naraz, w chwili gdy miał przełknąć pierwszy kąsek apetycznego kotleta, zatrzymały mnie nudności, zawrót głowy, gorączkowa odpowiedź rozpoczynającej się choroby, której objawy przesłonił i opóźnił chłód mojej obojętności, ale która uparcie odmawiała niepożądanego dla organizmu pożywienia. Wówczas, w tej samej sekundzie, myśl, że mi nie pozwolą wyjść, o ile spostrzegą, że jestem chory, dała mi — niby instynkt samozachowawczy ranemu — siłę zawleczenia się do swego pokoju (gdziem spostrzegł, że mam 40° gorączki), a potem wybierania się na Pola Elizejskie. Poprzez mdlejące i przepuszczalne ciało, którym była spowita, moja uśmiechnięta myśl żądała owej tak słodkiej przyjemności partii „klas” z Gilbertą; i w godzinę później, ledwo trzymając się na nogach, ale szczęśliwy, miałem siłę kosztować jej jeszcze.

Za powrotem Franciszka oświadczyła, że jestem niezdrow, że musiała mnie „chycić frybra”. Wezwany natychmiast lekarz oświadczył, że „woli” „powagę” i „nasilenie” stanu gorączkowego (który towarzyszył przekrwieniu płuc i który będzie tylko „słomianym ogniem”) od bardziej „zdradliwych” i „utajonych” form choroby. Od dawna już podlegałem dusznościom i nasz lekarz (mimo niezadowolenia babki, która widziała mnie już beznadziejnym alkoholikiem), oprócz kofeiny, którą mi przepisano dla ułatwienia oddychania, radził mi piwo, szampan lub koniak, skoro uczuję, że się zbliża napad. Ataki — powiedział — rozchodzą się w „euforii” spowodowanej alkoholem. Aby się babka zgodziła na podanie mi alkoholu, musiałem często nie ukrywać, ale wręcz ostentacyjnie okazywać stan duszności. Zresztą, z chwilą gdym czuł, że atak się zbliża, zawsze niepewny jego rozmiarów, niepokoiłem się o zmartwienie babki, któremu się obawiał znacznie więcej niż własnego cierpienia. Ale równocześnie, ciało moje — czy nazbyt słabe, aby zachować sekret tego cierpienia, czy obawiając się, aby w nieświadomości grożącego ataku, nie żądano ode mnie jakiegoś wysiłku, który byłby dla tego ciała niemożliwy lub niebezpieczny — rodziło we mnie potrzebę ostrzeżenia babki o moich przypadłościach, z dokładnością, w którą wkładałem w końcu fizjologiczną niejako skrupulatność. Skorom spostrzegłem w sobie jakiś przykry objaw, którego dotąd nie wyróżniłem, ciało moje było w rozpaczy póty, pókim się nie podzielił tym symptomem z babką. Jeżeli babka udawała, że nie zwraca na to uwagi, ciało żądało, aby wrócić do owego tematu. Czasami szedłem za daleko; i ukochana twarz, która nie zawsze już umiała tak jak dawniej panować nad swymi wzruszeniami, zdradzała wyraz współczucia, bolesny skurcz. Wówczas serce moje cierpiało od jej bólu; i jak gdyby moje pocałunki mogły zatrzeć to zmartwienie, jak gdyby moja czułość mogła dać babce tyleż radości co moje szczęście, rzucałem się w jej ramiona.

A że skrupuły uspokoiły się skądinąd pewnością, że babka zna mój stan, ciało nie sprzeciwiało się temu, abym ją uspokoił. Zaręczałem jej, że ten stan nie ma nic przykrego, że nie trzeba mnie żałować; może być pewna, że jestem szczęśliwy! Moje ciało chciało uzyskać ściśle tyle litości, na ile zasługiwało, i byleby wiedziano, że je boli w prawym boku, nie miało nic przeciw temu, abym oznajmił, że ten ból nie jest żadną katastrofą i że nie jest dla mnie przeszkodą do szczęścia. Bo ciało moje nie miało pretensji do filozofii; to nie był jego wydział.

Podczas rekonwalescencji miałem prawie co wieczór napady duszności. Pewnego wieczora, kiedy babka zostawiła mnie w dość dobrym stanie, zaszła do mego pokoju bardzo późno i spostrzegła, że mi brak oddechu. „Och, Boże, jak ty cierpisz!” — wykrzyknęła ze zmienioną twarzą. Opuściła mnie natychmiast, usłyszałem trzask bramy; za jakiś czas babka wróciła z koniakiem, po który pojechała, bo go nie było w domu. Niebawem zacząłem się czuć szczęśliwy. Babka, trochę czerwona, miała minę nieswoją, w oczach wyraz zmęczenia i zwątpienia.

— Wolę cię zostawić, żebyś skorzystał trochę z tej poprawy — rzekła, opuszczając mnie nagle. Uściskałem ją i uczulem na jej policzkach coś mokrego; nie wiedziałem, czy to wilgoć nocnego powietrza, z którego wróciła. Nazajutrz przyszła do mnie aż wieczór, bo musiała — powiedziano mi — wyjść z domu. Uznałem to za dowód wielkiej obojętności i trzeba mi było panować nad sobą, aby babce tego nie wymówić.

Kiedy duszności powtarzały się, mimo że stan zapalny już ich nie usprawiedliwiał, rodzice wezwali profesora Cottard. W tego rodzaju wypadkach lekarzowi nie wystarczy być uczonym. Wobec objawów, mogących pochodzić z kilku różnych chorób, w rezultacie węgł lekarza, jego rzut oka, rozstrzygają, z którą z nich — mimo mniej więcej podobnych symptomów — ma się prawdopodobnie do czynienia. Temu tajemniczemu darowi nie musi towarzyszyć znakomitość innych cech intelektualnych; osobnik całkiem pospolity, lubiący najgorsze malarstwo, najgorszą muzykę, niemający żadnych zainteresowań umysłowych, może doskonale posiadać ów dar. W moim wypadku to, co było dostępne bezpośredniej obserwacji, mogło mieć równie dobrze jako przyczynę spazm nerwowy, początek gruźlicy, astmę, autointoksykację z następową niedomogą nerek, chroniczny nieżyt oskrzeli, wreszcie stan złożony, w który wchodziłoby kilka z tych czynników. Otóż spazm nerwowy najlepiej było zlekceważyć; gruźlica żądała wielkiej troskliwości i forsownego odżywiania, które byłoby szkodliwe dla astmy artretycznej, a mogło się stać niebezpieczne w razie dusznicy toksyalimentarnej, wymagającej diety zgubnej znowuż dla gruźlika. Ale wahanie profesora Cottard było krótkie, a przepisy stanowcze.

— Energiczne środki przeczyszczające, mleko przez kilka dni, nic tylko mleko. Żadnego mięsa, żadnego alkoholu.

Matka szepnęła, że potrzebuję przecież wzmocnienia, że jestem już dość nerwowy, że taka kuracja i taka dieta wyniszcza mnie. W oczach Cottarda, tak niespokojnych, jakby się obawiał spóźnić na pociąg, ujrzałem, że profesor pyta sam siebie, czy się nie dał uwieść swojej wrodzonej łagodności. Starał się sobie przypomnieć, czy pamiętał przybrać zimną maskę, jak ktoś sprawdza w lustrze, czy nie zapomniał zawiązać krawata. W tej niepewności, jakby chcąc na wszelki wypadek nadrobić zaniedbanie, odpowiedział niegrzecznie:

— Nie mam zwyczaju dwa razy powtarzać swoich przepisów. Niech mi pani da pióro. I zwłaszcza mleko. Później, kiedy przetniemy ataki i bezsenność, zgadzam się na trochę zupy, potem purée, ale wciąż mleko, mleko. Oto jest moje *mleczenie*. — (Uczniowie jego znali ten kalambur, który profesor popełniał w szpitalu za każdym razem, kiedy choremu na serce lub wątrobę zalecał mleczną dietę). — Potem chory wróci pomału do zwykłego trybu życia. Ale za każdym razem, kiedy się zjawia kaszel i dusznica, znów przeczyszczenie, lewatywy, łóżko, mleko.

Profesor wysłuchał z lodowatą twarzą, bez odpowiedzi, ostatnich zastrzeżeń matki i kiedy odszedł, nie racząc podać motywów tej kuracji, rodzice uznali ją za niewłaściwą dla mojej choroby, za niepotrzebnie osłabiającą i nie spróbowali jej. Starali się oczywiście ukryć przed profesorem swoje nieposłuszeństwo i dla pewności unikali domów, gdzie by go mogli spotkać. Później, kiedy mój stan się pogarszał, zdecydowano się wykonać ściśle przepisy Cottarda; po trzech dniach nie miałem już rzężeń ani kaszlu i oddychałem dobrze. Wówczas zrozumieliśmy, że Cottard, znajdując mnie, jak powiedział później, dość astmatycznym, a zwłaszcza „narwanym”, poznał, że w tej chwili przeważa u mnie zatrucie

i że, opróżniając wątrobę i przepłukując nerki, odciąży oskrzela, wróci mi oddech, sen i siły. I zrozumieliśmy, że ten głupiec jest wielkim klinicystą.

Mogłem wreszcie wstać. Ale postanowiono mnie już nie posyłać na Pola Elizejskie. Powiadano, że są zapowietrzzone; sądziłem, że korzystano z tego pozoru, abym już nie mógł widywać panny Swann. Zmuszałem się do tego, aby powtarzać bez przerwy imię Gilberty, niby ów język ojczysty, który zwyciężeni starają się przechować, aby nie zapomnieć ojczyzny, której już nie ujrzą. Od czasu do czasu matka wodziła mi ręką po czole, mówiąc:

— Więc już małe chłopczyki nie opowiadają mamusi swoich sekretów?

Franciszka zachodziła do mnie co dnia, powiadając:

— Ależ panicz wygląda! Panicz się sobie nie przyjrzał, czysty umrzyk!

Faktem jest, że gdybym miał zwyczajny katar, Franciszka przybrałaby tę samą karaniarską minę. Biadolenia te bardziej były związane z jej „klasą” niż z moim stanem zdrowia. Nie orientowałem się wówczas, czy ten pesymizm był u Franciszki bolesny czy zadowolony. Uznałem prowizorycznie, że jest klasowy i zawodowy.

Pewnego dnia, w godzinie poczty, matka położyła mi na biurku list. Otworzyłem go z roztargnieniem, bo nie mógł mieć jedyne go podpisu zdolnego mnie uszczęśliwić, podpisu Gilberty, z którą poza Polami Elizejskimi nie byłem w stosunkach. Arkusik ozdobiony był srebrną pieczęcią, przedstawiającą rycerza w hełmie, pod którym wiła się dewiza: *Per viam rectam*¹⁴; list zaś kreślony był dużym pismem, gdzie wszystkie zdania zdawały się podkreślone, po prostu dlatego, że wszystkie „t”, przekreślone nie przez literę, ale nad literą, tworzyły linię pod odpowiednim słowem górnego wiersza. U dołu ujrzałem — podpis Gilberty. Ale, ponieważ uważałem ten podpis w liście adresowanym do mnie za niemożliwy, widok ten, niepoparty wiarą, nie sprawił mi radości; raczej przez chwilę powlókł nierealnością wszystko, co mnie otaczało. Z zawrotną szybkością ten nieprawdopodobny podpis grał w cztery kąty z moim łóżkiem, z kominkiem, ze ścianą. Wszystko mi tańczyło w oczach jak komuś, kto spada z konia; pytałem sam siebie, czy nie ma jakiegoś istnienia, zupełnie odmiennego niż to, które znałem, sprzecznego z nim, ale właśnie prawdziwego, i to istnienie, objawiwszy mi się nagle, napełniało mnie owym wahaniem, jakie, malując Sąd Ostateczny, rzeźbiarze dali zmarłym, obudzonym na progę tamtego świata.

„Drogi przyjacielu — mówił list — dowiedziałam się, żeś był bardzo cierpiący i że już nie przychodzisz na Pola Elizejskie. Ja też nie chodzę, bo tam jest mnóstwo chorych. Ale moja gromadka przychodzi do nas na podwieczorek co poniedziałek i co piątek. Mama każe ci powiedzieć, że zrobiłbyś nam wielką przyjemność, gdybyś przyszedł, skoro tylko poczujesz się lepiej; będziemy mogli podjąć w domu nasze miłe rozmowy z Pól Elizejskich. Do widzenia zatem, mam nadzieję, że rodzice pozwolą ci przychodzić bardzo często, i ślę ci wyrazy szczerzej przyjaźni. Gilberta”.

Podczas gdy czytałem te słowa, mój system nerwowy przyjmował z cudowną pilnością nowinę, że zdarzyło mi się wielkie szczęście. Ale duch mój, to znaczy ja sam — ostatecznie głównie zainteresowany — nie wiedział o tym jeszcze. Szczęście, szczęście przez Gilbertę, to była rzecz, o której stale myślałem, rzecz cała w myślach; to była, jak powiedział Leonardo o malarstwie, *cosa mentale*¹⁵. Ćwiartki papieru pokrytej pismem myśl nie przyswaja sobie od razu. Ale, skoro tylko skończyłem czytać list, zacząłem myśleć o nim, stał się przedmiotem marzenia, stał się i on także *cosa mentale*, i kochałem go już tak, że co pięć minut trzeba mi było odczytywać go, całować. Wówczas poznałem swoje szczęście.

Życie usiane jest cudami, których zawsze mogą spodziewać się ci, co kochają. Możliwe jest, że ten cud wywołała sztucznie mama, która, widząc, że od jakiegoś czasu straciłem wszelką chęć do życia, poprosiła może w jakiś sposób Gilberty, aby do mnie napisała, tak jak w czasie moich pierwszych kąpiei morskich, chcąc mnie zachęcić do nurkowania, czego nie cierpiałem, bo traciłem przy tym oddech, wręczała w sekrecie kąpielowemu cudowne skrzynki z muszel i gałazki koralu, o których myślałem, że je sam znajduję

¹⁴*per viam rectam* (lac.) — prostą drogą. [przypis edytorski]

¹⁵*La pittura è cosa mentale* (wł.) — obraz to kwestia (dotycząca) umysłu; sentencja streszczająca pogląd, że w sztuce malarskiej nie technika, rysunek, nakładanie farb itp. są najważniejsze, ale główne założenie, proces umysłowy poprzedzający działanie twórcze. [przypis edytorski]

na dnie morza. Zresztą we wszystkich wypadkach, które w życiu i jego splątanych sytuacjach odnoszą się do miłości, najlepiej jest nie starać się zrozumieć, skoro w tym, co mają nieubłaganego lub niespodziewanego, zdają się podlegać prawom raczej mistycznym niż racjonalnym. Kiedy multimilioner, człowiek mimo to uroczy, dostawszy odprawę od ubogiej i nieładnej kobiety, z którą żyje, przyzywa wszystkie potęgi złota i wprawia w ruch wszystkie wpływy ziemi, nie mogąc uzyskać swego powrotu do łask, wówczas, wobec niezwykłego uporu jego kochanki, lepiej przypuścić, że to Los chce go zmiażdżyć i uśmiercić chorobą serca, niż szukać logicznego wytłumaczenia. Te przeszkody, z którymi kochankowie muszą walczyć i które ich przegrzana cierpieniem wyobraźnia próżno sili się odgadnąć, tkwią czasem w jakiejś osobliwości charakteru kobiety, w jej głupocie, w czymś wpływie na nią, obawach, jakie jej podsunęły osoby, których kochanek nie zna, w rodzaju przyjemności, jakich ona w danej chwili żąda od życia, a których ów amant wraz z całym swoim majątkiem nie może jej dostarczyć. W każdym razie kochanek jest ostatnim człowiekiem zdolnym odgadnąć naturę przeszkód, które kobieca chytryść mu ukrywa, a których własny jego sąd, spaczony miłością, nie umie ściśle ocenić. Podobne są owym guzom, które lekarz usuwa w końcu, nie poznawszy jednak ich pochodzenia. Jak owe guzy, przeszkody te zostają tajemnicze, ale są czasowe. Jedynie trwają zwykle dłużej niż miłość. Że zaś miłość nie jest namiętnością bezinteresowną, kochanek, który już nie kocha, nie stara się przeniknąć, czemu uboga i lekka kobieta, którą kochał, uparcie odpychała przez całe lata jego i jego dostatek.

Otóż, ta sama tajemnica, która często w sprawach miłości osłania przyczynę katastrof, równie często spowija nagłość pewnych szczęśliwych rozwiązań (takiego na przykład, jakie mi przyniósł list Gilberty). Rozwiązania szczęśliwe, bodaj z pozoru — nie ma bowiem naprawdę szczęśliwych rozwiązań dla uczucia mającego tę właściwość, że wszelkie uczynienie mu zadość przesuwają jedynie ból w inne miejsce. Czasami wszelako następuje pauza i ma się jakiś czas złudzenie zdrowia.

Co się tyczy listu (w którym Franciszka wzbraniała się uznać imienia Gilberty, ponieważ ozdobne „G”, wsparte na pozbawionym kropki „i”, wyglądało na „A”, gdy ostatnią sylabę przedłużały w nieskończoność ząbki zakrętasa), gdyby się chciało szukać racjonalnego wyjaśnienia zwrotu przejmującego mnie taką radością, można by pomyśleć, że go zawdzięczał poniekąd przypadkowi, który na pozór mógł być, przeciwnie, zgubić mnie na zawsze w pojęciu Swannów. Niedługo przedtem zaszedł do mnie Bloch, w chwili gdy profesor Cottard (którego, od czasu jak się trzymałem jego diety, sprowadzono znowu) znajdował się w moim pokoju. Konsultacja była skończona, a Cottard bawił już tylko jako gość, bo go rodzice zatrzymali na obiad. Wśród ogólnej rozmowy, Bloch opowiedział, że podobno pani Swann bardzo mnie lubi; słyszał to od osoby, z którą sąsiedował wczoraj na proszonym obiedzie i która żyje bardzo blisko z panią Swann. Byłbym chciał odpowiedzieć, że się z pewnością myli, przez ten sam skrupuł, który mi kazał oświadczyć panu de Norpois (z obawy, aby mnie pani Swann nie wzięła za kłamcę), że nie znam pani Swann i że z nią nigdy nie rozmawiał. Ale nie miałem odwagi sprostować błędu Blocha, zrozumiałwszy, że błąd był świadomy; jeżeli Bloch zmyślił słowa, jakich pani Swann nie mogła w istocie powiedzieć, to dlatego, aby oznajmić coś, co sam Bloch uważał za pochlebne dla siebie, a co nie było prawdą, mianowicie że był gdzieś na obiedzie z przyjaciółką tej damy. Otóż, jak pan de Norpois, dowiadując się, że nie znam pani Swann, a pragnąłbym ją poznać, pilnie wystrzegając się wspomnieć jej o mnie, tak Cottard (będący jej lekarzem), wnosząc ze słów Blocha, że ona mnie dobrze zna i ceni, pomyślał, iż powiedzieć jej przy sposobności, że jestem przemyślnym chłopcem, z którym on jest bardzo blisko, nie zda się na nic mnie, a będzie pochlebne dla niego; dwie ręce, które go skłoniły do wspomnienia o mnie przed Odetą, gdy się nadarzyła sposobność.

Wówczas poznałem to mieszkanie, z którego przenikał aż na schody zapach perfum pani Swann, ale które bardziej jeszcze nasycił wonią osobliwą i bolesny urok wydzielający się z życia Gilberty. Nieubłagany odzwierciadla, zmieniony w życzliwą Eumenidę, kiedy go pytałem, czy mogę wejść, życzliwym uchyleciem kaszkietu przywykł oznajmiać, że ziszcza moją prośbę. Okna, które, widziane z ulicy, między mnie a nieprzeznaczone dla mnie skarby wstawały swoje błyszczące, dalekie i obojętne spojrzenie, wyobrażające dla mnie spojrzenie samych państwa Swann, teraz, kiedy w pogodny dzień spędziłem całe popołudnie z Gilbertą w jej pokoju, otwierałem je sam, aby wpuścić trochę powietrza

i zarazem aby się wychylić obok Gilberty — o ile to był dzień przyjęć jej matki — oglądając schodzących się gości, którzy często, podnosząc głowę przy wysiadaniu z powozu, pozdrawiali mnie ręką, biorąc mnie za jakiegoś kuzynka pani domu. W chwilach tych warkocze Gilberty dotykały moich policzków. Wydawały mi się, w delikatności swoich naturalnych zarazem i nadnaturalnych włókien, w potędze swojej artystycznej liścianki, dziełem jedynym, na które zużytkowano sam trawnik Raju. Jakiegoż niebiańskiego zielnika nie dałbym za oprawę nawet ich najmniejszej cząsteczki! Ale, nie spodziewając się uzyskać prawdziwego pasemka tych warkoczy, gdybym bodaj mógł posiadać ich fotografię, o ileż cenniejszą niż fotografia kwiatków rysowanych przez Leonarda da Vinci! Aby ją uzyskać, rozwinąłem wobec przyjaciół Swannów, a nawet wobec fotografów zabiegi, które nie dały mi tego, czegom pragnął, ale przyniosły mi wiekiuste stosunki z ludźmi bardzo nudnymi.

Wchodziłem do mrocznego przedpokoju, gdzie nieustannie wisiała — groźniejsza i bardziej upragniona niż niegdyś w Wersalu zjawienie się króla — możliwość spotkania państwa Swann i gdzie zazwyczaj, potknąwszy się o olbrzymie wieszadło, siedmioramienne niby świecznik w Piśmie, składałem przeproszenia i ukłony kamerdynerowi, siedzącemu w długiej szarej szacie na drewnianej skrzyni; brałem go w ciemności za panią Swann. Rodzice Gilberty, którzy tak długo nie pozwolili mi jej widywać, teraz — jeżeli jedno z nich przechodziło tamtędy w chwili mego przybycia — nie tylko nie mieli miny groźnej, ale ściskali mi z uśmiechem rękę i mówili:

— Jak się pan *mjewa* — (wymawiali oboje przez *j*, co, jak łatwo pojąć, wróciwszy do domu sililem się naśladować w nieustannym i rozkosznym ćwiczeniu). — Czy Gilberta wie, że pan przyszedł? Zatem, do zobaczenia.

Co więcej, same te podwieczorki, które Gilberta wyprawiała dla przyjaciółek i które tak długo zdawały mi się jedną z najbardziej nieprzebranych przeszkód między nami, stały się teraz sposobnością widzenia się, o czym — jako dość świeżego jeszcze znajomego — zawiadamiała mnie pisemnie, za każdym razem na innym papierze listowym. Raz był ozdobiony błękitnym wypukłym pieskiem nad humorystycznym podpisem angielskim oraz wykrzyknikiem; to znów kotwicą; albo cyfrą „G.S.”, przesadnie wydłużoną w prostokąt na całą wysokość stronicy, lub wreszcie imieniem *Gilberta*, to skreślonym na ukos w rogu złotymi literami, które naśladowały jej podpis i tworzyły zakrętą nad czarno odcisniętym otwartym parasolem; to ujętym w monogram w kształt chińskiego kapelusza, zawierający wszystkie głoski imienia wielkimi literami, z których nie można było odczytać ani jednej. W końcu, ponieważ seria papierów listowych Gilberty, mimo iż liczna, nie była nieskończona, po szeregu tygodni ujrzałem, że wraca ten, który nosił, jak za pierwszym razem, godło: *Per viam rectam* nad rycerzem w hełmie, w medalionie z oksydowanego srebra. I każdy papier miał swój specjalny dzień, wedle pewnego symbolicznego klucza, jak myślałem wówczas, ale teraz sądzę, iż dlatego, że Gilberta starała się spamiętać gatunki papieru użyte w swojej korespondencji, tak aby, o ile można, nie pisać nigdy na tym samym, przynajmniej do osób, dla których zadawała sobie fatygę.

Ponieważ wskutek odmiennych godzin lekcji jedne przyjaciółki Gilberty żegnały się już w chwili, gdy inne dopiero przybywały, już od schodów słyszałem dobywający się z przedpokoju szmer głosów, który, mocą wzruszenia, o jakie mnie przyprawiała ta imponująca uroczystość, zrywał nagle, nim wszedłem do sieni, więzy łączące mnie jeszcze z poprzednim życiem i odejmował mi zgoła pamięć o tym, że mam zdjąć szalik, skoro się znajdę w cieple i uważać na godzinę, aby nie wrócić za późno.

Schody te, całe z drzewa, jak je robiono wówczas w niektórych czynszowych domach w owym stylu Henri II, który był długi czas ideałem Odety, a z którego miała niebawem wyrósć, opatrzone tabliczką bez odpowiednika w naszym domu, gdzie czytało się słowa: „Nie wolno się posługiwać windą do jazdy w dół”, zdawały mi się czymś tak wspaniałym, że opisałem je rodzicom jako starożytne schody, przywiezione z bardzo daleka przez pannę Swanna. Moja miłość prawdy była taka, że nie wahałbym się podać tego objaśnienia, nawet gdybym wiedział, że jest fałszywe, ponieważ ono jedno mogło narzucić rodzicom mój własny szacunek dla godności schodów państwa Swann. Tak wobec ignoranta niezdolnego pojąć, na czym polega geniusz wielkiego lekarza, uważalibyśmy za właściwe nie zdradzić, że on nie umie uleczyć kataru. Że jednak nie miałem żadnego zmysłu spostrzegawczego, nie znając na ogół ani nazwy, ani gatunku rzeczy, na które patrzyłem,

rozumiejąc tylko, iż skoro coś tyczy się Swannów, musi być nadzwyczajne, nie byłem pewny, czym popełnił kłamstwo, informując rodziców o artystycznej wartości oraz o egzotycznym pochodzeniu tych schodów. Nie wydawało mi się to pewne, ale musiało mi się wydawać prawdopodobne, bo czułem, że się mocno rumienię, kiedy ojciec przerwał mi, mówiąc: „Znam te domy, widziałem jeden taki, wszystkie są do siebie podobne; Swann zajmuje po prostu parę pięter, to Berlier budował te kamienice”. Dodał, że chciał wynająć mieszkanie w jednym z tych domów, ale się rozmyślił, bo rozkład okazał się niewygodny i wejście nie dość widne. Tak mówił ojciec, ale ja uczułem instynktownie, że mój intelekt powinien dla uroku Swannów i dla mego szczęścia uczynić wszystkie możliwe ofiary; jakoż, mocą wewnętrznego nakazu, mimo to com usłyszał, odsunąłem na zawsze od siebie — niby dewot *Życie Jezusa* Renana — destrukcyjną myśl, że dom Swannów jest zwyczajnym mieszkaniem, w którym moglibyśmy mieszkać.

Tak w owe dnię podwieczorków, wznosząc się po schodach stopień po stopniu, już wyzuty z myśli i pamięci, będąc jedynie igraszką najniższych refleksów, docierałem do strefy, w której dawał się czuć zapach pani Swann. Zdawało mi się, że już widzę majestat czekoladowego tortu, otoczonego kręgiem talerzyków z ptifurami oraz szarych serwetek w deseń, wymaganych przez etykietę i właściwych domowi Swannów. Ale ta nieodmienna i uregulowana całość zdawała się, niby konieczny wszechświat kantowski, zależeć od najwyższego aktu wolności. Skorośmy się bowiem znaleźli wszyscy w saloniku Gilberty, naraz, patrząc na zegarek, Gilberta mówiła:

— Słuchajcie państwo, zapomniałam już, kiedy jadłam śniadanie, obiad aż o ósmej, miałabym ochotę coś przetrącić. Co wy na to?

I wprowadzała nas do jadalni, ciemnej jak wnętrze azjatyckiej świątyni pędzla Rembrandta, gdzie kunsztownie zbudowany tort, równie pocziwy i dobroduszny jak imponujący, zdawał się figurować tam na wszelki wypadek, jak co dzień, w razie gdyby Gilberte przyszła ochota pozbawić go jego czekoladowych blanków i zwalić niby bastiony pałacu Dariusza jego mury o stromych i dzikich skarpach, wypalone w piecu. Co więcej, aby przystąpić do zniszczenia tej wypieczonej Niniwy, Gilberta nie radziła się jedynie własnego apetytu; wywiadywała się także o mój, wydobywając dla mnie ze zwałonej budowli całą ścianę lakierowaną i przegrodzoną szkarłatnymi owocami, w guście Wschodu. Pytała mnie nawet, o której godzinie rodzice moi jedzą obiad, jak gdybym mógł to jeszcze wiedzieć, jak gdyby ogarniające mnie wzruszenie pozwoliło przetrwać w mojej pustej pamięci i sparaliżowanym żołądku wrazeniu sytości lub głodu, idei obiadu lub obrazowi rodziny. Na nieszczęście, paraliż ten był tylko chwilowy. Miał przyjść moment, gdy trzeba będzie strawić ciastka, którem nabierał machinalnie na talerz... Ale moment ten był jeszcze daleki. Na razie Gilberta przyrządzała mi „moją herbatę”. Piłem ją bez końca, gdy jedna jedyna filiżanka odbierała mi sen na dwadzieścia cztery godziny! Toteż matka zwykła była mówić:

— To przykre, ten małec nie może iść do Swannów, żeby nie wrócić chory.

Ale czyż ja bodaj wiedziałem, gdym był u Swannów, że piję herbatę? Gdybym wiedział, byłbym ją pił tak samo, bo przyjąwszy nawet, że bym odzyskał na chwilę poczucie terażniejszości, nie byłoby mi to wróciło wspomnienia przeszłości i przewidywania przyszłości. Wyobraźnia moja nie była zdolna osiągnąć odległego czasu, kiedy mi przyjdzie położyć się do łóżka i zapragnąć snu.

Nie wszystkie przyjaciółki Gilberty znajdowały się w tym stanie upojenia, w którym decyzja jest niemożliwa. Niektóre odmawiały herbaty! Wówczas, Gilberta wygłaszała frazes bardzo rozpowszechniony w owej epoce:

— Stanowczo nie mam powodzenia z moją herbatą. Dostaję kosza.

I aby tym skuteczniej usunąć charakter uroczystości, burzyła porządek krzeseł dokoła stołu:

— To wygląda jak obiad weselny; mój Boże, jaka ta służba jest głupia.

Chrupała ciasteczka, siedząc bokiem na krześle w formie „x” ustawionym w poprzek. Nawet, jak gdyby Gilberta mogła mieć do rozporządzenia tyle ptifurów bez zgody matki, kiedy pani Swann — której „żurek” schodził się zazwyczaj z podwieczorkami Gilberty — odprowadziwszy jakiegoś gościa, wchodziła w chwile potem, pędem, czasem ubrana w niebieską aksamitną suknię, często w czarną atlasową z białymi koronkami, mówiła ze zdziwioną miną:

— O, to dobrze wygląda, co wy tutaj jecie, aż mnie przychodzi apetyt, kiedy was widzę, jak chrupiecie keksy.

— Wybornie, mam, zapraszamy cię — odpowiadała Gilberta.

— Ależ nie, skarbie, co by powiedzieli moi goście: mam jeszcze panią Trombert, panią Cottard i panią Bontemps; wiesz, że ta kochana pani Bontemps nie ma zwyczaju siadywać krótko, a dopiero co przyszła. Co by powiedzieli wszyscy ci zacni ludzie, widząc, że się nie zjawiam. O ile nikt więcej nie przyjdzie, wrócę tu pogawędzić z wami (co mnie ubawi o wiele więcej), kiedy one pójdą. Myślę, że zasłużyłam na trochę spokoju, miałam czterdzieści pięć osób, a z tych czterdzieści dwie mówiły o obrazie Gérôme'a! Ale niech pan przyjdzie którego dnia — (mówiła do mnie) — do Gilberty na *swoją* herbatę; przyrządzi ją panu tak, jak pan lubi, tak jak pan ją pija w swoim małym „studio” — dodawała pani Swann, pomykając do gości i tak jak gdyby moje przyzwyczajenia, których przyszedłem szukać w tym tajemniczym świecie, były czymś dobrze znanym. (Gdybym nawet miał zwyczaj pijania herbaty, co się tyczy „studio”, byłem w wielkiej niepewności, czy je posiadam). — Kiedy pan przyjdzie? Jutro? Będą na pana czekały *tosty* równie dobre jak u Colombina. Nie? Jest pan niegodziwy — powiadała pani Odeta, od czasu bowiem, jak sama zaczynała mieć „salon”, naśladowała wzięcie pani Verdurin, jej tonik mizdrzącego się despotyzmu. Ponieważ „tosty” były dla mnie czymś równie nieznanym jak Colombin, obietnica ta niewiele mogłaby przydać mojej pokusie. Osobliwsze wyda się, że nie zrozumiał w pierwszej chwili, o kim mówi pani Swann, kiedy usłyszał, jak wychwała przede mną naszą starą „nurse”. (Dziś wszyscy mówią w ten sposób, może i w Combray). Nie umiałem po angielsku, ale zrozumiałem rychło, że to słowo oznacza Franciszkę. Ja, który na Polach Elizejskich tak się bałem złego wrażenia, jakie Franciszka może sprawić, dowiedziałem się od pani Swann, że wszystko, co Gilberta opowiadała o mojej „nurse”, obudziło w niej i w jej mężu sympatię do mnie. „Czuć, że taka jest panu oddana, że jest tak na miejscu”. (Natychmiast zmieniłem całkowicie swoje pojęcie o Franciszce; posiadać guwernantkę strojną w gumowy płaszcz i w piórko nie wydało mi się już tak konieczne). Wreszcie z kilku słów, jakie się wymknęły pani Swann o pani Blatin, której uznawała życzliwość, ale której wizyt się bała, zrozumiałem, że osobiste stosunki z tą damą nie byłyby dla mnie równie cenne, jak przypuszczałem i nie poprawiłyby w niczym mojej sytuacji u Swannów.

Jeżeli już zacząłem zgłębiać, z owym drżeniem szacunku i radości, czarodziejską dziedzinę, która, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, otwarła przede mną swoje zamknięte dotąd aleje, czyniłem to jedynie w charakterze przyjaciela Gilberty. Królestwo, do którego mnie dopuszczono, samo mieściło się w innym, jeszcze bardziej tajemniczym, gdzie Swann i jego żona wiedli swoje nadprzyrodzone życie i dokąd kierowali się, uściskawszy mi rękę, kiedy się mijali ze mną w hallu. Ale niebawem wniknąłem i do serca sanktuarium. Na przykład Gilberty nie było, a państwo Swann byli w domu. Pytali, kto dzwonił, i słysząc, że to ja, prosili, abym wstąpił do nich na chwilę, pragnąc, bym użył, w tym lub innym sensie i w tej lub innej sprawie, swojego wpływu na ich córkę. Przypomniałem sobie ów list, tak znaczący, tak przekonujący, którym niegdyś napisał do Swanna i na który on nie raczył nawet odpowiedzieć! Podziwiałem bezsilność rozumu, logiki i serca, gdy chodzi o to, aby spowodować najmniejszą odmianę, aby rozwiązać bodaj jedną z owych trudności, które później życie, nie wiadomo jak, rozwiązuje tak łatwo. Moja nowa rola przyjaciela Gilberty, mającego na nią znakomity wpływ, dawała mi obecnie te same przywileje, co gdybym, kolegując w szkole jako prymus z jakimś królewskim synem, przypadkowi temu zawdzięczał wstęp do Pałacu i audiencje w sali tronowej. Z nieskończoną dobrocią i tak jakby nie był przeciążany dostojnymi zajęciami, Swann wpuszczał mnie do swojej biblioteki i pozwalał mi całą godzinę mętnym bełkotem i wystraszonym milczeniem, przerywanym krótkimi i bezładnymi wybuchami odwagi, odpowiadać na słowa, z których wzruszenie nie pozwalało mi zrozumieć nic a nic; pokazywał mi dzieła sztuki i książki, mogące mnie, jak sądził, zainteresować. Co do mnie, z góry byłem przeświadczony, że przedmioty, które mi pokazuje, pięknoscią swoją nieskończenie przewyższają wszystko, co posiada Luwr i Biblioteka Narodowa, ale nie byłem zdolny na nie patrzeć.

W tych chwilach kamerdyner Swanna sprawiłby mi przyjemność, każąc mi oddać sobie zegarek, szpilkę od krawata, buciki i podpisać akt, w którym uznałbym go swoim spadkobiercą: wedle pięknego popularnego wyrażenia, którego autor — jak twórcy

najsłynniejszych epopei — jest nieznan, ale które, jak one, i wbrew teorii Wolfa, z pewnością miało autora (jeden z owych twórczych i skromnych duchów, jakie zjawiają się co rok, robiąc odkrycia takie jak „dawać nazwisko epoce”, ale nie utrwalając własnego nazwiska) — *nie wiedziałem już, co się ze mną dzieje*. Co najwyżej, dziwiłem się, kiedy wizyta się przeciągała, do jak nikłej realizacji, do jakiego braku szczęśliwej konkluzji wiodły te godziny przeżyte w zaczarowanej krainie. Ale mój zawód nie płynął ani z ubóstwa pokazywanych mi arcydzieł, ani z niemożności zatrzymania na nich roztargnionego wzroku. Bo nie wewnętrzna piękność rzeczy czyniła mi pobyt w gabinecie Swanna czymś cudownym, ale związane z tymi rzeczami — mogłyby być najbrzydsze w świecie! — swoiste, smutne i rozkoszne uczucie, które umiejscawiałem w nich od lat i które nasycalo je jeszcze. Toż samo mnogość zwierciadeł, srebrnych szczonek, ołtarzyków św. Antoniego Padewskiego rzeźbionych i malowanych przez największych artystów, a przyjaciół Odety, nie grało żadnej roli w poczuciu mojej własnej niegodności, a jej królewskiej wspaniałomyślności. Bo takiego uczucia doznawałem, kiedy pani Swann przyjmowała mnie przez chwilę w pokoju, gdzie trzy piękne i imponujące istoty — pierwsza, druga i trzecia garderobiana — przygotowywały z uśmiechem cudowne toalety, i dokąd, na rozkaz wyrażony przez kamerdynera w krótkich spodniach („jaśnie pani pragnie powiedzieć słówko”), kierowałem się krętą ścieżką korytarza, przesyconego na odległość szacownymi esencjami, jakie bez przerwy słały z gotowalni swoje balsamiczne wonie.

Kiedy pani Swann wróciła do gości, słyszeliśmy jeszcze jej głos i śmiech, bo nawet wobec dwóch osób i tak jakby miała przed sobą wszystkich *wiernych*, podnosiła głos, rzucała słówka, tak jak często w „małym klanie” robiła to przy Odecie „pryncypała” w chwili, gdy „kierowała rozmową”. Najbardziej lubimy się posługiwać wyrażeniami, których świeżo pożyczylimy od innych, przynajmniej przez jakiś czas, toteż pani Swann wybierała albo zwroty, przejęte od dystyngowanych ludzi, z którymi mąż musiał ją w końcu zapoznać (od nich zapożyczyła pewne maniery składni), to znów od osób pospolitszych (na przykład „to jeszcze jest nic”, ulubione wyrażenie jednej z przyjaciółek Odety). Zwroty te starała się lokować we wszystkich historyjkach, które, zwyczajem wyniesionym z „małego klanu”, lubiła opowiadać. Mówiła chętnie później: „Lubię bardzo tę historyjkę”, „och, przynajmniej, to jest *piękna* historia”, co przejęła przez męża od Guermantów, których nie znała.

Pani Swann opuściła jadalnię, ale mąż jej, który właśnie wrócił z miasta, zjawił się z kolei u nas.

— Nie wiesz, czy mama jest sama, Gilberto?

— Nie, ma jeszcze gości, papusku.

— Jak to, jeszcze, o siódmej! To przerażające. Biedna kobieta musi być złamana. To okropne.

(W domu słyszałem zawsze słowo *okropne* wymawiane zwyczajnie, z akcentem na przedostatniej, ale oboje państwo Swann akcentowali „o-kropne”, na pierwszej).

— Pomyśl pan, od drugiej popołudniu! — ciągnął, zwracając się do mnie. — A Kammilla mówiła mi, że między czwartą a piątą było ze dwanaście osób. Co ja mówię dwanaście, zdaje mi się, że powiedziała czternaście. Nie, dwanaście; sam już nie wiem. Wracając, nie pamiętałem, że to żurek Odety i kiedym ujrzał wszystkie te powozy przed bramą, myślałem, że to jakieś wesele. I od czasu, jak jestem w bibliotece, dzwonek nie ustał ani na chwilę, dają słowo, głowa mnie od tego boli. Dużo ich jest tam jeszcze?

— Nie, tylko dwie.

— Nie wiesz kto?

— Pani Cottard i pani Bontemps.

— A! żona szefa kancelarii ministra robót publicznych.

— Wiem, że jej mąż jest czymś tam w ministerium, ale nie wiem dobrze czym — mówiła Gilberta, udając dziecko.

— Jak to, mała gąsko, mówisz tak, jakbyś miała dwa lata. Co ty pleciesz: „czymś tam w ministerium”? Jest po prostu szefem kancelarii, szefem całego kramu. Ależ nie, gdzie ja mam głowę, jestem tak samo nieprzytomny jak ty. Nie jest szefem kancelarii, ale *dyrektorem* kancelarii.

— Ja tam nie wiem; więc to jest dużo być dyrektorem kancelarii? — odpowiadała Gilberta, która nie traciła nigdy sposobności zmanifestowania obojętności na wszystko,

co lechtało próżność jej rodziców (mogła zresztą myśleć, że dodaje jedynie blasku tak świetnej znajomości, nie przywiązując do niej na pozór zbytnej wagi).

— Jak to, czy to dużo — krzychał Swann, który wolał język bardziej wyrazisty niż tę skromność, mogącą mi zostawić jakieś wątpliwości. — Ależ to po prostu pierwszy po ministrze! To nawet więcej niż minister, on robi wszystko. Zdaje się zresztą, że to jest głowa, człowiek pierwszorzędny, jednostka zupełnie wybitna. Jest oficerem Legii Honorowej. Przemięły człowiek, nawet bardzo przystojny.

(Żona pana Bontemps wyszła zresztą za niego wbrew wszystkiemu, dlatego że to był „człowiek czarujący”. Miał — co wystarczy, aby stworzyć rzadką i subtelną całość — jasną jedwabistą brodę, regularne rysy, nosowy głos, przykry oddech i szklane oko).

— Powiem panu — dodał Swann, zwracając się do mnie — że bawi mnie bardzo widzieć tych ludzi w obecnym rządzie, bo to są Bontemps z rodziny Bontemps-Chenut, typ reakcyjno-klerikalnego mieszczaństwa o ciasnych poglądach. Pański zacny dziadek znał dobrze, przynajmniej ze słyszenia i z widzenia, starego Chenut, który, mimo że bardzo bogaty na swoje czasy, dawał tylko jednego sou napiwku woźnicy; a także barona Bréau-Chenut. Cały majątek przepadł w krachu Union Générale (pan jest za młody, aby to móc pamiętać) no i odbudowali się, jak mogli.

— To wuj jednej dziewczynki, która chodziła ze mną na pensję, o parę klas niżej, sławnej „Albertyny”. Będzie z pewnością bardzo „fist”, ale na razie jest trochę dziwna.

— Zdziwiająca jest ta moja córka, zna wszystkich.

— Ja jej nie znam. Widywałam ją tylko w przelocie; wciąż się słyszało Albertyna to, Albertyna owo. Ale znam panią Bontemps i też mi się nie podoba.

— Zupełnie nie masz racji, jest miła, ładna, inteligentna. Jest nawet dowcipna. Pójdę się z nią przywitać: zapytam się, czy jej mąż przypuszcza, że będziemy mieli wojnę i czy można liczyć na króla Teodojusza. On to musi wiedzieć, nieprawdaż, skoro zasiada w radzie bogów?

Nie w ten sposób przemawiał Swann niegdyś; ale któż nie widział księżniczek krwi bardzo prostych w obejściu, jeżeli w dziesięć lat później zdarzy się im uciec z lokajem, kiedy się starają odzyskać miejsce w świecie i czują, że świat niechętnie u nich bywa, jak przybierają od razu ton starych „pił”, i gdy ktoś cytuje jakąś modną księżnę, skwapliwie mówią: „Była wczoraj u mnie” i „Och, ja żyję bardzo na uboczu”. Toteż zbyteczne jest obserwować obyczaje, skoro je można wywieść z praw psychologicznych.

Swannowie przyswoili sobie tę wadę ludzi, u których mało kto bywa; wizyta, zaproszenie, nawet grzeczne słówko wpływowszych nieco osób, były dla nich wydarzeniem, któremu radzi byli dać rozgłos. Jeżeli zły los chciał, aby Verdurinowie byli w Londynie, gdy Odeta miała jakiś efektowniejszy obiad, starali się, aby przez wspólnego przyjaciela wiadomość o tym doszła panią Verdurin kablem przez La Manche. Nawet pochlebnych listów, telegramów otrzymanych przez Odetę, Swannowie niezdolni byli zachować dla siebie. Powtarzało się je przyjaciółom, puszczało się je w kurs. W ten sposób salon Swannów podobny był do owych hoteli w miejscach kąpielowych, gdzie wywiesza się na ścianie depesze.

Zresztą osoby znające dawnego Swanna nie tylko poza „światem”, jak ja go znałem, ale w świecie Guermantów, który, wyjąwszy altessy i diuszessy, był niezmiernie wymagający na punkcie inteligencji i wdzięku; gdzie wydawano wyrok banicji na ludzi wybitnych, uznanych przez ów świat za nudnych i pospolitych; te osoby mogłyby się zdziwić, stwierdzając, że dawny Swann przestał być nie tylko dyskretny, kiedy mówił o swoich stosunkach, ale przestał być trudny, gdy chodziło o ich wybór. W jaki sposób pani Bontemps, tak płaska, tak jadowita, nie działała mu na nerwy? Jak mógł twierdzić, że jest miła? Wspomnienie świata Guermantów powinno było uchronić go od takich pomyłek; w rzeczywistości sprzyjało im. U Guermantów, w przeciwieństwie do trzech czwartych kół światowych, był smak, smak wyrafinowany nawet, ale był też snobizm, dopuszczający przerw w stosowaniu smaku. Jeżeli chodziło o kogoś, kto nie był tej koterii nieodzowny, o jakiegoś ministra spraw zagranicznych, nadętego trochę republikanina, o gadatliwego akademika, ów smak obracał się wręcz przeciw niemu; Swann ubolewał nad panią de Guermantes, że musi cierpieć przy stole sąsiedztwo podobnych figur w jakiejś ambasadzie; tysiąc razy przekładano nad nich światowego bywalca, to znaczy człowieka z klanu Guermantów, zero, ale posiadającego „ducha Guermantów”, człowieka z tej samej kapliczki.

Obyczaje, Pozycja społeczna

Jedynie gdy jakaś wielka księżna, jakaś księżniczka krwi bywała często na obiadach u pani de Guermantes, wówczas stawała się i ona częścią tej kapliczki, nie mając po temu żadnych praw, nie posiadając nic z jej ducha. Ale z chwilą, gdy ją przyjmowano, starano się — z całą naiwnością ludzi światowych — wmówić w siebie, że jest miła, skoro nie można było sobie powiedzieć, że się ją przyjmuje dlatego, bo jest miła. Skoro taka królewska wysokość opuściła salon, Swann, przychodząc z pomocą pani de Guermantes, powiadał:

— W gruncie to dobra kobiecina, ma nawet pewne poczucie humoru. Mój Boże, nie sądzę, aby zgłębiła *Krytykę czystego rozumu*, ale nie jest przykra.

— Jestem całkowicie pańskiego zdania — odpowiadała księżna Oriana. — Do tego była dziś onieśmielona, ale zobaczycie, że ona może być urocza.

— Jest o wiele mniej nudna niż pani X (żona gadatliwego akademika, kobieta naprawdę niepospolita), która cytuje wam dwadzieścia tomów!

— Ależ nie może być najmniejszego porównania!

Swann przyswoił sobie tedy u księżnej Oriany zdolność mówienia takich rzeczy i to mówienia szczerze; i zachował tę zdolność. Posługiwał się nią teraz w stosunku do ludzi, którzy u niego bywali. Starał się spostrzegać i lubić w nich pewne przymioty, które wszelka istota ludzka objawia, jeśli się na nią patrzy życzliwie, nie zaś z wybrednym grymasem; podkreślał zalety pani Bontemps, jak niegdyś zalety księżnej parmeńskiej, którą powinno się było wykluczyć z kółka Guermantów, gdyby ono nie zachowało uprzywilejowanego wstępu dla księżniczek krwi i gdyby w stosunku do nich brano pod uwagę jedynie inteligencję i wdzięk. Widzieliśmy zresztą w swoim czasie, że Swann skłonny był (stosował to obecnie jedynie konsekwentnie) wymieniać swoją towarzyską sytuację na inną, która mu w danych okolicznościach bardziej odpowiadała. Jedynie ludzie niezdolni rozłożyć w swojej percepcji tego, co na pierwszy rzut oka wydaje się nierozdzielne, myślą, iż sytuacja zrosnięta jest z osobą. Ta sama jednostka, oglądana w kolejnych momentach życia, zanurza się na rozmaitych stopniach drabiny społecznej w środowiskach, które niekoniecznie są coraz to wyższe; i za każdym razem kiedy, w odmiennym okresie egzystencji, zawiązujemy lub nawiązujemy węzły z pewnym środowiskiem, kiedy czujemy się tam dobrze, zaczynamy zupełnie naturalnie przywiązywać się do niego, zapuszczając tam korzenie.

Co się tyczy pani Bontemps, sądzę także, iż Swann, mówiąc o niej z takim naciskiem, myślał z pewną przyjemnością, iż rodzice moi dowiedzą się, że pani Bontemps bywa u jego żony. Prawdę mówiąc, nazwiska osób, które pani Swann stopniowo pozyskiwała, u nas w domu więcej budziły ciekawości niż wzniecały podziwu. Słyszając o pani Trombert, matka mówiła:

— A, to nowa zdobycz, która jej ściągnie inne.

I jak gdyby przyrównując do wojny kolonialnej agresywny nieco, szybki i gwałtowny sposób, w jaki pani Swann zdobywała swoje znajomości, mama dodawała:

— Teraz, kiedy Trombertowie są ujarzmieni, sąsiednie plemiona nie omieszkają się poddać.

Kiedy matka spotkała panią Swann na ulicy, powiadała nam za powrotem:

— Widziałam panią Swann w pełnym rynsztunku, musiała ciągnąć na jakąś zwycięską wyprawę na Masseszutów, Syngalezów lub Trombertów.

I kiedy wymieniałem osoby, które widywałem w tym mieszanym nieco i sztucznym środowisku, dokąd często ściągano owe osoby z różnych światów i z niejakim trudem, mama odgadywała natychmiast ich pochodzenie. Mówiąc o nich niby o drogo okupionych trofeach, dodawała:

— Owoc wyprawy tam a tam.

Co się tyczy pani Cottard, ojciec dziwił się, że pani Swann mogła widzieć jakąś korzyść w pozyskaniu tej nieeleganckiej mieszczki, i powiadał: „Mimo sytuacji profesora, wyznaję, że nie rozumiem”. Matka, przeciwnie, rozumiała bardzo dobrze; wiedziała, że znaczna część przyjemności, jaką kobieta znajduje w tym, aby się wedrzeć w środowisko odmienne od tego, w którym żyła dawniej, byłaby dla niej stracona, gdyby nie mogła poinformować swoich dawnych znajomych o nowych, stosunkowo świetniejszych znajomościach, jakimi ich zastąpiła. Do tego trzeba świadka, którego się wpuszcza w ten nowy i rozkoszny świat, niby we wnętrze kwiatu brzęczącego i lotnego owada, który potem, w miarę swoich wizyt, rozpuści — taką ma się przynajmniej nadzieję — nowinę,

utajony załówek zazdrości i podziwu. Pani Cottard, jak stworzona do tej roli, należała do owej specjalnej kategorii gości, których mama, mająca pewne rysy humoru swego ojca, nazywała: „Przechodniu, powiedz Sparcie...”. Zresztą — poza inną racją, o której dowiedziano się aż w wiele lat później — pani Swann, zapraszając tę przyjaciółkę, życzliwą, nienarzucającą się i skromną, nie potrzebowała się obawiać, że wprowadza do siebie, na swoje świetne „żurki”, zdrażczynię lub rywalkę. Znała olbrzymią liczbę kielichów mieszczących, które ta czynna robotnica raz uzbrojona w egretkę i w *porte-cartes* — mogła odwiedzić w ciągu jednego popołudnia. Znała jej siłę zapylającą i opierając się na rachunku prawdopodobieństwa, miała prawo sądzić, że niemal z pewnością ten czy ów stały gość Verdurinów dowie się już na trzeci dzień, iż gubernator Paryża rzucił bilety pani Swann, albo że sam pan Verdurin usłyszy, iż pan Le Hault de Pressagny, prezes Zawodów Hipiczych, zabrał oboje Swannów na galę dla króla Teodozjusza. Pani Swann wyobrażała sobie Verdurinów poinformowanych jedynie o tych dwóch pochlebnych dla niej wydarzeniach, gdyż poszczególne materializacje, pod którymi wyobrażamy sobie i ścigamy sławę, są ograniczone wskutek niemocy naszego umysłu, niezdolnego wyroić sobie naraz wszystkich form, których — wedle naszych ryczałtowych nadziei — sława nie omieszka dla nas przybrać.

Zresztą pani Swann uzyskiwała sukcesy jedynie w tak nazwanym „świecie oficjalnym”. Kobiety modne nie bywały u niej. Nie żeby je wystraszyła obecność republikańskich świeczników. Za czasu mego dzieciństwa wszystko, co należało do sfery konserwatywnej było światowe, w szanującym się zaś salonie niepodobna było przyjmować republikanina. Osoby żyjące w takim środowisku wyobrażały sobie, że niemożliwość zaproszenia kiedykolwiek „oportunisty”, a tym bardziej okropnego radykała, była rzeczą, która przetrwa wiecznie, jak lampy naftowe i omnibusy konne. Ale, podobne kalejdoskopom obracającym się od czasu do czasu, społeczeństwo przetrząsa składniki na pozór niewzruszone i tworzy inny deseń. Nie zdążyłem jeszcze przystąpić do pierwszej komunii, kiedy dobrze myślące damy ze zdumieniem spotkały na jakiejś wizycie elegancką Żydówkę. Te przemieszczenia kalejdoskopu wynikają z tego, co pewien filozof nazwałby zmianą kryterium. W epoce nieco późniejszej od tej, w której zacząłem bywać u pani Swann, sprawa Dreyfusa przyniosła nowe kryterium, i kalejdoskop przesyłał jeszcze raz swoje barwne szkielek. Wszystko, co trąciło Żydem spadło gwałtownie — nawet elegancka dama — a pokątni nacjonałści wzniesli się, zajmując miejsce tamtych. Najświetniejszym salonem Paryża stał się salon pewnego austriackiego księcia, arcykatolika. Gdyby zamiast sprawy Dreyfusa przyszła wojna z Niemcami, kalejdoskop zmieniłby się w innym sensie. Żydzi, okazawszy się ku powszechnemu zdumieniu patriotami, zachowaliby swoją sytuację, a nikt by już nie zechciał chodzić do księcia austriackiego, ani nawet przyznać się, że tam kiedykolwiek bywał.

To nie przeszkadza, że za każdym razem, kiedy społeczeństwo jest chwilowo nieruchome, ci co w nim żyją, wyobrażają sobie, że już nie nastąpi żadna zmiana, tak samo jak, pamiętając początki telefonu, nie chcą wierzyć w samoloty. Zarazem felietonowi filozofowie zohydzają poprzedni okres, nie tylko jego rodzaj zabaw, który się im wydaje szczytem zepsucia, ale także dzieła artystów i myślicieli, pozbawionych już w ich oczach wszelkiej wartości, jak gdyby one były nierozzerwalnie związane z kolejnymi odmianami światowej płochości. Jedyną rzeczą, która się nie zmienia, jest każdorazowe uczucie, że „coś się zmieniło we Francji”. W chwili, gdym zaczął bywać u pani Swann, sprawa Dreyfusa jeszcze nie wybuchła i niektórzy wielcy Żydzi byli bardzo potężni; ale nikt nie był potężniejszy niż sir Rufus Israels, którego żona, lady Israels, była ciotką Swanna. Osobiście *lady* nie miała stosunków tak wytwornych jak jej siostrzeniec, który znowuż, nie lubiąc tej ciotki, nigdy zbytnio nie pielęgnował tego krewieństwa, mimo że prawdopodobnie miał być jej spadkobiercą. Ale to była jedyna z krewnych Swanna mająca świadomość jego światowej pozycji, gdy inni zachowali w tej mierze niewiedzę, będącą długo naszym udziałem. Kiedy w danej rodzinie jeden z jej członków wzniesie się w wielki świat — co się jemu samemu wydaje czymś jedynym, zanim z perspektywy dziesięciu lat stwierdzi, że tego samego dokazał na inny sposób i z innych racji niejeden towarzysz jego młodości — stwarza dokoła siebie jakby strefę cienia. Owa *terra incognita* jest bardzo widoczna w swoich najmniejszych odcieniach dla wszystkich, co ją zamieszkują, ale jest jedynie nocą i nicością dla tych, którzy w nią nie wchodzą i którzy, ocierając się o nią,

nie podejrzewają tuż obok siebie jej istnienia. Ponieważ żadna agencja Havasa nie objaśniła kuzynkę Swanna o jego stosunkach, przeto (przed jego okropnym małżeństwem, oczywiście) opowiadano sobie z pobłażliwym uśmiechem na obiadach rodzinnych, że się „cnotliwie” obróciło niedzielę na wizytę u „kuzynka Karola”, którego, uważając go za nieco zawistnego ubogiego krewnego, nazywano dowcipnie, przez aluzję do tytułu Balzaka, „Le Cousin Bête”. Ale lady Israels wiedziała doskonale, kim są osoby szanujące Swanna przyjaźnią, o którą była zazdrosna. Rodzina jej męża, mniej więcej równoznaczna z Rotszyldami, prowadziła od kilku pokoleń interesy książąt Orleanu. Lady Israels, osoba bardzo bogata, miała wielki wpływ i użyła ich na to, aby nikt z jej znajomych nie przyjmował Odety. Jedną osobą nie usłuchała jej potajemnie: hrabina de Marsantes. Otóż nieszczęście chciało, że gdy Odeta była z wizytą u pani de Marsantes, prawie równocześnie weszła tam lady Israels. Pani de Marsantes była jak na szpilkach. Z tchórzostwem ludzi, którzy przecież mogliby sobie na wszystko pozwolić, nie odezwała się ani razu do Odety, co nie zachęciło pani Swann do wciskania się w sfery niestanowiące zresztą bynajmniej świata, gdzie lubiłaby być. W swojej zupełnej obojętności na Faubourg Saint-Germain Odeta nadal była ciemną kokotką, bardzo w tym różną od mieszczanek w najdrobniejszych szczegółach genealogii; od owych ludzi, którzy lekturą starych pamiętników oszukują żądze arystokratycznych stosunków, skoro im ich życie realne nie dozwala. Z drugiej strony, Swann był z pewnością nadal amantem, któremu wszystkie te właściwości dawnej kochanki wydają się miłe lub niewinne; często bowiem słyszałem, jak żona jego wygłaszała istne herezje światowe, on zaś (przez resztkę czułości, przez lekceważenie lub przez lenistwo i obojętność na jej braki) nie starał się ich prostować. Może była to również forma owej prostoty, która nas zmyliła w Combray i która sprawiała obecnie, że podtrzymując wciąż, przynajmniej na własny rachunek, znajomości bardzo świetne, Swann nie lubił, aby w rozmowie, w salonie jego żony, wydawało się, że do nich przywiązuje wagę. Miały zresztą dla Swanna mniej wagi niż kiedykolwiek, ile że środek ciężkości jego życia przesunął się.

Bądź jak bądź, nieświadomość Odety w kwestiach światowych była taka, że, jeżeli nazwisko księżnej Marii de Guermantes zjawiało się w rozmowie po nazwisku diuszessy¹⁶ Oriany, jej kuzynki, Odeta mówiła: „A, tamci są książęta, awansowali!”. Jeżeli ktoś powiedział „*prince*”, mówiąc o diuku de Chartres, ona poprawiała: „*Duc*, on jest *duc de Chartres*, a nie *prince*”. Na księcia Orleanu, syna hrabiego Paryża, mówiła: „To zabawne, syn jest więcej niż ojciec”, dodając jako anglomanka: „Gubi się człowiek w tych *Royalties*”.

Swann był zresztą ślepy na punkcie Odety nie tylko wobec luk jej wychowania, ale także wobec ubóstwa jej inteligencji. Więcej jeszcze: ile razy Odeta opowiadała jakąś głupią historię, Swann słuchał żony z przyjemnością, z rozbawieniem, niemal z podziwem, w który musiały wchodzić resztki rozkoszy; gdy przeciwnie, jego spostrzeżeń, często inteligentnych, nawet głębokich, Odeta słuchała zazwyczaj bez zainteresowania, pobieżnie, niecierpliwie, czasem przeczyła mu szorstko. I można wnosić, że to ujarzmienie elity przez pospolitość jest regułą w wielu małżeństwach, skoro się pomyśli, na odwrót, o tylu kobietach wyższych, które oczarował jakiś cham, bezlitosny cenzor ich najsztudniejszych myśli, gdy one rozplywają się z pobłażliwą tkliwością nad płaskimi facecjami męża.

Aby wrócić do przyczyn, które nie pozwoliły Odecie w owej epoce dostać się do Faubourg Saint-Germain, trzeba powiedzieć, że najświeższy obrót światowego kalejdoskopu był następstwem serii skandalów. W kobietach, u których bywano z całym zaufaniem, odkryto dziewczyny publiczne, angielskich szpiegów! Zaczęto przez jakiś czas żądać od ludzi (tak sądzono przynajmniej), aby byli przede wszystkim solidni, pewni... Odeta przedstawiała ściśle wszystko to, z czym właśnie zerwano, aby zresztą natychmiast

¹⁶księżnej (...) diuszessy — polski język nie ma terminów na odróżnienie tytułów *duc* i *prince*, które trzeba nam tłumaczyć jednakowo przez książę. Toteż w dalszym ciągu nieraz przyjdzie nam się spotkać z dwoma książętami de Guermantes: Błażem (duc de Guermantes) i Gilbertem (prince de Guermantes), oraz z dwiema księżnymi: Błażejową (Oriona) i Gilbertową (Maria). Na ogół *duc* stoi wyżej w hierarchii tytułów, poza paroma rodami, w których tytuł *prince* posiadał szczególne dostojenie, oraz poza „księżętami krwi”, członkami panujących domów, którym również daje się ogólnie tytuł *prince*, ale barwiący się wówczas innym odcieniem. Książę Orleański, duc de Chartres, hrabia Paryża, potomkowie francuskiej rodziny panującej, wciąż przez rojalistów uznawanej za królewską, mają inny porządek tytułów, wsparty na tradycji. Nazwiska i tytuły arystokratyczne wędrują wedle specjalnych praw: i tak prince des Laumes zaczął się tytułować od śmierci swego ojca duc de Guermantes, podczas gdy jego rodzony brat zowie się baron de Charlus itd. [przypis tłumacza]

nawiązać, ludzie bowiem nie zmieniają się z dnia na dzień i szukają w nowym ustroju kontynuacji dawnego. Ale szukano tego samego pod inną formą, która podtrzymywała złudną wiarę, że to już nie jest owa sosjeta sprzed katastrofy. Otóż Odeta zbyt była podobna do dam wyświeconych z tej sfery. Ludzie światowi są bardzo krótkowzroczni; w chwili gdy zrywają wszelkie stosunki z wykwintnymi Izraelitkami, swymi znajomymi, wówczas szukając, czym by zapłacić tę próżnię, spostrzegają, wyrosłą jak grzyb po deszczu, nową damę, również Izraelitkę; ale dzięki swojej nowości, nie kojarzy się ona w ich umyśle, jak poprzednie, z tym, co w swoim przekonaniu powinni nienawidzić. Nie żąda, aby szanowano jej Boga. I świat przygarnia tę damę. W epoce, gdym zaczynał bywać u pani Swann, nie było mowy o antysemityzmie. Ale Odeta była zbyt podobna do tego, od czego chwilowo chciano uciec.

Co się tyczy Swanna, odwiedzał on często niektórych dawnych znajomych, zatem osoby z największego świata. Ale, kiedy nam mówił o ludziach, od których wracał, zauważyłem, że wśród jego dawnych stosunków obecnie wybór Swanna kierował się tym samym rodzajem pół-artystycznych, pół-historycznych upodobań, jakie powodowały nim jako kolekcjonerem. Często jakaś zdeklasowana dama interesowała go, bo była niegdyś kochanką Liszta lub też Balzac dedykował którąś powieść jej babce. Podobnie Swann kupował jakiś rysunek, dlatego że go opisał Chateaubriand. Patrząc na to, zacząłem podejrzewać, że o ile popełnialiśmy swego czasu błąd, uważając Swanna za mieszcza obcego wielkiemu światu, zastąpiliśmy ten błąd innym, uważając go z kolei za jednego z lwów paryskich. Być przyjacielem hrabiego Paryża — to nie znaczy nic. Iluż jest owych „przyjaciół książąt krwi”, których nie przyjęto by w bodaj trochę wybredniejszym salonie. Książęta krwi wiedzą, czym są, nie są snoby, uważają się zresztą za coś o tyle powyżej reszty ludzkości, że wielcy panowie i mieszczenie wydają się im czymś prawie na jednym poziomie.

Zresztą Swann, wybierając nazwiska, które przeszłość wpisała w wytworny świat i które jeszcze można tam czytać, nie zadowalał się szukaniem w towarzystwie zwykłych przyjemności kulturalnego człowieka i artysty. Znajdował dość grubą rozrywkę w tym, aby robić jak gdyby bukiety towarzyskie, grupując różnorodne składniki, gromadząc osoby pozbierane to tu, to tam. Te doświadczenia „socjologii uciesznej” (przynajmniej w oczach Swanna) nie u wszystkich przyjaciółek jego żony — przynajmniej nie stale — znajdowały jednak odzew. „Mam ochotę zaprosić razem Cottardów i księżnę Vendôme” — mówił Swann, śmiejąc się, do pani Bontemps, z miną smakosza, który ma ochotę na próbę zastąpić w jakimś sosie goździki pieprzem *cayenne*. Otóż ten zamiar, który miał się wydać rozkoszny Cottardom, posiadał dar przywodzenia do rozpaczki pani Bontemps. Swannowie przedstawili ją świeżo księżnej Vendôme, co sama pani Bontemps uważała za równie miłe jak naturalne. Pochwalić się tym przed Cottardami, było nie najmniej smakowitą częścią tej przyjemności. Ale jak świeżo obdarzeni Legią chcieliby natychmiast zamknąć kran z odznaczeniami, tak pani Bontemps byłaby pragnęła, aby po niej nikogo z jej świata nie przedstawiono dostojnej księżnej krwi. Przeklinała w duchu perwersję Swanna, który, aby ziszczyć kaprys estety, rozwiewał jednym zamachem wszystkie piasek, jaki ona rzuciła w oczy Cottardom, mówiąc im o księżnej Vendôme. Jak ona będzie nawet mogła powiedzieć mężowi, że profesor i jego żona dostąpią z kolei udziału w przyjemności, którą zachwalała mu jako jedyną! Gdybyż jeszcze Cottardowie mogli wiedzieć, że zaproszono ich nie na serio, ale dla zabawy! Prawda, że państwa Bontemps zaproszono w tej samej intencji; ale Swann, przejąwszy od arystokracji ów wiekuisty donżuanizm, który między dwiema kobietami „z gminu” pozwala każdej wierzyć, że ją jedną kocha się prawdziwie, mówił pani Bontemps o księżnej Vendôme jako o bardzo naturalnym dla niej towarzystwie. „Tak, mamy zamiar zaprosić jej dostojność razem z Cottardami — rzekła w parę tygodni później pani Swann — mąż uważa, że ta koniunkcja może wydać coś zabawnego” — o ile bowiem zachowała z „małego klanu” pewne przyzwyczajenia drogie pani Verdurin, jak na przykład krzyżeć bardzo głośno, aby być słyszaną przez wszystkich wiernych, w zamian za to używała pewnych wyrażen — jak „koniunkcja” — ulubionych sferom Guermantów, których wpływowi ulegała w ten sposób na odległość i nie wiedząc o tym, jak morze ulega wpływowi księżycy, nie zbliżając się do niego widocznie.

— Tak, Cottardowie i księżna Vendôme, czy nie uważa pani, że to będzie zabawne? — pytał Swann.

— Ja myślę, że to będzie bardzo źle pasowało i że ściągnie na pana same przykrości, nie trzeba igrzać z ogniem — odparła pani Bontemps, wściekła.

I ją, i jej męża, zarówno jak księcia d'Agrigente, zaproszono zresztą na ten obiad, o którym pani Bontemps i Cottard opowiadali na dwa sposoby, zależnie od osób, z którymi rozmawiali. Jednym, pani Bontemps na swoją rękę, Cottard na swoją, mówili od niechcienia, kiedy ich pytano, czy był kto jeszcze na owym obiedzie:

— Był tylko książę d'Agrigente, to było w ścisłym kółku.

Ale zdarzało się, że ktoś był lepiej poinformowany; raz nawet ktoś powiedział do Cottarda: „Ale czy nie było także państwa Bontemps?” — Zapomniałem o nich” — odparł, rumieniąc się, Cottard niedyskretnemu człowiekowi, którego odtąd mieścił w kategorii „złych języków”. Dla takich państwo Bontemps i Cottardowie, nie porozumiewając się z sobą, przyjęli wersję, której rama była jednaka, jedynie nazwiska się zmieniały. Cottard mówił: „No cóż, byli tylko państwo domu, oboje księstwo Vendôme, dalej — (tu uśmiechał się z zadowoleniem) — profesorostwo Cottard, i daję słowo, lichy wie, po co — bo byli tam potrzebni jak włos w zupie — byli ci Bontemps”. Pani Bontemps recytowała dokładnie ten sam kawałek, z tym, że między księżną Vendôme a księciem d'Agrigente, wyszczególniała z zadowoloną emfazą państwa Bontemps, intruzami zaś, których w końcu obwiniała o to, że się sami wprosilili i że zepsuli towarzystwo, byli Cottardowie.

Ze swoich wizyt Swann wracał często niedługo przed obiadem. W tych chwilach, o tej szóstej wieczór, kiedy niegdyś czuł się tak nieszczęśliwy, nie pytał już sam siebie, co Odeta może właśnie robić, i niewiele troszczył się o to, czy ma gości, czy też wyszła. Przypominał sobie czasem, iż wiele lat temu próbował jednego dnia przeczytać przez kopertę list Odety do pana de Forcheville. Ale to wspomnienie nie było mu przyjemne. Zamiast zgłębiać wstyd, jaki w tej chwili odczuwał, wołał zrobić lekki grymas, dopełniony w potrzebie ruchem głowy, który oznaczał: „co mnie to może obchodzić?”. Zapewne, Swann uważał obecnie, że hipoteza, przy której często zatrzymywał się niegdyś i wedle której wyłącznie mająci jego zazdrości oczerniały niewinne w istocie życie Odety, że ta hipoteza (w sumie pomyślna, skoro tak długo, jak długo trwała miłosna choroba Swanna, zmniejszyła jego cierpienia, przedstawiając mu je jako urojone) była mylna, że to zazdrość jego widziała trafnie, i że, o ile Odeta kochała go więcej, niż sądził, zdradzała go także więcej. Niegdyś, gdy tak cierpiał, Swann poprzysiągł sobie, że kiedy już nie będzie kochał Odety i nie będzie się już bał pogniewać jej lub zdradzić się z tym, iż ją zanadto kocha, uczyni sobie tę satysfakcję, aby wyświecić — przez czystą miłość prawdy i jako fakt historyczny — czy Forcheville był z nią w łóżku owego dnia, kiedy Swann dzwonił i tłukł w szyby nadaremnie i kiedy ona napisała Forchevillovi, że zaszedł ich jej wuj. Ale ów problem, tak interesujący, że Swann czekał jedynie końca zazdrości z tym, aby go wyświecić, stracił właśnie wszelkie znaczenie w jego oczach, skoro przestał być zazdrosny. Co prawda nie zaraz. Nie był już zazdrosny o Odetę, ale dzień owego daremnego pukania do willi przy ulicy La Pérouse wciąż jeszcze w nim podsycił zazdrość. To było tak, jak gdyby zazdrość — podobna w tym do owych chorób, które zdają się mieć swoją siedzibę, swoje źródło infekcji, nie tyle w pewnych osobach, ile w pewnych miejscach, w pewnych domach — miała za przedmiot nie tyle samą Odetę, ile ów dzień, ową godzinę straconej przeszłości, kiedy Swann pukał do wszystkich drzwi kochanki. Można by rzec, iż jedynie ten dzień, ta godzina, utrwaliły jakieś ostatnie cząstki dawnej miłosnej osobowości Swanna i że ów odnajdywał je już tylko tam. Od dawna już nie dbał o to, że go Odeta zdradzała niegdyś i że może go zdradzać jeszcze. A mimo to, wciąż przez kilka lat szukał dawnych służących Odety, tak dalece przetrwała w nim bolesna chęć dowiedzenia się, czy owego dnia, tak już odległego, o szóstej, Odeta była z Forchevillem. Później sama ta ciekawość znikła, ale śledztwo Swanna nie ustało. Nadal starał się przeniknąć to, co go już nie obchodziło, bo jego dawne *ja*, doszedłszy do zupełnego uwiadu, działało jeszcze machinalnie, w duchu wygasłych zainteresowań. Tak iż Swann nie potrafił już sobie nawet odtworzyć tego wzruszenia, niegdyś tak mocnego, że nie mógł sobie wyobrazić wówczas, aby się zdołał kiedyś zeń wyzwolić; jedynie śmierć tej, którą kochał (śmierć, która — jak to w dalszym ciągu tego dzieła wykaże okrutna kontr-próba — nie zmniejsza w niczym cierpienie zazdrości) zdawała mu się zdolna wyrównać dlań całkowicie zablokowaną drogę życia.

Ale wyjaśnić kiedyś fakty z życia Odety, które przyniosły mu tę mękę, nie było jedynym pragnieniem Swanna. Przyrzekał sobie również zemścić się za to, co wycierpiał,

wówczas gdy, nie kochając już Odety, nie będzie się jej bał. Otóż właśnie nastęrczała się sposobność ziszczenia tego drugiego zamiaru, bo Swann kochał inną kobietę. Kobieta ta nie dawała mu powodów do zazdrości, ale budziła ją w nim, bo Swann nie był już zdolny odnowić swojego sposobu kochania; ten, który zużył w stosunku do Odety, służył mu jeszcze dla innej. Iżby zazdrość Swanna odrodziła się, nie była konieczna zdrada ze strony tej kobiety; wystarczyło, że z jakiegokolwiek powodu była daleko od niego, na jakimś balu na przykład, i że się mogła tam bawić. To było dosyć, aby w nim zbudzić dawny niepokój, oplakaną i paradoksalną wybujałość jego miłości, oddalającą Swanna od tego, z tęsknoty za czym niejako się rodziła (owym czymś było uczucie młodej kobiety dla niego, tajemna żądza zawładnięcia jej życiem, tajemnica jej serca), bo między Swanna a tę, którą kochał, niepokój ów rzucał twardy gruz dawniejszych posądzeń, mających swoją przyczynę w Odecie lub może w jakiejś poprzedniczce Odety. Posądzenia te nie pozwalały już postarzałemu kochankowi znać swojej dzisiejszej kochanki inaczej niż poprzez dawne i zbiorowe widmo „kobiety budzącej jego zazdrość”, w które to widmo dowolnie wcielił swoją nową miłość. Bywało, iż Swann obwinił tę zazdrość o to, że mu wmawia urojone zdrady; ale wówczas przypominał sobie, że Odetę rozgrzeszał tym samym rozumowaniem, i błędnie. Toteż nic z tego, co jego młoda kochanka robiła w godzinach, gdy nie byli razem, nie wydawało mu się niewinne. Ale gdy niegdyś poprzysiągł sobie, że, jeżeli kiedy przestanie kochać Odetę (w której nie domyślał się przyszłej żony), okaże jej bezlitośnie swoją obojętność — nareszcie szczerą — aby pomścić długo ranioną dumę, zemsta ta, której mógł obecnie dopełnić bez ryzyka (bo cóż mu dziś znaczyło, gdyby Odetę wzięła go za słowo i pozbawiła go owych poufnych chwil, które niegdyś były mu tak potrzebne), zemsta ta była mu już obojętna; wraz z miłością znikło pragnienie okazania Odecie, że już jej nie kocha. I on, który, wówczas gdy cierpiał przez Odetę, tak byłby pragnął pokazać jej kiedyś, że kocha inną, teraz, gdy mógł to uczynić, dokładał wszelkich starań, aby żona nie domyśliła się nowej miłości.

Odtąd brałem udział nie tylko w owych podwieczorkach, które niegdyś, pozbawiając mnie wcześniej widoku Gilberty, pogrążyły mnie w smutku, ale w wyprawach, jakie Gilberta czyniła z matką, bądź idąc na spacer, bądź popołudniu do teatru; w owych wyprawach, które również, nie pozwalając Gilbertce przybyć na Pola Elizejskie, niegdyś pozbawiały mnie jej w dzień, gdym zostawał sam na trawniku lub przed karuzelą. Obecnie państwo Swann dopuszczali mnie do tych wypraw; miałem swoje miejsce w ich landzie i mnie pytano specjalnie, czy wolę iść do teatru, na lekcję tańców do którejś z koleżanek Gilberty, na „żurek” do jakiejś przyjaciółki Swannów (co pani Swann nazywała „*mały meeting*”), lub zwiedzić groby królewskie w Saint-Denis.

W owe dni, gdym miał towarzyszyć państwu Swann, przychodziłem do nich na śniadanie, które pani Swann nazywała *lunchem*. Proszono mnie aż na wpół do pierwszej, a w owej epoce u nas śniadało się o kwadrans na dwunastą; toteż rodzice wstali już od stołu, kiedy ja kierowałem się ku owej zamożnej dzielnicy, dość puste zawsze, a zwłaszcza w porze, gdy wszyscy są u siebie w domu. Nawet w zimie i w mróz, jeżeli było ładnie, poprawiając od czasu do czasu węzeł wspaniałego krawata od Charveta i patrząc, czy się moje lakierki nie powalały, przechadzałem się po szerokich ulicach, czekając godziny dwunastej dwadzieścia siedem. Z daleka widziałem w ogródku Swannów słońce, w którym obnażone drzewa błyszczały jak szron. Prawda, że było ich w tym ogródku tylko dwa. Niezwykła godzina dawała nowość temu widokowi. Z tymi urokami natury (które wzmagała odmiana przyzwyczajzeń, a nawet głód) mieszała się wzruszająca perspektywa śniadania u pani Swann; nie zmniejszała ich, ale, dominując nad nimi, ujarzmiła je, czyniła z nich światowe akcesoria; tak iż jeśli o tej godzinie, o której zazwyczaj nie spostrzegłem tego wszystkiego, zdawało mi się, że odkrywam piękną pogodę, mróz, słońce zimowe, było to niby preludium do jajek ze śmietaną, coś jakby patyna, różowy i świeży laserunek powlekający malowidła tajemniczej kaplicy, jaką było mieszkanie pani Swann, o wnętrzu pełnym ciepła, zapachu i kwiatów.

O wpół do pierwszej decydowałem się wreszcie wejść do tego domu, który niby drzewko w wilię Bożego Narodzenia wróżył mi nadprzyrodzone rozkosze. (Słowo Boże

Narodzenie było zresztą nieznaną pani Swann i Gilbertcie; zastąpiły je słowem *Christmas* i mówiły jedynie o puddingu *Christmas*, o tym, co dostały na *Christmas*, o tym — co mnie przywodziło do rozpacz — gdzie wyjadą na *Christmas*. Nawet w domu byłbym się czuł zhańbiony, mówiąc o Bożym Narodzeniu, mówiłem już tylko o *Christmas*, co się ojcu wydawało bardzo śmieszne).

Spotykałem na wstępie tylko kamerdynera, który przeprowadziwszy mnie przez kilka salonów, wiódł mnie do malutkiego pustego saloniku, jak gdyby już rozmarzonego błękitnym popołudniem swoich okien. Zostawałem sam w towarzystwie storczyków, róż i fiołków. Podobne osobom czekającym obok nas, ale nieznanym, kwiaty te zachowywały milczenie, które ich indywidualność rzeczy żywych czyniła tym bardziej przejmującym, i chłonęły ze drżeniem ciepło żarzącego się węgla, troskliwie ułożonego za kryształową szybą, w białej marmurowej misie, w którą osypywały się od czasu do czasu jego niebezpieczne rubiny.

Siadałem, ale wstawałem spiesznie, słysząc otwierające się drzwi; był to tylko drugi lokaj, potem trzeci, a mizernym rezultatem ich daremnie alarmujących wędrówek było dodanie węgla do ognia lub wody do wazonów. Odchodzili i znów zostawałem sam, skoro się zamknęły drzwi, które pani Swann miała w końcu otworzyć. I z pewnością mniej byłbym wzruszony w czarodziejskiej grocie niż w tym saloniku, gdzie ogień zdawał mi się narzędziem przeobrażeń, niby w laboratorium Klingsora. Rozlegał się nowy odgłos kroków, nie wstawałem; to pewno znów lokaj; ale to był pan Swann.

— Jak to, pan sam? Cóż pan chce, moja dobra żona nigdy nie nauczyła się, co to jest godzina. Za dziesięć pierwsza. Co dzień później. I zobaczy pan, przyjdzie nie śpiesząc się, myśląc, że jest wcześniej.

Ze zaś cierpiał na nerwicę i zrobił się trochę śmieszny, fakt posiadania żony tak niepunktualnej, która wracała tak późno z Lasku, która zasiadywała się u krawcowej i nigdy nie była na czas na śniadanie, niepokoił Swanna z racji jego żołądka, ale pochlebiał jego próżności.

Pokazywał mi swoje nowe nabytki i tłumaczył mi ich osobliwości, ale wzruszenie, połączone z nieprzyzwyczajeniem głodzenia się do tak późna, wносиło zamęt w moje myśli, tworzyło w nich próżnię; mogłem mówić, ale nie byłem zdolny słyszeć. Zresztą, co się tyczyło rzeczy będących własnością Swanna, wystarczyło mi, że są u niego, że tworzą część rozkosznej godziny poprzedzającej śniadanie. Gdyby się tam znalazła *Gioconda*, nie sprawiłyby mi więcej przyjemności niż szlafroczek pani Swann lub jej flakony z solami.

Czekałem dalej sam albo ze Swannem, często z Gilbertą, gdy przyszła dotrzymywać nam towarzystwa. Przybycie pani Swann, przygotowane przez tylu majestatycznych zwiaśtunów, zdawało mi się olbrzymim ewenementem. Nadśluchowałem każdego trzasku. Ale katedra, morze podczas burzy, skok tancerza, nigdy nie sięgają tak wysoko, jakieśmy się spodziewali; po tych lokajach w liberii, podobnych statystom w teatrze, których orszak przygotowuje i tym samym osłabia zjawienie się królowej, pani Swann, wchodząc nieznanie w swoim selskinowym futerku, z woalką ściągniętą na zacerwieniony zimnem nos, nie spełniała obietnic zrodzonych w mojej wyobraźni oczekiwaniem.

Jeżeli pani Swann zostawała całe rano w domu, wówczas wchodziła do salonu w jasnym peniuarze *crêpe de Chine*, który mi się zdawał wytworniejszy niż wszystkie jej suknie.

Czasem Swannowie decydowali się siedzieć w domu przez całe popołudnie. Wówczas, kiedy śniadanie było tak późno, rychło widziałem na murze w ogródku zniżające się słońce — słońce owego dnia, który w moich oczach powinien był różnić się od innych. Daremnie lokaje znosili lampy wszelkich rozmiarów i kształtów, płonące na poświęconych ołtarzach konsolek, stolczków, gerydonów, narożników, niby dla uświęcenia nieznanego obrządku; nic niezwykłego nie rodziło się z rozmowy. Odchodziłem zawiedziony, jak często dzieci wracają z pasterki.

Ale to rozczarowanie było tylko duchowe. Promieniałem z radości w tym domu, gdzie Gilberta, o ile nie było jej jeszcze, miała wejść i użyć mi za chwilę, na całe godziny, swoich słów, swego uważnego i uśmiechniętego spojrzenia, takiego, jak je ujrzałem pierwszy raz w Combray. Co najwyżej byłem trochę zazdrosny, widząc, jak ona często znika w wielkich pokojach, do których wiodły wewnętrzne schody. Musiałem zostać w salonie, niby kochanek aktorki, który w swoim fotelu na sali roi z niepokojem o tym, co się dzieje za kulisami, we foyer artystów. Aby przeniknąć tajemnicę owej drugiej czę-

ści domu, zadawałem Swannowi pytania zręcznie maskowane, ale mimo woli zdradzające niepokój. Wytłumaczył mi, że ubikacja, do której się udała córka, to jest bielizniarnia; ofiarował się pokazać mi ją i przyrzekł, że za każdym razem, kiedy Gilberta będzie musiała tam iść, każe jej zabrać mnie z sobą. Przez te ostatnie słowa i przez ulgę, jaką mi sprawiły, Swann zniósł we mnie nagle ów okropny dystans wewnętrzny, na którego krańcu ukochana kobieta ukazuje się nam tak odległa. W takich chwilach czułem dla Swanna tkliwość, która mi się zdawała głębsza niż tkliwość dla Gilberty. Bo on, będąc panem swojej córki, dawał mi ją, gdy ona wymykała mi się czasem; nie miałem nad nią wprost tej władzy, jaką miałem pośrednio przez Swanna. A przy tym ją kochałem, i tym samym nie mogłem jej widzieć bez owego zmieszania, bez owego pragnienia czegoś więcej, które w pobliżu ukochanej istoty odejmuje wrażenie, że się kocha.

Najczęściej zresztą nie zostawaliśmy w domu, wybieraliśmy się na spacer. Czasami, pani Swann, zanim poszła się ubrać, siadała do fortepianu. Jej piękne ręce, wynurzające się z rękawów różowego, białego, często bardzo jaskrawego krepdeszynowego szlafrocza, biegły palcami po klawiszach z tą samą melancholią, jaka była w jej oczach, nie będąc w sercu. W jeden z takich dni zdarzyło się jej zagrać mi ową część sonaty Vinteuila, gdzie znajduje się fraza, niegdyś tak droga Swannowi. Ale często, jeżeli chodzi o muzykę dość trudną, której słuchamy pierwszy raz, nie rozumiemy nic. Mimo to, kiedy później przegrano mi parę razy tę sonatę, spostrzegłem, że ją znam doskonale. Toteż słusznie się mówi: „słyszeć pierwszy raz”. Gdybyśmy naprawdę, tak jak przypuszczaliśmy, nic nie pochycili za pierwszym razem, drugi i trzeci raz byłby znowuż pierwszym, i nie byłoby racji, abyśmy rozumieli coś więcej za dziesiątym. Jeżeli czego nam brak za pierwszym razem, to prawdopodobnie nie zrozumienia, lecz pamięci. Bo w stosunku do złożoności wrażeń, z jakimi pamięć musi się zmierzyć, gdy słuchamy, pamięć ucha jest znikoma, krótka jak pamięć człowieka, który śpiąc, myśli tysiąc rzeczy po to, aby ich natychmiast zapomnieć, lub człowieka w pół dzieciinniałego, który po minucie nie przypomina sobie tego, co mu się powiedziało dopiero co. Pamięć nasza nie jest zdolna dostarczyć nam natychmiast wspomnienia tych różnorodnych wrażeń. Ale to wspomnienie tworzy się w niej pomалу, i wobec dzieł, któreśmy słyszeli dwa lub trzy razy, jesteśmy niby uczeń, który przed zaśnięciem odczytał na kilka zawodów lekcję, myśląc, że jej nie umie, a recytuje ją na pamięć nazajutrz rano. Aż do tego dnia, nie rozumiałem nic z owej sonaty; tam, gdzie Swann i jego żona widzieli odrębną frazę, fraza ta była równie daleko od mojej świadomości, co jakaś nazwa, którą silimy się sobie przypomnieć, znajdując w jej miejsce jedynie próżnię, próżnię, z której w godzinę później, bez myśli o tym, wyskoczą same z siebie, jednym susem, na próżno wprzód wzywane głoski. I nie tylko nie ogarniamy od razu dzieł naprawdę rzadkich, ale nawet z samych owych dzieł — zdarzyło mi się to z sonatą Vinteuila — najpierw chwytamy najmniej cenne części. Tak iż myliłem się nie tylko sądząc, że to dzieło nie kryje już dla mnie nic (co sprawiło, że długi czas nie starałem się go usłyszeć), z chwilą gdy pani Swann zagrała mi jego najsłynniejszą frazę (w czym byłem tak niemądry jak ci, co nie spodziewają się już osłupieć wobec św. Marka w Wenecji, dlatego że oglądali na fotografii kształt jego kopuły); ale co więcej, nawet kiedy wysłuchałem sonaty od początku do końca, została ona dla mnie prawie całkowicie niewidzialna, niby gmach, którego, wskutek oddalenia lub mgły, widziałoby się jedynie nieznaczna część. Stąd melancholia, związana z poznaniem takich dzieł, jak wszystkiego, co się realizuje w czasie. Kiedy to, co jest najbardziej utajone w sonacie Vinteuila, odkryło się dla mnie, już przyzwyczajenie uniosło mnie poza zasięg mojej wrażliwości i to, com rozróżnił i ukochał zrazu, zaczynało mi się wymykać, pierzchać. Przez to, że mogłem kochać jedynie kolejno wszystko, co mi dawała owa sonata, nie posiadałem jej nigdy całej; w czym była podobna do życia. Ale, mniej zawodne od życia, te wielkie arcydzieła nie dają nam nigdy od razu tego, co w nich jest najlepsze. W sonacie Vinteuila najwcześniej odkrywano piękności najprędzej się nam przykrzą, zapewne z tej samej przyczyny, mianowicie, że mniej się różnią od tego, cośmy już znali. Ale w zamian za to pozostaje nam ukochanie jakiejś frazy, której harmonia była nam wprzód zbyt nowa, aby dać coś innego prócz wrażenia chaosu; tym samym motywów ów, niezrozumiały zrazu, uchował się jak gdyby nietknięty. Wówczas ta fraza, którą mijaliśmy co dzień, nie wiedząc o tym, która się wzdragała ujawnić, która siłą swojej jedynej piękności stała się niewidzialna i pozostała nieznaną, przychodzi do nas na ostatku. Ale też i my opuścimy ją na ostatku. I będzie-

my ją kochali dłużej niż inne, dlatego że więcej czasu włożyliśmy w to, aby ją pokochać. Ten czas zresztą, którego trzeba nam — jak mnie trzeba go było wobec tej sonaty — aby wnikać w jakies głębsze dzieło, jest jedynie skrótem i jakby symbolem lat, niekiedy wieków, które upływają, zanim publiczność zdoła pokochać arcydzieło naprawdę nowe. Toteż genialny człowiek, aby sobie oszczędzić nieuznania tłumów, powiada sobie może, że jego współczesnym zbywa potrzebnego dystansu; że dzieła pisane dla potomności winny być czytane tylko przez nią, jak pewne obrazy źle się sądzi z nazbyt bliska. Ale w istocie wszelkie małoduszne ostrożności celem uniknięcia fałszywych sądów są daremne; omyłki są nieuniknione. Przyczynę, że genialne dzieło z trudem zyskuje rychły podziw, stanowi to, że ten, co je napisał jest niezwykle, że mało kto jest doń podobny. Dopiero właśnie jego dzieło, zapładniając rzadkie duchy zdolne je zrozumieć, wyhoduje je i rozmnoży. Kwartety Beethovena (XII, XIII, XIV i XV) potrzebowały pięćdziesięciu lat, aby zrodzić i pomnożyć miłośników kwartetów Beethovena, urzeczywistniając w ten sposób, jak wszystkie arcydzieła, postęp, jeżeli nie w wartości artystów, to przynajmniej w obcowaniu duchów, bogatym dziś w to, czego było niepodobna znaleźć w dobie powstania arcydzieła, to znaczy w istoty zdolne je pokochać. To, co się nazywa potomnością, jest potomstwem dzieła. Trzeba, by dzieło (nie biorąc, dla uproszczenia, w rachubę geniuszów, zdolnych w tej samej epoce równocześnie przygotowywać na przyszłość lepszą publiczność, z której skorzystają inni geniusze) samo sobie stworzyło potomność. Gdyby więc dzieło, pozostając w ukryciu, stało się znane jedynie potomności, byłaby ona wobec tego dzieła nie potomnością, ale gromadą współczesnych, jedynie żyjących o pięćdziesiąt lat później. Toteż trzeba, aby artysta — i to uczynił Vinteuil — jeśli chce, aby jego dzieło mogło iść swoją drogą, rzucił je, niby na głęboką wodę, w pełną i odległą przyszłość. A jednak, o ile błędem złych sędziów jest nie uwzględniać owej przyszłości, prawdziwej perspektywy arcydzieła, o tyle uwzględniać ją bywa czasem niebezpiecznym skrupułem dobrych sędziów. Bez wątpienia, łatwo jest wyobrazić sobie — w złudzeniu podobnym do owej złudy, która ujednostajnia wszystkie rzeczy na horyzoncie — że wszystkie dotychczasowe przewroty w malarstwie lub muzyce szanowały mimo to pewne prawidła, i że to, co mamy bezpośrednio przed sobą, impresjonizm, szukanie dysonansu, wyłączny użytek gamy chińskiej, kubizm, futuryzm, różni się zuchwale od tego, co było przedtem. Bo oceniając to, co było wprzód, nie uwzględniamy, że długie oswojenie zmieniło to dla nas w materię różnorodną zapewne, ale w sumie jednolitą, gdzie Wiktor Hugo sąsiaduje z Moliere. Pomyślmy tylko o rażących sprzecznościach, jakimi by nas zdumiał — gdybyśmy nie brali w rachubę przyszłego czasu i zmian, jakie sprowadza — jakiś horoskop naszych własnych dojrzałych lat, wywrócony nam za młodu. Tylko nie wszystkie horoskopy są prawdziwe, a konieczność wprowadzenia — w ocenie dzieła sztuki — czynnika czasu w sumę jego piękna, barwi nasz sąd czymś równie przypadkowym i równie pozbawionym prawdziwej wartości jak wszelkie prorocstwo, którego niespełnienie się nie świadczy bynajmniej o umyślowym ubóstwie proroka, owa bowiem władza, która powołuje do bytu rzeczy możliwe lub je z niego wyklucza, niekoniecznie jest właściwością geniuszu; można było być genialnym, a nie wierzyć w przyszłość kolei żelaznych czy samolotów, lub też, będąc wielkim psychologiem, nie uwierzyć w fałszywość kochanki lub przyjaciela, których zdradę przewidywałby mierniejszy człowiek.

O ile nie zrozumiałem sonaty, byłem zachwycony grą pani Swann. Uderzenie jej zdawało mi się, jak jej peniuar, jak zapach jej schodów, jak jej płaszcz, jak jej chryzantemy, częścią swojej i tajemniczej całości, w świecie nieskończenie wyższym od tego, w którym rozum może analizować talent.

— Czy nie piękna ta sonata Vinteuila? — rzekł do mnie Swann. — Chwila, kiedy zapada noc pod drzewami, kiedy arpedžia skrzypiec sprowadzają chłód. Niech pan przyzna, że to bardzo ładne; jest tutaj cała statyczna strona blasku księżycy, to co w nim jest zasadnicze. Nie dziw, że kuracja świetlna, jaką przechodzi żona, działa na mięśnie, skoro blask księżycy ubezwładnia poruszenia liści. To właśnie jest cudownie oddane w tej małej frazie: Lasek Buloński stężyły w katalepsji. Nad morzem to jest jeszcze bardziej uderzające, bo tam są owe słabe odpowiedzi fal, słyszane bardzo dobrze, skoro reszta nie może się poruszyć. W Paryżu przeciwnie: ledwie spostrzegamy te niezwykle światła na gmachach, to niebo oświetlone jak gdyby pożarem bez barw i bez niebezpieczeństw, jakieś olbrzymie przeczuwane wydarzenie. Ale we frazie Vinteuila, i zresztą w całej sonacie, to nie to; to się

dzieje w Lasku, w gruppetto słyzy się wyraźnie jakiś głos, który mówi: „Prawie można by czytać gazetę”.

Te słowa Swanna mogłyby spacyzyć na przyszłość moje pojęcie Sonaty, ile że muzyka jest zbyt mało ekskluzywna, aby bezwzględnie oddalić to, co nam ktoś w niej podsuwa. Ale zrozumiałem z innych jego słów, że owe nocne liście to są po prostu te, w których gęstwie, w rozmaitych restauracjach dokoła Paryża słyzył niejednego wieczoru tę frazę. W miejsce głębokiego sensu, którego tak często u niej pytał, ukazywała ona Swannowi gąszcz liści, zgrupowanych, splecionych, namalowanych dokoła niej (i słyżąc tę frazę pragnął oglądać owe liście, bo mu się zdawała jak gdyby ich duszą); to była cała wiosna, którą nie mógł się sycić nigdy, nie mając — pełen wówczas gorączki i goryczy — dosyć na to spokoju ducha, a którą (jak się robi dla chorego z zabronionymi przysmakami) zachowała dla niego. O ten czar, jaki weń tchnęły pewne noce w Lasku i o którym sonata Vinteuila mogła mu wiele powiedzieć, o ten czar nie mógłby pytać Odety, mimo że towarzyszyła mu jak ta fraza. Ale Odeta była tylko obok Swanna (nie w nim, jak motyw Vinteuila); nie widziała tedy — choćby była tysiąc razy pojętniejsza — tego, co dla nikogo z nas (długo przynajmniej sądziłem, że to prawidło nie zna wyjątków) nie może się uzewnętrznić.

— To w gruncie dosyć ładne, nieprawdaż — mówił Swann — że dźwięk może odbijać, jak woda, jak lustro. I niech pan zważy, że fraza Vinteuila pokazuje mi jedynie wszystko to, na co w owej epoce nie zwracałem uwagi. Z moich trosk, z mojej miłości ówczesnej nie przypomina mi już nic, dokonała wymiany.

— Karolu, zdaje mi się, że to nie jest bardzo uprzejme dla mnie, to, co mówisz.

— Nieuprzejme! Kobiety są wspaniałe! Chciałem tylko powiedzieć młodemu człowiekowi, że to, co muzyka ukazuje — przynajmniej mnie — to nie jest wcale „Wola sama w sobie”, ani „Synteza nieskończoności”, ale na przykład tużurek papy Verdurin w palmarium Zoologicznego Ogrodu. Tysiąc razy fraza ta brała mnie na obiad do Armenonville, przy czym nie potrzebowałem opuszczać tego salonu. Mój Boże, to zawsze mniej nudne, niż tam iść z panią de Cambremer.

Pani Swann zaczęła się śmiać:

— To jest dama, która uchodziła za bardzo zakochaną w Karolu — wyjaśniła tym samym tonem, jakim nieco wprzód, mówiąc o Ver Meerze van Delft, kiedy się dziwiłem że go zna, odpowiedziała „Trzeba panu wiedzieć, że mój pan bardzo się zajmował tym malarzem w epoce, gdy się do mnie zalecał. Prawda, Lolu?”.

— Nie paplaj tak o pani de Cambremer — rzekł Swann w gruncie bardzo mile pogłaskany.

— Ależ ja tylko powtarzam to, co mi mówiono. Zresztą, zdaje się, że ona jest bardzo inteligentna, ja jej nie znam. Wydaje mi się bardzo *pushing*, co mnie dziwi u kobiety inteligentnej. Ale wszyscy mówią, że ona szalała za tobą, w tym nie ma żadnej ujmy.

Swann milczał zawzięcie, co było rodzajem potwierdzenia i dowodem próżności.

— Skoro to, co gram, przypomina ci Ogród Zoologiczny — podjęła pani Swann, udając dla żartu urazę — moglibyśmy się tam wybrać dzisiaj, o ile nasz młody gość ma ochotę. Jest bardzo ładnie, będziesz mógł odnaleźć swoje ukochane wrażenia! *A propos* Ogrodu Zoologicznego, czy wiesz, ten młody człowiek sądził, że my bardzo lubimy osobę, którą, przeciwnie, splawiam ile tylko mogę, panią Blatin! To bardzo upokarzające, że ona uchodzi za naszą przyjaciółkę. Pomyślcie, poczciwy Cottard, który nigdy nie mówi źle o nikim, sam powiada o niej, że jest wstrętne.

— Okropność! Ma za sobą jedynie to, że jest taka podobna do Sawonaroli. To wykapany portret Sawonaroli Fra Bartolomeo.

Tę manię, jaką miał Swann, aby odnajdować podobieństwa w obrazach, da się usprawiedliwić, bo nawet to, co nazywamy wyrazem indywidualnym, jest — jak sobie człowiek z takim smutkiem zdaje z tego sprawę wówczas, gdy kocha i kiedy chciałby wierzyć w rzeczywistą jedność indywidualności — czymś powszechnym i mogło się zdarzyć w rozmaitych epokach. Ale, gdyby wierzyć Swannowi, orszaki Trzech królów, już tak anachroniczne wówczas, gdy Benozzo Gozzoli wprowadził w nie Medyceuszów, byłyby nimi bardziej jeszcze, zawierając portrety mnóstwa ludzi, współczesnych nie Gozzolem, ale Swannowi, to znaczy późniejszych nie już o piętnaście wieków od narodzenia Dzieciątka, ale

o cztery wieki od samego malarza. Wedle Swanna, nie brakowało w tym orszaku ani jednego znanego paryżanina, jak w owym akcie sztuki Sardou, gdzie, przez przyjaźń dla autora i dla jego protagonistki, a także przez snobizm, wszystkie znakomitości paryskie, sławni lekarze, politycy, adwokaci, przychodzili, każdy przez jeden wieczór, statystować na scenie.

— Ale jaki ona ma związek z Ogrodem Zoologicznym?

— Wszystkie!

— Jak to, myślisz, że ona ma różowy tyłeczek jak małpy?

— Karolu, jesteś świnka. Nie, ja myślałam o tym, co jej powiedział Syngalez. Opowiedz panu, to naprawdę „piękne”.

— To idiotyczne. Wie pan, że pani Blatin lubi zagadywać każdego w sposób w jej mniemaniu uprzejmy, a w istocie protekcyjnalny.

— To, co nasi dobrzy sąsiedzi znad Tamizy nazywają *patronizing* — przerwała Odeta.

— Wybrała się niedawno do Ogrodu Zoologicznego, gdzie są czarni, Syngalezi, zdaje mi się, jak twierdzi moja żona, która jest o wiele mocniejsza w etnografii ode mnie.

— Karolu, nie drwij ze mnie.

— Ależ ja wcale nie drwię. Dość, że zwróciła się do jednego z czarnych: „Jak się masz, czarny!”.

— To jeszcze jest nic!

— W każdym razie ten przymiotnik nie spodobał się czarnemu. „Ja czarna, powiedział ze złością do pani Blatin, ale ty maupa!”.

— Mnie się to wydaje urocze. Uwielbiam tę historię. Prawda że to „piękne”? Widzi się starą Blatin: „Ja czarna, ale ty maupa!”.

Okazałem żywą chęć oglądania owych Syngalezów, z których jeden nazwał panią Blatin „maupą”. Nie interesowali mnie wcale. Ale pomyślałem, że, aby dotrzeć do Ogrodu Zoologicznego i wrócić, będziemy musieli przebyć ową aleję des Accacias, gdzie tak podziwiałem niegdyś panią Swann, i że może Mulat, przyjaciel Coquelina, przed którym nigdy nie udało mi się popisać ukłonem składanym pani Swann, ujrzy mnie obok niej w powozie.

Przez czas, który Gilberta zużyła na przygotowania i była nieobecna w salonie, państwo Swann z lubością obznajmiali mnie z rzadkimi przymiotami córki. I wszystko, com widział, zdawało się świadczyć, że mówią prawdę; zauważyłem że, jak jej matka mi opowiadała, była ona nie tylko dla przyjaciółek, ale dla służby, dla ubogich wyrafinowanie delikatna, uprzejma; jej chęć sprawienia każdemu przyjemności, a obawa urażenia kogoś, objawiała się w drobnych rzeczach, często dość dla niej uciążliwych. Zrobiła robótkę dla naszej straganiarki z Pól Elizejskich i wyszła w śnieg, aby ją oddać sama, tego samego dnia.

— Nie ma pan pojęcia, jakie ona ma serce, bo ona się z tym kryje — rzekł ojciec.

Mimo iż tak młoda, Gilberta wydawała się o wiele rozsądniejsza od rodziców. Kiedy Swann mówił o wysokich stosunkach żony, Gilberta odwracała głowę i milczała, ale nie zdradzając nagany, bo uważała, że ojciec nie może być przedmiotem najłżejszej krytyki. Jednego dnia, kiedy jej wspomniał o pannie Vinteuil, rzekła:

— Absolutnie nie chcę jej znać. Wystarczy mi jedno: mówią, że była niedobra dla swego ojca, martwiła go. Ty tego nie możesz zrozumieć, tak samo jak ja, prawda? Tak samo nie byłbyś zdolny przeżyć swojego tatusia, jak ja mojego, co jest zresztą całkiem naturalne. Jak można kiedykolwiek zapomnieć o kimś, kogo się kocha od zawsze?

Jednego razu, kiedy Gilberta była szczególnie czuła dla ojca, pochwaliłem ją za to odejście Swanna:

— Tak, biedny papuś, to w tych dniach rocznica śmierci jego ojca. Pojmujesz, co się z nim musi dziać; tak, ty to pojmujesz, czujemy te rzeczy jednakowo. Dlatego staram się być mniej zła niż zazwyczaj.

— Ależ on ciebie nie uważa za złą, on cię uważa za doskonałość!

— Biedny papuś, bo on jest za dobry.

Państwo Swann nie tylko zachwalali mi cnoty Gilberty — tej samej Gilberty, która, zanim ją ujrzałem, objawiła mi się przed kościołem na tle pejzażu Ile-de-France, która później, już nie w moich marzeniach, ale we wspomnieniu — stała zawsze koło różowego głogu, na ścieżce wiodącej mnie w stronę Méséglise. Kiedy, siląc się przybrać obojętny ton

przyjaciela rodziny, ciekawego upodobań dziecka, spytałem jej matki, kogo z przyjaciół Gilberta najbardziej lubi, pani Swann odpowiedziała:

— Ależ pan musi być lepiej wtajemniczony ode mnie, pan, jej faworyt, wielki *crack*, jak mówią Anglicy.

Bez wątpienia, w przystawianiu tak doskonałym, kiedy rzeczywistość dociąga się i przylega dokładnie do tego, o czymśmy tak długo marzyli, kryje nam ona całkowicie przedmiot marzeń, zlewa się z nim na kształt dwóch równych i pokrywających się figur, które tworzą już wówczas tylko jedną, gdy przeciwnie my, aby dać swemu szczęściu całe jego znaczenie, chcielibyśmy zachować wszystkim owym punktom naszego pragnienia, w chwili właśnie, gdy ich dotykamy — i aby mieć większą pewność, że to są one — urok tego, że są niedosiężne. I myśl nie może nawet odtworzyć dawniejszego stanu, aby go porównać z nowym, bo nie ma już wolnego pola: zawarta znajomość, wspomnienie pierwszych nieoczekiwanych chwil, usłyszane słowa, istnieją i zatarasowują wejście do naszej świadomości, opanowują o wiele bardziej wrota naszej pamięci niż naszej wyobraźni, bardziej jeszcze oddziałują wstecz na naszą przeszłość — której nie jesteśmy już zdolni oglądać bez wzięcia ich w rachubę — niż na kształt naszej przyszłości wciąż jeszcze płynny. Mogłem wierzyć lata całe, że bywać u pani Swann to jest czcza chimera, której nie osiągnę nigdy; ale skorom spędził u niej kwadrans, znowuż czas, gdy jej nie znałem, stawał się chimeryczny i mglisty, niby możliwość unicestwiona ziszczeniem innej możliwości. Jak mógłbym jeszcze marzyć o tej jadalni jako o miejscu niepojętym, kiedy nie mogłem zrobić w swojej myśli jednego ruchu, aby nie spotkać w niej niełamliwych promieni, jakie wysyłał w nieskończoność za siebie, aż w moją najdawniejszą przeszłość, homar po amerykańsku, którego dopiero co jadłem?

I Swann musiał przeżyć, w tym, co się tyczyło jego samego, podobne wrażenia: bo ten apartament, gdzie mnie przyjmował, można było uważać za miejsce, z którym się stopił i pokrył nie tylko idealny apartament spłodzony przez moją wyobraźnię, ale jeszcze inny, ten, który zazdrośna miłość Swanna, równie wynalazcza jak moje marzenia, tak często mu opisywała. To było owo wspólne mieszkanie Odety i jego, które wydawało mu się tak nieosiągalne w jakiś wieczór, kiedy Odeta zaprosiła go do siebie z Forchevillem na oranżadę. W rozkład jadalni, gdzieśmy dziś jedli śniadanie, wsiąkł dla Swanna ów nieoczekiwany raj, w którym — niegdyś nie mógł bez wzruszenia wyobrazić sobie tego — miał powiedzieć ich kamerdynerowi te same słowa: „Czy pani jest gotowa?“, które teraz oto wymawiał z lekkim zniecierpliwieniem, a zarazem z pewną satysfakcją próżności. I jak z pewnością nie mógł tego uczynić Swann, tak ja nie umiałem objąć swego szczęścia, i kiedy sama Gilberta wykrzyknęła: „Kto by ci był powiedział, że mała dziewczynka, której się przyglądałeś bez słowa, jak grała w klasy, stanie się twoją serdeczną przyjaciółką, do której będziesz chodził co dzień, kiedy ci przyjdzie ochota“, wyrażała zmianę, którą musiałem wprawdzie stwierdzić z zewnątrz, ale której nie posiadałem wewnętrznie, składała się bowiem z dwóch stanów, których nie mogłem objąć myślą naraz, tak aby przestały być różne od siebie wzajem.

A jednak, gdybym miał o tym sądzić po sobie, owo mieszkanie, dlatego że było tak silnie upragnione przez wolę Swanna, musiało dlań zachować jakąś słodycz. Dla mnie nie straciło ono całej tajemnicy. Osobliwy czar, w którym tak długo wyobrażałem sobie skąpane życie Swannów, nie pierzchł dla mnie całkowicie z ich domu z chwilą, gdy tam wniknął: cofnął się jedynie, pokonany przez tego obcego, tego pariasa, którym byłem dawniej, a któremu pani Swann podsuwała teraz uprzejmie fotel, fotel rozkoszny, wrogi i zgorzony; ale w moim wspomnieniu czuję jeszcze dokoła siebie ten czar. Czy to dlatego, że w dniu, kiedy mnie państwo Swann zapraszali na śniadanie, aby mnie potem wziąć z Gilbertą na spacer, wyciskałem swoim spojrzeniem — podczas gdy czekał sam — na dywanie, na berżerkach, na konsolach, na parawanikach, na obrazach, wrytą we mnie myśl, że pani Swann lub jej mąż, lub Gilberta wejdą za chwilę? Czy dlatego, że te rzeczy żyły potem w mojej pamięci obok Swannów i przejęły w końcu coś z nich? Czy dlatego, że wiedząc, iż oni żyją wśród tych sprzętów, robiłem z tych wszystkich przedmiotów niby godła ich swoistego życia, ich przyzwyczajęń, z których zbyt długo byłem wykluczony, aby mi się nadal nie wydawały obce, nawet wówczas gdy dostąpił łaski wtajemniczenia? Faktem jest, że za każdym razem, kiedy myślę o tym salonie, który Swann (nie chcąc tą krytyką w niczym krępować gustów żony) uważał za tak bezstyłowy — mimo bowiem iż

był pomyślany w stylu na wpół cieplarni, na wpół pracowni, jak ów apartament, w którym ją poznał, Odeta zaczęła zastępować cacka chińskie, trącające jej teraz tandetą, mnóstwem mebelków obitych starym jedwabiem Louis XIV (nie licząc arcydzieł, które przeniósł Swann ze swego domu na quai d'Orleans) — w moim wspomnieniu przeciwnie, ten bezstylowy salon posiada harmonię, jedność, indywidualny urok, jakich nie mają nawet najlepiej zachowane całości przekazane nam przez przeszłość, ani najbardziej żywe i naznaczone piętnem jednej osoby; jedynie my bowiem możemy, wiarą swoją we własne ich istnienie, dać pewnym oglądanym przez nas rzeczom duszę, którą zachowują później i którą w nas rozwijają.

Wszystkie pojęcia, wytworzone przeze mnie o godzinach — różnych od godzin innych ludzi — jakie Swannowie spędzają w tym mieszkaniu, będącym dla codziennego czasu ich życia tym, czym ciało jest dla duszy i co powinno wyrażać jego odrębność, wszystkie te pojęcia były stopione, złączone — wszędzie jednako niepokojące i nieuchwytnie — z rozmieszczeniem mebli, grubością dywanów, z rozkładem okien, krążeniem służby. Kiedy po śniadaniu przechodziliśmy na kawę do zalanego słońcem obszernego wykusza w salonie, gdy pani Swann pytała, ile chcę kawałków cukru, wówczas nie tylko pokryty jedwabiem podnózek, który mi podsuwała, wydzieliał (wraz z bolesnym czarem, jaki odczułem niegdyś w imieniu Gilberty — pod różowym głogiem, później koło klombu laurów) wrogość, jaką mi okazywali jej rodzice: mebelek ów musiał tak dobrze znać i podzielać tę wrogość, że nie czułem się godny — wydawało mi się to niemal czymś podłym stawiać nogi na jego bezbronnym wysłaniu; jakaś osobista dusza wiązała go sekretnie ze światłem drugiej godziny po południu, różnym od wszelkiego innego światła, w tej zatoce, gdzie ono igrało u naszych stóp falami złota, z których błękitne kanapy i puszyste dywany wylaniały się niby zaczarowane wyspy. Wszystko, nawet obraz Rubensa nad kominkiem, posiadało ten sam rodzaj, niemal tę samą potęgę czaru, jaką miały sznurowane trzewiki pana Swann i ów hawelok z peleryną (jakże pragnąłem niegdyś mieć taki!), który teraz, na prośbę pani Swann, mąż jej miał zastąpić innym, aby wyglądać bardziej elegancko, wówczas gdy „był tak uprzejmy” towarzyszyć im na spacer. I pani Swann również szła się ubrać, mimo iż zaręczałem, że żadna spacerowa suknia nie może się równać z cudownym szlafrocikiem krepdeszynowym czy jedwabnym, różowym, wiśniowym, Tiepolo, białym, lila, zielonym, czerwonym, żółtym, gładkim lub wzorzystym, w którym pani Swann jadła śniadanie i który miała zdjąć. Kiedym mówił, że powinna by wyjść tak jak jest, śmiała się, drwiąc sobie z mojej ignorancji lub rada z komplementu. Tłumaczyła się, że ma tyle peniuarów, bo — twierdziła — jedynie w nich czuje się dobrze; i zostawiała nas, aby włożyć jedną z owych tryumfalnych tualet, które dawały ton całemu światu, a wśród których miewałem wszelako przywilej wybrania szczególnie mi ulubionej.

W ogrodzie zoologicznym jakże byłem dumny, kiedyśmy wysiedli z powozu i ja kroczyłem obok pani Swann! Gdy ona szła niedbałym krokiem, a płaszcz powiewał dokoła niej, ja rzucałem na nią spojrzenia pełne podziwu, na które odpowiadała zalotnie długim uśmiechem. Obecnie, kiedyśmy spotkali kogo ze znajomych Gilberty, chłopca lub dziewczynkę, kłaniali się nam z dala, patrząc teraz na mnie jak na jedną z istot, którym niegdyś zazdrościłem, jak na jednego z przyjaciół Gilberty znających jej rodzinę i mających udział w drugiej części jej życia, tej, która się toczy poza Polami Elizejskimi.

Często w alejach Lasku lub Ogrodu Zoologicznego mijała nas, kłaniała się nam jakaś wielka dama, przyjaciółka Swanna: kiedy mu się zdarzyło jej nie zauważyć, wskazywała mu ją żona. „Karolu, nie widzisz pani de Montmorency?”. I Swann, z przyjaznym uśmiechem długiej zażyłości, składał głęboki ukłon, z elegancją właściwą tylko jemu. Czasem dama zatrzymywała się, rada, że może okazać pani Swann nieobowiązującą uprzejmość, pewna, iż Odeta nie zechce tego nadużyć, tak dalece Swann wpoił żonie zasady dyskrecji. Nie mniej Odeta przejęła wszystkie formy wielkiego świata i choćby owa dama niosła się najbardziej wykwinicie i szlachetnie, pani Swann zawsze jej w tym dorównywała; przystanąwszy chwilę z przyjaciółką męża, przedstawiała nas oboje, Gilbertę i mnie, z taką swobodą, miała tyle prostoty i spokoju w swojej grzeczności, że trudno byłoby zgadnąć, która z nich dwóch, żona Swanna czy spotkana arystokratka, jest wielką damą.

W dniu, kiedyśmy poszli oglądać Syngalezów, wracając spostrzegliśmy, idącą w naszym kierunku w towarzystwie dwóch innych pań, tworzących jakby eskortę, damę star-

szą, ale jeszcze piękną, otuloną w ciemny płaszcz, w małym kapelusiku wiązonym na wstążki pod brodą.

— A, to ktoś, kto pana zainteresuje — rzekł Swann.

Starsza dama, obecnie o trzy kroki, uśmiechnęła się do nas z pieszczotliwą słodyczą. Swann uklonił się głęboko, pani Swann złożyła niski dyg i chciała ucałować rękę damy, podobnej do portretu Winterhaltera, która podniosła ją i uściślała.

— No, niechże pan nakryje głowę, no — rzekła do Swanna grubym, szorstkim nieco i poufale przyjacielskim głosem.

— Przedstawię pana jej Cesarskiej Wysokości — rzekła do mnie pani Swann.

Swann odciągnął mnie nieco na stronę, gdy pani Swann rozmawiała z Jej Wysokością o pogodzie i o zwierzętach świeżo sprowadzonych do ogrodu.

— To księżniczka Matylda — rzekł. — Wie pan, przyjaciółka Flauberta, Sainte-Beuve'a, Dumasa. Pomyśl pan, bratanica Napoleona II! Oświadczyli się o jej rękę Napoleon III i car rosyjski. Czy to nie interesujące? Niech pan do niej zagada. Ale wolalbym, żeby nas nie trzymała godzinę na nogach.

— Spotkałem Taine'a, który mi mówił, że się księżniczka pogniewała na niego — rzekł Swann.

— Postąpił sobie jak świnia — rzekła szorstkim głosem, wymawiając „*cauchon*”, tak jakby to było nazwisko biskupa współczesnego Joannie d'Arc. — Po artykule, jaki napisał o Cesarzu, przesałem mu bilet z „*p. p. c.*”.

Odczułem to zdumienie, jakiego się doznaje, otwierając korespondencję księżnej orleańskiej, z domu księżniczki Palatynatu, bratowej Ludwika XIV. I w istocie, księżniczka Matylda, ożywiona uczuciami tak bardzo francuskimi, wkładała w nie uczciwą szorstkość dawnych Niemiec, odziedziczoną może po matce, księżniczce wirtemburskiej. Szorstkość tę, nieco rubaszną i prawie męską, łagodził, kiedy się uśmiechała, włoski wdzięk. A wszystko było spowite w tualietę tak bardzo „drugie cesarstwo”, że, mimo iż księżniczka nosiła ją z pewnością jedynie przez przywiązanie do mód, jakie niegdyś lubiła, robiło to wrażenie, iż świadomie strzeże się popełnić błąd w historycznym kolorycie, aby nie zawieść oczekiwania tych, co spodziewali się po niej wskrzeszenia innej epoki.

Szepnąłem Swannowi, aby ją zapytał, czy znała Musseta.

— Bardzo mało, szanowny panie — odparła z miną, która udawała dąs, gdy w istocie przez żart mówiła tak do Swanna, będąc z nim bardzo zażyłe. — Był u mnie raz na obiedzie. Zaprosiłam go na siódmą. O wpół do ósmej, gdy go nie było, siedliśmy do stołu. Przyszedł o ósmej, uklonił mi się, siada, nie otwiera ust, odchodzi po obiedzie, tak że nie usłyszałam jego głosu. Był pijany w sztok. To mnie nie bardzo zachęciło na przyszłość.

Staliśmy ze Swannem trochę z boku.

— Mam nadzieję, że się ten postój nie przeciągnie — rzekł do mnie — podeszwy mnie bolą. Nie wiem, po co żona podsycy rozmowę. Potem to ona będzie się skarżyła, że jest zmęczona; a ja nie mogę już znosić tych pogwarek stojący¹⁷.

W istocie, pani Swann (która miała tę wiadomość od pani Bontemps) opowiadała właśnie księżniczce, że rząd, zrozumiawszy wreszcie swoje chamstwo, zamierzał posłać jej zaproszenie na trybunę podczas jutrzejszej wizyty cara Mikołaja u Inwalidów. Ale księżniczka, która, mimo pozorów, mimo stylu jej otoczenia, złożonego zwłaszcza z artystów i literatów, została w gruncie, ilekroć chodziło o jakąś decyzję, bratanicą Napoleona, rzekła:

— Owszem, tak, otrzymałam zaproszenie dziś rano i odesłałam je panu ministrowi; musiał je już dostać. Napisałam mu, że nie potrzebuję zaproszenia, aby iść do Inwalidów. Jeżeli rząd chce, abym tam była, będę, ale nie na trybunie, tylko w naszej krypcie, gdzie jest grób cesarza. Na to nie potrzebuję karty wstępu. Mam klucze. Wchodzę, kiedy chcę. Niech tylko rząd zawiadomi mnie, czy chce, żebym przyszła, czy nie. Ale jeżeli przyjdę, to tam, albo wcale.

W tej chwili uklonił się nam młody człowiek, który pozdrowił panią Swann, nie zatrzymując się. Nie wiedziałem, że ona go zna: był to Bloch. Na moje zapytanie, pani Swann odrzekła, że go jej przedstawiła pani Bontemps; że jest przydzielony do gabinetu

¹⁷stojący — dziś: na stojący. [przypis edytorski]

ministra, o czym nie wiedziałem. Zresztą nie musiała go widywać często — lub nie chciała wymieniać nazwiska *Bloch*, które jej się może wydało nie dość szykowne, bo powiedziała, że się nazywa pan Moreul. Zapewniłem ją, że się myli, że nazywa się Bloch.

Księżniczka odwinęła tren, który się skręcił za nią, a na który pani Swann patrzyła z podziwem.

— To właśnie futro, które cesarz rosyjski mi przysłał w prezencie — rzekła księżniczka — że zaś byłam u niego przed chwilą, włożyłam je, aby mu pokazać, że to się nadało na płaszcz.

— Zdaje się, że książę Ludwik zaciągnął się do armii rosyjskiej; przykro będzie księżniczce nie mieć go przy sobie — rzekła pani Swann, nie widząc oznak niecierpliwości męża.

— Potrzeba mu było tego! Mówiłam mu: to nie żadna racja, dlatego że miałeś wojskowego w rodzinie — odparła księżniczka, robiąc z tą szorstką prostotą aluzję do Napoleona I.

Swann nie mógł już ustać.

— Księżniczko, to ja pozwolę sobie zabawić się w Cesarską Wysokość i prosić o pozwolenie pożegnania się, ale żona moja była bardzo cierpiąca i nie chcę, żeby stała dłużej.

Pani Swann złożyła głęboki ukłon, a księżniczka znalazła dla nas wszystkich boski uśmiech, jak gdyby wskrzeszony z przeszłości, z wdzięku młodych lat, z wieczorów w Compiègne; uśmiech ten, świeży i słodki, spłynął po twarzy nadąsanej przed chwilą; po czym oddaliła się w towarzystwie swoich dwóch dam, które, na sposób tłumaczy lub pielęgniarek, punktowały jedynie naszą rozmowę nieznaczącymi zdaniem lub zbytecznymi wyjaśnieniami.

— Powinien by się pan zapisać u niej jeszcze w tym tygodniu — rzekła pani Swann — nie rzuca się biletów tym wszystkim *królestwom*, jak mówią Anglicy; ale jeżeli się pan zapisze, zaprosi pana.

Czasami w te ostatnie zimowe dni zachodziliśmy przed spacerem na którąś z małych wystaw organizowanych wówczas; Swanna, znanego zbieracza, witali właściciele salonów ze szczególnym uszanowaniem. I w te zimowe jeszcze dni dawne moje pragnienia podróży na południe i do Wenecji budziły się w owych salach, gdzie pełna już wiosna i gorące słońce kładły fioletowe tony na różowych Alpach i dawały Canale Grande ciemną przejrzystość szmaragdu. Jeżeli było brzydko, szliśmy na koncert lub do teatru, a potem na podwieczorek do *tee-roomu*. Kiedy pani Swann chciała mi powiedzieć coś tak, aby gości przy sąsiednich stolikach lub nawet garsoni nie zrozumieli, mówiła po angielsku, jak gdyby to był język znany tylko nam dwojgu. Otóż wszyscy (z wyjątkiem mnie) umieli po angielsku i musiałem to powiedzieć pani Swann, iżby przestała o osobach pijących herbatę lub usługujących robić uwagi, o których, chociaż ich nie rozumiejąc, wiedziałem, że są przykre, i widziałem, że osoby interesowane nie tracą z nich ani słowa.

Jednego razu z powodu popołudniowego spektaklu w teatrze, Gilberta zdumiała mnie głęboko. Było to właśnie owego dnia, o którym mówiła mi zawczasu, jako o rocznicy śmierci jej dziadka. Mieliliśmy, wraz z jej nauczycielką, iść na jakieś fragmenty opery. Gilberta ubrała się do wyjścia, zachowując ową obojętną minę, jaką miała zawsze wobec każdego projektu; zawsze powtarzała, że jej jest wszystko jedno, co robimy, byle mnie się to podobało i byle było zgodne z życzeniem rodziców. Przed śniadaniem pani Swann wzięła nas na bok, aby powiedzieć córce, iż ojcu jest bardzo przykro, że my się wybieramy tego dnia na koncert. Uważałem, że to jest aż nazbyt zrozumiałe. Gilberta nie okazała nic, ale zbladła z gniewu, którego nie mogła ukryć, i nie rzekła ani słowa. Kiedy Swann wrócił, żona odciągnęła go w kąt salonu i szeptała mu coś do ucha. Zawołał Gilbertę i wziął ją do sąsiedniego pokoju. Słychać było podniesione głosy. Ale nie mogłem uwierzyć, aby Gilberta, taka uległa, taka czuła, taka grzeczna, opierała się prośbie ojca, w taki dzień i dla tak błahej przyczyny. W końcu Swann wyszedł, mówiąc:

— Wiesz, co ci powiedziałem. Teraz rób, co zechcesz.

Twarz Gilberty pozostała chmurna przez całe śniadanie, po którym udaliśmy się do jej pokoju. Po czym nagle, bez wahania i tak, jakby się nie wahała ani przez chwilę, wykrzyknęła:

— Druga godzina! wie pani przecie, że koncert zaczyna się o wpół do trzeciej.

I kazała nauczycielce się spieszyć.

— Ale — rzekłem — czy to nie zrobi przykrości twojemu ojcu?
— Ani trochę.
— Jednakże on się bał, żeby to się nie wydawało dziwne z powodu tej rocznicy.
— Co mnie może obchodzić, co inni myślą? Uważam, że to jest śmieszne zajmować się drugimi w sprawach uczucia. Czuje się dla siebie, nie dla publiczności. *Mademoiselle*, która ma mało rozrywek, cieszyła się na ten koncert, nie pozbawię jej tego dla przyjemności obcych.

Włożyła kapelusz.

— Gilberto — rzekłem, biorąc ją za ramię — to nie dla obcych, ale dla ojca.

— Nie będziesz mi robił uwag, mam nadzieję! — krzyknęła twardo, wyrывая się.

Przywilejem jeszcze cenniejszym od wypraw do Ogrodu Zoologicznego lub na koncert, było to, że Swannowie nie wykluczyli mnie ze swojej przyjaźni z Bergottem. Przyjaźń ta była początkiem czaru, jaki w nich znajdowałem, myśląc — nim jeszcze znałem Gilbertę — że jej zażyłość z boskim starcem uczyniłaby z niej najpożądaną z przyjaciółek, gdyby wzgarda, jaką musiałem w niej budzić, nie broniła mi nadziei, że mnie kiedy weźmie z Bergottem na zwiedzanie miast, które on lubił. Otóż jednego dnia pani Swann zaprosiła mnie na wielkie śniadanie. Nie wiedziałem, kto ma być na nim. Kiedym wszedł, zaskoczyła mnie w hallu przygoda, która mnie onieśmieliła. Pani Swann rzadko wyrzekała się przyjęcia zwyczajów, które uchodzą za wykwiłtne przez jeden sezon i, nie mogąc się utrzymać, szybko mijają (i tak, wiele lat przedtem, miała swój *handsome cab* lub dawała drukować na zaproszeniu, że to będzie „*to meet*” jakąś mniej lub więcej wybitną osobę). Często zwyczaj te nie miały nic tajemniczego i nie wymagały objaśnienia. Tak na przykład — była to nikła nowość, importowana w owych latach z Anglii — Odeta sprawiła mężowi bilety, na których nazwisko Karol Swann poprzedzone było przez „*Mr*”. Po pierwszej wizycie, jaką im złożyłem, pani Swann przesłała mi taki zagięty „karton”, jak mówiła. Nigdy mi nikt nie zostawił biletu; byłem tak dumny, wzruszony, wdzięczny, że, gromadząc wszystkie pieniądze, jakie posiadałem, zamówiłem wspaniały kosz kamelii i posłałem go pani Swann. Błagałem ojca, aby jej rzucił bilet, ale zamówiwszy wprzód takie, na których byłoby przed jego nazwiskiem „*Mr*”. Ojciec nie spełnił żadnej z tych próśb; byłem w rozpacz przez kilka dni, a potem zastanowiłem się, czy ojciec nie miał racji. Ale używanie „*Mr*”, o ile było zbyteczne, było jasne. Mniej jasny był inny zwyczaj, który objawił mi się w dniu tego śniadania, ale nie opatrzone komentarzem. W chwili gdy miał przejść z przedpokoju do salonu, kamerdyner wręczył mi długą i wąską kopertę, na której widniało moje nazwisko. Zdziwiony, podziękowałem mu, patrząc równocześnie na kopertę. Nie wiedziałem, co mam z nią robić, jak cudzoziemiec nie wie, co ma począć z owymi małymi przyrządami, podawanymi gościom do obiadu w Chinach. Ujrzałem, że koperta jest zaklejona; bałem się okazać niedyskretny, otwierając ją zaraz; włożyłem ją z inteligentną miną do kieszeni. Pani Swann napisała mi kilka dni przedtem, żebym przyszedł na śniadanie „w małym kółku”. Było jednak szesnaście osób; nic nie wiedziałem, że pomiędzy nimi znajduje się Bergotte. Pani Swann, która mnie przedstawiła kilku osobom, naraz, po moim nazwisku, takim samym tonem (ot, jak gdybyśmy byli po prostu dwoma gośćmi, którzy będą jednako zadowoleni z wzajemnego poznania się) wyrzekała nazwisko słodkiego Śpiewaka o białych włosach. To nazwisko *Bergotte* wstrząsnęło mną jak wystrzał z rewolweru; ale instynktownie, dla zachowania kontenansu, skłoniłem się; na wprost mnie, jak owi prestidigitatorzy, gdy ukazują się nietknięci i w tużurku w dymie wystrzału, z którego ulatuje gołąbek, oddał mi ukłon człowiek młody, tęgi, mały, barczysty i krótkowzroczny, z czarną bródką i z czerwonym nosem skręconym w kształt muszli ślimaka.

Byłem śmiertelnie smutny, bo oto rozsypał się w proch nie tylko tęskny starzec, z którego nie zostało już nic, lecz także piękność olbrzymiego dzieła, którą mogłem pomieścić w wątlmym i świętym organizmie, wzniesionym niby świątynia umyślnie dla tego dzieła, ale dla której nie było miejsca w krępych, pełnym naczyń krwionośnych, kości i zwojów ciele małego człowieczka ze spłaszczonym nosem i z czarną bródką, jakiego miałem przed sobą. Cały Bergotte, którego powoli i delikatnie wypracowałem sam, kropla po kropli, niby stalaktyt, wraz z przezroczystym pięknem jego książek, ten Bergotte stawał się nagle czymś bezprzedmiotowym, z chwilą gdy trzeba mu było zachować zakręcony nos i zuży-

kować czarną bródkę; tak jak się staje do niczego rozwiązanie problemu, którego dane odczytaliśmy niedokładnie i nie licząc się z tym, że suma miała dać jakąś określoną cyfrę. Nos i bródka stanowiły elementy równie nieuchronne i tym bardziej krępujące, ile że, zmuszając mnie do całkowitego przebudowania osobistości Bergotte'a, zdawały się wciąż jeszcze zawierać, produkować, wydzielać pewien rodzaj inteligencji czynnej i zadowolonej z siebie, co było nie w porządku, bo ta inteligencja nie miała nic wspólnego z duchem rozlanym w jego książkach, tak dobrze mi znanych, nasyconych łagodną i boską mądrością. Wychodząc z książek, nigdy nie byłbym doszedł do tego skręconego nosa; ale biorąc za punkt wyjścia ten nos, który, jakby nie troszcząc się o to, spoglądał w świat z kawalerską fantazją, szedłem w zupełnie innym kierunku niż dzieło Bergotte'a; dotarłbym raczej do jakiejś charakterystyki spieszącego się inżyniera, z gatunku tych, którzy, kiedy się im uklonić, uważają za właściwe powiedzieć: „Dziękuję, a pan?“, zanim się ich ktoś spyta o zdrowie; a kiedy im ktoś powie, że jest szczęśliwy z ich poznanie, odpowiadają skrótem, który uważają za taktowny, inteligentny i nowoczesny, ile że nie marnuje cennego czasu na czcze formułki: „Nawzajem”.

Bez wątpienia, nazwiska, nazwy, to są fantazyjni rysownicy, kreślący nam szkice ludzi i krajów tak mało podobne, że często jesteście zdumieni, kiedy ujrzemy przed sobą, zamiast świata wyrojonego, świat widzialny (który zresztą nie jest światem rzeczywistym, bo zmysły nasze posiadają nie o wiele więcej daru chwytania podobieństw niż wyobrażenia, tak iż rysunki możliwie zbliżone do rzeczywistości, są co najmniej równie odmienne od widzialnego świata, ile ten był odległy od świata urojonego). Ale co się tyczy Bergotte'a, kłopot z uprzednim nazwiskiem był niczym, w porównaniu z kłopotem, jaki mi sprawiało znane mi dzieło, do którego musiałem przywiązać, niby do balonu, człowieka z bródką, nie wiedząc, czy balon zachowa siłę wzniesienia. A przecież zdawało się, że to on napisał te książki, które tak ukochałem, bo kiedy pani Swann czuła się w obowiązku oznajmić mu mój kult dla jednej z nich, jegomość ów nie okazał się wcale zdumiony tym, że powiedziała to jemu, a nie innemu z gości, i nie zdawał się widzieć w tym omyłki; ale, wypełniając tużurek, który włożył na cześć zebranych, ciałem łaknącym bliskiego śniadania, z głową zajętą innymi ważnymi realnościami, przyjął to jakby miniony epizod swego dawniejszego życia; ot tak, jakby ktoś zrobił aluzję do kostiumu księcia de Guise, jaki on, Bergotte, miał któregoś roku na balu kostiumowym; uśmiechnął się, wracając myślą do swoich książek, które natychmiast spadły dla mnie (pociągając w swoim upadku całą wartość Piękna, świata, życia) do jakiejś miernej rozrywki człowieka z bródką. Powiadałem sobie, że musiał w nie włożyć dużo pracy, ale że, gdyby był żył na wyspie otoczonej ławicami perłowych ostryg, oddałby się tam z powodzeniem handlowi pereł. Dzieło jego nie wydało mi się już tak nieuniknione. I wówczas zapytywałem sam siebie, czy oryginalność naprawdę dowodzi, że wielcy pisarze są jak bogowie władający każdy w wyłącznie swoim i własnym królestwie i czy nie ma w tym wszystkim trochę udania; czy różnice między utworami nie są raczej wynikiem pracy niż wyrazem zasadniczych różnic w substancji danych osobowości.

Tymczasem przeszliśmy do stołu. Przy swoim talerzu znalazłem goździk, z łodygą zawiniętą w srebrny papier. Mniej mnie to zakłopotало niż koperta doręczona w przedpokoju, o której zupełnie zapomniałem. Zwyczaj, mimo iż dla mnie tak nowy, stał mi się zrozumiały, kiedy ujrzałem, że wszyscy goście biorą podobne goździki, spoczywające przy każdym nakryciu, i wpinają je sobie w butonierki. Zrobiłem jak oni, z ową swobodną miną wolnomyśliciela w kościele, który nie zna porządku mszy, ale wstaje, kiedy wszyscy wstają, i przyklęka w chwilę po wszystkich. Inny zwyczaj, nieznan mi a trwalszy, mniej mi się podobał. Po drugiej stronie mojego talerza znajdował się mniejszy talerzyk, napełniony czarną masą, w której nie odgadłem kawioru. Nieświadom, co z tym trzeba zrobić, postanowiłem jednak w duchu tego nie jeść.

Bergotte siedział niedaleko mnie, słyszałem doskonale jego słowa. Zrozumiałem wówczas wrażenie pana de Norpois. Miał w istocie dziwny organ; nic tak nie zmienia fizycznych właściwości głosu jak to, że zawiera myśl: wpływa to na dźwięczność dwugłosek, na energię dźwięków wargowych. I na dykcję. Dykcja Bergotte'a wydawała mi się zupełnie różna od jego sposobu pisania; a nawet to, co mówił, różne od tego, co wypełniało jego dzieła. Ale głos wychodzi z maski, spod której nie od razu może nam zdradzić twarz, jaką oglądaliśmy bez osłonek w stylu pisarza. W pewnych momentach, w których Bergotte

zwykł był mówić w sposób mogący się wydać afektowanym i niemiłym nie tylko panu de Norpois, długo nie mogłem odkryć ścisłego związku z partiami jego książek, gdzie forma staje się tak poetyczna i melodyjna. Wówczas w tym, co mówił, Bergotte widział piękność plastyczną, niezależną od treści zdań; że zaś słowo ludzkie jest w związku z duszą, ale nie wyraża jej jak styl, robił wrażenie, że mówi niemal na wspak sensowi, psalmodiując niektóre słowa i — jeżeli rozstrzygał w nich jeden obraz — ciągnąc je bez przerwy jak jeden dźwięk z nużącą monotonią. Tak iż pretensjonalny, przesadny i monotony sposób mówienia był znakiem estetycznej jakości jego słów i był w jego rozmowie wyrazem tej samej władzy, jaka stworzyła w jego książkach ciągłość obrazów i harmonię.

Było mi zrazu tym trudniej się w tym rozeznać, ile że to, co mówił w owych chwilach, właśnie dlatego, że to mówił naprawdę Bergotte, nie robiło wrażenia Bergotte'a. Była to obfitość myśli ścisłych, niemieszczących się w owym „stylu Bergotte”, jaki przyswoiło sobie wielu felietonistów; i ta odmienność — widziana mętnie poprzez konwersację, ni-by obraz przez okopcone szkło — była prawdopodobnie innym obliczem tego faktu, że kiedy się czytało stronicę Bergotte'a, nie była ona nigdy tym, co byłby napisał któryś z owych płaskich naśladowców, strojących wszelako, w dziennikach i w książkach, swoją prozę tyłoma obrazami i myślami *à la Bergotte*. Owa różnica w stylu pochodziła stąd, że istotny „Bergotte” był przede wszystkim jakimś cennym i prawdziwym składnikiem, ukrytym w sercu danej rzeczy, a następnie wydobytym z niej przez tego wielkiego pisarza mocą jego talentu; i właśnie to wydobywanie było celem słodkiego Śpiewaka, nie zaś robienie Bergotte'a. Prawdę rzekłszy, robił go mimo woli przez to, że był Bergotte'em i że w tym sensie każda nowa piękność jego dzieła była małą dawką Bergotte'a utajoną w danej rzeczy i wydobytą przez niego. Ale o ile każda z tych piękności była przez to spokrewniona z innymi i rozpoznawalna, została mimo to odrębna jak odkrycie, które ją dobyło na jaw; nowa, a tym samym różna od tego, co nazywano „stylem Bergotte”, będącym mętną syntezą „Bergotte'ów” już znalezionych i zredagowanych przez niego, a zgoła niepozwalających ludziom przeciętnym zgadnąć, co by on odkrył gdzie indziej. Tak jest ze wszystkimi wielkimi pisarzami, piękno ich stylu jest nieprzewidywane, jak piękność kobiety, której się nie zna jeszcze; jest tworzeniem, skoro się ściąga do zewnętrznego przedmiotu, o którym oni myślą — nie zaś o sobie — i którego jeszcze nie wyrazili. Autor dzisiejszych pamiętników, gdy zechce bez ostentacji robić Saint-Simona, może od biedy nakreślić pierwszy wiersz portretu Villarsa: „Był to dość słuszny mężczyzna, brunet z fizjonomią żywą, otwartą, wyrazistą”, ale jakież determinizm pozwoli mu znaleźć drugi wiersz, zaczynający się od: „i jak gdyby trochę pomyloną”! Prawdziwa różnorodność tkwi w tej pełni elementów rzeczywistych i niespodzianych; w obciążonej błękitnymi kwiatami gałęzi, strzelającej, wbrew wszelkiemu spodziewaniu, z wiosennego żywopłotu, który zdawał się już nasycony; gdy czysto formalne naśladowanie różnorodności (a rozumowanie to można by przenieść na wszystkie inne właściwości stylu) wydaje jedynie pustkę i jednostajność, to znaczy rzecz najbardziej przeciwną różnorodności, a jeżeli może w tej imitacji dać jej złudzenie i przypominać ją, to chyba temu, kto nie rozumiał jej u mistrzów.

Toteż — jak dykcja Bergotte'a budziłaby z pewnością zachwyt, gdyby on sam był tylko jakimś amatorem recytującym rzekomego Bergotte'a, zamiast żeby była zespolona z myślą Bergotte'a w ruchu i w czynie związkami witalnymi, nie od razu wyczuwalnymi dla ucha — tak samo, ponieważ Bergotte stosował ściśle tę myśl do wybranej przezeń rzeczywistości, słowa jego miały coś pozytywnego, przekrwionego, co sprawiało zawód tym, którzy spodziewali się, że on będzie mówił tylko o „wiekuistym strumieniu złudy” i o „tajemniczych dreszczach piękna”. Rzadkość wreszcie i nowość jego stylu wyrażały się w rozmowie tak subtelnym sposobem ujmowania zagadnień, z pominięciem wszystkich już znanych fizjonomii, iż robiło to wrażenie, że on bierze każdą rzecz od strony jakiegoś drobiazgu, że mijają się z jej istotą, że się bawi w paradoksy; tym samym myśli jego najczęściej zdawały się mętne, gdyż każdy nazywa jasnymi myślami te, które posiadają ten sam stopień mętności co jego własne. Ponieważ zresztą warunkiem wszelkiej nowości jest uprzednie wyeliminowanie szablonu, do któregośmy przywykli i który nam się wydaje samą rzeczywistością, wszelka nowa rozmowa, jak wszelkie oryginalne malarstwo lub muzyka, wyda się zawsze wysiłona i męcząca. Zasadza się ona na obrazach, do których nie jesteśmy przyzwyczajeni; wydaje się nam, że ktoś mówi samymi przenośniami,

co nuży i daje wrażenie sztuczności. (W gruncie, dawne formy były również niegdyś obrazami trudnymi do uchwycenia, gdy słuchacz nie znał jeszcze świata, jaki malowały. Ale od dawna wyobrażamy sobie, że to był świat rzeczywisty, polegamy na nim). Toteż kiedy Bergotte — co się dziś wydaje bardzo proste — powiadał o doktorze Cottard, że to jest „nurek Kartezjusza” szukający równowagi, a o Brichocie, że „ma więcej jeszcze od pani Swann kłopotu z fryzurą, bo pochłonięty naraz swoim profilem i swoją reputacją, musi nieustannie pilnować, aby jego koafiura dawała mu równocześnie minę lwa i filozofa”, szybko czuło się zmęczenie i chciało się odpocząć na czymś konkretniejszym, co znaczyło po prostu: *zwyczajniejszym*. Te obce mi słowa, wychodzące z maski, jaką miałem przed sobą, trzeba mi było odnieść do pisarza, któremu podziwiał; nie dałoby się ich włożyć w jego książki na sposób owych *puzzle*, które wstawia się w inne: były na innym planie i wymagały transpozycji. Tym samym, kiedy raz powtarzałem sobie słowa słyszane z ust Bergotte’a, odnalazłem w nich całą konstrukcję jego pisanego stylu, z którego mogłem rozpoznać i określić rozmaite partie w tym mówionym eseju, wprzód dla mnie tak odmiennym.

Nawiasem mówiąc, specjalny, trochę zbyt staranny i dobitny sposób, w jaki Bergotte podkreślał niektóre słowa, niektóre przymiotniki często wracające w jego ustach i które wymawiał nie bez pewnej emfazy, wybijając wszystkie sylaby i dając coś śpiewnego ostatniej (na przykład w słowie *visage*, którego używał zawsze zamiast *figure* i któremu przydawał wielką obfitość v, s, g, jak gdyby eksplodujących naraz w jego otwartej wówczas dłoni), odpowiadał ściśle akcentowi, jakim w swojej prozie uwydatniał owe ulubione słowa, poprzedzając je rodzajem marginesu i oprawiając je w całość zdania w ten sposób, że trzeba było koniecznie pod grozą rytmicznego błędu — wydobyć całą ich wartość. Mimo to, nie odnajdywało się w mowie Bergotte’a owego oświecenia, które w jego książkach (jak również u pewnych innych autorów) zmienia często w pisanym zdaniu wygląd słów. To zapewne stąd, że światło to płynie z wielkiej głębi i nie dosięga swymi promieniami naszych słów w godzinach, gdy, udzielając się w rozmowie innym, stajemy się poniekąd zamknięci dla siebie. Pod tym względem, Bergotte miał więcej intonacji, więcej akcentów w książkach niż ustnie; akcentów niezależnych od piękności stylu i których sam autor zapewne nie czuł, ile że są one nieoddzielne od jego najtajemniejszej osobowości. To ten akcent, w chwili gdy Bergotte był w swoich książkach zupełnie naturalny, dawał rytm często bardzo nieznaczącym słowom. Akcent ten nie jest zaznaczony w tekście, nic go nie wskazuje, mimo to udziela się on sam z siebie okresom, nie można ich wygłosić inaczej; akcent ten jest u pisarza czymś najbardziej ulotnym, a przecież najgłębszym; on będzie świadczył o jego naturze, on powie, czy mimo wszystkich twardych prawd, jakim dał wyraz, pisarz był ludzki; czy mimo wszystkich zmysłowości był sentymentalny.

Niektóre cechy wysłowienia, istniejące w rozmowie Bergotte’a w postaci wątego śladu, nie były ściśle jego własnością; kiedy poznałem później jego braci i siostry, odnalazłem je u nich, zaakcentowane o wiele silniej. Było to coś jakby szorstkiego i chrapliwego w ostatnich słowach wesołej myśli, coś omdlałego, gasnącego z końcem smutnej frazy. Swann, który znał Mistrza, gdy ten był dzieckiem, powiedział mi, że wówczas miał on, jak jego rodzeństwo, owe akcenty, można rzec, rodzinne: krzyki naglej wesołości, to znów szepty cichej melancholii, i że w pokoju, gdzie się bawili razem, on lepiej niż ktokolwiek z braci wykonywał swoją partię w ich ogłuszających na przemian i marzących koncertach. Wszelki taki dźwięk — choćby najbardziej własny — wydzielający się z istot, jest ulotny i nie przetrwa ich. Inaczej było z dykcją Bergotte’ów. Bo o ile trudno jest zrozumieć kiedykolwiek, nawet w *Meistersängerach*, w jaki sposób artysta może stworzyć muzykę, słuchając szczebiotu ptaków, Bergotte przecież wcielił i utrwalił w swojej prozie tę manierę kołysania słów, powtarzających się w krzykach radości lub ociekających westchnieniami smutku. Są w jego książkach spadki zdań, gdzie natłok dźwięków przedłuża się niby ostatnie akordy uwertury, która, jakby nie mogąc się skończyć, wiele razy powtarza ostatnią kadencję, zanim dyrygent odłoży pałeczkę; odnalazłem w nich później muzyczny równoważnik krtaniowych trąbek rodziny Bergotte. Ale co do niego samego, od chwili gdy przeniósł te akcenty w książki, nieświadomie przestał ich używać w mowie. Od dnia, gdy zaczął pisać, a tym bardziej później, kiedy go poznałem, głos jego zdezorkiestrował się na zawsze.

Ci młodzi Bergotte — przyszły pisarz i jego rodzeństwo — nie przerastali wcale — raczej przeciwnie — innych młodych ludzi, subtelniejszych, inteligentniejszych, którym klan Bergotte wydawał się hałaśliwy, nawet trochę pospolity, drażniący w swoich żartach, stanowiących w pół pretensjonalny, w pół wygłupiający się styl tego domu. Ale geniusz, a nawet wielki talent, rodzi się nie tyle z czynników intelektualnych, subtelniejszych i wartościowszych niż u innych ludzi, ile ze zdolności przeobrażania, transponowania tych czynników. Aby ogrzać płyn lampą elektryczną, nie chodzi o to, aby mieć lampę możliwie najsilniejszą, ale aby mieć taką, której prąd, przestając oświetlać i zmieniając łożysko, byłby zdolny zamiast światła dawać ciepło. Aby latać w przestworzach, nie jest potrzebny automobil najsilniejszy, ale taki, który, przestając biec po ziemi i przecinając prostopadłą linią drogę swego pędu, byłby zdolny zmienić horyzontalną chyżość na siłę wzlotu. Tak samo ludźmi zdolnymi wydać genialne dzieła nie są ci, co żyją w najsubtelniejszym środowisku, najświetniejsi w rozmowie, najbogatsi w kulturę, ale ci, co, przestając nagle żyć dla samych siebie, zdołali uczynić swoją osobowość podobną zwierciadłu, tak że ich życie, przy całej swojej towarzyskiej, a choćby intelektualnej miernocie, odbija się w nim. Geniusz polega tu na sile odbijającej, nie na swoistej wartości odbitego przedmiotu. W dniu, gdy młody Bergotte zdołał pokazać swoim czytelnikom mieszczkański salon, w którym spędził dzieciństwo i niezabawne rozmowy, jakie tam prowadził z braćmi, w tym dniu wznosił się wyżej od przyjaciół swojej rodziny, inteligentniejszych i wytworniejszych; ci, w swoich pięknych rolls-royce'ach, mogli, wróciwszy do domu, natrzasać się nieco z pospolitości Bergotte'ów; ale on, na swoim skromnym aparacie, który się wreszcie „odziemił”, bujał ponad nimi.

Inne rysy wysłowienia miał Bergotte wspólne nie z członkami własnej rodziny, ale z niektórymi pisarzami swojej epoki. Młodszy, którzy zaczynali się go zapierać i przeczyć wszelkiemu z nim duchowemu pokrewieństwu, zdradzali je niechcący, używając tych samych przysłówków, tych samych przymków, które on powtarzał bez ustanku; budując zdania w ten sam sposób, mówiąc na tym samym ścisłym i matowym tonie, przez reakcję przeciw łatwej swadzie poprzedniego pokolenia. Może ci młodzi ludzie — ujrzymy, że byli i tacy — nie znali Bergotte'a. Ale jego sposób myślenia, raz im zaszczerpiony, rozwinął w nich te właściwości składni i akcentu, będące w nieodzownym związku z oryginalnością myśli. Stosunek ten wymaga zresztą komentarza. I tak, Bergotte, o ile nie zawdzięczał nic nikomu w swoim sposobie pisania, sposób mówienia przejął od jednego z dawnych kolegów, cudownego *causeura*, którego wpływowi uległ, którego bezwiednie naśladował w rozmowie, ale który, mniej utalentowany od niego, nigdy nie napisał naprawdę tegiej książki. Tak iż, gdyby się opierać na oryginalności wysłowienia, uznano by Bergotte'a za satelitę, za naśladowcę, gdy on, ulegając wpływowi przyjaciela w sferze konwersacji, był oryginalny i twórczy jako pisarz. I kiedy Bergotte chciał pochwalić jakąś książkę, wówczas — z pewnością dlatego, aby się odgrodzić od poprzedniego pokolenia, zbyt zamilowanego w abstrakcjach, w szumnych komunałach — podkreślał i cytował z niej zawsze jakąś scenę szczególnie plastyczną, jakiś obraz bez treściowego znaczenia. „Och, tak! — powiadał — to bardzo tegie! jest tam mała dziewczynka w pomarańczowym szalu, kapitalne¹⁸!”. Co się tyczy stylu, Bergotte nie był całkowicie pisarzem swojej epoki (przy czym był bardzo wyłącznie pisarzem swego kraju, nienawidził Tołstoja, George'a Eliota, Ibsena i Dostojewskiego), bo słowem, które nastęrczało mu się zawsze, kiedy chciał pochwalić jakiś styl, było: „łagodny, miękki”. „Owszem, wolę mimo wszystko Chateaubrianda z *Atali* niż z *Renégo*, wydaje mi się miękki”. Mówił to tak, jak lekarz, którego chory zapewnia, że mleko szkodzi mu na żołądek, a on odpowiada: „To przecież bardzo łagodne”. I faktem jest, że w stylu Bergotte'a jest jakaś harmonia, podobna tej, za którą starożytni chwalili niektórych swoich mówców; które to pochwały dość trudne są do odczucia dla nas, przywykłych do naszego nowoczesnego języka, nie szukającego tego rodzaju efektów.

Mówił też z nieśmiałym uśmiechem o własnych książkach, gdy się ktoś zachwycał jakimś ustępem: „Tak, sądzę, że to jest dosyć prawdziwe, dosyć ścisłe, to może być użyteczne”; ale czynił to po prostu przez skromność, jak kobieta, której mówią, że jej suknia

¹⁸*Och (...) kapitalne* — w wyd. popr. (PIW, Warszawa 1965) tłumaczenie uzupełnione w tym miejscu o następujące zdanie: „Albo: »Ach! Jest tam jedno miejsce, gdzie mowa o pulku, który przechodzi przez miasto. Wspaniale!«”. [przypis edytorski]

albo córka jest urocza, odpowiada o sukni: „Wygodna jest”, a o córce: „Ma dobry charakter”. Ale Bergotte miał zbyt silny zmysł konstrukcji, aby nie wiedzieć, iż jedynym dowodem, że budował użytecznie i w prawdzie, jest radość, jaką mu dało jego dzieło — najpierw jemu, a potem drugim. Jedynie w wiele lat potem, kiedy już postradał talent, za każdym razem, kiedy napisał coś, z czego nie był zadowolony, wówczas, aby nie przekreślać tego (jak był powinien), aby to oddać do druku, powtarzał — tym razem samemu sobie: „Ostatecznie, to jest dosyć prawdziwe, to nie będzie bez pożytku dla kraju”. Tak, iż frazes szeptany niegdyś wielbicielom przez komedię skromności, szeptał później, w tajni jego serca, niepokój ambicji. I te same słowa, które służyły Bergotte’owi za zbyt uczynną wymówkę wartości jego pierwszych dzieł, stały się mu poniekąd bezsilną pociechą w mierności ostatnich utworów.

Pewna surowość smaku, płynąca z chęci nie napisania czegoś, o czym by nie można powiedzieć, że jest „miękkie”, i sprawiająca, że Bergotte tyle lat uchodził za pisarza bezpłodnego, mizdrzącego się, cyzelatora błahostek, była przeciwnie tajemnicą jego siły. Przyzwyczajenie stwarza równie dobrze styl pisarza jak charakter człowieka, i autor, który wiele razy zadowolili się tym, aby osiągnąć w wyrazie swojej myśli pewnego wdzięku, określa w ten sposób na zawsze granice swego talentu, tak jak ulegając często przyjemności, lenistwu, obawie cierpienia, człowiek kreśli sam na charakterze, gdzie retusz staje się w końcu niemożliwy, kształt swoich przywar i granice swojej cnoty.

Jeżeli, mimo tylu związków między pisarzem a człowiekiem, jakie spostrzegłem później, nie uwierzyłem w pierwszej chwili u pani Swann, że to jest Bergotte, że to autor tylu boskich książek stoi przede mną, nie byłem może całkiem w błędzie, bo on sam (w ścisłym znaczeniu słowa) nie „wierzył” w to również. Nie wierzył w to, skoro rozwijał ogromną zabiegliwość w stosunku do światowców (nie będąc zresztą snobem), do literatów, dziennikarzy, ludzi o wiele niższych od siebie. Z pewnością, dowiedział się teraz z głosu publiczności, że jest genialny, wobec czego sytuacja światowa i oficjalne stanowiska są niczym. Dowiedział się, że jest genialny, ale nie wierzył w to, skoro nadal udawał szacunek dla miernot, aby zostać niebawem akademikiem, mimo iż Akademia lub Faubourg Saint-Germain nie więcej mają wspólnego z cząstką wiekuistego Ducha, będącą autorem książek Bergotte’a, co z zasadą przyczynowości lub ideą Boga. Bergotte wiedział o tym, ale tak, jak kleptomani daremnie wie, że źle jest kraść. I człowiek z bródką i ze ślimakowatym nosem rozwijał chytrych gentlemana kradnącego srebrne łyżki, aby się zbliżyć do spodziewanego fotela, do jakiejś księżnej rozporządzającej pewną ilością głosów, ale zbliżyć się tak, aby nikt z osób zdolnych mu brać za złe takie zabiegi nie zauważył jego dyplomacji. Udawało mu się to tylko w pewnym stopniu; słowa prawdziwego Bergotte’a błąkały się między słowami Bergotte’a ambitnego, egoisty, który, aby sobie przydać wartości, rad mówił tylko o jakichś ludziach potężnych, dostojnych lub bogatych — on, który w swoich książkach, kiedy był naprawdę sobą, tak pięknie pokazał czysty jak źródło czar ubogich.

Co do owych innych wad, do których robił aluzję pan de Norpois, co do owej w pół kazirodczej miłości, którą pomawiano nawet o pieniężną interesowność, wady te kłóciły się rażąco z tendencją jego ostatnich powieści. Te były pełne tak skrupulatnej i bolesnej troski o poziom moralny, że najdrobniejsze radości bohatera były nią zatrute; czytelnik wynosił z tych książek wręcz uczucie lęku, stawiającego najspokojniejszą egzystencję pod znakiem zapytania. Wady te — o ile je słusznie przypisywano Bergotte’owi — nie dowodziły jednak, aby jego literatura była kłamstwem, a ta nadmierna wrażliwość komedią. Jak w patologii pewne stany, na pozór jednakie, rodzą się jedne z nadmiaru, drugie z niedoboru ciśnienia, wydzielania etc., tak samo może istnieć jakaś przywara z przewrażliwienia lub inna z braku wrażliwości. Może jedynie egzystencjom istotnie skażonym problem moralny może się narzucać z całą siłą obsesji. I temu problemowi artysta daje rozwiązanie nie na płaszczyźnie swego osobistego życia, ale na płaszczyźnie tego, co dlań jest jego życiem istotnym — rozwiązanie powszechne, artystyczne. Jak wielcy doktorzy Kościoła, ludzie dobrzy, zaczęli często od poznania grzechów wszystkich ludzi i zaczerpnęli stąd swoją własną świętość, tak znów często wielcy artyści, będąc źli, korzystają ze swoich występków, aby osiągnąć zrozumienie powszechnej reguły moralnej. Występki (lub bodaj tylko słabostki i śmieszności) środowiska, w jakim żyli, niebaczne słowa, płocze i gorszące życie ich córki, zdrady ich żony lub własne ich błędy, oto rzeczy, które pisa-

rze najczęściej piętnowali w swoich diatrybach, nie zmieniając przez to trybu własnego małżeństwa lub złego tonu panującego w ich domu. Ale ten kontrast niegdyś uderzał mniej niż za czasu Bergotte'a, dlatego że, z jednej strony, w miarę jak społeczeństwo się psuje, poczucie moralne rafinuje się; z drugiej zaś strony, publiczność bardziej niż wprzód wnika w prywatne życie pisarzy; i nieraz pokazywano sobie w teatrze autora, tak podziwianego przeze mnie w Combray, w loży, której sam skład osób zdawał się dziwnie komicznym lub gorszącym komentarzem, bezwstydnym zaprzeczeniem tezy, jakiej Bergotte bronił w swym ostatnim dziele.

Ale to, co ludzie mogli mi powiedzieć, niewiele mnie pouczyło o dobrych lub złych cechach natury Bergotte'a. Ktoś z bliskich przytaczał dowody jego braku serca; ktoś inny, nieznajomy, cytował rys (wzruszający, bo wyraźnie przeznaczony na to, aby pozostał nieznanym) jego głębokiej dobroci. Postąpił okrutnie ze swoją żoną. Ale w gospodzie wiejskiej, dokąd zjechał przypadkiem, czuwał całą noc nad jakąś biedotą, która próbowała się utopić; i kiedy musiał odjechać, zostawił dużo pieniędzy oberżyscie, aby nie wypędzał nieszczęśliwej i aby miał dla niej względy. Być może, im bardziej wielki pisarz wyrastał w panu Bergotte kosztem jegomościa z bródką, tym bardziej własne indywidualne życie topiło się w nurcie wszystkich stwarzanych przez niego fikcyjnych istnień, zwalniając go niejako z obowiązków rzeczywistych, zastąpionych dlań obowiązkiem stwarzania owych innych istnień. Ale zarazem, ponieważ sobie wyobrażał uczucia drugich równie dobrze, co gdyby to były jego własne, kiedy okoliczności sprawiły, że się zetknął — przynajmniej w przelotny sposób — z jakimś nieszczęśliwym, starał się zająć punkt widzenia nie własny, ale tego, który cierpi; i z tego punktu przejmowałby go wstrętem język ludzi nadal myślących o swoich drobnych sprawach wobec cudzej niedoli. Tak iż budził dokoła siebie słuszne urazy i niezatarte wdzięczności.

Był to zwłaszcza człowiek, który w gruncie i naprawdę kochał jedynie pewne obrazy; lubił tworzyć je i malować słowami, niby miniaturę na dnie szkatułki. Za lada drobnostką, jaką mu ktoś przesłał, jeżeli ta drobnostka dała mu sposobność do splecenia kilku słów, okazywał się hojny w wyrazy wdzięczności, podczas gdy obojętnie przyjmował bogaty podarek. A gdyby się miał bronić przed trybunałem, mimo woli dobierałby słów nie wedle ich domniemanego działania na sędziów, ale pod kątem obrazów, jakich sędzia z pewnością by nie zauważył.

Owego pierwszego dnia, kiedy ujrzał Bergotte'a u państwa Swann, opowiedziałem mu, że widział świeżo Bermę w *Fedrze*; orzekł, iż w scenie, gdy artystka trwa z dłonią podniesioną do wysokości ramienia — była to właśnie jedna ze scen, tak oklaskiwanych — umiała z bardzo szlachetnym kunsztem ożywić arcydzieła, jakich może zresztą nigdy nie widziała; Hesperydę czyniącą ten gest na metopie w Olimpii, a także piękne dziewice dawnego Erechtejonu.

— To może jest intuicja, ale wyobrażam sobie, że ona wysiaduje w muzeach. To byłoby interesujące do ustalenia — („ustalić” było jednym z uprzywilejowanych wyrażen Bergotte'a, a wielu młodych ludzi, którzy go nigdy nie widzieli, przejęło ten zwrot, naśladowując Bergotte'a mocą pewnej sugestii na odległość).

— Myśli pan o Kariatydach? — spytał Swann.

— Nie, nie — rzekł Bergotte — poza sceną, gdy Fedra wyznaje swoją namiętność Enonie i gdy robi gest Hegeso ze steli Ceramiki, ona wskrzesza sztukę o wiele dawniejszą. Mówiłem o Korai dawnego Erechtejonu; przyznaję, że nie ma może nic równie odległego od sztuki Racine'a... ale jest już tyle rzeczy w *Fedrze*... zatem, jedna mniej, jedna więcej... Och! a potem, owszem, bardzo ładna jest ta mała Fedra z VI wieku, ten pion ramienia, pukiel włosów „robiący marmur”, owszem, tak, to jest bardzo tęgie wymyślić to wszystko. Jest w tym o wiele więcej antyku niż w wielu książkach, które w tym roku uchodzą za „antyczne”.

Ponieważ Bergotte zwrócił w jednej ze swoich książek słynną inwokację do owych starożytnych posągów, słowa jego w tej chwili były dla mnie bardzo jasne i dawały mi nową przyczynę interesowania się grą Bermy. Staralem się ją na nowo ujrzeć we wspomnieniu taką, jaką była w owej scenie, gdzie, pamiętałem, podniosła dłoń na wysokość ramienia. I powiadałem sobie: „Oto Hesperyda z Olimpii; oto siostra jednej z owych cudownych błagalnic Akropolu; oto, co się zowie szlachetna sztuka!”. Ale, aby te myśli mogły mi upiększyć gest Bermy, trzeba by je usłyszeć z ust Bergotte'a przed spektaklem. Wówczas,

gdy ów gest aktorki istniał rzeczywiście przede mną, w chwili gdy dziejąca się rzecz ma jeszcze pełnię realności, byłbym może próbował wydobyć z niej ideę starożytną rzeźby. Ale to, com zachował z Bermy w owej scenie, to było wspomnienie niedostępne już zmianie, wątle jak obraz bez owych głębokich pokładów teraźniejszości, w których się można ryc i z których można wydobyć naprawdę coś nowego; — obraz, któremu nie można narzucić wstecz interpretacji, jako niedostępnej już kontroli i sankcji rzeczowej.

Aby się wmieszać do rozmowy, pani Swann spytała mnie, czy Gilberta pamiętała mi dać to, co Bergotte napisał o Fedrze. „Mam córkę tak roztrzępaną”, dodała. Bergotte uśmiechnął się skromnie i tłumaczył się, że to jest drobiazg bez znaczenia. „Ale to takie urocze dziełko, ten mały *tract*” — rzekła pani Swann, aby się okazać dobrą panią domu, aby dowieść, że czytała broszurkę, a także dlatego, że lubiła nie tylko komplementować Bergotte’a, ale czynić wybór między rzeczami, które pisał, kierować nim. I w istocie natchnęła go, inaczej zresztą, niż sądziła. Ale ostatecznie, między elegancją salonu pani Swann a całą partią dzieła Bergotte’a istnieją takie związki, że w oczach dzisiejszych starców mogą one wzajem służyć sobie za komentarz.

Ośmieliłem się zwierzyć mu ze swoich wrażeń. Często nie wydały się Bergotte’owi trafnie, ale pozwalał mi mówić. Oświadczyłem, że mi się podobało zielone światło, użyte w chwili, gdy Fedra podnosi rękę. „A, zrobiłby pan niemałą przyjemność dekoratorowi, który jest wielkim artystą; opowiem mu to, bo i on jest bardzo dumny z tego światła. Ale ja muszę wyznać, że nie bardzo je lubię; to pławi wszystko w jakimś seledynowym sosie, Fedra robi się w tym wszystkim niby gałązka koralu w akwarium. Powie pan, że to wydobywa kosmiczną stronę dramatu. Tak, to prawda. Bądź co bądź, to by było właściwsze dla sztuki, która by się działa w królestwie Neptuna. Ja wiem, że tam jest mowa o zemście Neptuna. Mój Boże, ja nie żądam, aby wciąż myśleć tylko o Port-Royal, ale ostatecznie to, co Racine tam opowiada, to nie są amory jeźowców. Ale ostatecznie, tego mój przyjaciel chciał, i w rezultacie to jest bardzo tęgie i w gruncie dosyć ładne. Tak, panu się to podobało, pan to zrozumiał, prawda; w gruncie jesteśmy jednego zdania; to trochę niedorzeczne, co on zrobił, prawda, ale z tym wszystkim to bardzo inteligentne”.

I kiedy jego sąd był sprzeczny z moim, Bergotte nie doprowadzał mnie bynajmniej do milczenia, do niemożliwości jakiegokolwiek repliki, jakby to uczynił wyrok pana de Norpois. To nie dowodzi, aby zdanie Bergotte’a było mniej warte niż zdanie ambasadora, przeciwnie. Tęga myśl udziela oponentowi nieco swojej siły. Bogata w jakieś ogólne wartości ducha, wciska się ona, wszczepia się w umysł tego, z którym polemizuje, wraz z myślami ubocznymi, przy pomocy których ów, znajdując jakiś sukurs, uzupełnia ją, precyzuje; tak iż ostateczny sąd jest niejako wynikiem dyskusji dwóch osób. Ale na myśli niebędące ściśle biorąc myślami, na myśli, które, nie wiążąc się z niczym, nie znajdują żadnego punktu oparcia, żadnej bratniej gałązki w inteligencji przeciwnika, ów, zmagając się z czystą próżnią, nie znajduje odpowiedzi. Argumenty pana de Norpois (w zakresie sztuki) były bez repliki, bo były bez treści.

Wobec tego, iż Bergotte nie odrzącił moich wątpliwości, wyznałem mu, że pan de Norpois zlekceważył je. „Ależ to stary dzieciół — rzekł Bergotte — musiał pana poharatać swoim dziobem, bo zawsze mu się wydaje, że ma przed sobą kawał pnia”.

— Jak to! pan zna starego Norpois? — rzekł do mnie Swann.

— Och, nudny jest jak lukrecja — przerwała pani Swann, która miała wiele zaufania do sądu Bergotte’a, a bała się z pewnością, czy pan de Norpois nie powiedział u nas o niej czego złego. — Chciałam z nim rozmawiać kiedyś po obiedzie; nie wiem, czy to wiek, czy trawienie, ale wydał mi się kompletny ramol. Robi wrażenie, że trzeba by mu dopingiu.

— Tak, prawda — rzekł Bergotte — on musi dosyć często milczeć, aby nie wyczerpać przed końcem wieczoru zapasu głupstw, które krochmalą gors jego koszuli i podtrzymują białą kamizelkę.

— Uważam, że Bergotte i moja żona są bardzo surowi — rzekł Swann, który obejmował u siebie w domu „*emploi*” zdrowego rozsądku. — Uznaję, że Norpois nie może pana zbyt interesować, ale z innego punktu widzenia — (bo Swann lubił kolekcjonować piękności „życia”) — jest to figura dosyć ciekawa, dosyć ciekawa jako „amant”. Kiedy był sekretarzem w Rzymie — dodał Swann, upewniwszy się, że Gilberta nie może słyszeć — miał w Paryżu kochankę, za którą szalał; otóż znajdował sposób przyjeżdżania dwa razy na tydzień po to, aby ją widzieć dwie godziny. Była to zresztą kobieta bardzo inteligent-

na i czarująca w owym czasie; obecnie już matrona. I miał prócz tego wiele innych. Ja bym oszalał, gdyby kobieta, którą bym kochał, mieszkała w Paryżu, a ja w Rzymie. Ludzie nerwowi powinni by zawsze kochać, jak mówi lud, „poniżej siebie”, tak, aby kwestia materialna czyniła kochankę zależną od nich.

W tej chwili Swann spostrzegł, że ja mógłbym zastosować tę maksymę do niego i do Odety. A że nawet u ludzi wyższych, w chwili gdy zdają się wraz z nami szybować ponad życiem, miłość własna tkwi w małostkach, Swann uczuł w tej chwili wybitną niechęć do mnie. Ale to się objawiło jedynie niepokojem jego spojrzenia. Nie rzekł mi nic w tej chwili. Nie trzeba się temu zbyt dziwić. Kiedy Racine, wedle wersji zresztą zmyślonej, ale której treść powtarza się co dnia w życiu paryskim, zrobił aluzję do Scarrona wobec Ludwika XIV, najpotężniejszy król świata nie rzekł tego wieczora poecie nic. A następnego dnia poeta popadł w niełaskę.

Że jednak teoria pragnie być wyrażana całkowicie, po chwili irytacji, przetarłszy monokl, Swann uzupełnił swoją myśl słowami, które miały później przybrać w moim wspomnieniu wartość proroczego i daremnego zresztą ostrzeżenia. „Jednakże — rzekł — niebezpieczeństwo tego rodzaju miłości tkwi w tym, że zależność kobiety uspokaja na chwilę zazdrość mężczyzny, ale czyni ją też bardziej wymagającą. Dochodzi do tego, że trzyma kochankę, niby owych więźniów, których oświecla się dniem i nocą, aby ich lepiej strzec. I kończy się to zazwyczaj dramatem”.

Wróciłem do pana de Norpois. „Niech mu pan nie ufa; o, to jest bardzo zły język” — rzekła pani Swann z akcentem, który zdawał się świadczyć, iż pan de Norpois musiał o niej źle mówić, zwłaszcza iż Swann popatrzył na żonę z wyrazem nagany, jakgdyby zabraniając jej brnąć dalej.

Tymczasem Gilberta, którą już dwa razy proszono, aby się poszła przygotować do wyjścia, przysłuchiwała się nam, między matką a ojcem, o którego ramię opierała się pieścizotliwie. Na pierwszy rzut oka nie mogło być większego kontrastu z panią Swann, która była brunetką, niż ta dziewczynka o rudych włosach i złocistej cerze. Ale po chwili rozpoznawało się w Gilbertce wiele rysów — na przykład nos ścięty z nagłą i nieomylną decyzją przez niewidzialnego rzeźbiarza, który pracuje swoim dłutem dla całego szeregu generacji — wyraz, ruchy matki; aby zacerpnąć porównanie z innej sztuki, Gilberta wyglądała na niezbyt jeszcze podobny portret pani Swann, której malarz, przez kaprys kolorysty, kazałby pozować na wpół przebranej, wybierającej się na obiad „*tête coiffée*” jako wenejanka. A że miała nie tylko perukę blond, ale wszelki atom śniadości wygnany był z jej cery, która, rozebrana ze swoich ciemnych zasłon, zdawała się bardziej naga, okryta jedynie promieniami wysyłanymi przez jakieś wewnętrzne słońce, charakteryzacja jej była nie tylko powierzchowna, ale głębsza; Gilberta robiła wrażenie, że przedstawia jakieś bajkowe zwierzę lub że włożyła jakiś mitologiczny kostium. Ta ruda cera pochodziła od jej ojca, jak gdyby natura, stwarzając Gilbertę, miała rozwiązać to zadanie, aby stopniowo odtworzyć panią Swann, mając jako materiał jedynie skórę pana Swann. I natura spożytkowała ją doskonale, jak snycerz, który stara się zostawić widoczne słoje i sęki. W twarzy Gilberty, w kąciku idealnie odtworzonego nosa Odety, skóra podnosiła się, aby oddać wiernie dwa pieprzyki Swanna. Była to niby nowo wyprodukowana odmiana pani Swann, oglądana obok niej, niby biały bez obok bzu lila.

Nie trzeba sobie zresztą wyobrażać ostrej linii granicznej między tymi dwoma podobieństwami. Chwilami, kiedy Gilberta się śmiała, widziało się owal policzków jej ojca w twarzy matki, jak gdyby je zestawiono razem dla sprawdzenia, co wyda taka kombinacja; ten owal precyzował się tak jak kształtuje się embriion, wydłużał się, wydymał i po chwili znikał. W oczach Gilberty było szczere i życzliwe spojrzenie jej ojca; to, które miała, wręczając mi agatową kulę i mówiąc: „Zachowaj ją na pamiątkę naszej przyjaźni”. Ale wystarczyło spytać Gilbertę o to, co robiła, natychmiast ujrzało się w tych samych oczach zakłopotanie, niepewność, udanie, smutek, jakie miała niegdyś Odeta, kiedy Swann pytał jej, gdzie była i kiedy mu odpowiadała jednym z owych kłamstw, które doprowadzały do rozpaczki kochanka, a które teraz nieciekawemu i dyskretnemu mężowi kazały nagle odmieniać rozmowę. Często na Polach Elizejskich odczuwałem niepokój, widząc u Gilberty to spojrzenie. Ale po największej części niesłusznie. Bo u niej, będąc czysto fizycznym dziedzictwem matki, spojrzenie to — przynajmniej to — nie odpowiadało już niczemu. Kiedy była na kursach, kiedy miała wrócić na lekcję, żrenice Gilberty wykonywały ten

ruch, który niegdyś w oczach Odety rodził się z obawy zdradzenia się, że w ciągu dnia przyjęła któregoś ze swoich kochanków lub że się spieszy na schadzki. I tak widziało się te dwie natury dwojga Swannów, mieniące się, spływające, wypierające się wzajem, w ciele tej Meluzyny.

Wiadomo jest, oczywiście, że dziecko ma coś z ojca i z matki. Ale rozdział tych odziedziczonych przymiotów i wad odbywa się tak szczególnie, że z dwóch przymiotów, które zdawały się nierozdzielne u jednego z rodziców, odnajduje się u dziecka tylko jeden, skojarzony z jakąś wadą drugiego z rodziców, wadą, zdawałoby się, nie do pogodzenia z ową zaletą. A nawet wcielenie duchowego przymiotu w wadę fizyczną wręcz sprzeczną, jest często jednym z prawideł podobieństwa dziecka. Z dwóch siostr jedna będzie miała, przy świetnej postawie ojca, małostkowy charakter matki; druga, naładowana inteligencją ojca, ukaże ją światu pod postacią swojej matki; matczyny gruby nos, sękaty brzuch, nawet głos, stały się odzieżą przymiotów, które znało się pod wspaniałą postacią. Tak iż o każdej z dwóch siostr można powiedzieć z jednaką słuszością, że to ona więcej ma z ojca lub z matki.

Prawda, że Gilberta była jedynaczką, ale były co najmniej dwie Gilberty. Dwie natury — ojca i matki — nie tylko się w niej mieszały; one kłóciły się o nią, a jeszcze to określenie byłoby nieściśle i pozwalałoby przypuszczać, że trzecia Gilberta była kolejno jedną a potem drugą, i w każdej chwili wyłącznie jedną. Kiedy była ową gorszą, niezdolna była cierpieć nad tym, bo lepsza Gilberta nie mogła wówczas, jako chwilowo nieobecna, stwierdzić tego upadku. Toteż gorsza z dwóch Gilbert mogła swobodnie sycić się mniej szlachetnymi przyjemnościami. Kiedy druga Gilberta mówiła sercem swego ojca, miała szerokie horyzonty, człowiek byłby chciał podjąć z nią piękne i dobroczynne dzieło, mówił jej to; ale w chwili, gdyście mieli dojść do porozumienia, serce matki już odzyskało swoją kolej i ono ci odpowiadało; i czuleś się nagle zawiedziony i podrażniony — prawie zaintrygowany, jakby wobec podstawienia innej osoby — małostkową uwagą, fałszywym śmiechem, sprawiającymi Gilbertcie przyjemność, bo wychodziły z istoty, jaką była w tej chwili. Przepaść między dwiema Gilbertami była czasem tak wielka, że człowiek pytał się — daremnie zresztą — co jej mógł zrobić takiego, aby ją zastać tak odmienioną. Na spotkanie, które ci sama zaproponowała, nie tylko nie przyszła i nie wytłumaczyła się, ale — jaki bądź mógł być wpływ, który jej kazał zmienić postanowienie — okazywała się potem tak inna, że mógłbyś mniemać, iż, padając ofiarą podobieństwa w rodzaju *Menechmów*, znajdujesz się nie wobec osoby, która tak mile pragnęła cię widzieć — gdyby nie widoczny zły humor Gilberty, świadczący, że czuje się winna i że chce uniknąć wyjaśnień.

— No, no, idź, bo będziemy musieli czekać na ciebie — rzekła matka.

— Jest mi tak dobrze przy moim papusku, zostanę jeszcze chwilę — odparła Gilberta, kryjąc głowę pod ramieniem ojca, który gładził czule jej jasne włosy.

Swann był jednym z tych ludzi, którzy długo żyjąc złudzeniami miłości, widzieli, iż dobrobyt, jaki dali pewnej ilości kobiet, przyczynił się do ich szczęścia, nie rodząc w nich żadnej wdzięczności ani czułości; ale w dziecku swoim wierzą w przywiązanie, które, wcielone w ich nazwisko, pozwoli im trwać po zgonie. Kiedy nie będzie już Karola Swanna, będzie jeszcze panna Swann albo pani X z domu Swann i nadal będzie kochała zmarłego ojca. Będzie go może nawet kochała zanadto, myślał z pewnością Swann, bo odpowiedział Gilbertcie: „Jesteś dobre dziecko”, z owym rozczulonym niepokojem, jaki w nas rodzi zbyt namiętna tkliwość istoty przeznaczonej na to, aby nas przeżyła. Aby ukryć wzruszenie, wmieszał się w naszą rozmowę o Bermie. Zwrócił mi uwagę — ale tonem obojętnym i znudzonym, jak gdyby chciał zostać poniekąd na zewnątrz tego, co mówił — z jaką inteligencją, z jaką nieoczekiwaną celnością aktorka rzekła do Enony: „Wiedziałaś?”. Swann miał słuszość: ten bodaj akcent miał wartość naprawdę zrozumiałą i byłby mógł tym samym uczynić zadość memu pragnieniu nieodpartych racji dla podziwiania Bermy. Ale właśnie dla swojej jasności nie zadowalał tego pragnienia. Akcent był tak trafny, o tak jasnym sensie i intencji, że zdawał się istnieć sam w sobie, tak, iż każda inteligentna artystka mogłaby się na to zdobyć. To była piękna idea, ale kto bądź by na nią wpadł, posiadłby ją równie łatwo. Wartością Bermy pozostawało to, że ją znalazła, ale czy można użyć słowa „znaleźć”, gdy chodzi o znalezienie czegoś, co by nie było inne, gdyby się to otrzymało, czegoś, co nie jest związane zasadniczo z naszą istotą, skoro ktoś inny może to później odtworzyć?

— Mój Boże, jak pańska obecność podnosi *poziom rozmowy!* — rzekł do mnie Swann, jakby dla usprawiedliwienia się w oczach Bergotte'a. Swann nabral w środowisku Guermantów zwyczaju przyjmowania wielkich artystów jak dobrych przyjaciół, których pragnie się jedynie uczęstować potrawami, jakie lubią, posadzić ich do gry lub też na wsi oddawać się sportom, jakie ich bawią. — Zdaje mi się, że my mówimy o *sztuce* — dodał.

— To bardzo dobrze, ja bardzo to lubię — rzekła pani Swann, rzucając mi spojrzenie pełne wdzięczności, przez dobroć, a także dlatego, że zachowała swoje dawne aspiracje do konwersacji intelektualnych.

Potem Bergotte zaczął mówić do innych osób, zwłaszcza do Gilberty. Powiedziałem mu wszystko, com odczuwał, ze swobodą, która mnie zdziwiła. Przywykwszy z nim od wielu lat (w ciągu tylu godzin samotności i lektury, w których był dla mnie jedynie lepszą cząstką mnie samego) do szczerości, prostoty, ufności, czułem się z Bergotte'em mniej onieśmielony niż z osobą, z którą rozmawiałbym po raz pierwszy. Jednakże dla tej samej przyczyny byłem bardzo niespokojny o wrażenie, jakie mogłem zrobić na wielkim pisarzu, bo podejrzenie moje, że on byłby wzgardził moimi myślami, datowało nie od dziś, ale od dawnych już czasów, gdy zacząłem czytać jego książki, w ogrodzie w Combray. Byłbym sobie co prawda mógł powiedzieć, że skoro szczerze, idąc za swoim instynktem, z jednej strony tak bardzo sympatyzowałem z książkami Bergotte'a, z drugiej zaś doznałem w teatrze niezrozumiałego rozczarowania, te dwa odruchy nie muszą być tak różne od siebie, ale muszą podlegać tym samym prawom; i że ten duch Bergotte'a, który ukochałem w jego książkach, nie musi być czymś całkowicie obcym i wrogim memu rozczarowaniu i mojej niezdolności wyrażenia go. Bo moja inteligencja była przecież jedna, a może w ogóle istnieje tylko jedna, której wszyscy są współlokatorami; inteligencja, na którą każdy z głębi swego osobistego ciała kieruje spojrzenie, jak w teatrze, gdzie, o ile każdy ma własne miejsce, w zamian za to jest tylko jedna scena. Bez wątplenia, idee, w jakich rozplątywaniu sobie podobałem, to nie były te, które najczęściej zgłębiał Bergotte w swoich książkach. Ale jeżeli obaj mieliśmy do rozporządzenia jedną i tę samą inteligencję, Bergotte musiał, słysząc, jak wyrażam te myśli, przypominać je sobie, lubić je, uśmiechać się do nich, zachowawszy prawdopodobnie, mimo wszystko, com przypuszczał, przed swoim wewnętrznym okiem całkiem inną cząstkę inteligencji, niż tę, której wycinek wszedł w jego książki i wedle której wyobraziłem sobie cały jego wszechświat duchowy. Tak samo jak księża, posiadając największe doświadczenie serca, mogą najlepiej przebaczyć grzechy, jakich nie popełniają, tak samo geniusz, mając największe doświadczenie inteligencji, może najlepiej zrozumieć myśli choćby najsprzeczniejsze z tymi, które tworzą treść jego własnych dzieł. Powinienem był sobie powiedzieć to wszystko (w czym zresztą nie ma nic przyjemnego, gdyż przychyłność wysokich duchów równoważy się niezrozumieniem i wrogością miernych; otóż czujemy się o wiele mniej szczęśliwi z sympatii wielkiego pisarza, którego ostatecznie możemy znaleźć w jego książkach, niż cierpimy od niesympatii kobiety, którą wybraliśmy nie dla jej inteligencji, a której mimo to nie możemy przestać kochać); powinienem był sobie powiedzieć to wszystko, ale nie mówiłem; byłem przekonany, że się wydał Bergotte'owi idiotą. Naraz Gilberta szepnęła mi do ucha:

— Pławię się w radości, boś podbił serce mojego wielkiego przyjaciela. Bergotte powiedział mamie, że mu się wydajesz nadzwyczaj inteligentny.

— Dokąd idziemy? — spytał Gilberty.

— Och, wszystko jedno: ty wiesz, dla mnie tu czy tam...

Ale od wydarzenia, jakie zaszło w rocznicę śmierci jej dziadka, pytałem sam siebie, czy charakter Gilberty nie jest inny, niż przypuszczałem, czy ta obojętność na ewentualne decyzje, ten rozsądek, ton, spokój, ta słodka uległość, nie kryją przeciwieństwo bardzo żywych pragnień, których ona przez ambicję nie chce pokazać i które zdradza jedynie nagłym oporem, kiedy przypadkowo ktoś je pokrzykuje.

Ponieważ Bergotte mieszkał w tej samej dzielnicy co my, wyszliśmy razem; w powozie mówił mi o moim zdrowiu:

— Państwo Swann wspomnieli mi, że pan jest cierpiący. Żal mi pana bardzo. Ale mimo to, nie żałuję pana zbyt, bo widzę, że pan musi mieć rozkosze inteligencji i że prawdopodobnie są one dla pana najważniejsze, jak dla wszystkich, co je poznali.

Niestety! Czulem, iż to, co Bergotte mówi, jakże mało odpowiada prawdzie dla mnie, którego wszelkie rozumowanie, choćby najpodniosłejsze, zostawiało zimnym, który byłem szczęśliwy jedynie w chwilach prostego *far niente*, przy dobrym samopoczuciu; czulem, do jakiego stopnia to, czegom pragnął w życiu, jest czysto materialne, i jak łatwo obszedłbym się bez inteligencji. Ponieważ w zakresie przyjemności nie rozróżniałem rozmaitych ich źródeł, mniej czy więcej głębokich lub trwałych, pomyślałem, w chwili gdy miał odpowiedzieć panu Bergotte, że lubiłbym egzystencję, w której żyłbym w pobliżu księżnej de Guermantes i w której bym często czuł, jak w dawnej budce akcyzy na Polach Elizejskich, chłód przypominający mi Combray. Otóż w tym ideale życia, jakiego nie śmiałem zwierzyć panu Bergotte, rozkosze inteligencji nie zajmowały żadnego miejsca.

— Nie, proszę pana, rozkosze inteligencji znaczą dla mnie bardzo mało, nie szukam ich, nie wiem nawet, czym ich kiedy kosztował.

— Sądzi pan, doprawdy? — odpowiedział. — Otóż, niech mi pan wierzy, że tak, że mimo wszystko to musi być to, co pan najbardziej lubi; ja tak to sobie wyobrażam, tak sądzę.

Nie przekonał mnie, to pewna; mimo to czulem się szczęśliwszy, swobodniejszy. Pod wpływem rozmowy z panem de Norpois, uważałem swoje zadumy, entuzjazmy, wiarę w siebie za rzeczy czysto subiektywne, bezprzedmiotowe. Otóż, wedle Bergotte'a, sprawiącego wrażenie, iż zna ten stan duszy, zdawało się, że symptomem godnym lekceważenia były, przeciwnie, moje wątpliwości, mój wstręt do samego siebie. Zwłaszcza to, co mówił o panu de Norpois, odejmowało wiele siły wyrokowi, który wprzód uważałem za bezapelacyjny.

— Czy pana dobrze leczą? — spytał Bergotte. — Kto się opiekuje pańskim zdrowiem? Odpowiedziałem, że doktor Cottard.

— Ależ panu trzeba całkiem czego innego! — odparł. — Nie znam go jako lekarza. Ale widziałem go u pani Swann. To głupiec. Przypuściwszy nawet, że mu to nie przeszkadza być dobrym lekarzem, w co trudno mi uwierzyć, przeszkadza mu to być dobrym lekarzem dla artystów, dla ludzi inteligentnych. Ludzie tacy jak pan potrzebują lekarzy specjalnych, powiedziałbym prawie specjalnych diet, lekarstw. Cottard pana znudzi i sama nuda nie pozwoli, aby jego leczenie było skuteczne. A przy tym leczenie nie może być takie samo dla pana, co dla pierwszego z brzegu. Trzy czwarte chorób ludzi inteligentnych płynie z ich inteligencji. Trzebaż im bodaj lekarza znającego tę chorobę. Jak pan chce, aby Cottard mógł pana leczyć; on przewidział ciężkostrawność sosów, przypadłości gastryczne, ale nie przewidział lektury Szekspira... Toteż rachuby jego dla pana nie mogą się zgadzać, równowaga jest zmałowana, wciąż „diabełek Kartezjusza” idzie w górę. Cottard znajdzie u pana rozstrzeń żołądka, nie potrzebuje pana badać, bo ją ma z góry w swoim oku. Może ją pan zobaczyć, odbija się w jego binoklach.

Ten sposób mówienia męczył mnie bardzo; powiadałem sobie z całą tępotą zdrowego rozsądku: „Tak samo nie ma rozstrzeni żołądka odbijającej się w binoklach profesora Cottard, jak nie ma głupoty w białej kamizelce pana de Norpois...”

— Radziłbym panu raczej — ciągnął Bergotte — doktora du Boulbon, który jest zupełnie inteligentny.

— To wielki wielbiciel pana dzieł — odparłem. Spostrzegłem, że Bergotte wie o tym i wywnioskowałem stąd, że bratnie dusze spotykają się szybko i że nie ma się wielu prawdziwych „nieznanych przyjaciół”. To, co mi Bergotte mówił o Cottardzie, uderzyło mnie, mimo iż było sprzeczne ze wszystkimi moimi pojęciami. Nie troszczyłem się wcale o to, czy lekarz wyda mi się nudny; oczekiwałem od niego, aby dzięki sztuce, której prawidła były mi nieznane, zbadawszy mnie, wydał o moim zdrowiu bezapelacyjny wyrok. I nie zależało mi na tym, aby przy pomocy inteligencji — w czym mógłbym go zastąpić — postarał się zrozumieć mój intelekt, w którym widziałem jedynie środek — sam w sobie obojętny — za pomocą którego człowiek stara się osiągnąć zewnętrzne prawdy. Mocno wątpiłem, aby ludzie inteligentni potrzebowali innej higieny niż głupcy, i byłem zupełnie gotów poddać się higienie głupców.

— Kto by potrzebował dobrego lekarza, to nasz przyjaciel Swann — rzekł Bergotte. Spytałem, czy jest chory.

— Ba, jak człowiek, który ożenił się z dziwką, i teraz łyka dziennie pięćdziesiąt awanii ze strony kobiet, które nie chcą przyjmować jego żony, lub mężczyzn, którzy z nią spali.

Widzi się to, twarz mu się skręca od tego. Niech pan spojrzy którego dnia na jego brwi, kiedy wraca do domu, a pozna pan, kto jest u niego.

Nieżyczliwość, z jaką Bergotte mówił w ten sposób do obcego człowieka o ludziach, z którymi łączyła go dawna zażyłość, była dla mnie czymś równie nowym jak czuły niemal ton, jaki, będąc u Swannów, przybierał z nimi co chwila. To pewna, że osoba taka jak na przykład moja cioteczna babka byłaby niezdolna wobec kogokolwiek z nas do tych czułości, jakimi przy mnie Bergotte obsypywał Swanna. Nawet tym, których kochała, lubiła mówić rzeczy nieprzyjemne. Ale w ich nieobecności nie byłaby powiedziała ani słowa, którego by nie mogli słyszeć. Nic nie było mniej podobne do „świata” niż nasze życie w Combray. Towarzystwo Swannów było już drogą ku „światu”, ku jego zmiennym fluktom. To nie było jeszcze pełne morze, ale to była już laguna.

— Wszystko to zostanie między nami — rzekł Bergotte, żegnając mnie pod domem. W kilka lat potem, byłbym mu odpowiedział: „Nigdy nic nie powtarzam”. Dzięki temu uświęconemu frazesowi światowców, obmawiający zyskuje za każdym razem złudne bezpieczeństwo. Byłbym to już owego dnia powiedział panu Bergotte, bo człowiek nie wymyśla sam wszystkiego, co mówi, zwłaszcza w momentach towarzyskości. Ale nie znałem jeszcze tego frazesu. Ciotka znowuż byłaby powiedziała w podobnej okoliczności: „Skoro pan nie chce, aby to powtarzać, czemu pan to mówi?”. To jest odpowiedź ludzi nietowarzyskich, weredyków. Nie należałem do takich; skłoniłem się w milczeniu.

Literaci, będący w porównaniu ze mną nie lada figurami, zabiegali lata całe, nim zdołali zawiązać z Bergottem stosunki czysto zawodowe i niewychodzące poza jego gabinet, gdy ja znalazłem się już na liście przyjaciół wielkiego pisarza, po prostu i spokojnie, jak ktoś, kto zamiast stać w ogonku ze wszystkimi, aby dostać złe miejsce, uzyskuje najlepsze, przeszedłszy korytarzem zamkniętym dla innych. Jeżeli Swann mi go otworzył w ten sposób, to z pewnością dlatego, że jak król uważa za naturalne zapraszać przyjaciół swoich dzieci do łoża królewskiej, na jacht królewski, tak samo rodzice Gilberty przyjmowali przyjaciół córki pośród cennych rzeczy, jakie posiadali i jeszcze cenniejszych przyjaźni, które były w nie oprawne. Ale w owej epoce myślałem, może nie bez racji, że ta uprzejmość Swanna kieruje się pośrednio do moich rodziców. Zdaje mi się, że słyszałem niegdyś w Combray, jak ofiarował się im, widząc mój podziw dla Bergotte’a, że mnie weźmie do niego na obiad; rodzice odmówili, utrzymując, że jestem za młody i za nerwowy na to, aby „bywać”. Bez wątpienia, rodzice moi przedstawiali dla niektórych osób, właśnie dla tych, które mi się wydawały najcudowniejsze, coś zupełnie innego niż dla mnie. I jak w epoce, gdy różowa dama wygłosiła na cześć ojca pochwały, których okazał się tak mało godny, tak i teraz byłbym pragnął, aby rodzice zrozumieli, jaki nieoszacowany dar otrzymałem, i aby okazali wdzięczność szlachetnemu i uprzejmemu Swannowi, który ofiarował go mnie czy im — równie zdając się nie rozumieć jego wartości, jak na fresku Luiniego ów uroczy król-mag z orlim nosem, z włosami blond, tak podobny niegdyś, jak twierdzono, do Swanna.

Na nieszczęście łaska, którą mi Swann wyświadczył i którą za powrotem, nie zdjąwszy jeszcze palta, oznajmiłem rodzicom w nadziei, że obudzi w ich sercu uczucie równie tkliwe jak we mnie i skłoni ich w stosunku do Swannów do jakiejś olbrzymiej i rozstrzygającej uprzejmości — łaska ta nie spotkała się z życzliwą oceną.

— Swann przedstawił cię panu Bergotte! Wyborna znajomość, czarujące stosunki! — wykrzyknął ironicznie ojciec. — Brakowało tylko tego!

Niestety, kiedy dodał, że Bergotte nie wielbi bynajmniej pana de Norpois, ojciec rzekł:

— Naturalnie! Jeszcze jeden dowód, że to jest umysł opaczny i złośliwy. Moje biedne dziecko, już i tak nie miałeś zbyt dobrze w głowie, boleję nad tym, żeś się dostał w towarzystwo, które ci w niej do reszty przewróci.

Już moje zwykłe bywanie u Swannów bynajmniej nie zachwycało rodziców. Znajomość z Bergotte’em wydała się im oplakany, ale naturalnym następstwem pierwszego błędu, słabości ich, którą dziadek byłby nazwał „niedostatkiem przezorności”. Czulem, że dla dopełnienia złego humoru rodziców wystarczy mi powiedzieć, że ten przewrotny człowiek, który lekceważy pana de Norpois, uznał mnie nadzwyczaj inteligentnym. W istocie, kiedy ojciec znajdował, iż ktoś (któryś z moich kolegów na przykład) jest na złej drodze — jak ja w tej chwili — to jeżeli ów ktoś zyskał wówczas uznanie osoby

niecieszącej się szacunkiem ojca, opinia ta stawała się potwierdzeniem ujemnej diagnozy. Zło wydawało mu się tym większe. Słyszałem już jak ojciec wykrzykuje: „Oczywiście, to już jest szczyt!” — wyrażenie przerażające mnie przez swoją nieokreśloność i przez ogrom reform, których bezpośrednim wtargnięciem w moje tak słodkie życie zdawało się grozić. Że jednak, choćbym nie powtórzył, co Bergotte powiedział o mnie, nic już nie mogło zatrzeć wrażenia rodziców, pogorszyć go jeszcze trochę nie będzie już miało wielkiego znaczenia. Zresztą wydawali mi się tak niesprawiedliwi, tak stronniczy w swoim sądzie, że nie miałem nie tylko nadziei, ale nawet ochoty skorygowania ich poglądów. Mimo to, czując, w chwili gdy słowa wychodziły z moich ust, jak oni będą przerażeni myślą, iż zyskałem uznanie człowieka, który uważa inteligentnych ludzi za głupców, który sam jest przedmiotem wzgardy przyzwoitych ludzi i którego pochwała, przez to, że wydaje mi się pochlebna, zachęca mnie do złego, cichym głosem i z nieco zawstydzoną miną, kończąc opowiadanie, rzuciłem: „Powiedział Swannom, że mu się wydał nadzwyczaj inteligentny”. Niby otruty pies, który rzuca się bezwiednie na ziele będące właśnie odtrutką na spożytą truciznę, powiedziałem, nie wadząc o tym, jedyne słowo zdolne pokonać uprzedzenie rodziców do Bergotte’a; uprzedzenie, wobec którego najpiękniejsze moje argumenty, najgorętsze zachwyty pozostałyby daremne. W jednej chwili sytuacja się zmieniła.

— A! powiedział, że jesteś inteligentny — rzekła matka. — To mnie cieszy, bo to jest przecie człowiek utalentowany.

— Jak to? Tak powiedział? — dodał ojciec... — Ja nie zaprzeczam jego wartości literackiej, przed którą wszyscy chylą czoło; ale to jest przykre, że on prowadzi ową niezbyt zaszczytną egzystencję, o której wspominał dyskretnie stary Norpois — dodał ojciec, nie spostrzegając, że wobec potęgi magicznych słów, jakie wyrzekłem, zepsucie Bergotte’a nie dłużej zdoła się ostać niż opaczność jego sądów.

— Och, mój drogi — przerwała mama — nic nie dowodzi, aby to była prawda. Mówią tyle rzeczy. Zresztą Norpois to człowiek niezmiernie miły, ale on nie zawsze jest życzliwy, zwłaszcza dla ludzi, którzy nie są z jego koterii.

— To prawda, ja też to zauważyłem — odparł ojciec.

— A wreszcie, wiele będzie przebaczone panu Bergotte za to, że mu się spodobał mój chłopiec — dodała mama, gładząc mnie po włosach i obejmując mnie długim, marzącym spojrzeniem.

Matka zresztą nie czekała tego werdyktu Bergotte’a, aby mi powiedzieć, że mogę zaprosić Gilbertę na podwieczorek, kiedy będę miał u siebie przyjaciół. Ale nie śmiałem tego zrobić z dwóch przyczyn. Pierwszą było to, że u Gilberty podawano zawsze tylko herbatę. W domu, przeciwnie, mama przestrzegała, aby obok herbaty była i czekolada. Bałem się, aby się to Gilbertcie nie wydało pospolite i aby nie powzięła dla nas wzgardy. Inną przyczyną była trudność etykiety, której nigdy nie zdołałem przełamać. Kiedyś się zjawił u pani Swann, pytała mnie: „Jak się miewa pańska matka?”. Zagadywałem kilka razy mamę, aby wy badać, czy robi to samo, kiedy przyjdzie Gilberta; punkt ten wydawał mi się ważniejszy niż „*Monseigneur*” na dworze Ludwika XIV. Ale mama nie chciała słyszeć o tym.

— Ależ nie, skoro ja nie znam pani Swann.

— Przecie ona ciebie też nie zna.

— Nie o to chodzi, ale nie jesteśmy zmuszeni robić we wszystkim tak samo. Ja mogę zrobić Gilbertcie inne uprzejmości, których pani Swann nie będzie miała dla ciebie.

Ale nie przekonało mnie to i wolałem nie zapraszać Gilberty.

Pożegnawszy rodziców, poszedłem się przebrać. Wyprowadzając kieszenie, znalazłem nagle kopertę, którą wręczył mi kamerdyner Swannów, wprowadzając mnie do salonu. Byłem teraz sam. Otwarłem, wewnątrz była karta, wskazująca mi damę, której miałem podać ramię, aby ją poprowadzić do stołu.

W owej epoce Bloch przewrócił moje pojęcia o świecie, otworzył dla mnie nowe możliwości szczęścia (które miały zresztą zmienić się później w możliwości cierpienia), upewniając, że wbrew temu, w com wierzył w czasach swoich spacerów w stronę Méséglise, kobiety są niezmiernie skłonne do aktów miłosnych. Uzpełnił tę przysługę, oddając mi drugą, którą miałem ocenić aż znacznie później: zaprowadził mnie pierwszy raz do domu schadzek. Mówił mi wprawdzie dawniej, że jest dużo ładnych kobiet, które można

posiadać. Ale dawałem im jedynie mglistą fizjonomię, którą domy schadzek pozwoliły mi później zastąpić określonymi twarzami. Uświadomił mi, że szczęście, że posiadanie piękna, nie są rzeczą niedostępną i że postępowaliśmy niemądrze, wyrzekając się ich na zawsze. Czulem dla Blocha za jego „dobrą nowinę” wdzięczność tego samego rodzaju, co dla jakiegoś lekarza lub filozofa-optimisty za widoki długiego życia na tym świecie lub nadzieję kontynuowania go na tamtym. Ale domy schadzek, w których zacząłem bywać w kilka lat później, dostarczając mi próbek szczęścia, pozwalając do piękności kobiet dodać czynnik, jakiego nie możemy wymyślić, niebędący tylko streszczeniem dawnych piękności, dar zaiste boski, jedyny, którego nie możemy otrzymać od samych siebie, wobec którego gasną wszystkie logiczne twory naszej inteligencji i którego możemy żądać jedynie od rzeczywistości: czar indywidualny — zasłużyły na to, abym je pomieścił obok owych innych dobroczyńców świeższego pochodzenia, ale analogicznej użyteczności (przed którymi wyobrażaliśmy sobie bez zapału urok Mantegny, Wagnera, Sienny, na podobieństwo innych malarzy, innych muzyków, innych miast): obok ilustrowanych wydań historii malarstwa, koncertów symfonicznych i studiów o stolicach sztuki.

Ale zakład, do którego Bloch mnie zaprowadził i dokąd zresztą sam nie chodził już od dawna, był kategorii zbyt niskiej, personel był w nim zbyt mierny i zbyt rzadko odnawiany, abym mógł tam zadowolić dawne ciekawości lub rozbudzić w sobie nowe. Właścicielka zakładu nie знаła żadnej z kobiet, których się żądało, a zawsze proponowała te, których się nie chciało. Zachwalała mi zwłaszcza jedną, o której z uśmiechem pełnym obietnic (jak gdyby to była rzadkość i przysmak) mówiła: „Żydówka! No? Co pan na to?”. (Z pewnością dlatego nazywała ją Rachelą). I z głupią i sztuczną egzaltacją, mającą się w jej mniemaniu udzielić, a kończącą się lubieżnym charkotem, mówiła: „Pomyśl, chłopczyku, Żydówka, temperamencik! Rrrrhha!”.

Owa Rachelą, którą mi pokazano tak, że ona mnie nie widziała, była brunetka, nieładna, ale z wyrazem inteligentnym; wilżąc końcem języka wargi, uśmiechała się wyzywająco do „gościa”, którego jej przedstawiono i który (słyszałem ich) nawiązywał z nią rozmowę. Jej szczupłą i wąską twarz okalały ciemne i kędzierzawe włosy, nieregularne, tak jakby je zaznaczono paroma kreskami w akwareli tuszem. Za każdym razem przyrzekałem gospodyni (proponowała mi Rachelę ze szczególnym naciskiem, zachwalając jej wysoką inteligencję i wykształcenie), że nie omieszkam pewnego dnia przyjść umyślnie, aby się zapoznać z Rachelą, którą przezwalem „Rachelą, kiedy Pan”. Ale pierwszego wieczora usłyszałem, jak ta Rachelą, odchodząc, mówiła do gospodyni:

— Zatem wie pani: jutro jestem wolna; jeśli pani będzie miała kogo, niech pani nie zapomni po mnie posłać.

I te słowa nie pozwalały mi widzieć w niej osoby, bo natychmiast pomieściły ją dla mnie w ogólnej kategorii kobiet, których wspólnym zwyczajem było zachodzić tam wieczorem, aby się przekonać, czy nie było ludwika lub dwóch do zarobienia. Czasem odmieniała jedynie formę zdania, mówiąc: „Jeżeli pani będzie mnie potrzebowała” albo „Jeżeli pani będzie kogo potrzebowała”.

Gospodyni, która nie znała opery Halévy’ego, nie wiedziała, czemu przywykłem mówić „Rachelą, kiedy Pan”. Ale to, że się nie rozumie, nigdy nie przeszkadza bawić się jakimś żartem; toteż za każdym razem śmiała się z całego serca, mówiąc:

— No i co, więc jeszcze nie dziś wieczór ożenię pana z „Rachelą, kiedy Pan”? Jak pan to mówi: „Rachelą, kiedy Pan”? Ach, to wyborne. Zaręczę was. Zobacysz, chłopczyku, że nie pożałujesz.

Raz omal się nie zdecydowałem, ale Rachelą była „pod prasą”, drugim razem w dłoniach „fryzjera”, starego pana, który nie robił kobietom nic więcej prócz tego, że łał oliwę na ich rozpuszczone włosy i cesał je. I znudziłem się czekaniem, mimo że parę dziewcząt bardzo pokornych, rzekomo modystek, ale zawsze bez pracy, zaparzało mi kwiat pomarańczowy i prowadziło ze mną rozmowę, której, mimo powagi poruszanych przedmiotów, częściowa lub całkowita nagość moich partnerek dawała smakowitą prostotę. Przestałem zresztą chodzić do tego zakładu, bo pragnąc okazać swoją życzliwość osobie, która go prowadziła i która potrzebowała mebli, darowałem jej nieco mebli — między innymi wielką kanapę — odziedziczonych po cioci Leonii. Nie widywałem tych mebli nigdy, bo brak miejsca nie pozwolił rodzicom umieścić ich w domu; leżały stłoczone w jakiejś szopie. Ale z chwilą, gdy mi się ujrział w tym zakładzie i w użyciu u tych kobiet,

wszystkie cnoty, jakimi oddychało się w pokoju ciotki Leonii w Combray, objawiły mi się udręczone profanacją, na którą wydałem je bez obrony. Gdybym dał zgwałcić umarłą, nie cierpiałbym więcej. Nie wróciłem już do tej stręczycielki, bo zdawało mi się, że meble ciotki Leonii żyją i błagają mnie, niby w bajce perskiej owe na pozór martwe przedmioty, w których zamknięto dusze cierpiące męczeństwo i żebrzące wyzwolenia. Zresztą pamięć nie nastęrcza nam zazwyczaj wspomnień w porządku chronologicznym, ale jako odbłask, w którym układ poszczególnych części jest wywrócony; toteż dopiero znacznie później przypomniałem sobie, że na tej samej kanapie, wiele lat wprzód, poznałem pierwsze słodcze miłości z kuzyneczką, z którą nie wiedziałem, gdzie się poznać i która udzieliła mi dość niebezpiecznej rady, aby skorzystać z godziny, kiedy ciocia Leonia wstała.

Całą resztę mebli, a zwłaszcza wspaniałe stare srebra ciotki Leonii sprzedałem, mimo sprzeciwu rodziców, po to aby rozporządzać większą kwotą i móc posyłać więcej kwiatów pani Swann, która mówiła, otrzymując olbrzymie kosze storczyków: „Gdybym była pańskim ojcem, kazałabym pana wziąć pod kuratelę”. Jak mogłem przypuszczać, że kiedyś będę może szczególnie żałował owego srebra i że będę stawiał niektóre przyjemności wyżej niż tę (która miała się stać zupełnie żadną), aby świadczyć grzeczności rodzicom Gilberty!

Również przez wzgląd na Gilbertę i aby się z nią nie rozstawać, postanowiłem nie wstępować do dyplomacji. Rozstrzygające postanowienia robimy zawsze pod wpływem nastroju, któremu nie jest przeznaczone trwać. Zaledwie mogłem sobie wyobrazić, aby ta dziwna substancja, jaka mieszkała w Gilbertce i promieniowała w jej rodziców, w jej dom, czyniąc mnie obojętnym na wszystko inne — aby ta substancja mogła się wyzwolić, przenieść w inną istotę. Naprawdę ta sama substancja, a jednak mająca działać na mnie zupełnie inaczej. Bo ta sama choroba przeobraża się; i nie tak samo znosimy jakąś rozkoszną truciznę, kiedy z biegiem lat zmniejsza się odporność serca.

Rodzice pragnęli jednak, aby inteligencja, którą Bergotte we mnie uznał, objawiła się jakąś wybitną pracą. Póki nie znał Swannów, myślałem, że mi przeszkadza w pracy podniecenie, o jakie mnie przyprawia niemożność swobodnego widywania Gilberty. Ale odkąd ich dom był dla mnie otwarty, ledwie usiadł do biurka, zrywałem się i pędziłem do Swannów. A skorom ich opuścił i wróciłem do domu, odosobnienie moje było tylko pozorne, myśl nie mogła już wrócić pod prąd strumienia słów, któremu dałem się machinalnie nieść przez całe godziny. Zostawszy sam, dalej obmyślałem powiedzenia, które byłyby się mogły spodobać Swannom; aby zaś uczynić tę zabawę bardziej interesującą, zastępowałem nieobecnych partnerów, zadawałem sam sobie urojone pytania, wybrane tak, aby moje świetne aforyzmy służyły im jedynie za szczęśliwą odpowiedź. Ćwiczenie to, mimo iż milczące, było rozmową, a nie dumaniem; samotność moja była imaginacyjnym życiem salonu. Nie moja własna osoba, ale urojeni partnerzy kierowali moimi słowami. Zamiast myśli, które mi się zdawały prawdziwe, formułując te, które mi przychodziły bez trudu, bez sięgania w głąb, znajdowałem w tym ów rodzaj całkowicie biernej przyjemności, jaką znajduje w spokoju człowiek w momentach ciężkiego trawienia.

Gdybym był mniej zdecydowany wziąć się stanowczo do pracy, byłbym może zrobił wysiłek, aby zacząć zaraz. Ale postanowienie moje było tak stanowcze! Przed upływem doby, w pustych ramach jutrzejszego dnia — gdzie wszystko układało się tak pięknie, ponieważ nie było mnie tam jeszcze — moje dobre zamiary miały się ziścić; lepiej było tedy nie obierać na początek wieczoru, gdy byłem źle usposobiony. Niestety, następne dni nie miały się okazać pomyślniejsze. Ale ja byłem rozsądny. U kogoś, kto czekał całe lata, byłoby dzieciństwem nie móc jeszcze odczekać trzech dni. Pewien, że do pojutra napiszę kilka stron, nie mówiłem już ani słowa rodzicom o swoim postanowieniu; wolałem raczej być cierpliwy przez kilka godzin i przynieść babce — pocieszonej i przekonanej — rozpoczętą robotę. Na nieszczęście, jutro nie było owym nowym i rozległym dniem, jakiegom oczekiwał gorączkowo. Kiedy się skończyło, moje lenistwo i moja ciężka walka z wewnętrznymi przeszkodami trwały po prostu o dobę dłużej. I po upływie kilku dni, gdy plany moje nie ziściły się, nie miałem już tej samej nadziei, że ziszczą się bezpośrednio, tym samym nie miałem już tyleż energii, aby wszystko poddać tej realizacji; zaczynałem siadywać w nocy, ile że do wczesnego położenia się nie skłaniała mnie już niezawodna wizja pracy od jutrzejszego rana. Trzeba mi było, dla odzyskania zapału, paru

dni wytchnienia; toteż jednego razu, kiedy babka odważyła się z łagodnym zwątpieniem sformułować tę wymówkę: „No i cóż, ta robota, już się o niej nawet nie mówi?”, miałem do niej żal. Nie umiając dostrzec, że moje postanowienie było nieodwołalnie powzięte, babka — tak sądziłem — oddała oto jeszcze, i może na długo, jego realizację, podrażnieniem, w jakie wprawiała mnie jej rzekoma niesprawiedliwość. Nie chciałem w tym podrażnieniu zaczynać swego dzieła. Babka uczuła, że jej sceptycyzm zderzył się na ślepo z jakąś wolą. Wycofała się z tego i rzekła, ściskając mnie: „Przepraszam, nie powiem już nic”. I abym się nie zniechęcał, upewniła mnie, że kiedy będę zdrow, praca przyjdzie sama.

Zresztą (powiadałem sobie), przesiadując u Swannów, czyż nie czynię tego samego co Bergotte? Rodzicom zdawało się prawie, że tak leniuchując — ale w tym samym salonie co wielki pisarz — wiodę życie najkorzystniejsze dla rozwoju talentu. A jednak to, aby ktoś był zwolniony od wyrobienia tego talentu samemu, wewnątrz siebie, aby go otrzymał od kogoś drugiego, jest równie niemożliwe, co osiągnąć dobre zdrowie (mimo uchybień prawidłom higieny i mimo najgorszych ekscesów) jedynie przez częste obiady w towarzystwie lekarza. To złudzenie, któremu oddawaliśmy się i ja, i moi rodzice, podzielała zresztą w całej pełni pani Swann. Kiedym mówił, że nie mogę przyjść, bo muszę pracować, najwyraźniej uważała, że ja dziwaczę, że jest coś niedorzecznego i pretensjonalnego w tym, co mówię. Powiadała:

— Ależ Bergotte przychodzi! Czy pan uważa, że to, co on pisze, jest niedobre? To będzie nawet lepsze wkrótce — dodawała — bo on jest ostrzejszy, bardziej skondensowany w dzienniku niż w książce, gdzie często trochę rozgadnia. Uzyskałam to, że będzie odtąd pisywał *leader article* do „Figara”. To będzie zupełnie *the right man in the right place*.

I dodała:

— Niech pan przyjdzie, on panu lepiej niż ktokolwiek powie, co trzeba robić.

I kiedy pani Swann mnie upomniała, abym nie omieszkiał przyjść jutro na obiad, na którym miał być Bergotte, to było tak, jak się zaprasza jednorocznego ochotnika z jego pułkownikiem; to było w interesie mojej kariery, jak gdyby arcydzieła robiło się przez „stosunki”!

Tak więc ani ze strony Swannów, ani ze strony rodziców (to znaczy ze strony tych, którzy w różnych momentach powinni byli tworzyć przeszkody), nie spotykałem żadnej opozycji w tym słodkim życiu, w którym mogłem widywać Gilbertę, ile i jak chciałem, w upojeniu, jeżeli nie w spokoju ducha. Nie może być spokoju w miłości, gdyż to, cośmy uzyskali, jest zawsze tylko nowym punktem wyjścia dla większych pragnień. Dopóki nie mogłem być u Gilberty, wówczas, z oczami zwróconymi na to nieosiągalne szczęście, nie mogłem nawet sobie wyobrazić nowych wzruszeń, które mnie tam czekały. Skoro raz opór jej rodziców pękł i sprawa była wreszcie rozwiązana, problem ów zaczął się nastroczać na nowo za każdym razem w innym kształcie. W tym sensie można powiedzieć, że co dnia zaczynała się nowa przyjaźń. Co wieczór, wracając, zdawałem sobie sprawę, że miałem Gilbertę powiedzieć rzeczy arcyważne, od których zależała nasza przyjaźń, i rzeczy te nigdy nie były te same. Ale wreszcie byłem szczęśliwy i żadna groźba nie wznosiła się już przeciw memu szczęściu.

Miała, niestety, przyjść od strony, z której nigdy nie spostrzegłem żadnego niebezpieczeństwa; od strony Gilberty i mnie samego. A przecież powinno mnie było dręczyć to, co mnie, przeciwnie, uspokajało, com uważał za szczęście. Jest to w miłości stan nie-normalny, zdolny natychmiast dać najprostszemu w świecie i zawsze możebnemu przypadkowi wagę, jakiej przypadek ów sam przez się by nie miał. Co nas czyni szczęśliwymi, to obecność w sercu czegoś niestałego, co się staramy nieustannie utrzymać i czego nie spostrzegamy już prawie, o ile nie zmieni miejsca. W istocie, jest w miłości nieustanne cierpienie, które radość neutralizuje, robi czymś potencjalnym, oddala, ale które może w każdej chwili stać się tym, czym byłoby od dawna, gdyby się nie uzyskało celu swoich pragnień — czymś okropnym.

Wiele razy czułem, że Gilberta wolałaby oddalić moje wizyty. Prawda, iż kiedy za bardzo chciałem ją widzieć, potrzebowałem po prostu wywołać zaproszenie jej rodziców, którzy coraz bardziej wierzyli w mój doskonały wpływ na córkę. Dzięki nim — myślałem — miłości mojej nic nie grozi; z chwilą gdy ich mam za sobą, mogę być spokojny, skoro oni mają pełną władzę nad Gilbertą. Na nieszczęście, z pewnych oznak zniecierpliwienia

Gilberty, kiedy Swann sprowadził mnie niejako wbrew niej, rodziła się we mnie myśl, czy to, com uważał za ochronę mego szczęścia, nie było przeciwnie tajemną przyczyną, dla której nie mogło ono trwać.

Ostatni raz, kiedy zaszedł do Gilberty, padał deszcz; była proszona na lekcję tańców do osób, których za mało znała, aby móc mnie zabrać z sobą. Wziąłem z powodu wilgoci więcej kofeiny niż zazwyczaj. Może z powodu sloty, może przez jakieś uprzedzenie do domu, gdzie zabawa się odbywała, w chwili gdy Gilberta miała wyjść, pani Swann wezwała ją żywo, wołając: „Gilberto!” i wskazała na mnie, mówiąc tym niejako, że przyszedł do niej i że powinna zostać ze mną. Owo „Gilberto” było powiedziane, krzyknięte raczej, w dobrej intencji dla mnie; ale ze sposobu, w jaki Gilberta wzruszyła ramionami, zdejmując okrycie, zrozumiałem, że mimo woli matka przyspieszyła ewolucję, dotąd może jeszcze możebną do powstrzymania, a oddalającą stopniowo ode mnie moją przyjaciółkę. „Nie musi się tańczyć co dzień” — rzekła Odeta z rozsądkiem zapewne przejętym niegdyś od Swanna. Potem, stając się z powrotem Odetą, zaczęła mówić do córki po angielsku. Natychmiast wyrósł jakby mur, który ukrył mi część życia Gilberty, jak gdyby jakiś wrogi duch uniósł ją daleko ode mnie. W języku, który znamy, zastąpiliśmy nieprzezroczyść dźwięków przejrzystością myśli. Ale język, którego nie znamy, jest niby zamknięty pałac, gdzie ukochana istota może nas zdradzić, gdy my, pozostając zewnątrz, rozpaczliwie skuleni w naszej niemocy, nie możemy nic dojrzeć, niczemu zapobiec. Tak ta rozmowa po angielsku, z której byłbym się jedynie uśmiechnął miesiąc wprzód, a pośród której kilka francuskich imion własnych pomnażało jedynie i orientowało moje niepokoje, miała — prowadzona o dwa kroki ode mnie przez dwie nieruchome osoby — to samo okrucieństwo, zostawiała mnie tak samo opuszczonym i samotnym jak uprowadzenie.

Wreszcie pani Swann zostawiła nas. Tego dnia może przez urazę do mnie, mimowolnego sprawcy zmarnowanej zabawy, może i dlatego, że czując złość Gilberty, byłem przez ostrożność chłodniejszy niż zwykle — twarz Gilberty, odarta z wszelkiej radości, naga, spustoszona, zdawała się przez całe popołudnie poświęcać melancholijny żal walcowi, którego pozbawiła ją moja obecność, oraz wyzywać wszelkie stworzenia — poczynając ode mnie — aby zrozumiały subtelne racje jej wielce sentymentalnej skłonności do bostona. Gilberta ograniczyła się do wymienienia na temat pogody, deszczu, spieszącego zegarka, rzadkich zdań punktowanych milczeniem i monosylabami, przy czym ja sam upierałem się w rozpaczliwym szale niszczyć chwile, które mogliśmy byli poświęcić przyjaźni i szczęściu. I każde nasze słowo nabierało czegoś twardego wskutek skurczu swojej paradoksalnej błahości, dającej mi jednak tę pociechę, że nie pozwalała Gilberte ludzić się co do banalności moich uwag i obojętności tonu. Gdy mówiłem: „Zdaje się, że kiedyś ten zegar raczej się spóźniał!”, ona musiała to tłumaczyć: „Jakaś ty niedobra!”. Daremnie upierałem się wlec przez cały ten dżdżysty dzień słowa bez okienek błękitu; wiedziałem, że mój chłód nie jest czymś tak ostatecznym, jak to udawałem. Jeżeli, powiedziawszy to jej już trzy razy, pozwalał sobie czwarty raz powtórzyć, że dni robią się krótsze, Gilberta musi przecież czuć, że ja zaledwie mogę się wstrzymać od lez! Kiedy ona była taka, kiedy uśmiech nie napełniał jej oczu i nie rozjaśniał twarzy, niepodobna wyrazić, jaka rozpaczliwa monotonia nasyciała jej smutne oczy i pochmurne rysy. Twarz jej, prawie zbielała, podobna była wówczas do owych nudnych plaż, gdzie bardzo dalekie morze męczy nas wciąż jednakim odbłaskiem, w ramie niezmiennego i ograniczonego widnokregu.

W końcu, nie widząc szczęśliwej zmiany, jakiej oczekiwałem od kilku godzin, powiedziałem jej, że nie jest miła. „To ty nie jesteś miły”, odparła. „Ale owszem!”. Pytałem sam siebie, com jej zrobił, i nie mogąc zgadnąć, spytałem o to jej. „Naturalnie, ty uważasz że jesteś miły!” — rzekła, śmiejąc się przeciągle. Wówczas uczułem cały ból zawarty dla mnie w tym, że nie mogę dosięgnąć owego nieuchwytnego drugiego planu jej myśli, opisanego jej śmiechem. Ten śmiech jak gdyby znaczył: „Nie, nie, nie biorę się na wszystko, co mówisz; wiem że szalejesz za mną, ale mnie to ani ziębi, ani grzeje, mam cię w pięcie”. Ale powiadałem sobie, iż ostatecznie śmiech nie jest językiem na tyle ścisłym, abym mógł być pewny, że rozumiem tę mowę. A słowa Gilberty były przyjazne. „Ale w czym nie jestem miły? — pytałem — powiedz mi, a zrobię wszystko, co zechcesz”. — „Nie, to by się nie zdało na nic, nie mogę ci tego wytłumaczyć”. Przez chwilę bałem się, iż ona myśli, że ja jej nie kocham, i to mi sprawiło nowy ból, nie mniej żywy, ale wymagający odmiennej dialektyki. „Gdybyś wiedziała, jak ty mnie dręczysz, powiedzia-

łabyś mi”. Ale ta udręka, która, gdyby Gilberta wątpiła o mojej miłości, powinna by ją ucieszyć, przeciwnie, podrażniła ją. Wówczas, pojmując swój błąd, zdecydowany nie brać już w rachubę jej słów, pozwalając jej — mimo iż w to nie wierzyłem — mówić: „ja cię szczerze kochałam, przekonasz się kiedyś” (owego dnia, w którym, wedle zapewnień przestępców, niewinność ich wyjdzie na jaw, a który, z tajemniczych przyczyn, nie schodzi się nigdy z dniem śledztwa), miałem odwagę powziąć nagle postanowienie nieujrzenia już Gilberty, i to bez oznajmienia jej tego, bo by mi nie uwierzyła.

Zgryzota sprawiona przez osobę, którą kochamy, może być gorzka, nawet kiedy się wciska między myśli, zajęcia, radości, które nie mają za przedmiot owej istoty i od których uwaga nasza odwraca się jedynie od czasu do czasu, aby do niej powrócić. Ale gdy taka zgryzota rodzi się — jak tutaj, w chwili gdy szczęście widywania tej osoby wypełnia nas całkowicie, nagły wstrząs powstający wówczas w naszej duszy, dotąd słonecznej, pewnej i spokojnej, wzniera w nas wścieklą burzę, przeciw której nie wiemy, czy będziemy zdolni walczyć do końca. Burza, jaka huczała w moim sercu, była tak gwałtowna, że wróciłem do domu zmaltretowany, obolały, czując, że nie zdołam odzyskać oddechu inaczej, niż wracając z drogi i spiesząc pod jakim bądź pozorem do Gilberty. Ale ona powiedziałaaby sobie: „Znów on! Stanowczo, mogę sobie na wszystko pozwolić, wróci tym potulniejszy za każdym razem, im nieszczęśliwszy odszedł”. W chwilę potem, myśli moje sprowadzały mnie nieodparcie do niej i te kolejne wahania, ten taniec wewnętrznej busoli, trwały po moim powrocie i wyraziły się w brulionach sprzecznych listów pisanych do Gilberty.

Miałem przeżyć jedną z owych trudnych okoliczności, w których obliczu zdarza się człowiekowi znaleźć kilka razy w życiu i którym, nie zmieniając swojego charakteru i natury — naszej natury, stwarzającej nasze miłości, stwarzającej niemal kobiety, które kochamy, nawet ich błędy — stawiamy czoło za każdym razem (to znaczy w każdym wieku) inaczej. W takich chwilach, życie nasze jest jak gdyby podzielone na części i jakby umieszczone na wadze, na dwóch przeciwległych szalach, gdzie mieści się całe. Na jednej jest nasza chęć niezrażenia zbyt do siebie, niewydania się zbyt pokornym istotie, którą kochamy, nie mogąc jej zrozumieć. Wydaje się nam taktyczniej zostawić ją trochę na uboczu, aby nie miała owego uczucia własnej nieodzowności, zdolnego ją odwrócić od nas. Po drugiej stronie jest cierpienie — nie cierpienie umiejscowione i częściowe — które, przeciwnie, mogłoby się ukoić jedynie wówczas, gdybyśmy pospieszyli do tej kobiety, rezygnując z chęci podobania się jej i pokazania, że się możemy bez niej obejść. Kiedy z szali dźwigającej naszą dumę zdjąć część woli, której słabość nasza pozwoliła się zużyć z wiekiem; kiedy do szali ze zgryzotą przydać cierpienie fizyczne, któremu pozwoliliśmy wzrosnąć — wówczas, zamiast męznego rozwiązania, jakie by zwyciężyło w dwudziestym roku życia, ugnieśmy się w pięćdziesiątym roku pod drugim, które się stało zbyt ciężkie i nie znajduje przeciwwagi. Tym bardziej, że sytuacje, mimo iż powtarzalne, zmieniają się; grozi nam tedy, iż w połowie życia lub na jego schyłku znajdziemy dla siebie tę oplakaną słabość, aby komplikować miłość dawką przyzwyczajania, którego nie zna młodość, skrzepowana innymi obowiązkami, mniej swobodna.

Napisałem do Gilberty list, gdzie dałem upust swojej wściekłości, rzucając mimo to pływak ratunkowy kilkoma słowami wtrąconymi niby to przypadkiem, o które mogłoby się zahaczyć pojednanie. W chwilę później wiatr się odwrócił: kleilem tklive frazesy, dla słodczy smętnych wyrażen takich jak „nigdy już”, tak wzruszających dla tego, co je pisze, tak mdłych dla tej, co je czyta. Czy dlatego, że widzi w nich kłamstwo i tłumaczy owo „nigdy już” przez „jeszcze dziś wieczór, jeżeli zechcesz” lub że wierzy w ich prawdę i widzi w nich ostateczne rozstanie, które jest nam tak głęboko obojętne, kiedy chodzi o kogoś niekochanego? Ale, póki kochamy, niezdolni jesteśmy działać jak godni poprzednicy przyszłej istoty, którą będziemy i która nie będzie już kochała; jakim cudem moglibyśmy tedy sobie uprzytomnić całkowicie stan duszy kobiety, której — gdybyśmy nawet widzieli, że jej jesteśmy obojętni — w marzeniach swoich kazaliśmy mówić te same słowa, co gdyby nas kochała, pragnąc się kołysać pięknym snem lub pocieszyć się w zgryzocie. Wobec myśli i czynów kochanej kobiety jesteśmy równie zdezorientowani, jak mogli nimi być pierwsi fizycy w obliczu zjawisk przyrody, zanim powstała wiedza, wnosząc nieco światła w nieznanne. Lub, gorzej jeszcze, jak istota, dla której zasada przyczynowości zaledwie by istniała; istota niezdolna ustalić związku między jednym a drugim zjawiskiem i w której oczach obraz świata byłby mglisty jak senne marzenie.

Zapewne, sililem się wyjść z tego chaosu, znaleźć przyczyny. Staralem się nawet być „obiektywny” i ściśle brać w rachubę niestosunek między ważnością, jaką ma dla mnie Gilberta, a tą, jaką nie tylko ja mam dla niej, ale jaką ona sama ma dla innych. Gdybym tego poniechał, groziłoby mi, że prostą uprzejmość Gilberty mógłbym wziąć za namiętne wyznanie, a śmieszny i upadający krok z mojej strony za naturalny i wdzięczny gest wobec pięknej kobiety. Ale bałem się również popaść w przeciwną ostateczność, która w spóźnieniu się Gilberty na schadzki kazałaby mi dojrzeć niechęć lub nieubłaganą wrogość. Między tymi dwiema perspektywami jednak sztucznymi, starałem się znaleźć tę, która by mi dała najtrafniejszy obraz; obliczenia, jakie mi było trzeba podjąć w tym celu, rozpraszały nieco moją mękę; i czy to przez posłuszeństwo wobec wymowy cyfr, czy żem im kazał mówić to, czegom pragnął, postanowiłem nazajutrz iść do Swannów, szczęśliwy, ale tak jak ludzie, co długo nadręczywszy się podróżą, na którą nie mają ochoty, jadą nie dalej niż na dworzec i wracają do domu rozpakować walizy. A że, podczas gdy się wahały, sama myśl możliwego rozwiązania (chyba że się ubezwładni tę myśl, postanawiając, że się nie poweźmie decyzji) rozwija, niby żywe ziarno, wszystkie zarysy i szczegóły wzruszeń, jakie by się zrodziły z dokonanego czynku, powiedziałem sobie, iż byłbym bardzo niemądry, postanowieniem nie widzenia już Gilberty zadając sobie tyle bólu, co gdybym miał ziścić ten zamiar: i że skoro — przeciwnie — ma się to skończyć pójdę do niej, mogłem być sobie oszczędzić tylu wahań i bolesnych postanowień. Ale to wskrzeszenie przyjacielskich stosunków trwało tylko przez czas potrzebny, aby zająć do Swannów; nie dlatego iż kamerdyner, który mnie bardzo lubił, oznajmił mi, że Gilberta wyszła (dowiedziałem się jeszcze tego wieczora, od osób, które ją spotkały, że to była prawda), ale ze sposobu, w jaki mi to powiedział: „Proszę pana, panienska wyszła, mogę panu zaręczyć, że nie kłamie. Jeżeli pan chce się przekonać, mogę zawołać pokojową. Niech mi pan wierzy, że zrobiłbym wszystko, aby panu sprawić przyjemność i że gdyby panienska była w domu, zaraz wprowadziłbym pana”.

Słowa te — z rodzaju, który jest jedyny ważny — mimowolne, dające nam pobieżny bodaj radiogram niepodejrzanej rzeczywistości, jaką skryłyby słowa obmyślane, dowodziły, że w otoczeniu Gilberty istniało wrażenie, że ja jestem jej natrętny; toteż, ledwie kamerdyner wyrzekł te słowa, zrodziły one we mnie nienawiść, której zamiast Gilberty wolałem wydać na łup kamerdynera. Skupił na sobie wszystkie uczucia gniewu, jakie mogłem wprzód żywić do swojej przyjaciółki; przetrwała tylko sama moja miłość, oczyszczona z tych uczuć, dzięki jego słowom; ale równocześnie przekonały mnie one, że powinien przez jakiś czas nie starać się widzieć Gilberty. Z pewnością napisze do mnie, aby się usprawiedliwić. Mimo to, nie poszedłbym zaraz do niej: trzeba jej dowieść, że mogę żyć bez niej. Zresztą, skoro bym już otrzymał list od Gilberty, widzenie jej byłoby rzeczą, której mógłbym się najłatwiej przez jakiś czas wyrzec, bo byłbym pewny, że ją odnajdę, gdy zechcę.

Czego mi było trzeba, aby mniej smutno znieść dobrowolną rozłąkę, to wyzwolenia mego serca ze straszliwej niepewności, czy nie jesteśmy poróżnieni na zawsze, czy ona się nie zaręczyła, czy nie wyjechała, czy jej nie porwano.

Dnie, które nastąpiły, podobne były do owych dawnych dni noworocznego tygodnia, który miałem spędzić bez Gilberty. Ale wówczas, po upływie tego tygodnia, Gilberta miała wrócić na Pola Elizejskie, miałem ją ujrzeć jak wprzód, byłem tego pewny; z drugiej strony z nie mniejszą pewnością wiedziałem, że dopóki będą trwały ferie, nie ma po co chodzić na Pola Elizejskie. Tak iż podczas owego smutnego tygodnia, tak już odległego, znośmłem smutek spokojnie, bo go nie mąciła ani obawa, ani nadzieja. Teraz, przeciwnie, nadzieja niemal tyleż co obawa — czyniła mój ból czymś nie do zniesienia.

Nie otrzymawszy listu od Gilberty tego samego wieczora, przypisywałem to jej niebaldstwu, jej zajęciom; nie wątpiłem, że dostanę od niej bilecik ranną pocztą. Oczekiwałem go co dzień z biciem serca, po którym następowało przygnębienie, kiedym znajdował jedynie listy od osób niebędących Gilbertą albo też nic, co nie było najgorsze, bo dowody przyjaźni innej osoby czyniły mi obojętność Gilberty tym okrutniejszą. Przesuwałem nadzieję na popołudniową pocztę. Ale nawet między godzinami poczty nie śmiałem wyjść, bo Gilberta mogła przesłać list przez służącego. W końcu nadchodziła chwila, gdy nie mógł przyjść ani listonosz, ani lokaj od Swannów; trzeba było odłożyć do jutra rana nadzieję ukojenia; w ten sposób, przez to, że myślałem, iż cierpienie moje nie będzie trwałe,

musiałem niejako odnawiać je bez ustanku. Zgryzota była może ta sama, ale zamiast, jak niegdyś, przedłużać jednostajnie początkowy stan, wracała kilka razy dziennie, zaczynając się wzruszeniem tak często odnawianym, że w końcu stan ten czysto fizyczny, chwilowy, utrwalał się. Ledwo emocje oczekiwania miały się czas uspokoić, już przychodziła nowa racja spodziewania się: wreszcie nie było już w dniu ani minuty, w której bym nie odczuwał owego ucisku serca, tak trudnego do zniesienia bodaj przez godzinę. Tak więc męka moja była nieskończenie okrutniejsza niż w czasach owego dawnego Nowego Roku, bo tym razem — w miejsce prostego pogodzenia się z cierpieniem — była we mnie nieustanna nadzieja, że ono ustanie. Doszedłem jednak do tej rezygnacji: wówczas zrozumiałem, że musi być ostateczna. Wyrzekłem się na zawsze Gilberty w samym interesie swojej miłości, pragnąc przede wszystkim, aby Gilberta nie zachowała dla mnie we wspomnieniu wzgardy. Od tego czasu nawet, nie chcąc, aby mogła przypuszczać jakąś grę miłosną z mojej strony, kiedy później Gilberta naznaczała mi spotkania, przyjmowałem je często, a w ostatniej chwili pisałem, że nie mogę przyjść; ale zaręczając, że mi jest bardzo przykro, tak jakbym robił w stosunku do kogoś, kogo nie miałbym ochoty widzieć. Owe wyrazy żalu, jakie znajdujemy zazwyczaj dla ludzi obojętnych, lepiej, sądziłem, upewnią Gilbertę o mojej obojętności, niżby to zrobił obojętny ton, przybierany jedynie wobec tych, których kochamy. Kiedy za pomocą powtarzających się wciąż postępów dowiodłbym Gilbertce, lepiej niż za pomocą słów, że nie zależy mi na jej widzeniu, może jej zaczęłoby zależeć na mnie. Niestety! to byłoby daremne: starać się, przez niewidywanie jej, wskrziesić w niej ową chęć widzenia mnie, znaczyło tracić Gilbertę na zawsze; najpierw dlatego, że w razie odroczenia się w niej tej ochoty, o ile bym chciał, żeby owa chęć trwała, nie powinienym ulec jej od razu: zresztą najokrutniejsze godziny byłyby już przeszły; to teraz, w tej chwili Gilberta była mi nieodzowna, i byłbym chciał móc ją ostrzec, że niebawem, widując mnie znowu, ukoi jedynie ból tak zmniejszony, że nie będzie on już — jak byłby jeszcze w tej chwili — powodem do kapitulacji, do pojednania, do widywania się znowu. A później, gdyby skłonność Gilberty do mnie odżyła tak dalece, że mógłbym bez niebezpieczeństwa wyznać jej swoją miłość, ta miłość nie oparłaby się tak długiej nieobecności i nie istniałaby już; Gilberta stałaby mi się obojętna. Wiedziałem o tym, ale nie mogłem jej tego powiedzieć; myślałaby, iż jeśli twierdzę, że przestałbym ją kochać, nie widząc jej zbyt długo, to tylko po to, aby mnie czym prędzej wezwała do siebie.

Chciałem, aby sobie Gilberta dobrze zdała sprawę, że mimo iż piszę inaczej, moja wola, a nie jakaś przeszkoda, nie mój stan zdrowia, pozbawia mnie jej widoku. Dlatego — i to czyniło mi łatwiejszą tę dobrowolną rozłąkę — za każdym razem, kiedy wiedział, iż Gilberty nie będzie w domu, bo miała wyjść z przyjaciółką i nie wrócić na obiad, szedłem z wizytą do pani Swann. Pani Swann stała się znów dla mnie tym, czym była wówczas, gdy mi tak trudno było widywać jej córkę i kiedy, w dni, gdy Gilberta nie przychodziła na Pola Elizejskie, zapuszczałem się w *avenue des Accacias*. Dzięki temu słyszałem o Gilbertce i byłem pewny, że i ona też usłyszy o mnie, i to w sposób dowodzący jej, że mi na niej nie zależy. I jak wszyscy, co cierpią, uważałem, że moje smutne położenie mogłoby być gorsze. Bo mając wolny wstęp do domu Gilberty, powiadałem sobie zawsze — mimo iż zdecydowany nie korzystać z tego prawa — że gdyby moje cierpienie stało się zbyt mocne, mógłbym mu położyć kres. Byłem nieszczęśliwy jedynie z dnia na dzień. I to jeszcze za wiele powiedziane. Ileż razy na godzinę (ale teraz bez trwożnego oczekiwania, które mnie dławilo w pierwszych tygodniach naszej zwady, zanim jeszcze wróciłem do Swannów) przepowiadałem sobie list, jaki Gilberta prześle mi kiedyś, może przyniesie mi go sama. Ciągła wizja tego urojonego szczęścia pomagała mi znieść ruinę szczęścia rzeczywistego. Wobec kobiet, które nas nie kochają, jak wobec tych, co „znikli”, świadomość braku wszelkiej nadziei nie przeszkadza nam dalej czekać. Żyje się na czatach, nadśluchuje się; matki, których syn puścił się na niebezpieczną wyprawę morską, wyobrażają sobie co chwilę — mimo iż pewność zguby od dawna jest faktem — że zjawi się nagle, cudownie ocalony i zdrów. I to oczekiwanie, zależnie od siły pamięci i odporności organów, albo pomaga im przetrwać lata, po upływie których zniosą to, że ich syn nie żyje, daje im zapominać pomału i przetrwać — albo też zabija je.

Z drugiej strony, zmartwienie moje czerpało nieco pociechy w myśli, że ono wychodzi na dobro mojej miłości. Każda wizyta, jaką składałem pani Swann bez widzenia Gilberty, była mi okrutna, ale czułem, że o tyleż poprawia pojęcie Gilberty o mnie.

Zresztą, jeżeli zawsze, nim poszedłem do pani Swann, starałem się być pewny nieobecności Gilberty, wynikało to może zarówno z chęci podtrzymania zwady, co z nadziei pogodzenia się, pokrywającej moją wolę zerwania i zasłaniającej mi to, co w tej woli było zbyt okrutne. Mało jest uczuć absolutnych — przynajmniej w sposób ciągły — w owej duszy ludzkiej, której jednym z praw, wzmocnionym przez niespodziane przypyły różnych wspomnień, jest ruch wahadłowy. Wiedziałem dobrze, jak bardzo nadzieja ta jest złudna. Byłem niby ubogi, który mniej skrapia łzami swój suchy kawał chleba, kiedy sobie powiada, że za chwilę może ktoś obcy zapisze mu cały majątek. Aby uczynić rzeczywistość znośną, musimy podsycać w sobie jakieś drobne szaleństwa. Otóż moja nadzieja utrzymywała się w lepszym stanie — przy równoczesnym skuteczniejszym spełnianiu się rozłąki — kiedy nie widywałem Gilberty. Gdybym się z nią spotkał twarzą w twarz u jej matki, wymienilibyśmy może słowa nie do naprawienia, które uczyniłyby rozstanie czymś bez ratunku, zabiłyby moją nadzieję, a z drugiej strony, stwarzając nowy ucisk serca, rozbudziłyby moją miłość i utrudniły rezygnację.

Od bardzo dawna i na długo przed moim zerwaniem z Gilbertą, pani Swann powiadała mi: „To bardzo ładnie, że pan odwiedza Gilbertę, ale ja chciałabym także, aby pan przychodził czasem *dla mnie*; nie na mój »żurek«, gdzie by się pan nudził, bo jest za dużo ludzi, ale w inne dni; nad wieczorem zawsze zastanie mnie pan w domu”. Wydawało się tedy, że zachodząc do pani Swann, spełniam jedynie — z opóźnieniem — własne jej dawniejsze życzenie. I bardzo późno, prawie w chwili, gdy rodzice siadali do stołu, szedłem do pani Swann z wizytą, wiedząc, że nie ujrzę Gilberty, a mimo to myśląc przez cały czas tylko o niej.

Owa dzielnica Paryża uchodziła wówczas za odległą. Paryż był ciemniejszy niż dziś; nawet w centrum nie było elektryczności na ulicach, a bardzo mało w domach. Lampy w salonie na parterze lub na niskim półpiętrze (gdzie znajdowały się salony recepcyjne pani Swann) wystarczały, aby oświetlić ulicę i ściągnąć oczy przechodnia, który wiązał z ich blaskiem — niby z widoczną i zamgloną przyczyną tego zjawiska — obecność paru eleganckich pojazdów przed bramą. Przechodzień odgadywał, nie bez pewnej emocji, zmianę zaszłą w tej tajemniczej przyczynie, gdy widział, że któryś powóz rusza; ale to tylko stangret, obawiając się, by konie nie zmarzły, przejeżdżał je trochę. Wrażenie było tym większe, bo gumowe koła dawały krokowi koni tło milczenia, na którym się odcinał ich chód wyraźniej i dokładniej.

„Zimowy ogród”, jaki w owych latach przechodzień mógł oglądać na każdej ulicy, o ile mieszkanie nie było zbyt wysoko, widuje się już tylko w heliograviurach książek „na prezent” P. J. Stahla. W przeciwieństwie do skąpych roślin w dzisiejszych salonach *Louis XVI* — róża lub irys japoński, w kryształowym wazonie o długiej szyi, niezdolnej pomieścić ani jednego kwiatu więcej — można by rzec, że owa mnogość pokojowych krzewów hodowanych wówczas, przy absolutnym braku artyzmu w ich układzie, musiała odpowiadać raczej jakiejś żywej i rozkosznej pasji pań domu do botaniki niż zimnej trosce o martwą dekorację. Zimowy ogród w ówczesnych mieszkaniach przywodził na myśl w powiększeniu — owe miniaturowe i przenośne cieplarnie, ustawione rano w Nowy Rok pod zapaloną lampą — ile że dzieci nie miały cierpliwości czekać, aby się zrobił dzień — pomiędzy innymi noworocznymi podarkami, jako najpiękniejszy z nich, łągodzący zimową nagość roślinami, które będzie można pielęgnować. Bardziej jeszcze niż do samych tych cieplarni, „ogrody zimowe” podobne były do tej, którą widziało się tuż obok nich, wyobrażoną w pięknej książce — również podarek noworoczny — a która, mimo iż przeznaczona nie dla dzieci, lecz dla panny Lili, bohaterki dzieła, zachwycała je do tego stopnia, że obecnie, niemal jako starcy, pytają się, czy w owych szczęśliwych latach zima nie była najpiękniejszą porą roku. Wreszcie w głębi tego zimowego ogrodu, poprzez wszelkiego rodzaju krzewy, które, widziane z ulicy, czyniły to oświetlone okno podobnym do witrażu owych cieplarni dziecięcych — malowanych lub prawdziwych — przechodzień, wspinając się na palce, spostrzegał zazwyczaj mężczyznę w tużurku, z gardenią lub goździkiem w butonierce, stojącego przed siedzącą kobietą — oboje mgliści, niby wyrzuci w topazie w atmosferze salonu, nasyconego przez samowar świeżo impor-

towany wówczas — ambrawą oparów, wydzielających się z niego może i dziś, ale wskutek przyzwyczajenia już niewidzialnych nikomu.

Pani Swann przywiązywała wielką wagę do tej „herbaty”; sądziła, że okaże uroczą oryginalność, powiadając komuś: „Zastanie mnie pan co dzień nad wieczorem, niech pan przyjdzie na filiżankę herbaty”, subtelnym i łagodnym uśmiechem podkreślając te słowa, wymawiane z lekkim angielskim akcentem. I gość, kłaniając się uroczyście, przyjmował do wiadomości, tak jakby one były czymś ważnym i niezwykle, czymś, co nakazuje szacunek i żąda uwagi.

Była jeszcze inna przyczyna, dla której kwiaty w salonie pani Swann nie miały jedynie charakteru ozdoby; a ta przyczyna nie wiązała się z epoką, lecz po części z dawnym życiem Odety. Wielka kokota, jaką była niegdyś, żyje dużo dla swoich kochanków, to znaczy u siebie, co ją może przywieść do tego, aby żyła dla siebie. Rzeczy, które w domu uczciwej kobiety mogą mieć dla niej niewątpliwie pewne znaczenie, dla kokoty mają go najwięcej. Punktem kulminacyjnym jej dnia jest nie chwila, gdy się ubiera dla świata, ale gdy się rozbiera dla mężczyzny. Musi być równie wykwintna w szlafrocжку, w nocnej koszuli, co w sukni wizytowej. Inne kobiety pokazują swoje klejnoty, ona żyje w dezabilu swoich pereł. Ten rodzaj egzystencji narzuca obowiązki, a z czasem upodobanie zbytku sekretnego, to znaczy niemal bezinteresownego. Pani Swann rozciągała go na kwiaty. Koło jej fotela stała zawsze olbrzymia kryształowa czara pełna fiołków parmeńskich lub margerytek oskubywanych w wodzie, zdająca się świadczyć w oczach przybyłego o jakimś ulubionym i przerwany zajęcia, — niby filiżanka herbaty, którą pani Swann piłaby sama, dla swojej przyjemności; o jakimś zajęciu poufniejszym nawet i bardziej tajemniczym. Widząc te rozrzucone kwiaty, miało się ochotę przeprosić, tak jakby się przeprosiło spojrzawszy na tytuł otwartej jeszcze książki, zdradzającej świeżą lekturę, zatem może obecne myśli Odety. I, bardziej niż książka, kwiaty żyły; kiedy się wchodziło do pani Swann, było się zakłopotanym, widząc, że nie jest sama, lub kiedy się z nią wracało, że salon nie jest pusty, tak bardzo kwiaty zajmowały w nim miejsce zagadkowe, odnoszące się do tych godzin pani domu, których się nie znało. Kwiaty te nie były przygotowane dla gości Odety, ale jakby zapomniane tam przez nią; miały i mogły z nią jeszcze mieć poufne rozmowy, których bałoby się przerwać i których sekret na próżno próbowałoby się odczytać, wlepiając oczy w wypłukany, płynny i wodnisty kolor lila fiołków parmeńskich.

Od końca października Odeta wracała jak mogła najregularniej na herbatę, którą nazywało się jeszcze wówczas „*five o'clock tea*”, słyszała bowiem (i lubiła to powtarzać) iż, jeżeli pani Verdurin stworzyła sobie salon, to dlatego, że się zawsze miało pewność zastania jej w domu o tej samej godzinie. Odeta wyobrażała sobie sama, że ma salon w tym samym stylu, ale swobodniejszy, *senza rigore*, jak lubiła powiadać. Uważała siebie samą za rodzaj panny de Lespinasse i sądziła, iż stworzyła konkurencyjny salon, zabierając pani du Deffant z jej gromadki ludzi najprzyjemniejszych, w szczególności Swanna, który podzielił secesję Odety i jej odosobnienie. Można zrozumieć, że tę wersję Odeta mogła wmówić w nowych znajomych, nieświadomych przeszłości; trudniej, że uwierzyła w nią sama. Ale niektóre ulubione role tyle razy graliśmy w świecie i tak oklepaliliśmy je w samych sobie, że łatwiej powołujemy się na ich fikcyjne świadectwo niż na świadectwo zupełnie prawie zapomnianej rzeczywistości.

W dni, kiedy pani Swann wcale nie wychodziła, można ją było zastać w szlafrocжку *crêpe de Chine*, białym niby pierwszy śnieg; czasem w owych długich zwojach jedwabnego muślinu, wyglądających niby usłanie z różowych i białych płatków; strój, który dziś uznano by — bardzo niesłusznie — za niezbyt odpowiedni na zimę. Bo te lekkie materie i te dyskretne kolory dawały kobiecie — w ówczesnych przegrzanych i obwarowanych portierami salonach, o których najwytworniejsze określenie światowych powieściopisarzy owej epoki mówiło, że były „wysłane jak gniazdko” — ten sam zziębnięty wygląd co różom, które mogły się tam znaleźć koło niej, mimo zimy, w szkarłacie swojej nagości, jak na wiosnę. Wskutek stłumienia dźwięków przez dywany, zablokowana w nyży pani domu nie słyszała twojego wejścia, jak je słyszy dzisiaj; czytała dalej, kiedyś już był prawie przy niej, co pomnażało jeszcze wrażenie romantyczności, urok jak gdyby podchwyconej tajemnicy, przechowany we wspomnieniu owych sukien już wówczas niemodnych, które pani Swann sama jedna może jeszcze zachowała, a które dają nam złudzenie, że obleczona

w nie kobieta musiała być bohaterką romansu, bo my przeważnie widywaliśmy je tylko w romansach pana Henry Gréville.

Teraz, z początkiem zimy, Odeta miała w salonie olbrzymie różnobarwne chryzantemy, jakich niegdyś Swann nie byłby jeszcze mógł u niej oglądać. Złocenie te budziły mój podziw, kiedyś składał pani Swann jedną z owych smutnych wizyt, w których, siłą swojej zgrzyoty, odnajdywałem w Odecie całą tajemniczą poezję matki owej Gilberty, której miała rzec nazajutrz: „Twój przyjaciel był u mnie”. Podziw ów pochodził zapewne stąd, że te kwiaty, blad różowe niby jedwab *Louis XIV* na fotelach w salonie Odety, śnieżne jak jej krepdeszynowy szlafroczek lub metalicznie czerwone jak jej samowar, przydawały salonowi jeszcze jedną dekorację o kolorze równie bogatym i wyszukany, ale żywą i mającą trwać tylko kilka dni. Wzruszało mnie, że te złocenie miały coś nie tyle znikomego, ile raczej trwałego w stosunku do owych różowych i miedzianych tonów, jakie zachód słońca tak wspaniale wzniesła we mgle listopadowych zmierzchów, i że, ujrawszy owe tony — nim wszedłem do pani Swann — gasnące na niebie, odnajdowałem je przedłużone, przeniesione na płomienną paletę kwiatów. Niby ognie, wyrwane przez wielkiego kolorystę zmiennemu powietrzu i słońcu, aby służyły ku ozdobie ludzkiego mieszkania, złocenie te zapraszały mnie, mimo całego smutku, abym chciwie kosztował, w tej godzinie herbaty, tak krótkich uroków listopada, którego poufną i tajemniczą wspaniałość roztaczały przede mną. Niestety, nie w rozmowach, którym słyszał, mogłem jej dosięgnąć; mało były do niej podobne. Nawet z panią Cottard, i mimo że godzina była późna, pani Swann przybierała ton kokieteryjny, mówiąc: „Ale nie, nie jest późno, niech droga pani nie patrzy na zegar, nie ma tyle, zegar nie chodzi, co pani może mieć tak pilnego do roboty”; i podawała jeszcze jedną tartynkę żonie profesora, która zachowała w rękę swoje *porte-cartes*.

„Nie można się wyrwać z tego domu” — mówiła pani Bontemps do pani Swann, gdy pani Cottard, zdumiona, że słyszy w jej ustach swoją własną myśl, wykrzykiwała: „Właśnie to sobie zawsze powiadam, na mój skromny rozumek, w moim samopoczuciu”, zyskując uznanie panów z Jockey Clubu, którzy zginali się w ukłonach, jak gdyby przytłoczeni takim honorem, kiedy pani Swann przedstawiała ich tej nieciekawej mieszczce, która wobec świetnych przyjaciół Odety zachowywała rezerwę, o ile nie to, co nazywała „defensywą”, posługiwała się bowiem zawsze szlachetnym słownictwem dla rzeczy prostych. „Ani bym myślała, już trzy środy pani mnie zdradza”, powiadała pani Swann do pani Cottard. „To prawda, pani Odeto, już *wieki całe, całą wieczność* pani nie widziałam. Widzi pani, że się kajakam, ale muszę się pani przyznać — dodawała wstydliwym i tajemniczym tonem, mimo bowiem iż była żoną lekarza, nie odważyłaby się wspomnieć bez omówień o reumatyzmie lub kamicy nerkowej — że miałam dużo swoich małych bied. Każdy ma swoje. A potem, miałam rewolucję pałacową w swoim męskim personelu. Mimo iż nie stoję zbyt na straży własnego autorytetu, musiałam dla przykładu odprawić mistrza patelni, który, zdaje mi się, szukał zresztą lukratywniejszej posady. Ale jego odejście omal nie spowodowało dymisji całego gabinetu. Pokojowa również nie chciała zostać, były homeryckie sceny! Mimo wszystko, trzymałam krzepko ster, to jest prawdziwa nauka życia, która nie pójdzie dla mnie na marne. Nudzę panią tymi kuchennymi historiami, ale pani wie jak ja, co to za utrapienie być zmuszoną do przegrupowań w swoim personelu”.

— Czy nie ujrzymy pani uroczej córeczki? — spytała pani Cottard, przechodząc do innego tematu.

— Nie, uroczą córeczką ma obiad u przyjaciółki — odpowiadała pani Swann i dodawała, zwracając się do mnie:

— Zdaje mi się, że pisała do pana, żeby ją pan odwiedził jutro. A pani *babys*? — pytała żony profesora.

Oddychałem głęboko. Te słowa pani Swann, które mi dowodziły, że mógłbym widzieć Gilbertę, kiedy bym chciał, przynosiły mi właśnie ulgę, po którą przyszedłem i która w owej epoce czyniła mi wizyty u pani Swann czymś tak koniecznym.

— Nie, ale napiszę do niej słówko dziś jeszcze. Nie możemy się już widywać z Gilbertą — dodawałem, jak gdyby przypisując nasze zerwanie tajemniczej przyczynie, co mi jeszcze dawało złudzenie miłości, podtrzymywane również serdecznością, z jaką mówiłem o Gilbertce, a ona o mnie.

— Pan wie, jak ona jest do pana przywiązana — mówiła pani Swann — Naprawdę nie chce pan przyjść jutro?

Odczuwałem przyływ nagłej radości, mówiłem sobie: „W gruncie rzeczy, czemu nie, skoro jej własna matka mi to proponuje?”. Ale tuż potem zapadałem w dawny smutek. Bałem się, iż, widząc mnie znowu, Gilberta mogłaby pomyśleć, że moja obojętność z ostatnich czasów była komedią; wołałem tedy raczej przedłużyć niewidzenie się.

W czasie tej wymiany słów, pani Bontemps skarżyła się na nudę przestawania z żonami polityków; bo popisywała się tym, że wszyscy ją nudzą i śmieją i że pozycja męża jej ciąży.

— Więc pani jest w stanie przyjmować pięćdziesiąt żon lekarzy z rzędu — mówiła do pani Cottard, która, przeciwnie, była pełna życzliwości dla każdego i pełna szacunku dla wszelkich obowiązków. — Och, pani ma zdrowie! Ja w ministerstwie, nieprawdaż, jestem zmuszona, rozumie się. I wie pani, to jest silniejsze ode mnie, wie pani, te żony urzędników... nie mogę się wstrzymać, aby im nie pokazać języka. Moja siostrzenica Albertyna jest taka jak ja. Nie ma pani pojęcia, jaka ta mała jest cięta. W zeszłym tygodniu była na moim żurze żona wiceministra finansów i powiedziała, że się nie zna na kuchni. „Ależ, proszę pani — odparła Albertyna z najmiłym uśmiechem — musi pani przecież mieć o tym jakieś pojęcie, skoro ojciec pani był kuchcikiem”.

— Och, bardzo lubię tę historię, to mi się wydaje urocze — rzekła pani Swann. — Ale przynajmniej na dni ordynacji doktora powinna by pani mieć swój mały *home*, swoje kwiaty, książki, to co pani lubi — doradzała profesorowej.

— I tak trzask prask, tak jej wygarnęła w żywe oczy, bez ceremonii. I nie uprzedziła mnie o niczym, szelmutka, ona jest sprytna, istna małpka. Pani jest szczęśliwa, że się pani umie powstrzymać; zazdroszczę ludziom, którzy umieją skrywać to, co myślą.

— Ależ ja tego nie potrzebuję, ja nie jestem taka wybredna — odpowiadała łagodnie pani Cottard. — Zresztą ja nie mam tych samych praw co pani — dodała nieco silniejszym głosem, którym podkreślała swoje słowa, ilekroć wsuwała w konwersację owe delikatne grzeczności, owe zmyślne pochlebstwa, budzące podziw profesora i pomagające mu w karierze. — A przy tym ja robię chętnie wszystko, co może być pożyteczne profesorowi.

— Ależ, droga pani, trzeba móc. Zapewne pani nie jest nerwowa. Ja, kiedy widzę żonę ministra wojny robiącą swoje minki, zaraz zaczynam ją imitować. To straszne, mieć taką naturę.

— Och, tak — rzekła pani Cottard — słyszałam, że ona ma tiki. Mój mąż zna również kogoś bardzo wysoko położonego i, naturalnie, kiedy ci panowie rozmawiają między sobą...

— Widzi pani, to tak jak z szefem protokołu, który jest garbaty; to murowane, jeszcze nie siedzi u mnie pięciu minut, a już muszę dotknąć jego garbu. Mąż mówi, że mu napytam dymisję. Ech, gwizdź na to całe ministerium. Tak, gwizdź na całe ministerium! Chciałabym to umieścić jako dewizę na swoim papierze listowym. Jestem pewna, że panią gorszę, bo pani jest dobra; co do mnie, przyznaję, że nic mnie tak nie cieszy, jak zrobić komuś małe świństwko. Bez tego życie byłoby bardzo monotonne.

I dalej mówiła cały czas o ministerium, tak jakby to był Olimp. Aby odmienić rozmowę, pani Swann zwróciła się do pani Cottard:

— Ale pani mi coś bardzo piękna? *Redfern fecit?*

— Nie, pani wie, że ja jestem wyznawczynią Rauthnitza. Zresztą to przerabiane.

— No, wie pani, ten szylk!...

— Ile pani myśli?... Nie, niech pani zmieni pierwszą cyfrę.

— Jak to! Ależ to za darmo, to darowane! Powiedziano mi trzy razy tyle.

— Oto, jak się pisze historię — zakończyła żona doktora. I, pokazując pani Swann naszyjnik, który dostała od niej w prezencie, rzekła:

— Popatrz pani, pani Odeto. Poznaje pani?

W rozchyleniu portiery zjawiała się głowa ceremonialnie pochylona, udająca przez żart obawę, że przeszkadza: to był Swann.

— Odeto, książkę d'Agriente jest w moim gabinecie i pyta, czy może złożyć swoje uszanowanie. Co mam powiedzieć?

— Że będę zachwycona — mówiła Odeta z zadowoleniem, nie wychodząc ze spokoju, który był jej o tyle łatwiejszy, iż zawsze, nawet jako kokota, przyjmowała ludzi z wielkiego świata.

Swann szedł powtórzyć zaproszenie i w towarzystwie księcia wkraczał do salonu, o ile wśród tego nie zjawiała się pani Verdurin. Żeniąc się z Odetą, Swann prosił jej, aby nie utrzymywała stosunków z „paczką” (miał po temu wiele powodów, a gdyby ich nie miał, byłby postąpił tak samo, ulegając prawu niewdzięczności, które nie zna wyjątków i które stwierdza nieopatrność lub bezinteresowność wszystkich stręczycieli). Zgodził się jedynie, aby Odeta wymieniała z panią Verdurin dwie wizyty rocznie, co się jeszcze wydawało nadmierne niektórym wiernym, oburzonym zniewagą wyrządzoną „pryncypałce”, która przez tyle lat traktowała Odetę, a nawet Swanna, jak pieszczone dzieci swego salonu.

Bo o ile istnieli zdrajcy, którzy opuszczali niektóre wieczory, aby pospieszyć cichaczem na zaproszenie Odety, gotowi, w razie gdyby ich odkryto, wymówić się ciekawością poznania Bergotte’a (mimo iż pryncypałka twierdziła, że on nie bywa u Swannów, że nie ma talentu, a mimo to, starała się go wedle swego ulubionego wyrażenia — *ściągnąć*), salon miał też swoich fanatyków. I ci, nieświadomi szczególnych okoliczności, często powstrzymujących ludzi od ostatecznych kroków, jakie by się chętnie u nich widziało, aby się ucieszyć czyjąś przykrością, byliby pragnęli — nadaremnie — aby pani Verdurin zerwała wszystkie stosunki z Odetą i odjęła jej tym samym przyjemność mówienia ze śmiechem: „Bardzo rzadko bywamy u pryncypałki od czasu schizmy. To było jeszcze możliwe, póki mąż był kawalerem, ale małżeństwo, to już trochę inna sprawa... Mąż, aby panu rzec prawdę, nie trawi starej Verdurin i nie bardzo by był zachwycony, gdybym się tam zagnieżdżyła. A ja, wierna małżonka...”. Swann towarzyszył żonie do Verdurinów na prośzone wieczory, ale starał się nie być w domu, kiedy pani Verdurin odwiedzała Odetę. Toteż, kiedy „pryncypałka” była w salonie, książę d’Agrigente wchodził sam. I tylko jego przedstawiała Odeta, która wołała, aby pani Verdurin nie słyszała niechlubnych nazwisk i aby, widząc sporo nieznaną twarz, mogła sądzić, że pływa w śmietance arystokracji. Rachuba ta udawała się tak, że wieczorem pani Verdurin powiadała z niesmakiem do męża: „Uroczy świat! Był tam cały kwiat reakcji!”.

Odeta żyła w stosunku do pani Verdurin w odwrotnym złudzeniu. Nie, iżby salon „pryncypałki”, nawet w przybliżeniu, zaczynał w owym czasie stawać się tym, czym stał się kiedyś. Pani Verdurin nie była jeszcze nawet w owym okresie inkubacji, kiedy kasuje się wielkie przyjęcia, gdzie rzadkie a świeżo nabyte świetne elementy utonęłyby w ciżbie, i kiedy woli się czekać, aż zdolność rozrodza dziesięciu sprawiedliwych, jakich zdołało się ściągnąć, wyda ich siedemdziesiąt razy po dziesięć. Jak to miała rychło uczynić Odeta, tak i pani Verdurin brała na cel „wielki świat”; ale odcinki jej ataku były jeszcze tak ograniczone i zresztą tak odległe od tych, przez które Odeta miała niejaką szansę dojść do tegoż wyniku, do wybicia się na wierzch, że pani Swann żyła w najzupełniejszej nieświadomości strategicznych planów wypracowanych przez jej „eks-pryncypałkę”. I kiedy ktoś mówił o pani Verdurin jako o snobce, Odeta zaczynała się najszczerzej śmiać i powiadała: „Wręcz przeciwnie. Po pierwsze, nie ma warunków, nie zna nikogo. Po wtóre, trzeba jej oddać sprawiedliwość, że ona tak woli. Nie, ona lubi tylko swoje środy, ludzi, którzy umieją rozmawiać”. I potajemnie zazdrościła pani Verdurin (mimo iż nie wątpiła, że ona sama w tak dobrej szkole nabrała podobnej wiedzy) owych kunsztów, do których „pryncypałka” przywiązywała tak wielką wagę, mimo że one tylko niuansują nicosć, rzeźbią próżnię i są, ściśle mówiąc, sztukami Nicości: sztuki (u pani domu) „skupiania”, „grupowania”, „podawania”, „usuwania się w cień”, stawania się „łącznikiem”.

Bądź co bądź, przyjaciółki pani Swann były mocno przejęte, widząc u niej kobietę, którą sobie wyobrażały jedynie we własnym salonie, w nieodłącznej ramie stałych gości, całej „paczki”, a którą oglądano oto z podziwem usymbolizowaną, streszczoną, zgęszczoną w jednym fotelu, pod postacią „pryncypałki” zmienionej w zwykłego gościa, zawiniętej w płaszcz podbity perkozami, równie puszysty jak białe futra wyścielające ten salon, na którego łonie pani Verdurin sama była salonem. Bojaźliwsze kobiety chciały się przez dyskrecję wymknąć i używając liczby mnogiej, jak wtedy kiedy chcemy dać do zrozumienia drugim, że roztropniej jest nie męczyć rekonwalescentki, która wstaje pierwszy raz, mówiły: „Odeto, już cię pozęgnamy”. Zazdrośczone pani Cottard, którą „pryncypałka”

nazywała po imieniu. „Czy mam cię porwać?” — mówiła do niej pani Verdurin, która nie mogła znieść myśli, aby „wierna” została tutaj, zamiast podążyć za nią.

— Ale... pani Bontemps jest taka łaskawa, że mnie odwiezie — odpowiadała pani Cottard, nie chcąc, aby się wydawało, że dla osoby bardziej sławnej zapomina propozycji pani Bontemps, która ofiarowała się ją odwieźć swoim ministerialnym powozem. — Przyznaję, że jestem osobliwie wdzięczna paniom, gdy są tak dobre, aby mi ofiarować miejsce w swoim wehikule. To prawdziwa gratka dla mnie, która nie rozporządza automedonem.

— Tym bardziej — odpowiadała „pryncypałka” (nie śmiejąc powiedzieć za wiele, bo знаła trochę panią Bontemps i zaprosiła ją właśnie na swoje środy) — że od pani de Crécy nie jest ci blisko do domu. Och, Boże, nigdy nie nauczę się mówić *pani Swann*. — (Był to żarcik „paczki” na użytek ludzi nieobdarzonych nadmiarem dowcipu, udawać, że nie mogą się nauczyć mówić *pani Swann*). — Tak długo przyzwyczaiłam się mówić *pani de Crécy*, że o mało się znów nie pomyliłam.

Tylko że pani Verdurin, mówiąc do Odety, nie „o mało” się nie myliła, ale myliła się umyślnie.

— Czy ty się nie boisz, Odeto, mieszkać w tym zapadłym kącie? Zdaje mi się, że ja nie czułabym się zanadto bezpieczna, gdyby mi przyszło wracać wieczorem. A przy tym tu taka wilgoć. To nie musi być bardzo zdrowe na egzemplę twojego męża. A nie macie przynajmniej szcurów?

— Ależ nie! Cóż za okropność!

— To chwała Bogu, mówiono mi że są. Bardzo rada jestem, że to nieprawda, bo ja się strasznie boję szcurów i nie pokazałabym się już u ciebie. Do widzenia, kochanie, niezadługo, wiesz, jak zawsze rada jestem cię widzieć. Nie umiesz układać złocieni — mówiła odchodząc, kiedy pani Swann wstawała, aby ją odprowadzić. — To kwiat japoński, trzeba je układać tak jak Japończycy.

— Nie jestem zdania pani Verdurin, mimo że we wszystkim jest dla mnie alfą i omegą. Tylko pani jedna, pani Odeto, umie dobierać taką gamę chryzantem czy chryzantemów, bo zdaje się, że się tak mówi teraz — oświadczyła pani Cottard, skoro „pryncypałka” zamknęła za sobą drzwi.

— Kochana pani Verdurin, nie zawsze jest pobłażliwa dla kwiatów, które widzi u innych — odparła łagodnie pani Swann.

— Kogo ty kultuwujesz, Odeto — pytała pani Cottard, aby nie pozwolić zbyttno się przedłużyć krytykom pod adresem pani Verdurin. — Lemaître’a? Wyznaję, że kiedyś na wystawie u Lemaître’a był wielki różowy krzew, dla którego popełniłam szaleństwo.

Ale przez wstydlivość pani Cottard nie chciała podać dokładniejszych szczegółów co do ceny różowego krzewu i powiedziała tylko, że profesor, który zazwyczaj nie jest „kąpany w gorącej wodzie” tym razem „stanął dęba” i oświadczył jej, że nie zna wartości pieniędzy.

— Nie, nie, moim uprzywilejowanym ogrodnikiem jest tylko Debac.

— Moim także — mówiła pani Cottard — ale wyznaję, że go czasem zdradzam z Lachaume’em.

— A, zdradzasz go z Lachaumem, powiem mu to — odparła Odeta, która siłała się na dowcip i starała się trzymać batutę rozmowy u siebie w domu, gdzie czuła się swobodniejsza niż w małej „paczce”. — Zresztą, Lachaume robi się doprawdy za drogi, ceny ma szalone, wiecie, że ja uważam jego ceny za nieobyczajne — dodała śmiejąc się.

W cieniu zakwitających dziewcząt

TOM DRUGI

Tymczasem pani Bontemps, która mówiła sto razy, że nie chciałaby być u państwa Verdurin, uszczęśliwiona, że ją zaproszono na środy, obliczała właśnie w duchu, w jaki sposób mogłaby tam być możliwie najczęściej. Nie wiedziała, że pani Verdurin wymaga, aby nie opuścić żadnej środy; z drugiej strony, należała do tych mało poszukiwanych osób, które, kiedy są zaproszone na serię przyjęć do jakiegoś domu, nie idą po prostu wówczas, gdy mają wolną chwilę i ochotę jak ci, co wiedzą, że zawsze zrobią przyjemność. Przeciwnie, takie osoby wyrzekają się na przykład pierwszego i trzeciego wieczoru, wyobrażając sobie, że ich nieobecność zwróci uwagę i zachowując się na drugi i czwarty; chyba że, mając jakieś informacje, iż trzeci „żurek” będzie osobliwie świetny, obiorą odwrotny porządek, utrzymując, że „niestety poprzednim razem nie były wolne”. Tak pani Bontemps obliczała, ile może być jeszcze śród przed Wielkanocą i w jaki sposób mogłaby zyskać jedną więcej, nie robiąc wrażenia, że się narzuca. Liczyła na panią Cottard, że jej w drodze da jakieś wskazówki.

— Och, pani Bontemps, widzę, że pani wstaje, to bardzo nieładnie dawać w ten sposób hasło do ucieczki. Winna mi pani kompensatę za to, że pani nie była w ostatni czwartek... No, niechże pani siada jeszcze na chwilę. Nie odrobi już pani przecie żadnej wizyty przed obiadem. Doprawdy, nie da się pani skusić? — mówiła pani Swann, podsuwając talerz z ciasteczkami. — Wie pani, że to wcale niezłe te świństewka. Niepokażne to, ale niech pani tylko skosztuje!...

— Przeciwnie, to wygląda bardzo kusząco — odpowiadała pani Cottard. — U pani, pani Odeto, nigdy nie grozi śmierć głodowa. Nie potrzebuję pytać o markę fabryczną, wiem, że pani wszystko bierze od Rebatteta. Muszę wyznać, że jestem bardziej eklektyczna. W kwestii ptifurów i w ogóle wszelkich łakoci często zwracam się do Bourbonneux. Ale uznaję, że oni tam nie mają pojęcia, co to są dobre lody. We wszystkim, co tyczy lodów, kremów czy sorbetu, Rebattet to Sztuka przez wielkie „S”. To, jakby powiedział mój mąż, *nec plus ultra*.

— Ale to jest po prostu robione tutaj, w domu. Doprawdy nie?

— Nie mogłabym jeść obiadu — odpowiadała pani Bontemps — ale siadam jeszcze na chwilę, wie pani, ja uwielbiam rozmawiać z osobą inteligentną jak pani.

— Wydam się pani niedyskretna, pani Odeto, ale rada bym wiedzieć, co pani sądzi o kapeluszu pani Trombert. Wiem, że modne są wielkie kapelusze, ale ona już trochę przesadziła. A w porównaniu z kapeluszem, w jakim przyszła kiedyś do mnie, ten dzisiejszy był raczej mikroskopijny.

— Ale nie, ja nie jestem inteligentna — mówiła kokieteryjnie Odeta. — Ja jestem w gruncie naiwne stworzenie, które wierzy we wszystko, co mu ktoś mówi, które bierze sobie do serca wszystko.

I dawała do zrozumienia, że w początkach bardzo cierpiała, wyszedłszy za człowieka takiego jak Swann, który „chodził na boki” i zdradzał ją.

Tymczasem książe d'Agriente, usłyszawszy owo: „nie jestem inteligentna”, czuł się w obowiązku protestować, ale nie miał daru znalezienia się w kropce.

— Tararara! — wykrzyknęła pani Bontemps — pani nieinteligentna!

— W istocie, powiadałem sobie: „Co ja słyszę?” — rzekł książe, chwytając tę deskę ratunku. — Musiały mnie uszy mylić.

— Ależ nie, upewniam was — mówiła Odeta — ja jestem w gruncie mała mieszczałka, bardzo płochliwa, pełna przesądów, żyjąca w swojej norce, a zwłaszcza bardzo ciemna.

— Czy książe widział naszego kochanego baroneta? — dodała, aby zasięgnąć nowin o baronie de Charlus.

— Pani ciemna! — wykrzykiwała pani Bontemps. — W takim razie, co by pani powiedziała o świecie oficjalnym, o wszystkich ekscelencjach, które umieją mówić tylko o szmatkach!... Ot, moja pani, nie dalej niż przed tygodniem ściągam ministrową oświaty na temat *Lohengrina*. Odpowiada: „*Lohengrin*? A tak, to ostatnia rewia w Folies-Bergères, zdaje się, że to szalenie zabawne”. No i co, moja pani, cóż pani chce, kiedy się słyszy takie rzeczy, to się w człowieku gotuje. Miałam ochotę spoliczkować ją. Bo ja, wie pani, ja mam

swój charakterek. No, niech pan powie — rzekła, zwracając się do mnie — czy nie mam racji?

— Wie pani — rzekła pani Cottard — można wybaczyć, że ktoś odpowie niezupełnie trafnie, kiedy go zapytają tak nagle, niespodzianie. Wiem coś o tym, bo pani Verdurin ma zwyczaj przykładać nam tak nóż do gardła.

— *À propos* pani Verdurin — zagadnęła pani Bontemps panią Cottard — czy pani wie, kto tam będzie u niej we środę... A, przypominam sobie teraz, żeśmy przyjęli jakieś zaproszenie na najbliższą środę. Czy nie zechciałaby pani przyjść do nas na obiad od środy za tydzień? Poszłybyśmy razem do pani Verdurin. To mnie onieśmiela tak wchodzić samej; nie wiem czemu, ale ta wielka kobieta zawsze mnie przejmowała strachem.

— Powiem pani — odparła pani Cottard — co panią tak przestrasza u pani Verdurin: to jej organ. Cóż pani chce, nie każdy ma taki piękny organ jak pani Swann. Ale wystarczy zagrzać miejsce, jak mówi „pryncypałka”, a lody niebawem pękną. Bo w gruncie ona jest bardzo ujmująca. Ale rozumiem bardzo dobrze pani sensacje, to nigdy nie jest miło znaleźć się pierwszy raz w nieznaną krainie.

— Mogłaby i pani zjeść obiad z nami — rzekła pani Bontemps do pani Swann. — Po obiedzie puściłybyśmy się razem na Verdurinów, porobić trochę w Verdurinach. Choćby to groziło ryzykiem, że „pryncypałka” wypatrzy się na mnie i nie zaprosi mnie więcej, będziemy tam sobie siedziały, gawędząc we trójkę, czuję, że to by mnie najbardziej bawiło.

Ale twierdzenie to nie musiało być zbyt wiarogodne, bo pani Bontemps wypytywała:

— Jak panie myślicie, kto tam będzie od środy za tydzień? Co się tam będzie działo? Nie będzie chyba tak strasznie dużo ludzi?

— Ja z pewnością nie będę — rzekła Odeta. — Pokażemy się tylko na chwilę na ostatniej środzie. Jeżeli pani nie robi różnicy poczekać...

Ale pani Bontemps nie zdawała się zachwycona perspektywą odroczenia.

Zazwyczaj duchowe zalety jakiegoś salonu a jego elegancja znajdują się do siebie w stosunku raczej odwrotnym. Jednakże — skoro pani Bontemps mogła się wydawać Swannowi miła! — trzeba wierzyć, że wszelka degradacja ma ten skutek, iż czyni człowieka mniej wybrednym co do osób, z którymi zrezygnował się pędzić życie, mniej wybrednym co do dowcipu i co do reszty. I jeżeli to jest prawda, ludzie muszą, jak narody, widzieć, jak ich kultura, język nawet, giną wraz z ich niepodległością. Jednym z objawów tej pobłażliwości jest to, iż powiększa ona upodobanie, jakie, poczawszy od pewnego wieku, znajdujemy w słowach będących hołdem dla naszego sposobu myślenia, dla naszych skłonności, zachętą, aby się im poddać; to ów wiek, w którym sławny artysta nad obcowanie twórczych duchów przekłada towarzystwo uczniów, mających z nim wspólną jedynie jego doktrynę, kadzących mu, słuchających go; wiek, w którym niepospolitemu mężczyźnie lub niepospolitej kobiecie, żyjącym dla miłości, najinteligentniejszą na jakimś zebraniu wyda się osoba może przeciętna, ale dowodząca jakimś słówkiem, iż rozumie i uznaje potrzeby zmysłów, głosząc w ten sposób mile ich skłonności. Był to również wiek, w którym Swann, zostawszy mężem Odety, lubił słyszeć z ust pani Bontemps, że śmieszne jest przyjmować same „grandessy” (z czego wyciągał wniosek, na wspak dawnemu Swannowi u Verdurinów, że to jest zacna kobieta, bardzo inteligentna i nie snobka), i lubił opowiadać jej historie, od których pani Bontemps „pękała ze śmiechu”, bo ich nie znała, i które zresztą „chwyciła” szybko, zawsze skłonna do pochlebstw i do zabawy.

— Zatem doktor nie przepada tak jak pani za kwiatami? — pytała pani Swann pani Cottard.

— Och, pani wie, mój mąż to mędrzec, umiarkowany jest we wszystkim. Ale nie, owszem, ma jedną namiętność.

— Jaką, jaką? — pytała pani Bontemps z okiem błyszczącym złośliwością, uciechą i zaciekawieniem.

Z prostotą pani Cottard odparła:

— Lekturę.

— Och, to jest niewinna namiętność u męża! — wykrzyknęła pani Bontemps, dławiąc szatański śmiech.

— Kiedy doktor utonie w książce, oho!

— No, to pani nie musi tak przerażać...

— Ależ owszem!... o jego wzrok. Muszę teraz wracać, pani Odeto, ale najbliższego dnia zapukam do pani wrót. *À propos* wzroku, czy wiecie, że pałacyk, który świeżo kupiła pani Verdurin, będzie oświetlony elektrycznością? Wiem to nie przez moją osobistą policję, ale inną drogą: powiedział mi to sam Mildé, elektrotechnik. Widzicie panie, że cytuję źródła. Nawet w sypialniach będą lampy elektryczne z abażurami dla stonowania światła. To przemiły zbytek, prawda? Zresztą dzisiejsze pokolenie żąda wciąż czegoś nowego, jedna nowość goni drugą. Bratowa jednej z moich przyjaciółek dała u siebie założyć telefon. Może robić sprawunki, nie wychodząc z domu! Przyznaję, że dopuściłam się płaskich intryg, aby na jeden raz uzyskać dostęp do tego aparatu. Bardzo mnie to kusi, ale raczej u przyjaciółki niż u siebie. Zdaje mi się, że nie lubiłabym mieć telefonu w domu. Skoro minie pierwsza zabawa, to musi być prawdziwe urwanie głowy. No, pani Odeto, uciekam, nie zatrzymuj już pani Bontemps, skoro ofiaruje mi gościnę w swoim wehikule; trzeba mi się wyrwać stąd siłą, ładne rzeczy ze mną wyprawiasz, wrócę do domu po mężu!

I ja musiałem wracać, nim zakosztowałem owych zimowych rozkoszy, których lśniąca powłoką zdawały mi się złocienie. Rozkosze te nie przyszły, mimo to pani Swann nie zdawała się już oczekiwać niczego. Pozwoliła służbie sprzątać herbatę, jakby oznajmiała: „Zamykamy”. I w końcu rzekła do mnie: „Więc naprawdę idzie już pan? A więc *good bye!*”. Czulem, że nawet zostawszy dłużej nie spotkałbym owych nieznanych rozkoszy i że nie sam tylko własny mój smutek pozbawia mnie ich. Czyż więc nie znajdują się na tej ubitej drodze godzin, wiodącej zawsze tak szybko do chwili rozstania? Czy raczej spotkałoby się je na jakiejś bocznej dróżce, której nie znałem i w którą trzeba by skręcić? Ale osiągnąłem bodaj cel wizyty. Gilberta będzie wiedziała, że byłam u rodziców w jej nieobecności i że zrobiłem tam, jak nie przestała powtarzać pani Cottard, „szturmem, przebojem, konkiety pani Verdurin”, która — dodała żona doktora — nikomu nie zwykła robić „tyle awansów”. „Musi — dodała — istnieć między państwem jakieś powinowactwo z wyboru”. Gilberta dowie się, że mówiłem o niej tak, jak należało, serdecznie, ale że nie jestem niezdolny żyć bez jej widoku, co uważałem za podstawę znudzenia, jakie Gilberta odczuwała przy mnie w ostatnich czasach.

Powiedziałem pani Swann, że nie mogę się już spotykać z Gilbertą. Powiedziałem to tak, jakbym postanowił nie widzieć jej już nigdy. A list, który miałem przesłać Gilbertcie, byłby w tym samym duchu. Ale w myślach, aby sobie dodać odwagi, planowałem jedynie stanowczy i krótki wysiłek kilkudniowy. Powiadałem sobie: „Ostatni raz odrzucam widzenie Gilberty; następnym razem przyjmę”. Aby uczynić rozłąkę łatwiejszą do spełnienia, nie określiłem jej jeszcze jako ostateczną. Ale czulem, że nią będzie.

Nowy Rok był mi tego roku szczególnie bolesny. Gdy się jest nieszczęśliwym, wszystko jest ciężkie, co jest datą i rocznicą. Ale gdy chodzi na przykład o stratę drogiej istoty, cierpienie polega jedynie na żywszym porównaniu z przeszłością. W moim wypadku łączyła się z tym mętna nadzieja, że Gilberta, zostawiwszy mi dotąd inicjatywę pierwszych kroków i stwierdziwszy, że ich nie zrobił, czeka jedynie pretekstu Nowego Roku, aby napisać do mnie tak: „Ostatecznie, o co chodzi, ja szaleję za tobą, przyjdź, rozmówimy się po prostu, nie mogę żyć bez ciebie”...

W ostatnich dniach kończącego się roku list ten wydawał mi się prawdopodobny. Myliłem się może, ale aby w coś uwierzyć, wystarcza pragnąć tego, potrzebować. Żołnierz wierzy, że mu będzie udzielona jakaś nieograniczona zwłoka, nim będzie zabity; złodziej — nim go złapią, wszyscy ludzie — nim umrą. To ów amulet, chroniący jednostki — czasami narody — nie od niebezpieczeństwa, ale od obawy niebezpieczeństwa, w istocie od wiary w niebezpieczeństwo, co w pewnych wypadkach pozwala stawić mu czoło, choćby się nie było szczególnie odważnym. Tego rodzaju ufność — i równie mało uzasadniona — krzepi zakochanego, gdy liczy na pojednanie, na list. Na to, abym nie oczekiwał tego listu, wystarczyłoby przestać go pragnąć. Choćby człowiek wiedział, że jest najubożniejszy tej, którą jeszcze kocha, przypisuje jej serię myśli — bodaj obojętnych — chęć objawienia ich, komplikacje wewnętrzne, w których on jest przedmiotem może antypatii, ale też ciągłego zainteresowania. Aby, przeciwnie, wyobrazić sobie stan ducha Gilberty, należałoby mi po prostu antycypować w ów Nowy Rok to, co będę od-

Miłość

czuwał tego dnia w przyszłych latach, kiedy pamięć, milczenie, czułość lub chłód Gilberty uszłyby prawie niepostrzeżone moim oczom i kiedy bym nie pomyślał, ani nawet mógł pomyśleć o rozwiązywaniu problemów nieistniejących już dla mnie. Kiedy kochamy, miłość jest za wielka, aby się mogła w nas pomieścić cała; promieniuje ku kochanej osobie, spotyka w niej powierzchnię, która zatrzymuje tę miłość i wysyła ją z powrotem; i to odbicie własnej naszej czułości, nazywamy uczuciem drugiej osoby; ono to czaruje nas więcej, niż kiedy szło ku niej, bo nie poznajemy, że jest z nas samych.

Pierwszy stycznia wydzwonił wszystkie swoje godziny bez jej listu. Że zaś otrzymałem nieco życzeń późnych lub spóźnionych wskutek zatoru poczty w owych dniach, jeszcze trzeciego i czwartego stycznia spodziewałem się wciąż listu Gilberty, ale coraz to mniej. Przez następne dni płakałem dużo. Z pewnością pochodziło to stąd, że wyrzekłszy się Gilberty mniej szczerze, niż sądziłem, zachowałem ową nadzieję listu od niej na Nowy Rok. I wyczerpawszy tę nadzieję, nim miałem czas zaopatrzyć się w drugą, cierpiałem niby chory, który zużył fiolkę morfiny, nie mając pod ręką nowej.

Ale może — i te dwa wykłady nie wykluczają się wzajem, bo jedno uczucie składa się czasami z kilku uczuć sprzecznych — nadzieja, iż otrzymam wreszcie list, zbliżyła do mnie obraz Gilberty, odrodziła dawne wzruszenia płynące z oczekiwania wizyty u niej, z jej widoku, z jej zachowania się. Bezpośrednia możliwość pojednania zabiła tę rzecz, z której ogromu nie zdajemy sobie sprawy — rezygnację. Neurastenicy nie mogą uwierzyć, gdy ich ktoś zapewnia, że się uspokoją stopniowo, pozostając w łóżku bez listów i gazet. Wyobrażają sobie, że ten tryb pogorszy jedynie stan ich nerwów. Podobnie zakochani, oceniając ten środek z perspektywy wręcz przeciwnego stanu, nie podjąwszy próby, nie mogą uwierzyć w dobroczynną moc wyrzeczenia się.

Z powodu zbyt silnego bicia serca zmniejszono mi dawki kofeiny; bicie serca ustalo. I zacząłem się zastanawiać, czy to nie z kofeiny po trosze był ów ucisk serca, jakiego doznawałem wówczas, kiedy się prawie poróżnił z Gilbertą i którego każdy nawrót przypisywałem męczarniom rozstania lub obawie, żebym ujrzał Gilbertę tak samo nadąsaną. Ale jeżeli ten narkotyk był źródłem moich cierpień, fałszywie w takim razie tłumaczonych przez moją wyobraźnię (w czym nie byłoby nic niezwykłego, ile że najokrutniejsze cierpienia moralne miewają często u kochanków źródło w fizycznym przyzwyczajeniu do kobiety, z którą żyją), był on niby ów kordiał, który długo po zażyciu wciąż wiązał Tristana do Izoldy. Bo poprawa fizyczna, jaką zmniejszenie dawek kofeiny spowodowało u mnie prawie natychmiast, nie powstrzymała rozwoju zgryzoty, którą niegdyś narkotyk, o ile jej nie wywołał, to bodaj zdołał zaostrzyć.

Ale kiedy nadeszła połowa stycznia, skoro się rozwiły nadzieje noworocznego listu i uśmierzył się ból towarzyszący ukojonemu wreszcie zawodowi, wówczas zaczęła się na nowo moja zgryzota sprzed Świąt. A najokrutniejsze było w niej może to, że ja byłem sam jej nieświadomym, samowolnym, bezlitosnym i cierpliwym twórcą. Ja sam pracowałem nad tym, aby uniemożliwić jedyną rzecz, na której mi zależało, stosunki z Gilbertą, stwarzając pomału, przedłużeniem rozłąki, obojętność nie Gilberty, ale — co miało wyjść w końcu na jedno — swoją własną. Pracowałem zaciekle nad długim i okrutnym samobójstwem tego *siebie*, który we mnie kochał Gilbertę; pracowałem, widząc jasno nie tylko to, co robię w danej chwili, ale co stąd wyniknie na przyszłość. Wiedziałem nie tylko, że za jakiś czas nie będę już kochał Gilberty, ale i to, że ona będzie żalowała tego i że jej ówczesne próby widywania się ze mną będą równie daremne jak dzisiejsze, już nie dlatego żebym ją kochał zanadto, ale że będę z pewnością kochał inną kobietę, upragnioną i oczekiwaną przez godziny, z których nie śmiałbym uronić ani cząsteczki dla Gilberty, będącej mi już wówczas niczym. I z pewnością w tej samej chwili, kiedy (skoro postanowiłem jej nie widzieć, chyba w razie formalnego żądania wyjaśnień, wyznania miłości z jej strony, co nie miało już żadnych widoków) straciłem Gilbertę i kochałem ją tym więcej, czułem, czym ona była dla mnie, lepiej niż w poprzednim roku, kiedy, spędzając z nią do woli wszystkie popołudnia, wierzyłem, że nic nie grozi naszej przyjaźni. I z pewnością w owej chwili myśl, że mógłbym kiedyś odczuwać to samo dla innej, była mi wstrętna; bo ta myśl zabierała mi oprócz Gilberty moją miłość i moje cierpienie. Moją miłość, moje cierpienie, w których z płaczem starałem się uchwycić, czym właściwie jest Gilberta;

i trzeba mi było uznać, że ta miłość i to cierpienie nie są specjalnie jej własnością i że, wcześniej lub później, staną się wianem jakiejś innej kobiety.

W ten sposób — tak myślałem wówczas — uczucia nasze są zawsze niezależne od istot; kiedy kochamy, czujemy, że ta miłość nie nosi ich imienia, że będzie się mogła odrodzić, że byłaby mogła zrodzić się nie dla tej, ale dla innej. I jeżeli w czasie, gdy nie kochamy, godzimy się filozoficznie z tym co jest sprzecznego w miłości, to dlatego, że tej miłości, o której rozprawiamy swobodnie, nie czujemy wówczas, zatem nie znamy jej, ile że znajomość tych spraw jest przerywana i nie trwa poza istotną obecność uczucia.

O tej przyszłości, w której przestałbym już kochać i którą moje cierpienie pomagało mi zgadywać, mimo iż wyobraźnia nie umiała jej jeszcze sobie jasno odtworzyć, z pewnością byłby jeszcze czas uprzedzić Gilbertę; uprzedzić ją, że się ta przyszłość ukształtuje pomału, że jej nadejście, jeżeli nie grozi natychmiast, jest w każdym razie nieuchronne, o ile ona sama nie przyjdzie mi z pomocą i nie zniweczy w zarodku mojej przyszłej obojętności. Ileż razy chciałem już pisać lub iść powiedzieć Gilbertce: „Uważaj, powziąłem postanowienie; krok, który czynię, jest krokiem ostatecznym. Widzę cię ostatni raz. Wkrótce nie będę cię już kochał”.

Na co? Jakim prawem wyrzucałbym Gilbertce obojętność, którą, nie poczuwając się w tym do żadnej winy, żywiłem dla wszystkiego, co nie było nią? Ostatni raz! Mnie się to wydawało czymś olbrzymim, bom kochał Gilbertę. Na niej zrobiłoby to z pewnością tyle wrażenia, co owe listy, w których przyjaciel, opuszczając na zawsze kraj, prosi o widzenie się z nami; i my odmawiamy mu tego spotkania — jak nudnym kobietom, które nas kochają, aby gonić za jakąś przyjemnością. Czas, którym rozporządzamy każdego dnia, jest elastyczny; namiętności, które odczuwamy, rozprzestrzeniają ów czas; te, które budzimy, kurczą go, a przyzwyczajenie wypełnia go.

Zresztą, daremnie bym mówił do Gilberty, nie usłyszałaby mnie. Kiedy mówimy, wyobrażamy sobie zawsze, że to nasze uszy słuchają, że to nasz duch słucha. Moje słowa doszłyby Gilberty skrzywione, tak jakby miały do przebycia ruchomą zasłonę wodospadu; zmienione do niepoznania, śmieszny dźwięk, pozbawiony wszelkiego znaczenia. Prawda, jaką wkładamy w słowa, nie toruje sobie drogi wprost, nie posiada nieodpartej oczywistości. Musi upłynąć sporo czasu, aby się w nich wykrystalizowała analogiczna prawda. Wówczas polityk, który, mimo wszystkich argumentów i dowodów, uważał przeciwnika politycznego za zdraycę, dzieli sam zniechęcone przekonania, obojętne już temu, który daremnie starał się je szerzyć. Wówczas arcydzieło, które czytającym je głośno wielbicielem wydawało się czymś bezsprzecznie genialnym, tym zaś, co go słuchali, dawało jedynie niedorzeczny lub mierny obraz, będzie przez nich okrzyknięte arcydziełem — zbyt późno, aby autor mógł się o tym dowiedzieć. Podobne zapory istnieją w miłości i co bądź by czynił ten którego one przywodzą do rozpacz, nie ma sposobu skruszenia ich z zewnątrz; dopiero kiedy już nie będzie dbał o nie, naraz, dzięki pracy pochodzącej z drugiej strony, spełnionej we wnętrzu osoby, która nie kochała, zapory te, zwalczane niegdyś bezskutecznie, padną bez pożytku. Gdybym oznajmił Gilbertce swoją przyszłą obojętność i sposób zapobieżenia jej, wywnioskowałaby z tego, że miłość moja dla niej, że potrzeba jej obecności, są jeszcze większe, niż sądziła, i znudzenie jej moim widokiem jeszcze by od tego wzrosło. I faktem zresztą jest, że to ta miłość, przez rozbieżne stany duszy, jakie kolejno we mnie stwarzała, pomagała mi przewidzieć — lepiej niż to mogła uczynić Gilberta — koniec tej miłości. A jednak skierowałbym może do Gilberty, listownie lub ustnie, takie ostrzeżenie, kiedy by upłynęło dosyć czasu, czyniąc mi ją w istocie mniej nieodzowną, ale też dowodząc jej, że mogę bez niej istnieć. Niestety, pewne osoby, w dobrej lub w złej intencji, mówiły jej o mnie w sposób, który musiał w Gilbertce wywołać wrażenie, że czynią to na moją prośbę. Za każdym razem, kiedym się dowiedział, że Cottard lub moja matka, lub nawet pan de Norpois, unicestwili niezręcznym słowem całe moje męczeństwo, że zniszczyli owoc moich wyrzeczeń, dając mi fałszywie pozór, że się nimi znużył, odczuwałem podwójną przykrość. Po pierwsze, mogłem datować dopiero od tego dnia swoją przykrą i płodną abstynencję, którą intruzi bez mojej wiedzy przerwali i tym samym zanulowali. Po wtóre, mniej znalazłbym obecnie przyjemności w ujrzeniu Gilberty, która wyobrażała mi się teraz nie pełnym godnej rezygnacji, lecz manewrującym pokątnie dla zdobycia spotkania, którego nie raczyła mi udzielić. Przeklinałem puste gadulstwo ludzi, którzy często nawet bez chęci szkodenia lub pomagania, bez celu, po to aby ga-

Czas, Miłość

dać, czasem dlatego, że my sami nie mogliśmy się wstrzymać od gadania w ich obecności i że są niedyskretni (jak my), wyrządzają nam w danym momencie tyle złego. Prawda, iż w oplakany dziele zniweczenia naszej miłości dalecy są od dorównania sprawności dwójga osób, które zwykły, jedna z nadmiaru dobroci, druga z nadmiaru złości, wszystko niszczyć w chwili, gdy wszystko miało się ułożyć. Ale do tych dwóch osób nie mamy żalu jak do niewczesnych Cottardów, bo drugą z nich jest ta, którą kochamy, a pierwszą my sami.

Ale ponieważ za każdym prawie razem, kiedy ją odwiedzałem, pani Swann zapraszała mnie na podwieczorek do córki i mówiła, żebym dał znać Gilbertcie wprost, pisywałem często do niej. W tej korespondencji nie doбираłem słów, jakie mogłyby — jak sądziłem — przekonać Gilbertę: starałem się jedynie utorować najśłodsze łożysko dla płynących łez. Bo żal, jak pragnienie, stara się nie analizować, ale uczynić sobie zadość; gdy zaczynamy kochać, żyjemy nie dociekaniem, czym jest jej miłość, ale obmyślaniami jutrzejszej schadzki. Kiedy się wyrzekamy miłości, nie staramy się objąć swojej zgrzyoty, ale objąć ją jej sprawczyni w formie, która nam się wyda najbardziej wzruszająca. Mówimy rzeczy, których mówienia czujemy potrzebę, a których druga strona nie zrozumie, mówimy tylko dla siebie samych. Pisałem: „Sądziłem, że to nie byłoby możliwe. Niestety, widzę, że to nie jest takie trudne”. Mówiłem także: „Prawdopodobnie nie ujrzę cię już”; mówiłem to, w dalszym ciągu wystrzegając się chłodu, który by się mógł Gilbertcie wydać sztuczny; i słowa te, kiedy ją pisałem, wyciskały mi łzy, bo czułem, że wyrażają nie to, w co chciałbym wierzyć, ale to, co się stanie naprawdę. Za najbliższą bowiem propozycją spotkania ze strony Gilberty, znalazłbym jeszcze, jak tym razem, odwagę przewyżczenia się; i tak stale odmawiając, doszedłbym stopniowo do chwili, w której na skutek niewidywania Gilberty, przestałbym pragnąć ją widzieć. Płakałem, ale znajdowałem siłę; poznawałem słodycz wyrzeczenia się widoku Gilberty w imię możliwości podobania się jej kiedyś, w dniu, gdy, niestety, będzie mi to już obojętne. Samo przypuszczenie, choć tak nieprawdopodobne, że w tej chwili (jak to Gilberta utrzymywała podczas ostatniej mojej wizyty) ona mnie kocha; że to, com brał za nudę i przesyt, było jedynie zazdrośną podejrzliwością, udanym chłodem podobnym do mojego własnego — przypuszczenie to czyniło mi decyzję jedynie mniej okrutną. Zdawało mi się wówczas, że za kilka lat, kiedy już zapomnimy o sobie wzajem, kiedy będę mógł retrospektywnie powiedzieć Gilbertcie, że list, który do niej pisałem w tej chwili, nie był szczery, ona mi odpowie: „Jak to, pan mnie kocha? Gdyby pan wiedział, jak ja czekałam tego listu, jak marzyłam o ujrzaniu pana, jak oplakałam ten list!”. I podczas gdy pisałem do Gilberty tuż po powrocie od jej matki, ta myśl, że właśnie może dopełniać aktu owego nieporozumienia, ta myśl, przez sam swój smutek, przez słodycz rojenia, że mnie Gilberta kocha, kazała mi pisać dalej.

O ile ja, żegnając się z panią Swann z końcem jej „herbaty”, myślałem o tym, co napiszę do Gilberty, pani Cottard, odchodząc, miała myśli zupełnie odmiennego rodzaju. Robiąc swoją „małą inspekcję”, nie omieszkła powinszować pani Swann jej nowych mebli, świeżych „nabytków” zauważonych w salonie. Mogła zresztą tam odnaleźć, mimo że w niewielkiej ilości, przedmioty, które Odeta miała w swojej willi przy ulicy La Pérouse’a, zwłaszcza zwierzęta z kosztownych materiałów, jej fetysze.

Ale pani Swann, nauczywszy się od jednego z przyjaciół, którego wysoko ceniła, słowa „tandetka” — słowo to otworzyło jej nowe horyzonty, gdyż oznaczało właśnie rzeczy, które kilka lat wprzód wydały jej się „szykiem” — wyprawiała kolejno wszystkie te rzeczy na emeryturę, w ślad za złoconą kratą służącą za oparcie złocieniom, w ślad za niejedną bombonierką od Giroux i papierem listowym z koroną (nie mówiąc już o luidorach z kartonu rozsypanych na kominku, które o wiele jeszcze przed poznaniem Swanna, jakiś wytworny pan poradził jej skasować). Zresztą w jej artystycznym nieładzie, w pracownianym *bric-à-brac*, z pokojów o ścianach jeszcze malowanych ciemno, co je tak bardzo różniło od białych salonów, jakie pani Swann miała mieć nieco później, Daleki Wschód ustępował coraz bardziej inwazji XVIII wieku; poduszki, które, iżby mi było bardziej *confortable*, pani Swann piętrzyła i ugniatała za moim grzbietem, były usiane bukietami *Louis XV*, a nie już, jak dawniej, chińskimi smokami. W pokoju, gdzie zastawało się ją najczęściej i o którym mówiła: „Owszem, dosyć ten pokój lubię, dużo przebywam tutaj; nie mogłabym żyć pośród rzeczy wrogich i banalnych, tu najlepiej mi się pracuje” (nie precyzując zresztą, czy pracuje nad obrazem, może nad książką, ile że gust pisania

zaczynał się pojawiać u kobiet, lubiących coś robić, czymś się zając), Odeta była otoczona cackami *vieux Saxe* (lubiła tę markę porcelany, której nazwę wymawiała z akcentem angielskim, powtarzając przy lada sposobności: to ładne, to podobne do kwiatów *vieux Saxe*), obawiała się dla nich, bardziej jeszcze niż niegdyś dla swoich magotów, niezręcznych rąk lokajów i za lęki, o jakie ją przyprowadzali, mściła się wybuchami, którym Swann, ten tak uprzejmy i łagodny pan domu, przyglądał się bez protestu. Jasne widzenie pewnych ujemnych stron nie zmniejsza w niczym tkliwości; przeciwnie, tkliwość sprawia, że się nam wydają urocze.

Obecnie Odeta przyjmowała swoich bliskich rzadziej już w japońskich szlafroczkach, raczej w jasnych i musujących peniuarach Watteau, których kwitnącą pianę pieściła dłonią na piersiach i w których kąpała się, przeciągała, trzepotała z takim poczuciem komfortu, świeżości skóry, z taką pełnią oddechu, jakby je uważała nie za dekorację, ramę, ale za coś niezbędnego, jak „*tub*” i „*footing*”, dla konserwowania swojej fizjonomii i dla wyrafinowań higieny. Chętnie mówiła, że łatwiej obeszlaby się bez chleba niż bez sztuki i czystości, i że bardziej by ją martwiło patrzeć, jak palą *Giocondę* niż „obfitych” osób spośród jej znajomych. Teorie te wydawały się przyjaciółkom Odety paradoksalne, ale sprawiały, że uchodziła w ich oczach za kobietę wyższą i zyskały jej raz na tydzień wizytę ambasadora belgijskiego. W małym świątku, którego Odeta była słońcem, każdy bardzo by się zdziwił, dowiadując się, że gdzie indziej, u Verdurinów na przykład, uchodziła za głupią. Wskutek tej żywości umysłu, pani Swann wołała towarzystwo mężczyzn niż kobiet. Ale kiedy krytykowała kobiety, czyniła to zawsze jak kokota, podkreślając wady zdolne im zaszkodzić w oczach mężczyzn, grube kostki, brzydką cerę, braki ortografii, włosy na nogach, przykry zapach, fałszywe brwi. Dla tych, które jej okazały niegdyś dobroć i pobłażliwość, była czulsza, zwłaszcza jeżeli popadły w nieszczęście. Broniała umiejętnie takiej kobiety, mówiąc: „Świat jest dla niej niesprawiedliwy, to bardzo miła kobietka, ręczę wam”.

Nie tylko urządzenie salonu, ale samą Odetę z trudnością poznałaby pani Cottard oraz wszyscy ci, którzy bywali u pani de Crécy, gdyby jej nie widzieli przez czas dłuższy. Wydawała się o tyle młodsza niż dawniej! Bez wątpienia, pochodziło to po części stąd, że utyla i że była zdrowsza, wyglądała spokojniejsza, świeższa, wypoczęta; z drugiej strony nowe, gładkie uczesanie poszerzało jej twarz, którą ożywiały różowy puder i w którą oczy i profil Odety, niegdyś zbyt wyraziste, zdawały się teraz wsiąkać. Ale inną przyczyną zmiany było to, że doszedłszy szczytowego punktu swego życia, Odeta odkryła w sobie wreszcie — lub wynalazła — fizjonomię osobistą, niezmienny „typ”, „rodzaj piękności” i że swoim nieregularnym rysom — które tak długo, zdane na przygodne i jałowe kaprysy ciała, za lada zmęczeniem przybierając lat, postarzając ją na chwilę, stwarzały poniekąd Odecie, wedle jej humoru i wyglądu, twarz przypadkową, zależną od dnia, nieregularną i uroczą — narzuciła — ten stały typ niby nieśmiertelną młodość.

Zamiast obecnych pięknych fotografii żony, na których wspólny im zagadkowy i zwycięski wyraz pozwalał rozpoznać, bez względu na suknię i kapelusz, tryumfalną twarz i sylwetkę Odety, Swann miał w swoim pokoju mały, stary dagerotyp, bardzo prosty, wcześniejszy od owego dzisiejszego typu. Młodość i piękność Odety, jeszcze przez nią nie znalezione, zdawały się tam nieobecne. Ale zapewne Swann, wierny przeszłości lub do niej nawrócony, smakował bardziej botticellowski wdzięk w szczupłej, młodej kobiecie o zadumanych oczach, o znużonych rysach, w pozie wahającej się między chodem a bezruczem. Lubił w istocie jeszcze widzieć w żonie Botticellego. Odeta, która, przeciwnie, starała się nie wydobyć, ale wyrównać, pokryć to, co się jej w niej samej nie podobało, to, co dla artysty było może jej „typem”, ale co ona jako kobieta uważała za wadę, nie chciała słyszeć o tym malarzu. Swann miał cudowną wschodnią szarfę, błękitno-różową, którą kupił, bo była identyczna z szarfą Madonny z *Magnificat*. Ale pani Swann nie chciała jej nosić. Raz tylko pozwoliła mężowi zamówić tualetę całą usianą stokrociami, bławatkami, niezapominajkami i dzwonkami wedle Primavery. Czasami, wieczorem, kiedy Odeta była zmęczona, Swann zwracał mi po cichu uwagę, jak ona bezwiednie daje swoim zamysłonym ręką subtelną, nieco sztuczny gest Madonny, maczającej pióro w kałamarzu podawanym jej przez anioła, aby pisać w świętej księdze, gdzie już widnieje słowo *Magnificat*. Ale dodawał: „Niech jej tylko pan nic nie mówi; wystarczyłoby jej wiedzieć, aby to zaraz odmieniła”.

Poza tymi chwilami mimowolnej miękkości, w której Swann silił się odnaleźć melancholijny rytm Botticellego, ciało Odety było teraz wycięte niby sylweta całkowicie okolona „linią”, która, aby opisać kontur kobiety, opuściła przygodne drogi, sztuczne wklęsłości i wypukłości, siatki, niespokojne komplikacje dawnej mody, ale która też, tam gdzie akt mylił się, wybiegając w tym lub innym sensie poza idealny wykres, umiała śmiałym ruchem naprostować odchylenia natury, uzupełnić w całych partiach niedomagania zarówno ciała jak materii. Poduszcзки, szkielet okropnej „tiurniury”, znikły, zarówno jak owe staniki z baskinami, które, zachodząc na spódnicę, naciągnięte fiszbinami, długo stwarzały Odecie sztuczny brzuszek, czyniąc ją złożoną z rozmaitych części, niezwiązanych osobowością. Prostota frędzli i krzywizna riaszek ustąpiły miejsca płynności ciała, które pulsowało jedwabiem jak syrena bije falę i dawało perkalinie wyraz ludzki, obecnie, kiedy się to ciało wyłoniło, jako zorganizowany i żywy kształt, z długiego chaosu i z mglistego całunu zdetronizowanych mód.

Jednakże pani Swann chciała i umiała zachować ślad niektórych mód wśród tych, co je zastąpiły. Kiedy wieczorem, nie mogąc pracować i pewien, iż Gilberta jest w teatrze z przyjaciółkami, zaszedłem niespodzianie do jej rodziców, zastawałem często panią Swann w wytwornym dezabilu, którego spódnicę pięknego ciemnego koloru, ciemnoczerwoną albo pomarańczową — kolory zdające się mieć jakieś osobliwe znaczenie, bo były już niemodne — skośnie przecinał ażurowy i szeroki pas czarnej koronki, przypominający dawne wolanty. Kiedy w jakiś chłodny jeszcze wiosenny dzień pani Swann zabrała mnie — przed moim zerwaniem z Gilbertą — do Ogrodu Zoologicznego, wówczas pod żakietem, rozpiętym, o ile się zgrzała od szybkiego chodzenia, wycinane falbany u szmizetki wyglądały niby wyłogi jakiejś nieobecnej kamizelki, podobnej do tych, które pani Swann nosiła kilka lat wprzódy i przy których lubiła te lekkie żąbki. Toż samo krawiat swój — z gatunku „szkockich”, któremu została wierna, ale łagodząc tony (czerwone stało się różowym, a niebieskie lila), tak iż można by prawie myśleć o owych taftach *gorge de pigeon*, stanowiących ostatnią nowość — wiązała pod brodą w taki sposób, że przywodził nieodparcie na myśl aksamitki u kapeluszy, jakich się już nie nosiło. Byle tylko umiała tak „przetrwac” jakiś czas, a młodzi ludzie, próbując zrozumieć jej tualety, będą mówili: „Pani Swann, nieprawdaż, to cała epoka?”. Jak w pięknym stylu, skupiającym rozmaite formy, a skrzepionym utajoną tradycją, tak w tualecie pani Swann owe mętne wspomnienia kamizelek, klamer, czasem zdlawiona natychmiast tendencja do „*saute en barque*”, aż do odległej i mglistej aluzji do „*suivez-moi jeune homme*”, pozwalały pod konkretną formą krążyć szczątkowemu podobieństwu innych dawniejszych form, których nie można by tam odnaleźć istotnie zrealizowanych przez krawcową lub modystkę, ale o których myślało się wciąż i które spowijały panią Swann w jakąś szlachetność — może dlatego, że sama bezużyteczność owych ozdób stwarzała im pozór celu ponadużytkowego, może dzięki zachowanym śladom minionych lat lub jakiejś toaletowej indywidualności, właściwej tej kobiecie i dającej najodmienniejszym strojom Odety wspólne rodzinne rysy. Czuło się, że ona się ubiera nie tylko dla wygody lub dla ozdoby ciała; była spowita swoją toaletą niby delikatnym i uduchowionym dostojeństwem cywilizacji.

Kiedy Gilberty, która zazwyczaj urządziła swoje podwieczorki w dniu przyjęć matki, miało nie być w domu i kiedy tym samym mogłem się wybrać do pani Swann, zastawałem ją w którejś z pięknych sukien, czasem taftowej albo *faïlle*, albo aksamitnej, albo *crêpe de Chine*, albo atlasowej, albo jedwabnej. Suknie owe, już nie puszczane jak szlafroczyki, które zazwyczaj Odetta nosiła w domu, ale obmyślane jakby do wyjścia, dawały w takie popołudnie jej wywczasom coś żywego i czynnego. I bez wątpienia śmiała prostota ich kroju była wybornie dostrojona do figury pani Swann i do jej ruchów, a rękawy były jak gdyby zmieniającym się co dnia kolorem tych ruchów; można by rzec, że jest nagła decyzja w błękitnym aksamicie, łaskawy humor w białej tafcie, i że jakaś ostateczna i dystygnowana rezerwa w sposobie wysuwania ręki, przybrała, aby się ucieleścić, postać czarnej *crêpe de Chine*, błyszczącej uśmiechem wielkich poświęceń. Ale równocześnie owym sukniom — tak żywym — komplikacja ozdób bez praktycznego użytku, bez widocznej racji bytu, przydawała coś bezinteresownego, zamyślnego, sekretnego, harmonizującego z melancholią, jaką pani Swann zachowywała zawsze bodaj w podkrążeniu oczu i w palcach. Pod mnogością *porte-bonheur* z szafiru, czterolistnych koniczyn z emalii, srebrnych medali, złotych medalionów, turkusowych amuletów, rubinowych

łańcuszków, rżniętych topazów, bywał w samej jej sukni jakiś kolorowy deseń, przedłużający na wskrzeszonej wstawce jej dawniejszą egzystencję, jakiś rząd atlasowych guziczków, niezapinających niczego i niedających się odpiąć, jakiś sutasz starający się pogłaskać mile wiernością i dyskrecją delikatnej aluzji... Szczegóły te, tak samo jak klejnoty, robiły wrażenie — inaczej nie miałyby żadnego usprawiedliwienia — iż zdradzając jakąś intencję, są zakładem jakiejś czułości, pamiątką zwierzeń, że odpowiadają jakiemuś zabobonowi, zachowują pamięć jakiegoś wyleczenia, ślubu, miłości lub gry w filipka. I czasami w niebieskim aksamicie stanika cień wypustki *Henri II*, w czarnej atlasowej sukni lekkie wzdęcie, które czy to na rękawach, w pobliżu ramion, kazało myśleć o „*gi-gots*” 1830, czy przeciwnie, pod spódnicą o *paniers* Louis XV, stwarzało sukni nieznaczną pozór kostiumu i przemycając pod obecnym życiem niedostrzegalną reminiscencję przeszłości, dawały osobie pani Swann urok heroin historii lub powieści. Kiedy jej na to zwracałem uwagę, odpowiadała: „Nie gram w golfa, jak wiele moich przyjaciółek. Nie miałabym żadnego usprawiedliwienia, aby się ubierać jak one w swetry”.

W rozgardiaszu salonu, wracając, odprowadziwszy gościa lub biorąc talerz z ciastkami, aby go podać innemu gościowi, pani Swann, przechodząc koło mnie, brała mnie na sekundę na bok: „Mam specjalną misję od Gilberty, aby pana zaprosić na śniadanie pojutrze. Nie będąc pewna, czy pana zobaczę, miałam do pana napisać, w razie gdyby pan dziś nie przyszedł”. Wciąż się opierałem. I ten opór kosztował mnie coraz mniej, bo choćby się lubiło truciznę, która nam szkodzi, kiedy jakaś okoliczność pozbawiła nas jej od jakiegoś czasu, niepodobna nie cenić spoczynku, którego się już nie znało, braku wzruszeń i cierpień. Jeżeli nie jesteśmy zupełnie szczerzy, powiadając sobie, iż nie zechcemy nigdy oglądać tej, którą kochamy, nie byłibyśmy też całkiem szczerzy, mówiąc, iż chcemy ją ujrzeć. Niewątpliwie, możemy znieść rozłąkę jedynie z tą nadzieją, iż będzie krótka, myśląc o dniu, gdy odnajdziemy ukochaną; ale z drugiej strony czujemy, o ile te codzienne marzenia o bliskim i wciąż odkładanym spotkaniu mniej są bolesne, niż byłoby samo widzenie, zdolne znów pociągnąć za sobą zazdrość; tak iż wiadomość, że się znów ujrzy przedmiot ukochania przyniosłaby wzruszenie niezbyt miłe. Odsuwamy teraz z dnia na dzień już nie koniec nieznośnej męki spowodowanej rozłąką, ale niebezpieczny powrót wzruszeń bez wyjścia. O ileż od takiego spotkania wolimy łagodne wspominki, uzupełniane do woli marzeniem, w którym ta, co w rzeczywistości nie kocha nas, oświadcza się nam, przeciwnie, z miłością, gdy jesteśmy sami! Owo wspomnienie, które, wkładając w nie stopniowo wszystko, czego się pragnie, można uczynić tak słodkim, o ileż miłsze jest od odsuwanej wciąż rozmowy z istotą, której nie dyktowalibyśmy już do woli upragnionych słów, zmuszeni, przeciwnie, znosić jej niechęci, kaprysy i burze. Wiemy wszyscy, kiedy już nie kochamy, że niepamięć, nawet mgliste wspomnienie, nie sprawiają tylu cierpień, co nieszczęśliwa miłość. Nie przyznając się do tego przed sobą, wolałem kojącą słodycz takiej antycypowanej niepamięci.

Zresztą, o ile taka kuracja psychicznego oderwania się i izolacji może być przykra, staje się ona coraz to mniej przykra z innej przyczyny. Mianowicie taka kuracja osłabia — zanim ją uleczy ową *idée fixe*, jaką jest miłość. Moja miłość była jeszcze na tyle mocna, aby mi zależało na odzyskaniu w oczach Gilberty dawnego uroku, który dzięki mojemu dobrowolnemu odsunięciu się musiał (tak sądziłem) stopniowo rosnąć, tak iż każdy z tych spokojnych i smutnych dni spędzonych z dala od niej, jednym ciągiem, bez przerwy, bez przedawnienia (o ile jakiś natręt nie wmieszał się do tego), był dniem nie straconym, ale zyskanym. Zyskanym może daremnie, bo rychło można by mnie nazwać wyleczonym. Rezygnacja, odmiana przyzwyczajenia pozwala pewnym siłom wzrastać nieograniczenie. Siły, jakimi rozporządzałem, aby je przeciwstawić swemu cierpieniu, tak wątłe pierwszego wieczora po kłótni z Gilbertą, osiągnęły później nieobliczalną potęgę. Tylko że tendencję do trwania, właściwą wszystkiemu, co istnieje, przerywają często nagle impulsy, którym poddajemy się tym łatwiej, bo wiemy, przez ile dni, przez ile miesięcy, mogliśmy i będziemy jeszcze mogli wyrzekać się czegoś. I często — jak skarbonkę z oszczędnościami wypróżnia się nagle, gdy już ma być pełna — przerywamy kurację, nie czekając jej wyniku, wówczas gdyśmy się już do niej przyzwyczaili. I jednego dnia, kiedy pani Swann mówiła mi, jak zwykle, o przyjemności, jaką Gilbertcie sprawiłby mój widok, ujrzałem nagle na odległość ręki szczęście, którego pozbawiałem się tak długo. Wstrząsnęła mnie

myśl, że jeszcze jest możliwe kosztować tego szczęścia. I ledwo mogłem doczekać jutra; postanowiłem zejść do Gilberty niespodzianie, przed jej obiadem.

Pewien projekt pomógł mi przetrwać cierpliwie cały dzień. Skoro wszystko jest zapomniane, kiedy się pogodził z Gilbertą, chciałem ją widywać już tylko w charakterze zakochanego. Codziennie będzie otrzymywała ode mnie najpiękniejsze kwiaty. A gdyby pani Swann, mimo iż nie miała prawa być zbyt surową matką, nie pozwoliła mi co dzień posyłać córce kwiatów, wymyśliłbym podarki kosztowniejsze, a mniej częste. Rodzice nie dawali mi tyle pieniędzy, abym mógł kupować rzeczy drogie. Pomyślałem o wielkim wazonie ze starej chińskiej porcelany, który dostałem po cioci Leonii, a któremu mama przepowiadała co dzień, że dziś czy jutro Franciszka przyjdzie z oznajmieniem: „Rozleciało się”, i że nie zostanie z wazonu nic. W tych warunkach, czyż nie było rozsądniej sprzedać go, aby móc swobodnie dostarczać Gilberte wszystkich przyjemności? Sądziłem, iż zdołam uzyskać za ten wazon tysiąc franków. Kazałem go zawinąć; przyzwyczajenie było przyczyną, że go nigdy nie widział; rozstanie się miało bodaj tę korzyść, że się z nim zapoznał. Zabrałem z sobą wazon, wybierając się do Swannów; podając woźnicy ich adres, kazałem mu jechać przez Pola Elizejskie, stanąć na rogu, gdzie miał sklep wielki handlarz chińszczyzny, znajomy ojca. Ku memu zdumieniu, ofiarował mi z miejsca nie tysiąc, ale dziesięć tysięcy franków. Wziąłem te banknoty z upojeniem: przez cały rok będę mógł co dzień obsypywać Gilbertę różami i bzem! Kiedy wsiałem do dorożki, wychodząc od kupca, woźnica — całkiem naturalnie, skoro Swannowie mieszkali w pobliżu Lasku — pojechał, zamiast zwykłej drogi, aleją Pól Elizejskich. Już minął róg ulicy du Berri, kiedy w zmroku wydało mi się, że bardzo blisko domu Swannów poznaję Gilbertę, ale oddalającą się w przeciwnym kierunku. Szła wolno, mimo że swobodnym krokiem, obok młodego człowieka, z którym rozmawiała, ale którego nie mogłem rozpoznać. Podniosłem się z siedzenia, aby kazać stanąć, potem zawahałem się. Przechadzająca się para była już dość daleko; miękkie i równoległe linie wykreślone ich wolnym posuwaniem się wsiąkały w cień elizejski. Niebawem znalazłem się w domu Gilberty. Przyjęła mnie pani Swann.

— Och, Gilberta będzie w rozpaczy — rzekła — nie wiem, jakim cudem nie ma jej. Było jej bardzo gorąco na lekcji, powiedziała, że chce się trochę przejść z koleżanką.

— Mam wrażenie, że ją widział przed chwilą na Polach Elizejskich.

— Nie sądzę, aby to była ona. W każdym razie niech pan nie mówi nic mężowi, on nie lubi, aby Gilberta wychodziła o tej porze. *Good evening.*

Wyszedłem, kazałem woźnicy jechać tą samą drogą, ale nie spotkałem ich. Gdzie byli? Co sobie mówili o zmierzchu, tak poufnie nachyleni?

Wróciłem, trzymając z rozpaczą nieoczekiwane dziesięć tysięcy franków. Miałem dzięki tym pieniądząm zrobić tyle drobnych przyjemności owej Gilberte, której teraz byłem zdecydowany nie ujrzeć już nigdy. Bez wątpienia postój u handlarza chińszczyzny ucieszył mnie, pozwalając mi się spodziewać, że zawsze będę oglądał swoją ukochaną zadowoloną i wdzięczną. Ale gdybym się nie był zatrzymał, gdyby fiakier nie jechał przez Pola Elizejskie, nie byłbym spotkał Gilberty z młodym człowiekiem. Tak więc jeden i ten sam fakt ma dwa przeciwległe konary, a nieszczęście, jakie się z niego rodzi, anuluje szczęście, które sprawił. Zdarzyło mi się coś przeciwnego temu, co się dzieje tak często. Zwykle pragniemy przyjemności, a brak nam materialnych środków do osiągnięcia jej. „Smutno jest — powiada La Bruyere — kochać bez wielkiego majątku”. Pozostaje jedynie starać się unicestwić pomału żądę tej radości. Ja, przeciwnie, uzyskałem środki materialne, ale równocześnie, jeżeli nie w logicznym skutku, to bodaj w przypadkowym rezultacie tego sukcesu, radość umknęła mi się. Zdaje się zresztą, że zawsze musi się nam wymknąć: zwykle, co prawda, nie tego samego wieczoru, w którym zdobyliśmy to, co umożliwi przyjemność. Najczęściej szamocemy się dalej i ludzimy się jakiś czas. Ale szczęście nie może się nigdy ziścić. Jeżeli pokonamy okoliczności, natura przenosi walkę z zewnątrz na wewnątrz i odmienia pomału nasze serce na tyle, aby pragnęło czego innego niż to, co posiada. A jeżeli zwrot był tak szybki, że serce nie miało czasu się zmienić, natura nie rezygnuje z chęci zwyciężenia nas w sposób wolniejszy, to prawda, subtelniejszy, ale równie skuteczny. W ostatniej sekundzie odbiera nam wówczas posiadanie szczęścia lub raczej samemu temu posiadaniu z diabelską chytryością natura każe niweczyć szczęście. Nie zdoławszy nic sprawić w sferze faktów i życia, natura stwarza ostatnią niemożliwość,

psychologiczną niemożliwość szczęścia. Fenomen szczęścia nie spełnia się lub wiąże się z najbardziej gorzką reakcją.

Ścisnąłem w dłoni dziesięć tysięcy franków. Ale nie zdały mi się już na nic. Wydałem je zresztą jeszcze szybciej, niż gdybym był co dzień posyłał kwiaty Gilbertcie, bo kiedy nadchodził wieczór, byłem tak nieszczęśliwy, że nie mogłem wytrwać w domu i szedłem płakać w ramionach kobiet, których nie kochałem. Co się tyczy zrobienia jakiegokolwiek przyjemności Gilbertcie, nie pragnąłem już tego; iść teraz do jej domu mogło mi przynieść jedynie ból. Nawet widok Gilberty, jeszcze wczoraj dla mnie tak pełen uroku, nie wystarczyły mi już. Bo byłbym niespokojny przez cały czas, w którym nie byłbym przy niej. Oto, co sprawia, że kobieta, przez każdy nowy ból, jaki nam — często bezwiednie — zadaje, zwiększa swoją władzę nad nami, ale i nasze wymagania od niej. Przez ten ból, jaki nam sprawiła, kobieta osacza nas coraz bardziej, zdwaja nasze łańcuchy, ale również i te, którymi dotąd zdawało się nam wystarczające spętać ją dla naszego spokoju. Jeszcze wczoraj, gdyby nie obawa znudzenia Gilberty, byłbym poprzestał na żądaniu rzadkich spotkań, które teraz nie byłyby mi już wystarczyły i które bym zastąpił zgoła innymi warunkami. Bo w miłości — na wspak temu, co się dzieje po bitwie — im bardziej jesteśmy zwyciężeni, tym cięższe stawiamy warunki, wciąż je powiększamy — o ile je możemy narzucić. Nie miałem tej mocy w stosunku do Gilberty. Toteż wołałem od razu przestać odwiedzać jej matkę. Powtarzałem sobie wprawdzie nadal, że Gilberta mnie nie kocha, że wiem o tym dość dawno, że mógłbym ją zobaczyć, gdybym chciał lub — w odwrotnym wypadku — zapomnieć o niej z czasem. Ale te myśli, niby lekarstwo nieskuteczne na pewne choroby, było bez żadnej mocy przeciw tym dwom równoległym liniom, które jawiły mi się od czasu do czasu, Gilberty i młodego człowieka, gubiących się z wolna w alei Pól Elizejskich. Była to nowa choroba, też mająca się zużyć; obraz, który pewnego dnia miał się przedstawić mojej myśli zupełnie wyługowany z tego, co zawierał zabójczego, jak owe śmiertelne trucizny, którymi manipuluje się bez szkody, lub odrobina dynamitu, od której można zapalić papierosa bez obawy wybuchu.

Na razie była we mnie inna siła, walcząca całą swoją mocą przeciw tej niezdrowej sile, ukazującej mi niezmiennie spacer Gilberty o zmroku; aby złamać ponawiające się ataki mojej pamięci, wyobraźnia moja pracowała skutecznie w przeciwnym kierunku. Niewątpliwie pierwsza z tych dwóch sił wciąż mi ukazywała parę z Pól Elizejskich i nasuwała mi inne przykre obrazy zaczerpnięte z przeszłości; na przykład Gilbertę wzruszającą ramionami, gdy matka kazała jej zostać ze mną. Ale druga siła, haftując na kanwie moich nadziei, rysowała mi przyszłość o wiele powabniejszą niż ta biedna przeszłość, w gruncie tak ograniczona. Na tę jedną minutę Gilberty nadąsanej, ileż minut, w których roilem wszystko, co ona uczyni dla naszego pojednania, może dla naszych zaręczyn! Prawda, że ową siłę, którą wyobraźnia kierowała w przyszłość, czerpała ona mimo wszystko w przeszłości. W miarę jak by się zacierał przykry obraz Gilberty wzruszającej ramionami, zmniejszyłoby się i wspomnienie jej uroku, wspomnienie, które mi kazało pragnąć, aby do mnie wróciła. Ale byłem jeszcze bardzo daleko od tej śmierci przeszłości. Wciąż kochałem Gilbertę, myśląc co prawda, że jej nienawidzę. Ale za każdym razem kiedy chwalono moje uczesanie, mój wygląd, byłbym pragnął, aby ona była przy tym. Drażniły mnie zaproszenia, jakimi w owej epoce darzyło mnie nadaremnie wiele osób. Doszło raz w domu do sceny, bo nie chciałem towarzyszyć ojcu na oficjalny obiad, gdzie mieli być państwo Bontemps z siostrzenicą Albertyną, młodziczką panienką, prawie dzieckiem. Różne okresy naszego życia zazębiają się tak o siebie. Dla osoby, którą kochamy, a która będzie nam kiedyś tak obojętna, odsuwamy wzgardliwie tę, którą pokochamy jutro, którą moglibyśmy może, gdybyśmy się zgodzili ujrzeć ją, pokochać wcześniej, i która byłaby w ten sposób skróciła nasze obecne cierpienia, co prawda po to, aby je zastąpić innymi.

Moje cierpienia przeobrażały się stopniowo. Dziwiłem się, spostrzegając w sobie tego dnia jedno uczucie, owego inne, przeważnie natchnione jakąś nadzieją lub obawą tyczącą Gilberty. Gilberty, którą nosiłem w sobie. Byłbym sobie powinien powiedzieć, że inna, prawdziwa, jest może zupełnie różna od tej, obca żalom, jakim jej przypisywałem, że myśli zapewne o mnie nie tylko o wiele mniej niż ja o niej, ale mniej, niż ja jej każę myśleć o mnie, gdy jestem sam na sam ze swoją fikcyjną Gilbertą, dociekając, jakie mogą być

jej prawdziwe intencje i wyobrażając sobie tym samym, że jej uwaga wciąż się kieruje na mnie.

W czasie tych okresów, gdy, mimo iż słabnąc, zgryzota trwa, trzeba rozróżnić między tą, którą sprawia nam ciągła myśl o samej osobie, a tą, którą podsycają pewne wspomnienia, jakieś złośliwe wyrażenie, jakieś słowo użyte w otrzymanym liście. Zachowując sobie na okazję późniejszej miłości opis rozmaitych form zgryzoty, powiedzmy, że z tych dwóch pierwsza jest nieskończenie mniej okrutna od drugiej. Wynika to stąd, że skoro obraz tej osoby wciąż w nas żyje, upiękuszony jest w nas aureolą, w którą nie omieszkamy jej ustroić, i barwi się, o ile nie częstymi słodyczami nadziei, to bodaj spokojem trwałego smutku. (Trzeba zresztą zauważyć, że obraz osoby będącej źródłem naszego cierpienia mało zajmuje miejsca w powikłaniach, które powiększają cierpienie miłosne, przedłużają je i utrudniają uleczenie, jak w pewnych chorobach przyczyna jest w niestosunku do wywołanej gorączki i powolności zdrowienia). Ale jeżeli myśl o kochanej osobie barwi się odblaskiem idei przeważnie optymistycznej, inna rzecz owe konkretne wspomnienia, owe złe słówka, ów wrogi list (dostałem od Gilberty tylko jeden taki); można by rzec, iż sama osoba mieszka w tych fragmentach, mimo iż tak ograniczonych i osiąga moc, od której daleka jest w zwykłym pojęciu, jakie sobie tworzymy o niej całej. A to dlatego, że listu nie oglądaliśmy — jak oglądamy obraz kochanej osoby — w melancholijnym i spokojnym żalu; czytaliśmy go, pochłaniali, w okropnym bólu, jakim dławilo nas nagłe nieszczęście. Tworzenie się takich zgryzot jest inne; płyną z zewnątrz i dochodzą do naszego serca drogą najokrutniejszego cierpienia. Obraz ukochanej, który uważamy za dawny, autentyczny, w rzeczywistości przerabialiśmy wiele razy. Ale okrutne wspomnienie nie jest współczesne z tym wyrestaurowanym obrazem; jest z innego czasu, jest jednym z nielicznych świadków potwornej przeszłości. Że jednak ta przeszłość istnieje nadal, wyjąwszy w nas, którzy podobaliśmy sobie zastąpić ją cudownym wiekiem złotym, rajem, gdzie wszyscy będą pojednani, owe wspomnienia, owe listy, są przywołaniem do rzeczywistości i przez gwałtowny ból, jaki nam sprawiają, powinny by nam uprzytomnić, jak daleko odeszliśmy od tej rzeczywistości w szalonych nadziejach naszego codziennego oczekiwania.

Nie znaczy to, aby ta rzeczywistość miała wciąż zostać jednaka, mimo iż zdarza się to czasem. Jest w naszym życiu wiele kobiet, których nigdy nie staraliśmy się ujrzeć i które, zupełnie naturalnie, na nasze bynajmniej niezamierzone milczenie odpowiedziały podobnym milczeniem. Tylko ponieważ nie kochaliśmy tych kobiet, nie liczyliśmy lat spędzonych z dala od nich; jakoż pomijamy ten negatywny przykład, kiedy rozumiemy o skuteczności odosobnienia, tak jak ci, co wierzą w przeczucia, pomijają wszystkie wypadki, w których się im one nie sprawdziły.

Ale wreszcie oddalenie może być skuteczne. Pragnienie, ochota ujrzenia nas odradza się w końcu w sercu, które obecnie nami gardzi. Tylko trzeba na to czasu. Otóż w tym, co się tyczy czasu, wymagania nasze są nie mniej wygórowane niż te, których potrzebuje serce, aby się zmienić. Po pierwsze, czas to jest rzecz, której użyczamy niechętnie, bo nasze cierpienie jest okrutne i pilno nam, aby się skończyło. Następnie, ten czas, którego inne serce będzie potrzebowało, aby się zmienić, nasze zużyje na to, aby się zmienić również, tak iż kiedy cel, któryśmy sobie zakładali, stanie się dostępny, przestanie dla nas być celem. Zresztą, sama myśl o tym, że będzie dostępny, że nie ma szczęścia, które, kiedy przestanie być już dla nas szczęściem, nie byłoby do osiągnięcia, ta myśl zawiera część, ale tylko część prawdy. Przychodzi nam to szczęście, kiedyśmy się stali na nie obojętni. Ale właśnie ta obojętność uczyniła nas mniej wymagającymi i pozwala nam uwierzyć wstecz, że owo szczęście byłoby nas upoiło w epoce, w której może wydałoby się nam bardzo niepełne. Nie jest się zbyt trudnym ani zbyt dobrym sędzią co do rzeczy, o którą się nie dba. Życzliwość osoby już niekochanej może się wydać jeszcze nadmierna naszej obojętności, ale miłości naszej nie wystarczyłaby może wcale. Myślimy o radości, jaką byłyby nam sprawiły jakieś tkliwe słowa, jakaś schadzka, nie zaś o wszystkim tym, czego pragnęlibyśmy zaraz później i co może byśmy udaremnili właśnie przez tę zachłanność. I nie jest wcale pewne, czy owo szczęście zjawiające się zbyt późno, kiedy go już nie możemy kosztować, kiedy już nie kochamy, jest całkiem tym samym szczęściem, którego brak niegdyś nas tak unieszczęśliwił. Jedna tylko osoba mogłaby to rozstrzygnąć, nasze ówczesne ja; i nie ma go już; i z pewnością wystarczyłoby jego powrotu, aby szczęście — tożsame czy nie — pierzchło.

Szczęście, Serce, Przemiana,
Czas

W oczekiwaniu owych niewczesnych ziszczeń marzenia, na którym nie będzie mi już zależało, tak długo roilem — jak w czasach, gdy zaledwie znał Gilbertę — słowa, listy, gdzie mnie błaga o przebaczenie, wyznaje, iż zawsze kochała tylko mnie i chce zostać moją żoną, iż seria słodkich i wciąż odtwarzanych obrazów zajęła wreszcie w moich myślach więcej miejsca niż wizja Gilberty i młodego człowieka, której nie podsycalo już nic. Z tą chwilą byłbym znów może odwiedził panią Swann, gdyby nie sen, w którym jakiś przyjaciel — ale nie z liczby osób, które znałem — postępował za mną nadzwyczaj fałszywie, przeświadczony wzajem o moim fałszu. Zbudzony nagle cierpieniem, jakie mi sprawił ten sen, i widząc, że trwa, myślałem dalej o nim; starałem się przypomnieć sobie, co to był za przyjaciel, którego widział we śnie i którego hiszpańskie imię już się we mnie zamgliło. Kojąc rolę Józefa i faraona, zacząłem tłumaczyć sobie swój sen. Wiedziałem, że w wielu snach nie trzeba brać w rachubę wygląd osób, które mogą być przebrane i mogły pozamieniać twarze, jak w katedrach owi uszkodzeni święci, których ciemni archeologowie odrestaurowali, kładąc na ciało jednego głowę drugiego oraz mieszając ich właściwości i imiona. Imiona osób we śnie mogą nas zmylić. Osobę, którą kochamy, trzeba poznawać jedynie po sile doznanego bólu. Mój ból pouczył mnie, że (mimo iż zmieniona we śnie w młodego człowieka) osobą, której świeży fałsz sprawiał mi jeszcze ból, była Gilberta. Przypomniałem sobie, że ostatnim razem, kiedy ją widział, wówczas gdy pani Swann nie dała jej iść na tańce, Gilberta — szczerze czy udając, przy czym śmiała się dziwnie — nie chciała uwierzyć w moje dobre uczucia dla niej. Przez asocjację wspomnienie to zbudziło w mojej pamięci inne. Na długo przedtem Swann nie chciał wierzyć ani w moją szczerłość, ani w to, że bym był odpowiednim przyjacielem dla Gilberty. Daremnie pisał do niego, Gilberta odniosła mi mój list i oddała mi go z tym samym zagadkowym śmiechem. Nie oddała mi go zaraz; przypomniałem sobie całą scenę za klombem laurów. Człowiek staje się moralny z chwilą, gdy jest nieszczęśliwy. Obecna niechęć Gilberty wydała mi się niby karą wymierzoną przez życie za moje zachowanie się owego dnia. Człowiek myśli, że unika kary, dlatego że przechodząc przez ulicę uważa na powozy, że unika niebezpieczeństw. Ale istnieją wewnętrzne niebezpieczeństwa. Wypadek przychodzi ze strony, o której się nie myślało, z wewnątrz, z serca. Słowa Gilberty: „Jeżeli chcesz, możemy się jeszcze mocować”, przejęły mnie zgrozą. Wyobraziłem ją sobie taką, u niej w domu może, w garderobie, z młodym człowiekiem, którego widział z nią w alei Pól Elizejskich. Zatem tak samo jak (przed jakimś czasem) byłem szalony, wierząc, że osiadł spokojnie w szczęściu, tak teraz, kiedy wyrzekłem się nadziei szczęścia, byłem szalony, uważając za pewnik, że stałem się bodaj spokojny, że mógłbym pozostać spokojny. Bo dopóki serce trwale zawiera obraz innej istoty, nie tylko nasze szczęście może być w każdej chwili zburzone; kiedy to szczęście prysło, kiedyśmy cierpieli, a potem zdołali uspić swoje cierpienie, spokój nasz jest czymś równie złudnym i niepewnym, jak było nasze szczęście.

Mój spokój wrócił w końcu, co bowiem weszło w naszą duszę w drodze snu, odmieniając nasz stan duchowy i nasze pragnienia, rozprasza się także stopniowo, ile że trwałość i ciągłość nie są dane niczemu, nawet boleści. Zresztą ci, co cierpią z miłości, są — jak się mówi o niektórych chorych — swoim własnym lekarzem. Ponieważ pociecha może im przyjść jedynie od istoty sprawiającej im ból, a ten ból jest emanacją owej istoty, w nim w końcu znajdują lekarstwo. On sam wskazuje im je w danej chwili, w miarę bowiem jak go obracają w sobie, ból ten ukazuje im inną postać straconej osoby, to tak nienawistnej, że nie mamy już nawet ochoty ujrzeć jej, bo zanim byśmy znaleźli przyjemność w jej towarzystwie, trzeba by ją dręczyć; to tak słodkiej, że słodycz, jakiej jej użycamy, pocytujemy jej za zasługę i czerpiemy w niej nadzieję.

Ale mimo iż odnowione cierpienie uśmierzyło się w końcu, jeżeli zachodził jeszcze do pani Swann, to chyba bardzo rzadko. Bo w tych, którzy kochają i których porzucono, uczucie oczekiwania — nawet bezwiedne — jakim żyją, przeobraża się samo przez się i, mimo iż na pozór tożsame, sprowadza po pierwszym stanie stan drugi, wręcz przeciwny. Pierwszy był następstwem i refleksją bolesnych wydarzeń, jakie nami wstrząsnęły. Oczekiwanie tego, co mogłoby się wydarzyć, miesza się z lękiem, tym bardziej że w tej chwili, o ile nic nowego nie zajdzie ze strony osoby kochanej, pragniemy działać sami, a nie bardzo wiemy, jaki będzie skutek kroku, po którym niepodobna nam już może będzie podjąć nowego. Ale niebawem — choć sobie z tego nie zdajemy sprawy — nasze

trwale oczekiwanie określa się — jak widzieliśmy — już nie wspomnieniem doznanej przeszłości, ale nadzieją urojonej przyszłości. Z tą chwilą jest ono niemal miłe. Przy tym ów stan przez swoje trwanie przyzwyczaił nas żyć w oczekiwaniu. Cierpienie, jakiegoś doświadczyli w czasie ostatnich widywań się, żyje w nas jeszcze, ale już uśpione. Nie kwapimy się zbyt odnowić go, tym bardziej że nie bardzo widzimy, czego byśmy teraz żądali. Posiadanie czegoś więcej z kobiety, którą kochamy uczyniłoby nam jedynie tym potrzebniejszym to, czego nie posiadamy i czego nie mogliśmy się wyrzec, bo wszelkie zaspokojenie rodzi nową potrzebę.

Wreszcie ostatnia racja przyłączyła się z czasem do tej poprzedniej, aby mnie doprowadzić do całkowitego poniechania wizyt u pani Swann. Racją tą — późniejszą — był nie fakt zapomnienia o Gilbertcie, ale chęć przedszego zapomnienia o niej. Bez wątpienia od czasu, jak się skończyło moje wielkie cierpienie, wizyty u pani Swann znów stały się dla resztek mego smutku ukojeniem i dystrakcją, cenną z początku. Ale oba te procesy — ukojenie i dystrakcja — były w sprzeczności z sobą, ile że z tymi wizytami ściśle łączyło się wspomnienie Gilberty. Dystrakcja byłaby mi użyteczna tylko wtedy, gdyby w walkę z uczuciem, niepodsycałym już obecnością Gilberty, wprowadziła myśli, interesy, namiętności, w których Gilberta nie grałaby żadnej roli. Te stany świadomości, którym kochana osoba pozostaje obca, zajmują wówczas miejsce, choćby małe zrazu, ale zdobyte na miłości wypełniającej wprzód całą duszę. Trzeba starać się podsycać, hodować te myśli, podczas gdy wędnie uczucie, będące już tylko wspomnieniem, tak aby wprowadzone w myśl nowe elementy odbierały mu, wydzierały coraz to większą część duszy, aż w końcu wydrą mu ją całą. Zdawałem sobie sprawę, że to jest jedyny sposób zabicia miłości, a byłem jeszcze dość młody, dość dzielny na to, aby podjąć ten zamiar, aby znieść najokrutniejszy z bólów, rodzący się z pewności, że ile bądź czasu trzeba będzie na to obrócić — uda się.

Powód, jakim motywowałem teraz w listach do Gilberty odmowę widywania jej, był aluzją do jakiegoś tajemniczego, najzupełniej fikcyjnego nieporozumienia, które jakoby zaszło między nami i co do którego spodziewałem się zrazu, iż Gilberta zechce je wyjaśnić. Ale faktem jest, iż nigdy, nawet w najbliższych stosunkach, nie żąda wyjaśnień ktoś, kto wie, że jakiś ciemny, kłamliwy, oskarżający zwrot wsunięto umyślnie po to, aby wywołać protesty; przeciwnie, szczęśliwy, iż zyskał przez to przewagę i inicjatywę taktyczną, strzeże tej przewagi. Tym bardziej dzieje się tak w stosunkach tkliwszych, gdzie miłość jest tak wymowna, a obojętność tak mało ciekawa! Skoro Gilberta nie podała w wątpliwość tego nieporozumienia, ani starała się go poznać, stało się ono dla mnie czymś realnym, na co powoływałem się w każdym liście. Są w tych fałszywych sytuacjach, w tym udanym chłodzie jakieś czary, które utrzymują nas w nich. Tak długo pisałem: „Od czasu, jak nasze serca przestały się rozumieć”, po to aby Gilberta odpisała: „Ależ nie przestały, porozumiejmy się”, żem uwierzył, iż przestały się rozumieć w istocie. Powtarzając ciągle: „Życie nasze mogło się zmienić, ale nie zatrze uczuć, jakie nas łączyły”, z żądzą usłyszenia wreszcie: „Ależ nic się nie zmieniło, węzeł jest mocniejszy niż kiedykolwiek”, żyłem w myśli, iż życie zmieniło się w istocie, iż zachowamy pamięć uczucia nieistniejącego już, jak pewni neurastenicy z udanej choroby zostają wreszcie na całe życie chorzy. Teraz za każdym razem, kiedym miał pisać do Gilberty, powoływałem się na ową urojoną zmianę, której fakt, biernie uznany milczeniem Gilberty w jej odpowiedziach, trwał jakoby między nami.

Następnie Gilberta przestała się ograniczać do przemilczania. I ona przejęła mój punkt widzenia; i jak w oficjalnych toastach, gdzie naczelnik państwa będący gościem odpowiada mniej więcej w tych samych słowach, jakich użył naczelnik państwa, które go gości, za każdym razem, kiedym pisał do Gilberty: „Życie mogło nas rozdzielić, ale pamięć czasu, gdyśmy się znali, przetrwa”, ona odpowiadała niezmiennie: „Życie mogło nas rozdzielić, ale nie zdoła zatrzeć w pamięci dobrych chwil, które będą nam zawsze drogą”. I bylibyśmy w wielkim kłopotcie, gdyby nam przyszło powiedzieć, czemu „życie” nas rozdzieliło, co za zmiana zaszła?

Nie cierpiałem już zbyt. Jednakże pewnego dnia, przesyłając Gilbertcie wiadomość o śmierci naszej starej straganiarki na Polach Elizejskich, napisawszy te słowa: „Pomyślałem, że ci ta śmierć sprawiła przykrość; we mnie poruszyła ona wiele wspomnień”, nie mogłem się wstrzymać od płaczu, spostrzegając, iż o tej miłości, o której mimo woli nie

przestałem nigdy myśleć jak o czymś żywym, bodaj o czymś mogącym zmartwychwstać, mówię w czasie przeszłym i tak jakby chodziło o zapomnianego już prawie nieboszczyka. Nie można sobie wyobrazić nic tkliwszego niż ta korespondencja między przyjaciółmi, którzy nie chcieli się już widywać. Listy Gilberty miały całą delikatność owych listów, jakiem pisywał do osób obojętnych i darzyły mnie tymi samymi pozornymi oznakami przywiązania, tak słodkimi dla mnie, gdy pochodziły od niej.

Stopniowo zresztą każda odmowa widzenia się z Gilbertą sprawiała mi mniej przykrości. I, w miarę jak mi się ona stawała mniej drogą, moje bolesne wspomnienia nie miały już dosyć siły, aby zniszczyć ciągle nawroty przyjemności, z jaką myślałem o Florencji, o Wenecji. Żałowałem w owych chwilach, że się wyrzekłem dyplomacji i że się przykułem do miejsca po to, aby się nie oddalać od dziewczyny, której już nie ujrzę i o której już prawie zapomniałem. Budujemy swoje życie dla jakiejś osoby i kiedy w końcu możemy ją w nim przyjąć, ta osoba nie przychodzi, potem umiera dla nas, i żyjemy uwięzieni w tym, co było przeznaczone tylko dla niej.

O ile Wenecja zdawała się rodzicom bardzo dla mnie daleka i niezdrowa, łatwo w zamian było wybrać się bez znużenia do Balbec. Ale na to trzeba by opuścić Paryż, wyrzec się wizyt, dzięki którym — mimo iż były tak rzadkie — słyszałem niekiedy od pani Swann o Gilbertce. Zaczynałem zresztą znajdować w tych wizytach pewne przyjemności, w których Gilberta nie grała żadnej roli.

Kiedy nadeszła wiosna, sprowadzając zimno, w czasie „świętych lodowych¹⁹” i przymrozków Wielkiego Tygodnia, pani Swann uważała, że się u niej w domu marznie, toteż zdarzało mi się często zastać ją przyjmującą w futrze. Jej wrażliwe na zimno ręce i ramiona znikaly pod białym i lśniącym dywanem olbrzymiej płaskiej gronostajowej mufki i kołnierza, których nie zdjęła wracając i które wyglądały jak ostatnie płaty zimowego śniegu, trwalsze od innych i niedające się stopić ciepłu ognia ani posuwającej się wiosnie. I salon ten, z którym miałem rozstać się niebawem, sugerował mi całą prawdę owych tygodni lodowatych, ale już kwitnących bardziej upajającymi białościami, na przykład bielą buldeneżów²⁰, skupiających na szczycie wysokich łodyg, nagich niby linearne krzewy prerafaelitów, swoje pierzaste, lecz zwarte kule, białe jak anioły zwiastowania i spowite cytrynowym zapachem. Bo pani z Tansonville wiedziała, że kwiecień, nawet mroźny, nie jest wyzuty z kwiatów, że zima, wiosna, lato, nie są oddzielone od siebie hermetycznymi przegrodami, jak w to skłonny jest wierzyć bulwarowiec, który do pierwszych gorących dni wyobraża sobie świat jako coś zawierającego same nagie domy na deszczu. Nie twierdzę, aby pani Swann zadowolala się tym, czego jej dostarczał ogrodnik z Combray, i aby przez swoją „nadworną” kwiaciarkę nie wypełniała luk niepełnego obrazu sukursem śródziemnomorskiego klimatu. Było mi to zresztą obojętne. Dla obudzenia we mnie nostalgii wsi wystarczyło, aby obok śniegów mufki, którą trzymała pani Swann, buldeneże (niemające może w intencjach pani domu innego celu, jak stworzyć, za radą Bergotte’a „symfonię *en blanc majeur*” z jej umeblowaniem i toaletą) przypomniały mi, że Ofiara Wielkiego Piątku wyobraża naturalny cud, którego można by być świadkiem corocznie, gdyby się było rozsądniejszym, i aby te buldeneże, wspomagane ostrym i odurzającym zapachem innych kwiatów (których nazw nie znałem, a które tyle razy zatrzymały mnie w czasie moich przechadzek w Combray), czyniły salon pani Swann równie dziewiczym, równie niewinnie kwitającym bez żadnego liścia, równie przepojonym autentycznymi zapachami, co ścieżka w Tansonville.

Ale ta reminiscencja to było jeszcze za wiele. Wspomnienie owej ścieżki groziło tym, że podtrzyma resztkę mojej miłości dla Gilberty. Toteż, mimo że już wcale nie cierpiałem w czasie wizyt u pani Swann, jeszcze zredukowałem je, starając się bywać u niej możliwie najrzadziej. Co najwyżej, ponieważ wciąż nie opuszczałem Paryża, pozwalałem sobie na małe spacerunki z panią Swann. Piękne dni wróciły wreszcie, gorąco również. Ponieważ wiedziałem, że przed śniadaniem pani Swann wychodzi na godzinę na mały spacer po *avenue du Bois*, w pobliżu *Etoile* oraz miejsca nazywanego wówczas, od ludzi zachodzących tam,

¹⁹święci lodowi (fr. *Saints de glace*) — w Polsce tzw. zimni ogrodnicy, tj. dni, którym patronują święci: Pankracy (12 maja), Serwacy (13 maja) i Bonifacy (14 maja) oraz Zofia (15 maja), kiedy występuje duże prawdopodobieństwo wiosennych przymrozków (największe między 10 a 17 maja). [przypis edytorski]

²⁰buldeneż — śnieguliczka; rodzaj krzewu o białych a różowych drobnych kwiatach zgrupowanych w kiście oraz białych, drobnych owocach. [przypis edytorski]

aby oglądać bogaczy znanych im tylko z nazwiska, „*Klubem golców*”, wyprosiłem u rodziców, że w niedzielę — bo w powszedni dzień nie byłem o tej godzinie wolny — będę mógł jadać śniadanie aż znacznie po nich, o kwadrans na drugą, przedtem zaś trochę się przejdę. Nie zaniedbałem tego ani razu w ciągu maja, który Gilberta spędziła na wsi u przyjaciółki. Przybywałem pod Łuk Tryumfalny koło dwunastej. Czatowałem u początku alei, nie tracąc z oczu rogu uliczki, którą szła od siebie pani Swann, mając do przebycia ledwie kilkadziesiąt kroków. Ponieważ była to godzina, w której wielu spacerowiczów wracało już na śniadanie, ci, co pozostali, byli mało liczni, przeważnie ludzie ze „świata”. Naraz na piasku alei, spóźniona, powolna i bujna niby najpiękniejszy kwiat otwierający się aż o południu, zjawiała się pani Swann, roztaczając dokoła siebie tualetę zawsze inną, ale zwłaszcza, o ile pamiętam, koloru lila; następnie podnosiła i rozwijała na długiej szypulce jedwabną flagę szerokiej parasolki w tym samym odcieniu co ulistnienie płatków sukni. Otaczała ją cała świta; Swann i kilku klubowców, którzy zaszli do niej rano albo których spotkała; i ich czarna lub szara grupa, spełniająca prawie mechaniczne poruszenia martwej ramy dokoła Odety, dawała tej kobiecie o szczególnie wyrazistym spojrzeniu pozór, że spośród wszystkich tych mężczyzn ona patrzy przed siebie jak z okna, do którego podeszła, wykwitając wąż, ale nieustraszona w nagości swoich delikatnych kolorów, niby zjawa istoty odmiennego rodzaju, nieznaney rasy, o potędze niemal wojowniczej, dzięki czemu sama jedna równoważyła swoją liczną eskortę. Uśmiechnięta, szczęśliwa z pięknej pogody, ze słońca niedokuczającego jeszcze zbytnio, Odeta, ze spokojem i pewnością twórcy, który stworzył swoje dzieło i nie dba o resztę, pewna, że jej toaleta — choćby nawet zwykły przechodzień nie ocenił jej — jest najwytworniejsza ze wszystkich, nosiła ją dla samej siebie i dla swoich przyjaciół, swobodnie, bez przesadnej uwagi, ale i bez zbytej obojętności; nie broniąc kokardkom u sukni i u spódnicy bując lekko przed nią, niby istotom, których obecności jest świadoma i którym pobłażliwie pozwala igrzać, wedle ich własnego rytmu, byle szły za nią. Nawet na swoją umbrellę lila, którą często przybываяc trzymała jeszcze zamkniętą, pani Swann opuszczała chwilami — zarówno jak na bukietik parmeńskich fiołków — spojrzenie szczęśliwe i tak słodkie, że kiedy nie padało już na przyjaciół, ale na martwy przedmiot, jeszcze zdawało się uśmiechać. Określała w ten sposób, zajmowała swoją tualetą ową strefę elegancji, której przestrzeń i konieczność szanowali mężczyźni, nawet najbardziej ośmieleni przyjaźnią pani Swann, nie bez pewnego szacunku profanów i wyznania własnej ignorancji. Była to strefa, w której przyznawali swojej przyjaciółce kompetencję i autorytet, niby choremu w zakresie specjalnych starań, jakich potrzebuje, lub matce w zakresie wychowania dzieci.

Zarówno przez ten dwór, który otaczał ją, zdając się nie widzieć przechodniów, jak przez późną godzinę swego zjawienia się, pani Swann budziła wizję owego apartamentu, gdzie spędziła tak długi poranek i dokąd miała niebawem wrócić na śniadanie; zdradzała niejako jego bliskość niedbałym spokojem swojej przechadzki, takiej prawie, jaką się odbywa, spacerując po własnym ogrodzie; można by rzec, że jeszcze miała dokoła siebie chłodny i zaciszny cień tego mieszkania. Ale przez to właśnie widok Odety tym bardziej dawał mi wrażenie powietrza i ciepła. Zwłaszcza że na skutek mego przeświadczenia, iż mocą obrzędów i liturgii, w jakich pani Swann była tak biegła, toaleta jej łączy się z porą roku i dnia węzłem koniecznym, jedynym — kwiaty jej twardego słomkowego kapelusza, kokardki u sukni zdawały mi się poczęte z miesiąca maja naturalniej jeszcze niż kwiaty ogrodowe i leśne; i aby zaznać młodego wzruszenia wiosny, podnosiłem oczy nie wyżej niż umbrellka pani Swann, otwarta i napięta niby drugie bliższe niebo, okrągłe, łaskawe, ruchome i błękitne. Te obrządki bowiem, mimo iż wszechmocne, kładły swoją chlubę — a tym samym kładła ją w tym pani Swann — w dobrotliwym posłuszeństwie rankowi, wiośnie, słońcu, które nie wydawały mi się dość wzruszone tym, że tak elegancka kobieta raczy ich nie ignorować i że z ich powodu wybrała suknię jaśniejszą i lżejszą, wycięciem szyi i rękawów budzącą myśl o wilgoci karku i dłoni; że rozwinęła dla nich całą uprzejmość wielkiej damy, która, zniżywszy się wesoło do tego, aby odwiedzić na wsi prostych ludzi, znajomych wszystkim, nawet pospółstwu, mimo to zechciała włożyć specjalnie na ten dzień wiejską toaletę.

Skoro się pani Swann zjawiała, klaniałem się jej, zatrzymywała mnie i mówiła z uśmiechem: „*Good morning*”. Szliśmy kawalek razem. I pojmowałem, że jeżeli była posłuszna

owym kanonom, wedle których się ubierała, to dla siebie samej; posłuszna niby wyższej mądrości, której byłaby arcykapłanką: o ile się jej bowiem zdarzyło, że z powodu gorąca rozpięła lub nawet całkiem zdjęła i dała mi do niesienia żakiet, który miał pozostać zapięty, odkrywałem w jej szmizetce tysiące szczegółów mających wszelkie szanse zostać niepostrzeżone, jak owe partie orkiestry, które kompozytor wypieścił z całym staraniem, mimo że nigdy nie mają dojść uszu publiczności; lub też w rękawach żakietu złożonego na moim ramieniu oglądałem długo, dla przyjemności lub przez uprzejmość, jakiś atlasik lila zazwyczaj skryty oczom wszystkich, ale równie delikatnie opracowany jak wierzch, niby owe rzeźby w katedrze gotyckiej ukryte na wewnętrznej stronie balustrady na wysokości osiemdziesięciu stóp, równie doskonale jak płaskorzeźby głównego portalu, ale których nikt nie widział, zanim jakimś wędrowcowi-artystcie nie wpadło do głowy przechadzać się tam pod samym niebem, górując nad całym miastem między dwiema wieżami.

Dla ludzi nieznających nawyków „*footingu*” wrażenie, że się pani Swann przechadza po *avenue du Bois* niby po ścieżce własnego ogrodu, pomnażała okoliczność, że Odeta przyszła pieszo, bez jadącego za nią powozu; ona, którą od maja przywykło się widzieć w najstaranniej zaprzężonym ekwipażu, z najlepiej utrzymaną liberią w całym Paryżu, gdy miękko i majestatycznie zasiadała, jak bogini, w ciepłym plenerze olbrzymiej ośmioresorowej wiktorii. Pieszo robiła pani Swann wrażenie — zwłaszcza gdy tak szła leniwo wskutek gorąca — osoby, która uległa ciekawości, chęćce popelnienia jakiegoś eleganckiego wyłomu w etykiecie, jak owi panujący, co, nie poradziwszy się nikogo, wśród zgorzognego nieco podziwu świty nieważącej się krytykować, opuszczają łożę w czasie galowego przedstawienia i zachodzą do foyer, mieszając się na chwilę z publicznością. Tak więc tłum czuł dzielące go od pani Swann owe bariery bogactwa, robiące wrażenie najbardziej nieprzebytych. Arystokracja ma też swoje, ale mniej przemawiające do oczu i wyobraźni „golców”. W obliczu wielkiej damy, prostszej, łatwiejszej do pomieszenia z mieszczką, mniej oddalonej od ludu, „golcy” nie doznają owego uczucia własnej niższości, prawie upodlenia, jakie mają wobec jakiejś pani Swann. Bez wątpienia, tego rodzaju kobiety nie mają, jak ów tłum, poczucia świetności, która je otacza, nie zwracają już na nią uwagi; ale to dlatego, że się do niej przyzwyczyli, czyli że im się ta świetność wydaje w końcu naturalna, konieczna, że sądzą innych ludzi wedle ich stopnia wtajemniczenia w te misteria zbytku. Dostojność, jakie promieniują same, jakie odkrywają w innych, jest czysto materialne, łatwe do stwierdzenia, długie do nabycia, trudne do zastąpienia. Jeśli te kobiety postawią przechodnia w rzędzie najniższym, to w taki sam sposób, w jaki one same objawiły mu się na szczeblu najwyższym, to znaczy natychmiast, od pierwszego spojrzenia, bez apelacji. Ta specjalna klasa społeczna, posiadająca wówczas kobiety jak lady Israels, wmieszana w sfery arystokracji, i panią Swann, mającą się kiedyś do nich zbliżyć, była czymś pośrednim, niższym od Faubourg Saint-Germain, skoro mu schlebiała, ale wyższym od tego, co jest poza Faubourg Saint-Germain. Już oderwana od świat bogaczy, była jeszcze bogactwem, ale bogactwem, które się stało podatne, posłuszne artystycznemu celowi i myśli; pieniądź klepliwy, poetycznie cyzelowany i umiejący się uśmiechnąć. Może ta klasa, przynajmniej o tym samym typie i uroku, już nie istnieje. Zresztą należące do niej kobiety nie miałyby dziś tego, co było pierwszym warunkiem ich panowania, skoro z wiekiem prawie wszystkie postradały swą piękność. Otóż pani Swann, majestatyczna, uśmiechnięta i dobra, sunąc przez *avenue du Bois*, widziała, jak Hypatia, pod uroczystym krokiem swoich stóp, toczące się światy; a widziała je tyleż ze szczytu swego dostojnego bogactwa, co z chlubnej wyżyny swego żrałego²¹ i jeszcze tak smacznego lata. Mijający ją młodzi ludzie patrzyli na nią trwożliwie, niepewni, czy ich luźna znajomość z panią Swann daje im prawo ukłonu, tym bardziej, że będąc ledwie gdzieś raz przedstawieni Swannowi, bali się, że ich nie pozna. I drżąc o skutki, zdecydowali się na to, pytając sami siebie, czy ich zuchwale wyzywający i świętokradzki gest, czyniąc zamach na nietykalną supremację kasty, nie rozpęta katastrof lub nie ściągnie na nich kary jakiego boga. Ale ich ukłon pobudzał jedynie, niby ruch zegara, mechanizm ukłonów podrzędnych osobistości, tworzących świat Odety, poczynając od Swanna, który podnosił swój cylinder z zieloną skórzaną podszewką, z miłym uśmiechem nabytym w Faubourg Saint-Germain, ale z którym nie kojarzyła się już dawniejsza jego obojęt-

²¹ *żraly* (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

ność. Zastępowała ją (tak jakby poniekąd przesiąkł uprzedzeniami Odety) i irytacja, że się musi odklaniać komuś nieszczególnie ubranemu, i zadowolenie, że jego żona ma tylu znajomych; uczucie mieszane, któremu Swann dawał wyraz, mówiąc do towarzyszących mu elegantów: „Jeszcze jeden! Daję słowo, nie wiem, gdzie Odeta łowi ich wszystkich!”. Tymczasem, odpowiedziawszy skinieniem głowy wystraszonemu przechodniowi, który już znikł, ale któremu serce biło jeszcze, pani Swann zwracała się do mnie:

— Zatem — mówiła — to skończone? Nie zajdzie pan już nigdy do Gilberty? Jestem rada, że choć ja stanowią wyjątek i że mnie pan nie „splawił” całkowicie. Lubię pana widzieć, ale lubiłam też wpływ, jaki pan miał na moją córkę. Sądzę, że i ona tego bardzo żałuje. Ostatecznie, nie będę pana tyranizowała, bo gotów by pan i mnie nie chciał widzieć na oczy!

— Odeto, Sagan ci się kłania — zwracał jej uwagę Swann.

I w istocie, książę de Sagan, zwróciwszy frontem konia, we wspaniałej apoteozie, godnej teatru, cyrku lub starego obrazu, składał Odecie szeroki, teatralny i jakby alegoryczny ukłon, w którym piętrzyła się cała rycerska dworność wielkiego pana składającego hołd Kobiecie, choćby wcielonej w kobietę, jakiej jego siostra lub matka nie mogłyby przyjmować. Co chwila zresztą, poznawana w płynnej przezroczystości i świetnym werniksie cienia, jaki lała na nią umbrelka, pani Swann przyjmowała ukłony zapóźnionych jeźdźców, jakby skinematografowanych w galopie w białym rozświeceniu alei, klubowców, których imiona, sławne dla publiczności — Antoine de Castellane, Adalbert de Montmorency i tylu innych — były dla pani Swann poufałymi imionami przyjaciół. I ponieważ przeciętne trwanie życia — względna długowieczność — o wiele dłuższe jest dla wspomnienia poetyckich wrażeń niż dla wspomnienia ran serca, dawno minione męki, jakim cierpiał wówczas dla Gilberty, przeżyła przyjemność, jaką odczuwam za każdym razem, kiedy zechcę czytać, niby na urojonym kompasie, minuty upływające między kwadrantem na pierwszą a pierwszą, w maju, odnajdując się w ten sposób w rozmowie z panią Swann, pod jej umbrelką²², niby w cieniu szpaleru glicynii.

*

Doszedłem do zupełnej prawie obojętności w stosunku do Gilberty, kiedy w dwa lata później wybrałem się z babką do Balbec. Kiedym ulegał czarowi nowej twarzy, kiedym się spodziewał przy pomocy innej młodej dziewczyny poznawać gotyckie katedry, pałace i ogrody Italii, powiadałem sobie smutno, że nasza miłość, jako miłość pewnej istoty, nie jest może czymś zbyt realnym, skoro skojarzenia przyjemnych lub bolesnych marzeń mogą ją związać na jakiś czas z pewną kobietą, tak iż budzą w nas wiarę, że miłość była przez nią nieodzownie natchniona, jak znowuż, jeśli się dobrowolnie lub bezwiednie wyzwolimy z tych skojarzeń, miłość ta, przeciwnie, tak jakby była samorodna i poczęta z nas samych, odradza się, aby się poświęcić innej kobiecie. Jednakże, w chwili tego wyjazdu i przez pierwszy czas pobytu, obojętność moja była dopiero okresowa. Życie nasze jest tak mało chronologiczne, tyle wprowadza anachronizmów w porządek dni! Często żyłem w epoce dawniejszej niż wczoraj lub przedwczoraj, kiedym kochał Gilbertę. Wówczas nie widzieć jej już stawało mi się nagle bolesne, tak jak byłoby bolesne w owej dobie. Owo *ja*, które ją kochało, zastąpione już prawie całkowicie innym *ja*, zmartwychwstawało, przy czym o wiele częściej wracała mi je jakaś rzecz błaha niż rzecz ważna. Na przykład — antycypuję tu pobyt w Normandii — słyszałem w Balbec, jak nieznanomy jakiś, mijając mnie na drodze, mówił: „Rodzina dyrektora ministerstwa poczty...”. Nie wiedziałem wówczas, jaki wpływ owa rodzina będzie kiedyś miała na moje życie, toteż słowa te powinny były być mi obojętne; otóż sprawiły mi żywy ból, ból rozłąki z Gilbertą, którego doznawało owo *ja* w znacznej części zamarłe we mnie od dawna. Bo nigdy jeszcze nie wróciłem myślą do pewnej rozmowy, jaką Gilberta miała przy mnie z ojcem, na temat rodziny „dyrektora ministerstwa poczty”. Otóż wspomnienia miłosne nie stanowią wyjątku w ogólnych prawach pamięci, rządzonych znowuż powszechnymi prawami przyzwyczajenia. Ponieważ nawyk osłabia wszystko, najlepiej przypomina nam jakąś istotę to, cośmy zapomnieli (dlatego że to coś było nieznaczące i żeśmy mu w ten

Miłość, Pamięć,
Wspomnienia

²²umbrelka — parasolka. [przypis edytorski]

sposób zostawili całą jego siłę). I dlatego najlepsza część naszej pamięci jest poza nami, w dżdżystym podmuchu wiatru, w zaduchu pokoju lub w zapachu pierwszego ognia na kominku, wszędzie, gdzie odnajdujemy z samych siebie to, czym nasz intelekt, nie mogąc tego spożytkować, wzgardził; ostatnią rezerwę przeszłości, najlepszą, tę, która, kiedy wszystkie nasze lzy zdają się wyschły, umie nam je jeszcze wycisnąć. Poza nami? W nas, aby lepiej rzec, ale ukryta własnym naszym spojrzeniem, w mniej lub więcej długim zapomnieniu. Jedynie dzięki owemu zapomnieniu możemy od czasu do czasu odnaleźć istotę, którąśmy byli, spojrzeć na rzeczy tak, jak patrzyła owa istota, na nowo cierpieć, bo nie jesteśmy już sobą, ale nią, i bo ona kochała to, co nam jest teraz obojętne. W pełnym świetle zwyczajnej pamięci obrazy przeszłości bledną pomału, zacierają się, nie zostaje z nich już nic, nie odnajdziemy ich już. Lub raczej nie odnaleźlibyśmy ich, gdyby jakieś słowa (jak „dyrektor ministerstwa poczty”) nie były starannie przechowane w zapomnieniu, tak jak się składa w Bibliotece Narodowej egzemplarz książki, bez tego narażonej na całkowitą zagładę.

Ale to cierpienie i ten nawrót miłości były tym razem nie dłuższe niż te, które nawiązują nas we śnie, bo w Balbec nie było dawnego Przyzwyczajenia, aby je utrwalić. A jeżeli skutki Przyzwyczajenia wydają się sprzeczne, to dlatego, że podlega ono różnorakim prawom. W Paryżu stałem się coraz obojętniejszy na Gilbertę, dzięki Przyzwyczajeniu. Zmiana nawyku, to znaczy chwilowe ustanie Przyzwyczajenia, dokończyła dzieła Przyzwyczajenia, kiedym wyjechał do Balbec. Ono osłabia, ale utrwała; sprowadza rozpad, ale daje mu trwać nieograniczenie. Każdego dnia, od lat, kopiowałem, jak mogłem, swój stan duszy z podobnego stanu w dniu poprzednim. W Balbec nowe łóżko, do którego przynoszono mi rano pierwsze śniadanie, odmienne od paryskiego, nie miało już podsycać myśli, jakimi się karmiła moja miłość do Gilberty. Są wypadki (dość rzadkie co prawda), gdy najlepszym sposobem zyskania na czasie jest zmienić miejsce, podczas gdy tkwienie w miejscu unieruchamia dni. Moja podróż do Balbec była jakby pierwszym wyjściem rekonwalescenta, który oczekiwał już tylko tego wyjścia, aby spostrzec, że jest uleczony.

Tę podróż odbyłoby się z pewnością dziś samochodem, sądząc, że tak będzie przyjemniejsza. Ujrzymy, iż odbyta w ten sposób byłaby nawet w pewnym sensie prawdziwsza, gdyż śledziłoby się bardziej z bliska, poufniej stopniowania, wedle których zmienia się powierzchnia ziemi. Ale ostatecznie, swoistą przyjemność podróży stanowi nie to, aby móc wysiadać w drodze i zatrzymywać się, kiedy się jest zmęczonym; chodzi o to, aby różnicę między wyjazdem a przybyciem uczynić nie tak nieznaczną, ale tak głęboką jak tylko się da; aby ją odczuć w jej całkowitości, nietkniętą, taką, jak była w naszej myśli, kiedy ze stałego miejsca naszego pobytu wyobraźnia niosła nas w samo serce miejsca upragnionego. Ten skok wydaje się cudowny nie tyle przez to, że przebywa odległość, ile przez to, że łączy dwie różne indywidualności ziemi, że nas przenosi od jednej nazwy do innej; a schematyzuje go (lepiej niż spacer, w czasie którego, skoro wysiadamy, gdzie chcemy, nie ma właściwie przybycia na miejsce) tajemnicze zjawisko, spełniające się w owych specjalnych miejscach, dworcach kolei, które nie stanowią, aby tak rzec, części miasta, ale zawierają esencję samej jego osobowości, tak jak na tablicy noszą jego miano.

Ale w każdej dziedzinie nasza epoka ma tę manię, aby chcieć pokazywać rzeczy jedynie w ich prawdziwym otoczeniu, a tym samym niszczyć to, co istotne, akt ducha, który je z owej rzeczywistości wyosobnił. Obraz podają nam w oprawie mebli, bibelotów, cacek, obić z jego epoki — mdła dekoracja, w której komponowaniu celuje w dzisiejszych pałacach gospodyni domu, wczoraj jeszcze głęboko ciemna, dziś spędzająca dnie w archiwach i bibliotekach. W takiej dekoracji arcydzieło, które oglądamy, jedząc przy tym obiad, nie daje nam owej upajającej radości, dostępnej jedynie w sali muzealnej, która, nagością swoją i wyzuciem ze wszystkich realnych szczegółów, o wiele lepiej symbolizuje przestrzenie ducha, w jakie artysta schronił się, aby stworzyć.

Na nieszczęście, owe cudowne miejsca, jakimi są dworce kolejowe, skąd puszczamy się ku odległym przeznaczeniom, są także miejscami tragicznymi, o ile bowiem spełnia się tam cud, dzięki któremu kraina istniejąca wprzód jedynie w naszej myśli stanie się miejscem, gdzie będziemy żyli, nie trzeba się tym samym spodziewać, aby tuż na wyjściu z poczekalni natychmiast odnaleźć codzienny pokój, gdzie się było jeszcze przed chwilą. Trzeba porzucić wszelką nadzieję spania wieczorem u siebie, gdyżśmy się raz zdecydowali

Podróż, Przestrzeń

wstąpić w zapowietrzoną jaskinię wiodącą nas do tajemnicy, jak dworzec Saint-Lazare, gdzie miałem wsiąść na pociąg do Balbec, a którego wielka, oszklona hala rozciągała nad rozprutym miastem niebo surowe i brzemienne spiętrzonymi groźbami dramatu, podobne do niektórych nieb o nowoczesności niemal paryskiej, Mantegny lub Veronese — niebo, pod którym mógł się spełnić jedynie jakiś akt straszliwy i uroczysty, jak odjazd koleją żelazną albo Wzniesienie Krzyża.

Jak długo zadowalałem się oglądaniem ze swego łóżka w Paryżu perskiego kościoła w Balbec pośród smugi burz, ciało moje nie zakładało żadnego sprzeciwu wobec tej podróży. Protesty zaczęły się dopiero wówczas, kiedy ciało zrozumiało, że ma w tym brać udział i że w dniu przyjazdu zaprowadzą mnie do „mojego” pokoju, który jemu, memu ciału, będzie obcy. Bunt jego był tym głębszy, ile że w samą wilię wyjazdu dowiedziałem się, że matka nie będzie nam towarzyszyła, bo ojciec, zatrzymany w ministerstwie do chwili, gdy miał jechać do Hiszpanii z panem de Norpois, wołał wynająć domek w okolicach Paryża. Zresztą kontemplacja Balbec nie wydała mi się mniej upragniona przez to, że trzeba ją było kupować ceną cierpienia; przeciwnie, cierpienie to zdawało mi się gwarantować rzeczywistość spodziewanych wrażeń, niedających się zastąpić żadnym widowiskiem ofiarowanym mi jako rzekomy ekwiwalent, żadną „panoramą”, którą poszedłszy oglądać, mógłbym wrócić wieczorem spać w swoim łóżku. Nie pierwszy to raz uczulem, że zdolność kochania i zdolność odczuwania przyjemności rzadko schodzą się w jednej i tej samej osobie. Sądziłem, że pragnę Balbec równie gorąco jak doktor, który mnie leczył i który rzekł, dziwiąc się w dzień wyjazdu mojej nieszczęśliwej minie: „Ręczę panu, że gdybym mógł się tylko wyrwać na tydzień, aby odetchnąć morskim powietrzem, nie dałbym się prosić. Będzie pan miał wyścigi, regaty, same rozkosze”. Ale ja już poznałem, i to nawet o wiele przed ujrzeniem Bermi, że czymkolwiek byłaby rzecz, jaką bym kochał, będzie ona zawsze jedynie kresem bolesnego pościgu, w którym trzeba mi będzie przede wszystkim poświęcić swoją przyjemność temu najwyższemu dobru, zamiast jej w nim szukać.

Babka pojmowała oczywiście nasz wyjazd w sposób nieco specjalny. Wciąż tak samo jak niegdyś, pragnąc dać podarkom, jakie otrzymywałem, cechę artyzmu, chciała mi ofiarować bodaj w części starą „odbitkę” tej podróży; tak abyśmy ją odbyli na wpół koleją, na wpół końmi, odtwarzając szlak podróży pani de Sévigné z Paryża ku „l’Orient” przez Chaulnes i przez „Pont-Audemer”. Ale musiała się wyrzec tego projektu wskutek zakazu ojca, który wiedział — kiedy babka organizuje jakąś podróż tak, aby z niej wycisnąć możliwie pełną korzyść intelektualną — ile można się spodziewać chybionych pociągów, zagubionych bagażów, chorób gardła i kar za naruszenie przepisów. Babka cieszyła się bodaj na myśl, że nigdy, wybierając się na plażę, nie będziemy narażeni na uprzykrzone i niewczesne zjawienie się tego, co jej ukochana Sévigné nazywała „szelmą kareta”: nie będziemy nikogo znali w Balbec, bo Legrandin nie ofiarował nam się z listem polecającym do siostry. (Abstynencję tę inaczej oceniły moje ciotki, Celina i Wiktoria. Znając od dziecka tę, którą dotąd, dla zaznaczenia dawnej zażyłości, nazywały Renią de Cambremer, i posiadając jeszcze od niej owe podarki, przechowywane w pokoju i w konwersacji, ale niemające już żadnego związku z obecną rzeczywistością, sądziły, iż pomszczą nasz afront, nie wymawiając już nigdy u starej pani Legrandin imienia jej córki. I skoro się znalazły za drzwiami, winszowały sobie wzajem aluzjami w tym rodzaju: „Nie pisnęłam ani słówka o tej osobie, co wiesz”, „Sądzę że mnie zrozumiano”).

Zatem mieliśmy jechać po prostu z Paryża owym pociągiem *pierwsza dwadzieścia dwie*. Zbyt długo lubiłem szukać tego pociągu w rozkładzie jazdy, gdzie mi za każdym razem dawał wzruszenie, prawie błogosławione złudzenie wyjazdu, abym sobie mógł nie wyobrażać, że go znam. Ponieważ określenie w naszej wyobraźni rysów jakiegoś szczęścia raczej zależy od tożsamości pragnień, jakie w nas ono budzi, niż od ścisłości wiedzy naszej o nim, sądziłem, że znam to szczęście we wszystkich jego szczegółach; nie wątpiłem, że doznam w wagonie specjalnej przyjemności, kiedy dzień zacznie się mieć ku schyłkowi; że będę oglądał taki a taki efekt zbliżając się do pewnej stacji; tak iż ten pociąg, budzący wciąż we mnie obrazy tych samych miast, spowijanych w światło owych popołudniowych godzin, zdawał mi się odmienny od wszystkich innych pociągów; i w końcu — jak często robimy z istotą, której nigdyśmy nie widzieli, ale o której przyjaźni lubimy roić — dałem swoistą i niezmienną fizjognomię temu jasnowłosemu podróżnemu-artystycie,

który by mnie zabrał po drodze i z którym pożegnałbym się u stóp katedry Saint-Lô, zanim by się oddalił w stronę zachodu.

Ponieważ babka nie mogła się zdecydować na to, aby jechać „tak sobie, po prostu” do Balbec, miała się zatrzymać dobę u jakiejś przyjaciółki. Ja miałem wyjechać stamtąd tego samego wieczoru, aby nie robić kłopotu, a także aby ujrzeć nazajutrz w ciągu dnia kościół w Balbec. Kościół — jak się dowiedzieliśmy — był dosyć daleko od plaży, tak że nie mógłbym się tam wybrać w początkach kuracji. I może było mi lżej z uczuciem, iż wspinały przedmiot mojej podróży mieści się przed ową okrutną pierwszą nocą, gdy miałem wstąpić w nowe mieszkanie i zgodzić się w nim żyć. Ale trzeba było najpierw opuścić dawne; matka urządziła się tak, aby się zainstalować tego samego dnia w Saint-Cloud, gdzie wydała (lub udała, że to uczyniła) wszystkie dyspozycje, aby tam pospieszyć wprost po odwiezieniu nas na dworzec, nie wstępując do domu. Bała się, abym nie zechciał z nią wrócić, zamiast jechać do Balbec. A nawet, pod pozorem że ma dużo do roboty na nowym mieszkaniu i że ma mało czasu (a w istocie, aby mi oszczędzić okrucieństwa pożegnań), postanowiła nie doczekać z nami odejścia pociągu, momentu gdy rozłąka, przesłonią wprzód krzątaniem i nieobowiązującymi jeszcze definitywnie przygotowaniami, objawia się nagle, niemożliwa do zniesienia, wówczas gdy jej już niepodobna uniknąć, skupiona całkowicie w olbrzymiej chwili bezsilnej i ostatecznej świadomości.

Pierwszy raz czułem, że możliwe jest, aby matka żyła beze mnie, inaczej niż dla mnie, innym życiem. Miała mieszkać oddzielnie z ojcem, uważając może, że moje słabe zdrowie, moja nerwowość czynią ojcu życie dość uciążliwym i smutnym. Ta rozłąka zasmuciła mnie tym bardziej, bo powiadałem sobie, że jest ona prawdopodobnie dla matki kresem kolejnych zawodów, jakie jej sprawiłem; zawodów, które przede mną tała, a po których zrozumiała trudność wspólnych wakacji. Może była to dla niej i pierwsza próba egzystencji, z jaką zaczynała się godzić na przyszłość, w miarę jak lata będą płynęły dla ojca i dla niej, egzystencji, w której będę ją widywał mniej, kiedy — czego nie dopuszczałem nawet w koszmarach snu — byłaby już dla mnie trochę obcą panią, która wraca sama do domu, gdzie mnie nie będzie, pytając odźwiernego, czy nie ma ode mnie listu.

Zaledwie zdołałem odpowiedzieć coś bagażowemu biorącemu mój kuferek. Chcąc mnie pocieszyć, matka próbowała sposobów, które się jej zdawały najskuteczniejsze. Uważała za bezcelowe udawać, że nie widzi mojej zgryzoty, żartowała z niej łagodnie:

— No i co, co by powiedział kościół w Balbec, gdyby wiedział, że z taką nieszczęśliwą miną gotujemy się go obejrzeć? Czy to jest ten olśniony podróżny, o którym mówi Ruskin? Zresztą dowiem się, czyś się znalazł na wysokości zadania, nawet z daleka będę jeszcze ze swoim kociakiem. Dostaniesz jutro list od swojej mamusi.

— Moje dziecko — rzekła babka — widzę cię jak panią de Sévigné, z oczami wlepionymi w mapę i nieopuszczającą nas ani na chwilę.

Potem mama starała się mnie rozerwać, pytała, co zamówię na obiad, podziwiła Franciszkę, komplementowała ją za kapelusz i płaszcz, których nie poznawała, mimo że niegdyś budziły jej zgrozę, kiedy je widziała jeszcze nowe na ciotce; kapelusz z ogromnym, sterczącym ptakiem, płaszcz oszepony straszliwym deseniem i dżetami. Ale ponieważ płaszcz był zniszczony, Franciszka dała go przenicować i wydobyła na wierzch drugą stronę, gładką i w miłym tonie. Co się tyczy ptaka, od dawna już połamany, poszedł na śmietnik. I tak samo, jak czasem wzrusza nas spotkanie subtelności, na które siłą się najświadomszy artyści, w ludowej piosence, na fasadzie jakiegoś chłopskiego domu, gdzie kwitnie nad wrotami biała lub żółta róża właśnie w miejscu, gdzie było trzeba — tak samo Franciszka z naiwnym i niezawodnym smakiem umocowała na swoim kapeluszu, który się zrobił śliczny, aksamitną wstążkę i węzeł, zdolne zachwycić nas na jakim portrecie Chardina lub Whistlera.

Skromność i uczciwość, dające często coś szlachetnego twarzy naszej starej służącej, udzieliły się strojowi, który — jako osoba dyskretna bez uniżoności, umiejąca zachować właściwe miejsce — przywdziała na tę podróż, aby być dla nas godną towarzyszką, nie robiąc wrażenia, że chce zwrócić na siebie uwagę. Tak iż — aby sięgnąć w dawniejsze czasy — w wiśniowym, ale spłowiałym suknie swego płaszcza oraz w miękkim włosie futrzanego kołnierza, Franciszka przywodziła na myśl jakiś portret Anny Bretońskiej, malowany w modlitewniku przez starego mistrza, gdzie poczucie harmonii rozlane jest

we wszystkich partiach tak równo, że bogata i niemodna oryginalność stroju wyraża tę samą nabożną powagę, co oczy, wargi i ręce.

Nie można by mówić o myśli w związku z Franciszką. Nie wiedziała ona nic, w tym ogólnym sensie, w jakim „nie wiedzieć nic” równa się nie rozumieć nic, poza rzadkimi prawdami, które serce zdolne jest ogarnąć wprost. Olbrzymi świat idei nie istniał dla niej. Ale wobec jasności jej spojrzenia, wobec delikatnych linii tego nosa, tych warg, wobec wszystkich tych oznak nieobecnych u tyłu osób kulturalnych, u których wyrażałyby najwyższą dystynkcję, szlachetną bezinteresowność wybranej duszy, człowiek czuł się zmieszany, jak wobec inteligentnego i dobrego spojrzenia psa, któremu, jak wiadomo, obce są wszystkie pojęcia ludzkie. I nasuwało się pytanie, czy między tymi naszymi skromnymi braćmi, wieśniakami, nie ma istot wyższych niejako pośród świata ubogich duchem lub raczej istot, które, skazane przez niesprawiedliwy los na życie między ubogimi duchem, pozbawione światła, a mimo to naturalniej, istotniej spokrewnione z wybranymi naturami niż bywają przeważnie ludzie wykształceni, są niby rozsypani, zablakani, pozbawieni rozumu członkowie świętej rodziny, niby nie wyrosli z dzieciństwa krewni najwyższych inteligencji; istoty, którym — jak o tym świadczy niepodobny do utajenia, mimo iż nieskupiony na żadnym przedmiocie blask ich oczu — do posiadania talentu brakło tylko wiedzy.

Matka, widząc, że z trudem wstrzymuję łzy, mówiła:

— Regulus miał zwyczaj w doniosłych okolicznościach... I to jest bardzo nieładnie wobec twojej mamy. Zacytujmy, jak babcia, panią de Sévigné: „Będę się musiała zdobyć na całą siłę, której tobie brak”.

I przypominając sobie, że przywiązanie do drugiej osoby odwraca nas od samolubnych boleści, starała się zrobić mi przyjemność, powiadając, iż przypuszcza, że jej wyprawa do Saint-Cloud wypadnie dobrze, że jest zadowolona z wehikułu, który zatrzymała, że woźnica jest grzeczny, a powóz wygodny. Sililem się uśmiechnąć na te szczegóły i skłaniałem głowę z wyrazem zgody i zadowolenia. Ale pomagały mi one tylko wyobrazić sobie naczynniej odjazd mamy i ze ściśniętym sercem patrzyłem na nią, tak jakby już była daleko ode mnie, w tym okrągłym, słomkowym kapeluszu sprawionym na wieś, w lekkiej sukni, którą włożyła na drogę z powodu upału, co ją czyniło jakby inną, należącą już do willi *Montretout*, gdzie jej nie zobaczę.

Aby uniknąć w podróży ataków duszności, lekarz poradził mi napić się w chwili wyjazdu sporo piwa lub koniaku, aby osiągnąć stan — jak to nazywał „euforii”, gdy system nerwowy chwilowo staje się mniej pobudliwy. Nie byłem jeszcze pewien, czy to zrobić, ale chciałem bodaj, aby babka uznała, że w razie gdybym się zdecydował, miałbym za sobą prawo i rozsądek. Toteż mówiłem o tym tak, jak gdybym się wahał jedynie co do wyboru miejsca, gdzie się napiję czegoś, w bufecie czy w wagonie restauracyjnym. Ale pod wpływem wyrazu nagany, jaki przybrała twarz babki, niechcącej nawet przyjąć tej myśli do wiadomości, zdecydowany nagle pójść się napić — która to decyzja stawała się konieczna, aby dowieść mojej wolności, skoro ustna jej zapowiedź nie mogła przejść bez protestu — wykrzyknąłem:

— Jak to, ty wiesz, jaki jestem chory, wiesz, co mi powiedział lekarz, i to jest rada, jaką mi dajesz!

Kiedy się zwierzył babce ze swojej niedyspozycji, odpowiedziała z miną tak zmartwioną, taką dobrą: „Ależ tak, idź prędko napić się piwa lub koniaku, jeżeli to ci ma coś pomóc”, że rzuciłem się na nią, okrywając ją pocałunkami. A jeżeli mimo to poszedłem do baru i wypilem o wiele za dużo, to dlatego, iż czułem, że bez tego grozi mi atak zbyt gwałtowny i że to by zmartwiło babcię jeszcze bardziej. Kiedy na pierwszej stacji wróciłem do wagonu, oznajmiłem jej, jak jestem szczęśliwy, że jadę do Balbec; że czuję, iż wszystko ułoży się dobrze, w gruncie przyzwyczaję się szybko żyć bez mamy, pociąg jest przyjemny, garson w barze i konduktowy tak mili, iż chciałbym często odbywać tę drogę, aby mieć sposobność widywania ich. Ale babka nie wydawała się równie szczęśliwa ze wszystkich tych dobrych nowin. Odpowiedziała, starając się nie patrzeć na mnie:

— Może byś próbował przespać się trochę.

Po czym obróciła twarz do okna, przy którym spuściliśmy firankę niezasłaniającą go całkiem, tak iż słońce mogło rzucać na politurowaną dębową ramę oraz na obitą sukmem ławkę tę samą ciepłą i senną jasność, jaka odbywała się na polankach, będąc niby rekla-

mą życia na łonie natury, o wiele bardziej przekonywującą niż owe reklamy umieszczone zbyt wysoko w wagonach staraniem dyrekcji kolei i przedstawiające krajobrazy, których nazw nie mogłem odczytać.

Ale kiedy babka myślała, że ja mam oczy zamknięte, widziałem chwilami, jak spod woalki w duże grochy rzuca na mnie spojrzenie, potem je cofa, potem znów patrzy, niby ktoś, kto — chcąc się przyzwyczaić — podejmuje uciążliwe ćwiczenie.

Wówczas zacząłem mówić do niej, ale nie zdawało mi się, aby jej to było przyjemne. A przecież mnie własny mój głos sprawiał przyjemność; toż samo najłżejsze, najwewnętrzniejsze drgnienia mojego ciała. Toteż starałem się, aby trwały, pozwalałem każdej intonacji czepiać się długo słów, czułem, że każdemu z moich spojrzeń dobrze jest tam, gdzie spoczęło i że tam trwa ponad zwyczajny czas. „No, odpocznij — rzekła babka. — Jeżeli nie możesz spać, czytaj coś”. I podała mi tom pani de Sévigné, który otwarłem, gdy ona pograżyła się w *Pamiętnikach pani de Beausergent*. Nigdy nie ruszała się bez jakiegoś tomu jednej i drugiej. Byli to jej dwaj ulubieni autorzy.

Nie próbując poruszyć głową w tej chwili i znajdując wielką przyjemność w zachowaniu raz zajętej pozycji, trzymałem tom pani de Sévigné, nie otwierając go, i nie spuściłem na niego oczu, które miały przed sobą jedynie niebieską storę. Ale patrzeć na tę storę wydawało mi się czymś cudownym i nie byłbym sobie zadał trudu odpowiadania komuś, kto by mnie chciał wyrwać z kontemplacji. Niebieski kolor story, może nie przez swą piękność, ale przez żywość i nasilenie, tak dalece zaćmiewał wszystkie kolory, jakiem oglądał od urodzenia aż do chwili, kiedy się teraz napiłem i kiedy napój zaczął działać, że wobec tego błękitu, kolory owe były dla mnie równie szare, równie żadne, jak dla ślepych od urodzenia, późno operowanych, może być retrospektywnie — po ujrzaniu barw — ciemność, w jakiej żyli.

Stary konduktor przyszedł sprawdzić bilety. Srebrne połyski jego metalowych guzików znów mnie oczarowały. Bylbym go chciał prosić, aby usiadł obok nas. Ale on przeszedł do następnego wagonu, a ja myślałem z tęsknotą o życiu włóczęgów, którzy, spędzając całe życie w wagonie, co dzień oglądają starego konduktora. Przyjemność, jaką czerpałem z widoku niebieskiej story i z faktu, że usta miałem na wpół otwarte, zaczęła w końcu opadać. Stałem się ruchomszy, poruszyłem się trochę, otwarłem tom, który mi babka dała i zdołałem skupić uwagę na przerzucanych stronicach. I czytając, czułem rosnący podziw dla pani de Sévigné.

Nie trzeba się dać oszukać czysto formalnym cechom, wiążącym się z epoką, z życiem salonu i sprawiającym, iż wiele osób myśli, że rozgryzły panią de Sévigné, kiedy powiedzą: „Donieś mi, moja dobra”, albo „ten hrabia wydał mi się do rzeczy”, albo „Przewracać siano, to rzecz najładniejsza w świecie”. Już pani de Simone wyobraża sobie, że się upodoba do swojej babki, gdy pisze: „Pan de la Boulie ma się doskonale, wybornie może znieść nowiny o swojej śmierci” albo „Och, drogi margrabio, jakże mi się twój list podoba! Jakże tu nie odpowiedzieć”, lub wreszcie „Zdaje mi się, drogi panie, że pan mi jest winien odpowiedź, a ja panu tabakierki z bergamoty. Wywiążę się z tego w liczbie ośmiu, przyjdą potem dalsze... nigdy ziemia tyłu ich nie wydała. To zapewne dlatego, aby się panu spodobać”. I w tym stylu pisze o puszczaniu krwi, o cytrynach, wyobrażając sobie, że to jest styl pani de Sévigné. Ale babka, która poznała ją od wewnątrz, od strony miłości do jej bliskich i do natury, nauczyła mnie kochać prawdziwe piękności pani de Sévigné, które są całkiem inne. Miały mnie niebawem uderzyć tym więcej, ile że pani de Sévigné jest wielką artystką — z tej samej rasy co pewien malarz, którego miałem spotkać w Balbec i który miał tak głęboki wpływ na moją wizję świata — Elstir. Zrozumiałem w Balbec, że pani de Sévigné pokazuje nam rzeczy tak samo jak on, w kolejności naszych wrażeń, zamiast tłumaczyć na początku ich przyczynę. Ale już tego popołudnia, w tym wagonie, odczytując list, gdzie się zjawia blask księżycy: „Nie mogłam się oprzeć pokusie, kładę wszystkie niepotrzebne czepki i czapki, idę na tę promenadę, gdzie powietrze jest łagodne jak w moim pokoju; zastają tam tysiąc dziwadeł, *białych i czarnych mnichów, szarych i białych zakonnic, bieliznę porzuconą tu i ówdzie, ludzi pochowanych stojąco, opartych o drzewa itd.*”, byłem oczarowany tym, co nazwałbym nieco później (czyż ona nie maluje pejzażów w ten sam sposób co on charakterystycznie?) akcentem Dostojewskiego w *Listach pani de Sévigné*.

Kiedy wieczorem, odprowadziwszy babkę i spędziwszy kilka godzin u jej przyjaciółki, wsiałem sam do pociągu, nadchodząca noc nie wydała mi się zbyt przykra; nie miałem spędzić jej jak więzien w pokoju, którego senność przeszkadzałaby mi zasnąć; otaczała mnie kojąca czynność wszystkich tych drgań pociągu, dotrzymujących mi towarzystwa, gotowych rozmawiać ze mną, o ile nie zdołam zasnąć, kołyszących mnie swoimi głosami, które splatałem niby dźwięk dzwonów w Combray wciąż w inny rytm (słyszac, wedle swojej fantazji, najpierw cztery równe szesnastki, potem szesnastkę wściekle zde-rzającą się z ćwiercią); neutralizowały odśrodkową siłę mojej bezsenności, wywierając na nią przeciwne ciśnienie, które mnie utrzymywało w równowadze i do którego moja nie-ruchomość, a niebawem sen garnęły się z tym samym orzeźwiającym wrażeniem, jakie byłby mi dał odpoczynek płynący z czujności potężnych sił w łonie natury i życia, gdybym mógł wcielić się na chwilę w jaką rybę śpiącą w morzu, niesioną w odrętwieniu prądami i falą lub w orla wspartego jedyne na burzy.

Wschody słońca są rekwizytem długich podróży koleją, jak jajka na twardo, ilustrowane dzienniki, talie kart, rzeki, na których łodzie męczą się, nie posuwając się naprzód. W pewnej chwili, kiedym rozbierał myśli, wypełniające mnie przez poprzednie minuty, chcąc sobie zdać sprawę, czym spał czy nie (sama niepewność, nakazująca mi zadać sobie to pytanie, dostarczała mi twierdzącej odpowiedzi), ujrzałem w kwadracie okna, ponad czarnym laskiem, postrzępione chmury. Miękkie ich puch miał kolor zdecydowanie różowy, martwy, niezdolny się odmienić, niby kolor barwiący pióra skrzydeł, które go sobie przyswoiły, lub pastel, na którym go pomieściła fantazja malarza. Lecz czułem, że, wręcz przeciwnie, kolor ten nie jest martwotą ani kaprysem, lecz koniecznością i życiem. Niebawem zgromadziły się za nim zapasy światła. Kolor stał się żywszy, niebo zabarwiło się pasem, który starałem się, przylepiając oczy do szyby, widzieć lepiej, bom czuł, że on jest w związku z głębokim istnieniem natury. Ale szyny zmieniły kierunek, pociąg skręcił, poranną scenę zastąpił w ramie okiennej nocny pejzaż z dachami błękitnymi od blasku księżycy, z sadzawką zanieczyszczoną perłową masą nocy, pod niebem jeszcze usianym wszystkimi gwiazdami; i już rozpaczalem, że stracił swój różowy pas nieba, kiedym go ujrzał na nowo, tym razem czerwony, w przeciwległym oknie, które porzucił przy nowym zagięciu szyn; tak że biegałem wciąż od jednego do drugiego okna, aby zbliżyć, aby posklejać przerywane i sprzeczne fragmenty mego pięknego szkarłatnego i zmiennego poranka, mieć jego całkowity widok i ciągły obraz.

Krajobraz stał się niespokojny, urwisty, pociąg zatrzymał się na stacyjce między dwiema górami. W głębi parowu, nad strumieniem, widać było tylko domek leśniczego, zanurzony w wodzie płynącej na wysokości okien. Jeżeli jakaś istota może być produktem gleby, której swoistego uroku w niej kosztujemy, w takim razie — bardziej jeszcze niż wieśniaczka, której obecności tak pragnąłem, błędząc samotnie po lasach Roussainville w stronie Méséglise — musiała nią być rosla dziewczyna, którą ujrzałem wychodzącą z dzbankiem mleka z tego domu i idącą ku stacji dróżką, oświetloną z ukosa wschodzącym słońcem. W dolinie, gdzie te pagórki zasłaniały resztę świata, jeżeli widywała ludzi, to chyba tylko w tych pociągach, zatrzymujących się przez chwilę. Szła wzdłuż wagonów, częstując kawą z mlekiem paru zbudzonych podróżnych. Zacerwieniona blaskiem poranku, twarz jej była różowsza niż niebo. Uczułem wobec niej ową żądzę życia, jaka odradza się w nas za każdym razem, kiedy na nowo uświadamiamy sobie piękno i szczęście. Zapominamy zawsze, że one są indywidualne, i, podstawiając pod nie w myśli konwencjonalny typ przeciętnej z rozmaitych twarzy, które się nam podobały, z przyjemności któreśmy poznali, osiągamy jedynie abstrakcyjne obrazy, mdłe i nudne, gdyż brak im właśnie owego charakteru rzeczy nowej, różnej od tego, cośmy znali, charakteru właściwego piękności i szczęściu. I wydajemy o życiu sąd pesymistyczny, w naszym przekonaniu trafny, sądząc, żeśmy uwzględnili w nim szczęście i piękno, podczas gdyśmy je opuścili i zastąpili syntezami, gdzie nie było z nich ani atomu. Tak ziewa zawczasu z nudów literat, gdy mu mówić o nowej „pięknej książce”, bo sobie wyobraża rodzaj mieszanki ze wszystkich pięknych książek, jakie czytał; podczas gdy piękna książka jest osobliwa, nieprzewidziana, i nie jest jakąś sumą poprzednich arcydzieł, ale czymś, do czego odkrycia nie wystarcza sobie przyswoić doskonale tę sumę, bo owo coś znajduje się właśnie poza nią. Z chwilą gdy poznał nowe dzieło, literat ów, przed chwilą znudzony, interesuje się światem, jaki ono maluje. Tak samo owa piękna dziewczyna — obca typom piękności,

jakie rysowała moja myśl, gdy byłem sam — obudziła we mnie natychmiast smak pewnego *szczęścia* (jedyna i zawsze osobliwa forma, pod którą możemy poznać smak szczęścia), szczęścia, które by można ziszczyć, żyjąc obok niej.

Ale i tu działała w znacznej mierze chwilowa pauza w Przyzwyczajeniu. Wzbogaciłem ową mleczarkę tym, że wobec niej znajdowała się moja pełna istota, zdolna kosztować żywych radości. Zazwyczaj żyjemy naszą istotą zredukowaną do minimum; większość naszych zdolności drzemie, bo wspierają się na przyzwyczajeniu, które wie, co trzeba robić i nie potrzebuje ich. Ale w tym poranku zdybanym w podróży przerwa w rutynie życia, zmiana miejsca i godziny, uczyniły ich obecność nieodzowną. Moje przyzwyczajenie, domatorskie i nienawykłe do oglądania poranków, nie dopisało, i wszystkie moje władze zbiegły się, aby je zastąpić, rywalizując między sobą w gorliwości — wznosząc się, niby fale, do wspólnego niezwykłego poziomu — wszystkie, od najniższej aż do najszlachetniejszej, od oddechu, apetytu i krążenia krwi, aż do wrażliwości i wyobraźni. Nie wiem, czy każąc mi wierzyć, że ta dziewczyna nie jest podobna do innych kobiet, dzięki urok tych miejsc mnożył jej uroki, ale ona oddawała im to z nawiązką. Życie wydałoby mi się rozkoszne, gdybym je tylko mógł, godzina po godzinie, spędzić z nią, towarzyszyć jej aż do strumienia, aż do krowy, aż do pociągu, być wciąż obok niej, czuć się jej znanym, mieć swoje miejsce w jej myśli. Wtajemniczyłaby mnie w czar wsi i pierwszych godzin dnia. Skinąłem na nią, aby mi podała kawę z mlekiem. Czułem potrzebę zwrócenia jej uwagi na siebie. Nie spostrzegła mnie, zawołałem ją. Przy bujnie rozwiniętym ciele twarz jej była tak złota i różowa, że widziało się ją niby przez oświetlony witraż. Wróciła, nie mogłem oderwać oczu od jej twarzy coraz to szerszej, podobnej słońcu, gdyby je można utrwalić i gdyby się zbliżyło aż do nas, tuż, pozwalając się oglądać z bliska, olśniewając nas złotem i czerwienią. Objęła mnie przenikliwym spojrzeniem, ale już konduktorzy zamknęli drzwiczki, pociąg ruszył, ujrzałem, jak dziewczyna opuszcza dworzec i wraca ścieżką; był już jasny dzień: oddalałem się od jutrzeńki.

Czy moje podniecenie zrodziło się z tej dziewczyny, czy też, przeciwnie, ono głównie stworzyło przyjemność przeżywaną przy niej, w każdym razie było ono tak zespolone z tą przyjemnością, że żądza ujrzenia jej jeszcze była przede wszystkim pragnieniem duchowym. Nie dać temu stanowi podniecenia zginąć całkowicie, nie rozstawać się na zawsze z istotą, która, choćby bez swojej wiedzy, miała w nim udział! Nie tylko dlatego, że ten stan był przyjemny; ale zwłaszcza że (jak większe napięcie struny lub szybsza wibracja nerwu wydaje odmienny dźwięk lub kolor) dawał inną tonację temu, com widział, że mnie wprowadzał jako aktora w nieznany wszechświat, nieskończenie bardziej interesujący. Owa ładna dziewczyna, którą widziałem jeszcze, gdy pociąg przyspieszył biegu, była jak gdyby cząstką innego, nieznanego życia, oddzielonego jakby smugą od zwykłej mojej egzystencji, czerpiącego z przedmiotów inne wrażenia; opuścić teraz to życie znaczyło umrzeć dla samego siebie. Aby zaznać tej słodczy, aby się czuć bodaj uczepionym owego życia, wystarczyłoby mieszkać blisko tej stacyjki, móc co rano zachodzić do tej wieśniaczki na kawę z mlekiem. Ale, ach! miała być zawsze nieobecna w innym życiu, ku któremu jechałem coraz szybciej i z którym godziłem się, jedynie snując plany, aby pewnego dnia wsiąść do tego samego pociągu i zatrzymać się na tym samym dworcu. Projekt ów miał i tę korzyść, że dostarczał pokarmu interesownej, czynnej, praktycznej, machinalnej, leniwej, ośrodkowej dyspozycji, będącej przyrodą naszego ducha, który rad się umyka wysiłkowi potrzebnemu na to, aby w ogólny i bezinteresowny sposób zgłębić w sobie samym doznane przez nas przyjemne wrażenie. Że zaś, z drugiej strony, chcemy dalej myśleć o tym wrażeniu, duch nasz woli je sobie roić w przyszłości, zręcznie przygotowywać okoliczności zdolne je wskrzesić, co nam nie objaśnia w niczym jego istoty, ale oszczędza trudu odtwarzania go w nas samych i pozwala mieć nadzieję doznania go na nowo z zewnątrz.

Niektóre nazwy miast, Vézelay lub Chartres, Bourges lub Beauvais, oznaczają po prostu w skrócie miejscowy kościół. To cząstkowe znaczenie, w jakim bierzemy je tak często, rzeźbi w końcu — o ile chodzi o miejsce jeszcze nam nieznanne — całą nazwę, która z chwilą gdy zapagniemy w nią wprowadzić ideę miasta nigdy niewidzianego, nałoży mu — niby odlew — te same cyzelacje, ten sam styl, uczyni zeń rodzaj wielkiej katedry. Ale nazwę Balbec, nazwę w stylu niemal perskim, wyczytałem na dworcu kolejowym, nad bufetem, białymi literami na niebieskiej tablicy. Przebiegłem szybko dworzec i bulwar

wiodący od dworca; spytałem o wybrzeże, żeby widzieć tylko kościół i morze; nie bardzo rozumiano, o co mi chodzi. Balbec-le-Vieux, Balbec-en-Terre, w którym się znalazłem, nie było ani plażą, ani portem. Niewątpliwie, wedle legendy, w morzu znaleźli rybacy cudownego Chrystusa, które to odkrycie opiewał witraż w kościele będącym o kilka metrów ode mnie; kamień służący do zbudowania nawy i wieży dobyto z raf smaganych falą. Ale to morze, które z tej racji wyobraziłem sobie konającym u stóp witrażu, było przeszło o pięć mil stąd, w Balbec-Plage; owa zaś wieża obok kopuły kościoła, którą — dlatego żem wyczytał, iż ona sama jest stromą normandzką skałą, nad którą zbierają się wichry, gdzie krążą ptaki — zawsze sobie wyobrażałem kąpiącą stopy w pianie wzburzonych fal, wznosiła się na placu, gdzie krzyżowały się dwie linie tramwajowe, na wprost kawiarni, noszącej złotymi literami wypisane słowo „Bilard”; a odcinała się na tle domów, gdzie między dachy nie zamieszał się żaden maszt. I kościół — wnikając w moją uwagę wraz z kawiarnią, z przechodniem, którego musiałem spytać o drogę, z dworcem kolejowym, dokąd miałem wrócić — łączył się z całą resztą, zdawał się przypadkiem, produktem schyłku tego popołudnia, w którym miękka i wzdęta na niebie kopuła była niby owoc o różowej, złocistej i rozplywającej się skórce, nasyconej tym samym światłem, które kąpało kominy domów.

Ale nie chciałem już myśleć o niczym, tylko o wiekuistym sensie rzeźb, kiedym poznał Apostołów, których odlewy widziałem w muzeum Trocadéro i którzy, po dwóch stronach Matki Boskiej, w głębokiej wklęsłości kruchty, czekali na mnie, jak gdyby robiąc mi honory. Z życzliwą i łagodną twarzą, o płaskich nosach, z przygiętym grzbietem, zdawali się zbliżać powitalnie, śpiewając *Alleluja* pogodnego dnia. Ale widać było, że ich wyraz jest niezmienny jak wyraz umarłego i że się zmienia tylko wtedy, kiedy patrzący krąży dokoła nich. Powiadałem sobie: to tutaj, to jest kościół w Balbec. Ten plac, robiący wrażenie, jakby znał swoją chwałę, to jest jedyne w świecie miejsce, które posiada kościół z Balbec. Dotąd widziałem tylko fotografie tego kościoła, tylko odlewy tych sławnych apostołów, tej Matki Boskiej z kruchty. Teraz to jest sam kościół, to sam posąg, to są one; one, jedyne: to coś o wiele więcej.

To było zarazem może mniej. Jak młody członek w dniu egzaminu lub pojedynku uważa pytanie profesora, wystrzeloną kulę za drobiazg w porównaniu z zasobami wiedzy i odwagi, które posiada i których byłby chciał złożyć dowód, tak samo mój umysł, który wznosił Matkę Boską z kruchty poza widzianymi odlewami, niedostępną skazom, jakim mogły ulec tamte, nietkniętą, gdyby tamte ktoś zniszczył, idealną, mającą wartość uniwersalną, dziwił się, widząc posąg, który rzeźbił tysiąc razy, sprowadzony teraz do jego własnej kamiennej postaci, zajmujący w stosunku do zasięgu mego ramienia miejsce, gdzie miał za rywalów afisz wyborczy i koniec mojej laski; przykuty do rynku, nieodłączny od wylotu ulicy, niezdolny uciec przed spojrzzeniami kawiarni i biura omnibusów, biorący na twarz połowę blasku zachodzącego słońca — a niebawem, za kilka godzin, połowę światła latarni, gdy biuro Kasy Pożyczkowej otrzymywało drugą jego połowę; nawiedzony równocześnie z tą filią zakładu kredytowego odorami kuchni cukiernika, podległy tyranii Poszczególności do tego stopnia, że gdybym chciał wyryc na tym kamieniu swój podpis, to ona, dostojna Dziewica, którą do tej pory obdarzałem ogólnym istnieniem i nieetykalną pięknnością, Matka Boska z Balbec, ona jedyna (co, niestety, znaczyło sama jedna) na swoim cieple, zbrukanym tą samą sadzą co sąsiednie domy, ukazałaby, nie mogąc się go pozbyć, wszystkim swoim wielbicielom przybyłym tam, aby ją podziwiać, ślad mego kawałka kredy i litery mego nazwiska. Ona wreszcie była owym nieśmiertelnym i tak długo upragnionym dziełem sztuki, które odnajdowałem przeobrażone, jak i sam kościół, w małą kamienną staruszkę, i mogłem zmierzyć jej wysokość i policzyć zmarszczki.

Czas mijał, trzeba było wrócić na dworzec, gdzie miałem oczekiwać babki i Franciszki, aby się razem z nimi udać do Balbec-Plage. Przypominałem sobie, com czytał o Balbec, i słowa Swanna: „To urocze, to równie piękne jak Siena”. I obwiniając o mój zawód jedynie przypadek, nastrój, zmęczenie, nieumiejętność patrzenia, próbowałem się pocieszyć myślą, że zostały inne miasta jeszcze dla mnie nietknięte, że mógłbym niedługo może wniknąć — niby w deszcz perłę — w chłodny szmer wód Quimperlé, przebyć zielonkawy i różowy blask, w jakim kąpie się Pont-Aven; ale co się tyczy Balbec, z chwilą gdym się tam znalazł, to było tak, jak gdybym był otworzył imię, które trzeba było trzymać hermetycznie zamknięte, i gdzie — korzystając z dostępu, jaki im niebacznie stworzyłem,

wypędzając wszystkie obrazy żyjące tam dotąd — tramwaj, kawiarnia, ciżba chodząca po rynku, filie kasy pożyczkowej, nieodparcie popychane zewnętrznym parciem i pneumatyczną siłą, stłoczyły się wewnątrz sylab, które, zamknąwszy się nad nimi, pozwalały im teraz obramiać kruchę perskiego kościoła i zostać tam już na zawsze.

W kolejce lokalnej, która miała nas zawieźć do Balbec-Plage, znalazłem babkę, ale samą. Wpadła na pomysł wysłania przed sobą Franciszki, tak aby wszystko było przygotowane z góry; ale dawszy jej fałszywą informację, wyekspediowała ją w złym kierunku. W tej chwili, nie domyślając się niczego, Franciszka pomykała z całą chyżością w stronę Nantes, aby się obudzić może w Bordeaux. Ledwie usiadł w wagonie wypełnionym ulotnym światłem zachodu i wytrzymałem popołudniowym gorącem (przy czym światło, niestety, pozwalało mi na twarzy babki sprawdzić, jak bardzo gorąco ją zmęczyło), spytała: „No co, Balbec?”, z uśmiechem tak żarliwie rozświeconym nadzieją wielkiej przyjemności, której, jak przypuszczała, doznałem, że nie śmiała wyznać jej tak od razu swojego zawodu. Zresztą wrażenie, jakiego szukał mój duch, mniej mnie zajmowało, w miarę jak się zbliżało miejsce, do którego ciało moje miało się przyzwyczajać. U kresu drogi, jeszcze oddalony przeszło o godzinę, starałem się sobie wyobrazić dyrektora hotelu w Balbec, dla którego byłem w tej chwili czymś nieistniejącym; byłbym pragnął przedstawić mu się w towarzystwie bardziej imponującym niż babka, która z pewnością zażąda rabatu. Jawił mi się nieuchronnie sztywny, ale bardzo mglisty w konturach.

Co chwilę kolejka zatrzymywała się na jednej ze stacji poprzedzających Balbec-Plage. Same ich nazwy (Incarville, Marcouville, Denville, Pont-à-Coulevre, Arambouville, Saint-Mars-le-Vieux, Hermonville, Maineville) zdawały mi się dziwaczne; choć gdybym je spotkał w książce, odczułbym ich powinowactwo z nazwami pewnych miejscowości w pobliżu Combray. Ale dla ucha muzyka, dwa motywy, materialnie zawierające wiele tych samych nut, mogą nie mieć żadnego podobieństwa, jeśli się różnią barwą harmonii i orkiestracji. Tak samo te smutne nazwy, utworzone z piasku, z nazbyt wietrznej i pustej przestrzeni i z soli, nazwy, nad które słowo *ville* wlatywało tak jak *vole* w *pigeon-vole*, nie przywoływały mi na myśl owych innych, jak Roussainville albo Martinville, które przez to, że je tak często wymawiała ciotka w „sali”, nabyły jakiegoś mrocznego czaru, gdzie zmieszały się może ekstrakty smaku konfitur, zapachu płonących drewn, papieru książki Bergotte’a i koloru domu naprzeciwko. I jeszcze dziś, kiedy się wznoszą jak bańka gazu z głębin mojej pamięci, zachowują swój odrębny smak poprzez spiętrzone warstwy różnych środowisk, jakie im trzeba przebyć, zanim osiągną powierzchnię.

Były to małe stacyjki, górujące nad odległym morzem z wysokości wydmy, gdzie układały się już na noc u stóp jaskrawo zielonych pagórków o kształcie niemiłym ni-by kanapa w obcym hotelu. Złożone z paru willi, uświetnionych kortem tenisowym, a niekiedy kasynem, którego chorągiew trzepotała się na chłodnym wietrze, zębata i płochliwa, stacyjki te ukazywały mi pierwszy raz swoich zwyczajnych gości, ale pokazywały mi niejako ich zewnętrzną powierzchnię — tenisiści w białych czapczkach, naczelnik stacji mieszkający przy swoich tamaryszkach i różach, dama w „*canotier*”, która kreśląc codzienną linię swojego na zawsze nieznanego mi życia, wołała ociągającego się charta i wchodziła do willi, gdzie lampa była już zapalona — a obrazy te, dziwnie zwyczajne, obrażająco pospolite, raniły okrutnie moje obce spojrzenia i moje wykołejone serce. Ale o ileż zwiększyła się męka, kiedyśmy wylądowali w hallu Grand Hotelu w Balbec, na wprost monumentalnych schodów imitujących marmur, podczas gdy babka, nie dbając, iż zwiększa wrogość i pogardę obcych, wśród których mieliśmy żyć, omawiała „warunki” z dyrektorem, podobnym do tłustego chińczyka, o twarzy i głosie w bliznach (na twarzy zostawiło je wycięcie licznych brodawek, na głosie różne akcenty, wynikłe z jego odległego pochodzenia i z kosmopolitycznego dzieciństwa) w smokingu światowca, z okiem psychologa biorącego zazwyczaj, za przybyciem „omnibusu”, wielkich panów za hołotę, a szczerów hotelowych za wielkich panów. Zapominając z pewnością, że on sam nie pobiera ani pięciuset franków miesięcznie, gardził głęboko osobami, dla których pięćset franków lub raczej (jak on mówił) „dwadzieścia pięć ludwików” jest „sumą” i uważał ich za pariasów, niebędących w Grand Hotelu na swoim miejscu.

Prawda, że w tym samym „Palace” byli ludzie, którzy płacili niezbyt drogo, zachowując mimo to pełny szacunek dyrektora, o ile był przeświadczony, że owe osoby liczą się z groszem nie przez ubóstwo, lecz przez skąpstwo. Skąpstwo nie mogłoby im w istocie

ująć nic z uroku, ile że jest przywarą i może tym samym zdarzyć się w każdej sferze. „Sfera” to była jedyna rzecz, na którą dyrektor zwracał uwagę, sfera lub raczej oznaki zdające się wskazywać, że ta sfera jest wysoka, jak na przykład to, aby nie zdejmować kapelusza w hallu, nosić knickerbockery²³, paltot do figury i wyjmować z wytłaczanego, safianowego etui cygaro przepasane purpurą i złotem (wszystko przewagi, których mnie, niestety, brakowało). Dyrektor okraszał swoje handlowe dysertacje zwrotami wyszukаныmi, ale użytymi opacznie.

Podczas gdy słyszał, jak babka, niezrażona tym, że dyrektor rozmawia z nią pogwizdując i w kapeluszu na głowie, pyta go sztucznym tonem: „Jakież są pańskie ceny?... Och! o wiele za wysokie jak na mój skromny budżet”, ja, czekając na ławeczce, chroniłem się w najdalszą głąb samego siebie, siliłem się wyemigrować w myśli wieczne, nie zostawić nic z siebie, nic żyjącego, na powierzchni mego ciała — znieczulonego jak ciało zwierząt, które przez zawieszenie życia udają martwe, kiedy je zranić. Siliłem się nie nazbyt cierpieć w tym miejscu, gdzie mój absolutny brak przyzwyczajenia stał mi się tym dotkliwszy przez równoczesny widok swobody eleganckiej damy, której dyrektor okazywał szacunek, pieszcząc się z jej pieskiem, lub młodego fircyka, który, z piórkiem u kapelusza, wchodził, pytając „czy są jakie listy” — wszystko ludzie, dla których przebywać stopnie imitujące marmur znaczyło wracać do domu — gdy równocześnie panowie, którzy, niezbyt może biegli w sztuce przyjmowania, nosili tytuł „szefów biura przyjęć”, obrzucali mnie surowym spojrzeniem Minosa, Eaka i Radamanta, spojrzeniem, w którym zanurzałem swoją obnażoną duszę jak w nieznanym żywiole, gdzie nic już nie miało jej chronić. Dalej, za szklaną ścianą, goście siedzieli w czytelni, dla której opisu trzeba by mi kolejno wybierać u Dantego barwy, jakich poeta użycza Niebu i Piekłu — wedle tego, czym myślał o szczęściu wybranych, mających prawo czytać tam z całym spokojem, czy o grozie, w jaką by mnie wtrąciła babka, gdyby, w swojej obojętności na tego rodzaju wzruszenia, kazała mi tam wejść.

Wrażenie samotności wzmożło się we mnie jeszcze w chwilę później. Ponieważ znałem babkę, że się nie czuję dobrze i sądzę, iż będzie nam trzeba wracać do Paryża, bez protestu oznajmiła, że wychodzi po parę sprawunków, pożytecznych zarówno w razie powrotu, co w razie pozostania. (Dowiedziałem się potem, że wszystkie były dla mnie, gdyż Franciszka miała z sobą rzeczy, których bym mógł potrzebować). Czekając na babkę, poszedłem przejść się trochę po ulicach zapchanych tłumem, od którego było gorąco jak w mieszkaniu. Był jeszcze otwarty zakład fryzjerski oraz cukiernia, gdzie bywalcy jedli lody pod statua pana Duguay-Trouin. Statua ta sprawiła mi mniej więcej tyleż przyjemności, ile jej reprodukcja w jakiejś „ilustracji” może sprawić radości choremu przeglądającemu pisma w poczekalni chirurga. Dziwiłem się, że istnieją ludzie na tyle ode mnie różni, aby dyrektor mógł im poradzić tę przechadzkę po mieście jako rozrywkę, a także aby miejsce kaźni, jaką jest nowe mieszkanie, mogło się komuś wydawać „miejszem rozkoszy”, jak powiadał prospekt hotelu, który mógł przesadzać, ale który przecie zwracał się do całej klienteli, schlebiając jej gustom. Prawda, iż aby ściągnąć tę klientelę do Grand Hotelu w Balbec, powoływał się nie tylko na „znakomitą kuchnię” i na „feeryczny widok na ogrody kasyna”, ale także na „wyroki Jej Królewskiej Mości Mody, których nie można gwałcić bezkarnie, nie uchodząc za abderytę, na co żaden dobrze wychowany człowiek nie chciałby się narazić”.

Potrzeba ujrzenia babki rosła wraz z obawą, że jej sprawił zawód. Musiała odczuwać smutek, widząc, iż skoro ja nie znoszę zmęczenia, w takim razie należy zwątpić o tym, aby jaka podróż wyszła mi kiedy na dobre. Zdecydowałem się wrócić i czekać na babkę; otworzył mi sam dyrektor, a nieznanymi mi jeszcze osobnikami, którego zwano „lift” (a który, na owym najwyższym punkcie hotelu, gdzie znajdowałyby się latarka normandzkiego kościoła, siedział zainstalowany niby fotograf za swoim oszkleniem lub organista w swojej izdebce), jął zstępować ku mnie ze zwinnością oswojonej, przemyślnej i uwięzionej wieiórki. Następnie, ślizgając się ponownie wzdłuż filara, porwał mnie z sobą ku sklepieniu hotelowej nawy. Za każdym piętrem, po obu stronach służbowych schodów, rozwijały się wachlarze mrocznych korytarzy, przez które, niosąc pościel, przechodziła pokojowa.

²³knickerbockery — bufiaste, półdługie spodnie z zapinanymi mankietami pod kolanem; element mody męskiej (jako część stroju sportowego a. podróznego) od poł. XIX w. [przypis edytorski]

Nakładałem na jej niezdecydowaną w mroku twarz maskę swoich najnamiętniejszych marzeń, ale w zwróconym ku mnie jej spojrzeniu czytałem wstręt do mojej nicości. Jednakże, aby rozprószyć w trakcie nieskończonej jazdy śmiertelny lęk, jakiegom doznawał, przebywając tak w milczeniu tajemnicę tego półmroku wyzutego z poezji, oświetlonego prostopadłym rzędem szyb, jakimi świecił na każdym piętrze jedyny waterklozet, odezwałem się do młodego organisty, twórcy mojej podróży i towarzysza mojej niewoli, który wciąż wyciągał rejestry i naciskał klawisze swego instrumentu. Przeprosiłem go, że zajmuję tyle miejsca, że mu sprawiam tyle kłopotu, i spytałem, czy go nie krępuję w wykonywaniu sztuki, wobec której — aby pochlebić wirtuozowi — objawiłem więcej niż ciekawość, wyznałem swój kult. Ale nie odpowiedział nic i nie dowiedziałem się, czy przyczyną tego było zdziwienie moimi słowami, pochłonięcie pracą, tyrania etykiety, tępy słuch, szacunek dla miejsca, obawa niebezpieczeństwa, gnuśność inteligencji lub zakaz dyrektora.

Nic może bardziej nie stwarza wrażenia rzeczywistości świata zewnętrznego niż zmiana stosunku do nas osoby nawet mało znaczącej, zanim ją poznaliśmy, a potem. Byłem ten sam, który wsiadł pod wieczór tego dnia w kolejkę do Balbec, nosiłem w sobie tę samą duszę. Ale w tej duszy, w strefie, gdzie o szóstej, wraz z niemożliwością wyobrażenia sobie dyrektora, hotelu, personelu, mieściło się mętne i trwożliwe oczekiwanie chwili przybycia, teraz znajdowały się brodawki wycięte z twarzy dyrektora-kosmopolity (w istocie naturalizowanego obywatela Monaco, mimo iż był — jak powiadał, lubując się w wyrażeniach, które mu się wydawały dystygowane, bez poczucia, że są błędnie użyte — „prowidencji²⁴ rumuńskiej”), jego gest kiedy dzwonił na „lifta”, sam „lift”, cały fryz marionetek, dobytých z owej puszkii Pandory, jaką był Grand Hotel, niezaprzeconych, niewzruszonych i — jak wszystko, co się zrealizowało — wyjąławiających.

Ale sama ta zmiana, w której nie brałem udziału, dowodziła mi choć, że zaszła jakaś rzecz — choćby najmniej interesująca — na zewnątrz mnie. Byłem niby podróżny, który, mając słońce przed sobą z początkiem drogi, stwierdza, iż upłynęło ileś tam godzin, gdy widzi je za sobą. Upadałem ze zmęczenia, miałem gorączkę; byłbym się chętnie położył, ale nie miałem potrzebnych rzeczy. Byłbym chciał bodaj wyciągnąć się chwilę na łóżku, ale na co, skoro nie mógłbym tam dać wypocząć owemu zespołowi wrażeń, który jest dla każdego z nas jego ciałem świadomym (jeżeli nie ciałem materialnym) i skoro nieznanne przedmioty otaczające owo ciało, zmuszając je, aby wciąż utrzymywało swoje percepcje na stopie czujnej ofensywy, utrwalałyby moje spojrzenia, słuch, wszystkie moje zmysły, skurczone w pozycji równie niewygodnej (nawet gdybym wyciągnął nogi) jak położenie kardynała La Balue w klatce, gdzie nie mógł ani stać, ani usiąść. To nasza uwaga wstawia przedmioty do naszego pokoju, a przyzwyczajenie usuwa je stamtąd i robi nam miejsce. Tego miejsca nie było dla mnie w moim pokoju w Balbec (*moim* jedynie z nazwy); pełen był rzeczy, które mnie nie znały, które odwzajemniały mi nieufne spojrzenia i nie licząc się w najbliższej mierze z moim istnieniem, świadczyły, że zakłócam ich codzienny obyczaj. W domu słyszałem zegar tylko przez kilka sekund w tygodniu, tylko wtedy, kiedy się budził z głębokiego zamyślenia; tutaj zegar, nie przerywając sobie ani na chwilę, mówił w nieznanym języku rzeczy najwyraźniej dla mnie niepocholebne, skoro wielkie fioletowe portiere słuchały go, nie odpowiadając, ale w postawie osób, które wzruszają ramionami, aby okazać, iż widok kogoś obcego je drażni. Portiere te dawały wysokiemu pokojowi niemal historyczny charakter, który mógłby go uczynić odpowiednim dla zamordowania księcia de Guise, a później dla wizyty turystów z ramienia agencji Cooka, ale zgoła nie dla mego snu. Dręczyła mnie obecność oszklonych szafek biegnących wzdłuż ścian; zwłaszcza wielkie tremo, które stanęło w poprzek pokoju: czułem, że przed jego odejściem nie zdołam odzyskać swobody. Podnosiłem co chwila oczy — troszczące się w moim paryskim pokoju o jego sprzęty równie mało co o własne źrenice, ile że sprzęty te były już tylko przynależnością moich organów, projekcją mnie samego — na wyniosły sufit tej położonej na szczycie hotelu gloriety, którą babka wybrała dla mnie. W strefie bardziej wewnętrznej niż ta, w której widzimy i słyszymy, w owej strefie, gdzie odróżniamy gatunki zapachów, prawie wewnątrz mojego ja, zapach „bagna” zapuszczał w ostatnie moje szanse swoją ofensywę, której nie bez wysiłku przeciwstawiłem daremny i nieustanny

²⁴prowidencja — opatrność; w tym kontekście chodzi o *proweniencje*: pochodzenie. [przypis edytorski]

odpór zaniepokojonego sapania. Nie mając już świata, pokoju, ciała, które by nie były zagrożone przez otaczających mnie wrogów, przenikniony do kości gorączką, byłem sam, miałem ochotę umrzeć. W tej chwili weszła babka i wybuchowi mojego zdławionego serca otwarły się natychmiast nieskończone przestrzenie.

Miała perkalowy szlafrok, który kładła w domu za każdym razem, kiedy ktoś z nas był chory (bo się w nim czuła wygodniej — powiadała, przypisując zawsze wszystkiemu, co robiła, egoistyczne pobudki) i który, kiedy nas pielęgnowała, kiedy czuwała nad nami, był dla niej fartuchem służącej i dozorczyńni, strojem siostry zakonnej. Ale gdy starania tych osób, ich dobroć, ich zasługa i nasza wdzięczność powiększają jeszcze wrażenie, że jesteśmy dla nich kimś obcym, że jesteśmy samotni, zmuszeni zachować dla siebie brzemień własnych myśli, własnej żądzy życia, przeciwnie, kiedy byłem z babką, wiedziałem, że choćbym miał w duszy największe zmartwienie, zawsze ono utuli się w jeszcze większym współczuciu; że wszystko, co jest moje, moje zgrzyoty, moja wola, spotka się u niej z pragnieniem zachowania i pomnożenia mego własnego życia o wiele silniejszym, niż było u mnie; i myśli moje wnikały w nią, nie ulegając skrzywieniu, bo przechodziły z mojej duszy w jej duszę, nie zmieniając środowiska, osoby. I — jak ktoś, kto chce zawiązać krawat przed lustrem, nie rozumiejąc, iż koniec, który widzi, nie znajduje się w stosunku do niego z tej strony, w którą kieruje rękę, lub jak pies, który ściga po ziemi tańczący cień owada — tak ja, oszukany pozorem ciała, jak zazwyczaj dzieje się z nami na tym świecie, gdzie nie poznajemy bezpośrednio dusz, rzuciłem się w ramiona babki i przytknąłem usta do jej twarzy, jakbym w ten sposób docierał do tego olbrzymiego serca, otwierającego się dla mnie. Kiedy miałem tak usta przyklepione do jej twarzy, czoła, czerpałem z nich coś tak dobrego, odżywczego, że zachowywałem nieruchomość, powagę, spokojną łapczywość ssącego dziecka.

Patrzałem następnie nieznużenie na jej dużą twarz, wyciętą niby piękna chmura jarząca i spokojna, poza którą czuło się promieniującą tkliwość. I wszystko, co czerpało choćby w najśłabszej mierze coś z niej, wszystko, o czym można by powiedzieć, że jeszcze należy do niej, stawało się natychmiast tak uduchowione, uświęcone, że gładziłem dłońmi jej piękne, ledwie siwiejące włosy z taką czcią, z taką ostrożnością i słodyczą, co gdybym pieścił na nich jej dobroć. Znajdowała tyle radości we wszelkim trudzie, który mnie go oszczędzał, czuła coś tak rozkosznego w momencie bezruchu i odpoczynku moich zmęczonych członków, iż kiedy, spostrzegłszy, że ona chce mi pomóc położyć się i rozzuć, sprzeciwiłem się gestem i zacząłem się rozbierać sam, zatrzymała błagalnym spojrzeniem moje ręce, dotykające pierwszych guzików marynarki i bucików.

— Och, proszę cię — rzekła. — To taka radość dla twojej babci. A zwłaszcza nie zapomnij zapukać w ścianę, gdybyś potrzebował czego w nocy; moje łóżko przylega do twojego, przepierzenie jest bardzo cienkie. Za chwilę, kiedy się położysz, zapukaj na próbę, dla sprawdzenia, czy się dobrze rozumiemy.

I w istocie tego wieczora zapukałem trzy razy. W tydzień później, będąc niezdrów, powtarzałem to przez kilka dni co rano, bo babka chciała mi podać wcześniej mleko. Wówczas, kiedy mi się zdawało, że nie śpi — aby nie czekała i aby mogła zaraz potem zasnąć na nowo — ryzykowałem trzy lekkie pukania, nieśmiałe, słabe, a przecież wyraźne; o ile bowiem lękałem się przerwać jej sen, w razie gdybym się omylił i gdyby spała jeszcze, nie byłbym także chciał, aby, nie usłyszawszy od razu, czatowała na znak, którego nie śmiałyby ponowić. I ledwie zapukałem swoje trzy razy, zaraz odpowiadały mi trzy pukania, o innym akcencie, pełne spokojnej powagi, dwukrotnie powtórzone dla pewności i jakby mówiące: „Nie bój się, słyszałam, za chwilę będę przy tobie”; i wkrótce potem babka zjawiała się. Opowiadałem jej, jak się bałem, że mnie nie usłyszysz lub pomyśli, że to jaki sąsiad pukał; śmiała się:

— Pomylić pukanie mojego kotusia z jakimś innym, ależ pomiędzy tysiącem babcia by je poznała. Czy myślisz, że są na świecie inni, którzy by byli takie głupiątko, takie nerwusy, dręczący się obawą obudzenia mnie lub tym, że ich mogą nie zrozumieć! Ale gdyby nawet mała myszka poprzestała na skrobnięciu, zaraz by się ją poznało, zwłaszcza gdy jest taka jedyna i taka biedna jak moja. Słyszałam ją już od paru chwil, jak się waha, jak się kręci po łóżku, jak próbuje wszystkich sposobów.

Babka rozsuwała zasłony; na skrzydle hotelu słońce już się rozsiadło na dachu, niby pobijacz, wcześniej zaczynający pracę i spełniający ją w milczeniu, aby nie budzić miasta,

które śpi jeszcze i którego bezwład tym bardziej uwydatnia jego czynność. Mówiła mi, która godzina, jaka pogoda i że nie warto się zrywać, że jest na morzu mgła i czy piekarnię już otwarto, i co to za powóz słychać; całe to nieznaczące uchylenie firanki, to błahe *introit* dnia pozbawione świadków, kawałeczek życia tylko między nami dwojgiem, życia, które wywołałbym chętnie w ciągu dnia wobec Franciszki lub wobec obcych, mówiąc o mgle dającej się krajać jak ser, jaka była o szóstej rano, z ostentacją nie nabytej wiedzy, ale dowodu czułości otrzymanego przeze mnie samego; słodka poranna chwila, rozpoczynająca się niby symfonia rytmicznym dialogiem moich trzech pukań, na które przesiąknięta czułością i weselem ścianka, nagle harmonijna, niematerialna, śpiewająca jak aniołowie, odpowiadała trzema innymi pukaniem, żarliwie oczekiwanymi, powtórzonymi dwukrotnie, przynosząc mi całkowitą duszę babki i obietnicę jej przyjścia, z radością zwiastowania i z wiernością muzyczną.

Ale owej pierwszej nocy po przybyciu, kiedy babka mnie opuściła, zacząłem cierpieć tak, jak już cierpiałem w Paryżu w chwili wyjazdu. Może to przerażenie — znane tyłu innym — jakim przejmował mnie fakt, że mam spać w nieznanym pokoju, może to przerażenie jest tylko najbardziej pokorną, tajemną, organiczną, prawie nieświadomą formą owego wielkiego, rozpaczliwego protestu, jaki przeciwstawiają rzeczy stanowiące najlepszą cząstkę naszego obecnego życia temu, abyśmy się godzili w myśli na formułę przyszłości, w której ich nie ma. Protest ten był w gruncie grozą, jaką we mnie tak często budziła myśl, że rodzice umrą kiedyś, że los mógłby mi kazać żyć z dala od Gilberty lub po prostu osiąść na stałe w jakimś kraju, gdzie nie ujrzałbym już nigdy swoich przyjaciół; protest stanowiący również istotę ciężkości, z jaką przychodziło mi myśleć o własnej śmierci lub o drugim życiu podobnym temu, jakie Bergotte obiecywał w swoich książkach: istnieniu, w które nie mógłbym zabrać swoich wspomnień, swoich wad, swojego charakteru, niegodzących się z myślą, że mogłyby już nie być, i niechcących dla mnie ani nicości, ani wieczności, w której by ich już nie było.

Kiedy Swann powiedział mi raz w Paryżu, w dniu, gdym był szczególnie cierpiący: „Powinien by pan jechać na rozkoszne wyspy Oceanii: zobaczy pan, że pan już stamtąd nie wróci”, byłbym chciał odpowiedzieć mu: „Ależ wówczas nie zobaczyłbym już pańskiej córki, żyłbym pośród rzeczy i ludzi, których ona nigdy nie widziała”. A przecie rozum powiadał mi: „Co ci to szkodzi, skorobys się tym nie zmartwił? Kiedy pan Swann powiada ci, że nie wrócisz, rozumie przez to, że nie chciałbyś wrócić; a skoro byś nie chciał, to znaczy, że tam będziesz szczęśliwy”. Bo rozum mój wiedział, że przyzwyczajenie — przyzwyczajenie, które miało obecnie kazać mi pokochać to nieznanne mieszkanie, zmienić miejsce lustra, odcień firanek, zatrzymać zegar — podejmuje się równie dobrze kazać nam pokochać towarzyszków nieprzyjemnych zrazu, dać inny kształt twarzom, usympatyznić dźwięk głosu, zmienić skłonności naszych serc. Z pewnością, te nowe przyjaźnie do miejsc i osób czerpią watek w zapomnieniu dawnych; ale właśnie mój rozsądek myślał, że mogę oglądać bez lęku perspektywę życia dzielącego mnie na zawsze od istot, których straciłbym pamięć, i jako pociechę ofiarowywał memu sercu nadzieję zapomnienia, wzmagającą, przeciwnie, jego rozpacz. To nie znaczy, aby nasze serce nie miało również doznać, skoro rozłąka się ziści, znieczulających skutków przyzwyczajenia; ale do tej pory będzie cierpiało. I obawa przyszłości, pozbawiającej nas widoku i rozmowy tych, których kochamy i z których czerpiemy dziś swą najdroższą radość, ta obawa, daleka od rozprószenia się, rośnie, jeżeli myślimy, że do bólu takich wyrzeczeń przybędzie coś, co się nam obecnie wydaje jeszcze okrutniejsze: nie czuć bólu tej straty, być na nią obojętnym. Bo wówczas nasze *ja* odmieniłoby się; już nie tylko urok rodziców, kochanki, przyjaciół, przestałby istnieć dokoła nas, ale nasze przywiązanie do nich; byłoby tak dokładnie wyrwane z naszego serca, którego stanowi obecnie znaczną część, że moglibyśmy sobie podobać w owym życiu oderwanym od nich, o którym myśl przejmuje nas dziś grozą; byłaby to więc prawdziwa śmierć nas samych, śmierć z następowym co prawda zmartwychwstaniem, ale w odmiennym *ja*, do którego miłości nie mogą się wznieść cząstki dawnego *ja*, skazanego na zamarcie. To one — nawet owe najwęższe, najciemniejsze przywiązania do wymiarów i do atmosfery pokoju — płoszą się i wzdrażliwiają, w buntach, w których trzeba widzieć tajemną, cząstkową, dotykálną i prawdziwą formę oporu wobec śmierci, długiego, rozpaczliwego i codziennego oporu wobec cząstkowej i kolejnej śmierci, takiej, jaka się wciska w całe trwanie naszego życia, odrywając

co chwila strzępy nas samych, na których zniweczeniu rozmnożą się nowe komórki. I dla natury nerwowej jak moja, to znaczy takiej, w której elementy przewodzące, nerwy, źle spełniają swoje funkcje — nie zatrzymując w drodze ku świadomości skargi najniższych składników mego *ja*, które mają zniknąć, lecz pozwalając, przeciwnie, dotrzeć tam owej skardze, wyraźnej, wyczerpującej, nieprzeliczonej i bolesnej — dla natury nerwowej jak moja, trwożliwy niepokój, jaki czułem pod tym nieznanym i za wysokim sufitem, był jedynie protestem żyjącej we mnie przyjaźni dla sufitu znajomego i niskiego. Bez wątplenia, przyjaźń ta miała zniknąć, skoro inna zajmie jej miejsce (wówczas śmierć, potem nowe życie, spełnią, pod mianem Przyzwyczajenia, swe podwójne dzieło); ale aż do swego unicestwienia, co wieczora miała cierpieć. I zwłaszcza pierwszego wieczora, znalazłszy się w obliczu przyszłości już ziszczonej, gdzie nie było dla niej miejsca, buntowała się, dręczyła mnie krzykiem swoich lamentów za każdym razem, kiedy moje spojrzenia, nie mogąc się odwrócić od tego, co je raniło, próbowały spocząć na niedostępnym suficie.

Ale nazajutrz rano! — skoro służący przyszedł mnie zbudzić i przynieść mi ciepłą wodę, podczas gdy się ubierałem i gdy daremnie próbowałem znaleźć potrzebne rzeczy w kufirze, skąd wydobywałem bezładnie inne, niemogące mi się zdać na nic, co za radość, myśląc już o przyjemności śniadania i spaceru, widzieć w oknie i we wszystkich szybach szafek na książki, niby w okienku kabiny okrętowej, morze nagie, bez chmur, a przecie tonące w cieniu połową swojej przestrzeni, którą wyznaczała cienka i ruchoma linia; bicie okiem za falami, rzucającymi się jedna za drugą niby skoczki z trampoliny! Co chwila, trzymając w ręku sztywny i nakrochmalony ręcznik z hotelową firmą, którym daremnie siliłem się osuszyć, wracałem do okna, aby rzucić jeszcze jedno spojrzenie na ten rozległy, olśniewający i górzysty krąg i na śnieżne szczyty jego fal. Wycięte ze szlifowanego miejscami i przejrzystego szmaragdu, ze spokojną gwałtownością i lwim zmarszczeniem dawały się przewalać wielkim płaszczyznom, na których słońce kładło swój uśmiech bez twarzy. Okno, w którym miałem potem stawać co rano niby w szybie dylizansu po przespanej w nim nocy, aby sprawdzić, czy przez noc zbliżył się czy oddalił upragniony łańcuch — pagórki morza, które, nim wrócą do nas tańcząc, mogą cofnąć się tak daleko, że często dopiero poza długą piaszczystą równiną widziałem bardzo odległe ich pierwsze undulacje, w przezroczystej dali, mglistej i sinej jak owe lodowce, widniejące w głębi obrazu u toskańskich prymitywów. Innym razem słońce śmiało się tuż koło mnie na owych falach o zieleni tak delikatnej jak ta, którą zapewnia alpejskim łąkom (w górach, gdzie słońce kładzie się tu i ówdzie niby olbrzym schodzący wesoło, nierównymi skokami po zboczach) nie tyle wilgotny grunt, ile ruchliwa płynność światła. Zresztą, w szczybie jaką plaża i fale czynią w reszcie świata po to, aby tamtędy wpuścić i nagromadzić tam światło, to ono, światło — zależnie od kierunku, z którego pada i w którym biegnie nasze oko — przemieszcza i określa pagórkowatość morza. Rozmaitość oświetleń zmienia topografię danego miejsca, wznosi przed nami nowe cele, budząc w nas chęć ich osiągnięcia, nie gorzej, niż by to zrobił długi i istotnie przebyty szlak podróży. Kiedy rano słońce wychodziło zza hotelu, odsłaniając przede mną piaski oświetlone aż do pierwszych przypór morza, miałem wrażenie, że mi ukazuje inny stok i zachęca mnie, abym dalej, krętą drogą jego promieni, ciągnął nieruchomą i pełną wrażeń podróż przez najpiękniejsze miejsca kapryśnego krajobrazu godzin. I od tego pierwszego ranka słońce uśmiechniętym palcem wskazywało mi w oddali owe błękitne wierzchołki morza, niemające nazwy na żadnej mapie, aż, oszołomione swoją tryumfalną przechadzką po grzmiącej i chaotycznej powierzchni ich grzebieni i przepaści, schroniło się przed wiatrem w moim pokoju, barłóżąc się na nieposłanym łóżku, rozrzucając swoje bogactwa na mokrej umywalni, na otwartej walizce, gdzie, przez samą swoją świetność i przez swój niewczesny zbytek zwiększało jeszcze wrażenie nieładu. Niestety, w godzinę później, w wielkiej sali jadalnej — gdyśmy jedli śniadanie i kiedy ze skórzanego bukłaka cytryny rozlewaliśmy parę złotych kropel na dwie sole, które niebawem zostawiły na talerzach pióropusze swoich ości fryzowanych jak pióra i dźwięcznych jak cytra — babka martwiła się, że nie możemy czuć ożywczego tchu morza z powodu przezroczywej, lecz zamkniętej szyby, która na kształt witryny oddzielała nas od plaży, pozwalając nam ją oglądać w całej szerokości, przy czym niebo wnikało w tę witrynę tak całkowicie, iż lazur jego robił wrażenie, że jest kolorem szyb, a białe chmurki skazą na szkle.

Wmawiając w siebie że „siedzę na moło” lub w głębi „buduaru”, o którym mówi Baudelaire, pytałem sam siebie, czy jego „słońce prażące promieniami morze” — bardzo w tym odmienne od wieczornego blasku, skromnego i powierzchownego niby drżąca i złocista smuga — nie jest właśnie słońcem, które w tej chwili paliło morze na kształt topazu, burzyło je, czyniło je białym i mlecznym niby piwo, pieniając się jak mleko, podczas gdy chwilami wałęsały się wielkie błękitne cienie, jak gdyby jakiś Bóg przemieszczał je dla zabawy, migając na niebie zwierciadłem.

Na nieszczęście, ta jadalnia w Balbec nie tylko swoim wyglądem różniła się od „sali” w Combray, wychodzącej na domy naprzeciwko. Była naga, wypełniona słońcem zielonym jak woda w pływalni, od której o kilka metrów przypyły morza i jasny dzień wznosiły, niby przed niebieskim grodem, niezniszczalny i ruchomy szaniec ze szmaragdu i złota. W Combray, ponieważ nas wszyscy znali, nie troszczyłem się o nikogo. W kąpielisku zna się tylko najbliższych sąsiadów. Nie byłem jeszcze dość dorosły, a zostałem zbyt wrażliwy, aby się wyrzec chęci podobania się ludziom i zdobywania ich. Nie miałem owej szlachetniejszej obojętności, jaką zachowałby człowiek światowy wobec osób śniadających we wspólnej sali lub wobec młodych ludzi i panien spacerujących po promenadzie. Co do mnie, na ich widok cierpiałem, że nie będę mógł z nimi robić wycieczek; ale cierpiałbym jeszcze bardziej, gdyby babka, gardząca formami i troszcząca się tylko o moje zdrowie, zwróciła się do nich z upokarzającą dla mnie prośbą, aby mnie dopuścili do swoich spacerów.

Czy to gdy wracali do jakiejś nieznannej willi, czy kiedy szli z raketami na plac tenisowy lub dosiadali koni, których kopyta deptały mi serce, patrzałem na nich z namiętą ciekawością, w owym oślepiającym świetle plaży, gdzie proporcje socjalne tak się zmieniają. Śledziłem wszystkie ich ruchy poprzez przejrzystość wielkiej oszklonej ościeży, która przepuszczała tyle światła. Ale zatrzymywała wiatr; i to była wada, zdaniem mojej babki, która, nie znosząc myśli, iż mógłbym stracić godzinę powietrza, otwarła ukradkiem okno, zdmuchując za jednym zamachem karty restauracyjne, gazety, woalki i czapeczki osób jedzących właśnie śniadanie; przy czym ona sama, orzeźwiona niebiańskim tchem, pozostawała spokojna i uśmiechnięta jak święta Blandyna, pośród złorzeczeń, które, zwiększając we mnie wrażenie samotności i smutku, jednoczyły przeciw nam wzgardliwych, szczochnych i wściekłych turystów.

Zaludnienie tego rodzaju luksusowych hoteli bywa zazwyczaj banalnie bogate i kosmopolityczne; w Balbec mieszkańcy Grand Hotelu — co im dawało charakter bardziej regionalny — składali się po części z wybitnych osobistości departamentów tej części Francji; pierwszy prezydent sądu z Caen, dziekan palestry z Cherbourg, wzięty rejent z Le Mans, którzy w porze wakacji, wyruszając z punktów, gdzie przez cały rok byli rozsypani jak tyralierzy lub piaski w warcabach, skupiali się w tym hotelu. Zajmowali zawsze te same pokoje i, wraz z żonami mającymi pretensje do arystokracji, tworzyli grupę, do której przyłączyli się wielki adwokat i wielki lekarz paryski. Ci w dniu wyjazdu mówili do tamtych:

— A, prawda, państwo nie jedziecie tym samym pociągiem, szczęśliwi jesteście, będziecie w domu na śniadanie.

— Jak to, szczęśliwi! Pan mieszka w stolicy, w Paryżu, w wielkim mieście, gdy ja pleśnieję w prowincjonalnej dziurze o stu tysiącach mieszkańców! Prawda, że przy ostatnim spisie ludności było sto dwa tysiące, ale co to jest przy was, którzy liczycie dwa i pół miliona i którzy odnajdziecie asfalt i cały blask paryskiego świata.

Mówili to z chłopskim charczeniem litery „r”, bez goryczy, bo to byli luminarze swoich prowincji, którzy mogliby jak inni osiąść w Paryżu — niejedną raz ofiarowywano pierwszemu prezydentowi z Caen fotel w trybunale kasacyjnym — ale woleli zostać na miejscu przez miłość swojego miasta, przez skromność albo przez pychę, albo dlatego, że byli reakcyjniści i dla stosunków z okolicznym ziemiaństwem. Wielu z nich zresztą nie zaraz wracało do swojej powiatowej stolicy.

Bo zatoka Balbec była małym, osobnym światem pośród wielkiego, koszykiem pór roku, gdzie znajdowały się ułożone w krąg rozmaite dni i kolejne miesiące. Nie tylko w dniu, kiedy było widać Rivebelle, co było znakiem burzy, widziało się tam słońce na domach, gdy w Balbec było czarno; ale także kiedy w Balbec nastąpiła zima, miało się

pewność znalezienia na owym drugim brzegu dwóch lub trzech dodatkowych miesięcy ciepła. Toteż ci z mieszkańców Grand Hotelu, których wakacje zaczynały się późno lub trwały długo, kazali z nadejściem mgły i deszczów, za zbliżeniem jesieni, ładować swoje walizy na łódź i jechali odnaleźć lato w Rivebelle lub Costedor. Ta grupka gości Balbec patrzyła nieufnym wzrokiem na każdego przybysza; udając, że się nim nie interesują, wszyscy zasięgali o nim informacji u swojego przyjaciela, starszego kelnera. Bo ten Aimé wracał tam co roku na sezon i zatrzymywał im stałe stoliki; a ich panie małżonki, wiedząc, że żona Aimégo spodziewa się potomka, pracowały po obiedzie nad wyprawką, mierząc równocześnie przez lornetkę babkę i mnie, bo jedliśmy jajka na twardo z sałatą, co uchodziło za gminne i nie było przyjęte w wielkim świecie Alençon. Zachowywali pogardliwą ironię wobec pewnego Francuza, którego nazywano „Najjaśniejszym” i który w istocie sam się ogłosił królem wysepki na Oceanii, zaludnionej przez garstkę dzikich. Mieszkał w hotelu z ładną kochanką, przed którą, kiedy szła się kąpać, urwisy krzychały: „Niech żyje królowa!”, ponieważ rozrzuciła między nich drobną monetę. Pan prezydent i pan dziekan nie chcieli nawet okazać, że ją dostrzegają, kiedy zaś ktoś z ich przyjaciół patrzył na „królową”, uważali za właściwe ostrzec go, że to jest prosta midinetka.

— Ależ zaręczano mi, że oni w Ostendzie używali kabiny królewskiej.

— Oczywiście! Można mieć tę kabinę za dwadzieścia franków. Może ją pan wynająć, jeśli to panu robi przyjemność. I wiem pozytywnie, że prosił o audiencję u króla, który mu dał do zrozumienia, że nie życzy sobie znajomości z monarchą z operetki.

— Doprawdy! To ciekawe! W istocie, bywają ludzie!...

I z pewnością wszystko to była prawda, ale było w tym zarazem przykre poczucie, że dla tłumu oni są tylko pocziwymi mieszczuchami, nieznanymi tego króla i tej królowej, rozrzucających srebrniki. I dlatego rejent, prezydent, dziekan, spotykając tych, których nazywali „pajacami”, odczuwali taką niechęć i objawiali głośnie oburzenie. Świadom był tego zgorzienia ich przyjaciel, *maître d'hôtel*, który, zmuszony uśmiechać się mile do tych „panujących”, bardziej hojnych niż autentycznych, przyjmując ich zamówienie, mrugał znacząco w stronę starych klientów.

Może coś z tej samej irytacji, że przez nieświadomość tłum uważa ich za mniej eleganckich i że nie mogą wytłumaczyć, iż są, przeciwnie, „elegantsi”, wchodziło w wykrzyknik: „Ładny ananas!”, jakim filary Balbec określały młodego fircyka, gruźliczego i marnotrawnego syna wielkiego przemysłowca. Ten, co dzień w innej kurteczce, ze storczykiem w butonierce, pił szampana przy śniadaniu i szedł błądy, niewzruszony, z obojętnym uśmiechem, rzucić w kasynie na stół bakaratowy ogromne sumy, „nie mając z czego przegrywać” — powiadał dobrze poinformowanym tonem rejent do prezydenta, którego żona „wiedziała z dobrego źródła”, że ów młody człowiek „*fin de siècle*” przyprawia o czarną zgryzotę rodziców.

Z drugiej strony dziekan i jego przyjaciele nie szczędzili sarkazmów pewnej starej damie, bogatej i utytułowanej, ponieważ nie ruszała się inaczej niż z całym dworem. Za każdym razem, kiedy pani rejentowa i pani prezydentowa widziały ją w jadalni w porze obiadu, lustrowały ją impertynencko lornetkami z tą bacznością i nieufną miną, co gdyby była jakimś daniem o pompatycznej nazwie, ale podejrzanym wyglądem, potrawą, którą po ujemnym wyniku metodycznej obserwacji odsuwa się niechętnie z grymasem niesmaku.

Bez wątplenia panie te chciały jedynie okazać, że jeżeli są pewne rzeczy, których im zbywa — w danym wypadku zbywało im pewnych prerogatyw starej damy i bliższych z nią stosunków — to nie dlatego, aby nie mogły, ale że nie chciały ich posiadać. Ale w końcu przekonały o tym same siebie; i to wyrzeczenie się wszelkich pragnień, ciekawości nieznanymi form życia, nadziei spodobania się nowym istotom, zastąpionych u tych kobiet udaną wzgardą, sztuczną swobodą, miało tę wadę, że kryło kwas pod etykietką zadowolenia i kazało im ustawicznie kłamać samym sobie — dwa powody, aby się czuć źle. Ale właściwie wszyscy w tym hotelu postępowali w ten sposób, mimo że pod różnymi formami, i poświęcali — jeżeli nie miłości własnej, to przynajmniej pewnym zasadom wychowania lub nawykowi intelektualnym — rozkoszne emocje wmieszania się w nieznaną życie. Bez wątplenia, mikrokosmos, w którym izolowała się stara dama, nie był zatruty jadowitymi kwasami, jak grupa, gdzie podśmiechiwały się z wściekłości rejencina lub prezydentowa. Przeciwnie, woniał on delikatnym i staroświeckim zapachem, który

był nie mniej sztuczny. Bo w gruncie stara dama byłaby prawdopodobnie znalazła urok w tym, aby czarować, aby — odmieniając w tym celu samą siebie — zdobywać tajemniczą sympatię nowych istot; urok, z którego wyzuta jest przyjemność obcowania jedynie z osobami ze swego świata i pamiętania iż, wobec tego, że ów świat jest najlepszym z istniejących, prostacka wzgarda drugich jest bez znaczenia. Może stara dama czuła, że gdyby przybyła nieznaną do Grand Hotelu w Balbec, swoją czarną wełnianą suknią i niemodnym czepeczkiem ściągnęłaby uśmiech jakiegoś hulaki, który by ze swego „rocking” mruknął: „cóż za bieda z nędzą!”, lub zwłaszcza jakiegoś godnego człowieka, który, jak prezydent z Caen, zachował przy szpakowatych faworytach świeżą cerę i żywe oczy, takie jak ona lubiła, i który byłby natychmiast sygnalizował zbliżającej się soczewce małżeńskiej lornetki obecność tego niezwykłego zjawiska. I może przez nieświadomą obawę owej pierwszej minuty, o której wiemy, że jest krótka, ale która jest mimo to groźna — jak pierwsze zanurzenie się w wodzie — stara dama posyłała zawczasu lokaja, aby wtajemniczył hotel w jej personalia i jej obyczaje? I ignorując pokłony dyrektora, udawała się z pośpiechem, kryjącym więcej nieśmiałości niż dumy, do swego pokoju, gdzie jej prywatne firanki (w miejsce hotelowych), jej parawany, fotografie, wstawiały między nią a zewnętrzny świat, do którego trzeba by się dostosować, ściankę jej przyzwyczajzeń, tak że to raczej jej światek, w którego łonie pozostała, podróżował, niż ona sama...

Odtąd, pomieściwszy między sobą a personelem hotelowym i magazynami swoją służbę, która zamiast niej wchodziła w styczność z tą nową ludzkością i utrzymywała dokoła swej pani zwyczajną jej atmosferę; wstawiwszy między siebie a letników swoje przesady, nie troszcząc się o niechęć ludzi, których jej przyjaciółki nie wpuściłyby do domów, stara dama żyła dalej w swoim świecie przez korespondencję, przez wspomnienia, przez sekretną świadomość swojej sytuacji, swoich manier, swojej towarzyskiej kompetencji. I codziennie, kiedy schodziła, aby odbyć przejażdżkę własnym powozem, pokojówka niosąca za panią jej rzeczy, lokaj kroczący przed nią, wyglądali jak owe szyldwachy, które u bram ambasady strojnej flagami własnego kraju gwarantują jej na cudzoziemskim terenie przywilej eksterytorialności. W dniu naszego przybycia dama nie wyszła z pokoju aż dobrze popołudniu; toteż nie ujrzeliśmy jej w jadalni, dokąd dyrektor towarzyszył nam opiekuńczo jako nowo przybyłym w porze śniadania, niby „szarża” prowadząca rekrutów do wojskowego krawca. W zamian za to, ujrzeliśmy tam po chwili jakiegoś obywatela z córką, z mało znanej, lecz bardzo starej rodziny bretońskiej, pana i pannę de Stermaria, których stół nam oddano, myśląc, że wrócą aż wieczór. Przybywszy do Balbec jedynie po to, aby odwiedzać swoich znajomych właścicieli ziemskich w okolicy, państwo de Stermaria spędzali w jadalni jedynie czas ściśle konieczny, między wizytami w sąsiedztwie. Pycha chroniła ich od wszelkiej ludzkiej sympatii, od wszelkiego zainteresowania się osobami siedzącymi dokoła, wśród których pan de Stermaria zachowywał minę lodowatą, spieszącą się, odległą, szorstką, drażliwą i wrogą, jaką się ma w bufecie kolejowym wśród podróżnych, których się nigdy nie widziało i nigdy nie zobaczy, nie pojmując innych z nimi stosunków prócz tego, aby bronić swego zimnego kurczaka i kąta w wagonie.

Ledwie zaczęliśmy śniadanie, kazano nam wstać na żądanie pana de Stermaria, który właśnie przybył i który, bez najmniejszych ceremonii, bez uprzejmego gestu pod naszym adresem, poprosił głośno starszego kelnera, aby się podobna omyłka nie powtórzyła; jest mu bardzo nieprzyjemnie, aby „ludzie, których nie zna” zajmowali jego stół.

I z pewnością także nie żadna niechęć wchodziła w uczucie popychające pewną aktorkę (bardziej znaną zresztą ze swojej elegancji, dowcipu, pięknej kolekcji niemieckiej porcelany niż z paru ról w „Odeonie”), jej kochanka, bardzo bogatego człowieka, dla którego ona się ucywilizowała, oraz dwóch głośnych arystokratów, aby żyć swoim dworem, podróżować tylko z sobą, śniadać w Balbec bardzo późno, kiedy już wszyscy skończyli, i pędzić dni w swoim salonie przy karcianym stoliku. Pobudką tego był jedynie nawyk żartobliwej rozmowy, wyrafinowań kulinarnych, każący im znajdować przyjemność w tym, aby żyć i jadać tylko z sobą, i czyniący im czymś nieznośnym wspólne życie z „niewtajemniczonymi”. Nawet w obliczu nakrytego stołu lub przy stoliku karcianym, potrzebowali czuć, że w sąsiedzie lub partnerze spoczywa pewna choćby niezatrudniona w danej chwili wiedza, pozwalająca rozpoznać tandetę, którą tyle mieszkań paryskich stroi się jako „autentycznym średniowieczem” lub „renesansem”; że mają w każdej rzeczy wspólne kryteria dobrego i złego. Bez wątpienia, odrębna egzystencja, w jakiej grupa ta

wszędzie chciała pozostać zanurzona, objawiała się w owych momentach już tylko jakimś rzadkim dowcipem rzuconym przy stole czy przy kartach lub uroczą i nową suknią, jaką młoda aktorka włożyła do śniadania lub do partyjki pokera. Ale, spowijając ich tak w przyzwyczajenia znane im do gruntu, egzystencja ta wystarczała, aby ich chronić przed tajemnicą otaczającego życia. Przez długie popołudnia morze wisiało na wprost nich jedynie jako miłe w kolorze płótno, przybite do ściany w zamożnej garsonierze; co najwyżej w przerwach między rozdaniem kart któryś z graczy, nie mając nic lepszego do roboty, zwracał ku niemu oczy, aby sprawdzić pogodę lub godzinę i przypomnieć innym, że podwieczorek czeka. A wieczorem nie jedli obiadu w hotelu, gdzie elektryczne źródła łały strumienie światła w wielką jadalnię, zmienioną w ogromne i cudowne akwarium, przed którego szklaną ścianą robotnicza ludność Balbec, rybacy, a także rodziny drobnych mieszczan, cisnęli się za szybą, niewidzialni w cieniu, aby oglądać, wolno kołysane w złotych wirach, zbytkowne życie bogaczy, równie nadzwyczajne dla tej biedoty, co życie osobliwych ryb i mięczaków. (Wielka kwestia socjalna, to pytanie, czy szklana ściana zawsze będzie chroniła ucztę cudownych zwierząt i czy szarzy ludzie, patrzący chciwie z ciemności, nie przyjdą ich wyłowić w tym akwarium i zjeść). Na razie wśród ciżby stojącej i zgubionej w mroku, był może jaki literat, jaki miłośnik ludzkiej ichtiologii, który, patrząc na szczęki starych żeńskich potworów zamykające się na kawale pochłoniętej strawy, bawił się klasyfikowaniem ich wedle rasy, wedle cech wrodzonych, a także owych cech nabytych, które sprawiają, iż stara dama serbska, o typowej paszczy wielkiej ryby morskiej, je sałatę — ile że od dzieciństwa żyła w słodkich wodach Faubourg Saint-Germain — jak urodzona La Rochefoucauld.

O tej porze widywało się trzech mężczyzn w smokingach czekających na zapóźnioną towarzyszkę, która niebawem, w sukni prawie za każdym razem nowej i w szarfach dobranych wedle specjalnych gustów jej kochanka, zadzwoniwszy ze swego piętra na „lifta”, wychodziła z windy niby z pudełka z zabawkami. I wszyscy czworo, uważając, że międzynarodowy styl „Palace”, zaszczerpiony w Balbec, raczej rozwinął tam zbytek niż dobrą kuchnię, pakowali się do powozu i jechali na obiad o pół mili stąd do renomowanej jadłodajni, gdzie odbywali z kucharzem nieskończone narady co do porządku menu i doboru dań. W czasie tej przeprawy, obsadzona jabłonią droga z Balbec mało się dla nich różniła w ciemnościach nocy od przestrzeni między ich paryskimi mieszkaniami a Café Anglais lub Tour d'Argent. Była dla nich jedynie odległością, którą trzeba było przebyć, zanim dotarli do wykwintnej knajpki, gdzie, podczas gdy przyjaciele bogatego młodzieńca zazdrościli mu dobrze ubranej kochanki, szarfy jej tworzyły dla małej gromadki niby zasłonę pachnącą i wiotką, ale odcinającą ich od świata.

Nieszczęściem dla mego spokoju, daleki byłem od natury wszystkich tych ludzi. Dbałem o opinię wielu z nich; byłbym pragnął nie być nicością dla mężczyzny o spleśzczonym czole, o spojrzaniu uciekającym między skórzanymi okularami jego przesądów i wychowania. Ów okoliczny magnat był nie kim innym jak szwagrem naszego pana Legrandin. Przybywał czasem z jakąś wizytą do Balbec, w niedzielę zaś cotygodniowe *garden party*, jakie wyprawiali oboje z żoną, wyludniało hotel z części jego mieszkańców, ponieważ paru z nich miało zaproszenie na tę fetę, inni zaś, aby się nie zdradzić, że ich nie proszono, obierali ten dzień na jakąś daleką wycieczkę. Pierwszego dnia zresztą spotkał się pan de Cambremer z bardzo lichym przyjęciem w hotelu, gdy świeżo przybyły z Jasnego Brzegu personel nie wiedział jeszcze, kim on jest. Nie tylko nie był ubrany w białą flanelę, ale, przez stary francuski obyczaj, pan de Cambremer, nieświadomy stylu „Palace”, wchodząc do hallu, gdzie były kobiety, zdjął od drzwi kapelusz, co sprawiło, iż dyrektor nawet nie dotknął swojego, aby mu oddać ukłon, oceniając, że to musi być ktoś najniższego pochodzenia, to co nazywał człowiekiem „wyrastającym z gminu”. Jedynie żona reagenta uczuła sympatię do nowo przybyłego, trącającego nadętą pospolitością ludzi dobrze urodzonych. Oznajmiła z nieomylną roztropnością oraz z bezapelacyjnym autorytetem osoby, dla której śmietanka miasta Mans nie ma tajemnic, że się w nim czuje człowieka wysoce dystyngowanego, doskonale wychowanego i odbijającego od całego towarzystwa w Balbec, które uważała za „niemożliwe” — o ile ona z nim nie żyła. Ten korzystny sąd, jaki rejentowa wydała o szwagrze pana Legrandin, wynikł może z szarego

wyglądu człowieka, który niczym nie onieśmielał, a może stąd, że w tym ziemianinie o wzięciu zakrystiana poznała masonskie znaki własnego klerykalizmu.

Na próżno dowiedziałem się, że młodzi ludzie jeżdżący co dnia konno są synami właściciela galanteryjnego sklepu, człowieka o wątpliwej reputacji, z którym mój ojciec nigdy nie zgodziłby się wejść w stosunki; „życie kąpielowe” zmieniało ich w moich oczach w konne posągi półbogów. Najwięcej, czegom się mógł spodziewać, to że nigdy nie zniżą swoich spojrzeń do mnie, biednego chłopca, który opuszczał jadalnię jedynie po to, aby usiąść na piasku. Byłbym chciał zdobyć sympatię nawet awanturnika władającego na bezludnej wysepce Oceanii, nawet młodego gruzlika; wierzyłem, że pod pozorami arogancji kryje on duszę nieśmiałą i tkliwą, która znalazłaby może dla mnie jednego skarby uczuć. Zresztą (na wspak temu, co się mówi zazwyczaj o znajomościach z podróży), jak pewne znajomości mogą nam użyczyć na plaży (dokąd wraca się czasem) prestiżu bez odpowiednika w prawdziwym życiu światowym, tak nie ma nic, co by się pielęgnowało równie troskliwie w Paryżu jak przyjaźnie z kąpielisk. Dbałem o opinię, jaką mogły mieć o mnie wszystkie te chwilowe lub lokalne znakomitości, które skłonność moja do wcielania się w innych ludzi i odtwarzania sobie ich stanu ducha kazała mi sytuować nie wedle ich prawdziwej rangi (tej, którą zajmowałyby na przykład w Paryżu i która byłaby bardzo niska), ale wedle tej, którą musieli sobie przypisywać i którą zajmowali istotnie w Balbec, gdzie brak wspólnej miary dawał im rodzaj względnej wyższości i swoistego uroku.

Niestety, wzgarda żadnej z tych osób nie była mi równie dotkliwa, co wzgarda pana de Stermaria. Zauważyłem bowiem, od pierwszego zjawienia się, jego córkę, jej ładną, bladą, błękitną prawie twarzyczkę, coś odrębnego w jej wysmukłej postawie, w chodzie, co mi słusznie przywodziło na myśl jej rasę, jej arystokratyczne wychowanie, tym wyraźniej, iż znałem jej nazwisko. Tak owe poematy muzyczne, wynalazek genialnych muzyków, wspaniale malują migotanie ognia, szum rzeki, ciszę wiejską — słuchaczowi, który, przejrawszy zawczasu komentarz przy programie, skierował swoją wyobraźnię we właściwym kierunku. Przydając wdziękom panny de Stermaria całą ideologię, „rasa” czyniła je czymś zrozumialszym i doskonalszym; czyniła je też czymś bardziej upragnionym, oznajmiając, że są trudno dostępne — jak wysoka cena przydaje wartości przedmiotowi, który się nam spodobał. I drzewo genealogiczne dawało tej cerze, będącej produktem wybranych soków, smak egzotycznego owocu lub słynnego gatunku wina.

Otóż przypadek dał nagle babce i mnie sposób zyskania w oczach mieszkańców hotelu bezpośredniego uroku. W istocie bowiem, pierwszego dnia, w chwili gdy stara dama wychodziła od siebie, urzekając oczy i dusze dzięki poprzedzającemu ją lokajowi, dzięki pannie służącej biegnącej za nią z zapomnianą książką i pledem, budząc ciekawość i szacunek (od których najoczywiściej mniej niż ktokolwiek wolny był pan de Stermaria), dyrektor pochylił się ku babce i przez uprzejmość (tak jak się pokazuje szacha perskiego lub królową Ranavallo szaremu człowiekowi, który nie może mieć oczywiście żadnych stosunków z potężnym monarchą, ale może być rad, że go oglądał z bliska) wsączył jej do ucha: „Margrabina de Villeparisis”, gdy równocześnie dama ta, widząc babkę, nie mogła powstrzymać wyrazu radosnej niespodzianki.

Można sobie wyobrazić, iż nagłe zjawienie się, pod postacią drobnej staruszki, najpotężniejszej z wrózek, nie byłoby mi sprawiło więcej przyjemności — mnie, ogołoconemu z wszelkiego sposobu zbliżenia się do panny de Stermaria, w miejscowości, gdzie nie znał nikogo. Rozumiem „nikogo” z praktycznego punktu widzenia. Biorąc estetycznie, ilość typów ludzkich jest zbyt ograniczona, aby się nie miało bardzo często, w jakimkolwiek miejscu, radości oglądania ludzi znajomych, nawet nie szukając ich na obrazach starych mistrzów, jak to czynił Swann. I tak w pierwszych dniach pobytu zdarzyło mi się spotkać Legrandina, odźwiernego Swannów, oraz samą panią Swann — pierwszego pod postacią kelnera z kawiarni, drugiego w sylwetce jakiegoś przejeźdnego, któregom już nie ujrzał, a trzecią w osobie kąpielowego. I jakiś magnetyzm przyciąga i sprzęga pewne fizyczne i duchowe cechy tak nierozdzielnie, że kiedy natura wprowadza w ten sposób jakąś osobę w nowe ciało, nie okalecza jej zbyt. Legrandin, zmieniony w kelnera, zachował bez uszczerbku swoją postawę, profil i część podbródka; pani Swann, w osobniku płci męskiej i w profesji kąpielowego, ocaliła nie tylko swoją fizjonomię, ale poniekąd i sposób mówienia. Tylko że, przewiązana czerwonym pasem i wnosząca przy lada burz-

liwszym morzu chorągiew wzbraniającą kąpeli (bo kąpielowi są ostrożni, rzadko umieją pływać), nie więcej mogłaby mi być użyteczna niż na fresku z *Życia Mojżesza*, gdzie Swann poznał ją niegdyś w rysach córki Jethra. Ta margrabina de Villeparisis natomiast była całkiem prawdziwa; nie była ofiarą czarów, które ją odarły z potęgi, ale, przeciwnie, mogła oddać te czary na usługi mojej władzy, mnożąc ją stokrotnie, dzięki czemu, jak gdyby niesiony na skrzydłach bajecznego ptaka, miałem przebyć w parę chwil nieskończone — przynajmniej w Balbec — odległości socjalne, dzielące mnie od panny de Stermaria.

Nieszczęściem, jeżeli była istota bardziej od kogokolwiek zamknięta we własnym świecie, to była nią moja babka. Nie gardziła mną nawet, wprost nie byłaby mnie zrozumiała, gdyby wiedziała, że ja przywiązuję wagę do opinii, że się interesuję osobami, których istnienia ona nawet nie spostrzegала i których nazwiska nie miała spamiętać, opuszczając Balbec. Nie śmiałem jej wyznać, że gdyby ci sami ludzie widzieli ją rozmawiającą z panią de Villeparisis, sprawiłoby mi to wielką przyjemność, bom czuł, że margrabina ma mir w hotelu i że jej przyjaźń postawiłaby nas w oczach pana de Stermaria. Nie aby przyjaciółka mojej babki wyobrażała dla mnie bodaj trochę osobę z arystokracji; nazbyt przywykłem do jej nazwiska, z którym oswoiły się moje uszy, zanim umysł się nad nim zastanowił, kiedy w dzieciństwie słyszałem, jak je wymawiano w domu; a tytuł jej przydawał nazwisku jedynie dziwaczną osobliwość, coś niby mało używany przedimek, jak się dzieje z nazwami ulic: w ulicy Lorda Byrona, w tak popularnej i pospolitej ulicy Rochecouarta lub w ulicy de Gramonta nie widzimy nic szlachetniejszego niż w ulicach Léonce-Reynaud lub Hipolyte'a Lebas. Pani de Villeparisis nie bardziej budziła we mnie wyobrażenie osoby ze specjalnego świata niż kuzyn jej Mac-Mahon, którego nie odróżniałem zbyt od pana Carnot, prezydenta Republiki jak i on, i od Raspaila, którego fotografię Franciszka kupiła razem z fotografią Piusa IX.

Babka wyznawała zasadę, że w podróży nie powinno się zawierać stosunków, że nie po to się jedzie nad morze, aby widywać ludzi, że na to jest dość okazji w Paryżu, że na grzeczności i banalności strwoniloby się szacowny czas, który trzeba całkowicie spędzić na powietrzu, nad wodą. Uważając za wygodniejsze przypuszczać, że cały świat dzieli ten pogląd, uprawniający między starymi przyjaciółmi, których przypadek sprowadził do jednego hotelu, fikcją wzajemnego incognita, na dźwięk nazwiska, które jej wymienił dyrektor hotelu, poprzestała na odwróceniu oczu i udawała że nie widzi pani de Villeparisis, która rozumiejąc, iż babka nie ma ochoty odnawiać znajomości, puściła również wzrok w przestrzeń. Oddaliła się, a ja zostałem w swoim odosobnieniu, niby rozbitek, do którego zdawał się zbliżać statek, aby następnie zniknąć, nie zatrzymawszy się.

Margrabina jadła także we wspólnej sali, ale na drugim końcu. Nie знаła nikogo z osób mieszkających w hotelu lub zjawiających się z wizytą, nawet pana de Cambremer; w istocie, ujrzałem, że on się jej nie kłania, gdy pewnego dnia przybył z żoną na śniadanie na zaprosiny dziekana. Ten, pijany szczęściem, że ma tak dobrze urodzonego gościa, unikał swoich codziennych przyjaciół i poprzestawał na mrugnięciu do nich z daleka, czyniąc do tego historycznego wydarzenia aluzję na tyle dyskretną, aby jej nie można było sobie tłumaczyć jako zachętę do zbliżenia się.

— No i co, widzę, że pan sobie nie żałuje, pływa pan w elegancji — rzekła wieczorem do dziekana żona prezydenta.

— W elegancji, czemu? — spytał dziekan, ukrywając swoją radość pod przesadnym zdziwieniem — z powodu moich gości? — rzekł, czując, że niezdolny jest udawać dłużej. — Cóż w tym za elegancja, zjeść śniadanie z przyjaciółmi? Muszą przecież gdzieś zjeść.

— Ależ tak, to wielki świat! To są państwo de Cambremer, prawda? Zaraz ich poznałam. To margrabina. I autentyczna. Nie kąpielowa.

— Och, to kobieta bardzo prosta, urocza, nie sposób mniej robić z sobą ceremonii. Myślałem, że państwo się przysiadzicie, dawałem znaki... byłbym państwa przedstawił! — rzekł, poprawiając lekką ironią niesłychaność tej propozycji, jak Ahaswrus, kiedy powiada do Estery: „Mamże ci stanów swoich ustąpić połowę?”

— Nie, nie, nie, nie, my wolimy zostać w ukryciu jak skromny fiołek.

— Ależ źle państwo robicie, ręczę wam — odparł dziekan śmiejąc się teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło. — Nie zjedliby was. No i co, zrobimy małego bezika?

— Bardzo chętnie, nie śmieliśmy panu proponować, teraz kiedy pan podejmuje margrabiny!

— Och, daj pani pokój, nie ma w nich nic tak nadzwyczajnego. Ot, mam tam być na obiedzie jutro. Chcecie państwo iść zamiast mnie? Mówię to z całego serca. Szczerze powiadam, najchętniej pozostałbym tutaj.

— Nie, nie!... spensjonowanoby mnie jako reakcjonistę — wykrzyknął prezydent, śmiejąc się do łez ze swego konceptu. — Ale pan też bywa w Féterne — dodał, zwracając się do rejenta.

— Och, bywam tam w niedziele, wchodzi się jednymi drzwiami, wychodzi się drugimi. Ale nie bywają u mnie na śniadaniu, jak u naszego dziekana.

Pana de Stermaria nie było tego dnia w Balbec, ku wielkiemu żalowi dziekana, który rzekł podstępnie do starszego kelnera:

— Aimé, mógłbyś powiedzieć panu de Stermaria, że nie jest jedynym „dobrze urodzonym” w tej sali. Widziałeś tego pana, który jadł ze mną śniadanie dziś rano? He? Ten mały wąsik, mina wojskowa? I co ty powiesz, to jest margrabia de Cambremer.

— Doprawdy? A, to mnie nie dziwi!

— Niech się pan de Stermaria dowie, że nie on jeden ma tytuł. Pójdzie mu po nosie. Nieźle jest dać małego prztyczka tym pansom. Aimé, nie mów mu nic, jeśli wolisz, ja nie mówię tego dla siebie; zresztą on go zna dobrze.

I nazajutrz pan de Stermaria, który wiedział, że dziekan bronił sprawy jednego z jego przyjaciół, podszedł, aby mu się przedstawić.

— Nasi wspólni przyjaciele de Cambremer chcieli właśnie nas spiknąć, dni się jakoś nie schodziły, sam już nie wiem co — rzekł dziekan, który, jak wielu kłamców, wyobrażał sobie, że nikt nie będzie się starał wyświecić nieznaczącego szczegółu, który wszelako wystarcza (jeżeli przypadek da wam w rękę skromną rzeczywistość, będącą z nim w sprzeczności), aby zdemaskować człowieka i obudzić wieczną doń nieufność.

Jak zawsze, patrzałem na pannę de Stermaria, ale swobodniej niż zwykle, podczas gdy jej ojciec odszedł, aby rozmawiać z dziekanem. Śmiała i zawsze piękna oryginalność jej póz — kiedy na przykład z łokciami na stole podnosiła kieliszek, oschłość szybko znużonego spojrzenia, jakaś rodowa twardość, która raziła moją babkę, a którą czuło się, ledwie zamaskowaną indywidualnymi akcentami, w jej głosie; jakiś atawistyczny hamulec działający w chwili, gdy spojrzeniem lub intonacją zdradziła własną myśl — wszystko to sprowadzało myśl tego, co na nią patrzył, do rasy, która jej przekazała tę oschłość, tę lukę wrażliwości — jak gdyby skąpstwo materii, niedostającej co chwilę. Ale na tak szybko wysychającym tle jej źrenic błyskały chwilami spojrzenia, w których czuło się ową niemal pokorną słodycz, jaką dominująca zmysłowość daje nawet najdumniejszej, każąc jej niebawem uznawać już tylko jeden urok. Ten urok ma w jej oczach wszelka istota zdolna jej dostarczyć pewnych wzruszeń, choćby to był aktor lub linoskoczek, dla którego rzuci może kiedyś męża. Z pewnego odcienia zmysłowej i żywej różowości, która rozkwitała na jej bladych licach, podobna tej, co barwiła swoim karminem serce lilii wodnych na Vivonne, miałem uczucie, że ona łatwo by pozwoliła, abym poszukał w niej smaku owego tak poetycznego życia, jakie wiodła w Bretanii, życia, którego czy to przez zbyt z nim oswojenie, czy przez wrodzoną dystynkcję, czy przez wstręt do ubóstwa lub skąpstwa swojej rodziny, nie zdawała się zbyt cenić, ale którym ciałem jej było jakby nasiąknięte. W skromnym zasobie odziedziczonej woli, który dawał wyrazowi jej twarzy coś tchórzliwego, nie znalazłaby może energii oporu. I szary filcowy kapelusz, jaki zawsze miała przy stole, strojny niemodnym trochę i pretensjonalnym piórem, czynił mi ją słodsza nie dlatego, że harmonizował z jej srebrną i różową cerą, ale że zbliżał do mnie ją samą, pozwalając mi wnosić, że jest uboga.

Zmuszona obecnością ojca do zachowywania konwenansów, ale już odmiennie szacując i klasyfikując oglądane osoby, panna de Stermaria widziała może we mnie nie nikłą pozycję, lecz pleć i wiek. Gdyby któregoś dnia ojciec zostawił ją samą, gdyby zwłaszcza pani de Villeparisis, przysiadłszy się do naszego stołu, dała jej o nas opinię zdolną ośmielić mnie do zbliżenia się, może udałoby się nam wymienić kilka słów, umówić się na kiedyś, zapoznać się bliżej. I pewnego miesiąca, kiedy by ona została sama bez rodziców w swoim romantycznym dworzyszczu, udałoby się nam może przechadzać wieczór sam na sam o zmierzchu, w którym czerwone wrzosi łagodniej błyszcząłyby nad ściemniałą wodą, pod dębami trącanymi pluskiem fal. Razem przebiegalibyśmy wyspę, nasyconą

dla mnie takim czarem przez to, że zamykała zwyczajne życie panny de Stermaria i że spoczywała w pamięci jej oczu. Bo wydawało mi się, że mógłbym ją naprawdę posiadać tylko tam, przebywszy miejsca spowijające ją w tyle wspomnień. Była to niby zasłona, którą pragnienie moje chciało zerwać, z rodzaju tych, jakie natura mieści między kobietą a pewnymi osobnikami, iżby, omamieni złudą pełniejszego posiadania tej kobiety, musieli wprzód przyswoić sobie krajobrazy, w których ona żyje i które, owocniejsze dla ich wyobraźni od rozkoszy zmysłowych, nie wystarczyłyby jednak bez tej rozkoszy, aby ich przyciągnąć. W podobnej intencji natura pomieściła dla wszystkich ludzi akt płodzenia między nimi a najwyższą rozkoszą lub dla owadów umieszcza przed nektarem pyłek, który mają przenieść.

Ale musiałem odwrócić oczy od panny de Stermaria. Uważając zapewne, że znajomość z wybitną osobistością jest to akt interesujący i krótki, który wystarcza sam sobie i który, dla rozwinięcia całej zawartej w nim treści wymaga jedynie uścisku dłoni i bystrego rzutu oka bez następstwa rozmowy i późniejszych stosunków, ojciec jej pożegnał się z dziekanem i usiadł z powrotem na wprost córki, zacierając ręce jak człowiek, który zrobił cenny nabytek. Co się tyczy dziekana, skoro pierwsze wzruszenie tą znajomością minęło, słyszeliśmy go czasem, jak w inne dni, mówiącego do starszego kelnera:

— Ależ ja nie jestem królem, Aimé, idźże do króla; słuchaj pan, prezydencie, to bardzo apetycznie wygląda, te małe pstrągi, musimy o nie poprosić naszego Aimé. Aimé, to mi się wydaje bardzo godne polecenia, te rybki, które tam masz; przyniesiesz nam ich, Aimé, a obficie.

Powtarzał co chwilę imię „Aimé”, co sprawiało, że kiedy miał kogoś na obiedzie, gość powiadał: „Widzę, że pan jest tutaj całkiem zadomowiony”, i uważał także za swój obowiązek powtarzać wciąż „Aimé” wskutek tego stanu ducha — mającego coś z nieśmiałości, pospolitości i głupstwa zarazem — jaki niektórym osobom każe sobie wyobrażać, że niewolnicze naśladowanie ludzi, z którymi się przebywa, jest dowodem dowcipu i elegancji. Powtarzał to bez ustanku, ale z uśmiechem, bo chciał zarazem okazać swoje dobre stosunki z kelnerami i swoją nad nimi wyższość. A kelner, za każdym powtórzeniem swego imienia, również uśmiechał się z rozczuleniem i dumą, okazując, że czuje zaszczyt i rozumie żart.

Jeżeli posiłki w tej wielkiej restauracji hotelowej, zazwyczaj pełnej, onieśmiały mnie zawsze, potęgowało się to jeszcze, kiedy przybywał na kilka dni właściciel (lub generalny dyrektor, wybrany przez akcjonariuszy, sam nie wiem) nie tylko tego hotelu, ale siedmiu czy ośmiu innych, położonych w czterech stronach Francji. Wędrując tak z hotelu do hotelu, spędzał periodycznie w każdym z nich jakiś tydzień. Wówczas, gdy już miano podawać do obiadu, zjawiał się co wieczór u wejścia do jadalni ten mały siwy człowieczek z czerwonym nosem, niewzruszony i poprawny do ostatnich granic, znany, jak się zdaje, równie dobrze w Londynie jak w Monte Carlo jako jeden z pierwszych hotelarzy w Europie. Raz, kiedy wyszedł na chwilę z początkiem obiadu i wracając przechodziłem koło niego, oddał mi chłodny ukłon, z którego nie mogłem zgadnąć, czy przyczyną tego chłodu jest godność człowieka niezapominającego, czym jest, czy pogarda dla podrzędnego klienta. Innym, wartościowszym, generalny dyrektor kłaniał się równie chłodno, ale głębiej, z powiekami spuszczoneymi z odcieniem wstydliwego szacunku, tak jakby miał przed sobą ojca nieboszeczki na pogrzebie, albo Przenajświętszy Sakrament. Poza tymi lodowatymi i rzadkimi ukłonami, nie czynił najlżejszego ruchu, jakby dla okazania, że jego błyszczące oczy, zdające się wychodzić z twarzy, widzą wszystko, kierują wszystkim, zapewniając „obiadowi w Grand Hotelu” zarówno wykończenie szczegółów jak harmonię całości. Czuł się wyraźnie czymś więcej niż reżyserem, niż kapelmistrzem, czuł się prawdziwym generalissimusem. Uznawszy, iż kontemplacja doprowadzona do szczytu skupienia, wystarczy mu dla upewnienia się, że wszystko jest gotowe i bezbłędne, i dla wzięcia wreszcie odpowiedzialności, wstrzymywał się nie tylko od wszelkiego gestu, ale nawet od drgnienia oczu skamieniałych uwagą, oczu ogarniających całokształt czynności i kierujących nimi. Czułem, że nawet ruchy mojej łyżki nie uchodzą baczności generalnego dyrektora, i choćby znikł zaraz po zupie, ta jego rewia odbierała mi apetyt na cały obiad. On sam miał apetyt doskonały, jak można było stwierdzić przy śniadaniu, które spożywał jak zwykły gość, przy takim samym stoliku jak wszyscy, w jadalni. Jego stół miał tylko tę właściwość, że gdy on jadł, drugi dyrektor, ów codzienny, stał cały czas,

zabawiając zwierzchnika rozmową. Bo, będąc podwładnym generalnego dyrektora, starał się mu schlebiać i bał się go bardzo. Co do mnie, mniej się go bałem w czasie tych śniadań, wmieszany bowiem między klientów, miał tę dyskrecję, aby nie okazywać, że się nimi zajmuje, niby generał siedzący w restauracji, gdzie są i zwykli żołnierze. Mimo to, kiedy portier, otoczony swymi „strzelcami” oznajmiał mi: „Stary jedzie jutro do Dinard, stamtąd do Biarritz, a potem do Cannes”, oddychałem swobodniej.

Życie moje w hotelu było nie tylko smutne, bo nie miałem znajomości, ale niewygodne, bo Franciszka zawiązała ich mnóstwo. Zdawałoby się, że powinny by nam ułatwić wiele rzeczy. Wręcz przeciwnie. O ile proletariusze mieli pewną trudność w dostąpieniu tego, aby Franciszka uznała ich za znajomych i mogli to osiągnąć jedynie za cenę szczególnej uprzejmości, o tyle, skoro raz to uzyskali, byli jedynymi ludźmi, którzy się liczyli dla niej. Jej *savoir vivre* uczył Franciszkę, że nie jest do niczego zobowiązana wobec przyjaciół swoich państwa; że może, o ile się jej spieszy, splawić damę, która przyszła z wizytą do babki. Ale w stosunku do jej własnych znajomych, to znaczy rzadkich osób z ludu dopuszczonych do jej niełatwej przyjaźni, postępki jej regulował najsztubtelniejszy i najbezwzględniejszy ceremoniał. I tak Franciszka, zapoznawszy się z kawiarnikiem i z pokojówką sporządzającą suknie dla pewnej belgijskiej damy, nie przychodziła oczyścić rzeczy babki zaraz po śniadaniu, ale aż w godzinę później, bo kawiarnik zaprosił ją na kawę albo na kwiat lipowy do kawiarni, a pokojówka prosiła ją, aby jej asystowała przy szyciu. Odmówić im byłoby rzeczą niemożliwą, rzeczą, której się nie robi! Zresztą, należały się szczególne względy pokojówce, która była sierotą, wychowaną u obcych, gdzie spędzała niekiedy kilka dni. Los ten budził litość Franciszki, jak również jej życzliwe lekceważenie. Ona, która miała rodzinę, domek po rodzicach, gdzie jej brat chował kilka krów, nie mogła takiej przybłądy uważać za równą sobie. Że zaś dziewczyna ta zamierzała 15 sierpnia odwiedzić swoich dobroczyńców, Franciszka powtarzała cały czas:

— To doprawdy śmiechu warte. Powiada: „Wybieram się do domu na 15 sierpnia”. Do domu, ona powiada! To nawet nie są jej strony, to tylko ludzie, które ją przygarnęły, i ta powiada: „u siebie”, tak jakby naprawdę była u siebie. Biedna dziewczyna! Cóż to za nędzne życie. Żeby nawet nie wiedzieć, co jest dom!

Ale gdyby jeszcze Franciszka przyjaźniła się tylko z prywatnymi pokojówkami, które jadały z nią w „kredensie” i które, wnosząc z jej pięknego koronkowego czepek i szlachetnego profilu, brały ją może za jakąś dystygowaną osobę, zmuszoną wskutek nieszczęść lub skłonioną przez przywiązanie do tego, aby służyć za damę do towarzystwa mojej babce, słowem gdyby Franciszka знаła jedynie ludzi nienależących do hotelu, nie byłoby w tym zbyt wielkiego nieszczęścia. Nie mogłaby nas pozbawiać ich usług, z tej prostej przyczyny, że w żadnym wypadku, nawet gdyby ich nie znała, nie zdaliby się nam na nic. Ale ona się zaprzyjaźniła również z szafarzem, z kuchcikiem i z pokojową z hotelu. W dniu swego przybycia, kiedy Franciszka nie znała jeszcze nikogo, dzwoniła na wszystkie strony o najmniejszą rzecz, w godzinach, w których babka i ja nie odważylibyśmy się tego uczynić, a jeżeliśmy jej zrobili jakąś uwagę, odpowiadała: „Dosyć drogo płaci się za to”, tak jakby to ona płaciła. Ale teraz, od czasu jak się zaprzyjaźniła z personelem (co nam się zdawało dobrą wróżbą dla naszej obsługi), kiedy babce lub mnie było zimno w nogi, Franciszka, choćby to była godzina zupełnie normalna, nie śmiała zadzwonić: upewniała, że to byłoby źle widziane, bo trzeba by na nowo palić w piecu lub zakłóciłoby obiad służby, budząc w kredensie niezadowolenie. I kończyła zwrotem, który mimo niepewnego sposobu, w jaki go wymawiała, niemniej był dosyć jasny i stanowczo rozstrzygał rzecz na naszą niekorzyść: „Faktycznie...”. Nie nalegaliśmy z obawy, aby się nie narwać na inny zwrot, o wiele poważniejszy: „To niewidziane rzeczy...”. Tak iż w rezultacie nie mogliśmy już mieć gorącej wody, dlatego że Franciszka zaprzyjaźniła się z osobą, która ją grzała.

W końcu i my zawiązaliśmy znajomość, przez babkę, choć mimo jej woli, kiedy obie z panią de Villeparisis wpadły na siebie w drzwiach i musiały się przywitać nie bez uprzedniej wymiany gestów zdumienia, wahania, cofań się, powątpiewań i w końcu okrzyków uprzejmości i radości, jak w niektórych sztukach Moliera, gdy dwaj aktorzy, monologujący długo każdy w swoją stronę, o kilka kroków od siebie, niby to nie widzą się wzajem i nagle spostrzegają się, nie wierzą swoim oczom, wpadają sobie w słowo, w końcu mówią obaj naraz — niby chór po dialogu — i rzucają się sobie w objęcia. Przez delikatność pani de Villeparisis chciała po chwili pożegnać babkę, która, przeciwnie, starała się ją

zatrzymać aż do śniadania, pragnąc się dowiedzieć, jak ona robi, aby mieć pocztę wcześniej od nas i dobre pieczyście. (Pani de Villeparisis, wielka smakoszka, niezbyt gustowała w kuchni hotelowej, gdzie nam zastawiano biesiady, które babka, zawsze cytując panią de Sévigné, określała jako „tak wspaniałe, że można było umrzeć z głodu”). I margrabina przywykła podchodzić do nas co dzień, zanim jej podadzą, siadać na chwilę koło nas w jadalni, nie pozwalając, abyśmy wstawali i krępowali się w czymkolwiek dla niej. Co najwyżej, zostawaliśmy dłużej, gawędząc z nią po śniadaniu, w owym niechlujnym momencie, gdy noże walają się na obrusie obok pomiętych serwet.

Co do mnie, aby zachować — dla miłości Balbec — myśl, że jestem na krańcu ziemi, siliłem się patrzeć dalej, widzieć tylko morze, szukać na nim efektów opisanych przez Baudelaire’a. Jeżeli zniżał spojrzenia na nasz stół, to chyba w dniu, gdy zjawiała się na nim jakaś wielka ryba, potwór morski, który, na przekór nożom i widelcom, współczesny był pierwotnym epokom, kiedy życie zaczynało się roić w oceanie, w czasach Cymeryjczyków, i którego ciało o niezliczonych kręgach, unerwione błękitno i różowo, stworzone było przez naturę, ale z architektonicznym planem, niby polichromowana katedra morza.

Jak fryzjer, widząc, iż oficer obsługiwany szczególnie troskliwie, poznaje jakiegoś wchodzącego klienta i zawiązuje z nim rozmowę, cieszy się, zgadując, że ci dwaj goście są z jednego świata, i idąc po miseczkę z mydłem, nie może się wstrzymać od uśmiechu, świadom, iż w jego zakładzie do pospolitych funkcji salonu fryzjerskiego dołączają się przyjemności towarzyskie, ba, arystokratyczne, tak Aimé, widząc, iż pani de Villeparisis odnalazła w nas dawnych znajomych, szedł po nasze płukanki z tym samym dumnie skromnym i świadomie dyskretnym uśmiechem gospodyni domu, umiejącej się usunąć w porę. Można by także rzec: szczęśliwy i rozczulony ojciec, który, nie mącąc swobody, czuwa nad szczęściem zaręczyn nawiązanych przy jego stole. Zresztą wystarczyło wymówić nazwisko osoby utytułowanej, aby Aimé wydawał się szczęśliwy, w przeciwieństwie do Franciszki, wobec której nie można było powiedzieć „hrabia taki a taki”, aby jej twarz nie zachmurzyła się, a mowa nie stała się sucha i urywana, co oznaczało, iż kocha szlachtę nie mniej niż Aimé, lecz więcej. Bo Franciszka miała przymiot, który uważała u innych za największą wadę: była dumna. Nie była z łatwej i dobronudznej rasy, do której należał Aimé. Tacy odczuwają i objawiają żywą przyjemność, kiedy im opowiadać fakt, mniej lub więcej zabawny, ale nieznan, którego nie ma w dzienniku. Franciszka nie lubiła mieć miny zdziwionej. Można by powiedzieć przy niej, że arcyksiążę Rudolf, którego istnienia nigdy nie podejrzewała, nie umarł — jak to uchodziło za fakt — ale żyje, a byłaby odpowiedziała: „No pewnie”, tak jakby o tym wiedziała od dawna. Można zresztą przypuszczać, że skoro nawet z naszych ust, od nas, których nazywała tak pokornie „swoim państwem” i którzyśmy ją ujarzмили niemal zupełnie, nie mogła słyszeć bez odruchu irytacji szlacheckiego nazwiska, musiała widać jej rodzina zajmować w swojej wiosce dostatnią i niezależną pozycję, może zagrożoną w szacunku ludzkim jedynie przez tę właśnie szlachtę. Taki Aimé, przeciwnie, służył od dziecka w pańskim domu jako lokaj, o ile nie chował się w nim z litości. Wobec Franciszki tedy pani de Villeparisis musiała okupić to że jest szlachcianką. Ale, we Francji przynajmniej, to właśnie stanowi talent — i jedyne zatrudnienie — wielkich panów i wielkich dam. Franciszka, ulegając zwykłej skłonności służby, która zbiera bez ustanku co do stosunków swoich państwa z innymi osobami cząstkowe spostrzeżenia, wyciągając z nich niekiedy mylne wnioski, jak czynią ludzie co do życia zwierząt, uważała co chwila, że ktoś nam „uchylił”; konkluzja, do której zresztą łatwo ją doprowadzała zarówno jej nadmierna miłość do nas, co przyjemność, jaką znajdowała w tym, aby nam powiedzieć coś przykrego. Ale stwierdziwszy ponad wszelką wątpliwość tysiąc względów, jakimi otaczała nas i ją samą pani de Villeparisis, Franciszka wybaczyła jej, że jest margrabinią; że zaś nigdy nie przestała jej szanować za to, że nią jest, wyróżniła ją wśród wszystkich naszych znajomych. Bo też nikt nie silił się być wciąż tak uprzejmy. Za każdym razem, kiedy babka zwróciła uwagę na książkę, którą pani de Villeparisis czytała, kiedy pochwaliła owoce przysłane margrabinie przez przyjaciółkę, w godzinę potem wchodził lokaj, doręczając nam książkę lub owoce. I później, kiedyśmy się spotkali, w odpowiedzi na nasze podziękowania, pani de Villeparisis mówiła po prostu tak, jakby szukała uzasadnienia swego daru w jakiejś jego specjalnej użyteczności: „To nie jest arcydzieło, ale dzienniki przychodzą tak późno, że trzeba coś mieć do czytania”. Albo: „Zawsze bezpieczniej jest nad morzem mieć owoce, których się jest pewnym”.

— Ale mnie się zdaje, że państwo nigdy nie jadacie ostryg — rzekła pani de Villeparisis (pomnażając wrażenie wstrętu, jakie miałem do nich w owej epoce, bo żywe ciało ostryg brzydziło mnie jeszcze bardziej niż oślizgłość meduz kalala mi plażę Balbec) — wyborne są na tym wybrzeżu! A, powiem pokojowej, aby zabierała pani listy równocześnie z moimi. Jak to, córka pisze do pani co dzień? Ale co panie możecie sobie mieć do powiedzenia?

Babka zamilkła, ale można przypuszczać, że to uczyniła przez wzgardę, ona, która powtarzała — stosując je do mamy — słowa pani de Sévigné: „Skoro dostanę list, chciałabym natychmiast mieć drugi, żyję tylko tym. Mało kto godny jest zrozumieć to, co ja czuję”. I bałam się, aby nie zastosowała do pani de Villeparisis konkluzji: „Szukam osób będących z tej niewielkiej liczby, unikam innych”. Babka odmieniła rozmowę, dziękując po prostu za owoce, które pani de Villeparisis przysłała nam poprzedniego dnia. Były w istocie tak piękne, że dyrektor, mimo iż zawistny o swoje wzgardzone kłosze z owocami, rzekł: „Ja jestem jak państwo, bardziej jestem łaskawy na owoce niż na wszelkie inne wety”. Babka oświadczyła przyjaciółce, że oceniła dar tym bardziej, iż owoce podawane w hotelu były przeważnie okropne.

— Nie mogę — dodała — rzec jak pani de Sévigné, że gdyby nam przyszedł kaprys na lichy owoc, musielibyśmy go sprowadzać z Paryża.

— A, kochana pani czyta panią de Sévigné. Widzę panią od pierwszego dnia z jej listami w ręku. — (Margrabina zapomniała, że jakoby nie widziała babki w hotelu przed owym spotkaniem w drzwiach). — Czy pani nie uważa, że jest trochę przesady w tej ciąglej trosce o córkę; za wiele o tym mówi, aby to mogło być szczerze. Brak jej naturalności.

Babka uznała dyskusję za bezcelową i aby uniknąć mówienia o rzeczach drogich sobie z osobą niezdolną ich zrozumieć, ukryła pod torebką *Pamiętniki pani de Beausegent*.

Kiedy pani de Villeparisis spotkała Franciszkę w momencie (Franciszka nazywała go „południem”), kiedy, wystrojona w piękny czepek i otoczona powszechnym szacunkiem, schodziła na śniadanie do „kredensu”, margrabina zatrzymywała ją, aby spytać o nas. Franciszka, przekazując nam jej zlecenie: „Powiedziała: proszę im pięknie życzyć dobrego południa”, udawała głos pani de Villeparisis, myśląc, że powtarza wiernie jej słowa, które zniekształcała nie mniej niż Platon Sokratesa lub święty Jan słowa Jezusa. Franciszka była głęboko wzruszona względami margrabiny. Co najwyżej nie dowierzała i myślała, że babka kłamie przez solidarność klasową (ludzie bogaci popierają się między sobą), upewniając, iż pani de Villeparisis była niegdyś przesłiczna. Prawda, że z tego zostały bardzo nikłe resztki, z których aby odtworzyć zniweczoną piękność trzeba by być większym artystą niż Franciszka. Bo aby zrozumieć, jak bardzo stara kobieta mogła być ładna, trzeba nie tylko patrzeć, ale tłumaczyć każdy rys.

— Muszę się jej spytać kiedy, czy ja się mylę lub czy jest jakieś pokrewieństwo między nią a Guermantami — rzekła babka, budząc tym moje zgorznienie. Jak mógłbym wierzyć we wspólność pochodzenia między dwoma nazwiskami, z których jedno wniknęło we mnie niską i wstydliwą bramą doświadczenia, a drugie złotą bramą wyobraźni?

Od kilku dni widywało się często przejeżdżającą we wspaniałym ekwipażu wielką, rudą, piękną panią o dość wydatnym nosie. Była to księżna de Luxembourg; przybyła na kilka tygodni w te strony na wilegiaturę. Powóz zatrzymał się przed hotelem, lokaj zeszedł, aby pomówić z dyrektorem, wrócił do powozu i wyniósł cudowne owoce, kojarzące w jednym koszyku, jak sama zatoka, różne pory roku. Do owoców dołączono bilet: „Księżna de Luxembourg”, z kilkoma słowami skreślonymi ołówkiem. Dla jakiego dostojnego gościa bawiącego tu incognito mogły być przeznaczone te śliwki, granatowe, lśniące i sferyczne tak jak sferyczna była w tej chwili krągłość morza, te przezroczyste winogrona wiszące na wyschłej lodydze niby jasny dzień jesienny, gruszki barwiące się niebiańską ultramaryną? Bo przecież nie przyjaciółce babki księżna chciała złożyć wizytę. A jednak nazajutrz wieczór pani de Villeparisis przesała nam winne grono świeże i złociste oraz śliwki i gruszki, które poznaliśmy również, mimo że śliwki przeszły, jak morze w godzinie obiadu, w kolor lila, a ultramarynę gruszek zmąciło swoim zarysem parę różowych chmurek. W kilka dni potem spotkaliśmy panią de Villeparisis wychodzącą z symfonicznego koncertu, który odbywał się rano na plaży. Przekonany, że dzieła, które tam słyszałem (preludium z *Lohengrina*, uwertura z *Tannhäusera* itd.) wyrażają najwyższe

prawdy, starałem się wznieść do nich, ile było w mej mocy; aby je zrozumieć, dobywałem z siebie i oddawałem im wszystko, co kryłem wówczas w sobie najlepszego, najgłębszego.

Otóż, wyszedłszy z koncertu i wracając do domu, zatrzymaliśmy się chwilę, aby wymienić kilka słów z panią de Villeparisis, która oznajmiła babce i mnie, że zamówiła dla nas w hotelu *croque monsieur* i jajka ze śmietaną. W tej chwili ujrzałem z dala zbliżającą się ku nam księżnę de Luxembourg, wspierającą się na parasolce, tak iż lekkim pochylemieniem dużego i wspaniałego ciała kresliła ów arabesk tak drogi pięknościom z epoki Cesarstwa, które umiały, opuszczając ramiona, ściągając plecy, wciągając biodro i napi-nając nogę, dać swemu ciału bujać miękko niby fular dokoła niewidzialnego i skośnie przesywającego je pręta. Wychodziła co rano przejść się po plaży mniej więcej w chwili, gdy wszyscy po kąpieli wracali na śniadanie, że zaś ona sama jadła aż o wpół do drugiej, wracała do swojej willi w momencie, gdy letnicy od dawna już opuścili pustą i rozpala-ną promenadę. Pani de Villeparisis przedstawiła babkę, chciała przedstawić i mnie, ale musiała mnie spytać o nazwisko, bo go sobie nie mogła przypomnieć. Może go nigdy nie знаła lub bodaj zapomniała od dawna za kogo babka wydała córkę. Miałem wrażenie, że to nazwisko zrobiło na pani de Villeparisis żywe wrażenie. Księżna de Luxembourg podała nam rękę i od czasu do czasu, rozmawiając z margrabiną, odwracała się, aby ob-jąć łagodnym spojrzeniem mnie i babkę, z owym zarysem pocałunku, jakim ktoś stroi uśmiech, zwracając go do niemowlęcia z nianią. A nawet, nie chcąc, aby się zdawało, że przebywa w sferze wyższej od nas, księżna musiała widocznie źle obliczyć odległość, przez błąd akomodacji bowiem spojrzenia jej przepoiły się taką dobrocią, że czekałem chwili, gdy nas pogłaszczę, niby dwa sympatyczne zwierzęta, które by wysunęły do niej głowę przez kratę w zoologicznym ogrodzie. Niebawem zresztą ten obraz zwierząt i La-sku Bulońskiego stał mi się jeszcze realniejszy. Była to godzina, gdy promenada roi się od wędrownych i krzykliwych przekupniów, sprzedających ciastka, cukierki, bułeczki. Nie wiedząc, co zrobić, aby nam okazać życzliwość, jej wysokość zatrzymała pierwsze-go z brzegu: miał tylko bułkę żytniego chleba, jaki się rzuca kaczkom. Księżna wzięła ten bocheneczek i rzekła do mnie: „To dla pańskiej babci”. Ale wręczyła go mnie, mó-wiąc z subtelnym uśmiechem: „Sam go pan babci ofiaruje”, myśląc, że ten bezpośredni kontakt ze zwierzętami uczyni moją przyjemność pełniejszą. Podeszli inni przekupnie, księżna wpakowała mi do kieszeni wszystko, co mieli: pączki, obarzanki, ciastka, cu-kier lodowaty. Powiedziała: „Proszę jeść i także poczęstować babcię”, polecając zapłacić małemu Murzynkowi w czerwonym atlasowym ubraniu, który chodził za nią wszędzie, budząc na plaży zachwyty. Potem pożegnała panią de Villeparisis i podała nam rękę z in-tencją traktowania nas tak samo jak swoją przyjaciółkę, jak swoich bliskich, zstępując do naszego poziomu. Ale tym razem księżna ustaliła widocznie nasz poziom nieco wyżej na drabinie stworzeń, bo równość swoją z nami stwierdziła w stosunku do babki owym tkliwym i macierzyńskim uśmiechem, jaki się zwraca do malca, żegnając się z nim jak z dorosłą osobą. Dzięki cudownemu procesowi ewolucji, babka nie była już kaczką ani antylopą, ale tym, co pani Swann nazwałaby „baby”. Opuściwszy nas wreszcie, księżna spacerowała dalej po promenadzie zalanej słońcem, gnąc swoją wspaniałą talię, która, niby wąż dokoła laseczki, oplatała się dokoła białej umbrelki z niebieskim wzorem, słu-żącej pani de Luxembourg za oparcie. Była to moja pierwsza królewska wysokość, bo księżniczka Matylda co do form nie była wcale „wysokością”. Druga, jak się okaże póź-niej, również miała mnie zdumieć dobrotliwością. Formę uprzejmości wielkich panów, dobrowolnych pośredników między panującymi a mieszczaństwem, poznałem nazajutrz, kiedy pani de Villeparisis oświadczyła nam:

— Zachwycona jest państwem. To kobieta wielkiego rozumu, wielkiego serca. Inna jest niż wiele panujących lub księżniczek krwi. To osoba rzetelnej wartości.

I pani de Villeparisis dodała z przekonaniem, uszczęśliwiona, że nam to może powie-dzieć:

— Sądzę, że byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby mogła państwa spotkać jeszcze.

Ale tego samego rana, rozstawszy się z panią de Luxembourg, pani de Villeparisis powiedziała mi coś, co mnie bardziej uderzyło i co nie trąciło zdawkową uprzejmością:

— Czy pan jest synem dyrektora departamentu w ministerstwie, spytała. A! zdaje się, że pański ojciec to przemily człowiek. Odbywa bardzo piękną podróż w tej chwili.

Kilka dni przedtem dowiedzieliśmy się z listu mamy, że ojciec i jego towarzysz, pan de Norpois, zgubili bagaże.

— Znalazły się lub raczej nie zginęły, oto co się stało — rzekła pani de Villeparisis, która (nie wiedzieliśmy jak) robiła wrażenie, że jest o wiele lepiej od nas poinformowana o szczegółach podróży. — Sądzę, że pański ojciec przyspieszy swój powrót i że wróci w przyszłym tygodniu, bo najpewniej wyrzeknie się podróży do Algeciras. Ale ma ochotę poświęcić jeden dzień więcej na Toledo, bo jest wielkim miłośnikiem pewnego ucznia Tycjana, nazwiska nie pamiętam, którego można oglądać tylko tam.

I zastanawiałem się, jakim cudem w obojętnej lunecie, przez którą pani de Villeparisis oglądała z dość daleka zewnętrzną, mikroskopijną i mętną krzątaninę tłumu, ludzi, których знаła, znalazł się, w miejscu gdzie oglądała mego ojca, wprawiony kawałek szkła zdumiewająco powiększającego, który sprawiał, iż tak plastycznie i z największymi szczegółami widziała jego sympatyczność, okoliczności zmuszające go do powrotu, jego kłopoty na cle, jego kult dla El Greco, i, zmieniając dla niej skalę widzenia, ukazywał jej tego jedyne go człowieka tak wielkim pośród innych małych, niby owego Jowisza, któremu Gustave Moreau dał, malując go obok wątlej śmiertelniczki, postawę więcej niż ludzką.

Babka pożegnała się z panią de Villeparisis, aby odetchnąć nieco powietrzem przed hotelem, zanim dadzą przez szybę znak, że już podano do stołu. Rozległ się zgiełk. Była to młoda kochanka króla dzikich, która właśnie wzięła kąpiel i wracała na śniadanie.

— Doprawdy to plaga, to można wyemigrować z Francji! — wykrzyknął z wściekłością dziekan, przechodzący w tej chwili. Tymczasem żona reagenta wytrzeszczała oczy na quasi-monarchinię.

— Nie umiem panu powiedzieć, do jakiego stopnia pani Blandais mnie drażni, gapiąc się na tych ludzi. Chętnie bym jej dał za to po papie. W ten sposób daje się ważność tej hołocie, która oczywiście tylko tego pragnie, aby się nią zajmować. Niechże pan powie panu Blandais, że to jest śmieszne; ja się już z nimi nie pokażę nigdzie, jeżeli będą tak zwracali uwagę na pajaców.

Zjawienie się księżnej de Luxembourg, której powóz zatrzymał się przed hotelem owego dnia, kiedy przywiozła owoce, nie uszło uwagi rejency, dziekanowej i prezydentowej, już od pewnego czasu pałających żądzą dowiedzenia się, czy ta pani de Villeparisis, traktowana — oby niezasłużenie, w marzeniu tych pań — z takim szacunkiem, jest prawdziwą markizą, a nie awanturnicą. Kiedy pani de Villeparisis przechodziła przez hall, prezydentowa, która wszędzie wietrzyła „ładacznice”, podnosiła nos sponad robótki i patrzyła na nią w sposób rozśmieszający do łez jej przyjaciółki.

— Och, ja, wiecie moje panie — mówiła z dumą — ja zawsze zaczynam od przypuszczenia tego, co najgorsze. Wierzę, iż kobieta jest naprawdę zamężna dopiero wtedy, kiedy mi pokażą metryki i akt rejentalny. Zresztą nie bójcie się, już ja przeprowadzę swoje śledztwo.

I każdego dnia te panie przybiegały, śmiejąc się:

— Przychodzimy po nowiny.

Ale w dniu wizyty księżnej de Luxembourg, prezydentowa położyła palec na ustach:

— Są nowości.

— Och! nadzwyczajna jest ta pani Poncin! Mówże pani, co takiego?

— To takiego, że kobieta z żółtymi włosami, uszmkowana na cał grubo, w powozie na miłą pachnącym utrzymanką, takim, jak mają tylko te panny, była tu przed chwilą z wizytą do rzekomej markizy.

— Ojoj! Ładna historia! ależ o tej damulce, którą spotkaliśmy, przypomina sobie dziekan, od razuśmy sobie powiedzieli, że wygląda bardzo podejrzanie; ale nie wiedzieliśmy, że ona jechała do markizy. Kobieta z Murzynem, prawda?

— Właśnie, właśnie.

— Och! Tum cię czekał! Nie znacie panie jej nazwiska?

— Owszem, udało mi się, że się pomyliłam, wzięłam jej bilet; przeważała się „księżna de Luxembourg”. Czy nie miałam racji podejrzewać! To przyjemne stykać się z czymś w rodzaju baronowej d’Ange z *Półświatka*.

Tu dziekan zacytował prezydentowi Mathurina Régnier i *Macette*.

Nie trzeba zresztą przypuszczać, aby to nieporozumienie było chwilowe, na kształt tych, które się piętrzą w drugim akcie farsy, aby się rozproszyć w trzecim. Pani de Luxembourg, siostrzenica króla angielskiego i cesarza austriackiego, oraz pani de Villeparisis uchodziły stale, kiedy jechały powozem księżnej na spacer, za dwie hultajki z rodzaju tych, od których najtrudniej się uchronić w miejscach kąpielowych. Trzy czwarte mężczyzn z Faubourg Saint-Germain uchodzi w oczach znacznej części mieszczaństwa za plugawych golców (czym zresztą bywają czasem indywidualnie), za ludzi nieprzyjmowanych nigdzie. Mieszczaństwo ma o tym pojęcia zbyt dobroduszne, bo skazy tych panów nie przeszkodziłyby im bynajmniej znajdować najlepszego przyjęcia tam, gdzie zacny mieszczanin nie dostanie się nigdy. A oni tak dalece wyobrażają sobie, iż mieszczaństwo o tym wie, że silą się w tym, co się ich tyczy, na prostotę, szkalując równocześnie swoich szczególnie skrachowanych przyjaciół, co dopełnia miary nieporozumienia. Wielki pan jest, dajmy na to, w stosunkach z drobnym mieszczaństwem, ponieważ, będąc bardzo bogaty, piastuje przypadkowo prezesurę wielkich towarzystw akcyjnych. Burżuazja, widząc wreszcie arystokratę godnego być wielkim mieszczaninem, przysięgłaby, że on nie przestaje z pewnym margrabią, graczem i bankrutem, którego mieszczanin uważa za tym bardziej pozbawionego stosunków, im jest grzeczniejszy. I nie może ochłonąć, kiedy książę pan, prezes rady nadzorczej kolosalnego interesu, żeni syna z córką owego margrabiego, gracza, ale człowieka o najstarszym we Francji nazwisku; tak samo jak panujący raczej żeni syna z córką zdetronizowanego króla niż z córką funkcjonującego prezydenta republiki. Znaczy to, że owe dwa światy mają o sobie wzajem pojęcia równie chimeryczne, jak je mają mieszkańcy plaży na jednym krańcu zatoki Balbec o plaży znajdującej się na drugim krańcu; z Rivebelle widać trochę Marcouville l'Orgueilleuse; ale właśnie to myli, bo przypuszczamy, że nas widać z Marcouville, skąd, przeciwnie, splendory Rivebelle są przeważnie niedostrzegalne.

Lekarz z Balbec, wezwany do mnie z powodu ataku gorączki, uznał, że nie powinien pozostawać cały dzień nad morzem w pełnym słońcu w największy upał. Nakreślił dla mnie parę recept; babka wzięła je z pozornym szacunkiem, w którym poznałem natychmiast niezłomne postanowienie nieuzycia żadnej, ale uwzględniła zalecenia lekarza z zakresu higieny i przyjęła propozycję pani de Villeparisis, która ofiarowała się brać nas na spacer powozem. Aż do śniadania chodziłem tam i z powrotem od siebie do pokoju babki. Jej pokój nie wychodził wprost na morze jak mój, ale miał okna na trzy różne strony; na plażę, na dziedziniec i na pole. Umieblowany też był inaczej: miał wielkie fotele haftowane metalowym filigranem w różowe kwiaty, zdające się wydzielać miłą i świeżą woń, którą czuło się wchodząc. I o tej godzinie, kiedy promienie, pochodzące z różnych oświetleń i jakby z różnych godzin, łamały kąty ścian i obok odbłasku plaży wznosiły na komodzie ołtarzyk pstry jak kwiaty na ścieżce, wieszały na ścianie zwinięte, drżące i ciepłe skrzydła jasności gotowej znów wzlecieć, grzały jak kąpiel kwadrat dywanika przed oknem od dziedzińca, które słońce stroiło niby liściem wina, przydawały czaru i różnaitości meblom, cieniując kwiecisty jedwab foteli i rzeźbiąc ich pasmanterie, ten pokój, do którego wstępowałem na chwilę, zanim się przebrałem na spacer, robił wrażenie pryzmatu rozkładającego światło, wrażenie ula, gdzie soki czekającego mnie dnia były rozpuszczone, rozproszone, upajające i widzialne — ogrodu nadziei, roztopionego w drganiu srebrnych promieni i płatków róży. Ale przede wszystkim rozsunałem firanki z żądzą sprawdzenia, jakie jest Morze igrające tego ranka na brzegu niby nereida. Bo żadne z owych Mórz nie trwało dłużej niż jeden dzień. Nazajutrz było już inne, czasem podobne do tamtego. Ale nie było nigdy dwa razy jednakie.

Bywały morza o piękności tak rzadkiej, że na ich widok radość moja rosła jeszcze od niespodzianki. Mocą jakiego przywileju, raczej w ten ranek niż w inny, uchylone okno odsłaniało moim zachwyconym oczom nimfę Glaukonomene, której leniwa i miękko oddychająca uroda miała przejrzystość mglistego szmaragdu, pozwalającego oku oglądać przypływ ważkich elementów, które go barwiły? Niby owe boginie, które rzeźbiarz wylania z bloku, nie racząc go ociosać, pozwalała z omdlałym uśmiechem igrać słońcu w niewidzialnej mgłę, będącej jedynie pustą przestrzenią dokoła jej przejrzystej powierzchni, bardziej przez to zgęszczonej i przejmującej. Tak, w swoim jedynym kolorze, morze zapraszało nas na przejażdżkę po owych pospolitych i ziemnych drogach, skąd, siedząc

w powozie pani de Villeparisis, widzieliśmy przez cały dzień, i nigdy go nie dosięgając, chłód jego miękkiego pulsowania.

Pani de Villeparisis polecała zaprzęgać wcześniej, iżbyśmy mieli czas dotrzeć bądź do Saint-Mars-le-Vêtu, bądź do skał Quetteholme, lub do jakiegoś innego celu, który przy dosyć powolnej jeździe był nader odległy i wymagał całego dnia. Uszczęśliwiony długim spacerem, jaki mieliśmy przed sobą, nuciłem świeżo zasłyszaną melodyjkę i wałęsałem się przed hotelem, czekając, aż pani de Villeparisis będzie gotowa. Jeżeli to była niedziela, nie sam powóz margrabiny stał przed hotelem; kilka wynajętych fiaków czekało nie tylko na osoby zaproszone na wieś do pani de Cambremer, ale na te, które (nie chcąc wyglądać jak dzieci za karę zostawione w domu) oznajmiały, że niedziela to jest w Balbec dzień bardzo nudny i jechały zaraz po śniadaniu skryć się na sąsiedniej plaży lub zwiedzić jakieś okolice. Często nawet, kiedy się ktoś spytał pani Blandais, czy była u Cambremerów, odpowiadała: „Nie, byliśmy u wodospadów Bec”, jak gdyby to był jedyny powód, dla którego nie spędziła dnia w Fêterne. I dziekan powiadał miłosiernie:

— Zazdroszczę państwu, byłbym się chętnie z wami zamienił, to grubo bardziej interesujące.

Przed bramą, gdzie czekałem, tkwił obok powozów, niby rzadkiego gatunku krzew, młody „strzelec”, zwracający uwagę osobliwą harmonią swoich barwnych włosów, jak również swoją roślinną cerą. Wewnątrz, w hallu będącym niby *narteks* lub *kościół katechumenów* w kościołach romańskich i pozwalającym przejścia osobom niemieszkającym w hotelu, koledzy owego grooma stojącego przed bramą pracowali nie o wiele więcej, ale wykonywali bodaj jakieś ruchy. Prawdopodobne jest, iż rano pomagali sprzątać. Ale popołudniu znajdowali się tam jedynie niby chórzyci, którzy nawet w chwilach, gdy nie służą do niczego, zostają na scenie, aby pomnożyć liczbę statystów. Generalny dyrektor, ten, który mnie tak straszyl, spodziewał się pomnożyć znacznie ich liczbę na przyszły rok, wszystko bowiem widział na wielką skalę. I ta jego decyzja bardzo martwiła dyrektora hotelu, uważającego, że wszystkie te chłopaki „robią tylko destrukcję”, rozumiejąc przez to, że zatarasowują przejście, a nie służą do niczego. Ale między śniadaniem a obiadem, między wyjściem a powrotem klientów wypełniali bodaj luki akcji; jak owe wychowanki pani de Maintenon, które w kostiumach młodych Izraelitek wypełniają scenę, ilekroć Estera lub Joad się oddała. Ale sterczący na dworze „strzelec” o subtelnych tonach, o smukłej i wątlej postaci, opodal którego oczekiwałem przybycia margrabiny, zachowywał nieruchomość, z którą kojarzyła się melancholia, bo jego starsi bracia porzucili hotel dla świetniejszych losów, a on czuł się samotny na tej obcej ziemi.

Wreszcie zjawiała się pani de Villeparisis. Zająć się jej powozem i wsadzić ją do niego wchodziłoby może w funkcje „strzelca”. Ale on wiedział, że osoba, która przywozi ze sobą własny personel i daje się obsługiwać swoim ludziom, mało zazwyczaj zostawia napiwków w hotelu; i że wysoka arystokracja postępuje tak samo. Pani de Villeparisis należała równocześnie do obu kategorii. Roślinny strzelec wyciągnął stąd wniosek, że nie ma się czego spodziewać; zaczem, zostawiając zarządzającemu oraz prywatnej pokojówce margrabiny troskę o usadowienie jej wraz z rzeczami, dumal smutno o szczęsnej doli braci i trwał w bezruchu swojej wegetacji.

Ruszailiśmy; niebawem, okrążywszy stację kolejową, wjeżdżaliśmy na drogę wiejską, która wkrótce stała mi się równie znajoma jak drogi w Combray, od zakrętu, gdzie się wikłała w uroczę zagrody, aż do miejsca, gdzieśmy ją opuszczali i gdzie rozciągały się po obu stronach uprawne pola. Wśród tych pól widziało się tu i ówdzie jabłoni, pozbawioną co prawda kwiatów i dźwigającą już tylko bukiety słupków, ale wystarczającą, aby mnie oczarować, poznawałem bowiem owe nieporównane liście, których szeroka powierzchnia, niby dywan na estradzie po skończonej już uczcie weselnej, była świeżo zamieciona białym atlasowym trenem rumieniących się kwiatów.

Ileż razy w Paryżu, w maju następnego roku, zdarzyło mi się kupić w kwiaciarni gałąź jabłoni i spędzić potem noc, patrząc na te kwiaty, gdzie błyszczła ta sama kremowa esencja, pudrująca jeszcze swoją pianą zawiązki liści! Rzekłoby się, iż to kwaciarz, przez uprzejmość dla mnie, przez pomysłowość także i dla efektownego kontrastu, pomieścił między ich białymi płatkami z każdej strony ładny różowy pączek; patrzyłem na nie, ustawiałem je pod lampą, tak długo, że często trwałem tak jeszcze, kiedy jutrzienka przydawała im tej samej czerwieni, jaką musiała rodzić o tym czasie w Balbec. I sililem

się przenieść je wyobraźnią na tę drogę w Balbec, mnożyć je, rozmieścić w przygotowanej ramie, na gotowym już płótnie owych zagród, których rysunek umiałem na pamięć i które tak byłbym pragnął ujrzeć — które pewnego dnia miałem ujrzeć — w chwili gdy z czarującą werwą geniuszu wiosna pokrywa ich kanwę swymi kolorami.

Zanim wsiedliśmy do powozu, skomponowałem sobie obraz morza, którego miałem szukać, które spodziewałem się oglądać wraz z „promiennym słońcem”. Widziałem je w Balbec jedynie pokawałkowane wśród tyłu pospolitych wycinków, nieuznawanych przez moje marzenie: letnicy, kabiny, spacerowe jachty. Ale kiedy powóz pani de Villeparisis przybywał na szczyt zbocza i kiedym oglądał morze poprzez liście drzew, wówczas z daleka zniknęły niechybnie owe współczesne szczegóły, mieszczące je jak gdyby poza naturą i historią; i daremnie, patrząc na fale, siliłem się pamiętać, że to są te same, które Leconte de Lisle maluje nam w *Orestei*, kiedy, „niby drapieżnych ptaków lot w jutrzeńki blasku”, długowłosi woje bohaterskiej Hellady „stu tysiącami wiosł bili dźwięczną falę”. Ale w zamian nie byłem już dość blisko morza, które nie wydawało mi się żyjące, ale skrzepłe; nie czułem już potęgi pod tymi farbami rozpostartymi niby na obrazie między liśćmi, gdzie morze ukazywało się równie niestałe jak niebo i tylko od niego ciemniejsze.

Widząc, że kocham kościoły, pani de Villeparisis przyrzekła mi, że pojedziemy kiedyś obejrzeć jeden, to znów kiedy indziej drugi, zwłaszcza kościół w Carqueville, „cały schowany pod starym bluszczem”, mówiła margrabina, jak gdyby gestem wdzięcznie spowijając urojoną fasadę w niewidzialne i delikatne listowie. Pani de Villeparisis znajdowała często, wraz z tym lekkim ilustrującym gestem, trafne słowa dla określenia uroku i odrębności jakiejś budowli, unikając zawsze terminów technicznych, ale nie mogąc ukryć, iż bardzo dobrze zna się na tym, o czym mówi. Usprawiedliwiała się jak gdyby tym, że jeden z zamków jej ojca, gdzie się chowała, znajdował się w okolicy posiadającej kościoły tego samego stylu co dokoła Balbec; byłby tedy wstyd, gdyby nie nabrała pasji do architektury, ile że sam ów zamek był zresztą wspaniałym okazem renesansowego budownictwa. Ale że był on zarazem prawdziwym muzeum — grywali tam Chopin i Liszt, mówił tam wiersze Lamartine, wszyscy znani artyści całej epoki wpisywali tam w rodzinne album myśli, melodie, szkice — pani de Villeparisis przez wdzięk, przez dobre wychowanie, przez istotną skromność lub przez brak filozoficznego zmysłu, przytaczała jedynie owo czysto materialne źródło swojego znanstwa we wszystkich sztukach, tak iż w końcu robiło to wrażenie, że uważa malarstwo, muzykę, literaturę i filozofię za wiano młodej panny, najarystokratyczniej wychowanej w skatalogowanym i sławnym zabytku. Można by rzec, że nie istnieją dla niej inne obrazy prócz tych, które się odziedziczyło. Rada była, że babce podoba się naszyjnik wyglądający jej zza stanika. Znajdował się na portrecie jakiejś prababki, pędzla Tycjana, portrecie, który nigdy nie wyszedł z rodziny. W ten sposób miało się pewność, że jest prawdziwy. Nie chciała słyszeć o obrazach kupionych nie wiadomo jak przez jakiegoś krezusa; była z góry przekonana, że są fałszywe i nie miała żadnej ochoty ich oglądać. Wiedzieliśmy, że sama margrabina maluje kwiaty akwarelą; babka, która słyszała pochlebne rzeczy o jej sztuce, wspomniała o tym. Pani de Villeparisis odmieniła rozmowę przez skromność, ale nie okazując więcej zdziwienia i przyjemności niż mogłaby ich okazać znana artystka, której komplementy nie mówią nic nowego. Powiedziała tylko, że to jest rozkoszne spędzenie czasu, bo jeżeli kwiaty zrodzone z pędzla nie są nadzwyczajne, to przynajmniej malując je, żyje się w towarzystwie kwiatów naturalnych, których pięknnością — zwłaszcza gdy je trzeba oglądać z bliska, aby je naśladować — nie podobna się znużyć. Ale w Balbec pani de Villeparisis używała sobie urlopu, aby dać odpocząć oczom.

Byliśmy z babką zdziwieni, widząc, o ile margrabina jest bardziej „liberalna”, niż bywa nawet przeważna część mieszczaństwa. Dziwiła się, że się ktoś gorszy wypędzeniem jezuitów; powiadała, że to się zawsze praktykowało, nawet za monarchii, nawet w Hiszpanii. Broniła republiki, której wyrzucała antyklerykalizm jedynie w tej mierze: „Uważałabym za równie nieznośne, gdyby mi zabraniano iść na mszę, o ile mam ochotę, co gdyby mnie zmuszano do tego, jeżeli nie chcę”. Puszczala się nawet na powiedzenia w tym rodzaju: „Och, dzisiaj szlachectwo, cóż to znaczy!”, „Dla mnie, człowiek, który nie pracuje, to jest nic”; może jedynie dlatego, że czuła, ile takie powiedzenia nabierają pikanterii, smaku, charakteru właśnie w jej ustach. Słyszając owe tak szczerze wyrażane postępowe poglądy — niesięgające jednak aż do socjalizmu, prawdziwej zmory pani de Villeparisis — wy-

głaszane właśnie przez jedną z owych osób, które, narzucając nam szacunek dla swojej inteligencji, nie pozwalają naszej skrupulatnej i tchórzliwej bezstronności potępić hasła konserwatystów, skłonni byliśmy z babką niemal wierzyć, że w naszej milej towarzysze znajduje się miara i wzór wszelkiej prawdy. Wierzyliśmy na słowo margrabinie, gdy wydawała sądy o swoich Tycjanach, o kolumnadzie w swoim zamku, o dowcipie konwersacji Ludwika Filipa. Bywają erudyci, którzy olśniewają nas, kiedy ich naprowadzić na malarstwo egipskie lub napisy etruskie, natomiast o współczesnych dziełach mówią w sposób tak banalny, iż zapytujemy sami siebie, czyśmy nie przecenili wartości nauk, w których są biegli, skoro nie ujawnia się w nich ta sama tępota, jaką musieli przecie w nie wnieść, równie dobrze jak w swoje płaskie studium o Baudelaire. Podobnie pani de Villeparisis, pytana przeze mnie o Chateaubrianda, o Balzaka, o Wiktora Hugo, bywających niegdyś u jej rodziców i znanych jej osobiście, śmiała się z mojego podziwu, opowiadała o nich dowcipne historyjki, jak je dopiero co opowiadała o wielkich panach lub o mężach stanu, i surowo sądziła tych pisarzy, właśnie dlatego, że im brakło owej skromności, owego usuwania się w cień, owego umiaru, który się zadowala jednym rysem i nie podkreśla, unikając ponad wszystko śmieszności frazeologii; owej przytomności umysłu, trafności sądu, prostoty, do których (jak ją uczono) wznoszą się umysły prawdziwie wartościowe. Widać było, że margrabina bez wahania przekłada ludzi, którym może w istocie zalety te dawały przewagę nad takim Balzakiem, nad Wiktorem Hugo, Alfredem de Vigny, w salonie, w Akademii, na radzie ministrów — ludzi jak Molé, Fontanes, Vitrolles, Bersot, Pasquier, Lebrun, Salvandy lub Daru.

— To tak jak powieści Stendhala, które, jak widzę, ceni pan tak wysoko. Byłby go pan bardzo zdziwił, mówiąc do niego w tym tonie. Ojciec mój, który go widywał u pana Mérimée (to był przynajmniej człowiek z talentem!) często mówił mi, że Beyle (tak się nazywał) był straszliwy ordynus, ale nie bez dowcipu przy stole, i że nie przywiązywał zbytnej wagi do swoich książek. Zresztą musiał pan zauważyć, jakim wzruszeniem ramion przyjął przesadne pochwały pana de Balzac. W tym przynajmniej okazał się człowiekiem dobrego towarzystwa.

Margrabina miała autografy wszystkich tych wielkich ludzi i podkreślając osobiste stosunki, jakie rodzina jej utrzymywała z nimi, zdawała się przeświadczona, że jej sąd trafniejszy jest niż sąd młodych ludzi, którzy, jak ja, nie mogli ich znać.

— Mogę chyba o nich mówić, bo bywali u mego ojca; i jak powiadał pan Sainte-Beuve, człowiek bardzo inteligentny, trzeba w tym względzie wierzyć osobom, które ich widywały z bliska i mogły ściśle osądzić, co byli warci.

Czasami, gdy powóz wspinał się pod górę między uprawnymi polami, kilka niepewnych bławatków, przypominających mi Combray, biegło za nami, czyniąc pola czymś bardziej realnym, przydając im znamię autentyczności, niby ów szacowny kwiatek, jakim niektórzy dawni mistrze sygnowali swoje obrazy. Niebawem konie wyprzedzały je, ale po kilku krokach spostrzegaliśmy jakiś inny, który, czekając na nas, zatknął przed nami w trawie swoją niebieską gwiazdę; niektóre ośmielały się do tego stopnia, że przystawały na skraju drogi: była to istna mgławica, tworząca się z moich dalekich wspomnień i z oswojonych kwiatów.

Zjeżdżaliśmy w dół; wówczas mijaliśmy jakąś ludzką istotę, wstępującą na zбочce pieszo, na bicyklu, w kariołce lub powozem, dziewczynę wiejską pędzącą krowę lub wół leżącą na wózku, córkę sklepiarza zażywającą przechadzki, wykwinną pannę siedzącą na przedzie landa na wprost rodziców — kwiaty pogodnego dnia, ale niepodobne kwiatom polnym, bo każdy z nich kryje coś, czego nie ma w tamtych i co nie pozwoli nam znaleźć w innych, podobnych mu, zadowolenia pragnień, jakie w nas zrodził... Niewątpliwie, Bloch otworzył mi nową erę i zmienił dla mnie wartość życia w dniu, gdy mnie pouczył, iż marzenia, które nosiłem samotnie w stronę Méséglise, kiedy pragnąłem zjawienia się wieśniaczki, aby ją wziąć w ramiona, nie są chimerą pozbawioną wszelkiej realności poza mną, ale że wszystkie spotykane dziewczyny, wieśniaczki czy panny z miasta, gotowe są tych pragnień wysłuchać. I choćbym miał — teraz, kiedy byłem cierpiący i nie wychodziłem sam — nigdy nie zakosztować ich miłości, i tak czułem się szczęśliwy niby dziecko urodzone w więzieniu lub w szpitalu, które, długo wierząc, że organizm ludzki może strawić jedynie suchy chleb lub lekarstwa, dowiedziało się nagle, że brzoskwinie, morele, winogrona, nie są jedynie ornamentem pejzażu, ale rozkosznym i strawnym po-

żywieniem. Nawet jeżeli dozorca lub pielęgniarka nie pozwolą mu zrywać tych pięknych owoców, świat widzi mu się już lepszy, a istnienie znośniejsze. Bo pragnienie wydaje się nam piękniejsze, opieramy się na nim z większą ufnością, kiedy wiemy, że poza nami rzeczywistość odpowiada mu, nawet jeżeli dla nas jest ono niepodobne do ziszczenia. I myślimy z większą radością o życiu, w którym możemy sobie wyobrazić siebie sycących nasze pragnienia pod warunkiem, żebyśmy usunęli na chwilę z naszej myśli przypadkową i specjalną małą przeszkodę, broniącą nam uczynić to osobiście. Od dnia, kiedy się dowiedział, że policzki spotykanych dziewcząt można całować, stałem się ciekaw ich duszy. I wszechświat wydał mi się bardziej interesujący.

Powóz pani de Villeparisis jechał szybko. Ledwie miał czas przyjrzeć się dziewczęciu idącemu w naszym kierunku. Piękność ludzka nie jest jak uroda rzeczy; czujemy, że jest pięknością istoty jedynej, świadomej i obdarzonej wolą. Toteż z chwilą, gdy osobowość tej dziewczyny, jej nieuchwytna dusza, nieznana mi wola, wyraziła się małym, cudownie zmniejszonym, ale pełnym obrazem w jej nieuważnym spojrzeniu, już — niby tajemnicza kopia pyłków przeznaczonych dla słupka — czułem, iż we mnie drży równie nieokreślony, równie maleńki embriion żądzy, aby nie dać przejść tej dziewczynie, zmusić jej myśl, by przyjęła do świadomości moją osobę, zabronić jej pragnieniom biec do kogokolwiek innego, wcisnąć się w jej marzenia i ovladnąć jej sercem. Tymczasem powóz oddalał się, piękna dziewczyna była już za nami, że zaś nie posiadała o mnie żadnego z pojęć tworzących osobowość, oczy jej, które zaledwie mnie widziały, już zapomniały o mnie. Czy dlatego, że ją ujrzał ledwie w przelocie, wydała mi się tak piękna? Może. Niepodobieństwo zatrzymania się przy kobiecie, ryzyko, że się jej nie odnajdzie innego dnia, dają jej nagle i od razu ten sam urok, jaki obcemu krajowi daje choroba czy ubóstwo niepozwalające go nam zwiedzić lub jaki bezbarwnym dniom, pozostałym nam do życia, daje walka, w której zapewne padniemy. Tak iż gdyby nie przyzwyczajenie, życie musiałoby się wydać rozkoszne istotom zagrożonym w każdej godzinie śmiercią — to znaczy wszystkim ludziom. Następnie, o ile wyobraźnię porywa żądza tego, czego nie możemy posiadać, rozpędu jej nie ogranicza dokładnie doznana rzeczywistość w owych spotkaniach, w których wdzięki mijanej osoby są zazwyczaj w prostym stosunku do szybkości mijania jej. Niech tylko zapadnie zmrok, a powóz niech jedzie szybko, na wsi czy w mieście, a każdy tors kobiecy, uszkodzony niby starożytny marmur przez szybkość, która nas porywa, i zmierzch, który go roztopia, będzie miotał w nasze serce, na każdym zakręcie drogi, z głębi każdego sklepu, strzały Piękności. I mielibyśmy czasem chęć zapytać, czy piękność jest w tym świecie czym innym niż dopełnieniem, jakie nasza podniecona żalem wyobraźnia przydaje fragmentarycznym i ulotnym kształtom mijanej osoby.

Gdybym mógł zejść porozmawiać z dziewczyną, którąśmijaliśmy, może by mnie rozczarowała jakaś skaza jej skóry, niezauważona z powozu? (I wówczas wszelki wysiłek dla wnikięcia w jej życie wydałby mi się nagle niemożliwy. Bo piękność jest ciągiem hipotez, które zwęża brzydota, zamykając drogę już się otwierającą w nieznanne). Może jedno słowo tej dziewczyny, jeden uśmiech, dostarczyłyby mi nieoczekiwanego klucza, szyfru, dla odczytania wyrazu jej twarzy i jej chodu, które natychmiast stałyby się banalne. Możliwe, bo nigdy nie spotkałem w życiu równie ponętnych dziewczyn jak w dniu, gdy towarzyszył jakiejś poważnej osobie, której, mimo tysiąca wyszukiwanych pozorów, nie mogłem opuścić. W kilka lat po moim pierwszym pobycie w Balbec, jadąc w Paryżu powozem z przyjacielem ojca i spostrzegłszy kobietę idącą szybko w ciemności, pomyślałem, że byłoby szaleństwem stracić dla konwenansu swoją część szczęścia w jedynym życiu, jakie zapewne istnieje; jakoż, wyskoczywszy z powozu bez usprawiedliwienia się, pobiegnę za nieznaną, straciłem ją na zbiegu dwóch ulic, dopadłem ją w trzeciej i znalazłem się wreszcie, bez tchu, pod latarnią, na wprost starej Verdurin, której unikałem wszędzie i która, szczęśliwa i zdziwiona, wykrzyknęła: „Och! jak to uprzejmie z pana strony tak biec po to, żeby się ze mną przywitać?”

Tego roku w Balbec, w chwili takich spotkań, upewniałem babkę i panią de Villeparisis, że mnie rozboleła głowa i że dobrze mi zrobi wrócić pieszo. Nie pozwalały mi wysiąść. I dołączałem ładną dziewczynę (o wiele trudniejszą do odnalezienia niż jakiś zabytek, bo była bezimienna i ruchoma) do kolekcji wszystkich tych, które sobie przyrzekłem ujrzeć z bliska. Jedna tylko zjawiła mi się ponownie w okolicznościach takich, że myślałem, iż mógłbym ją poznać, jak pragnąłem. Była to mleczarka, przynosiła ze

Piękno

wsi śmietankę do hotelu. Myślałem, że i ona mnie poznała; w istocie patrzała na mnie z uwagą, jaką wywołało może jedynie zdziwienie, że ja się jej tak przyglądam. Otóż nazajutrz, w dniu, kiedy leżałem całe rano, Franciszka, przyszedłszy rozsunać koło południa firanki, oddała mi list, zostawiony dla mnie w hotelu. Nie znałem nikogo w Balbec. Nie wątpiłem, że list jest od mlecarki. Niestety, był od pana Bergotte, który w przejeździe próbował się ze mną zobaczyć, ale dowiedziawszy się, że śpię, zostawił mi przemyślnie kilka słów. Chłopiec od windy włożył jego bilet w kopertę z adresem, który wzięłem za pismo mlecarki. Uczułem straszliwy zawód; myślałem, że trudniej i pochlebniej jest mieć list od Bergotte'a, nie pocieszała mnie zgoła w tym, że to nie był list od mlecarki. I owej dziewczyny również nie odnalazłem, tak samo jak tych, którym widział jedynie z powozu pani de Villeparisis. Widok i utrata ich wszystkich wzmagały stan podniecenia, w jakim żyłem; zaczynałem rozumieć mądrość filozofów, zalecających nam ograniczyć nasze pragnienia (o ile, rozumie się, mają na myśli pragnienie jakiejś istoty, jedyne zdolne zrodzić w nas niepokój, jako mające za cel Nieznane Świadome. Przypuścić, iż filozofia mówi o pragnieniu bogactw, byłoby zbyt niedorzeczne). Mimo to, byłem skłonny uważać tę mądrość za niepełną, powiadałem sobie bowiem, iż spotkania te każą mi znajdować jeszcze piękniejszym świat, gdzie tak po wszystkich wiejskich drogach rosną kwiaty osobliwe i pospolite zarazem, ulotne skarby dnia, gratki spaceru, dające nowy smak życiu, z których jedynie przypadkowe warunki (a te może nie będą się powtarzały zawsze) przeszkodziły mi skorzystać.

Ale może, spodziewając się, iż któregoś dnia, swobodniejszy, mógłbym spotkać na innych drogach podobne dziewczyny, zacząłem już fałszować to, co jest wyłącznie indywidualnego w pragnieniu życia obok kobiety, która się nam wydała ładna; i przez fakt, że dopuszczałem możliwość wywołania go sztucznie, uznawałem tym samym jego złudność.

Jednego dnia pani de Villeparisis zawiozła nas do Carqueville, gdzie się znajduje ów obrosły bluszczem kościół, o którym wspominała. Zbudowany na pagórku, góruje nad wsią, nad rzeką przepływającą przez wieś, gdzie zachował się jakiś średniowieczny mostek. Babka, myśląc, że rad będę zostać sam, aby się przyjrzeć kościołowi, zaproponowała przyjaciółce podwieczorek w cukierni na rynku, który widać było wyraźnie i który, w swojej złocistej patynie, stanowił niby inną część jakiegoś starożytnego przedmiotu. Umówiliśmy się, że się tam spotkamy. Aby rozpoznać kościół w bloku zieloności, przed którym mnie zostawiono, trzeba było uczynić wysiłek, dający mi głębiej wniknąć w ideę kościoła. W istocie, jak zdarza się uczniom, pełniej ogarniającym sens zdania, kiedy się im każe dla ćwiczenia rozebrać je z form, do jakich przywykli, musiałem sobie wciąż tutaj uprzytamniać ideę kościoła, której zazwyczaj prawie nie potrzebowałem wobec wież rysujących się wyraźnie; musiałem odwoływać się do niej, aby nie zapomnieć tu, że wierzchołek tego bluszczowego gąszczu jest sklepieniem gotyckiego okna, ówdzie, że wykusz liści wynika z wypukłości gzymsu. Ale wówczas zrywał się lekki wiatr, wstrząsał ruchomą kruchną, którą przebiegały dreszcze przeciągłe i drżące jak światło, liście trącały się o siebie wzajem, i roślinna fasada, cała drżąca, pociągała z sobą płynne, puszczone i chwiejące się filary.

Kiedy opuszczałem kościół, ujrzałem koło starego mostu dziewczęta wiejskie, które, z pewnością dlatego, że to była niedziela, stały wystrojone, nawołując przechodzących chłopaków. Była wśród nich roślina dziewczyna o poważnej i energicznej twarzy, mniej strojna od innych, ale jak gdyby górująca czymś nad nimi, bo ledwie odpowiadała na to, co do niej mówiły. Wpół siedząc ze zwieszonymi nogami na poręczy mostu, miała przed sobą garnek pełen ryb, które zapewne dopiero co złowiła. Miała smagłą cerę, oczy łagodne, ale o spojrzeniu jakby wzgardliwym dla tego, co ją otaczało, kształtny i uroczy nosek. Spojrzenia moje kładły się na jej skórze, a wargi moje mogły ostatecznie wierzyć, że towarzyszyły moim spojrzeniom. Ale nie tylko jej ciało byłbym chciał dotknąć; także osobę, która w nim żyła i której można dotknąć tylko w jeden sposób, to znaczy ściągając jej uwagę, a wniknąć w nią jedynie budząc w niej myśl.

I ta wewnętrzna istota pięknej rybaczki zdawała mi się jeszcze zamknięta; powątpiewałem, czym w nią się wdarł, nawet kiedy ujrzałem własny obraz odbijający się ukradkiem w zwierciadle jej spojrzenia, wedle prawideł refrakcji, równie mi nieznanym, co gdybym się znalazł w polu widzenia łani. Ale tak samo jak nie byłoby mi wystarczyło, aby wargi moje wzięły rozkosz z jej warg, lecz byłbym chciał, aby ją dały i jej, tak samo chciałbym,

aby pojęcie *mnie*, wchodząc w tę istotę, zajął się w niej, ściągnęło na mnie nie tylko jej uwagę, ale i podziw, i pragnienie, i aby ją zmusiło do zachowania mego wspomnienia aż do dnia, gdy mógłbym ją odnaleźć. Tymczasem widziałem o kilka kroków miejsce, gdzie mnie miał oczekiwać powóz pani de Villeparisis. Miałem tylko jedną chwilę; już czułem, że dziewczęta zaczynają chichotać z tego, że tak przystanął. Miałem pięć franków w kieszeni. Wyjąłem je i zanim wytłumaczyłem pięknej dziewczynie swoje zlecenie, pragnąc mieć więcej szans, że mnie posłucha, trzymałem przez chwilę pieniądź przed jej oczami:

— Mam wrażenie, że pani jest tutejsza — rzekłem do rybaczki — czy byłaby pani tak dobra załatwić dla mnie pewien drobiazg? Trzeba by przejść do cukierni, znajdującej się podobno na rynku, ale nie wiem ściśle gdzie; tam czeka na mnie powóz. Niech pani czeka!... Dla uniknięcia pomyłki, zapyta pani, czy to jest powóz margrabiny de Villeparisis. Zresztą pozna go pani, jest dwukonny.

To chciałem, żeby wiedziała, aby zyskała o mnie wysokie pojęcie. I kiedym wymówił słowa „margrabina” i „dwukonny”, nagle doznałem wielkiego ukojenia. Uczułem, że rybaczka zapamięta mnie, i wraz z lękiem, że jej nie zdołam odszukać, rozproszyła się w znacznej mierze i żądza odszukania jej. Miałem uczucie, że dotknął niewidzialnymi wargami jej osoby i że się jej spodobałem. I to wzięcie jej duszy przemocą, to niematerialne posiadanie, odjęło dziewczynie tyleż tajemnicy, ile mogłoby odjąć posiadanie fizyczne.

Jechaliśmy w dół ku Hudimesnil; naraz wypełniło mnie owo głębokie szczęście, które nieczęsto odczuwałem od czasu Combray; szczęście analogiczne z tym, jakie mi dały, między innymi, wieże w Martinville. Ale tym razem pozostało ono niepełne. Spostrzegłem poniżej kabłąku wysklepionej drogi, którąśmy jechali, trzy drzewa, znaczące wjazd do zacienionej alei i tworzące rysunek, oglądany przeze mnie jakby nie po raz pierwszy. Nie umiałem rozpoznać miejsca, skąd je jak gdyby wyrwano, ale czułem, że było mi ono niegdyś dobrze znane; i gdy mój duch wahał się tak między jakimś odległym rokiem a chwilą obecną, okolice Balbec zachwiały się i spytałem sam siebie, czy cały ten spacer nie jest fikcją, Balbec miejscem, gdzie był jedynie w wyobraźni, pani de Villeparisis figurą z powieści, a trzy stare drzewa rzeczywistością, którą odnajdujemy, podnosząc oczy znad czytanej właśnie książki, co nam opisywała jakieś miejsce, dając nam wreszcie uwierzyć w naszą w nim obecność.

Patrzałem na trzy drzewa; widziałem je dobrze, ale duch mój czuł, że pokrywają coś, co się umyka jego władzy, niby zbyt daleko pomieszczone przedmioty, których nasze wyciągnięte palce ledwo chwilami dotykają, niezdolne ich pochwycić. Wówczas odpoczywamy chwilę, aby próbować sięgnąć dalej silniejszym rzutem ramienia. Ale, iżby mój duch mógł się tak skupić, wziąć rozmach, na to musiałbym być sam. Jakże byłbym chciał móc się oddalić, jak to czyniłem w czasie spacerów w stronę Guermantes, kiedym się odłączał od rodziców. Zdawało mi się nawet, że powinien bym to uczynić. Poznawałem ów rodzaj przyjemności, który wymaga niewątpliwie pewnej pracy myśli, ale wobec której słodczy lenistwa każącego się nam wyrzec tej pracy wydają się bardzo mierne. Rzadko jedynie doznawałem tej przyjemności, której przedmiot zaledwie przeczuwałem, którą musiałem sam stworzyć, ale za każdym razem miałem uczucie, iż rzeczy dziejące się w przerwach są prawie bez znaczenia i że mógłbym wreszcie rozpocząć prawdziwe życie, czepiając się jego jedynej rzeczywistości.

Zasłoniłem na chwilę oczy, aby moc je zamknąć tak, by pani de Villeparisis tego nie spostrzegła. Trwałem w ten sposób, nie myśląc o niczym, po czym z mojej skupionej, mocniej uchwyconej myśli, skoczyłem dalej w kierunku drzew lub raczej w tym wewnętrznym kierunku, na którego końcu widziałem je w sobie samym. Znów czułem za nimi ten sam przedmiot znany, ale mglisty, którego nie mogłem ściągnąć do siebie. Jednakże, w miarę jak powóz się posuwał, widziałem, jak wszystkie trzy zbliżają się. Gdzie ja już patrzył na nie? Nie było w okolicach Combray żadnego miejsca, gdzie by się aleja otwierała w ten sposób. Nie było również nic podobnego w miejscowości w Niemczech, gdzie był pewnego roku z babką u wód. Miałem przypuszczać, iż pochodzą z tak już odległych lat mojego życia, że otaczający je krajobraz zatracił się całkowicie w mojej pamięci i że, niby stronicie nagle odnalezione ze wzruszeniem w jakimś dziele, o którym sądziliśmy, żeśmy go nigdy nie czytali, wypływały same z zapomnianej książki mego nie-

Drzewo

mowlęctwa? Czy też, przeciwnie, należały do owych krajobrazów oglądanych we śnie, zawsze tych samych, przynajmniej dla mnie, a ich dziwny wygląd był dla mnie jedynie spełnioną we śnie obiektywizacją wysiłku, jaki czynilem na jawie, czy aby osiągnąć tajemnicę w miejscu, poza którego pozorem przeczuwałem ją, jak mi się to tak często zdarzało w *stronie Guermantes*, czy aby próbować przywrócić tę tajemnicę miejscu, którym pragnął poznać, a które od dnia, gdy je poznałem, wydało mi się całkowicie fikcyjne²⁵, jak Balbec? Czy były jedynie obrazem całkiem świeżym, wyrwanym ze snów wczorajszej nocy, ale tak już zatartym, że zdawał mi się znacznie dawniejszy? Lub może nie widziałem tych drzew nigdy i może kryły za sobą, jak jakieś drzewa i trawy widziane w *stronie Guermantes*, sens równie tajemniczy, równie trudny do pochwycenia jak odległa przeszłość; tak iż wzywany przez nie do zgłębienia myśli, sądziłem, że mam rozpoznać wspomnienie? A może nie kryły nawet myśli; może to po prostu znużenie mojej wizji ukazywało mi je podwójnie w czasie, jak się czasem widzi podwójnie w przestrzeni? Nie wiedziałem. Tymczasem one szły ku mnie; może zjawisko mistyczne, ront czarownic lub wiedźm, częstujący mnie swymi wróżbami. Sądziłem raczej, że to są widma przeszłości, drodzy towarzysze mego dzieciństwa, zgubieni przyjaciele, przywołujący nasze wspólne wspomnienia. Niby cienie, zdawały się prosić mnie, abym je wziął z sobą, abym je wrócił życiu. W ich naiwnej i namiętnej gestykulacji rozpoznawałem bezsilny żal istoty kochanej, która straciwszy mowę, czuje, że nie będzie nam mogła wyrazić, czego chce, a czego nie umiemy odgadnąć. Niebawem na skrzyżowaniu dróg powóz opuścił te drzewa. Unosił mnie — podobny w tym do mojego życia — daleko od tego, com uważał za jedynie prawdziwe, od tego, co by mnie uczyniło naprawdę szczęśliwym.

Widziałem, jak drzewa oddalają się, poruszając rozpaczliwie rękami, zdając się mówić do mnie: „Czego się nie dowiesz od nas dzisiaj, nie dowiesz się nigdy. Jeżeli nam pozwolisz opaść na dno tej drogi, skąd sililiśmy się wspiąć do ciebie, ten sekret o tobie, któryśmy ci przynosiły, osunie się na zawsze w nicość”. W istocie, o ile później odnajdywałem rodzaj przyjemności i niepokoju, jakie odczułem w tej chwili jeszcze raz, i jeżeli pewnego wieczora — za późno, ale na zawsze — przywiązałem się do nich, w zamian za to nie dowiedziałem się nigdy, co mi chciały przynieść te drzewa, ani gdzie je widział. I kiedy powóz skręcił, kiedy się obróciłem do nich plecami i przestał je widzieć, gdy pani de Villeparisis pytała mnie, czemum się zamyślił, byłem smutny tak, jak gdybym stracił przyjaciela, jak gdybym sam umarł, zaparł się umarłego lub wyrzekł się Boga.

Trzeba było myśleć o powrocie. Pani de Villeparisis, która miała niejakić poczucie przyrody, chłodniejsze niż babka, ale zdolne rozpoznać, nawet poza muzeami i arystokratycznymi rezydencjami, proste i majestatyczne piękno pewnych dawnych rzeczy, mówiła stangretowi, aby wracał do Balbec starą drogą, mało uczęszczaną, ale obsadzoną wspinałymi starymi wiazami.

Skorośmy już dobrze poznali tę starą drogę, wówczas dla odmiany wracaliśmy (o ileśmy nie jechali tamtędy z domu) inną, wiodącą przez lasy Chantereine i Canteloup. Niewidzialność bezliku ptaków, które nawoływały się tuż obok nas w drzewach, dawała to samo wrażenie spoczynku, jakie się ma z zamkniętymi oczami. Przykuty do przedniej ławeczki jak Prometeusz do skały, słuchałem swoich oceanid. I kiedy przypadkiem spostrzegłem ptaka przelatującego z jednego liścia na drugi, tak mało widoczny był węzeł między nim a tymi śpiewami, że nie odczuwałem ich źródła w podskakującym ciałku, zdziwionym i pozbawionym spojrzenia.

Ta droga przypominała wiele innych we Francji; szła pod górę dosyć bystro, potem zniżala się na długiej przestrzeni. W danej chwili nie znajdowałem w niej zbyt uroku; byłem tylko rad, że wracam. Ale stała się ona dla mnie później przyczyną radości, pozostając w mojej pamięci niby haczyk, na który wszystkie podobne drogi, jakie miałem przebywać w ciągu spacerów lub podróży, chwytaly się natychmiast bez przerwy ciągłości i mogły dzięki niemu zetknąć się bezpośrednio z moim sercem. Z chwilą bowiem gdy powóz lub samochód zapuściły się w jedną z owych dróg, będących niby dalszym ciągiem tej, którą przebywałem z panią de Villeparisis, odnajdywałem (gubiąc wszystkie pośrednie lata) wrażenia owych schyłków dnia, spacerów robionych w okolice Balbec, kiedy liście pachniały, kiedy podnosiła się mgła i kiedy za najbliższą wioską widziało się

²⁵fikcyjne — w innym wydaniu, w tym samym tłumaczeniu: nieciekawe. [przypis edytorski]

poprzez drzewa zachód słońca niby jakąś dalszą miejscowość leśną, odległą, dokąd nie dotrze się tego wieczora. I moja doraźna świadomość wspierała się natychmiast na tym, jak na najświeższej przeszłości. Owe wrażenia, wiążące się z wrażeniami, jakich doznawałem teraz w innych stronach, na podobnej drodze, spowite we wszystkie uboczne a wspólne im uczucia swobodnego oddechu, ciekawości, lenistwa, apetytu, wesela — wrażenia te, tłumiąc wszystkie inne, krzepiły się, zagęszczały w swoisty typ przyjemności, niemal ramę istnienia, które rzadko zresztą miałem sposobność odnaleźć, ale w którym zbudzone wspomnienia w materialną percepcję rzeczywistości wносиły część rzeczywistości wywołanej, wyśnionej, niepochwytnej, wystarczającą, aby wśród okolic, jakimi przejeżdżałem, wzbudzić we mnie — ponad wszelkie wrażenia estetyczne — ulotną lecz namiętną chęć pozostania tam na zawsze. Ileż razy, przez to jedynie, żem poczuł zapach liści, siedzieć na ławeczce na wprost pani de Villeparisis, minąć księżnę de Luxembourg kiwającą nam dłonią ze swego powozu, wracać na obiad do Grand Hotelu, objawiło mi się jako jedno z owych niewysłowionych szczęść, jakich nie może nam wrócić ani obecność, ani przyszłość, jakich kosztuje się tylko raz w życiu.

Często, zanim wróciliśmy, zapadł już zmrok. Pokazując pani de Villeparisis księżyc, cytowałem nieśmiało jakieś piękne wyrażenie Chateaubrianda, Alfreda de Vigny lub Wiktora Hugo: „Księżyc rozlewał odwieczną tajemnicę melancholii” albo: „płacząca niby Diana na źródlanym brzegu”, albo: „Zapadał cień weselny, dostojny, wspaniały”.

— I panu się to wydaje piękne? — pytała. — „Genialne”, jak pan powiada! Powiem panu, iż zawsze się dziwię, widząc, jak się teraz bierze na serio rzeczy, z których przyjaciele tych panów, mimo iż oddając pełną sprawiedliwość ich talentom, pierwsi sobie żartowali. Nie rozdawało się tak tytułu geniuszów jak dziś. Dziś, kiedy pan powie po prostu komu, że ma talent, pisarz bierze to za obrazę. Cytuje mi pan apostrofę pana de Chateaubriand o księżycu. Zobacz pan, że mam swoje racje, aby nie dzielić pańskiego entuzjazmu. Pan de Chateaubriand bywał często u mojego ojca. Był zresztą miły, kiedy był sam, wówczas był prosty i dowcipny; ale skoro tylko było więcej osób, zaczynał pozować i robił się śmieszny; opowiadał na przykład przy ojcu, jak rzucił w twarz królowi swoją dymisję i jak urabiał w Rzymie konklawe, zapominając że ojciec na jego prośbę chodził do króla, błagając, aby go król wziął z powrotem; toż samo ojciec słyszał pana de Chateaubriand stawiającego co do wyboru papieża najniedorzeczniejsze horoskopy. Trzeba było słyszeć, co o tym sławnym konklawe mówił pan de Blacas, człowiek innego pokroju niż pan de Chateaubriand! Co się tyczy jego frazesów księżycowych, te stały się u nas w domu po prostu ulubioną zabawą. Za każdym razem, kiedy świecił księżyc koło pałacu, jeżeli był jakiś nowy gość, radzono mu, aby wyciągnął pana de Chateaubriand trochę do ogrodu po obiedzie. Kiedy wracali, ojciec zawsze brał gościa na bok. „Pan de Chateaubriand był bardzo wymowny?” — „Och, tak!” — „Mówił panu o blasku księżyca?” — „Tak, skąd pan wie?” — „Zaczekaj pan, czy nie powiedział panu...” (i ojciec cytował frazes). — „Owszem, ale jakim cudem...” — „I mówił panu także o księżycu nad Campagna Romana?” — „Ależ pan jest czarownik”. Ojciec nie był czarownik, ale pan de Chateaubriand miał zwyczaj stale częstować wszystkich tym samym gotowym kawalkiem.

Nazwisko Alfreda de Vigny pobudziło margrabinę do śmiechu.

— Ten który mówił: „Jestem hrabia Alfred de Vigny”. Jest się hrabią, albo się nie jest hrabią, to nie ma najmniejszego znaczenia.

Ale może uważała, że to jednak ma trochę znaczenia, bo dodawała:

— Zresztą nie jestem pewna, czy on był hrabią; w każdym razie był z bardzo skromnej rodziny, ten jegomość, który mówił w wierszach o swoim „rycerskim pióropuszu”... Jakże to pełne smaku i jakie zajmujące dla czytelnika! To tak jak Musset, zwykły mieszczanin paryski, powiadał z emfazą: „Ten złoty jastrząb, co szyszak mój zdobi”. Nigdy prawdziwy wielki pan nie mówi podobnych rzeczy. Przynajmniej Musset jako poeta miał talent. Ale pana de Vigny, poza jego *Cinq-Marsem*, nie mogłam nigdy czytać; z nudów wypada mi książka z ręki. Pan Molé, który miał tyle dowcipu i taktu, ile ich nie dostawało panu de Vigny, ładnie go urządził, przyjmując go w Akademii. Jak to, nie zna pan jego przemówienia? To arcydzieło złośliwości i impertynencji!

Balzakowi zarzucała pani de Villeparisis — dziwiąc się uwielbieniu swoich siostrzeńców dla tego pisarza — że miał pretensje malować towarzystwo, „gdzie go nie przyjmowano” i o którym opowiadał tysiąc nieprawdopodobieństw. Co do Wiktora Hugo,

powiadała, że ojciec jej, pan de Bouillon, który miał przyjaciół wśród młodych romantyków, dostał się dzięki nim na premierę *Hernaniego*, ale nie mógł wytrwać do końca, tak mu się wydawały pocieszne wiersze tego pisarza, zdolnego, ale przesadnego, który otrzymał tytuł wielkiego poety jedynie na zasadzie dobitego targu, w nagrodę swojej interesownej pobłażliwości dla niebezpiecznych bredni socjalistów.

Widzieliśmy już hotel, jego światła, tak mi wrogie w dniu naszego przybycia pierwszego wieczora, teraz opiekuńcze i słodkie, zwiastunki domowego ogniska. I kiedy powóz zajechał przed bramę, odźwierny, groomy, „lift”, skwapliwi, naiwni, lekko zaniepokojeni naszym zapóźnieniem się, skupieni na schodach w oczekiwaniu, stali się nam bliscy, stali się kimś z rzędu owych istot, które zmieniają się tyle razy w ciągu naszego życia, jak my zmieniamy się sami, ale w których wiernym i przyjacielskim odbiciu znajdujemy słodczych w chwili, gdy są czasowym zwierciadłem naszych przyzwyczajęń. Wolimy ich od niewidzianych od dawna przyjaciół, bo zawierają więcej tego, czym jesteśmy w danej chwili. Jedynie młodego „strzelca”, wystawionego na słońce w ciągu dnia, schowano do domu, chroniąc go przed wieczornym chłodem, zakutanego w wełny, które, w połączeniu z pomarańczowym zapłakaniem jego włosów oraz z oryginalnie różowym kwiatem jego policzków, rodziły, w ramie oszklonego hallu, myśl o jakiejś cieplarnianej roślinie, chronionej od zimna. Wysiadaliśmy z powozu, wspomagani przez znacznie większą ilość domowników, niż to było potrzebne; ale wszyscy oni czuli ważność sceny i poczuli się do grania w niej roli. Byłem zgłodniały. Toteż często, aby nie opóźnić chwili obiadu, nie szedłem do pokoju (który stał się w końcu tak rzeczywiście *moim*, że widzieć wielkie fioletowe portiery i niskie szafy z książkami znaczyło znaleźć się sam na sam z owym *ja*, którego obraz nastęrczały mi tak rzeczy jak ludzie), ale czekaliśmy wszyscy razem w hallu, aż zarządzający oznajmi nam, że dano do stołu. Dawało to nam jeszcze sposobność posłuchania pani de Villeparisis.

— Nadużywamy pani — mówiła babka.

— Ale skądże, jestem zachwycona, niezmiernie mi miło — odpowiadała z czarującym uśmiechem, wokalizując słowa melodyjnym tonem, stanowiącym kontrast z jej zwykłą prostotą

Bo też w istocie w tych chwilach nie była naturalna; pamiętała o swoim wychowaniu, o arystokratycznych fasonach, jakimi wielka dama powinna ludziom „nieurodzonym” okazywać, że jej jest miło przebywać z nimi, że nie jest dumna. I jedyną skazą jej prawdziwej grzeczności był nadmiar grzeczności; czuło się w tym zawodową rutynę damy z Faubourg Saint-Germain, która, przeczuwając stale w ludziach z innej sfery rozgorzyczenie, o jakie będzie ich musiała przyprawić któregoś dnia, korzysta skwapliwie ze wszystkich okazji, aby w księdze handlowej własnej dla nich uprzejmości wzmocnić swoje konto pozycją, pozwalającą jej niebawem wpisać w rubryce *debet* obiad lub raut, na który ich nie zaprosi. W ten sposób geniusz kasty, urobiwszy margrabinę raz na zawsze i nie wiedząc, że obecnie warunki są odmienne, osoby inne i że w Paryżu pragnęłaby nas widzieć u siebie często, skłaniał ją z gorączkową skwapliwością — tak jakby czas użyczony na uprzejmość wobec nas był krótki — do tego, aby póki jesteśmy w Balbec, mnożyła przesyłki róż, melonów i książek, spaceru powozem i wylewy przyjaźni. I dzięki temu — w tej samej mierze co oślniewająca słoneczność plaży, co wielobarwne, promienne i podoceaniczne blaski pokojów, co nawet lekcje konnej jazdy, które synów kupca przebóstwiły dla mnie w Aleksandra Macedońskiego — codzienne grzeczności pani de Villeparisis oraz przejściowa, sezonowa łątwość, z jaką babka je przyjmowała, zostały w *moim* wspomnieniu jako charakterystyczne dla życia w kąpielach morskich.

— Oddajcież płaszcz, niech je zaniosą na górę.

Babka oddawała rzeczy dyrektorowi, ja zaś, z przyczyny jego uprzejmości dla mnie, byłem zmartwiony tym brakiem względów, od którego dyrektor zdawał się cierpieć.

— Zdaje się, że ten pan jest urażony — rzekła margrabina. — Uważa się prawdopodobnie za nazbyt wielkiego pana, aby wziąć wasze szale. Przypominam sobie, kiedy byłem jeszcze bardzo mała, księcia de Nemours, jak wszedł do ojca, który mieszkał na najwyższym piętrze pałacu Rouillon, z wielką paczką listów i dzienników. Zdaje mi się, że widzę księcia w niebieskim fraku, stojącego w naszych drzwiach, miały takie ładne boazerie, zdaje mi się, że to Bagard robił, wiecie, te kwiaty, te delikatne gałązki takie gibkie, że snyczerz czasami zakręcał je w małe kokardki, niby wstążki wiążące bukiet. „Masz, Cy-

rusie — rzekł książę de Nemours do ojca — odźwierny dał mi to dla ciebie. Powiedział: »Skoro pan idzie do pana hrabiego, nie warto mi się drapać po schodach; tylko niech pan uważa, żeby się nie rozsypało«. Teraz, kiedyście oddali swoje rzeczy, siadajcie, ot, niech kochana pani siada tu — rzekła do babki, biorąc ją za rękę.

— Och, jeżeli to pani nie robi różnicy, nie na tym fotelu! Za mały jest na dwoje, ale za duży dla mnie samej, źle bym się czuła na nim.

— Przypomina mi pani (bo to był zupełnie taki sam) jeden fotel, który długo był u mnie, ale którego w końcu nie miałam serca zachować, bo go dała mojej matce ta nie-szczęśliwa księżna de Praslin. Matka moja, osoba najprostsza w świecie, ale z pojęciami innej epoki, których ja już nie bardzo rozumiałam, nie chciała z początku dać się przedstawić pani de Praslin, która była z domu tylko panna Sebastiani; tamta znowuż, niby że księżna, uważała, że nie może się przedstawić pierwsza. I w istocie — dodała pani de Villeparisis, zapominając, że nie rozumie tego rodzaju odcieni — gdyby była bodaj panią de Choiseul, można by usprawiedliwić jej pretensje. Choiseul to jest nie byle co, wiodą się od siostry Ludwika Otyłego, to byli prawdziwi monarchowie w Bassigny. Uznaję, że my ich przewyższamy parantelami i znakomitością, ale starożytność jest prawie równa. Z tej kwestii pierwszeństwa wynikły komiczne zdarzenia, na przykład śniadanie spóźnione o dobrą godzinę, którą strawiono na tym, aby jedną z tych pań nakłonić do prezentacji. Mimo to zaprzyjaźniły się później serdecznie. Księżna dała matce ów fotel w rodzaju tego tutaj, w którym, tak jak kochana pani teraz, nikt nie chciał usiąść. Pewnego dnia matka słyszy powóz w dziedzińcu. Pyta lokajczyka, kto to taki. „To księżna de la Rochefoucauld, pani hrabino”. „A, dobrze, prosić”. Po kwadransie nie ma nikogo. „I cóż księżna de la Rochefoucauld, gdzie ona jest?”. „Na schodach, sapie, pani hrabino”, odparł lokajczyk, od niedawna przybyły ze wsi, skąd matka zazwyczaj ich brała. Często była świadkiem ich urodzenia. W ten sposób ma się w domu znacznych ludzi, a to jest najpierwszy zbytek. W istocie księżna de La Rochefoucauld z trudem wchodziła na schody, była olbrzymia, tak olbrzymia, że kiedy weszła, matka była przez chwilę niespokojna, myśląc, gdzie by ją posadzić. Naraz nasunął się jej oczom mebel ofiarowany przez panią de Praslin: „Niechże pani zechce usiąść”, rzekła matka, podsuwając fotel. I księżna wypełniła go po brzegi. Mimo tych rozmiarów, została dosyć ponętna. „Jeszcze robi pewien efekt, kiedy wchodzi”, mówił jeden z naszych przyjaciół. „Zwłaszcza kiedy wychodzi”, odparła matka, która była swobodniejsza w słowach, niżby to było dopuszczalne dzisiaj. Nawet przy pani de La Rochefoucauld nie krępowano się, żartując z jej potężnych wymiarów, z czego się ona śmiała pierwsza. „Jak to, książę jest sam?”, spytała raz pana de La Rochefoucauld moja matka, gdy, przyszedłszy z wizytą do księżnej i witana w drzwiach przez jej męża, nie zauważyła żony siedzącej w głębi. „Czy pani de la Rochefoucauld nie ma? Nie widzę jej”. „Jaka pani uprzejma!”, odparł książę, najbardziej pomyłona głowa jaką znałam, ale niepozbawiony pewnego dowcipu.

Po obiedzie, kiedyśmy poszli do siebie, mówiłem babce, że przymioty, jakie nas zachwycają w pani de Villeparisis, takt, subtelność, dyskrecja, umiar, nie są może zbyt cenne, skoro ludźmi posiadającymi je w najwyższym stopniu byli jedynie panowie Molé i Loménie. Jeżeli brak tych zalet (mówiłem) może być przykry na co dzień, bądź co bądź, brak ten nie przeszkodził zostać Chateaubriandem, Vignym, Wiktorem Hugo, Balzakiem pyszałkom, którzy nie mieli zdrowego sądu o rzeczach i z których łatwo było drwić jak z Blocha...

Ale na nazwisko Blocha babka okrzyknęła się. I zaczęła wychwalać panią de Villeparisis. Tak jak w miłości upodobaniami naszymi kieruje podobno geniusz gatunku, który, iżby dziecko było ukształtowane najnormalniej, każe mężczyznom tłustym poszukiwać kobiet chudych, a chudym tłustych, tak samo wymagania mego szczęścia, zagrożonego neurastenią, chorobliwą skłonnością do smutku i samotności, kazały podświadomie babce przyznawać pierwsze miejsce nocie zrównowazenia i rozsądku. Zalety te były właściwe nie tylko pani de Villeparisis, ale towarzystwu, gdzie mógłbym znaleźć rozrywkę, ukojenie, gdzie rozkwitał duch takiego Doudana lub Rémusata, aby nie rzecz Jouberta lub jakiejś Beausergent i Sévigné; duch dający w życiu więcej godności i szczęścia niż wyrafinowania wiodące jakiegoś Baudelaire’a, Poego, Verlaine’a, Rimbauda do cierpień lub hańby, których babka nie chciała dla wnuka. Przerwałem, aby ją uściskać, i spytałem, czy zauważyła jakieś powiedzenie pani de Villeparisis, którym zdradziła się jako osoba więcej

przywiązująca wagi do urodzenia, niż się do tego przyznaje. W ten sposób przedkładałem babce swoje wrażenia, wiedząc dopiero wówczas, jak mam kogoś oceniać, gdy ona mi to wskazała. Co wieczór przynosiłem jej wzorki, zdjęte w ciągu dnia ze wszystkich tych nieistniejących istot, niebędących nią. Raz powiedziałem jej:

— Bez ciebie nie mógłbym żyć

— Ależ nie, nie trzeba — rzekła wzruszona. — Trzeba starać się mieć twardsze serce. Inaczej co by się z tobą stało, gdybym wyjechała w podróż. Przeciwnie, mam nadzieję, że będziesz bardzo rozsądny i bardzo szczęśliwy.

— Potrafiłbym być rozsądny, gdybyś wyjechała na kilka dni, ale liczyłbym godziny.

— Ale gdybym wyjechała na miesiące... — (Na samą tę myśl serce mi się ścisnęło) — na lata... na...

Zamilkliśmy oboje. Nie śmieliśmy na siebie popatrzeć. Ale bardziej cierpiałem od jej niepokoju niż od własnego. Toteż zbliżyłem się do okna i wyraźnie powiedziałem, odwracając oczy:

— Ty wiesz, jak ja podlegam przyzwyczajeniu. W pierwszych dniach po rozstaniu się z osobami, które kocham najbardziej, czuję się nieszczęśliwy. Ale potem, wciąż kochając je tak samo, przyzwyczajam się jednak, życie płynie mi spokojnie i mile; mógłbym żyć bez nich miesiące, lata...

Musiałem zamilknąć, całkiem odwróciłem się do okna. Babka wyszła na chwilę z pokoju. Ale nazajutrz zacząłem mówić o filozofii; i najobjętniejszym tonem, ale tak, aby ściągnąć uwagę babki na swoje słowa, powiedziałem, że ciekawe jest, iż, wedle ostatnich odkryć wiedzy materializm jak gdyby zbankrutował, i że jeszcze najprawdopodobniejsza jest wieczność dusz i ich przyszłe połączenie.

Pani de Villeparisis uprzedziła nas, że niebawem przyjdzie jej widywać nas mniej często. Siostrzeniec jej, młody człowiek gotujący się do egzaminu w Saumur, a obecnie pełniący służbę wojskową w pobliskim Doncieres, miał przyjechać, aby z nią spędzić parotygodniowy urlop, tak iż będzie mu poświęcała dużo czasu. W ciągu spaceru bardzo nam chwaliła jego niezwykłą inteligencję, zwłaszcza jego dobre serce; już sobie wyobrażałem, że on nabierze sympatii do mnie, że się stanę jego najbliższym przyjacielem; kiedy zaś przed jego przyjazdem pani de Villeparisis dała babce do zrozumienia, że na nieszczęście, ten młody człowiek dostał się w szpony niegodziwej kobiety, za którą szaleje i która go nie wypuści, wówczas, przekonany, iż tego rodzaju miłość kończy się nieuchronnie obłędem, zbrodnią i samobójstwem, myśląc o tym, jak krótki czas przeznaczony jest naszej przyjaźni, już tak wielkiej w moim sercu, zanim go jeszcze ujrzałem, płakałem nad tą przyjaźnią i nad nieszczęściami, jakie ją czekają, niby nad drogą istotą, o której dowiadujemy się, że jest poważnie chora i że jej dni są policzone.

W pewne upalne popołudnie znajdowałem się w jadalni, którą zostawiono na wpół w mroku, aby ją chronić od słońca, zasuwając firanki, żółte od blasku i przepuszczające miejscami migotliwy błękit morza, kiedy na ścieżce wiodącej od plaży do drogi ujrzałem wysokiego młodego człowieka, szczupłego, z giętką szyją, z dumnie podniesioną głową, o bystrym spojrzeniu. Skóra jego była tak jasna, a włosy tak złote, jak gdyby wchłonęły wszystkie promienie słońca. Szedł szybko, odziany w miękką i jasną materię (nigdy nie byłbym sądził, aby mężczyzna ośmielił się włożyć coś podobnego), której lekkość uzmysławiała — nie mniej niż chłód jadalni — upał i pogodę na dworze. Oczy jego (z jednego wciąż wypadła monokl) były koloru morza. Każdy przyglądał mu się z ciekawością; wiadano, że ten młody margrabia de Saint-Loup-en-Bray sławny jest z elegancji. Wszystkie dzienniki opisały strój, w jakim świeżo służył za świadka w pojedynku młodemu księciu d'Uzès. Zdawało się, że tak osobliwe właściwości włosów, oczu, skóry, postawy, które byłyby go wyróżniły w tłumie niby szacowną żyłę mieniącego się i lśniącego opalu uwięzioną w pospolitej materii, muszą odpowiadać życiu różnemu od egzystencji innych ludzi. I kiedy, przed stosunkiem, nad którym bolała pani de Villeparisis, wydierały go sobie najpiękniejsze damy wielkiego świata, obecność jego, na plaży na przykład, obok renomowanej piękności, do której się zalecał, nie tylko wysuwała tę osobę na pierwszy plan, ale ściągała uwagę tyleż na niego co na nią. Z powodu jego „szyku”, jego impertynencji młodego „lwa”, zwłaszcza z powodu jego nadzwyczajnej urody, niektórzy dopatrywali się w nim czegoś zniewieściałego, ale nie w formie zarzutu, wiadano bowiem, jak bardzo jest męski i jak namiętnie kocha kobiety.

Był to ów siostrzeniec pani de Villeparisis, o którym nam mówiła. Byłem oczarowany myślą, że będę z nim obcował przez kilka tygodni; pewien byłem, że mnie pokocha. Przeszedł szybko aleję wiodącą wzdłuż hotelu, zdając się ścigać monokl, który bujał przed nim jak motyl. Wracał z plaży, a morze, sięgające do połowy oszklenia hallu, stwarzało mu tło, na którym odcinał się cały, jak na pewnych portretach, gdzie malarz — nie zbacząc od najściślejszej obserwacji współczesnego życia, ale wybierając dla swego modelu właściwą ramę — teren polo lub golfa, pole wyścigowe, pokład jachtu — pragnie dać nowoczesny ekwiwalent owych płócien, na których prymitywi wyobrażali ludzką twarz na tle krajobrazu. Dwukonny powóz czekał nań przed bramą; i podczas gdy monokl podejmował swoje igraszki na zalanej słońcem drodze, siostrzeniec pani de Villeparisis, z elegancją i mistrzostwem, jakie wielki pianista umie rozwinąć w najprostszym szczególe, na pozór niedającym pola do wykazania swej wyższości, ujął lejce z rąk stangreta, usiadł koło niego i otwierając równocześnie list, który mu oddał dyrektor hotelu, ruszył.

Jakiegoż zawodu doznałem w następne dni, kiedy, za każdym razem gdy mnie mijał na plaży lub w hotelu — z podniesioną głową, wciąż zestrajając swoje ruchy z uciekającym i tańczącym monoklem, który zdawał się ich środkiem ciężkości — mogłem sobie zdać sprawę, że on nie stara się zbliżyć do nas. Nie kłaniał się nam nawet, mimo iż musiał wiedzieć, że jesteśmy w przyjaźni z jego ciotką! I, przypominając sobie uprzejmość pani de Villeparisis, a przedtem pana de Norpois, myślałem, że może oni są takim sobie państwem „na niby” i że tajemny artykuł kodeksu rządzącego arystokracją pozwala może kobietom i pewnym dyplomatom w ich stosunkach z mieszczaństwem i dla nieznaney mi przyczyny porzucić sztywność, jakiej winien natomiast bezlitośnie przestrzegać młody margrabia. Inteligencja moja powinna mi była mówić coś wręcz przeciwnego. Ale właściwością głupiego wieku, jaki przechodziłem — wieku bynajmniej nie niewdzięcznego, raczej bardzo płodnego — jest to, że się wówczas człowiek w niczym nie radzi inteligencji i że najblahsze cechy danych istot zdają się niepodzielnie kojarzyć z ich osobowością. Otoczony samymi potworami i bogami, człowiek nie zna wówczas spokoju. Nie ma bodaj ani jednego gestu z owej doby, którego byśmy później nie chcieli unicestwić. Ale powinni byśmy raczej żałować, że już nie posiadamy bezpośredniości, która kazała nam spełniać te gesty. Później widzimy rzeczy praktyczniej, w zupełnej zgodzie z resztą społeczeństwa; ale młodość to jedyny czas, kiedy się człowiek czegoś nauczył.

Ta arogancja, jaką odgadywałem w młodym Saint-Loup, i cała wrodzona twardość, której była dowodem, znalazła potwierdzenie w jego wzięciu za każdym razem, kiedy przechodził koło nas, z ciałem wyprostowanym, z wciąż podniesioną głową, ze spojrzeniem niewzruszonym — więcej jeszcze: nieubłagany, wyzuty z owego zdawkowego szacunku, jaki się ma dla praw innych istot, nawet gdy nie znają naszej ciotki; z owego szacunku, który sprawiał, iż starsza dama nie była dla mnie zupełnie tym samym, co na przykład płomyk gazu. Ten lodowaty chłód był równie daleki od uroczych listów, jakie — w mojej wyobraźni — pisał do mnie jeszcze przed kilku dniami, aby mi wyrazić swoją sympatię, jak dalekim jest od entuzjazmu sali sejmowej pokątny marzyciel bez talentu, który — również we własnej wyobraźni — porywa lud swoim niezapomnianym przemówieniem, i pomarzywszy tak samotnie i głośno o sobie samym, skoro raz zamilkną urojone oklaski, zostaje ciemięgą jak wprzódy.

Pani de Villeparisis — zapewne, aby zatrzeć złe wrażenie, jakie na nas zrobiły te pozory, zdradzające naturę próżną i twardą — znów zaczęła mówić o niewyczerpanej dobroci swego ciotecznego wnuka (był synem jej siostrzenicy, nieco starszy ode mnie). Podziwiałem, jak w wielkim świecie, z podeptaniem wszelkiej prawdy, używa się przymiotów serca ludziom mającym serce tak oschłe, choćby poza tym byli uprzejmi dla wytwornych osób z ich własnego świata. Pani de Villeparisis przyczyniła się nawet sama — mimo że nie wprost — do potwierdzenia zasadniczych (i niewątpliwych już dla mnie) rysów swego siostrzeńca w dniu, gdym ich spotkał oboje na ścieżce tak wąskiej, że nie pozostawało jej nic, jak przedstawić mnie młodemu człowiekowi. Robił wrażenie, że po prostu nie słyszy; żaden mięsień jego twarzy nie drgnął; oczy, w których nie zabłysnął najlżejszy ślad ludzkiego uczucia, jedynie w pustce i obojętności spojrzenia objawiły przesadę, bez której nic by ich nie różniło od martwego zwierciadła. Następnie, wlepiając we mnie te twarde oczy tak, jakby chciał o mnie zebrać informacje, zanim mi odda ukłon, nagłym rzutem wyglądającym raczej na odruch mięśni niż na akt woli, wprowadzając możliwie

największą przestrzeń między mnie a siebie, wyciągnął ramię na całą długość i podał mi na dystans rękę. Kiedy nazajutrz przesłał mi swój bilet wizytowy, sądziłem, że chodzi co najmniej o pojedynek. Ale w czasie wizyty mówił wyłącznie o literaturze i po długiej gawędzie oświadczył, że bardzo chciałby mnie widywać codziennie po kilka godzin. W czasie tej wizyty nie tylko złożył dowody żywych zainteresowań intelektualnych, ale okazał mi sympatię, nie bardzo godzącą się z wczorajszym ukłonem. Widząc, iż powtarza ten ukłon za każdym razem, kiedy mu kogoś przedstawiano, zrozumiałem, że to jest prosty nawyk światowy, właściwy większości jego rodziny. Matka, dbając o to, aby syn był doskonale wychowany, wdroyła jego ciało do tego rodzaju gestów; wykonywał je tak samo, nie myśląc o tym, jak o swoich pięknych ubraniach i pięknych włosach; była to rzecz pozbawiona duchowego znaczenia, jakie jej zrazu przypisywałem; rzecz wyłącznie nauczona, jak ów inny jego nawyk: natychmiast kazać się przedstawiać krewnym poznanej osoby. To również stało się u niego tak instynktowne, że, widząc mnie nazajutrz po naszym spotkaniu, rzucił się na mnie i nie witając się, poprosił, abym go przedstawił babce, stojącej obok; i to tak gorączkowo, jak gdyby to niecierpiące zwłoki żądanie płynęło z jakiegoś instynktu samoobrony, coś jak zasłonięcie się przed ciosem lub zamknięcie oczu wobec strumienia wrzącej wody, pod grozą niebezpieczeństwa.

Jak złośliwa wróżka zrzuca swój dawny kształt i obleka się w czarodziejskie wdzięki, tak samo, po dopełnieniu pierwszych egzorcyzmów, ten wzgardliwy młodzieniec okazał się najmiłszym, najuprzejmiejszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek znałem. „Ba! — powiedziałem sobie — już raz się co do niego pomyliłem, padłem ofiarą złudy; ale rozstałem się z pierwszym złudzeniem po to, aby popaść w drugie, bo to jest wielki pan, pokrywający swoją pańską dumę”. Otóż całe urocze wychowanie, cała uprzejmość młodego Saint-Loup miały mi w istocie po pewnym czasie ukazać innego człowieka, ale bardzo odmiennego od tego, któremu się domyślał.

Ten młody człowiek, mający minę arystokraty i znudzonego sportsmena, miał cześć i zainteresowanie wyłącznie dla rzeczy intelektualnych, zwłaszcza dla owych „modernizmów” literatury i sztuki, które się tak śmieszne zdawały jego ciotce; z drugiej strony nasycony był tym, co ona zwała socjalistyczną frazeologią, a przejęty najgłębszą wzgardą dla swojej kasty. Godziny całe spędzał na zgłębianiu Nietzschego i Proudihona. Był to jeden z owych „intelektualistów”, skorych do podziwu, żyjących książką, pochłoniętych wyłącznie myślą. I nawet wyraz tej jego tendencji, wielce abstrakcyjnej i tak oddalającej go od zwykłych moich zainteresowań, wydawał mi się wzruszający, ale mnie nudził trochę. Mogę rzec, iż, kiedym już dobrze wiedział, kim był jego ojciec, w dniu, w które czytałem pamiętniki pełne anegdot o owym sławnym hrabi de Marsantes, streszczającym tak specjalną elegancję odległej już epoki, wówczas z duszą pełną rojeń, żądny dokładnie poznać życie, jakie pędził pan de Marsantes, wściekałem się, że Robert de Saint-Loup, zamiast być po prostu synem swego ojca, zamiast móc służyć mi za przewodnika po owym niemodnym romansie, jakim była egzystencja hrabiego, wznosił się aż do kultu Nietzschego i Proudihona. Ojciec jego nie byłby podzielił moich żalów. On sam był człowiekiem inteligentnym, wychodzącym poza ramy światowca. Nie bardzo miał czas poznać syna, ale pragnął, aby był więcej wart od niego. I sądzę, że, na wspak reszcie rodziny, byłby go podziwiał, byłby rad, że syn porzucił dla surowych medytacji to, co stanowiło jego mizerne rozrywki, i nie zdradzając się z tym, w swojej skromności inteligentnego wielkiego pana, byłby czytał w sekrecie ulubionych autorów syna, aby ocenić, o ile Robert go przerasta.

Dosyć smutne było, że o ile pan de Marsantes byłby z taką szerokością spojrzenia ocenił syna tak różnego od siebie, Robert de Saint-Loup, będąc z tych, co wierzą, iż wartość człowieka wiąże się z pewnymi formami sztuki i życia, zachował tkliwą, ale cokolwiek lekceważącą pamięć ojca, przez całe życie pochłoniętego polowaniem i wyścigami, ziewającego na Wagnerze, a przepadającego za Offenbachem. Saint-Loup nie był dość inteligentny na to, aby zrozumieć, że wartość intelektualna nie ma nic wspólnego z wyznawaniem jakiejś formuły estetycznej; stąd miał dla intelektu pana de Marsantes po trosze ten sam rodzaj wzgardy, jaki mogliby mieć dla Boieldieu lub dla Labiche’a młody Boieldieu lub syn Labiche’a, będąc adeptami najbardziej symbolicznej literatury i najskomplikowańszej muzyki. „Bardzo mało znałem ojca — powiadał Robert. — Zdaje się, że to był uroczy człowiek. Jego nieszczęściem była żalosna epoka, w jakiej żył. Urodzić się w Faubourg Saint-Germain i żyć w epoce *Pięknej Heleny*, to istna katastrofa! Jako drob-

nomieszczanin rozkochany w *Ringu* stałby się może całkiem czymś innym. Mówiono mi nawet, że on kochał literaturę. Ale nie można wiedzieć, bo to, co on rozumiał pod literaturą, składa się z rzeczy nieistniejących”. I o ile mnie wydawał się Saint-Loup trochę za poważny, on znów nie pojmował, że ja nie jestem poważniejszy. Sądząc każdą rzecz jedynie wedle jej zawartości intelektualnej, nie pojmując uroków wyobraźni, kryjących się dla mnie w pewnych rzeczach, dla niego błahych, dziwił się, że ja — ja, od którego mniemał się o tyle niższym — mogę się nimi interesować.

Od pierwszych dni Saint-Loup zdobył sobie moją babkę, nie tylko nieustanną dobrocią, jaką rozwijał dla nas obojga, ale naturalnością, jaką wkładał w to — jak we wszystko. Otóż naturalność — z pewnością dlatego, że pod sztuką człowieka daje czuć naturę — była przymiotem, który babka ceniła nad wszystko; zarówno w ogrodach nie lubiła klombów zbyt regularnych — jak w Combray — w kuchni nie cierpiała owych kunsztownych dań, w których ledwie można rozpoznać pierwotne produkty; w technice pianisty nie lubiła zbytniego wymuskania, wylizania, mając nawet szczególną pobłażliwość dla zahaczeń i fałszów Rubinsteina. Naturalność tę ceniła nawet w stroju młodego Saint-Loup, swobodnie wykwiutnym, bez cienia „szykowca” lub „goga”, bez śladu jakiegokolwiek sztywności i krochmalu. Bardziej jeszcze ceniła tego bogatego chłopca za niedbałą swobodę jego zbytku, nie „cuchnącego pieniędzmi”, pozbawionego pretensji; wdzięk tej prostoty widziała nawet w jego niezdolności do ukrycia jakiegokolwiek wzruszenia — właściwość znikająca zazwyczaj z dzieciństwem, wraz z pewnymi fizjologicznymi cechami tego wieku. Coś, czego na przykład pragnął i na co nie liczył, bodaj komplement, wyładowywało się w nim w radości tak naglej, tak palącej, tak lotnej i ekspansywnej, że niepodobna mu było powściągnąć jej i ukryć; skurcz przyjemności przebiegał natychmiast jego twarz; zbyt delikatna skóra policzków barwiła się żywym rumieńcem, oczy wyrażały zawstydzenie i uciechę. Babka była niezmiernie wrażliwa na ten pełen wdzięku wyraz szczerości i niewinności, który zresztą u Roberta, przynajmniej w epoce, gdy z nim żyłem blisko, nie kłamał. Ale znałem kogoś innego (a jest takich wielu), w którym fizjologiczna szczerość tego przelotnego rumieńca nie wykluczała bynajmniej fałszu; często dowodzi on jedynie żywości, z jaką natury zdolne do największych szalbierstw odczuwają przyjemność — tak mocno, że są bezbronne wobec niej, zmuszone przyznać się do niej przed innymi. Ale w czym zwłaszcza babka uwielbiała naturalność Roberta, to w jego sposobie wyznawania bez ogródek sympatii swojej do mnie; dla wyrażenia jej znajdował słowa, jakich babka sama — jak mówiła — nie umiałaby znaleźć, słowa najbardziej trafne i kochające, słowa, które byłyby podpisały „Sévigé i Beusergent”. Nie wahał się żartować z moich wad (a odgadł je z finezją, która ubawiła babkę), ale tak, jakby to ona zrobiła, tkliwie; podnosząc, przeciwnie, moje zalety z ogniem i z zapalem, nieznanymi zastrzeżeń ani chłodu, jakimi młodzi ludzie w jego wieku pragną sobie zazwyczaj przydać ważności. Uprzedzał moją najlżejszą niedyspozycję; okrywał mi nieznacznie nogi pledem, gdy się robiło chłodno; starał się zostać ze mną dłużej wieczorem, gdy czuł, że jestem smutny lub nerwowy; rozwijał czujność, którą, z punktu widzenia mojego zdrowia, wymagającego może raczej większego hartu, babka uważała niemal za przesadną, ale która wzruszała ją głęboko, jako dowód przywiązania.

Uświadomiliśmy sobie szybko, żeśmy się zaprzyjaźnili serdecznie i na zawsze. On mówił: „nasza przyjaźń”, tak jakby mówił o jakiejś ważnej i rozkosznej rzeczy, istniejącej na zewnątrz nas; nazwał niebawem tę przyjaźń — poza miłością do kochanki — największą radością swego życia. Te słowa zasmucały mnie niemal; byłem w kłopotcie, jak im odpowiedzieć; nie doznawałem bowiem w obecności Roberta, w jego rozmowie — i z pewnością byłoby tak z każdym innym — owego szczęścia, jakie, przeciwnie, mogłem odczuć, znalazłszy się bez wszelkiego towarzystwa. Czasami, będąc sam, czułem, że wzbiera we mnie jedno z owych wrażeń zanurzających mnie w rozkosznej błogości. Ale z chwilą, gdy byłem z kimś, gdy rozmawiał z przyjacielem, dusza moja zmieniała front; myśli moje zwracały się już ku towarzyszowi, a nie ku mnie samemu, idąc zaś w tym odwrotnym kierunku, nie sprawiały mi żadnej przyjemności. Rozstawszy się z Robertem, wprowadzałem, przy pomocy słów, jakiś porządek w bezładne minuty z nim spędzone; powiadałem sobie, że mam dobrego przyjaciela, że dobry przyjaciel to jest rzecz rzadka; ale otoczony owymi cennymi dobrami doznawałem uczucia wręcz przeciwnego wrodzonej mi rozkoszy, przeciwnego rozkoszy wywołania z samego siebie i wydobycia

na światło czegoś, co było ukryte we mnie w mroku. Kiedyś spędził parę godzin na rozmowie z Robertem i on podziwiał to, com mówił, doznawałem uczucia wyrzutu, żalu, zmęczenia, że nie został sam, aby wreszcie zacząć pracować. Ale powiadałem sobie, że nie można być inteligentnym tylko dla samego siebie, że najwięksi ludzie pragnęli, aby ich oceniono, że nie mogą uważać za stracone godzin, przez które zbudowałem wysokie pojęcie o mnie w umyśle mego przyjaciela; i przekonywałem łatwo samego siebie, że powinien być szczęśliwy, i pragnąłem nigdy tego szczęścia nie utracić, tym bardziej, że go nie odczuwał. Bardziej niż utraty innych dóbr, lękamy się zniknięcia tych, które zostały zewnątrz nas, bo serce nasze nie objęło ich w posiadanie. Czulem się zdolny praktykować wszystkie cnoty przyjaźni lepiej niż wielu (bo zawsze bym przekładał dobro przyjaciół nad owe interesy osobiste, do których wielu przywiązuje tyle wagi, a które dla mnie nie istniały), ale nie czulem się zdolny poznać radości przez uczucie, które zamiast wzmacniać zacierałoby różnice istniejące między moją duszą a duszą innych — takie, jakie zachodzą między duszami wszystkich ludzi.

W zamian za to, chwilami, myśl moja odnajdywała w Robertcie istotę bardziej ogólną niż on sam; „pana”, który, niby jakiś mieszkający w nim duch, poruszał jego członkami, kształtował jego gesty i czyny; wówczas, w tych chwilach, mimo że obok niego, byłem sam, niby wobec krajobrazu, którego bym pojął harmonię. Był już tylko przedmiotem, który myśl moja starała się zgłębić. Odnajdując w nim wciąż ową istotę dawniejszą, odwieczną, owego arystokratę, którym właśnie Robert starał się nie być, doznawałem żywej radości, ale siłą inteligencji, nie zaś przyjaźni. W moralnej i fizycznej zwinności, która dawała jego uprzejmościom tyle wdzięku, w swobodzie, z jaką sadzał babkę do swego powozu, w zręczności, z jaką zeskakiwał z kozła, kiedy się bał, że mi jest zimno, aby mi narzucić własny płaszcz, czulem nie tylko dziedziczną gibkość zawołanych myśliwych, jakimi byli od całych pokoleń przodkowie tego młodzieńca aspirującego jedynie do intelektu, ich wzgardę dla bogactwa, która istniejąc w nim obok upodobania w bogactwie, cenionym o tyle, o ile pozwalało mu raczyć przyjaciół, kazała mu tak niedbale kłaść swój zbytek u ich stóp; czulem w nim zwłaszcza pewność lub złudzenie, jakie mieli ci wielcy panowie, że są „czymś więcej od innych”, dzięki czemu nie mogli przekazać Robertowi de Saint-Loup owej chęci okazania, że się jest „tym samym co inni”, owego lęku okazania się za grzecznym, który mu był w istocie nieznany, a który daje coś tak brzydkiego i niezręcznego najszczerzej uprzejmości plebejusza. Czasami wyrzucałem sobie, że patrzę na swego przyjaciela jak na dzieło sztuki, to znaczy, że przyglądam się grze wszystkich części jego istoty, jak gdyby harmonijnie stonowanej przez ogólną ideę, od której były zawisłe, ale której on nie znał: tym samym nie przydawała ona nic własnym jego przymiotom, owej osobistej wartości intelektualnej i moralnej, do której przykładał taką wagę.

A jednak ona była w pewnej mierze ich warunkiem. Dlatego że był paniczem, ta ciekawość umysłowa, te socjalistyczne aspiracje, które mu kazały szukać towarzystwa pretensjonalnych i źle ubranych młodych studentów, miały u Roberta coś naprawdę czystego i bezinteresownego — czego nie miały u nich. Uważając się za dziedzica ciemnej i samolubnej kasty, starał się szczerze, aby mu przebaczyli jego arystokratyczne pochodzenie, które, przeciwnie, wywierało na nich urok i dla którego szukali jego towarzystwa, udając równocześnie w stosunku do niego chłód, a nawet niegrzeczność. Tak doszedł do nadskakiwania ludziom, do których, w myśl socjologii mojej rodziny w Combray, powinien by się odwracać tyłem.

Pewnego dnia, kiedyśmy siedzieli z Robertem na piasku, usłyszeliśmy z płóciennego namiotu wymyślenia na nadmiar Izraelitów zatruwających Balbec:

— Nie można zrobić dwóch kroków, żeby ich nie spotkać — mówił głos. — Nie jestem absolutnie wrogo usposobiony do Żydów, ale tutaj mamy hipersaturację. Słyszysz się jedynie: „Słuchaj, Abraham, wydziałem Jakuba”. Można by myśleć, że się jest na ulicy Aboukir.

Człowiek, który tak grzmiał przeciw Izraelowi, wyszedł wreszcie z namiotu; podnieśliśmy oczy na tego antysemitę. Był to mój kolega Bloch. Saint-Loup poprosił mnie zaraz, abym przypomniał Blochowi, że się spotkali na jakimś egzaminie, gdzie Bloch wziął pierwszą nagrodę, a potem w uniwersytecie ludowym.

Co najwyżej uśmiechałem się czasem, odnajdując u Roberta jezuickie lekcje w żenowaniu, jakie w nim rodziła obawa urażenia kogoś, za każdym razem, kiedy któryś

z jego przyjaciół-intelektualistów popełnił światowy błąd, zrobił rzecz śmieszną; sam Saint-Loup nie przykładał do tego błędu żadnej wagi, ale czuł, że tamten by się zarumienił, gdyby to spostrzeżono. I sam Robert rumienił się, jakby to on był winny, na przykład raz gdy Bloch, przyrzekając go odwiedzić w hotelu, dodał:

— Ponieważ nie znoszę wyczekiwania w pretensjonalnym szyku tych luksusowych bud, a muzyka cygańska przyprawiałaby mnie o mdłości, niech pan powie „lajftowi”, żeby uciszył grajków i żeby pana zaraz uprzedził.

Osobiście nie bardzo miałem ochotę, aby Bloch nas odwiedził. Był na nieszczęście w Balbec nie sam, ale z siostrami, które miały znowuż wielu krewnych i przyjaciół. Otóż ta kolonia żydowska była bardziej malownicza niż przyjemna. Z Balbec było tak jak z niektórymi krajami, Rosją lub Rumunią, gdzie wedle podręczników geografii ludność izraelska nie cieszy się takimi względami i nie doszła do tego stopnia asymilacji co na przykład w Paryżu. Kiedy kuzynki i wujowie Blocha lub ich żony i mężczyźni współwyznawcy, wciąż razem, bez domieszki innego elementu, udawali się do kasyna, jedne na „bal”, drudzy sterując w stronę bakarata, tworzyli orszak jednolity, zgoła niepodobny do ludzi, którzy patrzyli na nich i widywali ich tutaj co rok, nie zamieniając nigdy z nimi ukłonu; czy to było towarzystwo państwa de Cambremer, czy grupka prezydenta, czy wielcy i mali mieszczanie lub nawet zwykli paryscy handlarze zbożem, których córki, piękne, dumne, drwiące i francuskie jak posągi z Reims, nie chciały się mieszać z tą hordą dziewczysk źle wychowanych, posuwających dbałość o modę „kąpielową” tak daleko, że robiły stale wrażenie, iż wracają z połowu krewetek lub że tańczą tango.

Co do mężczyzn, mimo blasku smokingów i lakierków, przesada ich typu kazała myśleć o tych rzekomo „inteligentnych” tendencjach malarzy, którzy, ilustrując *Nowy Testament* lub *Tysiąc i jedną noc*, myślą o kraju, gdzie się scena rozgrywa, dając świętemu Piotrowi lub Ali Babie właśnie fizjognomię najgrubszego „ponitera” w Balbec.

Bloch przedstawił mi swoje siostry, którym „stulał pysk” z krańcową brutalnością, a które śmiały się do rozpuku za najmniejszym conceptem brata, ich uwielbianego bżyszczka. Bardzo prawdopodobne jest, że to środowisko musiało, jak każde inne, bardziej może niż inne, zawierać wiele uroków, przymiotów i cnót. Ale aby się o tym przekonać, trzeba by w nie wejść. Otóż ono nie budziło sympatii, czuło to, widziało w tym dowód antysemityzmu, przeciwstawiając mu zwartą i zamkniętą falangę, w którą nikt zresztą nie miał ochoty się wdzierać.

Co się tyczy owego „laifta”, nie miałem przyczyny zbytnio się temu dziwić. Na kilka dni przedtem Bloch zapytał mnie, po com przyjechał do Balbec (wydawało mu się natomiast całkiem naturalne, że on tam jest) i czym to uczynił „w nadziei zrobienia świetnych znajomości”; kiedy mu rzekł, że ta podróż odpowiada moim najdawniejszym pragnieniom (mimo iż mniej głębokim niż chęć ujrzenia Wenecji), odparł: „Tak, oczywiście, po to, aby pić sorbety z pięknymi damulkami, udając przy tym, że się czyta *Stones of Venaiçe* lorda Johna Ruskina, ponurego nudziarza, jednego z najpiłowszych facetów, jacy istnieją”. Bloch uważał najwidoczniej, że w Anglii nie tylko wszystkie osobniki płci męskiej są lordami, ale również że głoska „i” wymawia się zawsze jak „ai”. Co się tyczy Roberta, ten błąd wymowy wydawał mu się nader błahy; widział w nim zwłaszcza brak owych wiadomości niemalże światowych, którymi mój nowy przyjaciel w tym samym stopniu gardził, w jakim je sam posiadał. Ale obawa, iż Bloch, dowiedziawszy się kiedyś, że mówi się „Venice” i że Ruskin nie jest lordem, pomyśli retrospektywnie, iż musiał się wydać śmieszny w jego oczach, sprawiła, że Saint-Loup uczuł się winny, tak jakby zgrzeszył brakiem pobłażania, którego był pełen: i ten rumieniec, jaki zabarwi z pewnością kiedyś twarz Blocha świadomego swego błędu, pokrył antycypowanym odbłaskiem policzki Roberta. Bo myślał, że Bloch przywiązuje więcej od niego wagi do tego błędu. Czego Bloch dowiedział w jakiś czas później, gdy, usłyszawszy że wymawiam „lift”, przerwał:

— A, mówi się *lift*. — I suchym i wyniosłym tonem dodał. — To nie ma zresztą żadnego znaczenia.

Powiedzenie niemal odruchowe, jednakie u wszystkich ludzi obdarzonych miłością własną, zarówno w najważniejszych jak i najbłahszych okolicznościach. Słowa te zdradzają, tak samo jak w danym wypadku, jak ważna wydaje się jakaś rzecz temu, co jej odmawia najmniejszego znaczenia; słowa tragiczne czasem, tak boleśnie wydzierające się z ust wszelkiego człowieka mającego nieco dumy, kiedy odmawiając mu usługi, odebrano

mu ostatnią nadzieję: „Och, mniejsza, to nie ma żadnego znaczenia, urządzę się inaczej”. Tym innym urządzeniem się, będącym bez znaczenia, bywa czasami — samobójstwo.

Potem Bloch mówił mi rzeczy bardzo przyjemne. Z pewnością chciał być dla mnie bardzo miły. Jednakże spytał:

— Czy to przez chęć wzniesienia się do arystokracji (arystokracji bardzo pokątnej zresztą, ale ty zachowałeś uroczą naiwność) przestajesz z panem de Saint-Loup-en-Bray? Musisz przechodzić ładny atak snobizmu. Powiedz mi, czy ty jesteś snob? Tak, nieprawdaż?

Nie znaczy to, aby jego chęć uprzejmości zmieniła się nagle. Ale to, co się nazywa, dość niepoprawnie zresztą, „złym wychowaniem”, było jego wadą, której nie spostrzegaliśmy, nie czułem zwłaszcza, iż może razić innych. W społeczeństwie częstość zalet wspólnych wszystkim nie bardziej jest zadziwiająca niż różnorodność wad właściwych każdemu. Bez wątplenia, nie zdrowy rozum jest — jak mówi Descartes — rzeczą najbardziej rozpowszechnioną, ale dobroć. W najodleglejszych, najbardziej zapadłych kątach dziwimy się, widząc, jak ona kwitnie sama z siebie, niby w ustronnej dolinie mak podobny do wszystkich innych maków w świecie, on, który ich nigdy nie widział i znał jedynie wiatr, potrząsający czasem jego samotną czerwoną czapeczką. Nawet jeżeli ta dobroć, sparaliżowana interesem, nie ujawnia się, istnieje ona mimo to i za każdym razem, kiedy jej nie przeszkodzi samolubna pobudka — na przykład przy lekturze powieści lub dziennika — rozkwita ona, zwraca się (nawet w sercu tego, który, będąc w życiu mordercą, pozostaje tkliwym czytelnikiem) ku słabemu, ku sprawiedliwemu a prześladowanemu. Ale różnorodność wad jest niemniej cudowna niż podobieństwo cnót. Każdy ma tak dalece swoje, że aby go móc nadal kochać, musimy przejść nad nimi do porządku i pomijać je przez wzgląd na resztę. Najdoskonalsza osoba ma jakąś wadę, która nas razi lub doprowadza do wściekłości. Jeden ma wspaniałą inteligencję, widzi wszystko z wysoka, nie mówi źle o nikim, ale zapomina w kieszeni najważniejszych listów, które sam się ofiarował wrzucić, i przyprowadza was o spóźnienie na ważną schadzki, nie tłumacząc się, z uśmiechem, bo pokłada ambicję w tym, aby nigdy nie wiedzieć godziny. Inny ma tyle subtelności, słodczy, delikatności, że mówi ci o tobie jedynie rzeczy zdolne ci sprawić przyjemność; ale czujesz, że przemilcza, że chowa w sercu, gdzie kwaśniej, rzeczy całkiem inne; a przyjemność widzenia cię jest mu tak droga, że raczej pozwoliłby ci paść ze zmęczenia, niżby cię miał opuścić. Trzeci jest szczerzy, ale posuwa szczerść tak daleko, że, kiedy się wymówił zdrowiem od wizyty u niego, daje do zrozumienia, że cię widziano idącego do teatru i żeś wyglądał wcale dobrze; albo że nie mógł skorzystać z zabiegów, któreś dlań podjął i które zresztą proponowały mu trzy inne osoby, tak iż jest ci obowiązany w bardzo skromnej mierze. W obu tych okolicznościach, ów poprzedni przyjaciel udalby, że nie wie o twojej bytności w teatrze i o tym, że inne osoby mogły mu być oddać tę samą przysługę. Ten ostatni, o którym mówiłem, czuje potrzebę powtórzenia lub zdradzenia innym tego, co może ci być najprzykrzejsze, zachwycony jest swoją szczerścią i powiada ci z energią: „Taki już jestem”. Inni drażnią cię nadmierną ciekawością lub brakiem ciekawości tak absolutnym, że możesz im mówić o najbardziej sensacyjnych wydarzeniach bez ściągnięcia ich uwagi; inni wreszcie miesiące całe nie odpowiadają ci na list, o ile twój list zawierał coś, co dotyczy ciebie, a nie ich; lub uprzedziwszy, że mają cię o coś prosić, gdy ty nie śmiesz wyjść z domu z obawy, aby nie zrobić im zawodu, oni nie przychodzą i dają ci czekać całe miesiące, ponieważ nie otrzymawszy od ciebie odpowiedzi, o którą w liście bynajmniej nie prosili, myślą, żeś się obraził. A niektórzy, licząc się tylko ze swoją, nie z twoją ochotą, o ile są weseli i mają ochotę cię widzieć, paplą, nie pozwalając ci wtrącić ani słówka, bez względu na to jaką mógłbyś mieć pilną robotę; jeśli się natomiast czują nieszczególnie lub są w złym humorze, nie możesz z nich wydobyć ani słowa, przeciwstawiają twoim wysiłkom tępy opór i nie zadają sobie trudu odpowiadania ci nawet monosylabami, tak jakby w ogóle nie słyszeli.

Każdy z naszych przyjaciół ma tyle wad, że aby go nadal kochać, musimy mu zapomnieć te wady, myśląc o jego talencie, dobroci, serdeczności, lub raczej — z całym nakładem dobrej woli — nie brać tych wad w rachubę. Nieszczęściem, nasz życzliwy upór w tym, aby nie widzieć jakiejś wady przyjaciela, nie dorównywa uporowi, jaki rozwija on sam, aby pielęgnować tę wadę wskutek swojej ślepoty lub ślepoty, jaką przypisuje innym. Bo on nie widzi tej wady lub myśli, że inni jej nie widzą. Ponieważ ryzyko zrażenia ko-

goś zależy zwłaszcza od trudności w ocenie stopnia, w jakim coś uchodzi niepostrzeżenie, powinno by się, badaj przez ostrożność, nie mówić nigdy o sobie, bo to jest przedmiot, co do którego możemy być pewni, iż perspektywa innych osób nigdy nie pokrywa się z naszą. Jeżeli odkrywając prawdziwe życie drugich, rzeczywisty świat pod światem pozornym, doznajemy tyluż niespodzianek, co przy zwiedzaniu domu o banalnym wyglądzie, ale wewnątrz pełnego skarbów, narzędzi złodziejskich i trupów, nie mniejszego doznajemy wstrząsu, kiedy w miejsce obrazu, jakiśmy sobie stworzyli o sobie samych z tego, co każdy nam mówił, dowiadujemy się jak o nas mówią w naszej nieobecności, jaki zupełnie odmienny obraz nas i naszego życia ci ludzie w sobie nosili. Tak iż za każdym razem, kiedyśmy mówili o sobie, możemy być pewni, że nasze niewinne i ostrożne słowa, słuchane z pozorną grzecznością i obłudnym uznaniem, dały powód do komentarzy najbardziej skandalicznych lub uciesznych, w każdym razie najmniej przychylnych. W najlepszym razie ryzykujemy to, że drażnimy innych przez niestosunek między naszym pojęciem o sobie a naszymi słowami; niestosunek ten czyni zazwyczaj odezwania się ludzi o sobie czymś równie śmiesznym jak podśpiewywanie niewydarzonych amatorów muzyki, którzy upierają się nucić ulubioną melodię, zastępując braki swoich nieartykułowanych dźwięków energiczną mimiką i wyrazem nieusprawiedliwionego zachwytu. A do złego nawyku mówienia o sobie i o swoich wadach, trzeba dodać, jako ściśle z nim zespolony, nawyk wykazywania u innych tych właśnie wad, jakie się ma samemu. I właśnie zawsze o tych wadach mówimy, jakby to był pośredni sposób mówienia o sobie, łączący przyjemność zwierzeń z przyjemnością rozgrzeszenia. Zresztą zdaje się, iż nasza baczność, wciąż zwrócona na to, co nas charakteryzuje, spostrzega to u drugich bardziej niż wszystko inne. Krótkowidz mówi o drugim: „Ależ on ledwo widzi”; suchotnik powątpiewa o stanie płuc najtęższego człowieka; brudas mówi o niedostatku kąpieli u innych; niepachnący twierdzi, że kogoś czuć; zdradzany mąż wszędzie widzi zdradzanych mężów; kobieta lekka kobiety lekkie; snob snobów. A przy tym każda przywara, jak każdy zawód, wymaga specjalnej wiedzy — i rozwija tę wiedzę — którą człowiek chętnie roztacza. Zboczeniec tropi zboczeńców, krawiec spotkany w towarzystwie jeszcze nie mówił z tobą, a już oszacował materiał twego ubrania i aż go palce świerzbią, aby je pomacać; a jeżeli po chwili rozmowy spytasz odontologa o jego szczerą opinię o tobie, wymieni ci liczbę twoich wątpliwych zębów. Nic nie wydaje mu się ważniejsze, a tobie, któryś zauważył jego zęby, bardziej śmieszne. I nie tylko kiedy mówimy o sobie, sądzimy, że inni są ślepi; działamy tak, jakby w istocie byli ślepi. Istnieje dla każdego z nas jakby specjalny bożek, który nam kryje nasze braki lub przyręka ich niewidoczność, tak samo jak ludziom niedomytym zamyka oczy i nozdrza na smugę brudu za ich uszami i na zapach potu pod pachami i wmawia w nich, że mogą jedno i drugie obnosić bezkarnie między ludźmi, którzy nic nie zauważą. A ci, co noszą lub dają w prezencie fałszywe perły, wyobrażają sobie, że ujdą za prawdziwe.

Bloch był źle wychowany, neuropata, snob; należąc przy tym do rodziny mało szanowanej, znosił, niby w głębinie morskiej, nieobliczalne ciśnienie, jakim ciążyły na nim nie tylko chrześcijanie z samej powierzchni, ale kolejne warstwy kast żydowskich, wyższych od jego kasty, z których każda gniotła swoją wzdargą tę, co była tuż pod nią. Przebić się aż na powietrze, wznosząc się od jednej rodziny żydowskiej do drugiej, wymagałoby dla Blocha kilku tysięcy lat, lepiej mu było tedy utorować sobie drogę inaczej.

Kiedy Bloch mówił mi o ataku snobizmu, jaki muszę przechodzić i prosił mnie, abym się przyznał, że jestem snob, mógłbym mu odpowiedzieć: „Gdybym był snob, nie zadawałbym się z tobą”. Powiedziałem mu tylko, że nie jest zbyt uprzejmy. Próbował się usprawiedliwić, ale właśnie na sposób źle wychowanego człowieka, aż nazbyt szczęśliwego, kiedy, wracając do swoich słów, znajdzie sposobność pogłębienia grubiaństwa. „Daruj mi — powiadał za każdym razem, kiedy mnie spotkał — zrobiłem ci przykrość, dręczyłem cię, byłem rozmyślnie zły. Człowiek w ogólności, a twój przyjaciel w szczególności jest tak osobliwym bydlęciem! Bo ty nie możesz sobie wyobrazić, ile czułości ja mam dla ciebie, mimo że ci tak dokuczam. Często, myśląc o tobie, lzy mam w oczach”. I żałkał lekko.

Co mnie dziwiło u Blocha bardziej niż złe maniery, to nierówność jego konwersacji. Ten człowiek tak wybredny, który o najgłośniejszych pisarzach mówił: „To ponury idiota, to stuprocentowy głupiec”, chwilami opowiadał z wielką uciechą anegdoty niemające ani

szczypty soli i cytował jako „naprawdę interesującego” człowieka najzupełniej miernego. Ta podwójna miara w osądzie czyjejś inteligencji, wartości, uroku, dziwiła mnie aż do dnia, gdy poznałem starszego pana Blocha.

Nie przypuszczałem, że będzie nam kiedyś dane poznać go, gdyż młody Bloch mówił źle o mnie przed Robertem, a o Robercie przede mną. Powiedział mianowicie Robertowi, że ja byłem (zawsze) okropny snob. „Ależ tak, tak, on jest upojony tym, że zna pana LLLegrandin” — rzekł. Ten sposób odcinania słów był u Blocha zarazem oznaką ironii i kultury literackiej. Saint-Loup, który nigdy nie słyszał nazwiska pana Legrandin, zdziwił się: „Ale kto to taki?”. „Och, to ktoś *bardzo dobrze*” — odparł Bloch śmiejąc się i kładąc zziębnięte ręce do kieszeni, przekonany, że w tej chwili ogląda wyobraźnią malowniczego i zdumiewającego szlachcica z prowincji, przy którym figury Barbeya d’Aureville są niczym. Bolejąc, że nie umie odmalować pana Legrandin, uzupełniał ten obraz kilkomaloma L, smakując to nazwisko niby szlachetne wino. Ale ta jego osobista przyjemność nie udzielała się innym.

O ile Bloch mówił przed Robertem źle o mnie, z drugiej strony nie mniej złego mówił przede mną o Robercie. Poznaliśmy obaj szczegóły tej obmowy zaraz nazajutrz; nie iżbyśmy je sobie powtórzyli nawzajem, co by się nam wydało bardzo niegodne, ale co się Blochowi zdawało tak naturalne i prawie nieuniknione, że w swoim niepokoju, uważając za pewnik, iż powie każdemu z nas jedynie to, czego i tak musimy się dowiedzieć, wołał nas uprzedzić. Odciągając Roberta na bok, wyznał mu, że mówił źle o nim umyślnie, abym mu to powtórzył; zaklął się „na Kroniona Zeusa, strażnika przysięg”, że go kocha, że dałby życie za niego, i otarł łzę. Tegoż dnia postarał się widzieć mnie samego, wypowiadał się przede mną, oświadczył, że działał w moim interesie, uważając, iż pewien typ stosunków światowych jest dla mnie zgubny i że „wart jestem czegoś lepszego”. Po czym biorąc mnie za rękę z pijackim rozczuleniem, mimo że jego pijaństwo było czysto nerwowe: „Wierzaj mi — rzekł — i niechaj czarna Ker pochłonie mnie w tej chwili i wepchnie mnie w bramy Hadesu obmierzłego ludziom, jeżeli wczoraj, myśląc o tobie, o Combray, o mojej nieskończonej czułości dla ciebie, o chwilach spędzonych na ławce szkolnej, których ty nawet nie pamiętasz, nie szlochałem całą noc. Tak, całą noc, przysięgam ci, i niestety wiem o tym, bo znam dusze ludzi, nie uwierzysz mi”.

Nie uwierzyłem mu w istocie, a słowem tym, które — czułem to — Bloch wymyślał na poczekaniu — w miarę jak mówił, przysięga jego „na czarną Ker” nie przydawała wiele wagi, ile że kult hellenizmu był u Blocha czystą literaturą. Zresztą, ilekroć się zaczynał rozczulać i chciał kogoś rozczulić jakimś fałszem, powiadał: „Przysięgam ci”, bardziej jeszcze dla historycznej rozkoszy kłamania niż z chęci przekonania o prawdzie swoich słów. Nie wierzyłem w to, co mówił, ale nie żywiłem doń pretensji, bo miałem to po matce i babce, że byłem niezdolny do urazy, nawet wobec bardziej winnych, i nigdy nie potępiałem nikogo.

Bloch nie był zresztą absolutnie złym chłopcem, mógł się zdobyć na wielką delikatność. I od czasu jak rasa Combray, z której wiodły się istoty absolutnie czyste jak moja babka i matka, zdaje się niemal wygasła, kiedy mam do wyboru jedynie między zacnymi bydlakami, nieczułymi i prawymi, u których sam dźwięk głosu zdradza rychło, że się nie troszczą w niczym o nasze życie — a innym gatunkiem ludzi, którzy, dopóki są z nami, rozumieją nas, kochają, rozczulają się do łez, a biorą sobie odwet w kilka godzin potem, robiąc na nas jakiś okrutny żarcik, ale wracają do nas, wciąż równie rozumiejący, równie mili, równie wnikający w nas na chwilę, sądzę, że wolę ten drugi rodzaj ludzi, jeżeli nie jako wartość moralną, to bodaj jako towarzystwo.

— Nie możesz sobie wyobrazić mego cierpienia, kiedy myślę o tobie — ciągnął Bloch. — W gruncie to jest rys dosyć żydowski we mnie — dodał ironicznie, mrużąc oczy, tak jakby chodziło o dawkowanie pod mikroskopem nieskończenie drobnej cząstki „krwi żydowskiej” i tak jakby mógł powiedzieć (ale by nie powiedział) wielki pan francuski, gdyby między swymi wyłącznie chrześcijańskimi przodkami liczył Samuela Bernarda lub jeszcze starożytniej Matkę Boską, od której ponoć wywodzi się rodzina Lévy.

— Dość chętnie — dodał — biorę w swoich uczuciach w rachubę wcale szczupłą zresztą cząstkę, która może się wiązać z moim żydowskim pochodzeniem.

Wygłosił to zdanie, bo mu się zdawało równocześnie i inteligentne, i odważne powiedzieć prawdę o swojej rasie, prawdę, którą równocześnie starał się osobliwie złagodzić, jak

skąpcy, gdy się decydują spłacić długi, ale umieją się zdobyć tylko na zapłacenie połowy. Ten rodzaj oszukaństwa, polegający na odwadze powiedzenia prawdy, ale z domieszką sporej porcji kłamstw, które ją fałszują, jest bardziej rozpowszechniony, niż się przypuszcza; i nawet ci, co nie uprawiają go stale, uciekają się do niego w pewnych momentach, zwłaszcza gdy wchodzi w grę stosunek miłosny.

Wszystkie te kryjome wycieczki Blocha wobec Roberta przeciw mnie i wobec mnie przeciw Robertowi skończyły się zaproszeniem na obiad. Nie jestem bardzo pewny, czy najpierw nie próbował zdobyć Roberta samego. Taka próba byłaby dość prawdopodobna, ale widać nie uwieńczyło jej powodzenie, gdyż pewnego dnia Bloch zwrócił się do nas obu.

— Drogi mistrzu i ty, jeźdźcze ulubiony Aresowi, margrafie de Saint-Loup-en-Bray, poskromicielu rumaków, skorom cię spotkał na ociekającym pianą wybrzeżu Amfitryty, w pobliżu namiotów Menierów o chybkich okrętach, czy zechcecie obaj przyjść któregoś dnia spożyć obiad u mego znamienitego ojca o sercu bez zmyzy?

Skierował do nas to zaproszenie, bo miał ochotę zbliżyć się z Robertem, który mógłby — Bloch miał tę nadzieję — wprowadzić go w sfery arystokratyczne. U mnie pragnienie takie wydałoby się Blochowi oznaką najwstrętniejszego snobizmu, zgodnego z opinią, jaką miał o całej stronie mego usposobienia, nie uważając jej, dotąd przynajmniej, za główną; ale to samo pragnienie u niego zdawało mu się dowodem chwalebnej żywotności jego inteligencji, żadnej pewnych odkryć socjalnych, mogących przynieść mu jakiś literacki pożytek.

Kiedy Bloch oznajmił ojcu, że przyprowadzi na obiad jednego ze swoich przyjaciół, którego tytuł i nazwisko wygłosił tonem sarkastycznego zadowolenia: „Margrabia de Saint-Loup-en-Bray”, ojciec doznał gwałtownego wstrząsu. „Margrabia de Saint-Loup-en-Bray! A, psiakość!” — wykrzyknął, posługując się przekleństwem, będącym u niego oznaką najwyższego socjalnego szacunku.

I rzucił na syna, zdolnego do zawiązania takich stosunków, pełne podziwu spojrzenie, które mówiło: „On jest naprawdę zdumiewający! Czy ten młody fenomen, to jest moje dziecko?”. Spojrzenie to sprawiło memu koledze więcej przyjemności, niż gdyby mu pomnożono miesięczną pensję o pięćdziesiąt franków. Bo Bloch czuł się źle w domu; czuł, że go ojciec uważa za pomyłonego, dlatego że żywi podziw dla Leconte de Lisle’a, dla Heredii i innej „bohemy”. Ale stosunki z margrabią Saint-Loup-en-Bray, którego ojciec był swego czasu prezesem Kanału Sueskiego (a, psiakość!), to był rezultat „bezsportny”. Tym więcej ojciec Blocha ubolewał, że zostawił w Paryżu stereoskop z obawy uszkodzenia tegoż. Jedynie starszy pan Bloch miał prawo się nim posługiwać. Czynił to zresztą rzadko, z rozwagą, w dniu przyjęć galowych z donajętymi lokajami. Tak że te stereoskopowe seanse stawały się dla uczestników jak gdyby wyróżnieniem, przywilejem, a panu domu, który je urządzał, dawały *prestige* podobny temu, jaki daje talent; *prestige* ten nie mógłby być większy, gdyby pan Bloch osobiście dokonał zdjęć i sam wymyślił aparat. „Nie byłeś wczoraj zaproszony do Salomona?” — pytano w rodzinie. „Nie, nie należałem do wybranych! Co tam było?”. „Wielka heca, stereoskop, cała parada”. „A, skoro był stereoskop, to żałuję, bo zdaje się, że Salomon jest bajeczny, kiedy go pokazuje”.

— Trudno — powiedział pan Bloch do syna — nie trzeba mu dawać wszystkiego naraz, w ten sposób zostanie mu coś na przyszłość.

W swojej czułości ojcowskiej, chcąc ucieszyć syna, pomyślał o tym, aby sprowadzić aparat. Ale brakło „fizycznego czasu” lub przynajmniej sądzono, że go braknie; musieliśmy wszelako odbyć ten obiad, bo Saint-Loup nie mógł się ruszyć, w oczekiwaniu wuja, który miał przyjechać na dwa dni do pani de Villaparis. Ponieważ ów wuj, rozmiłowany w ćwiczeniach fizycznych, zwłaszcza w długich marszach, odbywał drogę z zamku, gdzie bawił na wilegiaturze, po większej części pieszo, nocując u wieśniaków, chwila jego zjawienia się w Balbec była dość niepewna. Bojąc się ruszyć, Saint-Loup polecił mi nawet zanieść do Incauville, gdzie był urząd telegraficzny, depeszę, którą wysyłał co dzień do swojej kochanki. Oczekiwany wuj nazywał się Palamed — to imię odziedziczył po swoich przodkach, książętach Sycylii. I później, kiedy w ciągu swoich lektur historycznych odnajdywałem to imię, należące do jakiegoś podesty lub księcia Kościola, niby piękny renesansowy medalion — inni mówili: prawdziwy antyk — przechowywany w rodzinie, przechodzący z biegiem pokoleń z gabinetu watykańskiego na wuja mego przyjaciela,

odczuwałem przyjemność właściwą tym, co nie mogąc z braku pieniędzy stworzyć sobie zbioru medali, pinakoteki, poszukują starych nazw (nazw miejscowości, dokumentarnych i malowniczych na kształt starej mapy, godła, szyldu lub kalendarza, imion chrześcijańskich, w których dźwięczy i wyraża się, w pięknych francuskich końcówkach, skaza języka, akcent etnicznego zniekształcenia, błędna wymowa, którą przodkowie nasi narzucali łacińskim lub saksońskim wyrazom, trwale skażenia, zmienione później w dostojne prawodawstwo gramatyki) i dzięki tej kolekcji zamierzonych dźwięków dają sami sobie koncerty, na sposób tych, co nabywają *viola di gamba* i *viola d'amore*, by uprawiać starą muzykę na dawnych instrumentach.

Saint-Loup powiedział mi, że nawet w najbardziej zamkniętym świecie arystokratycznym, wuj jego Palamed wyróżniał się jako szczególnie nieprzystępny, wgardliwy, zakochany w dostojności rodu, tworzący wraz z żoną swego brata i kilkoma innymi wybranymi tak zwane „kółko Feniksów”. I tam nawet budził taki lęk swymi fumami, że zdarzało się, iż ludzie z towarzystwa pragnący go poznać i zwracający się z tym do jego brata, spotykali się z odmową. „Nie, nie, niech mnie pan nie prosi o przedstawienie bratu. Choćbyśmy się do tego zaprzęgli wszyscy razem z moją żoną, nic byśmy nie wskórali. Lub naraziłby się pan na to, że Palamed zrobiłby panu jaką impertynencję, a tego bym nie chciał”. W Jockey Clubie sporządził wraz z kilkoma przyjaciółmi listę dwustu członków, których nigdy sobie nie pozwolą przedstawić. A u hrabiego Paryża znany był pod przydomkiem „królewiątka” dla swojej elegancji i dumy.

Saint-Loup opowiadał mi o dawno już minionej młodości swego wuja. Sprowadzał wówczas co dzień kobiety do garsoniery, którą miał wspólnie z dwoma przyjaciółmi, pięknymi jak on, co sprawiało, że ich nazywano „trzy Gracje”.

— Jeden z ludzi najbardziej dziś na widoku w Faubourg Saint-Germain, jakby powiedział Balzac, ale który w pierwszym, dość wątpliwym okresie życia zdradzał osobliwe gusty, poprosił wujka, aby mu pozwolił odwiedzić tę garsonierę. Ale ledwie przybył, zaczął się oświadczać nie kobietom, lecz wujowi Palamedowi. Wuj udał, że nie rozumie, odciągnął pod jakimś pretekstem na stronę swoich dwóch przyjaciół, po czym wrócili, wzięli delikwenta, rozebrali go, zbili do krwi i skopawszy, wyrzucili go na dziesięciostopniowy mróz na ulicę, gdzie go znaleziono w pół żywego. Policja wszczęła dochodzenie, któremu ten nieszczęsny ledwo zdołał z największym trudem zapobiec. Dziś wuj Palamed nie dopuściłby się tak okrutnej egzekucji; nie wyobrażasz sobie, ile osób z ludu — on, tak wyniosły z ludźmi swojej sfery — darzy sympatią, proteguje, często narażając się na niewdzięczność. To jakimś służącemu, który go obsługiwał w hotelu, wyrobił miejsce w Paryżu, to jakiegoś kmiotka da uczyć rzemiosła. To nawet jest u niego raczej sympatyczna strona, przez kontrast do jego światowości.

Saint-Loup należał w istocie do tego rodzaju młodych światowców, rosnących na wyżynie, gdzie zdołano wyhodować te zwroty: „To jest u niego raczej sympatyczne, to jego wcale sympatyczna strona”, nasiona dosyć cenne, wydające bardzo szybko sposób pojmowania rzeczy, bez którego siebie liczy się za nic, a „lud” za wszystko; w sumie — zupełne przeciwieństwo dumy plebejusza.

— Zdaje się, że niepodobna sobie wyobrazić, do jakiego stopnia on nadawał ton, jak on za młodu dyktował prawa całemu towarzystwu. Sam w każdej okoliczności robił to, co mu się zdawało najprzyjemniejsze, najwygodniejsze, ale natychmiast stawało się to wzorem dla snobów. Kiedy mu się w teatrze zachciało pić i kazał sobie przynieść coś do picia do łoża, w następnym tygodniu saloniki przy łóżach napełniły się chłodnikami. Pewnego dżdżystego lata, kiedy miał trochę reumatyzmu, zamówił sobie paltot z wielbłądziej sierści, miękkiej ale cieplej, używanej tylko na pledy; kazał nawet zachować niebieskie i żółte prążki. Natychmiast klienci modnych krawców zaczęli zamawiać niebieskie kosmate paltta z frędzlami. Jeśli dla jakiejś przyczyny chciał odjąć ceremonialny charakter obiadu na wsi, gdzie bawił przelotnie, i aby zaznaczyć ten odcień, nie wzięwszy ze sobą fraka, siadł do stołu w zwykłej marynarce, stawało się modą jeść na wsi obiad w marynarce. Kiedy, jedząc ciasto, zamiast łyżeczki posłużył się widelcem lub przyrządem własnego pomysłu, zamówionym specjalnie u jubilera, lub wreszcie palcami, nie wolno już było robić inaczej. Miał na przykład ochotę posłyszeć niektóre kwartety Beethovena (bo przy wszystkich swoich dzikich pomysłach, on wcale nie jest głupi, jest bardzo utalentowany) i sprowadzał sobie artystów, aby je przegrywali co tydzień dla niego i dla paru przyja-

ciół: szczytem elegancji stało się owego roku dawać bardzo nieliczne zebrania z muzyką kameralną. Myślę zresztą, że on się nie nudził w życiu. Przy swojej urodzie, ten musiał mieć kobiety! Nie umiałbym ci zresztą powiedzieć które, bo on jest bardzo dyskretny. Ale wiem, że bardzo zdradzał moją biedną ciotkę. Co nie przeszkadza, że był przemily dla niej, że ona go ubóstwiała, a on oplakiwał ją całe lata. Kiedy jest w Paryżu, chodzi jeszcze prawie co dzień na cmentarz.

Nazajutrz po dniu, gdy Robert opowiadał mi o swoim wuju, wciąż oczekując go, zresztą na próżno, wracałem sam koło kasyna do hotelu. Naraz doznałem wrażenia, że ktoś w pobliżu przygląda mi się. Obróciłem głowę i spostrzegłem mężczyznę może czterdziestoletniego, wysokiego i dość tęgiego, z bardzo czarnymi wąsami, który, uderzając się nerwowo po spodniach laseczką, wpijał we mnie oczy rozszerzone uwagą. Chwilami oczy te przeszywało we wszystkich kierunkach spojrzenie nadzwyczaj żywe, jakie mają wobec nieznaney im osoby ludzie, w których z jakiego bądź powodu osoba ta budzi myśli obce każdemu innemu — na przykład wariaci lub szpiedzy. Skierował na mnie żarliwe spojrzenie, śmiałe, ostrożne, szybkie i głębokie zarazem, niby ostatni strzał, jaki ktoś oddaje tuż przed rzuceniem się do ucieczki; po czym, rozejrzawszy się dokoła, przybierając nagle roztargnioną i wyniosłą minę, opanowawszy się gwałtownie, pogrążył się w lekturze afisza, nucąc jakąś aryjkę i poprawiając różę zwisającą z butonierki. Wyjął z kieszeni notatnik, w który zdawał się wpisywać tytuł widowiska, dobył parę razy zegarka, nasunął na oczy czarny słomkowy kapelusz, przykładając do jego róna dłoń jakby dla sprawdzenia, czy ktoś nie nadchodzi; uczynił gest zniecierpliwienia, jakim człowiek niby to wyraża, że ma dość czekania, ale jakiego nie robi nigdy, gdy czeka naprawdę; po czym, odsuwając w tył kapelusz i ukazując krótko ostrzyżoną szczotkę włosów z dłuższymi puklami na skroniach, wydał głośne westchnienie nie człowieka, któremu jest za gorąco, ale człowieka, który chce okazać, że mu jest za gorąco.

Pomyślałem, czy to nie złodziej hotelowy, który, zauważywszy może w ciągu poprzednich dni babkę i mnie i gotując jakiś zamach, spostrzegł, że go przyłapał na tym, że mnie śledzi; aby zmylić trop, może starał się tylko zmianą swojej postawy wyrazić roztargnienie i obojętność, ale czynił to z tak natrętną przesadą, jak gdyby miał na celu co najmniej tyleż rozproszyć moje możliwe podejrzenia, co pomścić upokorzenie, o jakie go bezwiednie przyprawilem, obudzić we mnie przekonanie nie tyle, że mnie nie widział, co że jestem przedmiotem zbyt mało znaczącym, aby zasługiwać na jego uwagę. Wypinał się prowokująco, zaciskał wargi, podkreślał wąsy, dając swoim spojrzeniom coś obojętnego, twardego, niemal obelżywego; tak iż niezwykłość jego wzroku kazała mi go brać to za złodzieja, to za wariata. Jednakże strój jego, nadzwyczaj wyszukany, był o wiele poważniejszy i o wiele skromniejszy niż u wszystkich letników w Balbec, pokrzepiający dla mojej marynarki, tak często upokarzanej olśniewającą i banalną bielą ich plażowych kostiumów.

Tymczasem babka wyszła na moje spotkanie, spacerowaliśmy trochę; w godzinę później czekałem na nią przed hotelem, dokąd weszła na chwilę, kiedym ujrział panią de Villeparisis, wychodzącą z Robertem de Saint-Loup i z owym nieznanym, który mi się tak bystro przyglądał przed kasynem. Wzrok jego przeszył mnie z szybkością błyskawicy, tak samo jak wówczas, gdy go spostrzegłem po raz pierwszy; po chwili wzrok ten — tak jakby mnie nie dojrzał stojącego nieco niżej, w polu jego widzenia — wrócił stępio-ny, obojętny: wzrok, który udaje, że nic nie widzi i niezdolny jest nic wyrazić; malujący jedynie satysfakcję czucia dokoła siebie rzesz rozchylonych jego błogą krągłością; nabożny i słodki wzrok, jaki mają niektórzy hipokryci, zadowolony z siebie wzrok, jaki mają niektórzy głupcy. Ujrzałem, że nieznanomy zmienił ubranie. Obecny jego strój był jeszcze ciemniejszy; niewątpliwie dlatego, iż prawdziwa elegancja mniej jest odległa od prostoty niż fałszywa; ale było jeszcze coś: widząc go z bliska, czuło się, że jeżeli kolor jest prawie zupełnie obcy jego ubraniu, to nie dlatego, aby ten, co nim wzgardził, był nań obojętny, ale raczej że go sobie zabronił dla jakiejś przyczyny. Surowość jego stroju bardziej zdawała się wynikać z jakiejś narzuconej diety niż z braku łakomstwa. Ciemnozielona nitka w materii spodni harmonizowała ze strzałką u skarpetek, z wyrafinowaniem zdradzającym żywość poskromionego wszędzie indziej smaku, jakiemu zrobiono przez tolerancję to jedno ustępstwo, podczas gdy czerwona plamka na krawacie była niedostrzegalna niby zuchwałstwo, na które ktoś nie śmie sobie pozwolić.

— Dobry wieczór, przedstawiam panu mego bratanka, barona de Guermantes — rzekła do mnie pani de Villeparisis, podczas gdy nieznamy, nie patrząc na mnie, wybąkał niewyraźnie: „Bardzo mi miło”, co uzupełnił dźwiękami: „hum, hum, hum”, aby dać swojej uprzejmości coś wymuszonego; równocześnie, zginając mały, wielki i wskazujący palec, podał mi środkowy i serdeczny, bez żadnego pierścionka. Ucisnąłem je przez szwedzką rękawiczkę; po czym baron, nie podnosząc na mnie oczu, obrócił się ku pani de Villeparisis.

— Mój Boże, czy ja głowę tracę — rzekła margrabina — przecież ja cię nazwałam baronem de Guermantes. Przedstawiam panu barona de Charlus. Ostatecznie, pomyłka nie jest tak wielka — dodała — i tak przecie jesteś Guermantes.

Tymczasem zjawiła się babka, szliśmy kawałek razem. Wuj Roberta nie zaszczycił mnie nie tylko słowem, ale nawet spojrzeniem. O ile przyglądał się czasem obcym (a w czasie tej krótkiej przechadzki rzucił parę razy swoje straszliwe i głębokie spojrzenie niby sondę na przechodniów nieznaczących i nader skromnego stanu), w zamian za to, o ile miałem sądzić po sobie, nie patrzył ani przez chwilę na osoby, które znał — niby obarczony tajną misją agent, który wyłącza swoich przyjaciół z zawodowego nadzoru. Zostawiając barona rozmawiającego z margrabinią i z babką, zatrzymałem Roberta w tyle:

— Powiedz mi, czy ja dobrze słyszałem, pani de Villeparisis powiedziała, że twój wuj jest Guermantes.

— Ależ tak, oczywiście, to Palamed de Guermantes.

— Czy z tych samych Guermantów, co mają zamek w pobliżu Combray i jakoby pochodzą od Genowefy Brabanckiej?

— Najzupełniej: wuj, który jest pierwszorzędnym heraldyk, odpowiedziałby ci, że nasze *zawołanie*, nasz okrzyk wojenny, który później brzmiał Passavant, był zrazu Combraysis — rzekł Robert, śmiejąc się, aby się nie wydawało, że czerpie próżność w tym przywileju *zawołania*, który posiadały jedynie domy quasi-panujące, wielcy naczelnicy klanów. — Wuj Palamed jest bratem obecnego posiadacza zamku.

Tak więc wiązała się, i to bardzo blisko, z Guermantami owa pani de Villeparisis, będąca tak długo dla mnie damą, od której dostałem paczkę czekolady, będąc mały, bardziej odległa wówczas od strony Guermantes, niż gdyby była zamknięta w stronie Méséglise, mniej świetna, stawiana przeze mnie poniżej optyka z Combray, a obecnie podlegająca nagle jednej z owych fantastycznych zwyżek, równie nieprzewidzianej jak zniżka innych posiadanych przez nas przedmiotów, które to zmiany — jedno i drugie — wnoszą w naszą młodość i w te części naszego życia, w których przetrwało coś z naszej młodości, przeobrażenia równie liczne jak metamorfozy Owidiusza.

— Czy w zamku znajdują się wszystkie portrety dawnych panów na Guermantes?

— Tak, to piękny widok — rzekł ironicznie Saint-Loup. — Mówiąc między nami, wszystkie te rzeczy wydają mi się trochę głupie. Ale jest w Guermantes rzecz o wiele bardziej interesująca: bardzo wzruszający portret mojej ciotki przez Carrière'a. To piękne jak Whistler albo jak Velasquez — dodał Saint-Loup, który w gorliwości neofity nie zawsze zbyt ściśle zachowywał skalę wielkości. — Są tam też wstrząsające obrazy Gustawa Moreau. Ciotka moja jest siostrzenicą waszej przyjaciółki, pani de Villeparisis; chowała się przy niej i wyszła za swego kuzyna, obecnego diuka de Guermantes, który też jest siostrzeńcem ciotki Villeparisis.

— W takim razie czym jest twój wuj?

— Nosi tytuł barona de Charlus. Prawidłowo, kiedy mój wujeczny dziadek umarł, wuj Palamed powinien był przybrać tytuł księcia des Laumes, który nosił jego brat, zanim został księciem de Guermantes, bo w tej rodzinie zmieniają nazwiska jak koszule. Ale wuj ma na te sprawy poglądy bardzo osobiste. Że zaś uważa, iż nadużywa się trochę księstw włoskich, grandostw hiszpańskich etc., przeto, mimo iż miał do wyboru między kilkoma tytułami książęcymi, zachował tytuł barona de Charlus, manifestacyjnie i z pozorami prostoty kryjącej sporo dumy. „Dzisiaj (powiada) lada kto jest księciem, trzebaż mieć coś, co by człowieka wyróżniało; wezmę tytuł księcia, kiedy zechcę podróżować incognito”. Nie ma, wedle niego, starszego tytułu niż baron de Charlus; aby dowieść, że jest dawniejszy od Montmorency'ch, fałszywie podających się za pierwszych baronów Francji, gdy byli tylko pierwszymi baronami Ile-de-France, gdzie było ich lenno, wuj rozwinie ci ten temat przez całe godziny, i to z przyjemnością, mimo bowiem że to jest człowiek bardzo inteligentny,

bardzo utalentowany, uważa, że to jest całkiem żywy przedmiot konwersacji — dodał z uśmiechem Saint-Loup. — Ale że ja nie jestem podobny w tym do niego, nie każesz mi chyba mówić o genealogii; nie znam nic nudniejszego, bardziej martwego, doprawdy życie jest zbyt krótkie.

W twardym spojrzeniu, które kazało mi się niedawno obejrzyć koło kasyna, poznawałem teraz to, które widziałem wlepione w siebie w Tansonville, w chwili gdy pani Swann wołała Gilbertę.

— Czy między licznymi kochankami, które, jak mi mówiłeś, miał pan de Charlus, nie było pani Swann?

— Och, bynajmniej! To znaczy, on jest wielki przyjaciel Swanna i zawsze bardzo go popierał. Ale nigdy nie słyszałem, aby był kochankiem jego żony. Wywołałbyś wielkie zdumienie w towarzystwie, gdybyś okazał, że w to wierzysz.

Nie śmiałem odpowiedzieć, że wywołałbym jeszcze większe zdumienie w Combray, gdybym okazał, że w to nie wierzę.

Babka była zachwycona panem de Charlus. Niewątpliwie, baron przywiązywał ogromną wagę do spraw urodzenia i pozycji, i babka zauważyła to, ale bez owej surowości, w której skład wchodzi zazwyczaj tajemna zazdrość i irytacja, że się widzi kogoś drugiego posiadaczem przewag, jakie na próżno chcielibyśmy mieć sami. Ponieważ, przeciwnie, babka, zadowolona ze swego losu i niezazdroszcząca nikomu światowych blasków, obserwowała wady pana de Charlus jedynie intelektualnie, mówiła o wuju Roberta z ową swobodną, uśmiechniętą, sympatyczną niemal życzliwością, jaką nagradzamy przedmiot naszej bezinteresownej obserwacji za przyjemność, jaką nam sprawia. Tym bardziej, że tym razem przedmiot był osobistością, której pretensje, o ile nie uprawnione, to bodaj malownicze, dość żywo odcinały nowo poznanego od osób, jakie babka miała sposobność widywać. Ale jeżeli tak łatwo przebaczyła panu de Charlus jego arystokratyczne przesady, to zwłaszcza przez wzgląd na jego inteligencję i wrażliwość, których żywość zgadywało się u niego, w przeciwieństwie do tylu salonowców, przedmiotu drwin Roberta. Ale wuj nie poświęcił, jak siostrzeniec, tych przesądów dla wyższych wartości. Pan de Charlus raczej pogodził jedno z drugim. Posiadając, jako potomek książąt de Nemours i de Lamballe, archiwa, meble, dywany, portrety, sporządzone dla jego przodków przez Rafaela, Velasqueza, Bouchera, mogąc słusznie powiedzieć, iż zwiedza muzeum i nieporównaną bibliotekę, gdy przeglądał jedynie swoje pamiątki rodzinne, dawał, przeciwnie, arystokratycznemu dziedzictwu rangę, z której siostrzeniec jego je stracił. Mniej wierzący w „ideę” od Roberta, mniej biorący się na słowa, większy realista w obserwowaniu ludzi, nie chciał może zaniedbać tak ważnego elementu dającego mu urok w ich oczach; czynnik ten, o ile dawał jego wyobraźni bezinteresowne satysfakcje, równie często mógł się stać potężnym środkiem dla jego praktycznych działań. Wieczna będzie różnica między ludźmi tego rodzaju a tymi, co zostają posłuszni wewnętrznemu ideałowi, każącemu się im wyżyć owych przewag, aby się wyłącznie starać urzeczywistnić ten ideał. Ci podobni są malarzom lub pisarzom wyrzekającym się wirtuozji; plemionom artystów, które się modernizują; ludom wojennym podejmującym inicjatywę powszechnego rozbrojenia; rządowi absolutnym, które się demokratyzują, wyrzekając się twardych praw. Często życie nie przynosi nagrody za ten szlachetny wysiłek; jedni bowiem tracą talent, drudzy wiekową przewagę; pacyfizm mnoży niekiedy wojny, a pobłażanie zbrodniczość. O ile dążenia Roberta do szczerości i do wyzwolenia się trzeba było uznać za bardzo szlachetne, wolno było — sądząc z rezultatu — cieszyć się, że ich zbywało panu de Charlus, który kazał przenieść do siebie większość cudownych boazerii z pałacu Guermantes, zamiast je wymienić, jak jego siostrzeniec, na urządzenie „*modern style*”, na Lebourgów i Guillauminów. Niemniej prawdą było, że ideał pana de Charlus był bardzo sztuczny, i — gdyby ten epitet można skojarzyć ze słowem *ideał* — w równym stopniu światowy co artystyczny. W kilku kobietach wielkiej piękności i rzadkiej kultury, których babki były dwa wieki wprzód wplecione w chwałę i wykwiłt dawnego panowania, baron widział dystynkcję, dzięki której podobał sobie tylko w ich towarzystwie. Podziw, jaki dla nich żywił, był z pewnością szczerzy; ale liczne reminiscencje z historii i sztuki wywołane ich nazwiskami odgrywały w tym wielką rolę, tak jak pamiątki starożytności są jednym ze źródeł przyjemności, jaką uczoney znajduje w odczytywaniu ody Horacego, mniej może wartej od dzisiejszych poematów, które zostawiłyby tegoż uczonego obojętnym. Każda z tych

kobiet, w zestawieniu z ładną mieszczańką, była dla barona tym, czym przy dzisiejszym plótnie przedstawiającym jakiś pejzaż lub wesele są owe stare obrazy, których historię znamy od papieża lub króla, co je zamówili, poprzez osoby posiadające je w drodze daru, kupna, zdobyczy lub dziedzictwa. Takie dzieła wiążą się dla nas z jakimś wydarzeniem lub co najmniej małżeństwem o historycznej doniosłości; tym samym wiadomości nabyte o nich dają im nową użyteczność, zwiększają poczucie bogactw naszej pamięci lub naszej erudycji. Pan de Charlus cieszył się, że ten sam przesąd, nie pozwalając owym kilku wielkim damom przestawać z kobietami krwi mniej czystej, oddał je jego kultowi nietknięte, w ich nieskazonym szlacheństwie, niby jakąś fasadę z XVIII wieku, wspartą płaskimi kolumnami z różowego marmuru, w niczym niezmienioną przez czas.

Pan de Charlus wielbił prawdziwe *szlacheństwo* ducha i serca tych kobiet, igrając w ten sposób terminem, mającym jego samego i kryjącym kłamstwo tego wątpliwego pojęcia, wieloznacznika arystokracji, szlachetności i sztuki, ale także jego urok, niebezpieczny dla osób takich jak moja babka. Przesady arystokraty patrzącego jedynie na rodowód i niedbającego o resztę wydałyby się jej zbyt śmieszne, ale była bez obrony z chwilą, gdy jakaś rzecz ukazywała się pod pozorami duchowej wyższości; tak iż uważała panujących za ludzi najgodniejszych zazdrości, bo mogli mieć za nauczyciela jakiegoś La Bruyere'a lub Fénelona.

Przed Grand-Hotelem troje Guermantów pożegnało nas; wybierali się na śniadanie do księżnej de Luxembourg. W chwili gdy babka żegnała się z panią de Villeparisis, a Saint-Loup z babką, pan de Charlus, który dotąd nie odezwał się do mnie ani słowem, cofnął się o kilka kroków i znalazł się przy mnie: „Zajdę dziś wieczór na herbatę do ciotki Villeparisis — rzekł. — Mam nadzieję, że zrobi mi pan tę przyjemność, aby przybyć wraz z babką”. I odszedł ku margrabinie.

Mimo że była niedziela, stało przed hotelem nie więcej fiaków niż z początkiem sezonu. Specjalnie żona rejenta uznała, że za kosztowne jest wynajmować za każdym razem powóz na to, aby nie być u państwa de Cambremer i zadowolili się siedzeniem w pokoju.

— Czy pani Blandais jest cierpiąca? — pytano rejenta. — Nie pokazała się dziś.

— Trochę ją głowa boli, upał, burza. Lada co jej szkodzi; ale sądzę, że ujrzyjcie ją państwo wieczorem. Poradziłem jej, aby zeszła. To jej tylko dobrze zrobi.

Pomyślałem, że zapraszając nas tak do ciotki (nie wątpiłem, iż musiał ją o tym uprzedzić), pan de Charlus chciał mi wynagrodzić swoją niedostateczną uprzejmość w czasie przedpołudniowej przechadzki. Ale kiedy, wszedłszy do salonu pani de Villeparisis, chciałem się przywitać z baronem, daremnie kręciłem się koło niego. Opowiadał właśnie ostrym głosem dość zjadliwą historię o którymś ze swoich krewnych. Nie mogąc pochwycić jego spojrzenia, zdecydowałem się powiedzieć mu dobry wieczór, i to dość głośno, aby go uprzedzić o mojej obecności; ale zrozumiałem, iż zauważył ją, bo zanim jeszcze jakieś słowo wyszło z moich ust, kłaniając się, ujrzałem wyciągnięte do mnie dwa palce barona, przy czym nie odwrócił oczu i nie przerwał rozmowy. Widział mnie oczywiście, nie pokazując tego. Spostrzegłem też wówczas, że jego oczy, które nigdy nie patrzyły wprost na tego, z kim rozmawiał, biegały ustawicznie we wszystkich kierunkach, jak oczy przestraszonego zwierzęcia lub oczy przekupniów ulicznych, którzy, podczas gdy zachwalają swój niedozwolony towar, badają — ale nie odwracając głowy — rozmaite punkty horyzontu, skąd mogłaby się zjawić policja. Jednakże uczułem się nieco zdziwiony, iż pani de Villeparisis, bardzo zresztą rada, że nas widzi, nie spodziewała się nas; a bardziej jeszcze, kiedy usłyszał, jak pan de Charlus mówi do babki:

— A, to bardzo dobra myśl, że państwo przyszli, to bardzo miło, prawda, ciociu?

Bez wątpienia zauważył zdziwienie pani de Villeparisis przy naszym wejściu i sądził, jak człowiek nawykły poddawać ton, że aby zmienić to zdziwienie w radość, wystarczy mu ją okazać samemu, wskazać, że to jest uczucie, jakie nasze zjawienie się powinno wywołać. W czym miał słuszność; pani de Villeparisis bowiem, która bardzo liczyła się z siostrzeńcem i wiedziała, jak trudno jest znaleźć łaskę w jego oczach, odkryła nagle jak gdyby nowe przymioty w mojej babce i rozwinęła dla niej szczególną uprzejmość. Ale ja nie mogłem pojąć, jak pan de Charlus mógł w ciągu kilku godzin zapomnieć swego zaproszenia, tak zwięzłego, ale na pozór tak umyślnego, tak celowego, jakie zwrócił do mnie rano, i czemu nazywa „dobrym pomysłem” babki pomysł pochodzący całkowicie od niego samego. Ze skrupułem ścisłości, jaki zachowałem aż do wieku, gdym pojął,

że dopytywanie się nie jest najlepszym sposobem zgłębienia czyichś intencji i że ryzyko nieporozumienia, które prawdopodobnie ujdzie niepostrzeżone, mniejsze jest niż ryzyko naiwnego nalegania, rzekłem:

— Ależ, proszę pana, pan sobie przypomina przecież, że to pan sam prosił nas, abyśmy przyszli wieczór?

Żaden dźwięk, żaden ruch, nie zdradził, czy pan de Charlus usłyszał moje pytanie. Co widząc, powtórzyłem je, jak dyplomaci lub poróżnieni młodzi ludzie, wkładający niestrudzoną i daremną dobrą wolę w to, aby uzyskać wyjaśnienia, których druga strona zdecydowana jest nie udzielić. Pan de Charlus znowu mi nie odpowiedział. Zdawało mi się, że na ustach barona igra uśmiech człowieka sądzącego z bardzo wysoka charakteru i wychowanie.

Skoro baron odmawiał wszelkiego wytłumaczenia, próbowałem je znaleźć sam, ale wahałem się między kilkoma, z których żadne nie mogło wystarczyć. Może już sobie nie przypominał, a może ja źle zrozumiałem jego słowa... Bardziej prawdopodobnie, przez dumę nie chciał, aby się wydało, iż starał się ściągnąć ludzi, którymi gardził; wołał tedy na nich samych przerzucić inicjatywę. Ale skoro nami gardził, czemu zależało mu na tym, abyśmy przyszli lub raczej aby babka przyszła, bo z nas dwojga jedynie do niej zwracał się w ciągu wieczora, a do mnie ani razu. Rozmawiając z ożywieniem z nią, zarówno jak z panią de Villeparisis, schowany niejako za nimi niby w głębi łoży, chwilami tylko odwracając badawcze spojrzenie swoich przenikliwych oczu, wlepił je w moją twarz z tą samą powagą, z tym samym nasileniem, co gdyby to był rękopis trudny do odcyfrowania.

Bez wątpienia, gdyby nie te oczy, twarz pana de Charlus byłaby podobna do twarzy wielu przystojnych mężczyzn. Saint-Loup, mówiąc ze mną o innych Guermantach, rzekł kiedyś: „Ba, oni nie mają tej rasy, tego wielkopaństwa w każdym calu, jakie ma wuj Palamed”; potwierdzając, że rasa i arystokratyczna dystynkcja nie są czymś tajemniczym i nowym, lecz polegają na składnikach, które rozpoznawałem bez trudu i bez specjalnego wrażenia. Miałem uczucie, że się rozwiewa jedno z moich złudzeń. Ale daremnie pan de Charlus zamykał hermetycznie wyraz owej twarzy, której lekka warstwa pudru dawała coś z twarzy aktora; oczy jego były niby szczelina, niby strzelnica, której nie mógł zatkać i przez którą, zależnie od punktu, z którego się nań patrzyło, czuło się nagle strzelający blask jakiejś wewnętrznej maszyny palnej, niezbyt bezpiecznej nawet dla tego, kto, nie będąc całkowicie jej panem, nosiłby ją w sobie, w stanie chwiejnej równowagi i zawsze gotową wybuchnąć. I ten oględny, a wciąż niespokojny wyraz jego oczu, z całym zmęczeniem, które dokoła nich, aż do bardzo szerokiego podkrążenia, wyrażało się w tej twarzy, mimo iż tak dobrze ułożonej i zamaskowanej, robił wrażenie jakiegoś incognito, jakiegoś przebrania potężnego człowieka w niebezpieczeństwie lub tylko osobnika niebezpiecznego, ale tragicznego. Pragnąłbym odgadnąć, co to była za tajemnica, nieistniejąca w innych ludziach — tajemnica, która mi uczyniła tak zagadkowym spojrzenie pana de Charlus, kiedym go ujrzał rano koło kasyna. Ale znane mi obecnie jego parantele nie pozwalały mi go już brać za złodzieja, a rozmowa barona nie pozwalała przypuszczać, aby to był wzrok obłąkanego. Jeżeli był chłodny dla mnie, będąc równocześnie tak uprzejmy dla mojej babki, wynikało to może nie z osobistej antypatii, bo na ogół, o ile baron wydawał się życzliwy dla kobiet, wyrażając się o ich wadach nader pobłaźliwie, o tyle żywił do mężczyzn, zwłaszcza do młodych ludzi, gwałtowną nienawiść, przypominającą nienawiść mizoginów w stosunku do kobiet. O paru „gigolo”, należących do rodziny lub do przyjaciół Roberta, a których nazwiska ów przypadkowo zacytował, pan de Charlus powiedział z wyrazem twarzy niemal okrutnym, odbijającym od jego zwykłego chłodu: „To są małe kanalie”. Zrozumiałem, iż on wyrzuca dzisiejszym młodym ludziom zwłaszcza to, że są zbyt zniewieściali: „To istne baby”, mówił ze wzgardą. Ależ jakie życie nie wydałoby się zniewieściałym wobec tego, jakiego on żądał dla mężczyzny, nigdy nie znajdując go dość energicznym i męskim? (On sam, w czasie swoich pieszych wędrówek, po kilku godzinach marszu rzucał się zgrzany w lodowate strumienie). Nie dopuszczał, aby mężczyzna nosił bodaj jeden pierścionek. Ale te męskie upodobania nie niweczyły w nim zalet najsubtelniejszej wrażliwości. Kiedy pani de Villeparisis prosiła go, aby opisał babce zamek, gdzie mieszkała pani de Sévigné, dodając, że widzi trochę literatury w jej rozpaczliwym powodzie rozłąki z tą nudną panią de Grignan, baron odparł:

— Przeciwnie, wydaje mi się to absolutnie szczerze. Była to zresztą epoka, która doskonale rozumiała te uczucia. Mieszkaniec Monomopata u La Fontaine'a, spieszący do przyjaciela dlatego, że mu się wydał nieco smutny we śnie, gołąbek tak cierpiący wskutek rozłąki z drugim gołąbkim, będą dla cioci zapewne równie przesadni jak pani de Sévigné niemogąca się doczekać chwili, gdy się znajdzie sama z córką. To takie piękne, co ona mówi, rozstawszy się z nią: „To rozstanie sprawia duszy mojej ból, który czuję wprost fizycznie. W czasie rozłąki człowiek szafuje hojnie godzinami. Posuwa się w czasie, do którego wdycha”.

Babka była uszczęśliwiona, słysząc, że pan de Charlus mówi o tych listach zupełnie tak, jakby ona o nich mówiła. Dziwiła się, że mężczyzna może je rozumieć tak dobrze. Znajdowała w panu de Charlus kobiecą delikatność i wrażliwość. Później, kiedy, zostawszy sami, rozmawialiśmy o nim, powiedzieliśmy sobie, że on musiał być pod wielkim wpływem jakiejś kobiety, swojej matki lub potem córki, o ile miał dzieci. Ja rzekłem w duchu: „kochanki”, myśląc o kochance Roberta i o wpływie, jaki jej przypisywałem, co mi pozwalało zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia kobiety, z którymi się żyje, wsubtelniają mężczyzn.

— Znalazłszy się z córką, zapewne nie miała jej nic do powiedzenia — odparła pani de Villeparisis.

— Z pewnością miała; choćby tylko, jak je nazywała, owe „rzeczy tak lekkie, że jedynie my dwie je czujemy”. W każdym razie była z nią! A La Bruyère powiada nam, że to jest wszystko: „Być obok tych, których się kocha; mówić do nich, nie mówić, to jedno”. Ma słuszność, to jedyne szczęście — dodał pan de Charlus melancholijnym głosem — i, niestety, życie jest tak źle urządzone, że tego jedyne szczęścia kosztuje się bardzo rzadko. Pani de Sévigné była w sumie mniej nieszczęśliwa od innych. Spędziła znaczną część życia z tą, którą kochała.

— Zapominasz, że to nie była miłość; chodziło o córkę.

— Ależ ważne w życiu jest nie to, kogo się kocha — podjął tonem kompetentnym, stanowczym, niemal rozstrzygającym — ważne to kochać. To, co czuła pani de Sévigné dla córki, może o wiele słuszniej pretendować do podobieństwa z namiętnością, jak Racine odmalował w *Andromace* lub w *Fedrze*, niż banalne stosunki młodego Sévigné z jego kochankami. Toż samo miłość jakiegoś mistyka do Boga. Zbyt ciasne linie demarkacyjne, jakimi określamy miłość, pochodzą jedynie z naszej nieznamości życia.

— Ty tak lubisz *Andromakę* i *Fedre*? — spytał Saint-Loup wuja tonem lekkiej wzgardy.

— Więcej jest prawdy w jednej tragedii Racine'a niż we wszystkich dramach pana Wiktora Hugo — odparł baron.

— Ci światowcy są bądź co bądź przerażający! — szepnął mi Saint-Loup do ucha. — Woleć Racine'a od Wiktora to jednak jest monstrualne!

Był szczerze zasmucony słowami wuja, ale przyjemność powiedzenia: „bądź co bądź”, a zwłaszcza: „monstrualne”, pocieszyła go.

W tych refleksjach o smutku życia z dala od przedmiotu ukochania (które stały się powodem, że babka uznała, iż bratanek pani de Villeparisis o wiele głębiej pojmuje pewne utwory niż jego ciotka, zwłaszcza ma coś, co go stawia o wiele wyżej od większości klubowców), pan de Charlus okazywał nie tylko subtelność uczuć w istocie rzadką u mężczyzny; sam jego głos, podobny do pewnych altowych głosów, w których nie dość kształcono średnicę i których śpiew zdaje się dwugłosem młodego człowieka i kobiety, sięgał, w chwili gdy wyrażał tak delikatne myśli, wysokich nut, nabierał nieoczekiwanej słodyczy i zdawał się zawierać chóry oblubienic, sióstr, przepojone tkliwością. Ale rój dziewcząt, które pan de Charlus, ze swoim wstrętem do zniewieściałości, nie rad byłby odnaleźć w swoim głosie, nie ograniczał się do interpretacji, do modulacji sentymentalnych motywów. Często, gdy baron rozmawiał, słyszało się w jego głosie ostry i świeży śmiech pensjonarek lub zalotniś, obrabiających bliźniego z całą ciętością wygadanych i sprytnych szelmeczek.

Opowiadał, że jakaś posiadłość, będąca wprzód w jego rodzinie, pałacyk, gdzie nocowała Maria Antonina, z parkiem stanowiącym dzieło Lenôtre'a, należą teraz do bogatych finansistów, państwa Izrael, którzy go kupili.

— Israel, takie przynajmniej nazwisko podają ci ludzie; mnie się to raczej wydaje termin rasowy, etniczny niż nazwisko. Nie wiadomo, może ten gatunek ludzi nie nosi nazwisk, może się ich oznacza jedynie wedle gromady, do której należą. Mniejsza! Ale być niegdyś siedzibą Guermantów i należeć do Israelów!!! — wykrzyknął. — To mi przywodzi na myśl ów pokój w zamku Blois, gdzie dozorca, który go pokazywał, powiedział: „Tu modliła się Maria Stuart; a teraz ja tu chowam swoje miotły”. Oczywiście, nie chcę nic wiedzieć o tej posiadłości, która się zhańbiła, tak samo jak o mojej kuzynce Klarze de Chimay, która rzuciła męża. Ale zachowuję fotografię tej posiadłości jeszcze nieskażonej, tak samo jak fotografię księżnej, kiedy jej wielkie oczy widziały jedynie mego kuzyna. Fotografia nabiera trochę brakującej jej godności, kiedy przestaje być odbiciem rzeczywistości i pokazuje nam rzeczy już nieistniejące. Pozwolę sobie ofiarować ją pani, skoro ten rodzaj architektury panią interesuje — rzekł do babki.

Równocześnie spostrzegłszy, że haftowana chusteczka, tkwiąca w jego kieszeni, wysuwa się kolorowym szlaczkiem, schował ją żywo ze spłoszoną miną kobiety wstydlivej, ale nie niewinnej, kryjącej swoje wdzięki, które przez nadmiar skrupułu uważa za nieprzystojne.

— Niech pani sobie wyobrazi — dodał — że ci ludzie zaczęli od zniszczenia parku Lenôtre’a; występki równy temu, co gdyby ktoś pokrajał obraz Poussina. Za to ci Israelie powinni by siedzieć w kryminale. Prawda — dodał, uśmiechając się po chwili milczenia — że jest z pewnością tyle innych rzeczy, za które powinni by siedzieć! W każdym razie, wyobraża pani sobie efekt, jaki przy tej architekturze robi angielski ogród.

— Ależ dom jest w tym samym stylu co Trianon — rzekła pani de Villeparisis — a Maria Antonina założyła tam przecie ogród angielski?

— Który, mimo wszystko, szpeci fasadę Gabriela — odparł pan de Charlus. — Oczywiście, byłoby teraz barbarzyństwem niszczyć jej sioło. Ale, na wspak duchowi chwili, wątpię, aby pod tym względem kaprys pani Izrael miał tę samą siłę, co pamięć królowej.

Tymczasem babka dała mi znak, abym szedł spać, mimo nalegań Roberta, który, ku memu wielkiemu zawstydzeniu, zrobił wobec pana de Charlus aluzję do smutku, jaki mnie ogarnia często wieczorem przed zaśnięciem, co się jego wujowi musiało wydać bardzo niemęskie. Ociągałem się jeszcze trochę, po czym wyszedłem. Bardzo się zdziwił, kiedy w chwilę później usłyszałem pukanie do drzwi, a na zapytanie, kto puka, usłyszałem głos pana de Charlus, oznajmiający sucho:

— Tu Charlus. Czy mogę wejść? Proszę pana — rzekł, zamknawszy drzwi — siostrzeniec mówił przed chwilą, że pan się czuje nieswojo przed zaśnięciem; mówił również, że pan podziwia książki pana Bergotte. Ponieważ mam z sobą jego książkę, której pan pewno nie zna, przynoszę ją, aby panu pomogła przebyć trudne chwile.

Podziękowałem ze wzruszeniem i rzekłem, iż, przeciwnie, bałem się, aby to, co Saint-Loup opowiedział mu o moim złym samopoczuciu z nadejściem nocy, nie uczyniło mnie w oczach barona jeszcze głępszym, niż jestem.

— Ależ nie — odparł łagodnie. — Nie ma pan może osobistych przymiotów, tak mało kto je posiada! Ale, na jakiś czas przynajmniej, ma pan młodość, a to jest zawsze urok. Zresztą, drogi panie, największa głupota to uważać za śmieszne lub naganne coś, czego się nie odczuwa samemu. Lubię noc, a pan mi powiada, że się pan jej boi; lubię zapach róż, a mam przyjaciela, którego on przyprawia o gorączkę. Czy pan sądzi, że ja go dlatego uważam za coś gorszego? Staram się wszystko zrozumieć i strzegę się cokolwiek potępić. W sumie, niech się pan zbytnio nie skarży; nie powiem, aby tego rodzaju smutki nie były przykre; wiem, ile można cierpieć z powodu rzeczy, których inni by nie zrozumieli. Ale przynajmniej dobrze pan umieścił swoje przywiązanie w osobie babki. Może ją pan wciąż widywać. A przy tym to jest uczucie dozwolone, chcę powiedzieć uczucie odwzajemnione. Tak wiele jest uczuć, o których nie można by tego samego powiedzieć.

Chodził po pokoju wzdłuż i wszerz, oglądając jakiś przedmiot, to znów biorąc w rękę inny. Miałem wrażenie, że ma mi coś do powiedzenia i że nie wie, w jakich słowach to uczynić.

— Mam tutaj inny tom Bergotte’a, przyniosę go panu — dodał i zadzwonił. Po chwili zjawił się groom.

— Proszę mi sprowadzić starszego kelnera. Jedyne on zdolny jest tutaj załatwić coś inteligentnie — rzekł pan de Charlus wyniośle.

— Pana Aimé, proszę jaśnie pana? — spytał groom.
 — Nie wiem, jak mu na imię... ale tak, owszem, przypominam sobie, że go tu nazywano Aimé. Biegnij prędko, to pilne.
 — Zaraz będzie tutaj, proszę jaśnie pana, właśnie go widział na dole — odparł groom, pragnąc robić wrażenie dobrze poinformowanego.
 Upłynął jakiś czas. Groom wrócił.
 — Proszę jaśnie pana, pan Aimé już poszedł spać. Ale ja mogę to załatwić.
 — Nie, po prostu zbudzisz go.
 — Proszę jaśnie pana, nie mogę, on nie sypia tutaj.
 — W takim razie zostaw nas.
 — Ależ proszę pana — rzekłem, skoro groom odszedł — pan jest zbyt dobry, jeden tom Bergotte'a wystarczy mi.
 — Ostatecznie i ja tak sądzę.

Pan de Charlus chodził po pokoju. Upłynęło tak kilka minut, po czym, po paru chwilach namysłu i wahając się kilkakrotnie, obrócił się na pięcie i swoim znów smagającym głosem rzucił mi: „Dobranoc panu”, po czym wyszedł.

Po wszystkich wzniosłych uczuciach, jakiem słyszał z jego ust tego wieczora, nazajutrz (był to dzień jego wyjazdu) rano na plaży, w chwili, gdym miał się kąpać, bardzom się zdziwił, kiedy pan de Charlus, zbliżywszy się, aby mnie uprzedzić, że babka czeka na mnie skoro tylko wyjdę z wody, uszczypnął mnie w kark i powiedział z poufałym i trywialnym śmiechem:

— Ale my mamy gdzieś naszą starą babcie, he? małe ladaco?

— Ależ panie, ja ją ubóstwiam!

— Drogi panie — rzekł lodowato pan de Charlus, cofając się o krok — jest pan jeszcze młody, powinien by pan skorzystać z tego, aby się nauczyć dwóch rzeczy. Pierwsza, to powstrzymywać się od wyrażania uczuć zbyt naturalnych, aby się ich nie można było domyślić; druga, to nie wyskakiwać z odpowiedzią na to, co ktoś mówi, zanim się nie pojmie sensu jego słów. Gdybyś pan przed chwilą zachował tę ostrożność, nie sprawiłbyś wrażenia, że pleciesz trzy po trzy, przez co przydajesz nową śmieszność do faktu, że masz wyszyte kotwice na kostiumie kąpielowym. Pożyczyłem panu książkę Bergotte'a, potrzebuję jej. Niech mi ją pan odeśle za godzinę przez tego *maitre d'hotela* o śmiesznym i głupim imieniu, który, mam nadzieję, nie śpi o tej porze. Dowiódł mi pan, że za wcześnie mówiłem panu wczoraj o urokach młodości; oddałbym panu lepszą usługę, zwracając mu uwagę na jej gapiostwo, jej nietakty i brak inteligencji. Mam nadzieję, drogi panie, że ten mały prysznic stanie się panu nie mniej zbawienny niż pańska kąpiel. Ale niech pan tak nie sterczy w miejscu, mógłby się pan zaziębić. Żegnam.

Widocznie baron pożałował tych słów, bo w jakiś czas potem otrzymałem jeszcze raz książkę, której mi pożyczył i którą mu odesłałem nie przez Aimégo (miał właśnie „wychodnię”) ale przez chłopca od windy. W safianową oprawę książki inkrustowany był wypukło płatek skóry przedstawiający gałązkę niezapominajki.

W cieniu zakwitających dziewcząt

TOM TRZECI

Po wyjeździe pana de Charlus, mogliśmy wreszcie z Robertem wybrać się na obiad do Blocha. Otóż w czasie tej małej uroczystości zrozumiałem, że anegdota, których humorem kolega nasz zbyt łatwo przeceniał, to były anegdota starszego pana Blocha, i że człowiekiem „bardzo interesującym” był zawsze któryś z przyjaciół ojca. Jest pewna ilość ludzi, których podziwiamy w dzieciństwie; ojciec odbijający inteligencją od reszty rodziny, profesor strojny w naszych oczach blaskiem metafizyki, którą nam odsłonił, kolega bardziej „awangardowy” od nas (jak Bloch w stosunku do mnie), który gardzi Mussetem z *Espoir en Dieu*, gdy my kochamy go jeszcze, kiedy zaś my dojdziemy do kultu „ojca Leconte” lub Claudela, będzie się już tylko unosił nad

A Saint-Blaise, à la Zuecca
Vous étiez, vous étiez bien aise²⁶...

dodając do tego

Podoue est un fort bel endroit
Où de très grands docteurs en droit
...Mais j'aime mieux la polenta
...Passe dans mon domino noir
La Toppatelle.

i ze wszystkich *Nocy* Musseta zapamięta tylko:

Au Havre, devant l'Atlantique,
A Venise, à l'affreux Lido,
Où vient sur l'herbe d'un tombeau
Mourir la pâle Adriatique...

Otóż z człowieka, którego uwielbiamy na wiarę, zbieramy, cytujemy często z podziwem rzeczy o wiele lichsze od tych, które, zdani na własny instynkt, odrzucilibyśmy bezwzględnie, tak samo jak pisarz spożytkowuje w swojej powieści — pod pozorem, że są prawdziwe — „powiedzenia” osób, stanowiące, przeciwnie, w żywej całości element martwy i mierny. Portrety Saint-Simona — zapewne kreślone przez niego od niechcenia — są wspaniałe; powiedzenia natomiast znajomych mu dowcipnych ludzi, które przytacza jako urocze, wydają się nam mierne lub stały się niezrozumiałe. Nie raczyłby wymyślić tego, co cytuje jako tak subtelne lub barwne w ustach pani Cornuel albo Ludwika XIV. Fakt ten, który można zresztą stwierdzić u wielu innych pisarzy, zawiera kilka możebnych interpretacji; na razie wystarczy nam jedna: mianowicie, że w stanie ducha, w jakim pisarz „obserwuje”, jest on o wiele niżej poziomu, na jakim się znajduje w chwili, gdy tworzy.

Był więc w moim koledze Blochu zawarty starszy pan Bloch, zapóźniony o czterdzieści lat w stosunku do syna; opowiadał głupawe anegdotki, śmiejąc się z nich tyleż piersią mego przyjaciela, ile to czynił sam stary Bloch zewnętrzny i prawdziwy. Do śmiechu, jakim parskał ojciec, nie bez uprzedniego powtórzenia dwa lub trzy razy ostatniego słowa, iżby publiczność mogła dobrze ocenić historyjkę, przyłączał się hałaśliwy śmiech, jakim syn nie omieszkiał witać przy stole anegdot ojcowskich. I tak, po bardzo inteligentnych spostrzeżeniach, młody Bloch, ujawniając dziedzictwo rodzinne, powtórzył nam po raz trzydziesty jedno z owych powiedzonek, jakie starszy pan Bloch wydobywał jedynie (wraz ze swoim tużurkiem) w uroczyste dni, gdy młody Bloch przyprowadził kogoś, kogo warto było ołsnąć: któregoś ze swoich profesorów, kolegę laureata lub, tego wieczora, Roberta de Saint-Loup i mnie. Na przykład: „Bardzo tegi strategik, który nader uczenie wywiódł i dowiódł, dla jakich niezawodnych przyczyn w wojnie rosyjsko-japońskiej

Artysta, Sztuka, Prawda

²⁶*A Saint-Blaise, à la Zuecca (...)* — wiersz Alfreda de Musset (1810–1857), spopularyzowany potem jako piosenka, mówiący o pragnieniu, by żyć i umrzeć w Wenecji. [przypis edytorski]

Japończycy będą pobici, a Rosjanie zwyciężą”; albo też: „To jest najlepszy polityk między finansistami, a najlepszy finansista między politykami”. Te powiedzonka zastępowała czasem anegdota o baronie de Rothschild lub o sir Rufusie Israels, wprowadzająca na scenę tych potentatów w sposób dwuznaczny, zdolny obudzić przekonanie, że pan Bloch zna ich osobiście.

Ja sam złapałem się na to, i ze sposobu w jaki starszy pan Bloch mówił o pisarzu Bergotte, sądziłem, że to jest jego stary przyjaciel. Otóż wszystkich dawnych ludzi pan Bloch znał jedynie „tylko tak”; widział ich po prostu z daleka w teatrze lub na bulwarach. Wyobrażał sobie zresztą, że jego własna fizys, jego nazwisko, jego osoba, nie są im obce i że spostrzegając go, muszą często wstrzymać mimowolną chęć ukłonu. Ludzie światowi, znający wybitnych ludzi w oryginale, miewający ich u siebie na obiadach, nie rozumieją ich przez to lepiej. Ale kiedy się żyło trochę w „wielkim świecie”, głupota jego mieszkańców zbyt wiele ponęt wróży nam i zbyt wiele każe nam przypuszczać inteligencji w owym skromniejszym światku, znającym wszystko „tylko tak”. Miałem sobie z tego zdać sprawę z okazji Bergotte’a.

Pan Bloch nie sam jeden cieszył się powodzeniem w swoim domu. Młody Bloch, mój kolega, miał go jeszcze więcej u sióstr, które bez przerwy zaczepiał niby to zrzędząc, spuszczać głowę w talerz i rozsmieszając je tym do łez. Przejęły zresztą język brata, którym mówiły biegle, tak jakby to był język obowiązkowy, jedyny dopuszczalny dla osób inteligentnych. Skorośmy przybyli, najstarsza rzekła do młodszej: „Idź uprzedź naszego roztropnego ojca i czcigodną macierz”.

— Suki — rzekł do nich Bloch — przedstawiam wam kawalera Saint-Loup o chyżych pociskach, który przybył na kilka dni z Doncières o budowlach z gładkiego kamienia, obfitego w konie.

Ponieważ Bloch był równie pospolity jak czytany, przemowa kończyła się zazwyczaj jakimś mniej homeryckim żarcikiem:

— Nuże, zapnijcie trochę wasze chlamidy o pięknych klamrach, co to są za siuchty? Ostatecznie, wystawiajcie, ile chcecie, to nie moje.

I panny Bloch tarzały się ze śmiechu.

Powiedziałem ich bratu, ile radości mi sprawił, zalecając mi lekturę Bergotte’a, którego książki ubóstwiałem. Stary Bloch, znający Bergotte’a tylko z daleka, a jego życie jedynie z ulicznych plotek, miał równie pośredni sposób zapoznawania się z jego dziełami za pomocą sądów niby to literackich. Żył w świecie „obok”, w świecie ukłonów w próżnię i fałszywych sądów. Niedokładność, niekompetencja nie zmniejszają tam pewności siebie: przeciwnie. Jest to dobroczynny cud miłości własnej: skoro mało kto może mieć świetne stosunki i głęboką wiedzę, ci, którym ich zbywa, i tak uważają się za najlepiej obdarzonych. Optyka szczerbli socjalnych sprawia, iż każdy uważa za najlepsze to miejsce, które sam zajmuje; taki spogląda z góry i z litością na największych, których omawia i obmawia, nie znając ich, których sądzi i lekceważy, nie rozumiejąc. Nawet w wypadkach, gdzie pomnożenie słabych osobistych zalet przez miłość własną nie zdołałoby każdemu zapewnić dawki szczęścia większej niż przypadła innym, a jemu koniecznej, zjawia się zawiść, aby dopełnić różnicy. Prawda iż, gdy zawiść wyraża się w lekceważących frazesach, wówczas słowa „nie chcę go znać” trzeba tłumaczyć jako: „nie mogę go znać”. To jest sens intelektualny. Ale sens uczuciowy jest: „nie chcę go znać”. Taki człowiek wie, że to nie jest prawda, ale mówi to nie przez prostą komedię; tak mówi, bo tak czuje, i to mu wystarcza dla zniweczenia dystansu, czyli dla szczęścia.

Ponieważ egocentryzm pozwala w ten sposób każdemu człowiekowi widzieć wszechświat ułożony piętrami poniżej niego — króla — pan Bloch fundował sobie ten zbytek, aby być królem bezlitosnym, kiedy rano przy czekoladzie, widząc podpis Bergotte’a pod artykułem w zaledwie otwartym dzienniku, udzielał mu wzgardliwie śpiesznej audjencji, wydawał wyrok i delectował się satysfakcją powtarzania przy każdym łyku wrzącego napoju: „Ten Bergotte zrobił się nie do czytania. Jak to bydlę umie być nudne! I po to abonuje się dziennik! Co za wywijasy, co za fidrygały!”. I smarował rogalik masłem.

Pozycja społeczna,
Szczęście, Zazdrość

Pogarda

Ta złudna ważność starszego pana Blocha rozciągała się zresztą poza sferę jego prywatnych wrażeń. Po pierwsze, własne dzieci uważały go za wielkiego człowieka. Dzieci zawsze są skłonne albo obniżyć, albo przeceniać rodziców; dla dobrego syna ojciec jest zawsze najlepszym z ojców, nawet poza wszelkimi przedmiotowymi racjami podziwu. Otóż z tych racji nie był całkowicie wyzuty pan Bloch, człowiek wykształcony, sprytny, czuły ojciec. W najbliższej rodzinie lubiono go. O ile w „towarzystwie” sędzi się ludzi wedle pewnego niedorzecznego zresztą miernika i wedle reguł fałszywych, ale stałych, przez porównanie z ogółem innych wytwornych ludzi, w zamian za to w rozproszkowaniu mieszczańskiego życia obiady i wieczory rodzinne kręcą się dokoła osób, które się okrzykuje miłymi i zabawnymi, a które w „świecie” nie wytrzymałyby próby ani dwóch wieczorów. Poza tym w środowisku, gdzie nie istnieją sztuczne wielkości arystokracji, zastępuje się je wyróżnieniami jeszcze bardziej fantazyjnymi. Tak na przykład w rodzinie, a nawet u bardzo dalekich krewnych, rzekome podobieństwo w sposobie noszenia wąsów i w rysunku nosa sprawiało, że pana Blocha nazywano „omal księżę Aumale”. (W świecie „strzelców” w klubie lub w hotelu, jeden z nich, który nosi czapkę na bakier i bardzo obcisłą kurtkę, dającą mu jakoby wygląd cudzoziemskiego oficera, czyż nie staje się swego rodzaju figurą dla kolegów?)

Podobieństwo było niezmiernie mgliste, ale można by rzec, że stało się tytułem. Powtarzano: „Bloch? który? księżę Aumale?”, tak jak się mówi: „Księżna Murat? która? królowa (Neapolu)?”. Pewna ilość drobnych oznak do reszty wyposażała pana Blocha w oczach jego krewiństwa w rzekomą dystynkcję. Nie puszczając się na zbytek własnego powozu, pan Bloch wynajmował w pewne dni otwartą dwukonną wiktoryę i objeżdżał Lasek Buloński, wygodnie rozparty, z dwoma palcami na skroni, a dwoma pod brodą; o ile ci, co go nie znali, nazywali go z tego powodu bufonem, rodzina była przekonana, że co się tyczy szyku, wuj Salomon mógłby dawać lekcje samemu Gramont-Caderousse. Należał do osób, które kiedy umierają, kronika światowa dziennika „Radical” mieni „sylwetą dobrze znaną paryżanom”; a to z przyczyny sąsiedztwa stołu w bulwarowej restauracji z naczelnym redaktorem tego pisma. Pan Bloch powiedział Robertowi de Saint-Loup i mnie, iż Bergotte tak dobrze wie, czemu on mu się nie kłania, że skoro go ujrzy w teatrze lub w klubie, odwraca oczy. Saint-Loup zacerwienił się, bo pomyślał, że ten klub to nie mógł być Jockey Club, którego ojciec jego był swego czasu prezesem. Z drugiej strony, musiał to być klub stosunkowo zamknięty, bo pan Bloch powiedział, że już by tam dziś Bergotte’a nie przyjęli. Toteż drżąc, że może „nie docenia przeciwnika”, Saint-Loup zapytał, czy to jest klub z ulicy Royale, uważany przez rodzinę Roberta za kompromitującą, a gdzie (jak słyszał) przyjmowano niektórych Izraelitów.

— Nie — odparł pan Bloch z niedbałym i dumnym zażenowaniem — to mały klubik, o wiele przyjemniejszy: Klub *Safandulów*. Bardzo się tam surowo obrabia cały światek.

— Czy to nie sir Rufus Israels jest tam prezesem? — spytał młody Bloch, chcąc dostarczyć ojcu sposobności szczytnej kłamstwa i nie domyślając się, że ów finansista nie posiada w oczach Roberta tyle uroku, co w jego własnych. W rzeczywistości do klubu Safandulów należał nie sir Rufus Israels, ale jeden z jego urzędników. Że jednak był bardzo dobrze ze swoim pryncypałem, miał do dyspozycji bilety wizytowe wielkiego finansisty i dawał taki bilet panu Bloch, kiedy ów jechał w podróż jedną z linii kolejowych, gdzie sir Rufus był w zarządzie; co sprawiało, że stary Bloch mówił: „Zajdę do klubu poprosić o rekomendację sir Rufusa”. I bilet pozwalał mu ośniewać konduktorów.

Panny Bloch bardziej zainteresowały się Bergottem; zaczem wracając do niego, zamiast się trzymać tematu „Safandulów”, młodsza spytała brata najpoważniej w świecie, bo sądziła, że nie ma na oznaczenie ludzi z talentem innych wyrażań:

— Czy to jest naprawdę tak zadziwiający facet, ten Bergotte? Czy on należy do kategorii wielkich mogolów, facetów takich jak Villiers lub Catulle?

— Spotykałem go często na premierach — rzekł pan Nissim Bernard. — Bardzo niezgrabny, istny Schlemihl.

Ta aluzja do powiastki Chamissa nie była niczym ważnym, ale epitet *Schlemihl* należał do owego pół-niemieckiego, pół-żydowskiego dialektu, którym pan Bloch z lubością posługiwał się w zaciszu domowym, ale który uważał za pospolity i niewłaściwy przy obcych. Toteż objął wujaszka surowym spojrzeniem.

— Ma talent — powiedział Bloch.

— A! — rzekła poważnie siostra, jakby chcąc powiedzieć, że w tych warunkach można mnie usprawiedliwić.

— Wszyscy pisarze mają talent — rzekł z pogardą starszy pan Bloch.

— Zdaje się nawet — rzekł syn, podnosząc widelec i mrużąc oczy z diaboliczną ironią, że on ma zamiar kandydować do Akademii.

— Dajże pokój, nie ma na to dostatecznej wagi — odparł starszy pan Bloch, który nie zdawał się żywić dla Akademii tej samej pogardy co jego potomstwo. — Nie ma potrzebnego kalibru.

— Zresztą Akademia, to jest salon, a Bergotte nie ma dosyć szlif — oświadczył ciepły wujaszek pani Bloch, nieszkodliwy i dobroduszny jegomość, którego nazwisko *Bernard* byłoby może samo przez się obudziło diagnostyczne dary mego dziadka, ale wydałoby się nie dość zharmonizowane z twarzą, jakby przeniesioną z pałacu Dariusza i odtworzoną przez panią Dieulafoy, gdyby imię *Nissim*, wybrane przez jakiegoś amatora pragnącego dać wschodnie uwieńczenie tej suzańskiej twarzy, nie było nad nią umieściło skrzydeł jakiegoś byka z ludzką głową z Chorsabad. Ale pan Bloch nie przestawał lżyć wuja, czy że podniecała go bezbronna dobroduszność ofiary, czy że wobec tego, iż wille opłacał pan Nissim Bernard, korzystający z niej Bloch chciał okazać, że zachowuje swoją niezawisłość, a zwłaszcza że się nie stara pochlebstwem zapewnić sobie spadku po bogaczu. Pan Bernard był dotknięty zwłaszcza tym, że go traktują tak ordynarnie przy lokaju. Mruknął jakieś niezrozumiałe słowa, z których można było tylko rozróżnić: „kiedy *meszuresy* są w pokoju”. *Meszures* oznacza w Biblii sługę bożego. Między sobą Blochowie określali tym wyrażeniem służących i bawili się tym zawsze, pewność bowiem, że ich nie rozumieją ani chrześcijanie, ani sama służba, cieszyła pana Nissim Bernard i pana Bloch w ich podwójnej właściwości chlebobawców i Żydów. Ale to ostatnie źródło radości stawało się źródłem niezadowolenia, kiedy byli goście. Wówczas pan Bloch, słysząc to *meszures*, znajdował, że wuj zanadto odsłania swoją stronę orientálną, tak samo jak kokota, zaprosiwszy swoje przyjaciółki razem z przyzwoitymi ludźmi, wścieka się, gdy one robią aluzje do swego zawodu lub używają brzydkich słów. Toteż prośba wuja nie tylko nie zrobiła wrażenia na panu Bloch, ale ten, wyprowadzony z równowagi, nie mógł się już powstrzymać. Nie stracił już ani jednej sposobności prześladowania nieszczęsnego wuja. „Oczywiście, kiedy jest okazja powiedzenia jakiegoś kołtuństwa *à la* pan Prudhomme, można być pewnym, że jej wuj nie przepuści. Pierwszy lizałbyś mu nogi, gdyby był tutaj” — krzyknął pan Bloch, podczas gdy pan Nissim Bernard, zasmucony, pochylił ku talerzowi swoją pierścienistą brodę, godną króla Sargonu. Mój kolega, od czasu jak też nosił brodę, również kędzierzawą i granatową, bardzo był podobny do swego wuja.

— Jak to, pan jesteś synem margrabiego de Marsantes, ależ ja go bardzo dobrze znam — rzekł pan Nissim Bernard do Roberta. Myślałem, że chciał powiedzieć „znałem” w sensie, w jakim pan Bloch mówił, że zna Bergotte’a, to znaczy z widzenia. Ale pan Bernard dodał — Ojciec pański był moim bliskim przyjacielem.

Młody Bloch zaczerwił się mocno, ojciec jego miał minę głęboko niezadowoloną, panny Bloch dławily się od śmiechu. Bo u pana Nissim Bernard pasja popisu, powściągnięta u starego Blocha i u jego dzieci, zrodziła zwyczaj ustawicznego kłamstwa. Na przykład w czasie podróży, mieszkając w hotelu, pan Nissim Bernard (tak jak mógłby to zrobić starszy pan Bloch) kazał lokajowi przynosić sobie dzienniki do jadalni podczas śniadania, kiedy wszyscy siedzieli przy stole, aby widziano, że podróżuje z lokajem. Ale ludziom, z którymi zbliżył się w hotelu, wuj mówił (czego by nigdy nie zrobił jego siostrzeniec), że jest senatorem. Wiedział, iż kiedyś wyjdzie na jaw uzurpacja tego tytułu: w danej chwili nie mógł się oprzeć żądzy przechwałki. Pan Bloch wiele cierpiał od kłamstw wuja i od wszystkich kłopotów, jakie mu sprawiały.

— Niech pan nie zważa, on jest straszny blagier — rzekł półgłosem do Roberta, którego zajęło to tym żywiej, ile że się interesował bardzo psychologią kłamców. — Kłamiwszy²⁷ jeszcze niż Itakanin Odys, którego Atene nazywała wszelako najkłamiwszym z ludzi — uzupełnił nasz kolega Bloch.

— A to dopiero! — wykrzyknął pan Nissim Bernard — czyż ja się spodziewałem, że będą jadł obiad z synem mego przyjaciela. Ależ ja mam w Paryżu fotografię pańskiego oj-

²⁷kłamiwszy, najkłamiwszy — dziś: bardziej kłamiwy, najbardziej kłamiwy. [przypis edytorski]

ca i nie wiem ile listów od niego. Nazywał mnie zawsze „swoim wujaszkiem”, nikt nigdy nie wiedział czemu. To był uroczy człowiek, czarujący. Przypominam sobie jeden obiad u mnie w Nizzy, gdzie byli Sardou, Labiche, Augier... („Molier, Racine, Corneille” dodał ironicznie starszy pan Bloch, a młody dokończył: „Plaut, Menander, Kalidasa”. Pan Nissim Bernard, dotknięty, urywał nagle i pozbawiając się ascetycznie wielkiej przyjemności, wytrwał w milczeniu do końca obiadu.)

— Saint-Loup o kasku ze spiżu — rzekł Bloch — dobierz no trochę tej kaczki o udach ciężkich od tłuszczu, na które znamienity ofiarnik ptactwa rozlał mnogie libacje czerwonego wina.

Zazwyczaj, wydobywszy na intencję znamienitszego gościa anegdoty dotyczące sir Rufusa Israels i innych, pan Bloch, czując, że wzruszył syna aż do rozczulenia, wycofywał się, aby się nie „spospolitować” w oczach „smyka”. Ale kiedy była jakaś całkiem wyjątkowa okazja, na przykład kiedy syn zdał doktorat, do zwykłej serii anegdot pan Bloch dodawał tę ironiczną uwagę, którą zachowywał raczej dla swoich osobistych przyjaciół (toteż młody Bloch był nadzwyczaj dumny, kiedy ojciec uraczył nią jego kolegów): „Rząd popełnił straszliwą gafę. Nie poradził się pana Coquelin! Pan Coquelin raczył wyrazić swoje niezadowolenie”. (Pan Bloch lubił pozować na reakcjonistę i afiszować się z pogardą dla aktorów).

Ale panny Bloch i ich brat zacerwienili się po uszy ze wzruszenia, kiedy starszy pan Bloch, chcąc się do końca okazać królewskim wobec przyjaciół syna, kazał podać szampana i oznajmił niedbale, że aby nas uraczyć, polecił kupić trzy fotele na przedstawienie, jakie Opéra-Comique dawała tego wieczora w kasynie. Żałował, że nie mógł dostać łoża. Były wszystkie zajęte. Zresztą zna te łoża, lepiej się widzi z fotelów. Ale o ile wadą syna (to znaczy tym, co syn uważał za niewidoczne dla oczu drugich) była ordynarność, wadą ojca było skąpstwo. Toteż pod nazwą szampana kazał dać w karafce lekkie musujące wino, a pod nazwą foteli wziął parterowe krzesła, o połowę tańsze, cudownie przeświadczony, dzięki boskiej interwencji swojej wady, że ani przy stole, ani w teatrze (gdzie wszystkie łoża były puste), nikt nie spostrzeże różnicy. Skoro nas pan Bloch napoił z płaskich kieliszków, które syn jego ozdobił mianem „pucharów o głęboko wydrążonych ścianach”, kazał nam podziwiać obraz, który tak kochał, że go przywoził z sobą do Balbec. Oznajmił nam, że to jest Rubens. Saint-Loup spytał naiwnie, czy jest podpisany. Pan Bloch odpowiedział, rumieniąc się, że kazał ściąć podpis z powodu ramy, co jest bez znaczenia, skoro nie ma zamiaru sprzedawać. Po czym pożegnał nas spieszenie, aby się zagłębić w „Journal Officiel”, którego numery zagrażały mieszkaniu: lektura niezbędna dlań „wobec jego sytuacji parlamentarnej”, co do której charakteru nie dał nam ściślejszych wyjaśnień.

— Biorę szalik — oświadczył Bloch — jako że Zefir i Boreasz walczą ze sobą o lepsze na rybodajnym morzu, o ile się zaś trochę zapóźnimy po przedstawieniu, wrócimy aż o pierwszych blaskach różanopalcej Eos.

— *À propos* — spytał Roberta, kiedyśmy się znaleźli na dworze — kto jest ten pocieszny facet w ciemnym garniturze, który się tryndał za wami po plaży przedwczoraj rano?

Zadrzałem, bom pojął natychmiast, że Bloch mówi z tą ironią o panu de Charlus.

— To mój wuj — odrzekł Saint-Loup urażony.

Nieszczęściem, „gafa” nie była rzeczą, której się Blochowi zdarzyło kiedy uniknąć. Aż go skręciło ze śmiechu:

— Moje uszanowanie! powinienem się być domyślić, ma pierwszorzędny szyk i nieopłaconą fizys ramola wysokiej klasy.

— Mylisz się najzupełniej, jest bardzo inteligentny — odparł Saint-Loup wściekły.

— W takim razie żałuję, bo jest mniej stylowy. Chętnie bym go zresztą poznał, jestem pewien, że bym napisał jakiś pełnowartościowy interes o takich cacusiach. Ten, na oko, jest morderczy. Ale pominąłbym stronę karykaturalną (w gruncie dość lichego gatunku dla artysty rozkochanego w plastycznym pięknie słowa) tej facjaty, która, daruj mi, rozśmieszyła mnie do łez na dobrą chwilę; uwydatniłbym arystokratyczną stronę twojego wuja, który w gruncie robi byczy efekt i skoro przejdzie pierwsza uciecha, frapuje bardzo wielkim stylem. Ale — rzekł, zwracając się tym razem do mnie — jest pewna rzecz, w całkiem innej kategorii pojęć, o którą chciałem cię spytać; i za każdym razem, kiedy

się spotkamy, jakiś bóg, błogosławiony mieszkaniec Olimpu, każe mi całkowicie zapomnieć, że cię mam prosić o tę wiadomość, która już mogła mi być i z pewnością będzie mi bardzo użyteczna. Kto to jest ta piękna osoba, z którą spotkałem cię w zoologicznym ogrodzie, w towarzystwie pana (zdaje mi się, że go znam z widzenia) i panienki z długimi włosami?

Widziałem, że pani Swann nie pamiętała nazwiska Blocha, skoro mi wymieniła inne i określiła mego kolegę jako urzędnika ministerstwa; nigdy od tego czasu nie przyszło mi na myśl dowiedzieć się, czy Bloch istotnie tam pracuje. Ale w jaki sposób Bloch, który, wedle tego, co mi pani Swann wówczas powiedziała, był jej przedstawiony, mógł nie znać jej nazwiska? Byłem tak zdziwiony, że przez chwilę nie umiałem mu odpowiedzieć.

— W każdym razie, przyjm moje powinszowanie; nie musiałeś się z nią nudzić. Spotkałem ją kilka dni pierwej w kolejce obwodowej; pozwoliła zmierzyć swój obwód twojemu słudze; nigdy nie spędziłem równie lubych chwil i mieliśmy przedsięwziąć wszystkie kroki, aby się zobaczyć znowu, kiedy jakaś osoba, jej znajoma, miała tę niedelikatność, aby się wpakować do przedziału na przedostatniej stacji.

Milczenie, jakie zachowałem, nie podobało się widocznie Blochowi.

— Miałem nadzieję — rzekł — dowiedzieć się dzięki tobie jej adresu i iść do niej kosztować kilka razy na tydzień rozkoszy Erosa, miłego bogom; ale nie nalegam, skoro ty się bawisz w dyskrecję wobec fachowej wydry, która mi się oddała trzy razy z rzędu, i to w sposób najbardziej wyrafinowany, między Paryżem a Point-du-Jour. Odnajdę ją któregoś wieczora, prędzej lub później.

Byłem u Blocha z wizytą w następstwie tego obiadu, on mnie rewizytował, ale nie zastał mnie w domu. Zauważyła go Franciszka, która przypadkowo, mimo że bywał w Combray, nigdy go dotąd nie widziała. Tak iż wiedziała tylko, że to „ktoś z państwa, które znałem” przyszedł do mnie „z wizytami”; nie wiedziała „z jakim powodem”, ubrany „tak sobie”; słowem, nie zrobił na niej wielkiego wrażenia. Wiedziałem, że niektóre pojęcia socjalne Franciszki pozostaną mi wiecznie nieprzeniknione; a polegały one może w części na pomieszaniu słów i nazwisk, które raz na zawsze wzięła jedne za drugie; mimo to nie mogłem się powstrzymać (ja, który od tak dawna wyrzekłem się stawiania sobie pytań w takich wypadkach) od daremnych zresztą dociekań, co może być dla Franciszki imponującego w nazwisku „Bloch”. Bo ledwie jej powiedział, że ów młody człowiek, którego widziała, to jest pan Bloch, cofnęła się o kilka kroków, tak wielkie było jej zdumienie i zawód.

— Jak to! To jest pan Bloch! — wykrzyknęła z miną osłupiałą, jak gdyby osoba tak niezwykła musiała mieć coś dającego natychmiast poznać, że jesteśmy w obliczu kogoś z możliwych tego świata. I jak ktoś, kto znajduje, że jakaś figura historyczna nie jest na wysokości swojej reputacji, powtarzała ze wzruszeniem, w którym czuło się na przyszłość zarodki generalnego sceptycyzmu — Jak to, to jest pan Bloch! Och, faktycznie, nie powiedziałoby się tego na oko!

Robiła wrażenie, że ma żal do mnie, jakbym ja jej kiedy „przechwalił” Blocha. A mimo to miała tę dobroć, aby dodać:

— Ano, chociaż to jest pan Bloch, panicz może sobie powiedzieć, że wygląda nie gorzej od niego.

Niebawem przeżyła w stosunku do Roberta de Saint-Loup, którego ubóstwiała, rozczarowanie innego rodzaju i mniej trwałe: dowiedziała się, że on jest republikanin. Otóż, mimo iż mówiąc na przykład o królowej portugalskiej, wyrażała się z tym brakiem uszanowania, jaki u ludu jest najwyższym uszanowaniem: „Amelia, siostra Filipa”, Franciszka była rojalistką. Ale zwłaszcza margrabia, margrabia, który ją oślśnił, a który był za Republiką, nie wydawał się jej już autentyczny. Objawiała to samo niezadowolenie, co gdybym jej dał puzderko rzekomo złote, za które by mi podziękowała z zapalem, a potem jubiler powiedziałby jej, że to tombak. Natychmiast odjęła swój szacunek Robertowi, ale niebawem zwróciła mu go, zastanowiwszy się, że nie może, będąc margrabią de Saint-Loup, być republikaninem, że tylko udaje dla interesu, bo przy obecnie panującym rządzie to mu może grubo przynosić. Od tego dnia chłód jej wobec niego, uraza jej do mnie znikły.

I kiedy mówiła o Robercie, powiadała: „Taki fałszywy” z takim szerokim i poczciwym uśmiechem, okazującym wymownie, że go „uważa” znów tyle co pierwszego dnia i że mu przebaczyła.

Otóż, wręcz przeciwnie, Robert był absolutnie szczerzy i bezinteresowny; i ta właśnie wielka czystość moralna, nie mogąc znaleźć całkowitego zaspokojenia w uczuciu samolubnym, jak miłość, z drugiej strony nie czując niemożliwości — tak jak ją czułem ja — znalezienia pokarmu duchowego gdzie indziej niż w sobie samym, czyniła go naprawdę zdolnym do przyjaźni w tym samym stopniu, w jakim ja byłem do niej niezdolny.

Nie mniej myliła się Franciszka co do Roberta, gdy powiadała, że on niby to nie gardzi prostymi ludźmi, ale to nieprawda: wystarczy go widzieć, kiedy się rozżłości na stangreta! Zdarzało się w istocie Robertowi polajac go dość żywo, co dowodziło u niego poczucia nie tyle różnicy, co równości między klasami.

— Ależ — odpowiedział na moje wyrzuty, że potraktował nieco szorstko owego stangreta — czemuż miałbym się silić z nim na grzeczność? Czyż on nie jest mi równy? Czy nie jest tym samym co wujowie lub kuzyni? Ty zdajesz się uważać, że ja powinienem go traktować ze specjalnymi względami jak niższego od siebie. Mówisz jak arystokrata — dodał ze wzgardą.

W istocie, jeżeli była klasa, wobec której Robert był uprzedzony i stronniczy, to była nią arystokracja, tak iż równie trudno mógł uwierzyć w wyższość człowieka światowego, jak łatwo wierzył w wyższość człowieka z ludu. Kiedy mu raz wspomniałem o księżnej de Luxembourg, którą spotkałem z jego ciotką:

— Geś! — powiedział — jak wszystkie jej podobne. To zresztą po trochu moja kuzynka.

Mając uprzedzenie do ludzi światowych, sam bywał „w świecie” mało, a wzdarliwa lub wroga postawa, jaką tam przybierał, wzmagała jeszcze u wszystkich bliskich krewnych zgrzyotę z powodu jego stosunku z „aktorzycą”, stosunku, który ich zdaniem stał się dla Roberta oplakany, rozwijając w nim ten zmysł krytyki, tego ducha opozycji, sprowadzając go z dobrej drogi, zanim go „zdeklasuje” zupełnie. Toteż złota młodzież z Faubourg Saint-Germain była bez litości, kiedy mówiono o kochance Roberta: „Dziwki robią swój fach — powiadali — warte są tyle co inne, ale nie ta! Nie darujemy jej tego! Za dużo złego wyrządziła komuś, kogo kochamy”. Z pewnością Saint-Loup nie był pierwszym, który się zaplątał w taką historię. Ale inni bawili się jak ludzie światowi, zachowali nadal poglądy ludzi światowych w polityce, we wszystkim. Natomiast co do Roberta, rodzina uważała, że on się „zepsuł”. Nie zdawali sobie sprawy, że dla wielu młodych salonowców, którzy bez tego zostaliby nieokrzesani, gruboskórni w uczuciach, pozbawieni dobroci i smaku, kochanka staje się często prawdziwym ich nauczycielem, a stosunek tego rodzaju jedyną szkołą moralną, gdzie nabywają wyższej kultury, gdzie poznają wartość bezinteresownego myślenia. Nawet w najniższych warstwach (które pod względem gruboskórności tak często przypominają wielki świat) kobieta, wrażliwsza, subtelniejsza, mniej zapracowana, ma ciekawość pewnych wyrafinowań, ceni pewien wdzięk uczuć i sztuki, który, choćby go nie rozumiała, stawia wszelako ponad to, co się wydaje mężczyźnie najbardziej upragnione — pieniądze, stanowisko. Otóż czy chodzi o metresę młodego klubowca jak Saint-Loup, czy o kochankę młodego robotnika (elektrotechnicy na przykład stanowią dziś szeregi prawdziwego rycerstwa), amant ma dla niej zbyt wiele podziwu i szacunku, aby nie miał rozciągnąć tych uczuć na to, co ona sama poważa i podziwia i co dla niego przeobraża skalę wartości. Jest wątła przez samą swoją pleć, ma niewytłumaczone zaburzenia nerwowe, które u mężczyzny, a nawet u innej kobiety, ciotki lub kuzynki, przyprawiłyby tego tęgiego chłopaka o uśmiech. Ale nie może patrzeć na cierpienia tej, którą kocha. Młody panicz, gdy jak Saint-Loup ma kochankę, uczy się, idąc z nią do restauracji, mieć w kieszeni walerianę, której ona może potrzebować; uczy się zalecać kelnerowi stanowczo i bez ironii, aby zamykał drzwi uważnie i bez hałasu, aby nie stroił stołu wilgotnym mchem, grożącym kochance owymi dolegliwościami, jakich osobiście nigdy nie odczuwał. Właśnie te słabości stwarzają dlań tajemniczy świat, w którego realność ona nauczyła go wierzyć; słabości, z którymi współczuje teraz, nie potrzebując nawet ich znać, z którymi będzie współczuł nawet u innej kobiety. Kochanka Roberta — jak pierwsi średniowieczni mnisi chrześcijaństwa — wszczepiła mu litość dla zwierząt, które namiętnie kochała, nie ruszając się nigdy bez swego psa, bez swoich kanarków i papużek;

i Saint-Loup czuwał nad nimi z macierzyńską troskliwością i traktował jak bydłaków ludzi bez serca dla zwierząt. Z drugiej strony, aktorka lub rzekoma aktorka, jak ta, co żyła z Robertem — czy była inteligentna czy nie, czego nie wiedziałem, sprawiając, że się nudził w towarzystwie światowych dam i uważał za pilę proszone wieczory, uchroniła go od snobizmu i wyleczyła z salonowości. Jeżeli dzięki niej stosunki światowe mniej zajmowały miejsca w życiu jej młodego kochanka, w zamian za to uczyła go szukać w przyjaźni czegoś szlachetniejszego, wyrafinowanego, podczas gdy, gdyby był został zwykłym złotym młodzieńcem, stosunki jego regulowałyby próżność lub interes, a brutalność dawałaby im styl. Ze swoim kobiecym instynktem, szczególnie ceniąc w mężczyznach wrażliwość, którą sam z siebie kochanek jej byłby może zmroził i wyszydził, natychmiast umiała pośród przyjaciół Roberta poznać i wyróżnić człowieka mającego dlań szczerą przywiązaną. Umiała Roberta zmusić, aby czuł dla tego człowieka wdzięczność, aby mu ją okazał, aby umiał zauważyć, co mu sprawia przyjemność lub przykrość. I niebawem Saint-Loup, już bez jej uwag, zaczął dbać o to wszystko, i w Balbec, gdzie jej nie było, dla mnie, którego ona nigdy nie widziała i o którym on jej może nie wspomniał nawet jeszcze w listach, sam z siebie podnosił szybę w powozie, usuwał kwiaty, które mi szkodziły, i kiedy, odchodząc, miał się zegnać z kilkoma naraz osobami, starał się pożegnać je nieco wcześniej, aby zostać na końcu sam ze mną, aby zrobić tę różnicę między nimi a mną, aby mnie traktować inaczej niż innych. Kochanka otwarła umysł Roberta na Niewidzialne, pogłębiła jego życie, wysubtelniła serce, ale wszystko to uchodziło wzroku zbolalej rodziny, która powtarzała: „Ta szelma go zabije, okrywa go hańbą”. To prawda, że w końcu Robert wziął z kochanki wszystko dobre, jakie mu mogła dać, i teraz była jedynie przyczyną, że cierpiał bez ustanku, bo nabrała doń wstrętu i dręczyła go. Zaczęła pewnego dnia uważać, że jest śmieszny i głupi, bo wmówili to w nią przyjaciele, których miała wśród młodych autorów i aktorów, a ona powtarzała z kolei to, co jej powiedzieli, z taką pasją, z taką bezwzględnością, jaką okazujemy za każdym razem, kiedy przejmujemy od drugich i przyswajamy sobie opinie lub zwyczaje zupełnie nam obce. Głosiła chętnie, jak tamci kabotyni, że między Robertem a nią jest przepaść nie do przebycia, bo są innej rasy: ona jest intelektualistka, a on, co bądź by w siebie wmawiał, jest z urodzenia wrogiem inteligencji. Ten pogląd zdawał się jej głęboki, szukała jego potwierdzenia w najbłahszych słowach, w najbliższym geście kochanka. Ale kiedy ci sami przyjaciele przekonali ją jeszcze, że ona niweczy w tak nieodpowiednim dla niej towarzystwie wielkie nadzieje, które — jak twierdzili — wróżyła; że ten kochanek zaciąży w końcu na niej; że żyjąc z nim zabija swoją przyszłość artystki, wówczas wzgarda dla Roberta zmieniła się w nienawiść, jak gdyby on się uparł zaszczepić jej śmiertelną chorobę. Widywała go jak najmniej, mimo iż odwlekała jeszcze ostateczne zerwanie, które mi się zdawało mało prawdopodobne. Saint-Loup robił dla niej tyle, że niełatwo znalazłaby człowieka, który by go w tym zastąpił, o ile nie była cudownie piękna. (Ale on nigdy nie chciał mi pokazać jej fotografii powiadając: „Po pierwsze, to nie jest piękność, a po wtóre, ona źle wychodzi na fotografii; to są tylko migawki, które ja sam robiłem swoim kodakiem, dałyby ci fałszywe pojęcie o niej”). Nie rozumiałem, że pewna mania zdobycia sobie nazwiska, nawet kiedy się nie ma talentu, że uznanie, samo tylko prywatne uznanie osób, które nam imponują (co może zresztą nie miało miejsca, jeżeli chodzi o kochankę Roberta), mogą się stać nawet dla zwykłej kokotki pobudką bardziej decydującą niż przyjemność zgarniania pieniędzy.

Saint-Loup, nie rozumiejąc dobrze, co się dzieje w duszy kochanki, nie sądził, aby ona była całkowicie szczerą zarówno w niesprawiedliwych wymówkach, co w zakłękach wiecznej miłości; ale miał chwilami poczucie, że ona zerwałaby z nim, kiedy by mogła, i z tej przyczyny, wiedziony zapewne instynktem samozachowawczym swojej miłości, bardziej jasnovidzącym od niego samego, posługując się zresztą zręcznością praktyczną, która szła u niego w parze z najgwałtowniejszymi i najbardziej ślepymi porywami serca, nie chciał jej dać w rękę kapitału. Zapożyczał się na wielkie sumy, iżby jej nie zbywało na niczym, ale udzielał ich jej tylko z dnia na dzień. I zapewne, w razie jeżeli ona naprawdę myślała o tym, aby go rzucić, czekała zimno, aż sobie coś „uciula”, co przy sumach, jakie jej dawał Saint-Loup, wymagało niewątpliwie czasu bardzo krótkiego, ale w każdym razie czas ten stanowił naddatek zdolny przedłużyć szczęście mego nowego przyjaciela — lub jego nieszczęście.

Ten dramatyczny okres ich stosunku doszedł teraz do najostrzejszego punktu, najokrutniejszego dla Roberta. Zabroniła mu zostać w Paryżu, gdzie ją drażniła jego obecność; zmusiła go, aby spędził urlop w Balbec w pobliżu swego garnizonu. Zaczęło się to jednego dnia u ciotki Roberta, na której Saint-Loup wymógł zaproszenie dla swojej kochanki: miała wobec licznych gości recytować fragmenty symbolistycznej sztuki, którą grała raz na scenie awangardy i dla której udzieliła Robertowi własnego podziwu.

Ale kiedy się zjawiała z wielką lilią w ręce, w kostiumie skopiowanym z *Ancilla Domini* i mającym być — jak to wmówiła Robertowi — prawdziwą „wizją sztuki”, owo zebranie klubowców i wielkich dam powitało jej wejście uśmiechami, które monotonne zawođenje, dziwność pewnych słów, ich częste powtarzanie się, zmieniły w szalony śmiech, najpierw dławiony, potem tak nieodparty, że biedna recytatorka nie mogła mówić dalej. Nazajutrz ciotka Roberta spotkała się z ogólnym potępieniem za to, że pozwoliła wystąpić u siebie pociesznej kabotynce. Pewien dobrze znany książę nie taił jej, że jeżeli ściągnęła na siebie krytykę, sama jest sobie winna.

— Cóż u diaska, nie można nas częstować numerami tego rodzaju! Gdybyż jeszcze miała talent; ale nie ma go i nie będzie miała nigdy. Do kata! Paryż nie jest tak głupi, jak się to utrzymuje. Towarzystwo nie składa się z samych idiotów. Ta panienska myślała najwidoczniej, że zadziwi Paryż. Ale Paryż jest nieco trudniejszy do zadziwienia i mimo wszystko są rzeczy, do których przełknięcia nikt nas nie zmusi.

Co się tyczy artystki, wyszła, powiadając do Roberta:

— Do jakich krów, do jakich dziwek bez wychowania, do jakich parobków ty mnie zaprowadziłeś? Zatem wiedz, nie było tam ani jednego mężczyzny, który by nie robił do mnie oka albo nie trącał mnie nogą, i dlatego żem odepchnęła ich chamskie zaloty, próbowali się zemścić.

Słowa te zmieniły antypatię Roberta do salonowców we wstręt znacznie głębszy i boleśniejszy, a wstręt ten budził w nim osobliwie ci, co najmniej na to zasługiwali, oddani krewni, którzy, wydelegowani przez rodzinę, starali się namówić kochankę Roberta, aby się z nim rozstała, gdy ona wytłumaczyła mu ten krok ich miłością do niej. Robert zerwał z nimi natychmiast stosunki; ale kiedy, jak teraz, był daleko od swojej przyjaciółki, wyobrażał sobie, że ci lub inni korzystają z tego, aby przypuszczać ataki i że może zdołali coś wskórać. I kiedy mówił o donżuanach, którzy zdradzają swoich przyjaciół, deprawują kobiety lub starają się je ściągnąć do domu schadzek, twarz jego dyszała cierpieniem i nienawiścią.

— Zabiłbym każdego takiego z mniejszym wyrzutem sumienia niż psa. Pies jest przynajmniej zwierzę miłe, uczciwe i wierne. Ale tacy warci są gilotyny bardziej niż biedacy, których przywiódł do zbrodni nędza i okrucieństwo bogaczy.

Spędzał przeważnie czas na wysyłaniu listów i depech do kochanki. Za każdym razem, kiedy ona, nie pozwalając mu przyjechać do Paryża, znalazła sposób pokłócenia się z nim na odległość, poznawałem to z jego zmienionej twarzy. Ponieważ nie mówiła nigdy, co mu ma do zarzucenia, podejrzewał, iż skoro nie mówi, to może sama nie wie i po prostu ma go dość; mimo to pragnął się z nią rozmówić; pisał do niej: „Powiedz mi, co ja zrobiłem złego. Jestem gotów uznać swoje winy”; zgryzota, jakiej doznawał, utrwałała w nim przeświadczenie własnych błędów.

Ale ona dawała mu bez końca czekać na odpowiedzi, pozbawione zresztą sensu. Toteż prawie zawsze z chmurnym czołem, a często z próżnymi rękami, Robert wracał z poczty, gdzie sam z całego hotelu, wraz z Franciszką, chodził po list lub sam zanosił listy, on przez niecierpliwość kochanka, ona przez nieufność służącej. (Z depechami musiał chodzić znacznie dalej).

Kiedy w kilka dni po obiedzie u Blochów, babka oznajmiła mi z rozradowaniem, że Saint-Loup spytał jej, czy nie chce, aby ją przed swoim wyjazdem z Balbec sfotografował, kiedym ujrzał, że włożyła w tym celu najpiękniejszą suknię i wahała się między różnymi sposobami uczesania, czułem się nieco podrażniony dzieciństwem, które mnie tak w niej zdziwiło. Aż wreszcie pytałem sam siebie, czym się nie pomylił co do babki, czym jej nie stawał zbyt wysoko, czy ona jest równie obojętna na wszystko dotyczące jej osoby, jak to zawsze przypuszczałem, czy nie ma w niej tego, com uważał za najbardziej jej obce, kokieterii?

Na nieszczęście, niezadowolenie, jakie we mnie budził projekt fotografii, a zwłaszcza widoczna radość babki z tego projektu, przejawiało się na tyle, aby Franciszka je odgadła; i mimo woli pogłębiła je sentymentalnymi i rozczulonymi gawędami, wobec których zachowałem się tym chłodniej.

— Och, proszę panicza, ta kochana pani będzie taka szczęśliwa, że się będzie *portretować* i że nawet włoży ten kapelusz, który stara Franciszka jej przystroiła, trzeba jej pozwolić, paniczu.

Przekonałem sam siebie, że nie jestem okrutny, drwiąc sobie z czułościowości Franciszki, przypominałem sobie bowiem, że matka i babka, moje wzory we wszystkim, też to nieraz czyniły. Ale babka, widząc moją kwaśną minę, oznajmiła, że o ile to pozowanie ma mi sprawić przykrość, wyrzeknie się go. Nie zgodziłem się; upewniłem ją, że nie widzę w tym nic złego i pozwoliłem jej stroić się, ale sądziłem, że dam dowód przenikliwości i inteligencji, celując w nią parę ironicznym i dotkliwym słówkami, mającym zneutralizować przyjemność, jaką widocznie znajdowała w tej fotografii. Tak iż, o ile mnie podrażnił widok wspaniałego kapelusza babki, udało mi się bodaj spędzić z jej twarzy ten radosny wyraz, który powinien był mnie uszczęśliwić i który — jak się to zdarza zbyt często, póki jeszcze żyją najukochańsze nam istoty — wydaje się nam raczej drażniącym objawem lichej wady niż szacowną formą szczęścia, jakiego tak pragnęlibyśmy dla nich. Mój zły humor płynął zwłaszcza stąd, że owego tygodnia babka jak gdyby unikała mnie, tak że nie mogłem jej mieć bodaj chwilę dla siebie ani w dzień, ani wieczorem. Kiedym wracał po południu, aby być z nią trochę sam, powiadano mi, że jej nie ma; albo zamykała się z Franciszką na długie narady, których nie wolno mi było zamącić. I kiedy, spędziwszy wieczór poza domem z Robertem, wracając, myślałem o chwili, gdy będę mógł ujrzeć i uściskać babkę, darmo czekałem na te lekkie pukania w ścianę, wzywające mnie, abym jej przyszedł powiedzieć dobranoc; nie słyszałem nic. Kładłem się w końcu, mając do niej trochę żalu, że mnie pozbawia, z obojętnością tak nową z jej strony, radości, na którą tak liczyłem. Jeszcze przez jakiś czas czekałem z sercem bijącym jak w dzieciństwie, słuchając ściany, która zostawała niema, i zasypiałem we łzach.

Tego dnia, jak i w poprzednie dni, Saint-Loup musiał jechać do Doncières, gdzie, zanim miał wrócić na dobre, zatrzymywano go teraz zawsze do wieczora. Żałowałem, że go nie ma w Balbec. Widziałem młode kobiety wysiadające z powozów, jedne wchodziły do sali balowej kasyna, inne do cukierni; z daleka wydawały mi się czarujące. Byłem w owej fazie młodości, kiedy serce, niezajęte specjalnie nikim, jak gdyby czeka; kiedy się wszędzie — niby kochanek pożądaną kobietą — pragnie Piękności, szuka się jej, widzi się ją. Niech jakiś rys realny — jakiś szczegół kobiety oglądanej z daleka lub obróconej plecami — pozwoli nam wywołać Piękność przed naszymi oczami, już sobie wyobrażamy, żeśmy ją odkryli, serce nam bije, przyspieszamy kroku i zostaniemy na zawsze wół przekonani, że to była ona, byleby znikła: jedynie wówczas gdy ją możemy dogonić, pojmujemy swój błąd.

Zresztą czując się coraz bardziej cierpiący, skłonny byłem przeceniać najprostsze przyjemności przez trudność, z jaką mi przychodziło ich osiągnąć. Zdawało mi się, że wszędzie widzę eleganckie kobiety, bo byłem zbyt zmęczony, o ile to było na plaży, zbyt nieśmiały, o ile to było w kasynie lub w cukierni, aby się do nich zbliżyć. Jednakże jeżeli miałem rychło umrzeć, byłbym rad wiedzieć, czym są z bliska, w rzeczywistości, najładniejsze dziewczęta, jakie życie może ofiarować, gdyby nawet ktoś inny niż ja lub nawet nikt nie miał skorzystać z tej ofiary (nie zdawałem sobie w istocie sprawy, że zawiązkiem mojej ciekawości była chęć posiadania). Byłbym się odważył wejść na salę balową, gdyby Saint-Loup był ze mną. Sam, stałem po prostu przed Grand Hotelem, czekając chwili, gdy pójde spotkanie się z babką, kiedy ujrzałem zbliżających się kilka dziewcząt, jeszcze prawie na krańcu drogi, gdzie tworzyły osobliwą i ruchomą plamę; równie odmiennym wyglądem i wzięciem od wszystkich osób, jakie przywykłem oglądać w Balbec, jak mogłoby być przybyłe nie wiadomo skąd stado mew, gdy drepcąc po plaży — przy czym zapóźnione doganiają, podfruwając, poprzednie — odbywają swoją przechadzkę o celu

równie zagadkowym dla letników, których ptaki zdają się nie widzieć, jak jasno określonym dla ich ptasiego umysłu.

Jedna z tych nieznanym prowadziła rower; dwie inne trzymały kluby do golfa, a strój ich odcinał się od stroju innych dziewcząt w Balbec, również może oddających się po trosze sportom, ale bez specjalnego w tym celu kostiumu.

Była to godzina, gdy panie i panowie odbywali codziennie spacer po promenadzie, wystawieni na nielitościwe ognie *face à main*, jakie kierowała na nich (tak jakby mieli jakąś skazę, którą pragnęła wystudiować w najmniejszych szczegółach) żona prezydenta, dumnie siedząca przed kioskiem dla muzyki, pośród tego groźnego rzędu krzesel, gdzie za chwilę oni sami, z aktorów stając się krytykami, mieli się usadowić, aby sądzić z kolei wszystkich defilujących przed nimi. Szli po promenadzie, kołysząc się tak silnie, jak gdyby się znajdowali na pokładzie statku; nie umieli podnieść nogi, aby równocześnie nie poruszyć ramieniem, nie obrócić oczu, nie poprawić ramion, nie skompensować każdego ruchu wahadłowym ruchem w przeciwną stronę i nie czerwienić na twarzy. Udawali, że nikogo nie widzą, aby sprawić wrażenie, że się nie troszczą o osoby idące obok nich lub w przeciwnym kierunku; ale bacząc ukradkiem, aby ich nie potrącić, zderzali się właśnie z nimi, zahaczali się o nie, ponieważ byli nawzajem z ich strony przedmiotem tej samej tajemnej uwagi, ukrytej pod tą samą pozorną obojętnością; ile że miłość — tym samym lęk — tłumy jest jedną z najpotężniejszych sprężyn u wszystkich ludzi, czy starają się podobać innym lub zadziwić ich, czy też pragną pokazać, że nimi gardzą. U samotnika zamknięcie, nawet absolutne i trwające do końca życia, ma za pobudkę nadmierną miłość tłumy, tak bardzo górującą nad innym uczuciem, że gdy nie może, wychodząc z domu, uzyskać podziwu odzwierne, przechodniów, woźnicy, woli nie być nigdy przez nich ujrzanym i wyrzeka się wszelkiego działania, które by mu kazało opuszczać pokój.

Pośród wszystkich tych ludzi, z których ten i ów ściagał jakąś myśl, ale wówczas zdradzał jej wahania niepokojem gestów, spojrzeń, równie mało harmonijnych jak oględne chybotanie się sąsiadów, dziewczęta, które zauważyłem, szły prosto przed siebie, z opanowaniem gestów, jakie daje doskonale wyćwiczenie ciała i szczerą pogardą dla reszty ludzkości. Szły przed siebie bez wahań i bez zakłopotania, wykonując ściśle te ruchy, jakie chciały, przy pełnej niezawisłości każdego z członków, przy czym korpus zachowywał ową nieruchomość, tak znamienne dla osób dobrze tańczących walca. Były już blisko mnie. Mimo iż każda z nich miała typ absolutnie różny od innych, wszystkie były piękne; co prawda widziałem je od tak niedawna i nie śmiejąc się im przyglądać, że nie zindywidualizowałem jeszcze żadnej. Z wyjątkiem jednej, której prosty nos i ciemna skóra odcinały się od innych — niby na jakimś renesansowym obrazie jeden z Trzech Królów rodem z Arabii — pochwyliłem w jednej z nich jedynie parę oczu twardych, upartych i roześmianych; w drugiej tylko policzki, których różowość miała miedziany ton przywodzący na myśl geranię; a nawet i tych rysów nie zlokalizowałem jeszcze niezawodnie w żadnej z dziewcząt; i kiedy (wedle porządku, w jakim się rozwijał ten zespół — cudowny, bo w nim sąsiadowały najrozmaitsze kształty, spotykały się wszystkie gamy kolorów, ale mętny jak muzyka, w której nie umiałbym wyosobnić i rozpoznać, w miarę ich zjawiania się, fraz pochwyconych, ale zapomnianych w chwilę potem) widziałem wynurzający się biały owal, oczy czarne, oczy zielone, nie wiedziałem, czy to są te same, które już na mnie wionęły czarem przed chwilą, nie mogłem ich odnieść do jakiejś określonej młodej dziewczyny, którą bym oddzielił od innych i rozpoznał. I ten brak granic w mojej wizji — granic, które niebawem miałem między nimi ustalić — kołysał grupę jakimś harmonijnym falowaniem, nieustanną transmisją płynnej, zbiorowej i ruchomej piękności.

Może nie sam przypadek skupił te przyjaciółki i dobrał je, wszystkie tak piękne; może te dziewczęta (których postawa wystarczała, aby zdradzić natury śmiałe, płochy i twarde), nader wrażliwe na wszelką śmieszność i brzydotę, odporne powabom kategorii intelektualnej lub moralnej, uczuły, pośród swoich rówieśnic, odrazę do wszystkich tych, których myśląca lub wrażliwa natura wyrażała się nieśmiałością, skrępowaniem, niezręcznością. Wszystko to określiły zapewne jako „antypatyczny fason” i odsunęły się od tego typu; zaprzyjaźniły się w zamian z innymi, do których ciągnęło je jakieś zespolenie wdzięku, zwinności i elegancji fizycznej, jedyna forma, pod jaką mogły sobie wyobrazić swobodę miłego charakteru i wróżbę pędzonych wspólnie przyjemnych godzin. Może i sfera, do

Tłum, Obyczaje

Samotnik

której należały, a której nie umiałem określić, znajdowała się w tym punkcie ewolucji, w którym, bądź dzięki zamożności i wywczasom, bądź dzięki nowoczesnym nawykom sportu (szerzącym się nawet w pewnych kołach ludowych) oraz kultury fizycznej, niełączącej się jeszcze z kulturą umysłową, środowisko społeczne, podobne harmonijnym i płodnym szkołom rzeźby, nieszukającym jeszcze skomplikowanego wyrazu, wydaje obficie i naturalnie piękne ciała o pięknych nogach, o pięknych biodrach, o zdrowych i wypoczętych twarzach, ruchliwych i sprytnych. I czyż to nie były szlachetne i spokojne wzory ludzkiej piękności, które widziałem przed sobą w obliczu morza niby posągi wystawione na słońce kędyś na greckim wybrzeżu?

Widocznie ta gromadka, posuwająca się wzdłuż promenady niby świetlna kometa, osądziła, iż otaczający ją tłum składa się z istot innej rasy, tak że nawet jego cierpienie nie byłoby w nich zdolne obudzić poczucia solidarności, bo nie widziały po prostu tego tłumy. Zmuszały przystające osoby do usunięcia się na bok, niby przy przejściu wypuszczonej maszyny, po której nie ma co oczekiwać, aby mijala pieszych. Co najwyżej, kiedy jakiś starszy pan, którego istnienie ignorowały i którego dotknięcie odpychały od siebie, uciekł z nagłymi lub śmiesznymi gestami przestachu lub wściekłości, one spoglądały po sobie ze śmiechem. Nie popisywały się wzgardą dla wszystkiego, co nie było z ich grupy; wystarczała szczerłość tej wzgardy. Ale wszelka dojrzana przeszkoda rodziła w nich radośną chętkę przebycia jej, z rozpędem lub równymi nogami, bo wszystkie były spęczniałe i kipiące młodością. Ta młodość tak bardzo potrzebuje się wyżyć, nawet kiedy jest smutna lub cierpiąca, że ulegając raczej konieczności wieku niż doraźnemu humorowi, nie przepuszcza żadnej sposobności do skoku lub glisady²⁸, wyzyskuje ją sumiennie, przerywając i strojąc swój wolny krok — niby Chopin najbardziej melancholijną frazę — uroczymi arabeskami, w których kaprys miesza się z mistrzostwem.

Zona starego bankiera, dobierając dla męża rozmaitych miejsc, usadowiła go na leżaku, na wprost promenady, gdzie od wiatru i słońca chronił go kiosk dla muzyki. Zainstalowawszy tak męża, opuściła go na chwilę, aby pójść kupić dziennik, który miała mu czytać dla rozrywki. Chwil, w których zostawiała go samego, nie przeciągała nigdy ponad pięć minut, co jej się zdawało dość długo; czyniła to na tyle często, aby stary mąż, nad którym rozrzucała opiekę, maskując ją zarazem, miał wrażenie, że jest jeszcze zdolny żyć jak wszyscy i że nie potrzebuje dozoru. Trybuna orkiestry tworzyła nad nim naturalną i kuszącą trampolinę, przez którą bez wahania najstarsza z małej bandy puściła się pędem; skoczyła ponad przerażonego starca, którego kaszkiet musnęły zwinne nogi, ku wielkiej zabawie reszty dziewcząt. Zwłaszcza para zielonych oczu w twarzyczce lalki wyraziła podziw dla tego aktu i wesołość, w których próbowałem rozróżnić nieco lęklivości, lęklivości wstydlivej zarazem i aroganckiej, nieistniejącej u innych. „Żal mi tego starego, wygląda, jakby już miał odwalić kitę” — rzekła w pół ironicznie jedna z dziewcząt schryplą, jakby przepitym głosem. Zrobiły jeszcze kilka kroków, potem zatrzymały się chwilę wśród drogi, nie troszcząc się o to, że utrudniają krążenie przechodniów, czyniąc naradę, tworząc skupienie o nieregularnym kształcie, zwarte, niezwykle i krzykliwe, niby ptaki zbierające się w chwili odlotu; po czym podjęły wolną przechadzkę wzdłuż promenady nad morzem.

Obecnie ich urocze rysy nie były już zmieszane z sobą, niepodobne do rozróżnienia. Rozdzieliłem je i skupiłem (w braku imion, których nie znałem) dokoła największej, tej, co skoczyła przez starego bankiera; i małej, której pizate i różowe policzki i zielone oczy odcinały się na horyzoncie morza; i trzeciej, o smagłej cerze, prostym nosku, wyróżniającej się wśród innych; dokoła jeszcze innej, o twarzy białej jak jajko, na której mały nosek garbił się niby dzióbek kurczęcia, twarzy takiej, jaką miewają niektórzy bardzo młodzi chłopcy; innej wreszcie, dużej, okrytej peleryną (co dawało wygląd tak ubogi i tak przeczący jej eleganckiemu wzięciu, iż nastroczała się myśl, że ta młoda dziewczyna musi mieć rodziców na tyle świetnych i mieszczących swoje ambicje o tyle wyżej letników w Balbec oraz toaletowego wykwinu własnych dzieci, aby im było zupełnie obojętne puszczać je na promenadę w stroju, który „szarym ludziom” wydałby się zbyt skromny); dokoła wreszcie dziewczynki o błyszczących i roześmianych oczach, o pulchnych matowych

²⁸glisada — tu: ślizg; w lotnictwie: figura akrobacji, zejście lotem ślizgowym nisko nad ziemię. [przypis edytorski]

policzkach pod czarnym „polo” na głowie. Ta, kiedy przechodził koło niej, popychała rower z tak niedbałym kołysaniem bioder, z miną i gwarą pełną tak apaszowskich i krzykliwych zwrotów (wśród których pochwyliłem nieszczęsne: „wyżyć się”), iż porzucając hipotezę zbudowaną na pelerynie jej towarzyszy, uznałem raczej, że wszystkie te dziewczęta należą do stałej klienteli welodromów i że to muszą być bardzo młode kochanki zawodowych cyklistów.

W każdym razie w żadnym z moich przypuszczeń nie figurowało to, aby te dziewczęta mogły być cnotliwe. Od pierwszego spojrzenia — w sposobie, w jaki patrzyły na siebie, w natarczywym wzroku owej dziewczyny o matowych policzkach — wyczytałem, iż jest przeciwnie. Zresztą babka czuwała zawsze nade mną z nazbyt trwożliwą delikatnością, abym mógł nie wierzyć, iż całość rzeczy, których nie powinno się robić, jest niepodzielna. Młode dziewczęta (sądziłem), które chybiają szacunku starości, tym bardziej muszą być niezdolne do skrupułów, gdy chodzi o słodczye bardziej kuszące niż skok przez głowę osiemdziesięciolatka!

Teraz były dla mnie zindywidualizowane; jednakże rozmowa, jaką wiodły oczami ożywionymi pewnością siebie i koleżeństwem, zdradzającymi co chwilę to współdziałanie, to zuchwałą obojętność, zależnie od tego, czy chodziło o którąś z przyjaciółek czy o przechodniów, a także tę świadomość, że się wszystkie znają na tyle dobrze, aby się przechadzać wciąż razem, oddzielną „bandą”, stwarzała między ich niezależnymi i oddzielnymi ciałami, gdy się tak posuwały z wolna, łączność niewidzialną, ale harmonijną niby wspólny ciepły cień, wspólna atmosfera, czyniąca z nich całość równie jednolitą w jej częściach, jak różną od tłumu, pośród którego rozwijał się z wolna ich orszak.

Mijając brunetkę o pulchnych policzkach popychającą rower, skrzyżowałem na chwilę wzrok z jej skośnymi i roześmianymi spojrzeniami, strzelającymi z głębi nieludzkiego świata, który zamykał życie tego małego klanu, niedostępnego, nieznanego, gdzie myśl o moim istnieniu nie mogła z pewnością ani dotrzeć, ani znaleźć miejsca. Czy ta młoda dziewczyna w polo bardzo nisko schodzącym na czoło, pochłonięta szczebiotem koleżanek, spostrzegła mnie w chwili, gdy mnie spotkał czarny promień tryskający z jej oczu? Jeżeli mnie widziała, co mogłem dla niej przedstawiać? Z łona jakiego wszechświata zauważyła mnie? Byłoby mi równie trudno odpowiedzieć na to, jak trudno jest, z pewnych szczegółów spostrzeżonych dzięki teleskopowi na sąsiedniej planecie wyciągnąć wniosek, że tam mieszkają ludzie, że nas widzą, i orzec, jakie myśli ten widok mógł w nich obudzić.

Gdybyśmy myśleli, że oczy danej dziewczyny są jedynie błyszczącym krążkiem miki, nie pragnęlibyśmy jej poznać ani zespolić się z jej życiem. Ale czujemy, że to, co błyszczy w tym krągłym zwierciadle nie jest wyłącznie materialnego pochodzenia; że to są nieznanne nam, czarne cienie idei, jakie ta istota tworzy sobie o osobach i o znanych jej miejscach — trawnikach hipodromów, piaszczystych drogach, po których, poruszając pedały, poprzez pola i lasy, wodziłaby mnie ta mała peri, powabniejsza dla mnie niż owa z perskiego rajy — także cienie domu, do którego wróci, projektów, jakie tworzy lub jakie ktoś tworzy za nią; a zwłaszcza że to jest ona, z jej pragnieniami, sympatiami, niechęciami, z jej tajemną i nieustanną wolą. Wiedziałem, że nie posiadałbym tej młodej cyklistki, o ile nie posiadałbym i tego, co jest w jej oczach. I tym samym całe jej życie wzniecało moje pragnienie; pragnienie bolesne, bom czuł, że jest nieziszczalne; ale upajające, gdyż to, czym było dotąd moje życie, przestawszy nagle być moim całkowitym życiem, będąc już tylko małą cząstką rozciągającej się przede mną przestrzeni, którą pragnąłem ogarnąć, a która była życiem tych dziewcząt, przyrzekało mi to przedłużenie, tę możliwość pomnożenia samego siebie, które jest szczęściem. I bez wątplenia to, że nie było między nami żadnego wspólnego nawyku — jak i żadnej wspólnej myśli — musiało mi utrudniać zbliżenie się z nimi i spodobanie się im. Ale może też dzięki tym różnicom, dzięki świadomości, że w skład natury i działań tych dziewcząt nie wchodzi żaden element, który bym znał i posiadał, po sytości następowało u mnie pragnienie — podobne temu, jakim plonie wyschnięta ziemia — pragnienie życia, które moja dusza, dlatego że go nie otrzymała dotąd ani kropelki, wchłonyłaby tym chciwiej, wielkimi haustami, z tym doskonałym nasyceciem.

Tak długo patrzyłem na cyklistkę o błyszczących oczach, że musiała to spostrzec i rzekła do największej z dziewcząt coś, czego nie dosłyszał, ale co rozśmieszyło tamtą. Prawdę mówiąc, nie ta brunetka podobała mi się najwięcej, właśnie dlatego że była brunetką

Wzrok

i że (od dnia, gdy na ścieżce w Tansonville ujrzał Gilbertę) ruda dziewczynka o złocistej skórze stała mi się niedostępnym ideałem. Ale samą Gilbertę czyż nie dlatego pokochałem, że mi się zjawiała strojna aureolą przyjaciółki Bergotte'a, zwiedzającej z nim katedry! I tak samo czyż nie mogło mnie ucieszyć, że ta brunetka popatrzyła na mnie (co budziło we mnie nadzieję, iż łatwiej mi będzie zapoznać się najpierw z nią), bo przedstawił mi inną, tej bezlitosnej, co przeskoczyła starca, i okrutnej, co powiedziała: „Żał mi tego starego”, kolejno wszystkim, których nierozłączne towarzystwo mnożyło jej urok. A jednak przypuszczenie, że mógłbym być pewnego dnia przyjacielem jednej z tych dziewcząt, że te oczy, których nieznane spojrzenia uderzały mnie chwilami, igrając po mnie bezwiednie niby promień słońca na murze, mogłyby kiedy mocą cudownej alchemii przepuścić przez swoje niewysłowione cząsteczki ideę mego istnienia, jakąś sympatię dla mojej osoby, że ja sam mógłbym kiedyś zająć miejsce pośród nich, w orszaku, którym ciągnęły wzdłuż morza — ta myśl zdawała się mieścić w sobie sprzeczność równie nierozwiązalną, co gdybym przed jakimś starożytnym fryzem lub freskiem wyobrażającym pochod uważał za możliwe, ja, widząc, zająć miejsce między boskimi celebrantkami jako ich kochanek.

Szczęście poznania tych dziewcząt było tedy nieziszczalne. Zapewne nie byłoby to pierwsze tego rodzaju szczęście, jakiego bym się wyrzekł. Wystarczyło mi przypomnieć sobie tylko tyle nieznajomych, które, nawet w Balbec, kazał mi opuścić na zawsze pędem oddalający się powóz. A nawet przyjemność, jaką mi dawała gromadka tak szlachetna jak gdyby się składała z helleńskich dziewic, pochodziła stąd, że miała coś z pierzchania owych mijanych na drodze postaci. Owa ulotność istot nieznajomych nam, wyrywających nas z potocznego życia, w którym znajome kobiety odsłaniają nam w końcu swoje skazy, wprawia nas w ów stan pogoni, gdzie nic nie wstrzymuje już wyobraźni. Otóż odrzec nasze przyjemności z wyobraźni, znaczy sprowadzić je do nich samych, do niczego. Ofiarowane przez jedną z owych stręczycielek, którymi zresztą, jak czytelnik widział, nie gardziłem, wyrwane z elementu dającego im tyle odcieni i tyle tajemnicy, dziewczęta te byłyby mnie mniej oczarowały. Trzeba, aby wyobraźnia, pobudzona niepewnością, stworzyła cel, który by nam zasłaniał tamten cel i który, zastępując zmysłową rozkosz ideą wniknięcia w czyjeś życie, nie dozwoliłby nam rozpoznać owej rozkoszy, doświadczyć jej prawdziwego smaku, uszczuplić jej do istotnych wymiarów.

Ryba, podana nam od razu na stół, nie zdałaby się nam warta tysiąca sztuczek i postępów obróconych na to, aby ją pochwycić; trzeba, aby między nią a nas, w chwili gdy czatujemy z wędką bez określonego praktycznego celu, wdarł się prąd, w którym miga nam gładkość tkanek, nieuchwytność kształtów, w płynności przejrzystego i ruchomego lazuru.

Dziewczęta te korzystały również z owej zmiany proporcji socjalnych, znamienych dla kąpieliska. Wszystkie przewagi, które w zwykłym naszym środowisku przedłużają nas niejako, powiększają nas, tam stają się niewidoczne, znikają; w zamian za to istoty, którym niezaskłużenie przypisuje się owe przewagi, zjawiają się powiększone do sztucznych wymiarów. Dzięki temu osoby nieznajome — w danym dniu owe młode dziewczyny — tym łatwiej przybierały w moich oczach olbrzymią ważność; ja zaś nie miałem żadnego sposobu dowiedzenia im swojej ważności.

Ale jeżeli spacer małej gromadki czerpał urok w tym, że był jedynie cząstką niezliczonego przepływu mijających mnie kobiet, który mnie zawsze wzruszał, przepływ ten sprowadzał się tutaj do ruchu tak powolnego, że bliski był bezruchu. Otóż to, że w tempie tak powolnym, twarze nieunoszone już pędem, ale spokojne i wyraźne, zdawały mi się jeszcze piękne, właśnie to nie pozwalało mi sądzić (jak sądziłem często, gdy mnie unosił powóz pani de Villeparisis), że z bliska, gdybym się zatrzymał na chwilę, jakieś przykre szczegóły, wątpliwa cera, skaza w wycięciu nozdrzy, tępe spojrzenie, niemile uśmiech, brzydka figura, zastąpiłyby na twarzy i w ciele kobiety rysy, które sobie zapewne wyroiłem; wystarczyło bowiem dojranej przeze mnie ładnej linii lub świeżej cery, abym w najlepszej wierze przydał im jakieś urocze ramię, jakieś rozkoszne spojrzenie, którego zawsze nosił w sobie pamięć lub przecucie; i takie błyskawiczne odczytywanie osób widzianych w przelocie naraża nas wówczas na te same błędy, co nazbyt pospieszna lektura, gdy z jednej sylaby, nie zadając sobie trudu utożsamienia innych, w miejsce słowa napisanego wstawiamy całkiem inne, podsunięte nam przez pamięć.

W tym wypadku było to niemożliwe. Przypatrzyłem się dobrze twarzom tych dziewcząt; każdą z nich widziałem nie ze wszystkich profilów, a rzadko *en face*, ale zawsze z dwóch lub trzech perspektyw na tyle odmiennych, abym mógł uzyskać bądź sprostowanie, bądź potwierdzenie i „dowód” rozmaitych domysłów linii i barw, zaryzykowanych na pierwszy rzut oka i abym widział coś niezmiennie materialnego, trwającego w nich poprzez kolejne wyrazy. Toteż mogłem sobie rzec z całą pewnością, że ani w Paryżu, ani w Balbec, w najkorzystniejszych hipotezach tego, czym mogłyby być (nawet gdybym się zdołał do nich zbliżyć) nieznanymi, które zatrzymały moje oczy, ujrzenie a potem zniknięcie żadnej z nich nie zostawiłoby we mnie więcej żalu, niżby go zostawiły te dziewczęta, wraz z myślą, że ich przyjaźń mogłaby być takim upojeniem! Ani wśród aktorek, ani wśród wieśniaczek, ani wśród wychowanic klasztoru, nie widziałem nic tak pięknego, nasyconego Nieznanym, bezcennego, tak prawdopodobnie niedostępnego. Były one tak rozkosznym i pełnym egzemplarzem nieznanego i możebnego szczęścia, że nieomal z intelektualnych pobudek byłem w rozpaczy, bojąc się, iż nie zdołam — w warunkach jedynych, nie zostawiających miejsca dla możliwego błędu — doświadczyć tego, co nam najbardziej tajemniczego ofiarowuje upragniona piękność. Nazbyt często trzeba nam się pocieszyć, że jej nie będziemy posiadali nigdy, żądając rozkoszy — czego Swann zawsze wzdragał się uczynić, przed Odetą — od kobiet, których nie pragnęliśmy, tak że umieramy, nie poznawszy, czym była owa inna rozkosz. Bez wątpienia, może owa rozkosz nie byłaby w rzeczywistości rozkoszą nieznaną; może z bliska tajemnica jej rozproszyłaby się, może byłaby jedynie projekcją, mirażem żądy. Ale w takim razie mógłbym mieć pretensję jedynie do prawa natury — które, gdyby się stosowało do tych dziewcząt, stosowałoby się do wszystkich — nie zaś do skaz samego przedmiotu. Bo to był przedmiot, który byłbym wybrał między wszystkimi, zdając sobie dobrze sprawę, z satysfakcją botanika, że niepodobna by znaleźć zebranych razem gatunków rzadszych niż te młode kwiaty, przerywające w tej chwili przede mną linię fal swoim lekkim żywopłotem, podobnym do gaiku pensylwańskich róż, strojących ogród na skale, między którymi mieści się cała przestrzeń oceanu przebywana przez jakiś parowiec, tak wolno ślizgający się po poziomej i błękitnej kresce idącej od jednej łodygi do drugiej, że leniwy motyl zapóźniony w głębi kielicha, który kadłub statku minął od dawna, może — aby wzlecieć z tą pewnością, że przybędzie wcześniej — czekać, by tylko jedna cząsteczka lazuru dzieliła jeszcze dziób statku od najbliższego kwiatu, ku któremu okręt płynie.

Wróciłem, bo miałem jechać do Rivebde na obiad z Robertem, babka zaś żądała, abym się w taki dzień zawsze wyciągnął wprzód przez godzinę na łóżku, którą to sjęstę miejscowy lekarz zalecił mi niebawem rozszerzyć i na inne wieczory.

Zresztą, aby wrócić do hotelu, nie było nawet trzeba skręcać z promenady i wchodzić przez hall, to znaczy od tyłu. Czas przesunął się, podobny owym sobotom w Combray, kiedy śniadanie było o godzinę wcześniej. Teraz, w pełni lata, dni zrobiły się tak długie, że słońce było jeszcze wysoko na niebie, niby w porze podwieczorku, a już nakrywano w Grand Hotelu do obiadu. Toteż wielkie oszklone i zasuwane okna pozostawały otwarte na poziomie promenady. Wystarczyło okroczyć wąską drewnianą ramę, aby się znaleźć w jadalni, którą zaraz opuszczałem, aby wsiąść do windy.

Przechodząc koło biura, przesyłałem uśmiech dyrektorowi i bez cienia niesmaku witałem również uśmiech na jego twarzy, którą od czasu pobytu w Balbec moje wtajemniczenie nastrożykiwało i przeobrażało stopniowo niby preparat historii naturalnej. Rysy jego stały mi się znane, naładowane sensem pospolitym, ale zrozumiałym jak czytelne pismo, w niczym już niepodobne do dziwaczego i nużącego pisma z owego pierwszego dnia, kiedy ujrzał przed sobą zapomnianą teraz osobistość. Zaledwie mogłem wywołać ją w swojej pamięci, tym mniej zidentyfikować ją z banalnym i uprzejmym osobnikiem, którego była jedynie wstrętą i pobieżną karykaturą. Bez lęków i smutku pierwszego wieczora zadzwoniłem na *liftboy'a*, który już nie stał milczący, gdym się z nim wznosił w windzie, niby w ruchomej klatce piersiowej przesuwającej się wzdłuż kręgosłupa, ale powtarzał mi:

— Już nie ma tyle ludzi, co przed miesiącem. Zaczną wyjeżdżać, dzień robi się krótszy.

Mówił tak nie dlatego, by to była prawda, ale że zgodziwszy się już do cieplejszej miejscowości na wybrzeżu, pragnął, abyśmy wszyscy wyjechali jak najwcześniej, tak aby hotel zamknięto i aby on miał kilka dni wolnych, zanim rozpocznie nową służbę. Uderzyło

Sługa, Obyczaje, Praca

mnie, że on zechciał powiedzieć „służba”; bo należał do tego nowoczesnego proletariatu, który pragnie zatrzeć w języku ślady służebności. Zresztą za chwilę powiadomił mnie, że na „posadzie” którą „obejmie”, będzie miał ładniejszy „uniform”, i lepsze „uposażenie”; słowo „liberia” i „zasługi” wydawały mu się przestarzałe i niewłaściwe. Że zaś przez nie-dorzeczną sprzeczność dawny słownik przetrwał mimo wszystko u „państwa” dłużej niż pojęcie nierówności, nigdy nie mogłem dobrze zrozumieć, co mi mówił „lift”. Jedyną rzeczą, jaka mnie interesowała, było to, czy babka jest w domu. Otóż uprzedzając moje pytanie, powiedział:

— Ta pani właśnie wyszła od pana.

Zawsze się na to brałem, myślałem, że mówi o babce.

— Nie, ta pani, która jest zdaje mi się funkcjonariuszką u państwa.

Ponieważ w dawnym mieszczańskim języku, który powinien być zniesiony, kucharka nie nazywa się funkcjonariuszką, myślałem chwilę: „Ależ on się myli, nie mamy fabryki, biura, ani funkcjonariuszy”... Naraz przypomniałem sobie, że słowo „funkcjonariusz” jest, jak prawo do wąsów u kelnerów, satysfakcją miłości własnej daną służbie i że ta „dama, która właśnie wyszła”, to była Franciszka (poszła prawdopodobnie z wizytą do kawiarki lub asystować przy szyciu pokojówce belgijskiej damy). Satysfakcja ta nie wystarczała jeszcze *lift-boyowi*, mówił bowiem często, rozczulając się nad swoją klasą, „u robotnika” albo „u prostego człowieka”, posługując się tą samą liczbą pojedynczą co Racine, kiedy powiada: „ubogi”... Ale zazwyczaj nie rozmawiałem z chłopcem od windy — ile że moja początkowa gorliwość i nieśmiałość dawno minęły. To on teraz nie dostawał odpowiedzi w czasie krótkiej drogi, której węzły przebywał poprzez wycinany jak zabawka hotel, ukazujący nam piętro po piętrze rozgałęzienia korytarzy, w których głębi światło aksamitniało, bladło, zwężało drzwi lub stopnie wewnętrznych schodów, zmieniając je w ów zlocisty bursztyn, nieuchwytny i tajemniczy niby zmierzch, w którym Rembrandt wycina ramę okna lub korbę u studni. I na każdym piętrze złoty blask odbijający się na dywanie oznajmiał zachód słońca i okno klozetu.

Zastanawiałem się, czy dziewczęta, które dopiero co widziałem, mieszkają w Balbec i kto by to mógł być. Kiedy pragnienie skieruje się tak ku małej gromadce ludzkiej, którą wyróżni, wszystko, co się z nią może łączyć, staje się przedmiotem wzruszenia, potem marzeń. Słyszałem, jak jakaś dama mówiła na plaży: „To przyjaciółka małej Simonet”, tonem zadowolonej z siebie precyzji, jak ktoś, kto tłumaczy: „To nieodłączny towarzysz małego La Rochefoucauld”. I natychmiast na twarzy tak informowanej osoby czuło się chęć lepszego przyjrzenia się szczęśliwej istocie, będącej „przyjaciółką małej Simonet”. Musiał to być przywilej, niedany całemu światu. Bo arystokracja jest rzeczą względną. I bywają tanie, pokątne kąpieliska, gdzie syn handlarza mebli jest królem elegancji i panuje nad swoim dworem niby młody książę Walii.

Często starałem się później przypomnieć sobie, w jaki sposób zabrzmiało mi na plaży to nazwisko *Simonet*, jeszcze niepewne dla mnie wówczas co do formy, a także co do treści, co do jego przynależności do tej lub innej osoby; w sumie nacechowane ową mglistą nowością, tak wzruszającą nas później, kiedy to nazwisko, którego litery ryją się w nas z każdą sekundą głębiej dzięki naszej nieustającej uwadze, stało się (co miało się zdarzyć u mnie, w stosunku do młodej Simonet, aż w kilka lat później) pierwszym wyrazem, jaki odnajdujemy czy to w chwili przebudzenia się, czy ocknąwszy się z omdlenia, nawet przed świadomością godziny, miejsca, gdzie się znajdujemy, prawie przed słowem „ja”; jak gdyby istota, którą ono oznacza, była bardziej nami niż my sami i jakby po paru chwilach nieświadomości czas, gdy nie myśleliśmy o niej, był niby rozejm wygasający przed każdym innym. Od pierwszego dnia powiedziałem sobie — nie wiem czemu — że *Simonet* musi być nazwiskiem jednej z tych dziewcząt, i bez przerwy zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym się zapoznać z rodziną Simonet; i to przez ludzi, których by uważała za coś lepszego od siebie — co nie musiało być trudne, o ile to były tylko zwykłe podfruwajki. Chodziło mi przede wszystkim o to, by ona nie mogła powziąć o mnie lekceważącego pojęcia. Bo nie można dobrze poznać, nie można dokonać całkowitej absorpcji istoty, która nami gardzi, dopóki się nie pokona tej wgardy. Otóż za każdym razem, kiedy w nas wnika obraz tak różnych kobiet, o ile go nie usunie zapomnienie lub natłok innych obrazów, nie mamy spokoju, póki nie zmienimy tych obcych istot w coś, co by było podobne do nas. Dusza nasza jest pod tym względem obdarzona tym samym rodzajem

reakcji i energii co organizm fizyczny, który nie może znieść obecności obcego ciała, ale natychmiast stara się strawić i przyswoić sobie intruza. Młoda Simonet musiała być ową najładniejszą ze wszystkich, zarazem tą, która, zdawało mi się, mogłaby zostać moją kochanką, bo ona jedna parokrotnie obróciła nieco głowę, jak gdyby zauważyła moje uparte spojrzenie. Spytałem chłopca od windy, czy nie zna w Balbec jakich Simonet. Nie lubiąc przyznawać się, że czegoś nie wie, odpowiedział, iż zdaje mu się, że słyszał to nazwisko. Przybywszy na najwyższe piętro, poprosiłem go, aby mi przysłał ostatnią listę gości.

Wysiadłem z windy, ale zamiast iść do swego pokoju, zapuściłem się w korytarz, o tej godzinie bowiem, posługacz, mimo że się obawiał przeciągów, otworzył w końcu korytarza okno, wychodzące nie na morze, lecz na wzgórza i doliny; ale nie widziało się ich nigdy, matowe bowiem szyby były najczęściej zamknięte. Przystanąłem przed oknem na chwilę, tyle, aby odprawić dewocje przed „widokiem” pierwszy raz odsłaniającym mi się za pagórkami obok hotelu. Widok obejmował tylko dom położony w pewnej odległości; perspektywa i wieczorne światło, zachowując jego wymiary, ale przydając mu cenną cyzelaturę i jakby aksamitne puźdro, czyniły zeń jakąś miniaturową budowlę, małą świątynkę lub kapliczkę ze złota i emalii, służącą za relikwiarz i pokazywaną jedynie w rzadkie dni pobożnym oczom. Ale ta chwila adoracji już trwała zbyt długo, bo posługacz, który trzymał w jednej ręce pęk kluczy, a drugą kłaniał mi się, dotykając swojej czapeczki zakrystiana (nie uchylał jej z powodu czystego i chłodnego wieczornego powietrza), zamknął okno niby skrzydła ołtarza i skrył mojej adoracji miniaturową budowlę i złotą relikwię.

Wszedłem do pokoju. W miarę jak sezon się posuwał, obraz, jaki znajdowałem w oknie zmieniał się. Zrazu był tam jasny dzień, ciemny jedynie w czasie niepogody; wówczas w ciemnozielonym szkle, wzdymanym krągłymi falami, morze, oprawne w żelazne ramy mojego okna niby w olów witraża, strzępiło na całej głębokiej, skalistej obwódce zatoki upierzone trójkąty nieruchomej piany, cieniowanej z delikatnością pierza lub puchu rysowanych przez Pisanella, i utrwalone ową białą emalią, niezmienną i pienistą, jaka wyobraża warstwę śniegu na szklach Gallégo.

Niebawem dnie stały się krótsze; w chwili gdy wchodziłem do pokoju, fioletowe niebo zdawało się napiętnowane sztywnym, geometrycznym, przejściowym, płomiennym kształtem słońca (podobnym do cudownego znaku, do jakiejś mistycznej zjawy), nachylało się ku morzu na zawiasach widnokregu niby święty obraz nad wielkim ołtarzem, gdy rozmaite części zachodu, wystawione w szybach niskich mahoniowych szaf bibliotecznych biegnących wzdłuż ściany i wiążących się w mojej myśli z cudownym obrazem, od którego się oderwały, wyglądały niby rozmaite sceny, które jakiś stary mistrz wykonał niegdyś dla bractwa na relikwiarzu i których pojedyncze skrzydła wystawia się obok siebie w sali muzealnej, tak iż jedynie wyobraźnia zwiedzającego przywraca je na ich miejsca na nastawie ołtarza.

W kilka tygodni później, kiedym wracał do siebie, słońce już zaszło. Czerwona przepaska nieba podobna tej, jaką widywałem w Combray nad Kalwarią, wracając ze spaceru, kiedym się gotował zająć przed obiadem do kuchni — widniała nad morzem zwartym i ściętym niby auszpik z mięsa. A potem znów, nad morzem już zimnym i błękitnym jak ryba zwana *mulet*, niebo miało ten sam różowy kolor co łosoś, którego za chwilę każemy sobie podać w Rivebelle. Widoki te zaostrzały przyjemność, jaką mi sprawiało przebrać się po to, aby jechać na obiad. Nad morzem, tuż koło brzegu, dymy czarne jak sadza, ale o gładkości i konsystencji agatu, o ciężarze widzialnym oku, próbowały się wznosić, jedno nad drugie, coraz to szerszymi piętrami; tak iż najwyższe, zwisając ponad zniekształconą lodygą i wychylając się poza środek ciężkości tych, co je podtrzymywały dotąd, groziły ściągnięciem tego gmachu wznoszącego się już do połowy nieba i strąceniem go w morze. Widok okrętu, który się oddalał niby nocny podróźny, dawał mi to samo wrażenie, jakiegom doznał w wagonie: że jestem uwolniony od przymusu snu i od zamknięcia w pokoju. Zresztą nie czułem się w tym pokoju uwięziony, skoro go za godzinę miałem opuścić, aby wsiąść do powozu. Rzuciłem się na łóżko; i jak gdybym się znajdował na ławce jednego z owych statków, które widziałem dość blisko siebie i które dziwiłyby nas w nocy, przesuwać się wolno w ciemności, niby pociemniałe i milczące, lecz nie śpiące łabędzie, byłem ze wszystkich stron otoczony obrazami morza.

Ale często były to w istocie tylko obrazy; zapomniałem, że pod ich barwą czaiła się smutna pustka plaży, nawiedzana niespokojnym wieczornym wiatrem, który tak dotkliwie odczuwałem za przyjazdem do Balbec; zresztą nawet w swoim pokoju, pochłonięty owymi spotkanymi dziewczętami, nie byłem już w stanie dość spokojnym ani dość bezinteresownym, aby się we mnie mogły zrodzić naprawdę głębokie wrażenia piękności. Nadzieja obiadu w Rivebelle wprawiała mnie w nastrój jeszcze płochszy, a myśl moja, przenosząc się w takich chwilach na powierzchnię mego ciała, które miałem przystroić, aby się wydać możliwie najpowabniejszy oczom kobiet, mających mnie lustrować w jarzącej się sali restauracyjnej, niezdolna była szukać głębi poza barwą przedmiotów. I gdyby za oknem niestrudzony i cichy lot jerzyków i jaskółek nie wzbijał się niby wodotrysk, niby fajerwerk życia, łączący przestrzenie między tymi racami nieruchomą i białą przędzą długich poziomych smug, bez uroczego cudu tego naturalnego i lokalnego zjawiska, wiążącego z rzeczywistością krajobrazy roztaczające się przed moimi oczami, mógłbym myśleć, że są one tylko codziennie odnawianym wyborem obrazów, jakie ktoś wystawia dowolnie w miejscu, gdzie się znajdował, ale bez koniecznego z tym miejscem związku.

Raz była to wystawa sztychów japońskich: obok delikatnego konturu słońca czerwonego i okrągłego jak księżyc, żółta chmura zdawała się jeziorem, na którym odcinały się czarne miecze niby nadbrzeżne drzewa; smuga delikatnego różowego koloru, jakiego nigdy nie odnalazłem od czasu mego pierwszego pudełka z farbami, wzdymała się jak rzeka, po której dwóch brzegach statki zdawały się czekać, aby je ściągnięto i puszczono na fale. I z pogardliwym, znudzonym i czczym spojrzeniem amatora lub kobiety przebiegającej między dwiema wizytami galerii obrazów, powiadałem sobie: „Ciekawy ten zachód słońca, to coś odmiennego, ale ostatecznie widywałem już równie delikatne, równie zdumiewające”.

Więcej przyjemności miałem w wieczory, w które jakiś statek, pochłonięty i roztopiony w horyzoncie identycznego koloru, wyglądał niby obraz impresjonistyczny i zdawał się również z tej samej materii, jak gdyby jego dziób i liny, w które się ścienił i wyrzeźbił, wycięto po prostu w mglistym błękitcie nieba. Czasami ocean wypełniał prawie całe moje okno, podniesiony pasmem nieba określonym u góry jedynie linią tak samo niebieską jak linia morza, ale które z tego powodu brałem jeszcze za morze, odmienny kolor przypisując grze światła. Innego dnia morze było namalowane jedynie w dolnej części okna, którego resztę zapełniało tyle chmur stłoczonych na sobie poziomymi smugami, że szyby zdawały się, wskutek intencji lub specjalności artysty, przedstawiać „studium chmur”, podczas gdy poszczególne witryny biblioteczne odbijały chmury podobne, ale w innych partiach horyzontu i rozmaicie zabarwione światłem: dawały one jak gdyby owo tak ulubione niektórym współczesnym mistrzom powtórzenie jednego i tego samego efektu, pochwyconego o różnych godzinach, ale teraz stężałe w sztuce, dostępne oku równocześnie w jednym pokoju, wykonane pastelami i wstawione za szkło. A czasami w jednostajną szarość nieba i morza mieszało się z uroczym wyrafinowaniem nieco różowego koloru, podczas gdy mały motylek, usnąwszy na ramie okna, zdawał się kłaść swymi skrzydłami pod tą „szaro-różową harmonią” w guście Whistlera ulubiony podpis mistrza z Chelsea. Nawet różowość zniknęła, nie było już na co patrzeć. Wstawałem na chwilę i nim się położyłem znowu, zasuwałem portiery. Ponad nimi widziałem z łóżka smugę jasności, która trwała jeszcze jakiś czas, ściemniając się, zwiężając stopniowo; i bez smutku i żalu pozwalałem tak umierać nad portierami godzinie, gdy zazwyczaj byłem przy stole, bo wiedziałem, że ten dzień jest różny od innych, dłuższy, niby dni pod biegunem, które noc przerywa tylko na kilka minut; wiedziałem, że z poczwarki tego zmierzchu wyjdzie niebawem — w promiennej metamorfozie — olśniewający blask restauracji w Rivebelle.

Powiadałem sobie: „Już czas”; przeciągałem się na łóżku, wstawałem, kończyłem toaletę, znajdowałem urok w tych beużytecznych chwilach uwolnionych od wszelkiego materialnego ciężaru. Podczas gdy na dole inni jedli obiad, ja obracałem siły, nagromadzone w bezczynności tego schyłku dnia, jedynie na to, aby osuszyć swoje ciało, włożyć smoking, zawiązać krawat, wykonać wszystkie te gesty natchnione spodziewaną już przyjemnością oglądania jakiejś kobiety zauważonej ostatnim razem w Rivebelle, która (zdawało mi się) patrzyła na mnie i odeszła może na chwilę od stołu jedynie w nadziei, że ja pójdę za nią. Z radością stroiłem się we wszystkie te uroki, aby się oddać całkowicie i w weselu ducha nowemu, swobodnemu, beztroskiemu życiu, w którym miałem

oprzec swoje wahania o spokój Roberta i wybierać spośród gatunków historii naturalnej i produktów wszystkich krajów te, które, składając się na nieznanne dania natychmiast zamówione przez mego przyjaciela, skusiłyby moje łakomstwo lub wyobraźnię.

A na końcu przyszły dnie, gdy nie mogłem już wracać z promenady przez jadalnię; okna były już zamknięte, bo na dworze była noc, i chmara ciekawych i biedaków, ściągniętych niedosiężnym dla nich światłem, wisiała w czarnych, smaganych wiatrem gronach u świecących i gładkich ścian szklanego ula.

Ktoś zapukał: to Aimé chciał mi osobiście wręczyć ostatnią listę gości.

Przed odejściem Aimé czuł potrzebę oznajmienia mi, że Dreyfus jest po stokroć winny. „Wyjdzie na jaw wszystko — mówił — nie tego roku, ale na przyszły rok; mówił mi to jeden pan będący bardzo blisko generalnego sztabu. Pytałem go, czy się nie zdecydował odkryć wszystkiego zaraz, przed końcem roku. Odłożył papierosa — ciągnął Aimé, odgrywając scenę i potrząsając głową i wskazującym palcem, tak jak robił jego klient, aby tym wyrazić, że nie trzeba żądać za wiele. — «Nie w tym roku, Aimé (niby powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu), to niemożliwe. Ale na Wielkanoc, tak!»”. I Aimé trącił mnie lekko w ramię, powiadając: „Widzi pan, pokazuję panu dokładnie, jak on to zrobił”, czy że mu pochlebiła poufałość znacznej figury, czy abym lepiej mógł ocenić, z całą świadomością rzeczy, wartość tego argumentu i przyczyn naszych nadziei.

Nie bez lekkiego wstrząsu w sercu na pierwszej liście gości ujrzałem słowa: „Simonet z rodziną”. Miałem w sobie stare marzenia, datujące z czasu mego dzieciństwa, w których całą czułość będącą w moim sercu, doznawaną przez nie, ale z niego nie wyodrębnioną, przynosiła mi istota możliwie najbardziej ode mnie różna. Jeszcze raz sfabrykowałem tę istotę, posługując się w tym celu nazwiskiem *Simonet* i wspomnieniem harmonii panującej między młodymi ciałami, które widziałem rozwijające się na plaży, w sportowej procesji, godnej antyku i Giotta. Nie wiedziałem, która z tych dziewcząt jest panną Simonet, czy w ogóle która z nich się tak nazywa; ale wiedziałem, że panna Simonet mnie kocha i że spróbuję, dzięki Robertowi, zapoznać się z nią. Na nieszczęście, Saint-Lo-up zmuszony był wracać co dzień do Doncières, uzyskawszy przedłużenie urlopu tylko pod tym warunkiem; ale wierzyłem, że jeżeli nie przyjaźń dla mnie, to sama ciekawość wystarczy, aby go odciągnąć od wojskowych obowiązków. Liczyłem na ten zmysł badacza ludzkiej natury, który tak często — nawet bez widzenia osoby, o której była mowa, z samego słyszenia, że jest np. ładna kasjerka w owocarni, rodził we mnie chęć poznania nowej odmiany piękności kobiecej. Ale myliłem się, kiedym się spodziewał obudzić tę ciekawość w Robercie, mówiąc mu o swoich dziewczętach. Sparaliżowała ją w nim na długo miłość do owej aktorki, z którą miał stosunek. I gdyby nawet odczuł nieco tej ciekawości, byłby ją zdławił przez jakąś zabobonną wiarę, że od jego własnej wierności może zależeć wierność jego kochanki. Pojechaliśmy tedy na obiad do Rivebelle bez przyrzeczenia czynnej pomocy ze strony Roberta.

W pierwszym okresie, kiedyśmy przybywali, słońce dopiero co zaszło, ale było jeszcze jasno; w ogrodzie restauracji, gdzie nie zapalono jeszcze światła, gorąco dnia opadało, kładło się niby na dnie naczyń, na którego ścianach przezroczysta i ciemna galareta upalnego powietrza zdawała się tak stężeć, że wielki krzak róży, rosnący na ciemnym murze i fładujący go różowo, robił wrażenie słoików widzianych w onyksie. Niebawem wysiadaliśmy z powozu aż w nocy, często nawet już nocą wyjeżdżaliśmy z Balbec, o ile było brzydtko, a my opóźniliśmy wyjazd w nadziei lepszej pogody. Ale w owe dnie słuchałem bez smutku świstu wiatru; wiedziałem, że nie oznacza on poniechania projektów, zamknięcia w pokoju; wiedziałem, że w wielkiej sali jadalnej, dokąd wejdziemy przy dźwięku cygańskiej muzyki, niezliczone lampy zwyciężą bez trudu ciemność i zimno, przypalając je swymi złotymi żegadłami; wesoło sadowiłem się obok Roberta w powozie czekającym na deszczu. Od jakiegoś czasu słowa Bergotte’a wróżące mi, że jakie bądź miałbym pojęcie o sobie, stworzony jestem zwłaszcza do rozkoszy intelektualnych, wróciły mi, co do moich późniejszych prac, nadzieję, którą co dnia unicestwiała nuda, jakiej doznawałem, siadając przy biurku, aby rozpocząć studium krytyczne lub powieść. „Ostatecznie (powiadałem sobie), może przyjemność, jakiej się zaznało przy pisaniu, nie jest niezawodną próbą wartości utworu; może ona jest tylko dodatkowym stanem, który łączy się często z pisaniem, ale którego brak nie może świadczyć przeciwko dziełu. Może istnieją arcydzieła, przy których autor ziewał”. Babka koła moje zwątpienia, zaręczając,

że pracowałbym dobrze i z radością, gdybym był zdrow. I ponieważ nasz lekarz uznał za właściwe ostrzec mnie przed poważnym ryzykiem związanym z moim stanem zdrowia i wskazał wszystkie higieniczne ostrożności, jakich trzeba przestrzegać, aby unikać choroby — poddawałem wszystkie przyjemności celowi, który mi się wydawał nieskończenie ważniejszy: stać się na tyle silnym, aby móc zrealizować dzieło, jakie może nosiłem w sobie. Toteż od czasu pobytu w Balbec wykonywałem nad sobą samym drobiazgową i stałą kontrolę. Nikt by mnie nie skłonił do filiżanki kawy, która, pozbawiając mnie w nocy snu, uczyniłaby mnie zmęczonym nazajutrz. Ale kiedyśmy przybywali do Rivebelle, podniecony nową przyjemnością, znalazłszy się w tej odmiennej strefie, w którą wprowadza nas *wyjatkowość*, przeciąwszy przedzoną cierpliwie od tyłu dni nitkę wiodącą nas ku rozsądkowi, natychmiast, jak gdybym już nie miał ani jutra, ani wzniosłych celów przed sobą, gubiłem ów ścisły mechanizm roztropnej higieny, funkcjonujący dla ochrony tych celów. Podczas gdy lokaj odbierał ode mnie palto, Saint-Loup mówił:

— Nie będzie ci zimno? Lepiej byś może zrobił, zostając w palcie; nie jest zbyt gorąco.

Odpowiadałem: „Nie, nie”; może nie czułem zimna, ale w każdym razie nie znalazłem już obawy przed chorobą, konieczności *nie umierania*, ważności pracy. Oddawałem palto; wchodziliśmy do sali restauracyjnej przy dźwiękach jakiegoś marsza wojennego granego przez Cyganów, posuwaliśmy się między rzędami nakrytych stolików niby łatwą drogą chwały, czując radosny żar, wlny w nasze ciało rytmem orkiestry, która nam oddawała honory wojskowe niezasłużonego tryumfu. Pokrywaliśmy ten żar poważną i lodowatą miną, krokiem pełnym znużenia, aby nie naśladować owych lafirynd z *café-concert*, które, odśpiewawszy na wojowniczą nutę pikantny kuplecik, wbiegają pędem na scenę z marsowym gestem zwycięskiego generała.

Począwszy od tej chwili byłem nowym człowiekiem; nie byłem już wnukiem swojej babki, o której miałem sobie przypomnieć aż wychodząc, ale chwilowym bratem garsonów mających nas obsługiwać.

Dawkę piwa, tym bardziej szampana, na którą w Balbec nie pozwoliłbym sobie ani w ciągu tygodnia (wówczas gdy smak tych napojów ukazywał memu jasnowidzącemu i spokojnemu sumieniu przyjemność dającą się ściśle ocenić, ale łatwą do poświęcenia), pochłaniałem w ciągu godziny, dodając do tego parę kropel porto, zbyt roztargniony, aby czuć jego smak; skrzypkowi, gdy odegrał kawalek, oddawałem dwa „ludwiki”, ciulane od miesiąca w intencji jakiegoś sprawunku, któremu już sobie nie przypominał. Garsoni pomykali pędem między stolikami, niosąc na wyprężonych dłoniach półmiski, których nieupuszczenie zdawało się celem tego wyścigu. I w istocie czekoladowe sufflety dochodziły swego przeznaczenia nieprzewrócone, kartofelki *à l'anglaise*, mimo galopu, który powinien był nimi wstrząsnąć, były ułożone jak przy wyjściu z kuchni dokoła jagnięcia *Pauillac*. Zauważyłem jednego z tych służebników: bardzo wysoki, upierzony wspaniałymi czarnymi włosami, usminkowany cerą bardziej przypominającą niektóre gatunki rzadkich ptaków niż gatunek człowieka, chłopak ten, biegając bez przerwy i można by rzec bez celu z jednego końca sali na drugi, przywodził na myśl owe papugi ara, napelniające w ogrodach zoologicznych wielkie klatki swoim gorącym kolorytem i niepojętą ruchliwością. Niebawem widowisko zorganizowało się, przynajmniej w moich oczach, szlachetniej i spokojniej. Cały ten zawrotny ruch ustalał się w spokojnej harmonii. Okrągłe stoliki, których niezliczona mnogość napelniała restaurację, zdawały mi się niby planety, takie jak je przedstawiają dawne alegoryczne obrazy. Zresztą nieodparta siła przyciągania działała między tymi gwiazdami; przy każdym stole goście wypatrywali oczy na obce stoły, wyjąwszy jakiegoś bogatego amfitriona, który, zdolawszy ściągnąć sławnego pisarza, siłił się dobywać z niego, niby mocą wirującego stolika, blahe odezwania się, pogrążające damy w zachwycie. Harmonia tych astralnych stołów nie przeszkadzała nieustannemu krążeniu niezliczonych służebników, poruszających się w wyższej sferze, ile że zamiast — jak goście — siedzieć, wciąż byli na nogach. Z pewnością jeden biegł po zakąski, nalewał wino, przynosił szklanki. Ale mimo tych poszczególnych racji, ich ustawiczny ruch między okrągłymi stolikami wylał w końcu prawo swego zawrotnego i regularnego krążenia. Siedząc za żardinierą kwiatów, dwie potworne kasjerki, pochłonięte bez końca rachunkami, były niby dwie wróżki, siłące się za pomocą astrologicznych obliczeń przewidzieć zaburzenia, jakie mogły się czasem zdarzyć na tym niebieskim sklepieniu, poczętym w duchu średniowiecznej wiedzy.

I żalowałem po trosze wszystkich gości, bo czułem, że dla nich okrągłe stoliki nie są planetami i że nie dokonali operacji duchowej, która nas wyzwala z powszedniego wyglądu rzeczy i daje nam spostrzegać analogie. Myśleli o tym, że jedzą obiad z tym czy z owym, że będzie to kosztowało mniej więcej tyle a tyle i że wrócą tu nazajutrz. I zdawali się absolutnie nieczuli na rozwijający się orszak młodych garsonów, którzy, nie mając zapewne w tej chwili pilnego zajęcia, obnosili procesjonalnie chleb w koszykach. Niektórzy z nich zbyt młodzi, ogłupiali od szturchańców, jakie im rozdawali po drodze starsi kelnerzy, wlepiali melancholijnie oczy w odległe marzenie, raźniejsi jedynie wtedy, gdy jakiś klient z hotelu w Balbec, gdzie niegdyś pracowali, poznał ich, zagadał i polecił im osobiście, aby sprzątnęli szampan „niemożliwy do picia”, co ich napępniało dumą.

Słyszałem pomruk swoich nerwów, w których była jakaś błogość niezależna od zewnętrznych zjawisk zdolnych mi jej udzielić; najłżejsze przemieszczenie mojego ciała, mojej uwagi, wystarczyło, aby mnie przejął tę błogością, jak lekki ucisk daje zamkniętym oczom wrażenie barwy. Piłem już dużo porto i jeżeli jeszcze go żądałem, to nie tyle w nadziei błogości, oczekiwanej od nowych kieliszków, ile wskutek tej, jaką mi dały poprzednie. Pozwalałem muzyce prowadzić do woli moją przyjemność ku każdej nucie, gdzie wówczas skłaniała się posłusznie. O ile — podobna w tym do owych fabryk chemicznych, dzięki którym produkuje się masowo ciała spotykane w naturze przygodnie i rzadko — restauracja w Rivebelle gromadziła naraz więcej kobiet kuszących mnie tajemną nadzieją szczęścia, niżbym ich mógł spotkać na spacerach w ciągu roku, z drugiej strony, ta muzyka — transkrypcje walców, niemieckich operetek, piosenek z *café-concert*, wszystko dla mnie nowe — była sama niby powietrzny przybytek rozkoszy, wznoszącej się nad tamtą i bardziej upajającej. Bo każdy motyw, odrębny jak kobieta, nie chował, tak jak by kobieta uczyniła, tajemnicy skrywanej rozkoszy dla kogoś uprzywilejowanego; proponował mi tę rozkosz, wabił mnie, podchodził do mnie kapryśnym lub szelmowskim krokiem, zaczepiał mnie, pieścił, jak gdybym się stał nagle ponętniejszy, potężniejszy lub bogatszy; znajdowałem w tych melodiach coś okrutnego, bo też wszelkie bezinteresowne poczucie piękna, wszelki odbłask inteligencji były im obce; dla nich istnieje tylko rozkosz fizyczna. I stają się najbardziej bezlitosnym, najbeznadziejniejszym piekłem dla nieszczęsnego zazdrośnika, ukazując mu tę rozkosz — rozkosz, jakiej ukochana kobieta kosztuje z innym — jako jedyną rzecz istniejącą w świecie dla tej, co jest dla nas całym światem.

Ale podczas gdy powtarzałem półgłosem tę melodię i oddawałem jej pocałunek, owa swoista czerpana z niej rozkosz stała mi się tak droga, że byłbym opuścił rodziców, aby iść za tym motywem w dziwny świat, jaki on budował w Niewidzialnym, w liniach na przemian omdlewających i żwawych. Taka przyjemność nie przydaje wartości człowiekowi, w którego wstąpi, jest bowiem uchwytana jedynie dla niego samego. Jeżeli się na przykład nie podobamy jakiejś kobiecie, która nas spostrzegła, kobieta ta nie wie, czy my w tej chwili odczuwamy ową wewnętrzną i subiektywną błogość, niezdolną tym samym nic zmienić w sądzie jej o nas; mimo to czułem się wspanialszy, prawie nieodparty. Zdało mi się, że moja miłość nie jest już czymś niepożądanym i śmiesznym, ale że posiada właśnie wzruszające piękno i urok tej muzyki, stwarzającej niby sympatyczne środowisko, gdzieśmy się spotkali z tą, którą kochałem, stawszy się nagle sobie bliscy.

Restaurację tę odwiedzał nie tylko półświatek, ale także ludzie najwytworniejszego świata, przychodzący na podwieczorek około piątej lub wydający tam wielkie obiady. Podwieczorek odbywał się w długiej i wąskiej oszklonej galerii w kształcie korytarza. Wiodąc od sieni do jadalni, korytarz ten miał po jednej stronie ogród, od którego dzieliło go, poza kilkoma kamiennymi filarami, jedynie otwierane tu i ówdzie oszklenie. Wynikały stąd, poza licznymi przeciągami, nagle i dorywcze wtargnięcia słońca, fantastyczne oświetlenia, niepozwalające prawie rozpoznać obecnych kobiet; kiedy tam siedziały, stłoczone po dwa stoliki w całej długości wąskiej gardzieli, mieniając się w świetle za każdym ruchem uczynionym przy picciu herbaty lub ukłonie, robiło to wrażenie zbiornika, więcierza, gdzie rybak nagromadził olśniewające ryby, które, w pół wystając z wody i skąpane w promieniach, migocą mieniając się blaskiem.

W kilka godzin później, w czasie obiadu, który oczywiście podawano w sali jadalnej, zapalano światła, choć na dworze było jeszcze jasno. Obok chorągwi majaczących w zmierzchu i wyglądających na blade widma wieczoru, widać było krzewy, których ciemną zieloność przesywały ostatnie promienie i które z oświeconej lampami jadalni

Rozkosz

widziało się za oszkleniem — już nie, jakby można rzec, jak damy spożywające o schyłku dnia podwieczorek, wzdłuż sinego i złotego korytarza, w lśniącej i wilgotnej siatce — ale jak wegetacje bladzielonego olbrzymiego akwarium o nadnaturalnym świetle. Wstawano od stołu, a o ile w czasie posiłku goście, przyglądając się sobie wzajem, rozpoznając się, pytając o nazwiska osób przy sąsiednich stolikach, pozostawali skupieni dokoła własnego stołu, siła przyciągająca, wiążąca ich do amfitriona tego wieczoru, traciła swoją moc w chwili, gdy przechodzili na kawę do galerii opustoszałej po podwieczorku. Zdarzało się często, iż w trakcie zmiany miejsca taki wędrowny obiad tracił jeden lub kilka swoich atomów, które, uległszy zbyt silnemu przyciąganiu innego obiadu, odczepiały się na chwilę od własnego stolika, gdzie zastępowali je panowie lub damy zbliżający się dla powitania przyjaciół, zanim powrócą, rzekłszy: „Muszę wracać do pana X..., jestem dziś jego gościem”. Można by rzec, dwa bukiety, wymieniające między sobą parę kwiatów.

Potem i korytarz się opróżniał. Często, kiedy nawet po obiedzie było jeszcze trochę widno, nie zapalano światła w tym długim korytarzu, który, okolony drzewami kołyszącymi się za oszkleniem, robił wrażenie alei w zadrzewionym i mrocznym ogrodzie. Czasem, po obiedzie, jakaś kobieta chroniła się tam w mroku. Pewnego wieczora, mijając korytarz i kierując się ku wyjściu, spostrzegłem tam, w nieznanym towarzystwie, piękną księżną de Luxembourg. Złożyłem ukłon bez zatrzymywania się. Poznała mnie, skinęła głową z uśmiechem; a ponad ten ukłon, jakby wydzielając się z jej gestu, wzniosło się melodyjnie kilka słów pod moim adresem, niby przedłużone trochę pozdrowienie, nie aby mnie zatrzymać, jedynie aby uzupełnić ukłon, czyniąc zeń „ukłon mówiony”. Ale słowa były tak niewyraźne, dźwięk — jedynie słyszalny — przeciągnął się tak słodko i tak muzycznie, że miałem wrażenie słowika śpiewającego w ciemnej gęstwie liści.

Czasami, chcąc dokończyć wieczoru z gromadką spotkanych przyjaciół, Saint-Loup wybierał się do kasyna na sąsiednią plażę i nim się puścił z całym towarzystwem, wsadzał mnie samego do pojazdu. Wówczas kazałem woźnicy jechać całym pędem, aby skrócić chwile spędzone bez towarzysza zdolnego dostarczyć mojej pobudliwości owych podniet, które od przybycia do Rivebelle otrzymywałem z zewnątrz, a których teraz — dając jakby kontrparę i wyrывая się z bierności, w jakiej ugrzązłem — musiałem dostarczyć sobie sam. Możliwość zahaczenia o powóz jadący w przeciwnym kierunku na dróźnie, gdzie było miejsce tylko dla jednego wehikułu i gdzie było całkiem ciemno, niepewność osuwającego się gruntu, bliskość stromego spadku ku morzu, wszystko to nie mogło ze mnie wydobyć małego wysiłku, zdolnego uprzytomnić mojej myśli pojęcie i obawę niebezpieczeństwa. Bo jak nie żądza sławy, ale nawyk pracy pozwala nam wydać dzieło, tak samo nie radość obecnej chwili, ale roztropne refleksje czerpane z przeszłości pomagają nam ubezpieczyć przyszłość. Otóż jeżeli już przybywając do Rivebelle odrzuciłem od siebie owe kule rozumowania i samokontroli, pomagające naszej niemocy iść prosto, i czułem się ofiarą jakiegoś moralnego bezwładu, alkohol, napinając szczególnie moje nerwy, dawał obecnym minutom wartość, urok, nie czyniąc mnie zdolniejszym ani nawet gorliwszym w tym, aby ich bronić; każąc mi bowiem tysiąckrotnie przekładać owe chwile nad resztę mego życia, egzaltacja moja izolowała je od niego; byłem zamknięty w teraźniejszości jak bohaterowie, jak pijacy. Przeszłość moja, chwilowo przyćmiona, nie rzuciła przede mnie swego cienia, który nazywamy przyszłością; mieszcząc cel życia już nie w ziszczeniu marzeń owej przeszłości, ale w szczęściu chwili obecnej, nie sięgałem wzrokiem dalej. Tak, iż przez sprzeczność jedynie pozorną, w chwili, kiedy doznawałem wyjątkowej przyjemności, kiedy czułem, że moje życie mogłoby być szczęśliwe, kiedy powinno było mieć w moich oczach więcej ceny, w tej właśnie chwili, zwolniony z trosk, jakie to życie mogło we mnie budzić dotąd, zdawałem je bez wahania na ryzyko wypadku. W sumie zresztą zagęściłem tylko w jednym wieczorze niedbałość rozpuszczoną w całym istnieniu innych ludzi, codziennie ryzykujących bez potrzeby podróż morską, spacer samolotem lub samochodem, kiedy ich w domu oczekuje istota, którą zmiażdżyłaby ich śmierć, lub kiedy jest jeszcze związana z kruchością ich mózgu książka, której bliskie wydanie na świat jest jedyną racją ich życia. I tak samo w czasie naszych wieczorów w Rivebelle, gdyby się nagle zjawił ktoś, aby mnie zabić, wówczas, widząc już tylko w nierealnej dali moją babkę, moje przyszłe życie i przyszłe książki, roztopiony całkowicie w zapachu kobiety siedzącej przy sąsiednim stole, w uprzejmości kelnerów, w melodii granego walca, utożsamiony z doraźnym wrażeniem, nie sięgając poza nie i nie mając innego celu niż ten, aby się

z nim nie rozłączać, skonałbym w jego uścisku, dałbym się zmasakrować bez oporu, bez ruchu, niby pszczoła odurzona tytoniowym dymem, niedbająca już o to, aby ubezpieczyć kapitał swoich nagromadzonych trudów, nadzieję swego roju.

Muszę zresztą powiedzieć, że ta nicłość, w jaką popadały najpoważniejsze rzeczy przez kontrast z siłą mojej egzaltacji, ogarniała w końcu nawet pannę Simonet i jej przyjaciółki. Sprawa ich poznania wydawała mi się teraz łatwa, lecz obojętna, bo jedynie moje doraźne wrażenie, dzięki swej niezwyklej sile, dzięki radości, jaką budziły jego najlżejsze odmiany, a nawet jego proste trwanie, miało dla mnie wagę; wszystko inne, rodzice, praca, przyjemności, dziewczęta z Balbec, ważyło nie więcej niż bryzg piany w wichrze niepozwalającym jej osiąść; istniało jedynie w stosunku do tej wewnętrznej siły. Pijaństwo realizuje na kilka godzin podmiotowy idealizm, czysty fenomenalizm; wszystko jest już tylko pozorem i istnieje jedynie w stosunku do naszego wzniesłego *ja*. To nie znaczy zresztą, aby prawdziwa miłość, o ile ją odczuwamy, nie mogła przetrwać w podobnym stanie. Ale czujemy, że — niby w nowym środowisku — nieznanne ciśnienia zmieniły wymiary tego uczucia, tak, iż nie możemy go brać tak samo. Odnajdujemy tę samą miłość, ale przemieszczoną, nie ciężącą już na nas, zadowoloną z wrażenia, jakiego jej używa terażniejszość i które nam wystarcza, bo nie troszczymy się o to, co nie jest doraźne. Na nieszczęście, współczynnik zmieniający w ten sposób wartości zmienia je tylko na tę godzinę pijaństwa. Osoby, które straciły dla nas znaczenie i na które dmuchaliśmy niby na bańki mydlane, odzyskają jutro swoją gęstość; trzeba nam będzie imać się na nowo prac, które nie znaczą już nic. Rzecz o wiele poważniejsza jeszcze: ta matematyka jutrzejsza, ta sama co wczorajsza i z której problemami przyjdzie się nam nieubłaganie zmagać, rządzi nami nawet przez te godziny, z wyjątkiem dla nas samych. Jeżeli się znajdziemy w pobliżu kobiety cnotliwej lub niechętnej, podobać się jej — rzecz tak trudna poprzedniego dnia — wydaje się nam teraz milion razy łatwiejsza, mimo iż nie łatwiejsza w niczym, bo jeżeliśmy się zmienili, to jedynie w naszych własnych oczach, w naszych własnych duchowych oczach. I ta kobieta jest w tej samej chwili równie niezadowolona z naszej poufałości, jak my będziemy markotni nazajutrz, żeśmy dali sto franków garsonowi; i to z tej samej przyczyny, która dla nas przyszła jedynie później: z trzeźwości.

Nie znałem żadnej z kobiet obecnych w Rivebelle. Przez to, że były częścią mego pijaństwa, jak odbite obrazy są częścią lustra, wydawały mi się tysiąc razy pożądalsze²⁹ niż coraz to mniej istniejąca panna Simonet. Młoda blondynka, samotna, patrząca smutno spod słomkowego kapelusza przybranego polnymi kwiatami, spojrziała na mnie chwilę z zadumaną twarzą i wydawała mi się sympatyczna. Potem przyszła kolej na drugą, potem na trzecią; w końcu na brunetkę o wspaniałej cerze.

W przeciwieństwie do mnie, Saint-Loup znał je prawie wszystkie. Zanim poznał obecną kochankę, był tak wżyty w zamknięty świat hulanków, że wśród wszystkich kobiet bywających w owe wieczory w Rivebelle (wiele z nich było tam przypadkiem, znalazłszy się nad morzem jedne dla zobaczenia się z kochankiem, drugie, aby próbować złowić kochanka), nie było bodaj żadnej, której by on nie znał, z którą by nie spędził — on lub któryś z jego przyjaciół — choćby jednej nocy. Saint-Loup nie kłaniał się im, o ile były w towarzystwie mężczyzny; one zaś, udając, że go nie znają, patrzyły nań ze szczególnym zainteresowaniem, gdyż znana jego obojętność na wszystko poza aktorką, z którą żył, dawała mu w ich oczach szczególny urok. Jedna szeptała:

— To młody Saint-Loup. Zdaje się, że on wciąż kocha swoją żdzirę. To wielka miłość. Co za śliczny chłopiec! Dla mnie on jest bajkowy: i co za szyk! Są jednak kobiety, które mają wściekle szczęście. To chłopiec szykowny we wszystkim! Znałam go dobrze, kiedy byłam z Orleanem. To byli dwaj nierozłączni. Ależ on się lumpował wtedy! Ale teraz już się skończyło; wierny jest tej kłępie. Och, ta może powiedzieć, że wygrała los. I pytam się, co on w niej może widzieć? Musi być z tym wszystkim potężny kretyn. Ona ma nogi jak czółna, amerykańskie wąsiki, a przy tym brudna! Myślę, że prosta robotnica nie chciałaby włożyć jej majtek. Popatrz tylko, co on ma za oczy, człowiek by się w ogień rzucił dla takiego chłopca. O, cicho siedź, poznał mnie, śmieje się, och! on mnie znał dobrze. Wystarczy mu wspomnieć o mnie...

²⁹pożądalszy — dziś popr.: bardziej pożądany. [przypis edytorski]

Chwytałem pomiędzy nim a nimi porozumiewawcze spojrzenia. Byłbym chciał, aby mnie Robert przedstawił tym kobietom, chciałbym je móc poprosić o schadzki; potrzeba mi było ich zgody, nawet gdybym nie miał z niej skorzystać. Bo inaczej twarz ich pozostałaby w mojej pamięci na zawsze pozbawiona owej części — tak jakby ta część była skryta zasłoną — która zmienia się u wszystkich kobiet, której nie możemy sobie wyobrazić, o ileśmy jej nie widzieli, a która objawia się jedynie w spojrzeniu przyjmującym życzliwie naszą żądę i obiecującym ją zaspokoić. A jednak nawet tak zubożona twarz ich była dla mnie czymś o wiele więcej niż twarz kobiet, o których bym wiedział, że są cnotliwe, i nie wydawała mi się jak twarz tamtych płaska, bez głębi, odrobiona z jednego kawałka. Zapewne nie była dla mnie tym, czym musiała być dla Roberta, który pod przejrystą — dla niego — obojętnością martwych rysów udających, że go nie znają, lub pod banalnością ukłonu, który mógłby być równie dobrze dla każdego innego, siłą pamięci przypominał sobie, widział, pośród zburzonych włosów spazm ust i przymknięte oczy, cały milczący obraz jak te, które malarze, myśląc oczy pospolitego widza, kryją nieraz w skromnym płótnie. Zapewne dla mnie, który czułem, że nic z mojej istoty nie wniknęło w żadną z tych kobiet i nie miało jej towarzyszyć na nieznanym drogach życia, twarze te były zamknięte. Ale dość mi już było wiedzieć, że się otwierają, aby osiągnęły w moich oczach wartość, jakiej bym w nich nie znalazł, gdyby to były jedynie piękne medale, nie zaś medaliony kryjące wspomnienia miłosne. Co się tyczy Roberta, ledwie zdolnego usiedzieć w miejscu, kryjącego pod dwornym uśmiechem żołnierską żądę czynu, patrząc nań, zdawałem sobie sprawę, jak dalece energiczny kościć jego trójkątnej twarzy musi być podobny do czaszki jego przodków, bardziej stworzony dla żarkiego łucznika niż dla subtelnego pięknoducha. Pod cienką skórą czuć było śmiałą budowę, feudalną architekturę. Głowa jego przywodziła na myśl owe baszty starożytnych warowni, których nieużywane strzelnice są jeszcze widoczne, ale które przerobiono wewnątrz na bibliotekę.

Szlachcic, Ciało

Wracając do Balbec, powtarzałem sobie bez ustanku, mimo iż niemal bezwiednie, o jakiejś z tych nieznanym, której mnie Robert przedstawił: „Cóż za rozkoszna kobieta!” — tak jak się nuci refren. Z pewnością słowa te raczej mi dyktował stan moich nerwów niż trwały sąd. Niemniej prawdą jest, że gdybym miał przy sobie tysiąc franków i gdyby o tej godzinie jubilerzy byli jeszcze otwarci, byłbym kupił nieznaną pierścionek. Kiedy godziny naszego życia rozwijają się niby zbyt rozmaite płaszczyzny, nieraz dajemy za wiele z siebie jakimś osobom, które nazajutrz wydadzą się nam obojętne. Ale czujemy się odpowiedzialni za to, cośmy im powiedzieli wczoraj, i chcemy tego dotrzymać.

Ponieważ w owe wieczory wracałem później, z przyjemnością odnajdywałem w pokoju — już nie wrogim — łóżko, w którym w dniu przybycia myślałem, że nigdy nie zdołam zasnąć i gdzie teraz moje zmęczone członki szukały oparcia; tak iż kolejno moje uda, biodra, ramiona, starały się przylgnąć wszystkimi punktami do prześcieradła pokrywającego materac, jak gdyby moje zmęczenie, podobne rzeźbiarzowi, chciało zdjąć całkowity odlew ciała ludzkiego. Ale nie mogłem zasnąć, czułem, że zbliża się ranek; spokój, zdrowie, odeszły ode mnie. Miałem rozpaczliwe uczucie, że ich już nigdy nie odnajdę. Trzeba mi było spać długo, aby je doścignąć. Otóż gdybym nawet zasnął, niezawodnie obudziłby mnie w dwie godziny później koncert symfoniczny. Naraz zasypiałem; popadałem w ten ciężki sen, w którym odsłania się nam powrót młodości, powtórzenie minionych lat, straconych uczuć, dezinkarnacja, wędrówka dusz, wywołanie umarłych, zły szaleństwa, cofanie się w najelementarniejsze królestwa przyrody. (Mówi się, że często widzimy we śnie zwierzęta; ale zapomina się prawie zawsze, że my sami jesteśmy we śnie zwierzęciem pozbawionym owego rozumu, który daje rzeczom oczywistą jasność; przeciwnie, stwarzamy we śnie jedynie wątpliwą wizję życia w każdej minucie unicestwioną zapomnieniem, ile że poprzednia rzeczywistość niknie wobec nowej, tak jak projekcja latarni magicznej ustępuje następnej, kiedy zmieniamy szybkość). Jawią się nam wszystkie owe tajemnice, których jakoby nie znamy, a które przeżywamy w istocie prawie co noc, zarówno jak wielką tajemnicę unicestwienia i zmartwychwstania. Zbalaamucone mozolnym trawieniem obiadu w Rivebelle, kolejne i wędrówne wizje mrocznych stref mojej przeszłości czyniły ze mnie istotę, dla której najwyższym szczęściem byłoby odnaleźć pana Legrandin, przed chwilą rozmawiającego ze mną we śnie.

Potem nawet własne życie skryło mi się całkowicie za nową dekoracją, ustawioną niby na samym przodzie, przed którą aktorzy dają *divertissement*, gdy za nią dokonywa się zmiany obrazu. Widowisko, w którym grałem wówczas, było w guście wschodnich bajek; nie wiedziałem w nim nic o swojej przeszłości ani o sobie, odcięty od tego wszystkiego właśnie ową dekoracją; byłem jedynie figurą biorącą kije i cierpiącą rozmaite kary za błąd, którego nie pojmowałem, ale którym był fakt wypicia za wielkiej ilości porto. Naraz budziłem się, spostrzegalem, że pod ochroną długiego snu nie słyszałem koncertu. Było już po południu; upewniłem się o tym na zegarku. Parę razy próbowałem się podnieść, co kończyło się opadnięciem na poduszki w owym chwilowym bezwładzie, jaki następuje po śnie lub innym pijaństwie, czy go daje wino, czy rekonwalescencja; zresztą zanim nawet spojrzalem na godzinę, byłem pewny, że południe minęło. Wczoraj wieczór byłem jedynie istotą wypaproszoną, bez ciężaru (ile że trzeba wprzód leżeć, aby być zdolnym usiąść, i trzeba się wyspać, aby być zdolnym milczeć), nie mogłem przestać ruszać się ani mówić, nie miałem już konsystencji, środka ciężkości, byłem rzucony w przestrzeń, zdawało mi się, że ten martwy bieg mógłby mnie nieść aż na księżyc. Otóż mimo iż we śnie oczy moje nie widziały godziny, ciało umiało ją obliczyć; zmierzyło czas nie na cyferblacie, ale przez kolejne odważenie wszystkich moich odzyskanych sił, które, niby potężny zegar, czas spuścił stopniowo z mózgu w resztę mego ciała, gdzie obecnie gromadziły się powyżej kolan nietknięty nadmiar swoich zapasów. Jeżeli prawdą jest, że morze było niegdyś naszym biologicznym środowiskiem, w którym dziś jeszcze trzeba by nam się zanurzać, aby odzyskać siły, tak samo jest z zapomnieniem, z unicestwieniem duchowym; człowiek zdaje się wówczas przez kilka godzin nieobecny w czasie; ale niezużyte siły, jakie się zgrupowały przez ten czas, mierzą go swoją ilością równie dokładnie jak wagi zegara lub osypujący się piasek w klepsydrze. Nie łatwiej jest zresztą wyrwać się z takiego snu niż z przydługiego czuwania, tak bardzo wszystkie rzeczy dążą do trwałości; i jeżeli prawdą jest, że niektóre narkotyki usypiają, długi sen jest potężniejszym jeszcze narkotykiem, po którym bardzo trudno jest się rozbudzić. Podobny majtkowi, dobrze widzącemu brzeg, gdzie ma uwiązać barkę wstrząsaną jeszcze przez fale, chciałem sprawdzić godzinę i wstać, ale sen zagarniał co chwila z powrotem moje ciało; lądowanie było trudne i zanim wstałem, aby wziąć zegarek i skonfrontować godzinę z tą, którą wskazywało bogactwo materiałów, jakimi rozporządzały moje zmęczone nogi, opadłem jeszcze parę razy na poduszkę.

W końcu ujrzałem jasno: „druga popołudniu!”. Zadzwoiłem, ale natychmiast zagarnął mnie sen, który tym razem miał być nieskończenie dłuższy, jeżeli mam o tym wnosić z wypoczynku i wizji olbrzymiej nocy, jakie budząc się zastałem. Jednakże przebudzenie to spowodowała Franciszka, której wejście sprowadził znowuż mój dzwonek. Ten nowy sen, który wydał mi się o wiele dłuższy od tamtego i dał mi tyle spokoju i zapomnienia, trwał ledwie pół minuty.

Babka otworzyła drzwi do mego pokoju, zadałem jej parę pytań dotyczących rodziny Legrandin.

Nie dość powiedzieć, że odzyskałem spokój i zdrowie, bo to, co w wilię dzieliło je ode mnie, było czymś więcej niż prostą odległością; musiałem całą noc walczyć z przeciwną falą; a potem nie tylko znalazłem się w pobliżu nich, weszły z powrotem we mnie. W ściśle określonych i jeszcze nieco bolesnych punktach mojej próżnej głowy, która pewnego dnia strzaska się, pozwalając myślom wymknąć się na zawsze, odzyskały one jeszcze raz swoje miejsce, odnalazły tę egzystencję, z której niestety dotąd nie umiały skorzystać.

Jeden raz więcej uniknąłem niemożności snu, potopu, katastrofy przypadłości nerwowych. Nie bałem się już wcale tego, co mi groziło poprzedniego dnia wieczorem, kiedy byłem wyzuty ze spoczynku. Nowe życie otwierało się przede mną; nie robiąc najmniejszego ruchu, jeszcze złamany, mimo że już wypoczęty, maskowałem radośnie swoje zmęczenie; wyosobniło ono i znużyło kości moich nóg i rąk, które czułem złożone przed sobą, gotowe połączyć się, i które miałem podnieść po prostu, śpiewając, niby ów architekt w bajce.

Naraz przypomniałem sobie młodą, melancholijną blondynkę, którą widziałem w Rivebelle i która popatrzyła na mnie przez chwilę. W ciągu wieczoru spodobało mi się wiele innych, teraz ona jedna wylonila się z głębin mej pamięci. Zdawało mi się, że mnie zauważyła; oczekiwałem, że któryś garson z Rivebelle przyniesie mi liścik od niej. Saint-Loup

nie znał jej i myślał, że to jest przyzwoita kobieta. Byłoby bardzo trudno ujrzeć ją, widywać ją bez ustanku. Ale dla tego celu byłem gotów na wszystko, myślałem już tylko o niej. Filozofia często mówi o aktach wolnych i o aktach koniecznych. Może nie ma aktu bardziej nam narzuconego niż ten, który, mocą wzbierającej siły zdławionej w czasie działania, każe, gdy raz myśl nasza znajdzie się w spoczynku, wypływać wspomnieniu zniewelowanemu z innymi przez ucisk roztargnienia i zrywać się, dlatego że bez naszej wiedzy zawierało ono jakiś szczególny urok, spostrzeżony aż po dwudziestu czterech godzinach. I może nie ma też aktu równie swobodnego, bo jest on jeszcze wyzuty z przyzwyczajenia, z tej jakby manii umysłowej, która w miłości sprzyja wyłącznemu odnawianiu obrazu pewnej osoby.

Było to właśnie nazajutrz po dniu, w którym ujrzałem defilujący nad morzem orszak młodych dziewcząt. Zapytywałem o nie gości hotelowych, bywających prawie co rok w Balbec. Nie mogli mnie objaśnić. Później fotografia wytłumaczyła mi czemu. Któż by mógł teraz poznać w nich, wyrosłych — od niedawna — z wieku, gdy człowiek zmienia się tak kompletnie, któż by mógł w nich poznać ową jeszcze zupełnie dziecinną, bezpostaciową i rozkoszną bryłę małych dziewczynek, które kilka lat wprzód widywało się siedzące w krąg na piasku dokoła namiotu; rodzaj białej i mglistej konstelacji, gdzie o ile by się rozróżniło jakąś parę bardziej błyszczących oczu, jakąś sprytną twarzyczkę, włosy blond, to jedynie po to, aby je zgubić i zatracić rychło w niewyraźnej i mlecznej mgławicy.

Bez wątpienia, w owych jeszcze tak niedawnych latach, nie wizja grupy była mętna — jak wczoraj za pierwszym zjawieniem się dziewcząt przede mną, ale sama grupa. Wówczas zbyt młode jeszcze dzieciaki znajdowały się na tym elementarnym stopniu kształtowania, kiedy osobowość nie wycisnęła jeszcze piętna na każdej twarzy. Jak owe pierwotne organizmy, w których jednostka ledwo że istnieje, raczej mieszcząc się w krzewie polipów niż w każdym z polipów, które go składają, tak one skupiły się razem. Czasem któraś przewracała swoją sąsiadkę i wówczas szalony śmiech — jedyny przejaw ich osobowego życia — wstrząsał wszystkimi naraz, zacierając, mieszając te niezdecydowane i drgające twarze w galarecie jednego migotliwego i drżącego grona. Na starej fotografii, którą miały mi dać kiedyś i którą zachowałem, dziecięca gromadka zawiera już tę samą liczbę uczestniczek co później żeński ich orszak; czuć, że już musiały tworzyć na plaży osobliwą plamę, zmuszającą, by na nie popatrzeć; ale indywidualnie można je tam rozpoznać jedynie w drodze analizy, biorąc w rachubę wszystkie możliwe za młodu przeobrażenia, aż do granicy, kiedy te zrekonstruowane kształty zaszyłyby na inną osobowość, którą również trzeba utożsamiać i której piękna twarz (wnosząc z analogii wzrostu i kręjących się włosów) mogła być niegdyś owym pomarszczonym i karłowatym grymasem, jaki przedstawiała fotografia. Dystans przebieżony w krótkim czasie przez fizyczne cechy każdej z dziewcząt czynił z tych cech kryterium bardzo mgliste; że zaś z drugiej strony zaznaczało się już to, co miały wspólnego i jakby zbiorowego, zdarzało się czasem ich najlepszym przyjaciółkom, że brały na fotografii jedną z nich za drugą; wątpliwość dało się ostatecznie przeciąć jedynie szczegółem ubioru, co do którego przynależności istniała jakaś pewność. Z owej epoki, tak różnej od dnia, gdy ujrzałem te dziewczęta na plaży — epoki tak różnej, a przecież tak bliskiej — zachowały one jeszcze śmiech — jak się o tym przekonałem wczoraj — ale śmiech niebędący już przerywanym i prawie automatycznym śmiechem dziecięctwa, spazmatycznym odprężeniem, jakie niegdyś kazało co chwilę dawać tym główkom nurka, tak jak gromadki płotek w Vivonne rozpraszały się i znikwały, aby się skupić w chwilę później; teraz, fizjonomie ich zyskały panowanie nad sobą, oczy ich wlepione były w cel, do którego dążyły; i trzeba było mego wczorajszego niezdecydowania i drżenia pierwszych wrażeń, aby pomieszać — jak to czyniła dawna ich wesołość i stara fotografia — zindywidualizowane już dziś i rozłączone człony bladego polipa.

Bez wątpienia, niejednokrotnie mijając jakieś ładne dziewczęta, obiecywałem sobie, że się je postaram odszukać. Zwykle nie zjawiały się więcej; zresztą pamięć, rychło zapominająca o ich istnieniu, niełatwo odnalazłaby ich rysy; czy nasze nie poznałyby ich może, i już przesunęły się przed nami inne dziewczęta, których nie ujrzemy również. Ale czasami — i to miało się zdarzyć z zuchwałą gromadką — przypadek sprowadza je uparcie ku nam. Wówczas wydaje się nam on piękny, bo poznajemy w nim niby jakiś początek zorganizowania, wysiłku w komponowaniu naszego życia; bez tego przypadku mogliśmy w samym początku tak snadnie zapomnieć — jak tylu innych — obrazów,

które kiedyś będziemy uważali za nasz los; on czyni nam ich wierną pamięć łatwą, nieuchronną, a niekiedy bolesną — po przerwach pozwalających mniemać, iż przestaniemy pamiętać.

Pobył Roberta dobiegał już końca. Nie odnalazłem swoich dziewcząt na plaży. Saint-Loup za krótko był popołudniu w Balbec na to, aby się móc nimi zająć i starać się z nimi zapoznać na moją intencję. Wieczorem był wolniejszy i nadal zabierał mnie często do Rivebelle. Zdarzają się w takich restauracjach, jak w ogrodach publicznych i w pociągach, ludzie o wyglądzie na pozór banalnym, a których nazwisko zdziwi nas, skoro, spytawszy o nie przypadkiem, odkryjemy, że ów obcy nie jest, jak sądziliśmy, byle kim, ale ni mniej ni więcej tylko ministrem lub księciem, o których słyszeliśmy tak często. Już parę razy w Rivebelle widzieliśmy z Robertem człowieka wysokiego wzrostu, bardzo muskularnego, o regularnych rysach, z siwiejącą brodą, o zamyślonym spojrzeniu, utkwionym pilnie w próżni. Siadał do stołu, gdy wszyscy zaczynali się rozchodzić. Jednego wieczora, kiedyśmy spytali gospodarza, kto jest ten nieznan, samotny i zapóźniony gość, odparł: „Jak to, nie znacie panowie sławnego malarza Elstira?”. Swann wspominał raz przy mnie to nazwisko, zapomniałem zupełnie z jakiej okazji; ale przeoczenie pamięci, tak jak przeoczenie członu zdania przy lekturze, stwarza często nie niepewność, ale rozkwit przedwczesnej pewności. „To przyjaciel Swanna, artysta bardzo znany, bardzo niepospolity”, rzekłem do Roberta. Natychmiast przebiegła obu nas, niby dreszcz, myśl, że Elstir jest wielkim artystą, sławnym człowiekiem; a potem, że mieszając nas z innymi gośćmi, nie domyśla się wzruszenia, w jakie nas wprawia myśl o jego talencie. Zapewne to, że on nie wie o naszym podziwie i o tym, iż znamy Swanna, nie byłoby nam tak przykre, gdybyśmy nie byli w miejscu kąpielowym. Ale tkwiąc jeszcze w wieku, gdy entuzjazm nie umie zachować milczenia, i zanurzeni w życiu, w którym incognito jest dławiącą udręką, skreśliliśmy — podpisując się nazwiskami — list, gdzie w dwóch gościach siedzących o parę kroków od niego, zdradziliśmy Elstirowi gorących wielbicieli jego talentu, przyjaciół jego bliskiego przyjaciela Swanna, i prosiliśmy, aby nam pozwolił wyrazić nasze uwielbienie. Garson zaniósł tę epistołę sławnemu człowiekowi.

Co się tyczy sławy, Elstir nie był może jeszcze wówczas tak sławny jak to utrzymywał właściciel lokalu i jak stał się zresztą w niewiele lat później. Ale był jednym z pierwszych mieszkańców tej restauracji, wówczas gdy była jeszcze rodzajem fermy, i sprowadził tam kolonię artystów (którzy zresztą wszyscy wyemigrowali, z chwilą gdy ferma, gdzie się jadało na świeżym powietrzu w skromnej altanie, stała się eleganckim zakładem; sam Elstir bywał w tej chwili w Rivebelle jedynie z powodu nieobecności żony, z którą mieszkał opodal). Ale wielki talent, nawet nie całkiem jeszcze uznany, nieodzownie ściąga jakieś objawy podziwu, które właściciel fermy mógł odgadnąć w pytaniach niejednej przejeżdżającej Angielki, chciwiej informacji co do sposobu życia Elstira, lub w ilości listów, jakie malarz otrzymywał z zagranicy. Wówczas dopiero pryncypał zauważył, że Elstir nie lubi, aby mu przeszkadzano, gdy pracuje; że wstaje w nocy, aby kazać młodemu modelowi pozować nago nad morzem, kiedy jest księżyc; i powiedział sobie, że tyle trudu nie jest stracone, ani też podziw turystów bezzasadny, kiedy poznał na obrazie Elstira drewniany krzyż stojący u wjazdu do Rivebelle.

— To ten sam — powiedział sobie zdumiony. — Są cztery kawałki drzewa! Ba! ale bo też on sumiennie pracuje.

I nie wiedział, czy mały „wschód słońca nad morzem”, który Elstir mu darował, nie jest wart krocie.

Ujrzelśmy, jak malarz czyta nasz list, kładzie go do kieszeni, je dalej, każe sobie podać rzeczy, gotuje się do wyjścia. Byliśmy tak pewni, żeśmy go urazili swoim krokiem, iż bylibyśmy pragnęli teraz (jak przedtem baliśmy się tego) wyjść niezauważeni przez artystę. Nie myśleliśmy ani chwili o tym, co by się nam powinno wydać najważniejsze, mianowicie, że nasz entuzjazm dla Elstira — o którego szczerości nie pozwolilibyśmy nikomu wątpić i na którego świadectwo moglibyśmy w istocie podać nasz oddech przerwany oczekiwaniem, nasze pragnienie zrobienia czegoś trudnego lub heroicznego dla tego genialnego człowieka — nie był, jak myśmy to sobie wyobrażali, podziwem, skoro nigdy nie widzieliśmy żadnego obrazu Elstira; nasze uczucie mogło mieć za przedmiot abstrakcję „wielkiego artysty”, nie zaś dzieło, które nam było nieznanne. Był to co najwyżej podziw w próżni, duchowa rama, sentymentalne rusztowanie zachwyty bez treści, to

znaczy coś równie nierozłącznie zrośniętego z dzieciństwem, jak pewne organy nieistniejące już u dorosłego człowieka; byliśmy jeszcze dziećmi. Tymczasem Elstir dochodził do drzwi, kiedy nagle skręcił i podszedł do nas. Przejął mnie rozkoszny strach, taki, jakiego nie byłbym odczuł w kilka lat później, ponieważ w miarę jak wiek zmniejsza zdolność odczuwania tego rodzaju wzruszeń, wyrobienie światowe odejmuje wszelką chęć wywoływania równie niezwykłych okazji.

W niewielu słowach, jakie Elstir wymienił z nami, siadając przy stole, nie odpowiedział mi ani razu, ilekroć zagadnąłem go o Swanna. Zacząłem sądzić, że go nie zna. Niemniej zaprosił mnie, abym go odwiedził w jego pracowni w Balbec. Zaproszenie to, które nie dotyczyło Roberta, zyskałem sobie przez kilka słów pozwalających malarzowi przypuszczać, że kocham sztukę. Nie osiągnęłoby tego może polecenie Swanna, gdyby Elstir żył z nim blisko (gdyż udział bezinteresownych uczuć większy jest w życiu niż się przypuszcza). Malarz rozwinął dla mnie uprzejmość, w tym samym stopniu wyższą od uprzejmości Saint-Loup, w jakim ta była wyższa od uprzejmości jakiegoś mieszczucha. Przy uprzejmości artysty dworność wielkiego pana, choćby najbardziej urocza, robi wrażenie aktorstwa, udania. Saint-Loup starał się czarować, Elstir lubił dawać, udzielać się. Wszystko, co posiadał, idee, dzieła i resztę — którą cenil o wiele mniej — oddałby z radością komuś, kto by go zrozumiał. Ale z braku znośnego towarzystwa żył samotnie, jak odludek, co ludzie światowi nazywali pozą i złym wychowaniem, władze „duchem niepewnym”, sąsiedzi bzikiem, rodzina egoizmem i pychą.

Artysta, Samotnik

I z pewnością w pierwszych czasach Elstir z zadowoleniem myślał w swojej samotności, iż za pomocą swoich dzieł zwraca się na odległość — dając im wyższe pojęcie o sobie — do tych, co go nie docenili lub urazili. Może wówczas żył samotnie nie przez obojętność, lecz przez miłość ludzi, i jak ja niegdyś wyrzekłem się Gilberty, aby się jej zjawić pewnego dnia pod wdzięczniejszą postacią, tak on przeznaczał swoje dzieło dla pewnych ludzi jako powrót do nich, w którym, nie widując jego samego, będą go kochali, podziwiali, mówili o nim. Takie wyrzeczenie się — zamknięcie się chorego, mnicha, artysty, bohatera — nie zawsze jest całkowite z początku, kiedy je postanawiamy w naszej dawnej duszy i zanim ono samo oddziała znowuż na nas. Ale jeżeli Elstir pragnął tworzyć pod kątem kilku osób, tworząc, żył dla siebie samego, z dala od społeczeństwa, któremu stał się obojętny; nawyk samotności wszczepił mu upodobanie w niej, jak się dzieje z każdą wielką rzeczą, której baliśmy się zrazu, wiedząc, że jest nie do pogodzenia z mniejszymi, do których byliśmy przywiązani i których ona nie tyle nas pozbawia, ile nas od nich odstręcza. Nim tę samotność poznamy, całą naszą troską jest wiedzieć, w jakiej mierze zdołamy ją pogodzić z pewnymi przyjemnościami, które przestają być przyjemnościami, z chwilą gdyśmy ją poznali.

Elstir niedługo rozmawiał z nami. Obiecywałem sobie zejść do jego pracowni w ciągu najbliższych dni, ale nazajutrz po tym wieczorze, kiedy towarzyszył babce na sam koniec promenady w stronę urwisk Canapville, w powrotnej drodze, na rogu jednej z uliczek wychodzących prostopadle na plażę, minęliśmy się z młodą panią, która z głową spuszczoną niby zwierzę przemocą zaganiane do obory, trzymając „kluby” do golfa, szła przed swoją władzą, prawdopodobnie swoją „Anielką” lub „Anielką” jednej z przyjaciółek, podobną do portretu *Jeffries* Hogartha, z cerą tak czerwoną, jakby jej ulubionym napojem był raczej gin niż herbata, i z czarnym przecinkiem resztki tabaki, przedłużającym wąsik siwy, ale dość obfity. Idąca przed nią panią podobna była do owej dziewczyny z małej gromadki, która pod czarnym „polo” miała roześmiane oczy na nieruchomej i pucołowatej twarzy. Otóż ta, którąśmy spotkali teraz, miała też czarne „polo”, ale zdawała mi się jeszcze ładniejsza; linia nosa była prostsza, nasada szersza i bardziej mięsista. Następnie tamta dziewczyna zdawała mi się dumna i blada, ta miała minę pogwałconego dziecka i cerę różową. Jednakże ponieważ prowadziła taki sam rower i nosiła takie same reniferowe rękawiczki, uznałem, że różnice wynikły może z perspektywy i z okoliczności; mało bowiem było prawdopodobne, aby się znalazła w Balbac druga dziewczyna o twarzy mimo wszystko tak podobnej, jednocząca te same szczegóły stroju. Rzuciła w moją stronę szybkie spojrzenie; następnego dnia, kiedy to ujrzałem na plaży małą gromadkę, a nawet później, kiedy to poznałem wszystkie składające ją dziewczęta, nigdy nie miałem zupełnej pewności, czy która z nich — nawet najpodobniejsza do niej dziewczynka z rowerem

— była ową istotą ujrzaną wieczorem na końcu plaży, na rogu ulicy, niezbyt, ale zawsze trochę, odmienną od tej, którą zauważyłem w gromadce.

Począwszy od tego popołudnia, ja, który w poprzednich dniach myślałem jedynie o „dużej”, zacząłem się interesować tą z „kubami” do golfa, przypuszczalną panną Simonet. Idąc z tamtymi, przystawała często, zmuszając przyjaciółki, które zdawały się bardzo ją szanować, do zatrzymania się również. I w ten sposób widzę ją jeszcze teraz, przystającą co chwila z oczami błyszczącymi pod swoim „polo”; widzę ją niby sylwetkę na ekranie, jaki stwarzało w oddali morze; oddzieloną ode mnie czasem, jaki upłynął od owej chwili, niby czystą i lazurową przestrzenią; pierwszy i bardzo drobny w moim wspomnieniu, upragniony, ścigany, potem zapomniany, potem odnaleziony obraz twarzy, którą od owego czasu często rzutowałem w przeszłość, aby móc sobie powiedzieć o młodej dziewczynie znajdującej się w moim pokoju: „To ona!”.

Ale najbardziej może pragnąłem znać dziewczynę z cerą geranii i zielonymi oczami. Którą bądź zresztą w danym dniu wołałbym ujrzeć, inne wystarczały i bez niej, aby mnie wzruszyć. Pragnienie moje, zwracając się raz ku tej, raz ku innej, wciąż — jak to pierwszego dnia czyniła moja mętna wizja — łączyło je, stwarzało z nich osobny światek, ożywiony wspólnym życiem, które było zresztą ich ambicją. Stając się przyjacielem jednej z nich, wszedłbym — niby wyrafinowany poganin lub skrupulatny chrześcijanin u barbarzyńców — w odmładzające społeczeństwo, w którym panowało zdrowie, nieświadomość, rozkosz, okrucieństwo, aintelektualizm i radość.

Babka, której opowiedziałem spotkanie z Elsrirem, ucieszyła się z korzyści duchowej, jaką mógłbym znaleźć w jego przyjaźni; toteż uważała za niedorzeczne i niezbyt uprzejme, że jeszcze nie złożył mu wizyty. Ale ja myślałem tylko o małej gromadce: niepewny godziny, gdy dziewczęta będą przechodziły promenadą, nie śmiałem się oddalić. Babka dziwiła się także mojej elegancji, bo nagle przypomniałem sobie o garderobie, która dotąd spoczywała w kufrze. Kładłem co dzień inne ubranie i nawet napisałem do Paryża, aby mi przysłano nowe kapelusze i krawaty.

Życie w kąpielisku takim jak Balbec wiele zyskuje na uroku, jeżeli twarz młodej dziewczyny, sprzedającej muszle, ciastka lub kwiaty, odmalowana żywymi kolorami w naszej myśli, staje się nam co rano celem owych próżniaczych i promiennych dni, jakie spędzamy na plaży. Dni te, mimo iż beczynne, są wówczas przez to właśnie żwawe jak dni pracy, zaostrome, namagnesowane, sprężone lekko ku najbliższej chwili, w której kupując babki śmietankowe, róże, amonity, będziemy się rozkoszowali kolorami rozpostartymi na kobiecej twarzy tak czysto jak na kwiecie. Ale z tymi sprzedawczyniami można bodaj rozmawiać, co nam oszczędza dorabiania — jak w obliczu portretu — wyobraźnię innych rysów poza tymi, jakie nam nastrocza proste wrażenie wzrokowe, odtwarzania ich życia, przeceniania sobie jego uroku; a zwłaszcza, właśnie dlatego że się z nimi rozmawia, można się dowiedzieć, gdzie i o jakiej godzinie można je spotkać. Nic podobnego z gromadką moich dziewcząt! Zwyczajnie były mi obce; kiedy więc w pewne dni nie widziałem ich, wówczas, nie znając przyczyn tej nieobecności, dochodziłem, czy ona jest czymś stałym, czy te dziewczęta zjawiają się tylko co drugi dzień lub w taką a taką pogodę, czy też są dni, gdy się nie zjawiają wcale. Wyobrażałem sobie zawczasu, że jestem z nimi w przyjaźni i że pytam: „Czemu was nie było wtedy a wtedy?” — „A, bo to była sobota, a w sobotę nie przychodzimy nigdy, bo...”. Gdybyż to można było tak po prostu wiedzieć, że w smutną sobotę daremnie się upierać, że można przebiegać plażę we wszystkich kierunkach, wysiadywać przed cukiernią, udawać, że się je ciastko z kremem, wstępować do handlarza osobliwości, czekać godziny kąpeli, koncertu, przyływu morza, zachodu słońca, nocy, nie ujrawszy upragnionej gromadki. Ale ów nieszczęsny dzień powtarzał się może nie jeden raz w tygodniu. Przypadał może nie koniecznie w sobotę. Może wpływały nań pewne warunki atmosferyczne, może były mu zupełnie obce. Ileż ciepłych, ale nie pogodnych — obserwacji trzeba zebrać co do nieregularnych na pozór ruchów owych nieznanych światów, nim się człowiek zdoła upewnić, że się nie dał omamić przypadkowemu zbiegowi okoliczności, że nasze przewidywania nie będą zawiedzione; nim potrafimy wyodrębnić pewne prawa tej serdecznej astronomii, nabyte ceną okrutnego doświadczenia. Przypominając sobie, że kiedyś tego dnia w tygodniu nie było ich, powiedziałem sobie, że nie przyjdą, że daremnie jest sterczeć na plaży. I właśnie spotykałem je! W zamian za to pewnego dnia, który — o ile można było wnosić, iż stałe prawa okre-

ślają powrót tych konstelacji — powinien być pomyślny, one nie przychodziły. Ale do owej pierwszej niepewności, czy je ujrzę danego dnia, przybywała inna, poważniejsza, czy je ujrzę w ogóle kiedy; ostatecznie nie wiedziałem, czy mają jechać do Ameryki, czy wracać do Paryża. To wystarczyło, abym je zaczął kochać. Jakaś osoba może się nam podobać. Ale aby rozpuścić ten smutek, to poczucie czegoś nieodwołalnego, ten ucisk serca zwiastujący miłość, trzeba ryzyka niemożliwości. I może raczej to ryzyko niż osoba jest przedmiotem, który miłość stara się trwożliwie ogarnąć. Tak działały już te wpływy, które się powtarzają w ciągu kolejnych miłości, lub bodaj odnawiały się w ciągu moich miłości. Mogą się zdarzyć (wówczas raczej w warunkach wielkiego miasta) dla jakiejś gryzетки, o której nie wiemy, kiedy ma wolny dzień i niepokoimy się, nie ujrawszy jej w bramie magazynu. Może te wzruszenia są nieoddzielne od miłości; może wszystko, co było cechą pierwszego uczucia, towarzyszy następnym siłą wspomnienia, sugestii, nawyku i poprzez kolejne fazy naszego życia daje jego rozmaitym postaciom ogólny charakter.

Chwytałem się wszystkich pozorów, aby chodzić na plażę w godzinach, gdy mam się spodziewać spotkać gromadkę dziewcząt. Spozstrzegłszy je raz podczas naszego śniadania, spóźniałem się teraz na śniadanie, czekając bez końca na plaży, czy one się nie zjawią; badając oczami lazur szyb przez ten krótki czas, który pozostawałem w jadalni; wstając na długo przed deserem, aby ich nie chybić, w razie gdyby się przechadzały o innej godzinie, i wściekając się na babkę, bezwiednie złośliwą, kiedy mi kazała zostać z sobą w porze, która mi się zdawała pomyślna. Staralem się przedłużyć horyzont, ustawiając krzesło w poprzek; jeżeli przypadkowo spostrzegłem którąkolwiek z tych dziewcząt — tak jakby one wszystkie miały jakąś wspólną istotność — miałem uczucie takie, jakbym w migotliwej i diabolicznej halucynacji widział na wprost siebie projekcję marzenia, wrogiego, a mimo to namiętnie upragnionego, które przed chwilą jeszcze istniało tylko w moim mózgu, żyjąc w nim zresztą nieustannie.

Nie kochałem żadnej z dziewcząt, kochając wszystkie; mimo to możliwość ich spotkania była w moim życiu jedynym rozkosznym czynnikiem; rodziła we mnie owe nadzieje, w których kruszyłyby się wszystkie przeszkody, nadzieje często wyradzające się we wściekłość, o ilem nie ujrzał tych dziewcząt. W tej chwili przesłaniały mi babkę; wszelka podróż byłaby mi szczęściem, gdyby mnie wiodła do miejsca, gdzie by się one znajdowały. Ich czepiała się rozkosznie moja myśl, kiedy sądziłem, że myślę o czym innym lub o niczym. Ale kiedy, nawet nie wiedząc o tym, myślałem o nich, widziałem w nich — jeszcze mniej świadomie — pagórkowate i błękitne falowanie morza, profil pochodzący nad morzem. Owo morze spodziewałem się odnaleźć, gdybym pospieszył do jakiegoś miasta, gdzie by one były. Najbardziej wyłączna miłość jakiejś osoby jest zawsze miłością czegoś innego.

Ponieważ teraz interesowałem się mocno golfem i tenisem i marnowałem sposobność patrzenia na pracę Elstira oraz rozmowy z artystą, babka, która zaliczała Elstira do największych, okazywała mi wzgardę, wynikłą, wedle mojego poczucia, z horyzontów nieco ciasnych. Doświadczyłem tego niegdyś na Polach Elizejskich i lepiej zrozumiałem to później, że kochając się w kobiecie, nasycamy ją jedynie stanem własnej duszy; tym samym ważna jest nie wartość kobiety, ale głębina tego stanu; a wzruszenia, jakie nam daje przeciętna gąska, mogą wznieść do naszej świadomości cząstki nas samych sekretniejsze, bardziej własne, odleglejsze, bardziej zasadnicze, niżby to uczyniła przyjemność rozmowy z człowiekiem niezwykłym lub nawet pełna podziwu kontemplacja jego dzieł.

Musiałem w końcu usłuchać babki, z tym większą przykrością, że Elstir mieszkał dość daleko od plaży, w jednej z najnowszych dzielnic Balbec. Upał kazał mi wsiąść do tramwaju, który przejeżdżał ulicą de la Plage. Aby sobie wyobrazić, że jestem w starożytnym królestwie Cymerejczyków, w ojczyźnie może króla Marka lub na dawnym miejscu lasu Broceliandy, starałem się nie patrzeć na tandetny przepych domów rozciągających się przede mną, między którymi willa Elstira była może najwspanialej brzydka. Wynajął ją mimo to, bo ze wszystkich, jakie były w Balbec, w niej jednej znalazł obszerną pracownię.

Wciąż nie patrząc, przebyłem ogród, gdzie był w miniaturze trawnik taki, jak u byle burżuazja w okolicy Paryża — na nim statuetka dwornego ogrodniczka, szklane kule, w których można się było przejrzeć, rabaty begonii oraz altanka, gdzie stały ogrodowe fotele koło żelaznego stołu. Ale po wszystkich tych akcesoriach nacechowanych miejską brzydota, nie zwracałem już uwagi na czekoladowe sztukaterie, kiedy mam się znaleźć

w pracowni; czułem się doskonale szczęśliwy, świadom, iż wszystkie szkice znajdujące się dokoła mnie będą mnie mogły wnieść do poetyckiego i radosnego poznania rozmaitych form, których dotąd nie wyodrębniłem z obrazu wszechrzeczy. I pracownia Elstira wydała mi się niby laboratorium jakiegoś nowego stworzenia świata, gdzie z chaosu, jakim są wszystkie rzeczy, które widzimy, artysta wydobył, malując je na rozmaitych płótnach, rozstawionych we wszystkich kierunkach, tu falę morską miazdzącą z gniewem o piasek swoją fioletową pianę, ówdzie młodego człowieka w białym flanelowym ubraniu, oparteo o pomost. Kurtka młodego człowieka i pienista fala nabrały nowej godności przez fakt że istniały nadal, mimo że pozbawione tego, co uchodziło za ich rację bytu, ile że fala nie mogła już zmoczyć, ani kurtka odziać nikogo.

W chwili gdy wszedł, twórca dawał właśnie pędzlem ostatnie dotknięcia słońcu w momencie zachodu.

Story były zapuszczone prawie ze wszystkich stron, pracownia była dość chłodna i — z wyjątkiem jednego miejsca, gdzie jasny dzień opierał o ścianę swoją lśniącą i lotną dekorację — ciemna; otwarte było jedynie małe, prostokątne, okolone kapryfolium okno, z którego poprzez rabaty kwiatów widać było aleję; tak iż atmosfera pracowni była przeważnie mroczna, przezroczysta i zwarta, ale wilgotna i błyszcząca w miejscach, gdzie wylańało ją światło, niby blok skalnego kryształu, którego jedna powierzchnia, już obrobiona i ogladzona, błyszczy tu i ówdzie jak lustro i mieni się tęczowo. Gdy Elstir na moją prośbę dalej malował, ja krążyłem w tym światłocieniu, zatrzymując się to przed jednym, to przed innym obrazem.

Płótna, które mnie otaczały, przeważnie nie należały do tych dzieł Elstira, które najbardziej byłbym pragnął widzieć, obrazów z jego pierwszej i drugiej manieri, jak mówił angielski miesięcznik artystyczny, wałęsający się na stole w salonie w Grand Hotelu; manieri mitologicznej oraz tej, w której artysta uległ wpływowi Japonii, obu cudownie reprezentowanych — jak powiadano — w zbiorach pani de Guermentes. Oczywiście to, co znajdowało się w jego pracowni, to były prawie wyłącznie pejzaże morskie, malowane tu, w Balbec. Ale mogłem poznać, że urok każdego z nich polegał na przetworzeniu rzeczywistości podobnym temu, co w poezji nazywa się metaforą, i że, o ile Bóg Ojciec stworzył rzeczy, nazywając je, Elstir stwarzał je na nowo, odejmując im nazwę lub dając inną. Nazwy oznaczające rzeczy odpowiadają zawsze jakiemuś pojęciu intelektualnemu, które jest obce naszym prawdziwym wrażeniom i każe nam eliminować z nich wszystko, co się nie łączy z owym pojęciem.

Czasami w moim oknie w hotelu w Balbec — rano, kiedy Franciszka rozsuwała opony skrywające światło, wieczorem, gdy czekał chwili wyjazdu z Robertem — zdarzało mi się, dzięki grze światła, wziąć ciemniejszą partię morza za odległy brzeg lub z radością patrzeć na błękitną i płynną strefę, nie wiedząc, czy jest morzem czy niebem. Rychło intelekt mój przywracał między elementami granicę, zmienioną moim wrażeniem. W ten sposób zdarzało mi się w Paryżu, w swoim pokoju, słyszeć kłótnie, prawie rozruchy, aż zdołałem sprowadzić ów hałas do jego przyczyny — na przykład do powozu, którego turkot się zbliżał. Wykluczałem wówczas ostre i kłótlive dźwięki, które moje ucho naprawdę słyszało, ale o których moja inteligencja wiedziała, że koła ich nie wydają. Ale dzieło Elstira było stworzone z owych rzadkich chwil, w których widzi się naturę poetycko — taką, jak jest. Jedną z jego najczęstszych metafor w widokach morza, znajdujących się w tej chwili w jego pracowni, była właśnie ta, która, porównując ziemię z morzem, usuwała między nimi wszelki przedział. To właśnie porównanie, milcząco i niestrudzenie powtarzane na tym samym płótnie, dawało mu ową wielopostaciową i potężną jedność, przyczynę — nie zawsze zresztą uświadomioną — entuzjazmu, jaki w pewnych miłośnikach budziło malarstwo Elstira.

W obrazie na przykład przedstawiającym port Carquethuit (obrazie, który skończył przed kilku dniami i któremu się długo przyglądałem), Elstir przygotował do tego rodzaju metafory umysł widza, posługując się dla miasteczka jedynie terminami morskimi, dla morza miejskimi. Czy że domy zasłaniały część portu, basen dla uszczelniania statków, czy morze wciskało się zatoką w ziemię (jak się to zdarza nieustannie w okolicach Balbec) poza wysuniętym cyplem, na którym wznosiło się miasto, ponad dachy wyrastały maszty (tak jakby to były kominy lub dzwonnice) czyniące z okrętów, do których należały, coś miejskiego, zbudowanego na łądzie. Wrażenie to pomnażały inne statki, stojące wzdłuż

grobli, ale w szeregach tak ciasnych, że ludzie rozmawiali tam z pokładu na pokład, tak iż nie można było dojrzeć odstępu między statkami ani znajdującej się między nimi wody. W ten sposób ta flotylla rybacka mniej w naszych oczach należała do morza niż na przykład kościoły w Criquebec, które w oddali, otoczone ze wszystkich stron wodą, bo widziane bez miasta, w rozpyleniu słońca i fal, zdawały się wychodzić z wód, wydmuchane z alabastru lub piany i, ujęte pasem pstrej tęczy, tworzyły nierealny i mistyczny obraz. Na pierwszym planie plaży malarz umiał przyzwyczaić nasze oczy do tego, aby nie rozróżniały stałej granicy, bezwzględnego przedziału między ziemią a oceanem. Ludzie spychający statki na morze biegli zarówno w wodzie jak po mokrym piasku, odbijającym już kadłuby statków tak jakby był wodą. Samo morze nie wznosiło się regularnie, ale naginało się do kaprysów wybrzeża, które perspektywa wycinała jeszcze bogaciej, tak iż okręt na pełnym morzu, wpół ukryty przez niedokończoną budowę arsenału, zdawał się żeglować wśród miasta; kobiety łowiące krewetki w skałach robiły wrażenie — ponieważ były otoczone wodą i przez spadek, jaki od okrężnej bariery skał obniżał plażę (z dwóch stron najbliższych ziemi) do poziomu morza — że się znajdują w grocie morskiej sklepionej łodziami i falami, otwartej i chronionej pośród wód rozstępujących się cudem.

Jeżeli cały obraz dawał wrażenie owych portów, gdzie morze wchodzi w ziemię, gdzie ziemia jest już morska, a ludność ziemnowodna, siła morskiego żywiołu buchała wszędzie; koło skał, u wejścia na molo, gdzie morze było wzburzone, z wysiłków majtków i z nachylenia łodzi, kładących się pod ostrym kątem na wprost spokojnej prostopadłości pomostu, kościoła i domów w mieście, dokąd jedni wracali, skąd drudzy jechali na połów, czuło się, że ci majtkowie kłusują ostro po wodzie niby na gorącym i chybkim zwierzęciu, którego skoki zrzuciłyby ich na ziemię, gdyby nie ich zręczność. Gromada letników wyjeżdżała wesoło w barce wstrząsanej niby kariolka; wesoły, ale uważny majtek prowadził ją jakby lejcami, dzierzył chybki żagiel, każdy trzymał się dobrze swego miejsca, aby nie zanadto ciążył z jednej strony i nie wywrócić, i tak biegło się przez rozslonecznione pola w cieniste miejsca, zjeżdżając po pochyłościach. Był to piękny poranek, mimo niedawnej burzy. I nawet czuło się jeszcze potężne kołysanie, neutralizowane piękną równowagą nieruchomych łodzi, cieszących się słońcem i chłodem, w partiach, gdzie morze było tak spokojne, że odbicia miały niemal więcej konsystencji i realności niż rozpylone działaniem słońca kadłuby statków, które perspektywa wpychała na siebie wzajem. Lub raczej nie powiedziałoby się: inne partie morza. Bo między tymi partiami było tyleż różnicy co między jedną z nich a kościołem wylaniającym się z wody i statkami za miastem. Intelkt tworzył potem wspólny żywioł z tego, co było tu czarne od resztek burzy, dalej zupełnie jednakie z niebem i równie lśniące jak ono, ówdzie tak białe od słońca, od mgły i piany, tak zbite, tak ziemne, tak otoczone domami, że przywodziło na myśl jakąś kamienistą drogę lub śniegowe pole gdzie widziało się z przerażeniem okręt wznoszący się stromo lądem, niby powóz, który pluska się, wyjeżdżając z brodu. Ale po chwili, widząc na wysokiej i nierównej powierzchni chwiejące się statki, uświadamiałem sobie, że to jest — toż samo we wszystkich tych różnych postaciach wciąż jeszcze morze.

Mimo iż powiada się słusznie, że w sztuce nie ma postępu ani odkryć (istniejących w nauce) i że każdy artysta rozpoczyna rzecz na własny rachunek, przy czym indywidualnemu wysiłkowi nie mogą pomóc ani przeszkodzić niczyje inne wysiłki, trzeba uznać, iż w miarę jak sztuka wydobywa na jaw pewne prawa, z chwilą gdy przemysł je spospolitował, dawniejsza sztuka traci wstecz nieco swojej oryginalności. Od początków kariery Elstira, poznano, jak się to mówi, „cudowne” fotografie krajobrazów i miast. Jeżeli spróbujemy sprecyzować to, co amatorzy określają w danym wypadku tym epitetem, ujrzymy, że odnosi się on zazwyczaj do jakiegoś szczególnego aspektu rzeczy znanej, różnego od tych, pod jakimi nawykliśmy tę rzecz oglądać; szczególnego, a jednak prawdziwego, i który z tej przyczyny jest podwójnie przejmujący, ponieważ nas zadziwia, wyważa z naszych przyzwyczajzeń, a zarazem każe nam wejść w siebie, przypominając jakieś wrażenie. Na przykład jedna z owych „wspaniałych” fotografii objaśni nam prawo perspektywy, ukaże nam jakąś katedrę, którą nawykliśmy oglądać pośród miasta, zdjętą, przeciwnie, ze specjalnego punktu, skąd się wyda trzydzieści razy wyższa od domów, tworząc ostrogę nad rzeką, od której jest w rzeczywistości odległa. Otóż wysiłek Elstira, aby nie pokazywać rzeczy takimi, jak wiedział, że są, ale wedle owych optycznych złudzeń, tworzących naszą pierwotną wizję, doprowadził go właśnie do tego, aby uwydatnić pewne prawa

perspektywy, bardziej uderzające wówczas, bo sztuka odsłoniła je pierwsza. Rzeka przez swoje zakręty, zatoka przez pozorne zbliżenie się raf, robiły wrażenie, jakby żłobiły pośród równiny lub pośród gór jezioro absolutnie zamknięte ze wszystkich stron. W obrazie malowanym w Balbec w skworny dzień letni, zaulek morza, zamknięty w granitowych różowych murach, zdawał się nie być morzem, zaczynającym się aż dalej. Ciągłość oceanu przypominały jedynie mewy, które wirując nad tym, co się widzowi zdawało kamieniem, wdychały, przeciwnie, wilgoć fali.

Inne prawa wylaniały się z tego samego płótna, jak lilipuci wdzięk białych żagli u stóp olbrzymich skał na błękitnym zwierciadle morza, gdzie były niby uśpione motyle; i pewne kontrasty między głębokością cieni a bladością światła. Te gry cieni, które fotografia również zbanalizowała, zainteresowały Elstira do tego stopnia, że dawniej lubował się w oddawaniu prawdziwych mirażów, gdzie zamek uwieńczony wieżą jawił się niby kolistą budowlą, wydłużająca się w wieżę na szczycie, a w dół w wieżę na wywrót, czy że niezwykła czystość pogody dawała odbijającemu się w wodzie cieniowi twardość i blask kamienia, czy że ranne mgły czyniły kamień równie mglistym jak cień. Tak samo poza morzem, za rzędem drzew, zaczynało się inne morze, zaróżowione zachodem słońca — i to było niebo. Wymyślając jak gdyby nowe ciała stałe, światło, uderzając kadłub statku, popychało go poza drugi w cieniu i układało niby stopnie kryształowych schodów powierzchnię w rzeczywistości płaską, a łamaną oświetleniem porannego morza. Rzeka przepływająca pod mostkami ujęta była z takiego punktu, że wydawała się całkiem zniekształcona; tu rozlana w jezioro, ówdzie zwężona do niteczki, gdzie indziej przerwana zaporą pagórka uwieńczonego lasem, gdzie mieszcuch idzie o zmierzchu odetchnąć wieczornym chłodem. I sam rytm tego zburzonego miasta utrwałała jedynie niezłomna prostopadłość wież, które nie biegły w górę, ale raczej — wedle ołowianki znaczącej kadencję niby w tryumfalnym marszu — zdawały się trzymać pod sobą w zawieszeniu mętniejszą masę domów spiętrzonych we mgle, wzdłuż zmiażdżonej i rozprutej rzeki. A ponieważ pierwsze prace Elstira datowały z epoki „ożywiania” krajobrazów obecnością jakiejś figury, przeto na skale lub w górach droga — owa na wpół ludzka część natury — ulegała jak rzeka lub ocean zaćmieniom perspektywy. I kiedy grzebień gór, mgła wodospadu lub morze nie pozwalały śledzić ciągłości dróżki, widocznej dla spacerującego, ale nie dla nas, mała ludzka osoba w niemodnym ubraniu, zgubiona w tej samotni, zdawała się często przystawać nad przepaścią, bo jej ścieżka tam się kończyła, podczas gdy o trzysta metrów wyżej, w tych świerkowych lasach, z roztkliwionym okiem i z uspokojonym sercem spostrzegaliśmy wąską biel jej piasku przyjaznego krokom wędrowca, gdy pośrednie zakręty skrył nam stok góry, okalając wodospad lub zatokę.

Wysiłek Elstira, aby się w obliczu rzeczywistości wyzucić ze wszystkich pojęć intelektu, był tym godniejszy podziwu przez to, że ów człowiek, który, biorąc pędzel w rękę, zdobywał się na niewiedzę, zapominał wszystkiego przez uczciwość — bo to co się wie, nie jest własne — posiadał właśnie wyjątkowo bogatą inteligencję. Kiedym mu wyznał zawód, jaki mi sprawił kościół w Balbec:

— Jak to — rzekł — zawiódł się pan na tej kruchcie! Ależ to najpiękniejsza Biblia w obrazach, jaką kiedy ludowi dane było czytać. Ta Święta Dziewica i wszystkie płaskorzeźby opowiadające jej życie to najtkliwszy, najbardziej natchniony wyraz owego długiego poematu adoracji i hołdu, jaki wieki średnie rozwinęły na chwałę Marii. I obok najdrobiazgowszej wierności w wykładzie świętych tekstów, gdyby pan wiedział, na jakie cudzy delikatności zdobył się ten stary rzeźbiarz, ile głębokich myśli, co za rozkoszna poezja! Pomysł tej wielkiej zasłony, w której aniołowie niosą ciało Dziewicy, zbyt święte, aby się go ośmielili dotknąć wprost... (Powiedziałem Elstirowi, że ten sam temat powtarza się w Saint-André-des-Champs; Elstir widział fotografie kruchty tego kościoła, ale zwrócił mi uwagę, że zapał kmiotków, którzy biegają wszyscy naraz dokoła Marii, jest czymś innym niż powaga dwóch wielkich aniołów prawie włoskich, tak wysmukłych, tak słodkich); anioł, który unosi duszę Marii, aby ją zjednoczyć z jej ciałem; gest Elżbiety w spotkaniu z Marią, gdy dotyka łona Dziewicy, podziwiając jego brzemię; i napięte ramię położnej, wzbraniającej się nie dotknąwszy uwierzyć w Niepokalane Poczęcie, i przepaska rzucona przez Dziewicę świętemu Tomaszowi jako dowód zmartwychwstania; i ta zasłona, zerwana przez Marię z łona, aby nią okryć nagość syna, po którego jednej stronie

Kościół zbiera krew, likwor Eucharystii, gdy z drugiej Synagoga, której królestwo jest skończone, ma zawiązane oczy, trzyma wpół strzaskane berło i wraz z koroną spadającą jej z głowy, upuszcza tablice dawnego Prawa; i mąż który, pomagając w godzinie Sądu Ostatecznego młodej małżonce wyjść z grobu, przykłada jej rękę do własnego serca, aby ją uspokoić i dowieść, że to serce naprawdę bije, czy to nie jest bycze jako pomysł, czy to nie fajnie wymyślone? A anioł, który zabiera słońce i księżyc, już niepotrzebne, skoro powiedziane jest, iż światło krzyża będzie siedem razy mocniejsze od światła gwiazd; i drugi anioł zanurzający rękę w kąpieli Jezusa, aby sprawdzić, czy jest dość ciepła; i ten, co wychodzi z chmur, aby włożyć koronę na czoło Dziewicy; a wszystkie te, które, wychylając się z nieba, poprzez balustradę niebiańskiej Jeruzalem podnoszą ręce z przestrachu lub radości na widok mąk potępionych i szczęścia wybranych! Bo to są wszystkie kręgi nieba, masz pan tam cały gigantyczny poemat teologiczny i symboliczny. To szalone, to boskie, to tysiąc razy wyższe od wszystkiego, co pan zobaczysz we Włoszech, gdzie zresztą ten tympan dosłownie skopiowali o wiele mniejsi rzeźbiarze. Nie było epoki, gdzie by wszyscy byli genialni; wszystko to są błagi, to by była większa heca niż złoty wiek. Facet, który wyrzeźbił tę fasadę, wierz mi pan, był równie tęgi, miał idee równie głębokie jak ci, których pan najbardziej podziwia wśród dzisiejszych artystów. Pokazałbym to panu, gdybyśmy tam poszli razem. Są tam pewne słowa z nabożeństwa na dzień Wniebowstąpienia, przetłumaczone z subtelnością, jakiej żaden Redon nie dorównał.

Kiedy mi Elstir opisywał tę rozległą niebiańską wizję, pojmowałem, że tam jest ów „gigantyczny poemat teologiczny”, ale wówczas gdy moje spragnione oczy otwarły się przed tą fasadą, nie to w niej ujrzałem. Zacząłem Elstirowi mówić o owych wielkich posągach świętych, które, stojąc jak na szczudłach, tworzą rodzaj alei.

— Ta aleja wychodzi z głębi wieków, aby dojść do Chrystusa — rzekł. — To są z jednej strony jego przodkowie wedle ducha, z drugiej królowie Judei, jego przodkowie wedle ciała. Są tam wszystkie wieki. I gdybyś pan lepiej przyjrzał się temu, co pan nazywa szczudłami, mógłbyś wymienić tych, co na nich stoją. Bo pod nogami Mojżesza poznałby pan złotego cielca, pod nogami Abrahama tryka, pod nogami Józefa biesa, doradcę żony Putyfara.

Powiedziałem również Elstirowi, że się spodziewałem znaleźć budowlę *prawie perską* i że to było z pewnością jedną z przyczyn mego zawodu.

— Ale nie — odparł — jest w tym dużo prawdy. Niektóre partie są zupełnie wschodnie; jeden kapitel tak wiernie odtwarza temat perski, że trwałość wschodnich tradycji nie wystarcza, aby to wytłumaczyć. Rzeźbiarz musiał skopiować jakąś skrzynkę przywiezioną przez żeglarzy.

I w istocie, Elstir miał mi później pokazać fotografię kapitelu, gdzie ujrzałem pożerające się smoki, jak gdyby chińskie; ale w Balbec nie zauważyłem tego fragmentu w całości budowli, niepodobnej do tego, co mi przyrzekły słowa: „kościół prawie perski”.

Rozkosze intelektualne, jakich kosztowałem w pracowni Elstira, nie przeszkadzały mi czuć ciepłego werniksu, lśniącego półmroku pokoju i poprzez obrośnięte kapryfolium okienko, na zupełnie wiejskiej ścieżce, twardej suchości ziemi spalonej od słońca, które przesłaniała jedynie przejrzystość oddalenia i cienia drzew. Ale to wszystko otaczało nas jakby bez naszej wiedzy. Nieświadoma błogość, jaką mi sprawiał ten letni dzień, zwiększyła może swoim dopływem radość wywołaną *Portem w Carquethuit*.

Myślałem, że Elstir jest skromny, ale zrozumiałem, że się omylił, widząc, jak jego twarz obleka się smutkiem, kiedy dziękując mu, rzuciłem wyraz: „sława”. Ci, którzy uważają — jak Elstir — swoje dzieła za trwałe, przyzwyczajają się mieścić je w epoce, gdy oni sami będą tylko prochem. W ten sposób pojęcie sławy, zmuszając ich do zastanowienia się nad nicością, zasmuca ich, bo jest nieodłączne od pojęcia śmierci. Odmieniłem rozmowę, aby rozproszyć tę chmurę dumnej melancholii, jaką mimo woli zasnułem jego czoło.

— Radzono mi — rzekłem, myśląc o swojej dawnej rozmowie z panem Legrandin w przedmiocie, o którym rad bym usłyszeć zdanie Elstira — aby nie jechać do Bretanii, bo to jest niezdrowe dla natury już skłonnej do marzenia.

— Ależ nie — odparł — kiedy umysł jest skłonny do marzeń, nie trzeba go od nich odsuwać, ani mu ich dawkować. Jak długo będzie pan odwracał umysł od jego marzeń, tak długo ich nie pozna; będzie pan igraszką tysiąca złud, bo nie zrozumie pan ich przyrody.

Jeżeli trochę marzenia jest niebezpieczne, lekarstwem na to jest nie mniej marzenia, ale więcej marzenia, całe marzenie. Ważne jest dokładnie poznać swoje marzenia, aby już przez nie nie cierpieć; dokonywanie pewnego rozdziału między marzeniem a życiem jest nam tak często zbawienne, że myślę, czy nie powinno by się na wszelki wypadek uprawiać go zapobiegawczo, jak pewni chirurdzy twierdzą, że aby uniknąć możliwości przyszłego zapalenia wyrostka robaczkowego, trzeba by usuwać wyrostek u wszystkich dzieci.

Przeszliśmy z Elstirem w głąb pracowni, ku oknu, przez które za ogrodem widać było wąską poprzeczną drogę, prawie ścieżkę. Podeszliśmy tam, aby odetchnąć chłodniejszym powietrzem zbliżającego się wieczoru. Sądziłem, że jestem bardzo daleko od swojej gromadki dziewcząt: poświęcając na jeden raz nadzieję ich ujrzenia, usłuchałem w końcu prośby babki i wybrałem się do Elstira. Bo człowiek nie wie, gdzie się znajduje to, czego szuka, i często unika długo miejsca, dokąd, dla innych przyczyn, wszyscy nas zapraszają. Nie podejrzewamy, że tam ujrzelibyśmy właśnie istotę, o której myślimy. Patrzałem machinalnie na ścieżkę, która biegła tuż za pracownią, ale nie należała do Elstira. Naraz zjawiła się tam, idąc szybkim krokiem, owa młoda cyklistka w swoim „polo” na czarnych włosach, spuszczone na pulchne policzki, z wesołymi i nieco natarczywymi oczami; i na tej błogosławionej ścieżce, nagle cudownej od słodkich obietnic, ujrzałem ją pod drzewami, zwracającą do Elstira przyjacielski uśmiech, tęczę łączącą dla mnie nasz ziemnowodny świat z regionami, które dotąd uważałem za niedostępne. Podeszła nawet, nie zatrzymując się, aby podać malarzowi rękę, przy czym ujrzałem, że ma pieprzyk na brodzie.

— Pan zna tę panienkę? — rzekłem do Elstira, rozumiejąc, że mógłby mnie jej przedstawić, zaprosić ją do siebie. I ta spokojna pracownia ze swoim sielskim widnokretem wypełniła się rozkosznym naddatkiem, jak zdarza się w jakimś domu, gdzie dziecko już się czuło dobrze i gdzie się dowiadyuje, że dzięki hojności, jaką mają piękne rzeczy i szlachetni ludzie w nieograniczonym mnożeniu swoich darów, czeka je co więcej wspaniały podwieczorek.

Elstir powiedział mi, że panienka nazywa się Albertyna Simonet. Nazwał mi także inne jej przyjaciółki, które mu opisałem na tyle dokładnie, że musiał je poznać. Popęniłem co do ich pozycji socjalnej błąd, ale nie w tym sensie jak zwykle w Balbec. Młodych sklepikarzy jeżdżących konno brałem tam łatwo za książąt. Tym razem przeniosłem w dwuznaczny światek panny z bogatego mieszczaństwa, z przemysłu i handlu. Był to świat, który w pierwszej chwili interesował mnie najmniej, nie mając dla mnie tajemniczości ani ludu, ani towarzystwa takiego jak Guermantów. I bez wątpienia, gdyby błyszcząca pustka życia kąpielowego nie dała im wprzód w moich olśnionych oczach uroku, którego już nie mogły stracić, nie zdołałbym może walczyć zwycięsko ze świadomością, że to są córki wielkich kupców. Mogłem tylko podziwiać, jak dalece francuskie mieszczaństwo jest cudowną pracownią najszlachetniejszej i najbardziej urozmaiconej rzeźby. Ile nieprzewidywanych typów, co za inwencja w charakterze twarzy, co za decyzja, świeżość, jasność rysów! Stare Harpagony, z których poczęły się te Diany i nimfy, zdawali mi się największymi rzeźbiarzami. Owe korektury błędu, zmiany pojęć o danej osobie odbywają się z szybkością reakcji chemicznej; tak iż zanim miałem czas zorientować się w przeobrażeniu socjalnym tych dziewcząt, już poza łobuzerskim typem pańienek, które brałem za kochanki szampionów roweru lub boksu, zakwitła myśl, że mogłyby być łatwo spowinowacone z rodziną jakiegoś znajomego rejenta. Nie bardzo wiedział, kim jest Albertyna Simonet. Ona z pewnością nie wiedziała, czym ma być kiedyś dla mnie. Nawet to nazwisko *Simonet*, które już slyszalem na plaży, gdyby mi ktoś kazał napisać, napisałbym je przez dwa „n”, nie domyślając się wagi, jaką ta rodzina przykłada do faktu posiadania tylko jednego „n”. W miarę jak zstępujemy w dół po drabinie socjalnej, snobizm czepia się błahostek, które nie są może błahsze niż cechy arystokracji, ale które, jako bardziej pokątne, prywatne, więcej nas zaskakują. Może byli jacyś Simonnet, którym się powinęła noga w interesach lub gorzej jeszcze. Faktem jest, że Simonetowie czuli się zawsze wzburzeni niby oszczerstwem, kiedy się zdwajało ich „n”. Robili wrażenie, że w to, iż są jedynymi Simonet przez jedno „n” zamiast dwóch, wkładają tyle dumy, ile jacyś Montmorency w swoje najstarsze baroństwo Francji.

Spytałem Elstira, czy te pańienki mieszkają w Balbec; odpowiedział, że niektóre tak. Willa jednej znajdowała się właśnie na samym końcu plaży, tam gdzie się zaczynają skały

Canapville. Ponieważ ta panienka była serdeczną przyjaciółką Albertyny Simonet, tym bardziej mogłem przypuszczać, że to pannę Simonet spotkałem wówczas, idąc z babką. Zapewne jest tyle tych uliczek prostopadłych do plaży, że nie mógłbym ściślej określić, która to była. Chciałoby się mieć dokładne wspomnienie, ale w samym momencie wizja była mętna. Bądź co bądź, to był konkretny pewnik, że Albertyna i owa panienka wchodząca do domu przyjaciółki były jedną i tą samą osobą. A jednak o ile niezliczone obrazy, jakich mi dostarczyła w przyszłości ciemnowłosa amatorka golfa, mimo iż tak różne od siebie, układają się na sobie (bo wiem, że wszystkie należą do niej) i o ile, idąc za nitką wspomnień, mogę, pod osłoną tej tożsamości i niby drogą wewnętrzną komunikacji, przejść wszystkie te obrazy, nie opuszczając tej samej osoby — przeciwnie, jeżeli chcę dojść aż do młodej dziewczyny, którą minąłem, idąc z babką, trzeba mi wyjść na wolne powietrze. Jestem przekonany, że to Albertynę odnajduję, tożsamą z ową młodą dziewczyną, przystającą często w gronie przyjaciółek, odcinającą się w tej przechadzce na horyzoncie morza; ale wszystkie te obrazy pozostają na zewnątrz tamtego, bo nie mogę mu nadać wstecz identyczności, jakiej nie miał dla mnie w chwili, gdy uderzył moje oczy. Wbrew wszelkim danym rachunku prawdopodobieństwa, tej dziewczyny o pulchnych policzkach, która popatrzyła na mnie tak śmiało na wylocie ulicy i która, sądzę, mogła być mnie pokochać, tej, w ścisłym znaczeniu słowa „odnaleźć”, nigdy nie odnalazłem.

Wahanie moje pomiędzy różnymi dziewczętami z małej gromadki, które wszystkie zachowały nieco zbiorowego czaru, jaki mnie zrazu wzruszył, dołączyło się również do tych przyczyn, zostawiających mi później, nawet w czasie mojej największej — mojej drugiej — miłości do Albertyny, jak gdyby okresową i bardzo krótką swobodę niekochania jej. Miłość moja — przez to że błądziła między wszystkimi przyjaciółkami, nim się skupiła ostatecznie na niej — zachowała czasami między sobą a obrazem Albertyny przestrzeń, pozwalającą jej, niby źle wyregulowanemu oświetleniu, padać na inne dziewczęta, zanim się z powrotem skupi na tamtej; związek między bólem w moim sercu a wspomnieniem Albertyny nie wydawał mi się konieczny; dałoby się go może skojarzyć z obrazem innej osoby. To mi pozwalało, na jedno mgnienie, zgasić realność, nie tylko, jak w miłości do Gilberty, zewnętrzną realność (którą miałem za stan wewnętrzny, w którym czerpałem z samego siebie swoistą właściwość, specjalny charakter osoby kochanej, wszystko, co ją czyniło nieodzowną dla mego szczęścia), ale nawet realność wewnętrzną, czysto subiektywną.

— Nie ma dnia, aby która z nich nie przechodziła koło pracowni i nie wpadła do mnie na chwilę — rzekł Elstir, przywodząc mnie do rozpaczmyśli, że gdybym go odwiedził zaraz wtedy, kiedy mnie babka do tego namawiała, byłbym prawdopodobnie od dawna poznał Albertynę.

Oddaliła się; z pracowni już jej nie było widać. Pomyślałem, że poszła się spotkać z przyjaciółkami na promenadzie. Gdybym mógł się tam znaleźć z Elstirem, zapoznałbym się z nimi. Wymyślałem tysiąc pozorów, aby malarz zechciał się przejść ze mną po plaży. Nie miałem już tego spokoju co przed zjawieniem się młodej dziewczyny w ramie okienka, tak uroczego przedtem w swoich kapryfoliach, a teraz tak pustego. Elstir sprawił mi radość zmieszaną z cierpieniem, mówiąc, że przejdzie się kawalek ze mną, ale że musi wprawdzie skończyć to, co właśnie maluje. Były to kwiaty, ale nie te, których portret wolałbym u niego zamówić niż portret jakiejś osoby, aby w objawieniu jego geniuszu poznać to, czego tak długo na próżno szukałem w nich samych: różowe głogi, bławatki, kwiaty jabłoni. Elstir, malując, rozprawiał coś o botanice, ale ja go zaledwie słuchałem; nie istniał dla mnie sam przez siebie, był już tylko nieodzownym pośrednikiem między tymi dziewczętami a mną; urok, jaki jeszcze parę chwil wprzód dawał mu jego talent, miał wartość tylko o tyle, że przydawał trochę uroku mnie samemu w oczach małej gromadki, której artysta mógł mnie przedstawić.

Kręciłem się po pracowni, czekając, aż skończy malować; brałem kolejno i oglądałem studia, przeważnie obrócone do ściany, stłoczone jedno na drugim. W ten sposób wydobyłem na światło akwarelę, która musiała sięgać o wiele dawniejszej epoki Elstira. Wprawiała mnie w owo szczególne zachwycenie, jakie wydzielają dzieła nie tylko rozkosznie wykonane, ale też o temacie tak osobliwym i powabnym, że przypisujemy mu znaczną część ich czaru, tak jakby ten czar, materialnie istniejący już w naturze, malarz potrzebował jedynie odkryć, zaobserwować i odtworzyć. Myśl, że mogą istnieć takie przedmioty,

piękne nawet poza interpretacją malarza, zadowalała w nas wrodzony i zwalczany przez rozum materializm, służąc za przeciwwagę abstrakcjom estetyki.

Akwarela ta, to był portret młodej kobiety, nieładnej, ale ciekawej w typie. Na głowie miała kapelusz dość podobny do melonika, okolony jedwabną, wiśniową wstążką; w jednej ręce — w mitenkach — miała zapalonego papierosa, gdy druga trzymała na wysokości kolana duży, ogrodowy kapelusz, prostą, słomianą zasłonę od słońca. Obok niej, na stole, wazonik pełen róż. Często — i tak było tutaj — osobliwość takich prac wynika zwłaszcza stąd, że artysta wykonał je w specjalnych warunkach, z których zrazu nie zdajemy sobie jasno sprawy, gdy na przykład niezwykła toaleta pozującej stanowi przebranie na bal kostiumowy lub gdy, przeciwnie, czerwony płaszcz starca, robiący wrażenie, że mu go narzucił kaprys malarza, jest profesorską togą lub purpurą kardynała. Dwuznaczny charakter istoty, której portret miałem przed sobą, polegał — czego nie zrozumiałem — na tym, że to była młoda aktorka z dawnej epoki, na wpół przebrana. Ale ten melonik, spod którego stroszyły się jej krótkie włosy, aksamitna kurteczka bez klap, odsłaniająca biały plastron, kazały mi się wahać co do daty mody i co do płci modela, tak iż nie wiedziałem dokładnie, com miał przed oczami — o ile nie po prostu pyszną kompozycję malarską. I przyjemność, jaką mi sprawiała, mąciła się jedynie obawą, że Elstir, przeciągając malowanie, sprawi, iż nie spotkamy młodych dziewcząt, bo słońce w okienku było już bardzo nisko.

Nic w tej akwreli nie było po prostu skonstatowanym faktem, nic nie było wymalowane dla użyteczności sytuacyjnej: kostium, bo trzeba było, aby kobieta była ubrana, wazonik jako pomieszczenie dla kwiatów. Szkło wazonika, ukochane samo przez się, robiło wrażenie, że zawiera wodę, w której kąpały się lodygi goździków, w czymś równie przejrzystym, prawie tak płynnym jak ona; strój kobiety opracował ją w sposób mający urok niezależny, bratni i — gdyby wytwory przemysłu mogły rywalizować z cudami przyrody — równie delikatny, równie soczysty w dotknięciu oczami, równie świeżo malowany jak futro kota, płatki goździka, pióra gołębia. Białość plastronu koszuli o delikatności szronu, figlarnie plisowanej w zakładki podobne dzwonom konwalii, gwieździła się jasnymi refleksami pokoju, ostrymi i subtelnie cieniowanymi niby bukiety kwiatów w hafcie bielizny. Lśniący i perłowy aksamit kurteczki miał miejscami coś zmierzwionego, szochranego i kosmatego, przywodzącego na myśl nastrzępione goździków w wazonie. Ale zwłaszcza czuło się, że Elstir, nie dbając o to, co się mogło wydać niemoralne w przebraniu młodej aktorki, dla której talent i rola były z pewnością mniej ważne niż drażniący powab mający pobudzić zużyte i znieprawione zmysły pewnych widzów, przeciwnie, położył nacisk na ten dwuznaczny charakter niby na element estetyczny, wart, aby go uwydatnić. Artysta uczynił też wszystko, aby go podkreślić. Poprzez linie twarzy, pleć aktorki gotowa była wyznać, że należy do dziewczyny będącej po trochu „chłopczycą”; ginęła, później odnajdywała się, budząc raczej ideę młodego chłopca, zniewieściałego, zepsutego i rozmarzonego; potem uciekała znowu, wciąż nieuchwytna. Wyras smutnej zadumy w oczach, przez sam swój kontrast z akcesoriami trącącymi światem hulanki i kulis, był w tym wszystkim nie najmniej niepokojący. Miało się zresztą wrażenie, że musi być sztuczny i że młoda istota, zdająca się kusić do pieszczot swoim wyzywającym kostiumem, szukała zapewne pieprzyka w tym, aby mu przydać romantyczny wyraz tajonego uczucia, niewyznanej zgrzyoty. U dołu portretu widniał napis: *Miss Sacripant*, październik 1872.

Nie mogłem wstrzymać swego podziwu.

— Och, to nic, to knot z czasu młodości, to kostium dla rewii w „Varietes”. Wszystko to jest bardzo dalekie.

— A co się stało z modelem?

Zdziwienie wywołane moimi słowami poprzedziło na twarzy Elstira obojętny i roztrągniony wyraz, jaki zapanował na niej po upływie sekundy.

— Prędko, daj mi pan to płótno — rzekł — słyszę, że żona idzie. Mimo iż młoda osoba w meloniku nie grała, ręczę panu, żadnej roli w moim życiu, nie ma potrzeby, aby się żonie miała napatoczyć przed oczy ta akwarela. Zachowałem to wyłącznie jako zabawny dokument życia teatru z owej epoki.

I zanim ukrył za sobą akwarelę, Elstir, który może jej od dawna nie widział, wlepił w nią baczne spojrzenie.

— Warto zachować samą głowę — mruknął. — Dół jest doprawdy za lichy malowany, ręce to robota uczniaka.

Byłem zrozpaczony przybyciem pani Elstir, które miało nas jeszcze opóźnić. Rama okna stała się niebawem różowa. Spacer był zupełnie stracony. Nie było już żadnej nadziei spotkania dziewcząt, tym samym nie miało znaczenia, czy pani Elstir pożegna nas prędzej czy później. Nie siedziała zresztą zbyt długo. Wydała mi się bardzo nudna; byłaby może piękna, gdyby miała dwadzieścia lat i prowadziła wołu przez *Campagna Romana*; ale jej czarne włosy białły; była pospolita bez prostoty, bo wierzyła, że uroczyste wzięcie oraz majestatyczność gestu niezbędne są dla jej posągowej piękności, której wiek odebrał zresztą wszystkie powaby. Ubrana była z największą prostotą. I wzruszające, ale dziwne było słyszeć, jak Elstir co chwila, z pełną szacunku słodyczą, tak jakby wymawianie tych słów napępniało go czcią i rozczuleniem, mówi: „Moja piękna Gabrielo!”

Później, kiedy poznał mitologiczne malarstwo Elstira, pani Elstir wypiękniała również w moich oczach. Zrozumiałem, że pewnemu idealnemu typowi, streszczonemu w pewnych liniach, w pewnych arabeskach, powtarzających się wciąż w jego dziele, że pewnemu kanonowi przyznał Elstir w istocie charakter niemal boski, skoro cały swój czas, cały wysiłek myśli, do jakiego był zdolny, słowem, całe swoje życie poświęcił trudowi lepszemu odczytywania tych linii, wierniejszego ich oddania. Ideał ów zrodził w Elstirze kult tak poważny, tak wymagający, że nie pozwalał mu nigdy być zadowolonym; to była najistotniejsza część jego samego; toteż nie mógł go sobie zobiektywizować ani czerpać zeń wzruszeń, aż do dnia, gdy go spotkał, urzeczywistniony, zaklęty w ciało kobiety, w ciało tej, która później została panią Elstir i w której mógł — rzecz możliwa jedynie wobec tego, co nie jest nami — odczuć ten ideał jako coś godnego uwielbienia, wzruszającego, boskiego. Co za odpoczynek zresztą, położyć wargi na tym Pięknie, które dotąd trzeba było z takim wysiłkiem dobywać z siebie, a które teraz, tajemniczo wcielone, ofiarowało mu się w paśmie mistycznych komunii.

W owej epoce Elstir nie miał już tej młodości, w której ziszczenia swego ideału oczekuje się jedynie od potęgi myśli. Zbliżał się do wieku, gdy człowiek liczy na satysfakcję ciała dla pobudzenia siły ducha; gdy znużenie tego ducha, skłaniając nas do materializmu — jak zmniejszona energia do możliwości biernie przejmowanych wpływów — zaczynają nam podsuwać myśl, że istnieją może pewne uprzywilejowane ciała, zawody, rytmy, ziszczające tak naturalnie nasz ideał, że nawet bez geniuszu, jedynie kopiując ruch jakiegoś ramienia, napięcie szyi, stworzymy arcydzieło. Jest to wiek, w którym lubimy pieścić spojrzeniem Piękno poza nami, blisko nas, w dywanie, w pięknym szkicu Tycjana znalezionym u antykwarza, w kochance równie pięknej jak szkic Tycjana.

Kiedy to zrozumiał, widok pani Elstir zaczął mi sprawiać przyjemność; ciało jej straciło nieco ociężałości, bom je napępniał ideał, ideał, że to jest istota niematerialna, portret Elstira. Była portretem dla mnie i dla niego z pewnością także. Dane życiowe nie istnieją dla artysty, są dlań jedynie sposobnością ujawnienia swego geniuszu. Widząc obok siebie dziesięć portretów rozmaitych osób malowanych przez Elstira, czuje się, że to są przede wszystkim Elstiry. Ale po tym przyplynie geniuszu zalewającym życie, kiedy mózg się zmęczy, niebawem równowaga mąci się i — niby rzeka, wracająca do łóżyska po ustąpieniu wielkiego przyplwy — życie odzyskuje przewagę. Otóż w czasie pierwszego okresu artysta wykrywa stopniowo prawo, formułę swego nieświadomego daru. Wie, jakie sytuacje (o ile jest powieściopisarzem), jakie widoki (o ile jest malarzem) dostarczają mu materiału, obojętnego w sobie, lecz potrzebnego do dociekań niby laboratorium lub pracownia. Wie, że stworzył arcydzieła z efektów złagodzonego światła, z wyrzutów sumienia zmieniających ideę wina, z kobiet siedzących pod drzewami lub na wpół zanurzonych w wodzie niby posągi. Przyjdzie dzień, gdy wskutek zużycia mózgu nie będzie już miał wobec tych materiałów, jakimi posługiwał się jego geniusz, siły zdobycia się na wysiłek intelektualny, niezbędny dla stworzenia dzieła; mimo to będzie dalej poszukiwał tych materiałów, szczęśliwy, gdy się znajdzie obok nich, dla duchowej rozkoszy i podniety do pracy, jakie w nim budzą; otoczy je jakimś zabobonem, tak jakby były czymś wyższym od wszystkiego innego, jak gdyby w nich się mieściła, niejako już gotowa, znaczna część dzieła sztuki. I w tej fazie artysta nie sięgnie dalej niż obcowanie ze swymi modelami, uwielbienie ich. Będzie rozmawiał bez końca z nawróconymi przestępcami, których żal i odrodzenie były tematem jego powieści; kupi domek w okolicy,

gdzie mgła tonuje światło; będzie spędzał długie godziny, patrząc na kąpiące się kobiety, będzie zbierał piękne materie. „Piękno życia” — to słowo poniekąd pozbawione znaczenia, stadium niesięgające cudu sztuki, na którym zatrzymał się niegdyś Swann; i do tego pojęcia, wskutek omdlenia twórczego ducha, miało kiedyś stopniowo ściągnąć Elstira bałwochwalstwo kształtów niegdyś dłań tak płodnych, pragnienie mniejszego wysiłku.

Dał wreszcie ostatnie dotknięcie pędzla swoim kwiatom; straciłem chwilę, przyglądając się im; nie miałem w tym żadnej zasługi, skoro wiedziałem, że dziewcząt nie będzie już na plaży. Ale gdybym nawet myślał, że są tam jeszcze i że tych kilka minut pozbawi mnie ich widoku, i tak byłbym się przyglądał przez świadomość, że Elstir bardziej się interesuje swoimi kwiatami niż tym, czy ja spotkam owe dziewczęta. Natura babki, będąca zupełnym przeciwieństwem mojego całkowitego egoizmu, odbijała się jednak w mojej naturze. W okoliczności, w jakiej ktoś obojętny, dla kogo zawsze tylko udawałem przywiązanie lub szacunek, ryzykował jedynie przykrość, gdy ja się narażałem na niebezpieczeństwo, i tak czułem się w obowiązku ubolewać nad jego przykrością jak nad czymś poważnym, a bagatelizować własne niebezpieczeństwo, dlatego żem sądził, iż w tych właśnie proporcjach rzeczy muszą się przedstawiać jemu. Aby wyrazić istotną prawdę, trzeba by nawet powiedzieć trochę więcej: nie tylko nie bolałem nad niebezpieczeństwem, na jakie sam się narażałem, ale szedłem naprzeciw niego; co się zaś tyczyło innych, starałem się, przeciwnie, oszczędzić im niebezpieczeństwa, choć bym się miał przez to na nie tym bardziej narażać. Wynika to z wielu przyczyn nieprzynoszących mi zaszczytu. Jedną jest to, że dopóki tylko rozumowałem, sądziłem, że mi przede wszystkim zależy na życiu; ale ilekroć w ciągu mojej egzystencji nękały mnie zgryzoty lub tylko niepokoje nerwowe (czasem tak dziecinne, że nie ośmieliłbym się ich przytoczyć), jeżeli zdarzyła się wówczas nieprzewidziana okoliczność, ryzyko, że mogę być zabity, troska ta była wówczas tak lekka w porównaniu z innymi, że przyjmowałem ją z ulgą graniczącą z uczuciem wesela. W ten sposób poznałem, mimo iż będąc człowiekiem najmniej odważnym w świecie, ową rzecz, która, brana rozumowo, zdawała mi się tak obca, tak niepojęta: upojenie niebezpieczeństwem. Ale choćbym nawet w chwili niebezpieczeństwa, bodaj śmiertelnego, znajdował się w okresie całkowitego spokoju i szczęścia, nie mógłbym — o ile jestem z drugą osobą — nie ochronić jej, nie wybrać niebezpiecznego miejsca dla siebie. Kiedy sporo doświadczeń przekonało mnie, że postępuję tak stale i z przyjemnością, odkryłem, z wielkim swoim wstydem, że, na wspak temu, com zawsze myślał i twierdził, jestem bardzo wrażliwy na sądy drugich. Ten rodzaj utajonej miłości własnej nie ma wszelako związku z próżnością lub pychą. To bowiem, co może zadowolić próżność lub pychę, nie sprawiłoby mi żadnej przyjemności i zawszem się tego wystrzeżał. Ale o ile mi się udawało najpilniej ukryć przed ludźmi swoje drobne przewagi, zdolne dać o mnie mniej lichy pojęcie, o tyle nigdy nie mogłem sobie odmówić przyjemności okazania tym samym ludziom, iż więcej mi zależy na tym, aby usunąć śmierć z ich drogi niż z mojej. Ponieważ pobudką tej przyjemności jest wówczas miłość własna, nie zaś cnota, uważam za bardzo naturalne, że we wszelkiej okoliczności inni ludzie postępują odmiennie. Daleki jestem od potępienia ich; uczyniłbym to może, gdyby mną powodowała idea obowiązku, którą uważałbym wówczas za równie obowiązującą dla nich jak dla siebie. Przeciwnie, mam ich za bardzo rozsądnych, że oszczędzają swoje życie, mimo iż nie mogą przeszkodzić samemu sobie w tym, aby stawiać na drugim planie swoje własne; co jest osobliwie niedorzeczne i występne od czasu, jak podejrzewam, iż życie wielu osób, których osłaniam sobą w chwili, gdy wybucha bomba, bardziej pozbawione jest wartości od mojego życia.

Zresztą w dniu owej wizyty u Elstira daleki był jeszcze czas, kiedym miał sobie uświadomić tę różnicę wartości. I nie chodziło tu o żadne niebezpieczeństwo, ale po prostu o znak zapowiedzi zgubnej miłości własnej, o to, aby nie okazać, iż do przyjemności, której tak pragnąłem, przywiązuję więcej wagi niż do przerwanej pracy akwarelisty. Elstir skończył wreszcie. I skorośmy się znaleźli na drodze, spostrzegłem — tak długie były w owej porze dni — że jest mniej późno, niż sądziłem; poszliśmy na plażę. Ileż chytrości rozwinąłem, aby przytrzymać Elstira w stronie, którą, jak przypuszczałem, dziewczęta mogły jeszcze przechodzić. Pokazując malarzowi skały dokoła nas, wyciągałem go na rozmowę o nich, aby mu dać zapomnieć o godzinie i przetrzymać go. Wydało mi się, że mamy więcej szans zdybać małą gromadkę, idącą ku krańcowi plaży.

— Chciałbym z panem zobaczyć z bliska te skały — rzekłem do Elstira, pamiętając, iż jedna z dziewcząt często chodziła w tę stronę. — A tymczasem niech pan mi mówi o Carquethuit. Och! jakże chciałbym wybrać się do Carquethuit! — dodałem, nie uświadamiając sobie, że ten tak nowy charakter objawiający się z taką siłą w Porcie Carquethuit Elstira, wyrósł może bardziej z wizji malarza niż ze specjalnych uroków tej plaży. — Od czasu jak widziałem ten obraz, to jest miejsce, które może najbardziej chciałbym ujrzeć, obok Pointe-du-Raz, co wymagałoby zresztą całej podróży.

— A przy tym, choćby to nawet było bliżej, radziłbym panu może bardziej Carquethuit — odparł Elstir. — Pointe-du-Raz jest wspaniałe, ale ostatecznie to jest wciąż to samo bretońskie lub normandzkie urwisko, które pan zna. Carquethuit to zupełnie coś innego, z tymi skałami na niskiej plaży. Nie znam we Francji nic analogicznego; to mi raczej przypomina widoki Florydy. Bardzo ciekawe i zresztą też niezmiernie dzikie. Leży między Clitourps a Nehomme, a pan wie, jak te okolice są smutne; linia plaży jest cudowna. Tutaj linia plaży jest banalna; ale tam, nie umiem panu powiedzieć, co za wdzięk, co za słodycz.

Wieczór zapadał; trzeba było wracać; odprowadzałem Elstira do jego willi, gdy nagle, na kształt Mefista wyrastającego przed Faustem, zjawilo na końcu alei — niby prosta, nie-realna i diaboliczna obiektywizacja temperamentu przeciwnego mojemu, barbarzyńskiej niemal i okrutnej witalności, z której tak wyzuta była moja niemoc, mój przerost obolałej wrażliwości i intelektualizmu — kilka plamek esencji niepodobnej do pomieszenia z żadną inną, kilka członów zoofitycznego skupienia młodych dziewcząt. Robiły wrażenie, że mnie nie widzą, ale bez wątpienia w tej samej chwili wydawały o mnie ironiczny sąd. Czując, że nasze spotkanie jest nieuniknione, że mnie Elstir zawoła, obróciłem się plecami niby kąpiący się, gdy czeka uderzenia fali; zatrzymałem się w miejscu i, pozwalając swemu znakomitemu towarzyszeni iść dalej, zostałem z tyłu, pochylając się z nagłym zainteresowaniem ku witrynie antykwarza, koło której przechodziliśmy właśnie. Byłbym dość rad okazać, że mogę myśleć o czym innym niż o tych dziewczętach, i wiedziałem już mglisto, że kiedy mnie Elstir zawoła, aby mnie przedstawić, miałbym ów pytający wzrok, wyrażający nie zdziwienie, ale chęć wyglądanania na człowieka zdziwionego — tak dalece każdy jest złym aktorem lub bliźni dobrym fizjonomistą. Czulem, że się posunę wręcz do tego, aby wskazać palcem na swoją pierś, niby z zapytaniem: „Czy mnie pan woła?” i nadbiec szybko z głową zgietą posłuszeństwem i uległością, z twarzą zimno pokrywającą niezadowolone, że mi przerwano oglądanie starych fajansów po to, by mnie przedstawić osobom, których nie pragnęłam poznać. Tymczasem patrzyłam na wystawę, oczekując chwili, gdy nazwisko moje, wywołane przez Elstira, uderzy mnie niby oczekiwana i niegroźna kula. Pewność, iż będę przedstawiony młodym dziewczętom miała za rezultat nie tylko to, że odgrywałam w stosunku do nich obojętność, ale że ją czułam naprawdę. Przyjemność poznania ich, w tej chwili nieunikniona, skurczyła się, zmalęła, wydała mi się mniejsza niż przyjemność gawędki z Robertem, obiadu z babką, wycieczek, których prawdopodobnie będę musiał poniechać, wszedłszy w stosunki z osobami mało zapewne ciekawymi historycznych pamiątek. Zadowolenie z tej znajomości zmniejszyła zresztą nie tylko bliskość, ale bezładność jej ziszczenia. Prawa równie ściśle jak prawa hydrostatyki utrzymują kolejność obrazów, jakie tworzymy w stałym porządku, zburzonym bliskością wydarzenia. Elstir miał mnie zawołać. Wcale nie w ten sposób wyobrażałam sobie często na plaży lub w swoim pokoju poznanie tych dziewcząt. To, co miało nastąpić, to było inne wydarzenie, na które nie byłem przygotowany. Nie poznawałam ani swojego pragnienia, ani jego przedmiotu; niemal żałowałam, że wyszedł z Elstirem. Ale skurczenie się przyjemności, jakiej się dawniej spodziewałam, wynikało zwłaszcza z pewności, że już mi jej nic nie zdoła wydrzeć. I przyjemność ta odzyskała, niby mocą elastycznej siły, całą swoją wysokość, kiedy przestała czuć ucisk tej pewności; kiedy, zdecydowawszy się odwrócić głowę, ujrzałem Elstira stojącego o kilka kroków dalej z dziewczętami i żegnającego się z nimi. Twarz stojącej najbliżej niego, pulchna i naświetlona spojrzeniem, podobna była do ciastka, w którym zachowano by miejsce dla odrobiny nieba. Oczy jej, nawet nieruchome, dawały wrażenie ruchliwości, jak bywa w dniu wielkiego wiatru, gdy powietrze, mimo iż niewidzialne, pozwala odczuć szybkość, z jaką pędzi na tle lazuru.

Przez chwilę spojrzenia jej skrzyżowały się z moimi, jak owe wędrownie nieba w dni burzy, gdy zbliżają się do mniejszych chmury, ocierają się o nią, dotykają jej, mijają. Ale

nie znają się i odchodzą daleko jedno od drugiego. Tak nasze spojrzenia znalazły się przez chwilę na wprost siebie, przy czym żadne z nas nie miało świadomości, ile obietnic i grózb na przyszłość zawierał znajdujący się przed nim kontynent niebieski. Jedynie w chwili gdy jej spojrzenie przeszło dokładnie pod moim, wówczas, nie zwalniając biegu, zamgliło się lekko. Tak w jasną noc, unoszony wiatrem księżyc kryje się za chmurą i gasi na chwilę swój blask, po czym wyłania się bardzo szybko. Ale już Elstir rozstał się z dziewczętami, nie przywołałszy mnie. Skręciły w boczną uliczkę, on wrócił do mnie. Wszystko przepadło.

Wspomniałem, że Albertyna wydała mi się tego dnia inna niż poprzednio i że za każdym razem miała mi się wydać inna. Ale uczulem w tej chwili, że pewne zmiany w wyglądzie, ważności, wymiarach danej istoty mogą zależeć również od zmienności pewnych stanów wciskających się między tę istotę a nas. Jednym z elementów grających w tej mierze najważniejszą rolę jest wiara (tego wieczora wiara, potem zburzenie wiary, że mam poznać Albertynę, uczyniła mi ją na przestrzeni kilku sekund prawie obojętną, potem nieskończenie cenną; w kilka lat później, wiara, a potem utrata wiary, że Albertyna jest mi wierna, spowodowały analogiczne zmiany).

Zapewne, widziałem już w Combray, jak ból rozłączenia z matką zmniejsza się lub rośnie zależnie od godzin, zależnie od tego, czym wchodził w jedną lub drugą z dwóch wielkich faz mojej wrażliwości. Ból ten był przez całe popołudnie równie niedostrzegalny jak światło księżyca, dopóki błyszczą słońce, a z zapadnięciem nocy panował sam w mojej strwożonej duszy w miejsce zatartych i świeżych wspomnień. Ale tego dnia, widząc, jak Elstir rozstaje się z dziewczętami, nie zawołałszy mnie, pojąłem, że różnice wagi, jaką mają w naszych oczach przyjemność lub zmartwienie, mogą zależeć nie tylko od tej kolejności dwóch stanów, ale od przemieszczenia niewidzialnych wierzeń, które na przykład czynią nam bardzo obojętną śmierć, gdyż topią ją w świetle nierzeczywistości i pozwalają nam w ten sposób interesować się jakimś wieczorem muzycznym, który straciłby urok, gdyby, z zapowiedzią, że mamy być gilotynowani, wiara, w której kąpie się ów wieczór, rozproszyła się nagle. Tę rolę wiary — i o tym, co prawda, wiedziało coś we mnie — zna w nas wola; ale zna ją na próżno, o ile inteligencja i wrażliwość nadal jej nie znają; te są szczerze, kiedy wierzą, że my mamy ochotę porzucić kochankę, podczas gdy sama nasza wola wie, że jesteśmy do niej przywiązani. Bo one są zaćmione wiara, że ją znów ujrzymy za chwilę. Ale niech się ta wiara rozproszy, niech się owa inteligencja i wrażliwość dowiedzą nagle, że kochanka wyjechała na zawsze, wówczas, straciwszy równowagę, stają się jak szalone, najniklejsza przyjemność urasta nieskończenie.

Są to wahania wiary, a również nicość miłości, która, preegzystująca i ruchoma, zatrzymuje się przy obrazie jakiejś kobiety jedynie dlatego, że ta kobieta jest prawie niedosiężna. Z tą chwilą mniej myślimy o kobiecie, z trudem mogąc ją sobie odtworzyć, ile o sposobach jej poznania. Rozwija się cała gradacja niepokojów i wystarcza, aby skupić naszą miłość na niej, przedmiocie tej miłości zaledwie nam znanym. Miłość staje się olbrzymia, nie wiemy, jak mało zajmuje w niej miejsca realna kobieta. I jeżeli nagle — jak w chwili gdy ujrzałem, że Elstir rozmawia z tymi dziewczętami — przestaniemy być niespokojni, przestaniemy odczuwać ucisk serca, wydaje się nam nagle, że miłość zgasa w chwili, gdy trzymamy wreszcie zdobycz, o której wartości nie dosyć myśleliśmy, ponieważ ten właśnie ucisk serca jest całą naszą miłością. Co ja znałem z Albertyny? Jeden czy dwa profile nad morzem, mniej piękne z pewnością niż profile kobiet Veronesa, które powinien bym — gdybym był posłuszny czysto estetycznym racjom — woleć od niej. A jakież mogłem mieć inne racje, skoro po zniknięciu niepokojów mogłem odnaleźć tylko te nieme profile, nie posiadałem nic innego. Od czasu jak ujrzałem Albertynę, robiłem co dnia w związku z nią tysiące refleksji, wiodłem z tym, com nazywał nią, całą wewnętrzną rozmowę, w której kazałem jej pytać, odpowiadać, myśleć, działać. W nieskończonej serii wyrojonych Albertyn następujących we mnie w ciągu godzin, Albertyna realna, ujrzana na plaży, figurowała jedynie na czele, jak „gwiazda” ukazuje się w długiej serii przedstawień teatralnych jedynie przez pierwsze wieczory. Ta Albertyna była zaledwie sylwetką; wszystko w niej ponadto było ze mnie, tak dalece w miłości wkład pochodzący od nas przeważa — biorąc choćby ilościowo — to, co pochodzi od kochanej istoty. I to jest prawda dla miłości najbardziej rzeczywistych. Bywają takie, które mogą nie tylko zrodzić się, ale trwać dokoła lada czego — nawet te, które dostały cielesnej konsekracji. Dawny nauczyciel rysunku mojej babki miał z jakiegoś pokątnego stosunku córkę. Matka

umarła wkrótce po narodzeniu dziecka, a profesor rysunku zgryzł się tym tak, że nie-
długo miał ją przeżyć. W ostatnich miesiącach jego życia babka i kilka pań z Combray
(nigdy wobec profesora nie zrobiwszy nawet aluzji do tej kobiety, z którą zresztą nie żył
oficjalnie, mając z nią tylko przelotne stosunki) chciały zabezpieczyć przyszłość dziew-
czynki w drodze zapewnienia jej dożywotniej renty. Zaproponowała to babka, niektóre
przyjaciółki opierały się trochę; czy ta dziewczynka (mówiły) jest naprawdę taka intere-
sująca, czy nawet jest córką swego rzekomego ojca; z tego rodzaju kobietami nigdy nie
można wiedzieć... W końcu zdecydowano się. Dziewczynka przyszła podziękować. Była
brzydka i tak podobna do nauczyciela rysunków, że podobieństwo to usunęło wszyst-
kie wątpliwości. Ponieważ jedyną rzeczą ładną były jej włosy, jedna z dam rzekła do ojca
dziewczynki, który ją przyprowadził: „Jakie ona ma ładne włosy”. I myśląc, że obecnie,
gdy występna kobieta umarła, a profesor był już na wpół umarły, aluzja do owej prze-
szłości, którą zawsze pomijano milczeniem, nie będzie niedyskrecją, babka dodała: „To
musi być rodzinne. Czy to jej matka miała takie ładne włosy?”. — „Nie wiem — odparł
naiwnie ojciec. — Widziałem ją tylko w kapeluszu”.

Trzeba było dogonić Elstira. Ujrzałem się w lustrze. Na domiar klęski, że mnie nie
przedstawiono dziewczętom, spostrzegłem, że krawat miałem całkiem krzywo i że spod
kapelusza wymykały mi się długie włosy, z czym mi było bardzo brzydtko. Ale i to była
szansa, że mnie widziały bodaj tak z Elstirem i że nie mogły mnie już zapomnieć; drugą
szansą było to, że na ten dzień, idąc za radą babki, włożyłem ładną kamizelkę (a mało
brakowało, abym zamiast niej włożył inną, okropną) i wziąłem najładniejszą laskę. Upra-
gniony wypadek nigdy nie spełnia się tak, jak się spodziewali; w braku korzyści,
które zdawały się nam pewne, następują inne, na któreśmy nie liczyli, wszystko się
tedy wyrównuje; a tak bardzo obawialiśmy się najgorszego, że w sumie jesteśmy skłonni
uważać, iż, biorąc ryczałtem, los był nam raczej pomyślny.

— Tak pragnąłem poznać te dziewczęta — rzekłem, podchodząc do malarza.

— Więc po cóż pan sterczy o miłą?

Te słowa wyrzekł Elstir nie dlatego, że wyrażały jego myśl, bo gdyby w istocie chciał
mnie uszczęśliwić, łatwo mógł mnie zawołać; ale może dlatego, że słyszał tego rodzaju
powiedzenia, właściwe pospolitym ludziom przyłapanym na błędzie. Nawet wielcy ludzie
są w pewnych rzeczach podobni ludziom pospolitym, czerpią zdawkowe wymówki w tym
samym repertuarze, jak chleb powszedni biorą u tego samego piekarza. A może takie
słowa, które powinny być poniekąd czytane na wywrót, skoro ich litera oznacza rzecz
przeciwną prawdzie, są nieodzownym skutkiem, negatywną grafiką odruchu?

— Śpieszyły się.

Pomyślałem, że zwłaszcza nie pozwoliły mu przywołać kogoś, kto im się wydał mało
sympatyczny; inaczej Elstir byłby to z pewnością uczynił, po tylu moich dopytywaniach
się o te dziewczęta i po moim tak widocznym zainteresowaniu.

— Mówiliśmy o Carquethuit — rzekł Elstir, zanim go pożegnałem u bramy. —
Zrobiłem mały szkic, gdzie lepiej widzi się podkowiec plaży. Obraz jest niezły, ale to co
innego. Jeżeli pan pozwoli, na pamiątkę naszej przyjaźni ofiaruję panu mój szkic — dodał.
(Odmawiając tego, czego pragniemy, ludzie darują nam chętnie co innego!)

— Bardzo bym pragnął, o ile pan ją posiada, mieć fotografię portreciku Miss Sacri-
pant. Ale co to za imię?

— To imię osobistości, którą grał oryginał portretu w idiotycznej operetce.

— Ale, proszę pana, ja zupełnie nie znam tej osoby; pan ma taką minę, jakby pan
sądził inaczej.

Elstir zamilkł.

— To przecie nie jest pani Swann przed swoim małżeństwem? — rzekłem w owym
nagłym i przypadkowym przeczuciu, na ogół dość rzadkim, ale wystarczającym później,
aby dać niejaki uzasadnienie teorii przeczucia, jeśli się zapomni wszystkich omyłek, które
by ją mogły osłabić.

Elstir nie odpowiedział. Ale to był portret Odety de Crécy. Nie chciała go mieć
u siebie dla wielu przyczyn, po części aż nazbyt oczywistych. Były i inne. Portret był
wcześniejszy od epoki, gdy Odeta, zorganizowawszy swoje rysy, uczyniła z własnej twa-
rzy i figury ową kreację, której zasadnicze linie mieli uszanować, w ciągu wielu lat, jej

fryzjerzy, krawcy, ona sama — w sposobie wzięcia, mówienia, uśmiechu, trzymania rąk, spojrzenia, myślenia. Trzeba było deprawacji nasyconego kochanka, a Swann od licznych fotografii Odety *ne varietur*, jaką była jego uroczą żonę, wolał małą fotografię, którą miał w swoim pokoju i na której widziało się, w słomkowym kapeluszu przybranym bratkami, młodą kobietę dość brzydką, z utapiowanymi włosami, o nazbyt ściągłej twarzy.

Zresztą gdyby ten portret był nie wcześniejszy, jak ulubiona fotografia Swanna, od usystematyzowania rysów Odety w nowy, majestatyczny i uroczy typ, ale gdyby był od niego późniejszy, wystarczyłoby wizji Elstira, aby ten typ zburzyć. Geniusz artysty działa na sposób owych bardzo wysokich temperatur, które mają moc rozkładania kombinacji atomów i grupowania ich wedle zupełnie odmiennego porządku, odpowiadającego innemu typowi. Cała ta sztuczna harmonia, jaką kobieta narzuciła swoim rysom i której trwałości co dnia dogląda w lustrze przed wyjściem z domu, zmieniając nachylenie kapelusza, przyczesanie, blask spojrzenia, całą tę harmonię oko wielkiego malarza niweczy w jednej sekundzie, przegrupowując rysy kobiety w sposób czyniący zadość jego własnemu kobiecemu i malarskiemu ideałowi. Zdarza się również, że począwszy od pewnego wieku, oko wielkiego badacza wszędzie znajduje elementy potrzebne do ustalenia stosunków, które go wyłącznie interesują. Jak owi robotnicy lub gracze, którzy nie robią sobie wiele kłopotu i zadowolają się tym, co im popadnie w rękę, taki artysta mógłby powiedzieć o czymkolwiek: „to mi się nada”. I tak kuzynka księżnej de Luxembourg, dumna i wyniosła piękność, zapaliwszy się do nowego w owej epoce kierunku sztuki, poprosiła największego z naturalistycznych malarzy, aby zrobił jej portret. Natychmiast oko artysty znalazło to, czego szukało wszędzie. I w miejsce wielkiej damy znalazła się na płótnie ulicznica, a za nią szeroka, pochyła, fioletowa płaszczyzna, przywodząca na myśl plac Pigalle. Ale nawet nie idąc tak daleko, nie tylko portret kobiecy, robiony przez wielkiego artystę, nie będzie się starał uczynić zadość jakimś wymaganiom kobiety — takim na przykład, które, kiedy kobieta zaczyna się starzeć, każą się jej fotografować w pozach niemal dziewczętkowatych, uwydatniających jej wciąż młodą figurę, i robią z niej jak gdyby siostrę lub nawet córkę jej córki, w potrzebie „przyrządzonej” na tę okoliczność specjalnie staro i posadzonej obok matki — ale, przeciwnie, wydobędzie ujemne cechy, które kobieta pragnie ukryć i które, jak gorączkowa zielonkawa cera, szczególnie go kuszą, ile że mają „charakter”; ale cechy te wystarczają, aby rozczarować przeciętnego widza i rozbijają mu do szczytu ideał, którego zbroję kobieta dźwigała tak dumnie i który mieścił ją w jej jedynej nienaruszalnej formie tak bardzo poza resztą i ponad resztą ludzkości. Obecnie, zdegradowana, wywłaszczona z własnego typu, w jakim królowała nietykalna, jest tylko przeciętną kobietą, w której wyższość przestaliśmy wierzyć. W tym typie tak dalece umieściliśmy nie tylko piękność jakiejś Odety, ale jej osobowość, tożsamość, że wobec portretu, który ją z niego wyzuł, gotowi jesteśmy wykrzyknąć nie tylko: „Jaka zeszpecona!”, ale: „Jaka niepodobna!”. Trudno nam uwierzyć, aby to była ona. Nie poznajemy jej. A jednak jest tam istota, którą — czujemy to — jużśmy widzieli. Ale ta istota to nie Odeta; jej twarz, ciało, wygląd, są nam dobrze znane. Przypominają nam nie tę kobietę, która nigdy się tak nie trzymała, której zwykła poza nie rysuje bynajmniej tego dziwaczного i wyzywającego arabesku, ale inne kobiety, wszystkie te, które malował Elstir i które, choćby najbardziej różne, lubił w ten sposób stawiać na wprost widza, z napiętą stopą wystającą spod spódnicy, z dużym okrągłym kapeluszem w ręce, odpowiadającym ściśle na wysokości kolana, które zasłania, owej drugiej tarczy widzianej *en face* — twarzy. Wreszcie, genialny portret nie tylko zmienia typ kobiety, jaki stworzyła jej zalotność i egoistyczne pojęcie piękna. Jeżeli portret jest dawny, nie poprzestaje na tym, że postarza oryginał na sposób fotografii, ukazując go w niemodnym stroju. Na portrecie nie tylko strój kobiety trąci myszką, ale także malarski styl artysty. Ta maniera, pierwsza maniera Elstira była najbardziej przytłaczającą metryką dla Odety, czyniąc ją nie tylko, jak jej ówczesne fotografie, młodszą siostrą głośnych kokot, ale także robiąc jej portret współczesnym licznych portretów, jakie Manet lub Whistler robili z tyłu zaginionych modeli, należących już do niepamięci lub do historii.

Te myśli, w milczeniu przetrawiane obok Elstira, gdym go odprowadzał do domu, nasunęło mi świeżo uczynione odkrycie tożsamości jego modela. Naraz to pierwsze odkrycie zrodziło we mnie drugie, bardziej jeszcze dla mnie niepokojące, dotyczące tożsamości artysty. Robił portret Odety de Crécy. Byłoby możliwe, aby ten genialny człowiek, ten

mędrzec, ten samotnik, filozof rozprawiający tak wspaniale i panujący nad każdym tematem, był owym śmiesznym bufonem, malarzem protegowanym niegdyś przez państwa Verdurin? Spytałem go, czy ich zna, czy przypadkiem nie nazywali go wówczas „panem mistrzem”. Odpowiedział, że tak, bez zakłopotania, jak gdyby chodziło o zamierzchnią już epokę jego życia. Jeżeli Elstir nie domyślał się straszliwego zawodu, jaki mi sprawił, spojrzawszy na mnie mógł go odczytać na mojej twarzy. Twarz artysty przybrała wyraz niezadowolenia. Że zaś byliśmy już prawie pod jego domem, człowiek niższy od niego inteligencją i sercem, pożegnałby mnie może po prostu sucho i potem unikałby spotkania. Ale Elstir postąpił inaczej. Był to prawdziwy mistrz; i z punktu widzenia czystej sztuki była to może jego jedyna wada, że był owym *mistrzem*; artysta bowiem, aby być całkowicie w prawdzie życia duchowego, powinien być sam i nie udzielać swego *ja* nawet swoim uczniom. Panujący nad wszelką sytuacją, czy tyczyła jego czy innych, Elstir starał się z niej wydobyć, ku nauce młodych, zawartą w niej cząstkę prawdy. Od słów tedy zdolnych pomścić jego miłość własną, wołał te, które mnie mogły pouczyć.

— Nie ma człowieka, bodaj najmędrszego — rzekł Elstir — aby w pewnej epoce młodości nie mówił rzeczy lub wręcz nie prowadził życia, których wspomnienie musi mu być przykre i które pragnąłby zatrzeć w pamięci. Ale nie powinien żałować absolutnie owej przeszłości, bo nie może być pewien, czy zostałby mędrce — w tej mierze, w jakiej to jest możliwe — gdyby nie przeszedł przez wszystkie śmieszne lub wstrętne fazy, nieodzownie poprzedzające to ostatnie wcielenie. Wiem, że są młodzi ludzie, synowie i wnukowie ludzi dystyngowanych, którym preceptorzy wszczepili od szkolnej ławki szlachetność ducha i wykwił moralny. Ci może nie potrzebują nic usunąć ze swego życia, mogliby ogłosić i podpisać wszystko, co kiedy powiedzieli; ale to są ubogie natury, pogrobownicy doktrynerów, posiadacze mądrości negatywnej i jałowej. Nie dostaje się mądrości w darze, trzeba ją odkryć samemu, po wędrówce, jakiej nikt nie może podjąć za nas ani jej nam oszczędzić, bo ona jest spojrzeniem na świat. Żywoty, które pan podziwiasz, postawy, które ci się wydają szlachetne, nie były przygotowane przez ojca ani przez preceptora; poprzedziły je początki bardzo odmienne, kształtowało je wszystko zło i wszystka banalność panujące dokoła. Wyróżniają walkę i zwycięstwo. Rozumiem, że obraz tego, czym byliśmy w pierwszej fazie, nie jest podobny do nas i jest w każdym razie niemiły. Ale nie trzeba się go zapierać, bo jest świadectwem, żeśmy naprawdę żyli, że wedle praw bytu i praw ducha, z pospolitych składników życia, z życia pracowni, z koterii artystycznych (o ile chodzi o malarza), wydobyliśmy coś, co je przerasta.

Doszedliśmy pod dom Elstira. Czulem zawód, że nie poznał owych dziewcząt z plaży. Ale ostatecznie miałem teraz możliwość odnalezienia ich w życiu; przestały być jedynie obrazem na horyzoncie — obrazem małym dającym nadzieję ponownego ujścia. Dokoła nich nie szumił już ten jak gdyby wielki wir, który nas rozdzielał i który był jedynie wyrazem pragnienia w jego nieustannej energii, ruchliwego, nagłego, karmionego wzruszeniami, jakie budziła we mnie ich niedostępność, ich zniknięcie może na zawsze. Mogłem obecnie swojemu pragnieniu dać wytchnienie, zachować je w zapasie, obok tylu innych, których urzeczywistnienie oddalałem, skorom raz wiedział, że jest możliwe.

Pożegnałem Elstira, znalazłem się sam. Wówczas nagle, mimo swojego zawodu, ujrzałem w duchu wszystkie te przypadki, których możliwości nie byłbym podejrzewał; że właśnie Elstir znał się dobrze z tymi dziewczętami; że te, co jeszcze rano były dla mnie sztafażem obrazu mającego za tło morze, widziały mnie, wiedzą, że jestem znajomym wielkiego malarza, który, świadom teraz mojej chęci poznania ich, dopomoże jej z pewnością. Wszystko to sprawiło mi przyjemność, ale ta przyjemność pozostała mi ukryta; była z rodzaju owych gości, którzy, zanim nam dadzą znać, że są, czekają, aby nas inni pożegnali, abyśmy zostali sami. Wówczas spostrzegamy ich, możemy ich wysłuchać, powiedzieć: „jestem do twoich usług”. Czasami między chwilą, w której te przyjemności wstąpiły w nas, a chwilą, gdy możemy wejść w siebie sami, upłynęło tyle godzin, widzieliśmy wśród tego tyle osób, iż obawiamy się, że one nie czekały. Ale one są cierplive, nie nużą się, i z chwilą gdy wszyscy odeszli, znajdujemy je przed sobą. Czasem my jesteśmy wówczas tak zmęczeni, iż wydaje się nam, że nie będziemy mieli w naszej omdlałej myśli dość siły, aby zachować wspomnienia, wrażenia, dla których nasze kruche *ja* jest jedynym miejscem mieszkalnym, jedynym sposobem urzeczywistnienia. I żalowałibyśmy tego, bo istnienie ma wartość jedynie prawie w dniach, gdy pył rzeczywistości miesza się z magicz-

nym piaskiem, gdy jakieś pospolite wydarzenie staje się romantycznym bodźcem. Cały przylądek niedostępnego świata wylania się wówczas z oświelenia snu i wchodzi w nasze życie — w nasze życie, gdzie niby człowiek zbudzony ze snu widzimy osoby, o których śniliśmy tak żarliwie, żeśmy sądzili, iż nie ujrzemy ich inaczej niż w marzeniu.

Ukojenie przyniesione przez obecną nadzieję poznania tych młodych dziewcząt, kiedy będę miał ochotę, było mi tym cenniejsze, ile że nie mógłbym ich śledzić w następnych dniach zaprzątniętych bliskim wyjazdem Roberta. Babka pragnęła okazać memu przyjacielowi wdzięczność za tyle uprzejmości dla nas. Powiedziałem jej, że Robert uwielbia Proudhona i podsunąłem jej myśl sprowadzenia nabytych przez nią listów tego filozofa w autografie. Saint-Loup przyszedł je obejrzeć w dniu, gdy przybyły; było to w wilię jego wyjazdu. Przeczytał je chciwie, obracając w rękę z szacunkiem każdą ćwiartkę, starając się zapamiętać każde zdanie; potem wstał, tłumaczył się przed babką, że siedział tak długo, na co usłyszał w odpowiedzi:

— Ależ nie, niech je pan weźmie, to dla pana, po to je sprowadziłam, aby je panu ofiarować.

Wówczas ogarnęła go radość, której nie mógł opanować, niby stanu fizycznego objawiającego się bez udziału woli. Zrobił się szkarłatny jak dziecko, które ukarano; wysiłki, jakie czynił (nadaremnie), aby powściągnąć miotającą nim radość, wzruszyły babkę bardziej niż wszystkie możebne podziękowania. Ale on, bojąc się, iż źle wyraził swoją wdzięczność, nazajutrz jeszcze, wychylając się z okna lokalnej kolejki, którą jechał do swego garnizonu, prosił mnie, aby go wytłumaczyć. Garnizon był w istocie bardzo niedaleko. Saint-Loup zamierzał się tam udać powozem, jak zwykł był często, kiedy miał wracać wieczorem i kiedy nie chodziło o wyjazd ostateczny. Ale tym razem musiał wyprowadzić swoje liczne bagaże pociągiem, uważał tedy za prostsze zabrać się z nimi sam, idąc w tym za radą dyrektora hotelu, który, zapytany w tej mierze, odpowiedział, że powóz czy kolejka żelazna „to jest mniej więcej dwuznaczne”. Chciał przez to powiedzieć, że to będzie równoznaczne (w sumie mniej więcej to samo, co by Franciszka określiła słowami, że „to wyjdzie na jedność”).

— Niech będzie — odparł Saint-Loup — pojedę „samowarkiem”.

Byłbym pojechał także, gdybym nie był zmęczony: chciałem odwiedzić Roberta aż do Doncières; przyrzekałem mu bodaj, że go będę odwiedzał parę razy na tydzień. Przyrzekałem mu to przez cały czas, kiedyśmy czekali na stacji w Balbec; to znaczy przez czas, kiedy maszynista czekał na swoich zapóźnionych przyjaciół, bez których nie chciał odjechać, a także orzeźwiał się w bufecie. Ponieważ Bloch — ku wielkiemu niezadowoleniu Roberta — przyszedł również na dworzec, ów, widząc, że nasz kolega słyszy, jak on mnie prosi, abym przyjeżdżał na śniadanie, na obiad, na pobyt do Doncières, powiedział mu w końcu nader zimno, tonem mającym skorygować wymuszoną uprzejmość zaproszenia i nie pozwolić, aby je Bloch wziął serio: „Jeżeli pan będzie kiedy przejeżdżał przez Doncières, a ja byłbym po południu wolny, może pan spytać o mnie w koszarach, ale nie jestem wolny prawie nigdy”. Może też Saint-Loup bał się, że sam bym nie przyjechał i myśląc, że jestem bliżej z Blochem, niż się do tego przyznaję, otwierał mi w ten sposób możliwość zabrania z sobą towarzysza podróży, „trenera”.

Bałem się, że ten ton, sposób zapraszania kogoś z równoczesną radą, aby nie przyjeżdżał, może urazić Blocha; uważałem, że Saint-Loup lepiej by uczynił, nie mówiąc nic. Ale pomyliłem się, bo po odejściu pociągu, gdyśmy szli razem do skrzyżowania alej, gdzie trzeba się było rozstać (jedna droga wiodła do hotelu, druga do willi Blochów), Bloch nie przestał mnie wypytywać, kiedy się wybieramy do Doncières, bo (powiadał) po „wszystkich uprzejmościach Roberta” byłoby „chamstwem” nie skorzystać z jego zaprosin. Byłem rad, że Bloch nie zauważył (lub też był na tyle mało urażony, aby mieć ochotę udawać, że nie zauważył) w jakim tonie, wcale nie nalegającym, ledwie że grzecznym, wyrażono zaproszenie. Byłbym wszelako pragnął oszczędzić Blochowi śmieszności pospieszenia zaraz do Doncières. Ale nie śmiałem mu udzielić rady, która musiałaby mu sprawić przykrość, uświadamiając, że Saint-Loup był nie tyle uprzejmy, ile on skwapliwy. Był nim w istocie o wiele zanadto i mimo że wszystkie tego rodzaju wady Blocha wyrównywały się znacznymi przymiotami, jakich nie mieliby znów inni, delikatniejsi, posuwał on niedelikatność aż do punktu, w którym stawała się drażniąca. Wedle niego nie powinniśmy byli czekać ani tygodnia z wyprawą do Doncières (powiadał „my”, bo sędzę, że

liczył trochę na moją obecność, jako usprawiedliwienie swojej). Przez całą drogę, przed „pałacem sportowym” ukrytym w drzewach, przed kortem tenisowym, przed domem, przed straganem z muszlami, zatrzymywał mnie, błagając, aby ustalić dzień; a kiedy tego nie uczynił, pożegnał mnie zagniewany, mówiąc: „Jak wola Waszej Miłości. Ale ja w każdym razie muszę jechać, skoro mnie Robert zaprosił”.

Saint-Loup tak się bał, że nie dość podziękował babce, iż jeszcze raz polecił mi wyrazić jej swoją wdzięczność w liście, który otrzymałem od niego na trzeci dzień z garnizonu. Na kopercie, gdzie poczta wycisnęła nazwę miasta, zdawało się ono przybiegać do mnie z oznajmieniem, że w jego murach, w koszarach kawaleryjskich Louis XVI, Robert myśli o mnie. Papier listowy miał herb Marsantes; był w nim lew, a nad nim korona parów Francji.

„Po drodze — pisał Saint-Loup — która odbyła się dobrze dzięki książce kupionej na dworcu, pióra Arvéde’a Barine (autor jest podobno Rosjaninem; wydała mi się tego napisana jak na cudzoziemca, ale prześlij mi swoją opinię, ty musisz to znać, ty studnio wiedzy, któryś czytał wszystko), oto jestem z powrotem w koszarach, w tym pospolitym życiu, gdzie niestety czuję się bardzo na wygnaniu, nie mając tego, com zostawił w Balbec; w tym życiu, gdzie nie odnajduję żadnych wspomnień przyjaźni, żadnych czarów intelektu; w życiu, którego atmosferą z pewnością pogardzasz, a które mimo to nie jest bez uroku. Wszystko mi się tu wydaje zmienione od czasu, jak stąd wyjechałem, bo tymczasem rozpoczęła się jedna z najważniejszych epok mego życia, era naszej przyjaźni. Mam nadzieję, że się nie skończy nigdy. Mówiłem o tej przyjaźni, o tobie, tylko jednej istocie, tylko mojej kochance, która zrobiła mi niespodziankę, przyjeżdżając spędzić ze mną parę godzin. Bardzo byłaby rada poznać cię i sądzę, że byście się sobie nadali, bo ona także uwielbia literaturę. Co do mnie, wciąż wracam myślą do naszych gawęd, przeżywam znów owe godziny, których nie zapomnę nigdy; aby ich kosztować pełniej, odsunąłem się od kolegów, wybornych chłopców, ale całkowicie niezdolnych tego zrozumieć. Byłbym prawie wolał pierwszego dnia wywołać te wspomnienia chwil spędzonych z tobą tylko dla siebie samego, nie pisząc do ciebie. Ale bałem się, abyś ty, umysł subtelny i serce arcywrażliwe, nie wbił sobie jakiegoś ćwieka w głowę, nie otrzymując listu, o ile w ogóle raczyłeś zniżyć swoją myśl ku prostakowi kawalerzyście, z którym będziesz miał wiele kłopotu, aby go okrzesać i uczynić subtelniejszym i godniejszym ciebie”.

W gruncie ten list bardzo przypominał swoją czułością te, których oczekiwałem od Roberta, kiedy go nie znałem jeszcze; w owych marzeniach, z których wyrwał mnie chłód pierwszego spotkania, stawiając mnie wobec lodowatej rzeczywistości, niemającej być ostateczną. Odkąd dostałem pierwszy list, za każdym razem, kiedy w porze śniadania przynoszono pocztę, poznawałem natychmiast list od niego, bo miał zawsze ową drugą twarz, jaką ukazuje dana istota, kiedy jest nieobecna. I nie ma powodu nie wierzyć, że w jej rysach (charakter pisma) chwytam duszę indywidualną równie dobrze jak w linii nosa lub barwie głosu.

Siedziałem teraz chętnie przy stole, podczas gdy sprzątano, i — o ile to nie był moment, w którym mogła przechodzić gromadka moich dziewcząt — już nie patrzałem wyłącznie w stronę morza. Starłem się odnaleźć w rzeczywistości to, co widziałem na akwarelach Elstira, lubiłem to jak coś poetycznego; niedbały gest porzuconych nożów, wyducie zmiętej serwety, w którą słońce wszywa kawałek żółtego aksamitu, niedopity kieliszek, lepiej ukazujący w ten sposób szlachetną falistość swoich kształtów, a na dnie jego witrażu, przejrzystego i podobnego do zagełszczenia dnia, resztkę wina ciemnego, ale migocącego światłem. Zajmowało mnie przekształcanie się brył, przeobrażenie płynów pod wpływem oświetlenia, skażenie śliwek przechodzących z zielonego w niebieskie i z niebieskiego w złote w na wpół już wypróżnionym kloszu; wędrówkę starych krzesłek, dwa razy dziennie zajmujących miejsce dokoła obrusa zasłanego na stole niby na ołtarzu, gdzie się święci święto łakomstwa i gdzie w skorupach ostrzeg parę kropel oczyszczającej wody pozostało niby w kamiennych kropielnicach. Starłem się znaleźć piękno tam, gdzie nigdy sobie nie wyobrażałem jego obecności, w rzeczach najbardziej użytkowych, w głębokim życiu „martwej natury”.

Kiedy w kilka dni po wyjeździe Roberta, zdołałem uzyskać to, by Elstir wyprawił mały podwieczorek, gdzie bym mógł spotkać Albertynę, żalowałem wdzięku i wytworności — bardzo nietrwałych — jakie podziwiano we mnie w chwili, gdy opuszczał Grand-Hotel

(a zawdzięczałem je dłuższemu spoczynkowi oraz specjalnym staraniom toaletowym); żalowałem, że nie mogę ich zachować (jak również względów Elstira) na podbój innej jakiej osoby, bardziej interesującej; żalowałem, że zużywam to wszystko na prostą przyjemność poznania Albertyny. Od czasu jak ta przyjemność była pewna, intelekt mój szacował ją bardzo nisko. Ale wola nie podzielała we mnie ani na chwilę tego złudzenia; wola, będąca wytrwałym i niezmiennym sługą naszych kolejnych osobowości; ukryta w cieniu, pogardzana, niestrudzenie wierna, wciąż starająca się — bez troski o odmiany naszego *ja* — aby mu nigdy nie brakło tego, co niezbędne. I tak w chwili, gdy ma się ziszczyć upragniona podróż, podczas gdy inteligencja i wrażliwość zaczynają się pytać, czy w istocie ta podróż warta jest naszego trudu, wola, świadoma, iż gdyby się ta podróż okazała niemożliwą, owi gnuśni panowie natychmiast zaczęliby widzieć w niej wszystkie uroki — wola pozwala im rozprawiać przed dworcem i piętrzyć wątpliwości, ale zajmuje się kupnem biletów i wsadza nas do wagonu we właściwej chwili. Jest równie niezmienna, jak inteligencja i wrażliwość są zmienne; że jednak jest milcząca i nie przytacza swoich argumentów, wydaje się prawie nieistniejąca; inne części naszego *ja* posłuszne są stanowczej decyzji owej woli, ale nie dostrzegając jej, podczas gdy rozróżniają wyraźnie własne niepewności. Moja wrażliwość i inteligencja urządziły tedy dyskusję nad wartością rozkoszy, jaką byłoby poznanie Albertyny, podczas gdy oglądałem w lustrze *czcze* i *kruche* powaby, które one byłyby chciały zachować na inną sposobność. Ale wola nie pozwoliła przegapić godziny, gdy trzeba było jechać; ona to dała woźnicy adres Elstira. Skoro kości były już rzucone, inteligencja i wrażliwość miały wszelką swobodę uważać, że szkoda fatygi. Gdyby moja wola podała inny adres, ładnie byłyby wpadły!

Kiedy z małym opóźnieniem przybyłem do Elstira, zdawało mi się zrazu, że panny Simonet nie ma w pracowni. Siedziała tam wprawdzie młoda dziewczyna w jedwabnej sukni, z gołą głową, ale nie znałem ani jej wspaniałych włosów, ani nosa, ani tej cery i nie odnajdywałem w niej istności, jaką wydobyłem z młodej cyklistki przechadzającej się nad morzem w polo na głowie. A jednak była to Albertyna. Ale nawet kiedy już wiedział o tym, nie zajmowałem się nią. Wchodząc na wszelką zabawę, młody człowiek umiera dla samego siebie, staje się innym człowiekiem, każdy bowiem salon jest nowym światem, gdzie, podlegając prawom innej perspektywy duchowej, skupiamy swoją uwagę — tak jakby to wszystko miało być ważne na wieki — na osobach, na tańcach, na partiach kart, o których zapomnimy nazajutrz. Aby dotrzeć do rozmowy z Albertyną, trzeba mi było iść bynajmniej nie przeze mnie wytyczoną drogą, zatrzymującą się najpierw przy Elstirze, wiodącą przez inne grupy gości, którym mnie przedstawiano, potem koło bufetu, gdzie mnie częstowano i gdzie jadł ciastka z truskawkami; potem przystanąłem, aby posłuchać jakiejś muzyki i przyznawałem wszystkim tym epizodom tę samą ważność, co aktowi mojej prezentacji pannie Simonet. Była już tylko epizodem jednym z wielu; całkowicie zapomniałem, że kilka minut wprzód była jedynym celem mego przybycia.

Czyż nie jest tak zresztą w życiu z naszym prawdziwym szczęściem, z wielkimi nieszczęściami? Będąc w towarzystwie, otrzymujemy od przedmiotu naszej miłości przychylną lub zabójczą odpowiedź, której oczekiwaliśmy od roku. Ale trzeba dalej rozmawiać, myśli gromadzą się, tworząc powierzchnię, spod której ledwie od czasu do czasu wylania się głucho o ileż głębsze, lecz bardzo ciasne wspomnienie tego, że spadło na nas nieszczęście. Jeżeli zamiast nieszczęścia przyjdzie szczęście, może się zdarzyć, że aż w wiele lat później przypominamy sobie, iż największe wydarzenie naszego sercowego życia — przy czym nie mieliśmy czasu użyczyć mu długiej uwagi, niemal uświadomić go sobie — zdarzyło się na przykład na zebraniu towarzyskim, dokąd udaliśmy się jedynie w oczekiwaniu tego wydarzenia.

W chwili gdy mnie Elstir zawołał, aby mnie przedstawić Albertynie, siedzącej opodal, skończyłem najpierw jeść ciastko z kremem i poprosiłem z zainteresowaniem starszego pana (dopiero co poznałem go i ofiarowałem mu różę, którą podziwiał w mojej butonierce), aby mi udzielił szczegółów co do jarmarków normandzkich. To nie znaczy, aby prezentacja nie sprawiła mi przyjemności i nie przybrała w moich oczach niejakiej powagi. Co się tyczy przyjemności, poznałem ją oczywiście aż później, kiedy, wróciwszy do hotelu, zostawszy sam, stałem się z powrotem sobą. Przyjemności są jak fotografie. To, co zdejmujemy w obecności ukochanej istoty, to jest negatyw; wywołujemy go później,

Obyczaje, Zabawa,
Spotkanie

znalazłszy się u siebie, kiedy mamy do dyspozycji ową wewnętrzną *camerę obscurę*, do której wejście jest „wzbronione”, dopóki jesteśmy wśród ludzi.

Jeżeli poznanie przyjemności opóźniło się w ten sposób dla mnie o kilka godzin, w zamian za to powagę tej prezentacji odczułem natychmiast. W chwili prezentacji czujemy się nagle obdarowani, czujemy się okazicielami „bonu” na przyszłe przyjemności, za którym to bonem upędzaliśmy się od tygodni; z drugiej strony rozumiemy, że jego uzyskanie kładzie dla nas koniec nie tylko uciążliwej gonitwie, co mogłoby jedynie przejąć nas radością — ale także bytowi pewnej istoty, zniekształconej przez naszą wyobraźnię, powiększonej przez nasz trwożliwy lęk, że ona nigdy nas nie pozna. W chwili gdy nasze nazwisko zabrzmiało w ustach przedstawiającego, zwłaszcza jeżeli ów dopełni go (jak w tym wypadku Elstir) pochwalnym komentarzem, chwili sakramentalnej — analogicznej do tej, gdy w feerii wróżka nakazuje jakiejś osobie, aby się stała inną — istota, do której pragnęliśmy się zbliżyć, ginie. I jakimż cudem pozostałaby podobną samej sobie! Siłą uwagi, jakiej nieznajoma musi użyć naszemu nazwisku i okazać naszej osobie, w oczach jej, wczoraj pomieszczonych w nieskończoności — oczach, o których myśleliśmy, że nasze błędne, niepewne, zrozpaczone, rozbieżne oczy nigdy nie zdołają ich spotkać — własny nasz obraz, odmalowany niby w uśmiechającym się zwierciadle, cudownie i całkiem po prostu zastąpił świadome spojrzenie, niepoznawalną myśl, której szukaliśmy. Jeżeli wcielenie nas samych w to, co nam się zdawało najbardziej od nas różne, najwięcej modyfikuje osobę właśnie poznaną, kształt tej osoby pozostaje jeszcze dosyć mglisty; i możemy sobie zadawać pytanie, czy ona będzie bogiem, stołem czy miednicą. Ale nieliczne słowa, jakie nam rzuci nieznajoma, równie zwinne jak i owi artyści, którzy lepią w naszych oczach biust z wosku w ciągu pięciu minut, określa tę formę i dadzą jej coś ostatecznego, co wykluczy wszystkie hipotezy, na jakie się wczoraj puszczały nasze pragnienia i nasza wyobraźnia.

Bez wątpienia, zanim nawet przyszedłem na ten podwieczorek, Albertyna nie była już dla mnie całkowicie owym jedynym widmem, godnym nawiedzać nasze życie, jakim zostaje mijająca nas osoba, o której nie wiemy nic, którą zaledwieśmy rozróżnili. Jej pokrewieństwo z panią Bontemps już ograniczyło te cudowne hipotezy, zamykając jedną z dróg, przez które mogły się rozprzestrzenić. W miarę jak się zbliżałem do młodej dziewczyny i jak ją poznawałem lepiej, znajomość ta dokonywała się przez odejmowanie, przy czym każdą cząstkę wyobraźni i pragnienia zastępowało pojęcie warte nieskończenie mniej, pojęcie pomnożone co prawda rodzajem ekwiwalentu, podobnego (w dziedzinie życia) temu, co towarzystwa finansowe wydają po spłaceniu akcji pierwotnej i co nazywają akcją użytkową. Nazwisko i parantele Albertyny były pierwszą granicą postawioną moim domysłem. Jej uprzejmość (podczas gdy rozmawiając z nią, odnajdywałem jej pieprzyk na policzku pod okiem) była drugą granicą; zdziwiłem się wreszcie, słysząc, jak posługuje się przysłówkiem „absolutnie” zamiast „zupełnie”. Mówiąc o dwóch osobach, powiadała o jednej, że „jest absolutnie wariatka, ale i tak bardzo miła”, a o drugiej, że „to jest człowiek absolutnie pospolity i absolutnie nudny”. Jakkolwiek ten wybór słowa „absolutnie” zamiast „zupełnie” nie jest zbyt szczęśliwy, świadczy on o stopniu cywilizacji i kultury, o który bym nie posądził cyklistowskiej bachantki, orgiastycznej muzyki golfa. Co nie przeszkadza zresztą, że po tej pierwszej metamorfozie Albertyna miała się jeszcze zmienić dla mnie wiele razy. Przymioty i wady, jakie dana osoba ukazuje na pierwszym planie swojej twarzy, układają się wedle zupełnie innych proporcji, o ile do niej przystąpimy z innej strony — tak jak w jakimś mieście budowle rozrzucone w jednym szeregu, z innej perspektywy biegną w głąb i zmieniają swoje względne wymiary. Na początek stwierdziłem u Albertyny minę dość onieśmieloną w miejsce nieubłaganej; zdawała mi się raczej poprawna niż źle wychowana, jeżeli o tym sądzić z epitetów: „ona jest w złym tonie, ona ma dziwną manierę”, stosowanych do wszystkich pańien, o których jej mówiłem. Centralny punkt jej twarzy stanowiła skroń zaogniona i dość niemiła do patrzenia, w zamian zaś nie miała już owego szczególnego spojrzenia, które utkwilo mi w pamięci. Ale to była jedynie druga perspektywa, a były z pewnością inne, przez które miałem przejść kolejno. Toteż poznawszy po omacku początkowe błędy optyki, można by dojść do dokładnego poznania jakiejś istoty, o ile to poznanie jest możliwe. Ale nie jest możliwe; bo podczas gdy korygujemy naszą wizję tej osoby, ona sama, nie będąc martwym obiektem, zmienia się znów; chcemy ją pochwycić, ona zmienia miejsce, i myśląc, że ją widzimy nareszcie

jaśniej, pochwyciliśmy jedynie jej dawne obrazy, które zdołaliśmy oświetlić, ale które jej już nie przedstawiają.

Jednakowoż, jakie bądź nieuniknione zawody ma przynieść ów krok ku temu, cośmy jedynie na chwilę ujrzeni, cośmy mieli możność sobie wyroić, krok ten jest jedyny zdrowy dla zmysłów, podsycający ich apetyt. Jakąż tępą nudą nacechowane jest życie ludzi, co przez lenistwo lub trwożliwość udają się wprost powozem do przyjaciół, których poznali, nie marząc wprzód o nich, nie śmiejąc nigdy w drodze zatrzymać się przy tym, czego pragną.

Wróciłem, myśląc o tym podwieczorku, widząc ciastko z kremem, które skończyłem jeść, zanim się zdecydowałem podejść z Elstirem do Albertyny, różę ofiarowaną starszemu panu, wszystkie szczegóły wybrane bez naszej wiedzy przez okoliczności i składające dla nas, w specjalnej i przypadkowej kompozycji, obraz pierwszego spotkania. Ale miałem wrażenie, że oglądam ten obraz z innego punktu widzenia, z bardzo daleka od samego siebie, zrozumiałem, że on istniał nie tylko dla mnie, kiedy w kilka miesięcy później, ku memu zdumieniu, gdym mówił Albertynie o pierwszym dniu, w którym ją poznałem, ona przypominała mi ciastko, ofiarowany kwiat, wszystko... Myślałem, iż to wszystko było, nie mogę powiedzieć, ważne tylko dla mnie, ale spostrzeżone tylko przeze mnie; otóż odnajdywałem to — w wersji, której istnienia nie podejrzewałem — w myśli Albertyny. Od tego pierwszego dnia, kiedy, wróciwszy do domu, mogłem oglądać wspomnienie, jakie wyniosłem, zrozumiałem, co za kuglarską sztuczkę świetnie wykonano i w jaki sposób rozmawiałem przez chwilę z osobą, która, dzięki zręczności prestidigitatora, nie mając nic wspólnego z ową tak długo ściganą nad morzem, została zamiast niej podstawiona. Mogłem to zresztą zgadnąć z góry, skoro dziewczynę z plaży stworzyłem ja sam. Mimo to, ponieważ w rozmowach z Elstirem utożsamiałem ją z Albertyną, czułem wobec prawdziwej Albertyny moralny obowiązek dotrzymania przyrzeczeń miłości danych Albertynie urojonej. Człowiek się zaręcza przez prokurację i czuje się w obowiązku zaślubić potem osobę podsuniętą. Zresztą o ile znikł, prowizorycznie bodaj, z mojego życia ucisk serca, do którego ukojenia wystarczyłyby pamięć poprawnych manier, zwrotu: „absolutnie pospolita” oraz błyszczącej skroni Albertyny, wspomnienie to budziło we mnie inny rodzaj pragnienia. Pragnienie to, mimo iż słodkie i wcale nie bolesne, podobne do uczucia braterskiego, mogło się z czasem stać równie niebezpieczne, rodząc we mnie ciągłą chęć ucałowania tej nowej osoby, której dobre maniere i nieśmiałość — i nieoczekiwana rozporządzalność wstrzymywały zbyt szybki pęd mojej wyobraźni, dając początek tkliwej wdzięczności. Zresztą ponieważ pamięć zaczyna od razu zdejmować klisze niezależne od siebie wzajem, usuwając wszelki związek, wszelką progresję między obrazami, ostatnia klisza nie niszczy poprzednich z kolekcji. W obliczu wzruszającej i banalnej Albertyny, z którą rozmawiałem, widziałem tajemniczą Albertynę znad morza. Były to już wspomnienia, to znaczy obrazy, z których jeden nie wydawał mi się prawdziwszy niż drugi.

Ale dokończmy tych wspomnień, to znaczy obrazów pierwszego dnia prezentacji. Starając się wywołać w pamięci mały pieprzyk pod okiem, przypominałem sobie, że raz z okna Elstira, kiedy Albertyna odchodziła, widziałem u niej ten pieprzyk na brodzie. W rezultacie, kiedy ją widział, zauważyłem, że ma pieprzyk, ale moja wędrowną pamięć wodziła go potem po twarzy Albertyny i mieściła go tu, to tam.

Czułem się dosyć rozczarowany, znajdując w pannie Simonet panienkę zbyt mało różną od tych, które znałem. Mimo to, jak mój zawód przed kościołem w Balbec nie przeszkadzał mi pragnąć ujżenia Quimperlé, Pontaven i Wenecji, tak powiadałem sobie, że o ile sama Albertyna nie jest tym, czegom się spodziewał, będę mógł przynajmniej poznać przez nią jej przyjaciółki, całą gromadkę.

Myślałem zrazu, że mi się to nie uda. Ponieważ i ja, i Albertyna mieliśmy zostać jeszcze długo w Balbec, uważałem, że lepiej będzie nie starać się zbyt jej zobaczyć, czekając sposobności, która mi ją pozwoli spotkać. Ale choćby się to zdarzało co dzień, można się było bardzo obawiać, że ona poprzestanie na oddaniu mi z dala mego ukłonu, który w takim razie, choćby powtarzany codziennie przez cały sezon, nie doprowadziłby do niczego.

Niedługo potem, pewnego rana, kiedy deszcz padał i kiedy było prawie zimno, zaczęła mnie na promenadzie młoda dziewczyna w toczku i z mufką, tak odmienna od tej, którą widziałem u Elstira, że poznać w niej tę samą osobę zdawało się niemożliwą ope-

racją intelektualną; umysł mój dokonał tej operacji, ale po sekundzie zdziwienia, które, zdaje mi się, nie uszło uwagi Albertyny. Z drugiej strony, przypominając sobie jej „dobre maniery”, które mnie uderzyły, zdziwiłem się, przeciwnie, jej szorstkim tonem i stylem „bandy”. Zresztą skroń przestała być optycznym i uspokajającym centrum jej twarzy, bądź że stałem z innej strony, bądź że zasłonił ją toczek, bądź też że ten stan zapalny nie był czymś trwałym.

— Co za czas — rzekła do mnie — w gruncie rzeczy, to wieczne lato w Balbec, to ostra bujda. Pan nic nie robi tutaj? Nigdy się pana nie widzi na golfie, na balu w kasynie, konno pan też nie jeździ? Musi się pan nudzić jak mops. Nie uważa pan, że człowiek kretynieje, tkwiąc tak cały czas na plaży? A, pan lubi robić jaszczurkę na piasku. Ma pan zresztą czas. Widzę, że pan nie jest jak ja, ja uwielbiam wszystkie sporty! Nie był pan na wyścigach w Sogne? Myśmy tam pojechały tramwajem; rozumiem, że pana nie bawi dosiadać takiego żółwia! Tryndałyśmy się dwie godziny! Byłabym tam zajechała i wróciła trzy razy na bicyle.

Ja, który podziwiałem Roberta, kiedy lokalną kolejkę żelazną nazywał całkiem naturalnie „samowarek” z powodu jej lokomotywy, czułem się onieśmielony łatwością, z jaką Albertyna mówiła „tramwajans” i „tryndać się”. Czułem jej mistrzostwo w gwarze, bojąc się równocześnie, aby nie stwierdziła ze wzgardą mojej w tym niższości. A jeszcze nie znałem wówczas całego bogactwa synonimów, jakie posiadała „banda” na określenie tej kolejki żelaznej. Mówiąc, Albertyna trzymała głowę nieruchomo, ściskając nozdrza, poruszała jedynie końcem warg. Wynikał z tego dźwięk przeciągły i nosowy, w którego skład wchodziły może dziedziczności prowincjonalne, młodzieńcza afektacja angielskiej flegmy, lekcje nauczycielki-cudzoziemki i przerost błony śluzowej nosa, połączony z obrzękiem. Ta emisja głosu, która ustępowała zresztą prędko, kiedy Albertyna знаła kogoś bliżej i stawała się naturalnie dziecinna, mogłaby uchodzić za nieprzyjemną. Ale była niezwykła, zachwycała mnie. Za każdym razem, kiedy przez kilka dni nie spotkał Albertyny, podniecałem się, powtarzając sobie: „Nie widzi się pana nigdy na golfie”, nosowym tonem, jakim ona to wyrzekła, wyprostowana, nie ruszając głową. I myślałem wówczas, że nie ma w świecie osoby bardziej upragnionej.

Tworzyliśmy tego rana jedną z owych par, które urozmaicają tu i ówdzie promenadę swoimi spotkaniami, przystawaniem, ot tyle, aby wymienić kilka słów, zanim się rozłączą, podejmując każde oddzielnie swoją przechadzkę. Skorzystałem z tej nieruchomości, aby odkryć i stwierdzić ostatecznie, gdzie się znajduje pieprzyk. Otóż, jak fraza Vinteuila, która mnie oczarowała w jego sonacie i której pamięć moja pozwalała błędzić od andante do finału, aż do dnia, gdy mając partycję w ręce, mogłem ją odnaleźć i unieruchomić we wspomnieniu na właściwym miejscu, w scherzo, tak samo pieprzyk, który sobie przypominałem to na policzku, to na brodzie, zatrzymał się na zawsze na górnej wardze pod nosem. W taki sam sposób odnajdujemy ze zdumieniem wiersze, które umiemy na pamięć, w utworze, gdzie nie podejrzewaliśmy ich istnienia.

W tej chwili, jak gdyby po to, aby cały bogaty dekoracyjny zespół, piękny orszak dziewic, złocistych wraz i różowych, spalonych słońcem i wiatrem, rozwinął się swobodnie na tle morza, w różnaitości swoich form, przyjaciółki Albertyny, pięknonogie, gibkie, ale tak różne od siebie, zjawily się całą gromadką, posuwając się ku nam po linii równoległej do morza. Poprosiłem Albertynę, abym jej mógł towarzyszyć przez kilka chwil. Na nieszczęście, zadowolila się pozdrowieniem towarzyszek ręką.

— Ale pani przyjaciółki będą się czuły pokrzywdzone, jeśli je pani opuści — rzekłem w nadziei, że pospacerujemy razem.

Młody człowiek o regularnych rysach, niosący rakiety, zbliżył się do nas. Był to gracz w bakarata, którego szalenstwa tak oburzały żonę prezydenta. Z chłodną i obojętną miną, w której zapewne widział szczyt dystynkcji, przywitał się z Albertyną.

— Wracasz z golfa, Oktawie? — spytała. — Czy dobrze poszło, jesteś w dobrej formie?

— Och, obrzydliwie, naprali mnie — odparł.

— Czy Anna była?

— Tak, zrobiła siedemdziesiąt siedem.

— Och, ależ to rekord!

— Ja zrobiłem osiemdziesiąt dwa wczoraj.

Był to syn bardzo bogatego przemysłowca, mającego odgrywać dość ważną rolę w organizacji najbliższej Wystawy Powszechnej. Uderzyło mnie, do jakiego stopnia u tego młodego człowieka i u innych nielicznych męskich przyjaciół tych młodych dziewcząt znajomość wszystkiego, co się tyczyło stroju, mód, cygar, angielskich napoi, koni — znajomość, którą ów Oktaw posiadał w najdrobniejszych szczegółach z dumną nieomylnością, sięgającą cichej skromności uczonego — rozwinęła się samoistnie, bez wkładu najmniejszej kultury intelektualnej. Nie miał żadnych wahań co do odpowiedności smokinga lub pidżamy, ale nie znał właściwego użytku jakiegoś słowa, nie znał nawet najprostszych reguł języka. Ta sama rozbieżność dwóch kultur musiała istnieć u jego ojca, prezesa syndykatu właścicieli realności w Balbec, gdyż w liście otwartym do wyborców, który kazał właśnie rozlepić na wszystkich murach, oświadczył: „Udałem się do mera, aby go poinformować, nie chciałem wysłuchać moich słusznych zarzutów”. Oktaw zdobywał w kasynie nagrody na wszystkich konkursach bostona, tanga etc., co mogło mu przynieść korzystne małżeństwo w tym środowisku „kąpielowym”, gdzie nie w przenośni, ale dosłownie młode panny wychodzą za swoich „danserów”. Zapalił cygaro, mówiąc do Albertyny: „Pozwoli pani”, tak jak się, rozmawiając, prosi o pozwolenie dokończenia pilnej roboty. Bo nie mógł nigdy zostać ani chwili „nic nie robiąc”, mimo zresztą że nigdy nie robił nic. Że zaś całkowita beczynność — równie dobrze w dziedzinie ducha jak w życiu ciała i mięśni — ma w końcu te same skutki co przesadna praca, stała nicosć intelektualna mieszkająca pod myślącym czołem Oktawa zaszczerpiła mu w końcu, mimo jego spokojnego wyrazu twarzy, jałową świerzbiczkę myślenia, która w nocy nie dawała mu spać, tak jak to mogłoby się zdarzyć przepracowanemu filozofowi.

Myśląc, iż gdybym znał ich przyjaciół, miałbym więcej sposobności widywania tych dziewcząt, miałem już prosić Albertyny, aby mnie przedstawiła Oktawowi. Powiedziałem jej to, skoro odszedł, powtarzając: „naprali mnie”. Chciałem jej podsunąć tę myśl na następny raz.

— Cóż znowu — wykrzyknęła — nie mogę pana przedstawiać żigolakowi. Tutaj roi się od żigolaków. Ależ oni nie mieliby o czym rozmawiać z panem. Ten gra bardzo dobrze w golfa, punktum, kropka. Znam się na tym, to nie byłby zupełnie pana rodzaj.

— Pani przyjaciółki będą się czuły pokrzywdzone, jeżeli je pani tak zostawi — rzekłem w nadziei, że mi zaproponuje, abyśmy do nich podeszli.

— Ale nie, one wcale mnie nie potrzebują.

Minęliśmy Blocha, który obrzucił mnie sprytnym i znaczącym uśmiechem, po czym, zakłopotany widokiem Albertyny, której nie znał lub przynajmniej znał „ot tak”, wsunął głowę w kołnierz sztywnym i niechętnym ruchem.

— Jak się nazywa ten Arab? — spytała Albertyna. — Nie wiem, czemu on mi się kłania, kiedy mnie nie zna. Toteż mu się nie odkloniłam.

Nie miałem czasu odpowiedzieć, bo Bloch podeszedł prosto do nas i rzekł:

— Daruj mi, że ci przerywam, ale chciałem cię uprzedzić, że jutro jadę do Doncières. Nie mogę dłużej zwlekać bez niegrzeczności; doprawdy sam nie wiem, co Saint-Loup-en-Bray musi o mnie myśleć. Uprzedzam cię, że jadę pociągiem o drugiej. Zrób, jak zechcesz.

Ale ja już myślałem tylko o tym, aby znów spotkać Albertynę i poznać jej przyjaciółki. Doncières wydawało mi się na końcu świata; one tam nie jechały, ja zaś, wróciwszy stamtąd, nie zastałbym ich już na plaży. Powiedziałem Blochowi, że niepodobna mi jechać.

— Więc dobrze, jadę sam. Wedle dwóch pociesznych aleksandrynow imć pana Arouet de Voltaire, powiem margrabiemu de Saint-Loup, aby pogłaskać jego klerykalizm: „Wiedz, że moja powinność idzie swoją drogą, mnie jej chybić nie wolno, chociaż inni mogą”.

— Uznaję, że jest dość ładny chłopiec — rzekła Albertyna — ale jak on mnie brzydzi!

Nigdy nie pomyślałem, aby Bloch mógł być ładnym chłopcem; był nim w istocie. Z głową nieco zbyt wydatną, z nosem bardzo garbatym, z miną nadzwyczaj sprytną i przeświadczoną o swoim sprycie, twarz miał przyjemną. Ale nie mógł się podobać Albertynie. Wynikało to może zresztą z jej złych stron, z twardości, z nieczułości małej gromadki, z jej brutalności wobec wszystkiego poza nią. Później zresztą, kiedy ich zapoznałem z sobą, antypatia Albertyny nie zmniejszyła się. Bloch należał do kół, gdzie między bufonadą

uprawianą w salonach a dostatecznym mimo to szacunkiem dla dobrych manier, obowiązujących człowieka mającego „czyste ręce”, uczyniono rodzaj specjalnego kompromisu różniącego się od manier „świata”, a będącego mimo to osobliwie antypatycznym rodzajem światowości. Kiedy go komuś przedstawiano, Bloch kłaniał się ze sceptycznym uśmiechem, a równocześnie z przesadnym szacunkiem; jeżeli to był mężczyzna, mówił: „Bardzo mi przyjemnie” głosem, który drwił sobie z wypowiedzianych słów, ale z poczuciem, że wychodzi z ust człowieka pełnego dystynkcji. Oddawszy tę pierwszą chwilę zwyczajowi, którego przestrzegał i z którego drwił sobie równocześnie (tak jak mówił na Nowy Rok: „Życzę panu szczęścia i pomyślności”), Bloch przybierał sprytną minę i „wygłaszał rzeczy subtelne”, często pełne prawdy, ale „dające na nerwy” Albertynie. Kiedym jej powiedział pierwszego dnia, że on się nazywa Bloch, wykrzyknęła: „Byłabym się założyła, że to Żyd. Tacy wciskają się wszędzie, jak pluskwy”. Zresztą w przyszłości Bloch miał drażnić Albertynę na inny sposób. Jak wielu intelektualistów, nie umiał mówić po prostu rzeczy prostych. Na wszystko znajdował pretensjonalne określenie, przy czym uogólniał. To nudziło Albertynę, nie bardzo lubiącą, aby się zajmowano tym, co ona robi. Gdy raz skręciła nogę i skazana była na nieruchomość, Bloch powiedział: „Spoczywa na leżaku, ale mocą swojej wszechobecności nie przestaje równocześnie błądzić po mglistych golfach i zagadkowych tenisach”. To była tylko „literatura”, ale z powodu kłopotów, jakich mogła narobić Albertynie z osobami, od których zaproszeń się wymówiła, powiadając, że się nie może ruszać, wystarczyło to, aby zniecierpiała fizys i głos osobnika mówiącego te rzeczy.

Rozstaliśmy się z Albertyną, przyrzekając sobie kiedyś pójść gdzie razem. Rozmawiałem z nią, tak samo nie wiedząc, gdzie padają moje słowa i co się z nimi dzieje, co gdybym rzucał kamyczek w otchłań bez dna. Że na ogół osoba, do której je zwracamy, wypełnia je sensem, dobytym z własnej jej istoty, bardzo różnym od sensu włożonego przez nas w te same słowa, to fakt, potwierdzany wciąż przez życie. Ale jeżeli, co więcej, znajdziemy się wobec osoby, której wychowanie (jak dla mnie wychowanie Albertyny) jest nieodgadnione, której skłonności, lektury, zasady są nam nieznane, nie wiemy, czy nasze słowa wywołują w niej coś mającego z nimi związek, bardziej niż u zwierzęcia, któremu można by przecież dać zrozumieć pewne rzeczy. Tak iż próba zbliżenia się z Albertyną wydawała mi się zetknięciem jeśli nie z Niemożliwym, to z Nieznanym; ćwiczeniem równie trudnym jak tresować konia, równie odprężającym jak hodować pszczoły lub róże.

Kilka godzin przedtem myślałem, że Albertyna odpowie na mój ukłon jedynie z daleka. Rozstaliśmy się, robiąc projekty wspólnej wycieczki. Przyrzekłem sobie być śmielszy, kiedy znów spotkam Albertynę; obmyśliłem plan wszystkiego, co jej powiem, a nawet (teraz, kiedym zyskał przeświadczenie, że ona musi być łatwa) wszystkich słodyczy, jakich od niej zażądam. Ale duch ulega wpływom, jak roślina, jak komórka, jak składniki chemiczne, a środowiskiem, które go zmienia, gdy go w nie zanurzymy, są okoliczności, nowa rama. Kiedym się znalazł z Albertyną, wówczas, stawszy się innym przez fakt jej obecności, mówiłem jej całkiem co innego niż zamierzyłem. Potem, przypominając sobie zaognioną skroń, zastanawiałem się, czy Albertyna nie więcej ceni uprzejmość, o której by wiedziała, że jest bezinteresowna. A wreszcie czułem się zakłopotany wobec niektórych jej spojrzeń, uśmiechów. Mogły oznaczać łatwość, lecz także dziecinne rozbawienie młodej dziewczyny, żywej, ale o uczciwym gruncie. Ten sam wyraz w fizjonomii czy mowie może mieć różne znaczenia; wahałem się niby uczeń wobec trudności greckiego tekstu.

Tym razem spotkaliśmy prawie zaraz ową „dużą”, Annę — tę, co skoczyła przez prezydenta sądu. Albertyna musiała mnie przedstawić. Przyjaciółka jej miała oczy bardzo jasne, niby w mrocznym mieszkaniu otwarte drzwi pokoju, do którego wchodzi słońce i zielonkawy odbłask promiennego morza.

Minęło nas pięciu panów, których znałem bardzo dobrze z widzenia, odkąd byłem w Balbec. Często zastanawiałem się, kto by to mógł być.

— To nie są ludzie zbyt eleganccy — rzekła Albertyna podśmiewając się wzgardliwie. — Ten mały stary, w żółtych rękawiczkach, ładny kwiatek, he? niech go drzwi ścisną, to dentysta z Balbec, zacne *homo*; ten gruby to mer; nie ten najmniejszy grubas, którego pan już musiał widzieć, to nauczyciel tańców; także dobry patalch, nie może nas znosić, że za wiele robimy hałasu w kasynie, że niszczy mu krzesła, że chcemy tańczyć bez dywanu, toteż nigdy nie dał nam nagrody, mimo że my jedne tam umiemy tańczyć. Dentysta to dobre człeczysko; byłabym mu się ukloniła, żeby wściec nauczyciela tańca, ale nie mogłam,

bo był z nimi pan de Sainte-Croix, generalny radca, człowiek z bardzo dobrej rodziny, który przeszedł do republikanów za pieniądze, nikt przyzwoity mu się nie kłania. Zna mojego wuja, niby „z powodu rząd”, ale reszta mojej rodziny wypięła się na niego. Ten chudy w nieprzemakalnym płaszczu to kapelmistrz. Jak to, nie zna go pan! Bosko gra. Nie był pan posłuchać *Cavalleria rusticana*? Och, mnie się to wydaje szczyt. Daje koncert dziś wieczór, ale nie możemy iść, bo to się odbywa w merostwie. W kasynie to obleci, ale w sali merostwa, skąd usunięto krzyż, matkę Anny trafilyby szlag, gdybyśmy tam poszły. Powie mi pan, że mąż mojej ciotki jest w rządzie. Cóż pan chce! Ciotka to ciotka. I nie za to ją kocham! Miała zawsze tylko jedno pragnienie: pozbyć się mnie. Osoba, która naprawdę zastąpiła mi matkę i która ma podwójną zasługę, bo nie jest mi niczym, to pewna przyjaciółka, którą kocham zresztą jak matkę. Pokażę panu jej fotos.

Na chwilę podszedł do nas szampion golfa i bakarata, Oktaw. Sądziłem, że odkrył jakiś punkt styczności między nami, bo dowiedziałem się w rozmowie, że on jest trochę krewny Verdurinów i że go nawet dosyć lubią. Ale on mówił z lekceważeniem o sławnych *środach* i dodał, że pan Verdurin nie zna użytku smokinga, co czyni dosyć kłopotliwym spotkanie go w pewnych music-hallach, gdzie wolałoby się nie słyszeć okrzyków: „jak się masz, smarkaty” wydawanych przez pana w marynarce i w czarnym krawacie z miną prowincjonalnego rejenta. Potem Oktaw pożegnał nas, z kolei pożegnała się Anna, która doszła do willi, gdzie mieszkała, nie odezwawszy się do mnie w ciągu całej przechadzki ani słowa. Zwróciłem uwagę Albertyny, jaka jej przyjaciółka była ze mną chłodna. Wyrażną niechęć Albertyny do tego, aby mnie zapoznać z przyjaciółkami, zestawiałem w myśli z wrogością, na jaką musiał się natknąć pierwszego dnia Elstir, kiedy chciał ziszczyć moje pragnienie.

Załowałem tym bardziej odejścia Anny, gdyż w tej samej chwili minęły nas młode panny, którym się ukloniłem, panny d'Ambresac; Albertyna pozdrowiła je również. Myślałem, że to poprawi moją sytuację wobec Albertyny. To były córki krewniaczki pani de Villeparisis, znające również panią de Luxembourg. Państwo d'Ambresac, mający willę w Balbec, nadzwyczaj bogaci, prowadzili życie bardzo skromne; mąż zawsze w jednej i tej samej marynarce, żona w ciemnej sukni. Oboje składali mojej babce głębokie ukłony, nieprowadzące do niczego. Córki, bardzo ładne, ubierały się z większą elegancją, ale elegancją miejską, nie kąpielową. W swoich długich sukniach i wielkich kapeluszach zdawały się należeć do innej ludzkości niż Albertyna. Ona wiedziała bardzo dobrze, kto to jest.

— A, pan zna młode d'Ambresac? Nie ma co, zna pan ludzi bardzo szykownych. Zresztą oni są bardzo prości — dodała, tak jakby to były rzeczy sprzeczne z sobą. — One są milutkie, ale tak dobrze wychowane, że rodzice nie puszczają ich do kasyna, zwłaszcza z powodu nas, niby że my jesteśmy zanadto skandaliczne. Podobają się panu? Ba, to zależy. Istne białe gąski, to może ma swój wdzięk. Jeżeli pan lubi białe gąski... Zdaje się, że mogą się podobać, skoro jedna już jest zaręczona z margrabią de Saint-Loup. To bardzo martwi młodszą, która się kochała w tymże. Mnie denerwuje sam ich sposób mówienia z zamkniętymi ustami. Przy tym ubierają się śmiesznie. Grają w golfa w jedwabnych sukniach! W swoim wieku ubierają się pretensjonalniej niż starsze kobiety, kiedy się umieją ubrać. Ot, pani Elstir, oto kobieta elegancka.

Odpowiedziałem, że mi się zdaje, iż pani Elstir ubiera się bardzo skromnie. Albertyna zaczęła się śmiać.

— Ubiera się bardzo skromnie, to prawda, ale ubiera się cudownie i aby osiągnąć to, co pan nazywa „skromnie”, wydaje szalone pieniądze.

Suknie pani Elstir uchodziły uwagi kogoś, kto nie miał niezawodnego i dyskretnego smaku w sprawach toalety. Brakowało mi tego zmysłu. Elstir miał go w najwyższym stopniu, zdaniem Albertyny. Nie byłbym się domyślił ani tego, iż rzeczy wytworne lecz proste, wypełniające jego pracownię, to były cudy od dawna upragnione przez niego, tropił je po licytacjach, znał całą ich historię, aż do dnia, gdy zarobił dość pieniędzy, aby je móc posiadać. Ale na tym punkcie Albertyna była równie ciemna jak ja, nie mogła mnie oświecić. Natomiast co do toalet, oświecona instynktem kokietki i może żalem ubogiej dziewczyny, bezinteresowniej i subtelniej smakującej u bogaczy to, w co nie będzie mogła się wystroić sama, umiała mówić bardzo ciekawie o wyrafinowaniu Elstira. Był tak wybredny, że każda kobieta wydawała mu się źle ubrana; mieszcząc całe światy

w proporcjach, w odcieniach, kazał robić dla swojej żony za szalone pieniądze umbrelki, kapelusze, płaszcze, zarazem uczył Albertynę rozumieć ich piękno, którego człowiek bez smaku nie zauważyłby tak samo jak ja. Poza tym Albertyna, która malowała trochę, nie mając zresztą, jak sama przyznawała, żadnego „daru”, bardzo podziwiała Elstira i dzięki temu, co on jej mówił i pokazywał, znała się na obrazach w sposób wielce odbijający od jej entuzjazmu dla *Cavalleria rusticana*. W istocie bowiem, mimo iż tego prawie jeszcze nie było znać, była bardzo inteligentna, a w tym, co mówiła, głupota była własnością nie jej, lecz raczej jej sfery i wieku. Elstir miał na nią wpływ szczęśliwy, ale cząstkowy. Nie wszystkie formy inteligencji osiągnęły w Albertynie jednaki stopień rozwoju. Jej gust w malarstwie prawie dogonił smak w toalecie i wszystkich formach elegancji, ale nie pociągnął za sobą gustu w muzyce, który pozostał bardzo w tyle.

Daremnie Albertyna wiedziała, kto są państwo Ambresac; mimo legitymacji z wysokich stosunków zawartej w moim ukłonie oddanym tym pannom, nie widziałem, aby była skłonniejsza zapoznać mnie z przyjaciółkami.

— Za wiele pan sobie z nich robi, doprawdy. Niech pan na nie nie zwraca uwagi, to jest wielkie nic. Co takie smarkule mogą znaczyć dla człowieka pańskiej wartości. Anna jest przynajmniej wybitnie inteligentna. To dobra dziewczyna, chociaż jest absolutna wariatka, ale tamte są doprawdy bardzo głupie.

Rozstawszy się z Albertyną, odczułem nagle żywą przykrość z powodu tego, że Saint-Loup zataił mi swoje zareczyny i że robi rzecz tak nieładną, żeniąc się, nie zerwawszy wprzód z kochanką. W kilka dni potem przedstawiono mnie Annie i rozmawialiśmy z sobą dość długo; skorzystałem z tego, aby powiedzieć, że bardzo bym pragnął ujrzeć ją nazajutrz; odpowiedziała, że to niemożliwe, bo matka jej ma się niezbyt dobrze i nie chciałaby jej zostawiać samej. W dwa dni potem, kiedy zaszedł do Elstira, powiedział mi, że Anna ma dla mnie wiele sympatii, na co odrzekłem:

— Ależ to ja mam dla niej wiele sympatii od pierwszego dnia; chciałem ją zobaczyć zaraz nazajutrz, ale nie mogła.

— Tak, wiem, mówiła mi — rzekł Elstir — dosyć tego żałowała, ale obiecała się na piknik o parę mil stąd, miała tam jechać breakiem i nie mogła zrobić zawodu.

Mimo że to kłamstwo było, wobec naszej nikłej znajomości, bardzo niewinne, nie powinienem był utrzymywać dalszych stosunków z osobą do niego zdolną. Bo co ktoś raz zrobił, będzie to powtarzał w nieskończoność. I jeżeli się wybierzemy co roku, aby się spotkać z przyjacielem, który za pierwszym razem nie mógł przyjść na schadzki lub był zakatarzony, trafimy na jego nowy katar, zrobi nam zawód przy nowym spotkaniu, na które znów nie przyjdzie, dla tej samej i ciągłej przyczyny, w której miejsce znajdzie rozmaite powody dostrojone do okoliczności.

Wkrótce po owym dniu, kiedy Anna powiedziała mi, że musi zostać z matką, spacerowałem trochę z Albertyną; spostrzegłem ją podrzucającą na sznurku dziwaczny przedmiot, który czynił ją podobną do *Batwochwalstwa* Giotta: nazywa się „diabolo” i tak dalece uległ zapomnieniu, że przed portretem młodej dziewczyny trzymającej ten instrument przyszli komentatorowie będą mogli rozprawiać jak przed jakąś alegoryczną figurą z Santa Maria dell’Arena, zastanawiając się, co ona ma w ręce. Po chwili przyjaciółka ich, o wyglądzie ubogim i twardym, ta, co pierwszego dnia śmiała się tak złośliwie: „Żal mi tego starego”, mówiąc o starszym panu muśniętym lekkimi stopami Anny, podeszła do Albertyny: „Dzień dobry, przeszkadzam państwu?”. Zdjęła kapelusz, który jej zawadzał, i włosy jej niby jakaś uroczą i nieznaną roślinność pokrywały jej czoło w drobiazgowej subtelności swego ulistnienia. Albertyna, może podrażniona tym obnażeniem głowy, nie odpowiedziała nic, zachowała lodowate milczenie, mimo którego tamta została. Ale Albertyna trzymała ją na odległość ode mnie, to idąc z nią sama, to znów zbliżając się do mnie, a zostawiając przyjaciółkę w tyle. Aby uzyskać to, żeby mnie przedstawiła, musiałem wręcz poprosić Albertyny wobec tamtej. Wówczas w chwili, gdy wymieniła moje nazwisko, na twarzy i w niebieskich oczach owej dziewczyny, która mi się wydała tak okrutna, gdy mówiła: „Biedny stary, żal mi go”, ujrzałem przebłysk serdecznego i przyjaznego uśmiechu, z jakim wyciągnęła do mnie rękę. Włosy miała złociste i nie tylko włosy; bo jeżeli policzki jej były różowe, a oczy niebieskie, robiło to wrażenie nieba jeszcze zaróżowionego porankiem, gdzie wszędzie przebija i błyszczą złoto.

Zapalając się natychmiast, powiedziałem sobie, że to jest dziecko nieśmiałe, gdy kocha, i że to dla mnie, przez miłość dla mnie, została z nami mimo opryskliwości Albertyny. Musiała się czuć szczęśliwa, mogąc mi wyznać wreszcie tym pocziwym i uśmiechniętym spojrzeniem, że byłaby równie słodka dla mnie jak groźna dla innych. Z pewnością zauważyła mnie na plaży, kiedy jej jeszcze nie znałem i myślała od tego czasu o mnie; może to dlatego, aby obudzić mój podziw, drwiła sobie ze starego pana i może dlatego, że się jej nie udało mnie poznać, miała przez następne dni tak smutną minę. Z hotelu widziałem ją często, przechadzającą się wieczorem po plaży. Prawdopodobnie czyniła to w nadziei ujrzenia mnie. A teraz, skrzepowana obecnością Albertyny, tak samo jak byłaby skrzepowana obecnością całej gromadki, czepiała się nas oczywiście, mimo coraz chłodniejszej postawy przyjaciółki, jedynie w nadziei przeczekania jej, umówienia się na chwilę, kiedy się zdoła wymknąć bez wiedzy rodziny i towarzyszek i spotkać się ze mną w bezpiecznym miejscu przed mszą lub po golfie. Tym trudniej było ją zobaczyć, gdyż Anna była z nią źle i nie cierpiała jej.

— Długo znosiłam jej straszliwy fałsz — mówiła do mnie — jej podłość, niezliczone świństwa, które mi robiła. Wszystko znosiłam przez wzgląd na inne. Ale ostatni jej kawał przepełnił miarę.

I opowiedziała mi plotkę, jaką zrobiła ta dziewczyna i która w istocie mogła zaszkodzić Annie.

Ale owych słów przyrzeczonych mi spojrzeniem na chwilę, gdy Albertyna zostawi nas razem, Gizela nie miała możliwości powiedzieć, ponieważ Albertyna tkwiła uparcie między nami, odpowiadając coraz krócej, a potem przestawszy w ogóle odpowiadać na zagadywania przyjaciółki. Wreszcie Gizela dała za wygraną. Wyrzucałem Albertynie, że była taka nieuprzejma.

— To ją nauczy być delikatniejszą. To nie jest zła dziewczyna, ale strasznie piłowata. Musi wtykać nos wszędzie. Czemu się lepi do nas nieproszona. O mały włos, a byłabym ją posłała w diabły. Zresztą nie cierpię, że ona nosi włosy w ten sposób, to bardzo w złym guście.

Patrzałem na policzki Albertyny, gdy mówiła do mnie i myślałem, jaki zapach, jaki smak mogą mieć. Tego dnia była nie tyle świeża, ile gładka, różowo-fioletowo-śmietankowa, jak pewne róże mające połysk wosku. Byłem zapalony do nich, jak można się czasami zapalić do gatunku kwiatów.

— Nie zauważyłem tego — odparłem.

— A przecież dosyć się pan jej przyglądał; można by myśleć, że pan zamierza robić jej portret — rzekła Albertyna, nieulagodzona faktem, że w tej chwili przyglądałem się tak jej samej. — Nie sądzę zresztą, aby się ona panu podobała. Ona wcale nie jest flirciara. Pan musi lubić flirciary. W każdym razie nie będzie już miała sposobności lepić się ani dopraszać się o to, aby się ją splawiło, bo już jedzie do Paryża.

— I inne pani przyjaciółki również?

— Nie, tylko ona i miss, bo ona ma zdawać egzaminy, będzie musiała obkuwać, biedna smarkata. To nie jest wesołe, ręczę panu. Może się zdarzyć, że się trafi na dobry temat. To rzecz przypadku. Na przykład jedna z koleżanek miała: „Opowiedz wypadek, którego byłaś świadkiem”. To jest klawe. Ale znam dziewczynę, która miała opracować (i to jeszcze na piśmie): „Kogo wolałbyś mieć za przyjaciela, Alcesta czy Filinta?”. Pociłabym się nad tym! Najpierw, pomijając wszystko inne, to nie jest pytanie właściwe dla młodych panien. Dziewczęta przyjaźnią się z innymi dziewczętami i nie uznaje się w zasadzie, aby miały sobie dobierać przyjaciół wśród panów. — (Zdanie to, wykazując mi nikłość moich szans, abym się dostał do „bandy”, przejęło mnie drżeniem.) — Ale w każdym razie, nawet gdyby ten problem postawiono młodym ludziom, co pan chce, żeby można wymyślić na ten temat? Wielu rodziców napisało do „Gaulois”, skarżąc się na trudność podobnych pytań. Paradne jest, że w zbiorze najlepszych zadań laureatów potraktowano dwa razy ten przedmiot w sposób absolutnie sprzeczny. Wszystko zależy od egzaminatora. Jeden chciał, żeby powiedzieć, iż Filint jest pochlebca i kret, drugi, że nie można odmówić podziwu Alcestowi, ale jest zbyt zgryźliwy i że na przyjaciela wolałoby się Filinta. Jak żądać, aby nieszczęsne uczennice się w tym wyznały, skoro profesorowie nie mogą się zgodzić? I to jeszcze nic, z każdym rokiem robi się trudniej. Gizela mogłaby się z tego wykręcić chyba fuksem.

Wróciłem do hotelu, babki nie było, czekałem długo, w końcu kiedy wróciła, błagałem ją, aby mi pozwoliła zrobić w nieoczekiwanych warunkach wycieczkę, która potrwa może dwie doby. Zjadłem śniadanie z babką, zamówiłem powóz i kazałem się zawieźć na dworzec. Gizela nie zdziwi się (tak myślałem) moim widokiem; skoro przesiądziemy się w Doncières, w paryskim pociągu jest wagon z korytarzem; gdy miss się zdrzemnie, będę mógł zaciągnąć Gizelę w ciemny kąt, umówić się z nią na Paryż po moim powrocie, który będę się starał możliwie przyspieszyć. Odwiózłbym ją do Caen lub do Évreux, jak zechce, i wróciłbym najbliższym pociągiem. Bądź co bądź, co by ona pomyślała, gdyby wiedziała, że ja się długo wahałem między nią a jej przyjaciółkami, że tak samo jak w niej, chciałem się kochać w Albertynie, w dziewczynie z jasnymi oczami, w Rozamondzie! Czulem wyrzuty teraz, kiedy wzajemna miłość miała mnie połączyć z Gizelą. Byłbym mógł zresztą upewnić ją bardzo szczerze, że Albertyna już mi się nie podoba. Widziałem ją dziś rano odchodzącą, obróconą do mnie niemal plecami, kiedy rozmawiała z Gizelą. Na jej głowie pochylonej jakby z dąsem, włosy związane z tyłu, jakieś inne i jeszcze ciemniejsze, błyszczały tak, jakby wyszła z wody. Pomyślałem o zmokłej kurze i te włosy tchnęły w Albertynę duszę inną, niż to uczyniła dotąd fioletowa twarz i tajemnicze spojrzenie. Te lśniące włosy na karku, to było wszystko, co z niej mogłem dostrzec przez chwilę, i to tylko widziałem nadal. Nasza pamięć podobna jest do sklepów, gdzie w oknie wystawia się raz tę, raz inną fotografię danej osoby. I zazwyczaj najświeższa zostaje przez jakiś czas sama jedna na wystawie.

Podczas gdy woźnica popędzał konia, słuchałem pełnych wdzięczności i czułych słów, jakie Gizela mi mówi, słów zrodzonych wyłącznie z jej przyjaznego uśmiechu i wyciągniętej dłoni; bo w okresach życia, kiedy nie byłem zakochany, a chciałem nim być, nosiłem w sobie nie tylko fizyczny ideał ujranej piękności, którą poznawałem z daleka w każdej spotkanej kobiecie na tyle odległej, aby jej zatarte rysy nie sprzeciwiały się tej identyfikacji, ale i idealne widmo — wciąż gotowe do wcielenia — kobiety, która miała mnie pokochać, miała być moją partnerką w komedii miłosnej, napisanej całkowicie w mojej głowie od czasu dzieciństwa. Wierzyłem, że każda sympatyczna młoda dziewczyna ma ochotę grać ją ze mną, byleby miała po trosze i fizyczne warunki roli. I jakakolwiek była nowa „gwiazda” powołana do kreowania lub powtórzenia roli, scenariusz, perypetie, nawet tekst, zachowywały formę *ne varietur*.

W kilka dni później, mimo biernego oporu Albertyny w zapoznaniu nas, znalazłem całą gromadkę pozostałą w komplecie w Balbec (z wyjątkiem Gizeli, której, wskutek długiego czekania przed szlabanem na dworcu oraz zmiany w rozkładzie jazdy, nie mogłem dopaść, pociąg odjechał na pięć minut przed moim przybyciem; zresztą nie myślałem już o Gizeli), co więcej parę ich przyjaciółek, z którymi zapoznały mnie na moją prośbę. W ten sposób, skoro nadzieja przyjemności przeczuwanych w nowo poznanej pochodziła od innej, przez którą poznałem tamtą, ostatnia była wówczas jak gdyby odmianą róży, uzyskaną dzięki róży innego gatunku. I posuwając się od korony do korony w tym łańcuchu kwiatów, przyjemność poznania odmiennego kwiatu kazała mi wracać do tego, któremu je byłem winien, z wdzięcznością zabarwioną pragnieniem w tym samym stopniu co moja świeża nadzieja. Niebawem spędzałem całe dni z tymi dziewczętami.

Niestety! w najświeższym kwiecie można dojrzeć niedostrzegalne punkty, znaczące dla świadomej myśli już to, co — przez wysychanie lub owocowanie tkanek dziś będących w kwiecie — stanie się niezmienną i już predestynowaną formą ziarna. Śledzimy z rozkoszą nosek podobny lekkiej fali, gdy rozkosznie wzdyma ranną wodę, prawie nieruchoma, o wyraźnym konturze, bo morze jest tak spokojne, że nie czujemy przypływu. Twarze ludzkie nie zmieniają się w chwili, gdy się na nie patrzy, bo przeobrażenie, jakiemu ulegają, jest zbyt powolne, tym samym niedostrzegalne. Ale wystarczyło widzieć obok tych młodych dziewcząt ich matkę lub ciotkę, aby zmierzyć odległość, jaką pod wewnętrznym naciskiem typu, przeważnie okropnego, rysy te przebędą w niespełna trzydzieści lat, aż do pory zblaknięcia spojrzeń, aż do godziny, gdy twarz, całkowicie zaszedłszy za horyzont, nie otrzymuje już światła. Wiedziałem, że pod różowym kwiatostanem Albertyny, Rozamondy, Anny, nieznanym im samym, trzymany jakby w zapasie na okazję, równie głęboki, równie nieuchronny jak patriotyzm żydowski lub atawizm chrześcijański u ludzi najbardziej zdawałoby się wyzwolonych ze swojej rasy, mieszka gruby nos, mieszkają wystające

usta, tusza prawie niepojęta, ale istniejąca w rzeczywistości za kulisami, gotowa wejść na scenę, całkiem tak samo jak jakiś dreyfusizm, jakiś klerykalizm, nagły, nieprzewidywany, konieczny, jak jakiś nacjonalistyczny i feudalny heroizm, wyrosłe na apel okoliczności z natury dawniejszej od samego indywiduum, przez którą ono myśli, żyje, rozwija się, krzepi się lub umiera, niezdolne jej odróżnić od poszczególnych pobudek, które bierze za nią. Nawet umysłowo o wiele bardziej, niż nam się zdaje, zależy od naturalnych praw; umysł nasz posiada, niby jakiś gatunek skrytoplciowy, niby jakieś trawy, pewne wrodzone właściwości, gdy nam się zdaje, że je wybieramy. Ale my ogarniamy jedynie wtórne idee, nie spostrzegając pierwotnej przyczyny (rasy żydowskiej, rodziny francuskiej etc.), która je nieodzownie zrodziła, a które my objawiamy w danym momencie. I może, jak *motylkowate* otrzymują kształt swego nasienia, tak my otrzymujemy od naszej rodziny zarówno idee, jakimi żyjemy, chorobę, od której umrzemy, mimo iż idee zdają się nam wynikiem rozwagi, a choroba skutkiem braku higieny.

Jak na łące, gdzie kwiaty dojrzewają w rozmaitych porach, widziałem w starszych damach, na tej plaży w Balbec, owe twarde ziarna, owe miękkie bulwy, jakimi moje przyjaciółki staną się pewnego dnia. Ale cóż to znaczyło? W tej chwili była pora kwiatów. Toteż kiedy pani de Villeparisis zapraszała mnie na przejażdżkę, szukałem wymówki, wykręcałem się. Odwiedzałem Elstira jedynie o tyle, o ile towarzyszyły mi moje nowe przyjaciółki. Nie mogłem nawet znaleźć popołudnia, aby się wybrać do Doncières do Roberta, jak mu to przyrzekłem. Zebrania towarzyskie, poważne rozmowy, nawet przyjacielska gawęda, o ile by trzeba dla nich poświęcić widzenie się z tymi dziewczętami, byłyby dla mnie tym samym, co gdyby w porze śniadania kazano komu nie jeść, ale oglądać album. Mężczyźni, młodzi ludzie, stare lub dojrzałe kobiety, których towarzystwo niby to lubimy, istnieją dla nas jedynie na płaskiej i niestałej powierzchni, bo wszystko to przyjmujemy do świadomości percepcją jedynie i wyłącznie wzrokową; ale do młodych dziewcząt zwraca się ona niby delegatka innych zmysłów; zmysły nasze szukają bezładnie rozmaitych pachnących, dotykalnych, smakowitych przymiotów, których kosztują nawet bez pomocy rąk i ust; zdolne, dzięki sztukom transpozycji, dzięki geniuszowi syntezy, w której celuje pragnienie, odtworzyć — poprzez kolor lic lub piersi — dotknięcie, smak, niedozwolone dotyki, zmysły nasze dają tym dziewczętom tę samą miodowo-słodką konsystencję, jak kiedy buszują w klombie róż lub w winnicy, gdzie zjadają grona oczami.

Kiedy deszcz padał, mimo iż niepogoda nie przerażała Albertyny, którą widziało się często w gumowym płaszczu pomykającą na rowerze w ulewę, spędzaliśmy czas w kasynie, dokąd nie iść wydawało mi się w owe dni niepodobieństwem. Czulem bezgraniczną wzdargę dla pań d'Ambresac, które nigdy nie przestąpiły progu kasyna. I chętnie pomagałem swoim przyjaciółkom płatać psie figle nauczycielowi tańców. Spadały na nas zazwyczaj upomnienia gospodarza lub urzędników uzurpujących sobie dyktatorską władzę, bo moje przyjaciółki (nawet Anna, którą z tej przyczyny wzięłem pierwszego dnia za istotę tak dionizyjską, a która była, przeciwnie, wątłą intelektualistką i tego roku była bardzo cierpiąca, powodując się mimo to nie tyle swoim stanem zdrowia, ile duchem owego wieku, zwyciężającego wszystko i łączącego w wesołości chorych i zdrowych) nie mogły wejść do hallu, do sali zabaw, aby nie biegać, nie skakać przez wszystkie krzesła, nie ślizgać się przez całą długość sali, zachowując równowagę wdzięcznym ruchem ramion, śpiewając, łącząc w tej pierwszej młodości wszystkie sztuki, na sposób owych poetów z dawnych wieków, dla których rodzaje jeszcze nie uległy rozgraniczeniu i którzy w epicznym poemacie mieszają przepisy rolnicze z teologią.

Ta Anna, która mi się wydawała pierwszego dnia raczej chłodna, była nieskończenie delikatniejsza, serdeczniejsza, subtelniejsza niż Albertyna, którą otaczała pieśczośliwą i słodką czułością starszej siostry. Siadała w kasynie obok mnie i umiała — w przeciwieństwie do Albertyny — odmówić tury walca lub nawet, jeżeli byłem zmęczony, wyrzec się pójsia do kasyna, po to aby zająć do mnie do hotelu. W objawach swojej przyjaźni dla mnie, dla Albertyny, miała odcienie dowodzące uroczej inteligencji serca, płynącej po części może z jej chorobliwego stanu. Umiała zawsze wesołym uśmiechem usprawiedliwić dzieciństwo Albertyny, z naiwną gwałtownością dające wyraz nieodpartej pokusie, jaką dla niej przedstawiały rozrywki, ponad które nie umiała, jak Anna, wręcz przełożyć rozmowy ze mną... Kiedy się zbliżała godzina jakiegoś podwieczorku na golfie, jeżeli by-

Młodość, Poezja

liśmy wszyscy razem w tej chwili, Albertyna zbierała się, po czym, zbliżając się do Anny, mówiła:

— Anno, na cóż ty czekasz, wiesz, że mamy być na golfie.

— Nie, ja zostanę z nim — odpowiadała Anna, wskazując na mnie.

— Ale wiesz, że pani Durieux zaprosiła cię — wołała Albertyna, jak gdyby zamiar Anny zostania ze mną dał się wytłumaczyć jedynie nieświadomością faktu, że jest zaproszona.

— Słuchaj, dziecko, nie bądź idiotką — odpowiadała Anna.

Albertyna nie należała z obawy, aby jej nie wypadło zostać także. Potrząsała głową:

— Rób, jak chcesz — odpowiadała, tak jak się mówi choremu, który dla przyjemności zabija się dobrowolnie powolną śmiercią — ja więcej, bo zdaje mi się, że twój zegarek się spóźnia — i brała nogi za pas.

— Ona jest urocza, ale niesłuchana — mówiła Anna, obejmując przyjaciółkę uśmiechem, który ją pieścił i sądził równocześnie. Jeżeli w tej namiętności rozrywek Albertyna miała coś z Gilberty z pierwszego okresu, to dlatego że przy równoczesnej ewolucji istnieje pewne podobieństwo między kobietami, jakie kolejno kochamy. Podobieństwo to wynika z trwałości naszej natury, ona to bowiem wybiera owe kobiety, wyłączając wszystkie te, które by nie były dla nas równocześnie kontrastowe i dopełniające, czyli zdolne zadowolić nasze zmysły i udręczyć nasze serce. Te kobiety są produktem naszego temperamentu, obrazem, odwróconą projekcją, „negatywem” naszej wrażliwości. Tak iż powieściopisarz mógłby w ciągu życia swego bohatera odmalować jego kolejne miłości, niemal identyczne, i przez to dać wrażenie nie naśladowania samego siebie, lecz tworzenia, mniej bowiem jest siły w sztucznej różnitości niż w powtórzeniu mającym wywołać nową prawdę. A także w charakterze kochanka powinien by podkreślić wskaźnik odmiany zaznaczającej się, w miarę jak wchodzimy w nowe regiony, w inne strefy życia. I może wyraziłby jedną prawdę więcej, gdyby, malując charaktery innych osób, poniechał w ogóle dania charakteru kochanej kobiecie. Znamy charakter ludzi obojętnych, ale jak moglibyśmy ująć charakter istoty, która się stapia z naszym życiem, której niebawem nie zdołamy odłączyć od siebie samych, co do której pobudek nie przestajemy tworzyć trwożliwych i wciąż odmiennych hipotez? Tryskając spoza sfery inteligencji, nasza ciekawość kobiety, którą kochamy, wybiega poza charakter tej kobiety; choćbyśmy się mogli przy nim zatrzymać, nie chcielibyśmy z pewnością. Przedmiot naszego niespokojnego poszukiwania bardziej jest zasadniczy niż te właściwości charakteru, podobne do owych małych rombów naskórka, których przeróżne kombinacje tworzą kwitnącą oryginalność ciała. Nasze intuicyjne promieniowanie przechodzi przez nie, a obrazy, jakie nam ono przynosi, nie są obrazami poszczególnej twarzy, ale mają posępną i bolesną uniwersalność szkieletu.

Ponieważ Anna była bardzo bogata, Albertyna zaś uboga i sierota, Anna bardzo wspaniałomyślnie pozwalała jej korzystać ze swego zbytku. Co się tyczy uczuć Anny dla Gizeli, nie były one zupełnie takie, jak przypuszczałem. Nadeszły bowiem rychło nowiny od tej uczennicy; kiedy Albertyna pokazała list od Gizeli, mający całej gromadce udzielić nowin o jej podróży i przybyciu, tłumaczący lenistwem to, że jeszcze nie napisała do innych, zdziwiłem się, iż Anna, śmiertelnie — jak sądziłem — pokłócona z Gizelą, rzekła:

— Napiszę do niej jutro, bo gdybym czekała jej listu, mogłabym czekać długo, ona jest taka niedbała. — I obracając się do mnie, dodała: — Panu się ona zapewne nie wydałaby niezwykła, ale to taka dzielna dziewczyna, doprawdy mam dla niej wiele przywiązania.

Wynioskowałem stąd, że urazy Anny nie trwają długo.

Z wyjątkiem tych deszczowych dni, kiedyśmy się wybierali na rowerach na wybrzeże lub na wieś, na godzinę przedtem starałem się upięknąć i biadałem, jeżeli Franciszka nie przygotowała moich rzeczy. Otóż nawet w Paryżu, kiedy się złapało Franciszkę na jakimś błędzie, prostowała z dumą i z wściekłością postawę, którą wiek zaczynał już przygarbiać; ona, tak pokorna, skromna i urocza, kiedy jej miłość własna była zadowolona! Ponieważ ta miłość własna była główną sprężyną jej życia, zadowolenie i humor Franciszki były w prostym stosunku do trudności rzeczy, jakich się od niej żądało. To, co miała do roboty w Balbec, było tak łatwe, że okazywała prawie ciągle niezadowolenie, zestokrotnione nagle i podkreślone ironicznym wyrazem dumy, kiedy w chwili, gdym spieszył do młodych przyjaciółek, załilem się, iż kapelusze jest nieoczyszczony lub krawaty w nieładzie. Ona,

zdolna zadać sobie tyle trudu bez poczucia własnej pracy, na prostą uwagę, że marynarka była nie na swoim miejscu, nie tylko chwaliła troskliwość, z jaką „wolała ją schować, niż żeby dała się jej kurzyć”, ale wygłaszając formalną apologię swoich prac, ubolewała, że właściwie Balbec to nie są żadne wakacje, że nie znalazłoby się drugiej, która by się zgodziła na takie życie. „Nie do pojęcia, jak można tak rozwłóczyć swoje rzeczy; nich pan spróbuje, czy by inna co znalazła w takim bigosie. Sam diabeł by się tu nie odnalazł”. Albo przybierała twarz królowej, rzucając mi płomienne spojrzenia i zachowując milczenie, przerywane natychmiast, skoro tylko zamknęła drzwi za sobą; wówczas korytarz rozbrzmiewał wykrzyknikami, które musiały być obelżywe, ale były równie niewyraźne jak słowa aktorów wygłaszających pierwsze wyrazy za drzwiami, nim wejdą na scenę.

Zresztą, kiedym się gotował wyjść z moimi przyjaciółkami, nawet jeżeli nic nie brakowało, a Franciszka była w dobrym humorze, i tak bywała nieznośna. Wspomagając się bowiem conceptami, które, w swojej potrzebie mówienia o tych dziewczętach, robiłem wobec Franciszki, niby to odsłaniała mi rzeczy, które ja byłbym wiedział lepiej od niej, gdyby były ściśle, ale które nie były ściśle, bo po prostu źle coś zrozumiała. Miała, jak wszyscy, swój charakter; człowiek nie jest podobny do prostej drogi, ale zadziwia nas osobliwymi i nieuniknionymi zakrętami, których inni nie spostrzegają i które ciężko nam jest przebywać. Za każdym razem, kiedym dochodził do punktu: „kapelusz nie na swoim miejscu”, do imion Anny i Albertyny, Franciszka zmuszała mnie, abym się zapuszczał w kręte i absurdalne ścieżki, które mnie bardzo opóźniały. Tak samo było, kiedym kazał przygotować sandwicze z serem i z sałatą i kupić ciastek, które miałem jeść na skałach w godzinie podwieczorku z dziewczętami. „Mogłyby i one przynieść czasem jakąś przekąskę, gdyby nie były takie żyły” — oświadczała Franciszka, której przychodził wówczas z pomocą cały atawizm prowincjonalnej chciwości i pospolitości. Można by rzec, że rozszczępiona dusza nieboszczki Eulalii wcieliła się dla Franciszki w uroczę ciała moich przyjaciółek z większym wdziękiem niż w świętego Eligiusza. Słuchałem tych oskarżeń z uczuciem wściekłości, że trafiam na jeden z owych punktów, od których począwszy wiejska i powszednia droga charakteru Franciszki stawała się nie do przebycia — nie na długo na szczęście. Następnie, skoro się marynarka znalazła, a sandwicze były gotowe, spieszyłem do Albertyny, Anny, Rozamondy — jeszcze innych czasem — i pieszo lub na rowerach puszczaliśmy się w drogę.

Niegdyś byłbym wolał, aby taki spacer wypadł w niepogodę. Wówczas sililem się odnaleźć w Balbec, „kraj Cymeryjczyków”; pogodne dni były rzeczą, która nie powinna tam istnieć, inwazją pospolitego lata letników w tę starożytną dziedzinę przesłoniętą mgłami. Ale teraz wszystko, czym wprzód wzgardziłem, com usuwał ze swego pola widzenia, nie tylko efekty słońca, ale nawet regaty, wyścigi konne, wszystko to stało mi się upragnione z tej samej przyczyny, dla której byłbym pragnął dawniej jedynie burzliwego morza; mianowicie dlatego, że te rzeczy kojarzyły się, jak niegdyś tamte, z ideą estetyczną. Bo z mymi przyjaciółkami odwiedzaliśmy czasami Elstira; otóż w dniu, kiedy były u niego te dziewczęta, najchętniej pokazywał nam rysunki ładnych *yachtswomen* lub jakiś szkic hipodromu w sąsiedztwie Balbec.

Wyznałem nieśmiało Elstirowi, że unikam reunionów, jakie tam dawano.

— Źle pan robił — rzekł — to takie ładne i takie ciekawe. Po pierwsze, ta szczególna istota, dżokej, na którym skupia się tyle spojrzeń i który przed startem, posępny, szary w swojej lśniącej kurtce, tworzy jedno z harcującym koniem, tak nad nim panując! Jakże by to było interesujące podchwycić jego zawodowe ruchy, pokazać błyszczącą plamę, jaką tworzy i jaka tworzy też czaprak koński na polu wyścigowym. Co za przeobrażenie wszystkich rzeczy w tym promiennym ogromie pola wyścigowego, gdzie nas zaskakuje tyle cieni, blasków, istniejących tylko tam! A kobiety — jakież mogą tam być ładne! Pierwszy reunion zwłaszcza był uroczy, były tam kobiety niesłychanie eleganckie, w jakimś wilgotnym, holenderskim świetle, gdzie się czuło w samym słońcu przenikliwy chłód wody. Nigdy nie widziałem kobiet przyjeżdżających powozem lub z lornetką przy oczach w podobnym świetle, wynikłym z morskiej wilgoci. Och! Jakże bym pragnął oddać tę wilgoć: wróciłem z tych wyścigów jak oszalały, z taką żądzą malowania!

Potem Elstir zachwycał się partiami jachtingu, jeszcze bardziej niż wyścigami. Zrozumiałem, że regaty, że meetingi sportowe, gdzie dobrze ubrane kobiety kąpią się w sele-

dynowym świetle morskiego hipodromu, mogą być dla nowoczesnego artysty motywem równie interesującym jak festyny, które tak lubili opowiadać jakiś Veronese lub Carpaccio.

— Pańskie porównanie jest tym ściślejsze — rzekł Elstir — że w mieście gdzie oni malowali, fety te były w znacznej części wodne. Tylko że piękność ówczesnych statków spoczywała najczęściej w ich ciężkości, w ich komplikacji. Były turnieje na wodzie, jak tutaj, wydawane przeważnie na cześć jakiejś ambasady, jak ten, który Carpaccio przedstawił w *Legendzie o świętej Urszuli*. Okręty były masywne, zbudowane jak gmachy, podobne do jakichś ziemnowodnych płazów, niby mniejsze Wenecje pośród tamtej prawdziwej, kiedy, przycumowane za pomocą ruchomych mostków, pokryte szkarłatnym ałasem i perskimi dywanami, dźwigały kobiety obleczone w wiśniowy brokat lub zielony adamaszek, w pobliżu balkonów inkrustowanych barwnym marmurem, skąd inne kobiety wychylały się, przyglądały, w sukniach o czarnych rękawiczkach z białymi rozporami, oszytymi perłami lub strojnymi koronką. Nie wiedziało się już, gdzie się kończy ziemia, gdzie się zaczyna woda, co jest jeszcze pałacem, a już okrętem, karawelą, galeasą, Bucentaurem.

Albertyna z namiętną uwagą słuchała szczegółów toaletowych, obrazów zbytku, jakie nam malował Elstir.

— Och, chciałabym widzieć te koronki, o których pan mówi, to takie ładne, *point de Venise* — wykrzyknęła — zresztą tak bym chciała pojechać do Wenecji.

— Będzie pani mogła niedługo — rzekł Elstir — oglądać cudowne materie, jakie tam noszono. Widywało się je już tylko na obrazach weneckich malarzy lub bardzo rzadko w skarbcach kościelnych; czasem nawet zjawiało się coś takiego na publicznej sprzedaży. Ale powiadają, że artysta wenecki, Fortuny, odnalazł sekret ich wyrobu i że nie upłynęło kilka lat, a kobiety będą się przechadzały, a zwłaszcza siedziały w domu, w brokatakach równie wspaniałych jak te, które zdobyła Wenecja wschodnimi deseniami dla swoich patrycjuszek. Ale nie wiem, czy by mi się to podobało, czy to nie będzie kostium zbyt anachroniczny dla dzisiejszych kobiet, nawet paradujących na regatach; bo, aby wrócić do naszych nowoczesnych statków luksusowych, to jest coś zupełnie przeciwnego niż za czasów Wenecji, *królowej Adriatyku*. Największy urok jachtu, urządzenia jachtu, toalet jachtingu, to ich prostota, właściwa rzeczom morskim, a ja tak lubię morze. Wyznaję, że wolę dzisiejsze mody od mód z czasu Veronese'a, a nawet Carpaccia. Ładne w naszych jachtach jest — średnich jachtach zwłaszcza, bo nie lubię tych ogromnych, zbyt okrętowatych; to tak jak z kapeluszami, trzeba zachować pewną miarę — owo coś gładkiego, prostego, jasnego, szarego, co w zamglone sinawe dnie ma coś z miękkości piany. Trzeba, żeby pokój, w którym się siedzi, miał coś z kawiarenki. Toż samo toalety kobiet na jachcie: owe tak pełne wdzięku suknie, lekkie, białe i gładkie, z płótna, z batystu, z pekinu, z drelichu, które w słońcu i w błękicie morza tworzą białość równie olśniewającą jak biały żagiel. Bardzo jest zresztą mało kobiet umiejących się ubrać, ale niektóre są bajeczne. Na wyścigach panna Lea miała biały kapelusik i białą umbrelkę: coś czarującego! Nie wiem, co bym dał, żeby mieć tę białą umbrelkę.

Szalenie byłbym ciekaw, czym ta umbrelka różniła się od innych; z przyczyn mieszczących się w sferze kokieterii kobiecej Albertyna była ciekawa tego jeszcze bardziej. Ale jak Franciszka mówiła o suffecie: „Trzeba mieć dotyk”, tak tu różnica była w kroju.

— To było — powiedział Elstir — całkiem małe, okrągłe, jak chiński parasol.

Przytoczyłem umbrelki niektórych kobiet, ale to nie było to. Elstir uznał wszystkie te umbrelki za „ohydne”. Ten człowiek o wybrednym i wykwinnym smaku mieścił w odcieniu — który był wszystkim — różnicę między tym, co nosiła większość kobiet i co go przejmowało wstrętem, a ładną rzeczą, która go czarowała i która (gdy ja, przeciwnie, odczuwałem wszelki zbytek jako coś wyjąławiającego) podniecała jego żądzę malowania, „aby się starać zrobić coś równie ładnego”.

— Patrz pan, ta mała już zrozumiała, jaki był ten kapelusz i ta umbrelka — rzekł Elstir, wskazując Albertynę, której oczy błyszczały pożądliwością.

— Jakże ja chciałabym być bogata, aby mieć jacht — rzekła do malarza. — Poprosiłabym pana o radę, jak go urządzić. Co za piękne podróże bym robiła! I jakie by to było ładne pojechać na regaty do Cowes. A auto! Czy pan uważa, że to ładne, mody kobiecie do auta?

— Nie — odparł Elstir — ale to przyjdzie z czasem. Po pierwsze, mało jest krawców damskich; jeden albo dwóch; Callot, mimo że zanadto kocha się w koronkach, Doucet, Cheruit, czasami Paquin. Reszta to ohyda.

— Ależ w takim razie jest ogromna różnica między toaletą od Callot a od przeciętnego krawca? — spytał Albertyna.

— Ależ olbrzymia, głuptasku — odparła. — Och, przepraszam. Tylko, niestety, to, co gdzie indziej kosztuje trzysta franków, u nich kosztuje dwa tysiące. Ale to nie jest podobne do siebie; wydaje się jednakie tylko ludziom niemającym pojęcia.

— Najzupełniej — odparł Elstir — nie posuwając się wszelako do twierdzenia, że różnica jest równie głęboka jak między posągami z katedry w Reims a z kościoła św. Augustyna. A, *à propos* katedr — rzekł, zwracając się specjalnie do mnie, ponieważ się to odnosiło do rozmowy, w której dziewczęta nie brały udziału i która by ich zresztą nie interesowała — mówiłem panu kiedyś o kościele w Balbec niby o wielkiej skale nadbrzeżnej, o pospolitym ruszeniu okolicznych kamieni; ale na odwrót — rzekł, pokazując mi akwarele — popatrz pan na to wybrzeże (to szkic robiony całkiem blisko stąd, w Creuniers), popatrz pan, jak te potężnie i delikatnie wycięte skały przywodzą na myśl katedrę.

W istocie można by rzec: olbrzymie różowe arkady. Ale malowane w skwarny dzień, wydawały się starte na pył, ulotnione gorącem, które na wpeł wypilo wodę, na całej rozciągłości płótna doprowadzoną niemal do stanu pary. W tym dniu, kiedy światło jak gdyby zniszczyło rzeczywistość, skupiła się ona w mrocznych i przezroczystych istotach, które przez kontrast dawały wrażenie życia bardziej przejmujące, bliższe: w cieniach. Większość ich, spragniona chłodu, opuszczając rozpaloną płaszczyznę, zbiegła się u stóp skał chroniących je od słońca; inne, pływając z wolna po wodzie niby delfiny, czepiały się spacerujących łodzi, których kadłub poszerzały na bladej wodzie swoim lśniącem i błękitnym ciałem. Może to przejęta od nich żądza chłodu najbardziej dawała wrażenie upału tego dnia, co mi kazało wykrzyknąć, jak bardzo żałuję, że nie znam Creuniers. Albertyna i Anna upewniły mnie, że musiałem tam być sto razy. W takim razie byłem tam bez swojej wiedzy, nie podejrzewając, że któregoś dnia widok owych Creuniers mógłby we mnie wzbudzić taką żądzę piękności, niekoniernie naturalnej, jak ta, której szukałem dotąd na wybrzeżach Balbec, ale raczej architektonicznej. Wyjechawszy po to, aby oglądać królestwo burz, w spacerach naszych z panią de Villeparisis, gdzie często widzieliśmy morze tylko z daleka, wymalowane w przestrzeni między drzewami, nie znajdowałem nigdy oceanu dość realnym, dość płynnym, dość żyjącym, dającym wrażenie przewalającej się masy wód; jeżeli bym go rad widzieć nieruchomym, to jedynie pod zimowym całunem mgieł; i zaledwie byłbym uwierzył, że będę teraz marzył o morzu będącym już tylko białawą parą, bez konsystencji i barwy. Ale Elstir, jak ci, co marzyli w tych barkach odrętwionych upałem, zakosztował czaru tego morza aż do takiej głębi, że umiał oddać, utrwalić na płótnie niedostrzegalny odpływ wód, pulsowanie szczęsnej minuty; i nagle, widząc ten czarodziejski portret, widz czuł się tak rozkochany, że myślał już tylko o tym, aby biec przez świat po to, by odnaleźć zbiegły dzień w jego ulotnym i sennym wdzięku.

Przed tymi wizytami u Elstira, nim ujrzałem jego pejzaże morskie — gdzie młoda kobieta w bareżowej lub batystowej sukni, na jachcie z amerykańską flagą, pomieściła duchową kopię białej batystowej sukni i flagi w mojej wyobraźni, która natychmiast wylęgła nienasyconą żądzę widzenia białych batystowych sukien i flag w sąsiedztwie morza, tak jakby mi się to dotąd nigdy nie zdarzyło — siłem się zawsze w obliczu morza wygnąć z mojego pola widzenia zarówno kąpiących się na pierwszym planie, jak jachty o żaglach zbyt białych niby kostium plażowy. Oddalałem od siebie wszystko, co mi przeszkadzało wmówić w siebie, iż patrzę na odwieczną falę, roztaczającą własne tajemnicze życie już przed zjawieniem się rodzaju ludzkiego; nawet promienne dni, które przybierając dla mnie banalny wygląd uniwersalnego lata na tym wybrzeżu mgieł i burz, znaczyły na nim po prostu pauzę, równoważnik tego, co się nazywa w muzyce pustym taktem. Otóż teraz znowuż niepogoda zdawała mi się jakimś złowrogim wypadkiem, niezdolnym już sobie znaleźć miejsca w świecie piękności. Żywo pragnąłem odnaleźć w rzeczywistości to, co mnie tak zachwycało i spodziewałem się, że czas będzie dość pomyślny, aby ujrzeć z wysokości skał te same błękitne cienie, co na obrazie Elstira.

Po drodze nie przysłałem już sobie zresztą oczu rękami, jak w owych dniach, kiedy szukałem w naturze życia wcześniejszego od zjawienia się człowieka; kiedy na złość wszystkim uprzykrzonym zdobyciom przemysłu, które kazały mi dotąd ziewać z nudów na Wystawach Powszechnych lub u modystek, próbowałem widzieć tylko ten wycinek morza, gdzie nie było parowego statku, tak aby sobie uprzytomnić owo morze odwieczne, jeszcze współczesne epoce, gdy odłączyło się od ziemi, co najmniej współczesne pierwszym wiekom Grecji, co mi pozwalało powtarzać sobie z całym przejęciem wiersze „ojca Leconte” drogie Blochowi:

Pomknęły króle na skrzydlatych nawach,
Wiodąc przez morze, burzliwe, niestety,
Kosmate woje rycerskiej Hellady...

Nie mogłem już gardzić modystkami, skoro Elstir powiedział mi, że delikatny gest, jakim one dają ostatnie dotknięcie, subtelną pieśczętą kokardom lub piórom ukończonego kapelusza, byłby dlań równie interesujący do oddania, co gest dżokejów (co wprawilo w zachwyt Albertynie). Ale trzeba było — co się tyczy modystek — czekać powrotu do Paryża, a co się tyczy wyścigów i regat — do Balbec, gdzie już ich nie miało być przed następnym sezonem. Nawet jachtu unoszącego kobiety w białym batyście niepodobna było znaleźć.

Często spotykaliśmy siostry Blocha, którym musiałem się kłaniać od czasu, jak byłem na obiedzie u ich ojca. Moje przyjaciółki nie znały ich. „Nie pozwalają mi się bawić z Israelitkami” — mówiła Albertyna. Sposób, w jaki wymawiała *Israelitka* zamiast „Israelitka”, wystarczałby za dowód, nawet gdyby się nie słyszało początku zdania, że tych młodych mieszczanek nie ożywiały uczucia sympatii wobec ludu wybranego: pochodząc z nabożnych rodzin, łatwo mogły wierzyć, że żydzi mordują dzieci chrześcijańskie. „Zresztą pańskie przyjaciółki mają fatalny ton” — mówiła Anna z uśmiechem, który znaczył, iż wie dobrze, że to nie są moje przyjaciółki. „Jak wszystko, co trąci plemieniem Izraela” — odpowiadała Albertyna sentencjonalnym tonem doświadczonej osoby. Prawdę mówiąc, siostry Blocha, zarazem zbyt strojne i na wpół nagie, z miną omdlewającą, czelną, zamożną i szmatławą, nie robiły najlepszego wrażenia. A jedna z ich kuzynek, mająca dopiero piętnaście lat, gorszyła kasyno podziwem, jaki manifestowała dla panny Lei, której aktorski talent starszy pan Bloch bardzo cenił, ale której gusty, jak mówiono, nie zawsze kierowały się w stronę mężczyzn.

Bywały dni, że jedliśmy podwieczorek w którejś z ferm w sąsiedztwie. Fermy te nosiły nazwy „Écorres”, „Marie-Thérèse”, „Croix d’Herland”, „Bagatela”, „Kalifornia”, „Marie-Antoinette”. Tę zwłaszcza upodobała sobie „banda”.

Ale czasami zamiast się udać do fermy wspinaliśmy się na sam szczyt skał i rozsiadaliśmy się na trawie, rozpakowywaliśmy sandwicze i ciastka. Dziewczęta wołały sandwicze i dziwiły się, że ja jem tylko czekoladowe ciastko, gotycko ilustrowane cukrem, lub placuszek z morelami. Bo z sandwiczami z chesterem i z sałatą, potrawą ciemną i nową, nie miałem o czym mówić. Natomiast ciastka były świadome, placuszki rozmowne. W ciastkach była mdłość kremu, a w placuszkach świeżość owocu, które tyle wiedziały o Combray, o Gilbertcie, nie tylko o Gilbertcie z Combray, ale i o tej z Paryża, gdzie odnalazłem je na podwieczorkach u niej. Przypominały mi owe talerzyki deserowe z *Tysiącem i jedną nocą*, tak bawiące swoimi historiami ciotkę Leonie, kiedy Franciszka przynosiła jej jednego dnia *Aladyna*, czyli *Cudowną Lampę*, drugiego *Ali-Babę* albo *Sindbada żeglarza, jadącego z Bassory ze wszystkimi swymi skarbami*. Byłbym bardzo rad ujrzeć te talerzyki, ale babka nie wiedziała, co się z nimi stało; uważała zresztą, że to są pospolite talerze, kupione na miejscu. To nic, że talerze i ich winietki lśniły wielobarwnie w owym szarym — jak cała Szampania — Combray, jak w czarnym kościele witraże o mieniących się drogich kamieniach, jak w mroku mojego pokoju projekcje latarni magicznej, jak przed dworcem departamentalnej kolei żelaznej indyjskie jaskry i perskie bzy, jak chińska kolekcja ciotki w jej posępnym mieszkanku prowincjonalnej starej damy.

Wyciągnięty nad urwiskiem widziałem przed sobą jedynie łąki, a ponad nimi nie siedem nieb chrześcijańskiej fizyki, ale spiętrzenie tylko dwóch: jednego ciemniejszego — morza — a wyżej drugiego, bledszego. Jedliśmy podwieczorek, a jeżeli przyniosłem

Antysemityzm

i jakąś małą pamiątkę, zdolną spodobać się którejś z dziewcząt, radość napelniała tak nagle i tak gwałtownie ich przezroczyste twarze, w jednej chwili poczerwieniała, że ich usta nie miały siły powstrzymać tej radości i aby jej dać upust, wybuchały śmiechem. Siedziały w krąg dokoła mnie; i między twarzami niezbyt oddalonymi od siebie powietrze, które je dzieliło, kreśliło lazuruowe ścieżki, jakby wytyczone przez ogrodnika, pragnącego zrobić trochę luzu, aby móc swobodniej krążyć w klombie róż.

Wyczerpawszy zapasy, graliśmy w gry, które wprzód wydawałyby mi się nudne, czasem równie dziecinne jak „łapki” lub „kto się pierwszy rozśmiej”, ale których teraz nie wyrzekłbym się bodaj za królestwo. Jutrzenka młodości, różowiąca jeszcze twarze tych dziewcząt, którą ja, w swoich latach, miałem już poza sobą, rozpromieniała w nich wszystko i niby płynny pędzel niektórych prymitywów rzeźbiła najblahsze wydarzenia ich życia na złotym tle. Przeważnie nawet twarze tych dziewcząt spływały się w owej mglistej różowości jutrzzenki, skąd prawdziwe rysy jeszcze się nie wyłoniły. Widziało się jedynie uroczą barwę, pod którą to, czym miał się stać za kilka lat profil, było jeszcze nie do rozpoznania. Dzisiejszy ich profil nie miał nic ostatecznego i mógł być jedynie chwilowym podobieństwem z jakimś zmarłym członkiem rodziny, którego natura uczciła tym grzecznościowym wspomnieniem. Tak szybko przychodzi chwila, gdy już nie mamy czego oczekiwać, gdy ciało stężeje w martwocie niewrózającej już niespodzianek, gdy się traci wszelką nadzieję, widząc — niby na drzewach w pełni lata martwe już liście — dokoła młodych jeszcze twarze wypadające lub bielejące włosy; tak krótki jest ów promienny poranek, że dochodzi się do tego, iż kocha się tylko bardzo młode dziewczęta, te, u których ciało, niby szacowne ciasto, rośnie jeszcze. Są one jedynie falą materii, ciągną, wciąż ugniataną władnym nimi przemijającym wrażeniem. Można by rzec, że każda jest kolejno małą statuetką wesela, młodzieńczej powagi, przymilności, zdziwienia — modelowaną szczerym, pełnym, lecz ulotnym wyrazem. Ta plastyczność daje wiele różnorodności i wdzięku milusim względom, jakimi darzy nas młoda dziewczyna. Zapewne, są one nieodzowne i u kobiety, a ta, której się nie podobamy albo która nam nie okazuje, że się jej podobamy, przybiera w naszych oczach coś nudno jednostajnego. Ale same te przymilności, począwszy od pewnego wieku, nie dają już owych miękkich falistości twarzy, którą walki życia stwardniły, dając jej na zawsze coś wojującego lub ekstatycznego. Jedna twarz — siłą ciągłego posłuszeństwa, poddającego żonę władzy męża — wydaje się raczej twarzą żołnierza niż kobiety; inna, wyrzeźbiona każdodziennym poświęceniem matki dla dzieci, jest twarzą apostoła. Inna jeszcze, po latach walk i burz, zmienia twarz kobiety — o której płci świadczy jedynie strój — w twarz starego wilka morskiego. I niewątpliwie, względem, jakie ma dla nas kobieta, mogą jeszcze, kiedy ją kochamy, usiąć nowymi urokami pędzone przy niej godziny. Ale ona nie jest dla nas kolejno różnorodną kobietą. Wesołość jej pozostaje czymś na zewnątrz jej niezmiennej twarzy. Natomiast młodość wcześniejsza jest od całkowitego stężenia; stąd pochodzi, że w towarzystwie młodych dziewcząt odczuwamy ową świeżość, czerpaną w widoku kształtów wciąż zmiennych, igrających w nieustannych przeciwieństwach, każących myśleć o owym ustawicznym odradzaniu się praprzrody, jakie oglądamy w obliczu morza.

I nie tylko jakieś przyjęcie lub spacer z panią de Villeparisis byłbym poświęcił dla „pytki” albo „szarad” z moimi przyjaciółkami. Kilka razy Saint-Loup kazał mi oznajmić, że skoro ja nie przyjeżdżam do Doncières, on poprosi o dwudziestoczerogodzinny urlop, aby spędzić ten czas w Balbec. Za każdym razem wstrzymywałem go od tego, tłumacząc się, że właśnie tego dnia muszę dopełnić z babką jakichś rodzinnych obowiązków w sąsiedztwie. Bez wątplenia musiał źle o mnie sądzić, dowiadując się przez panią de Villeparisis, na czym polegają te obowiązki rodzinne i kto w tym wypadku pełni rolę mojej babki. A jednak nie robiłem może źle, poświęcając nie tylko uciechy światowe, lecz i rozkosze przyjaźni dla przyjemności spędzania całego dnia w tym ogrodzie. Istoty zdolne żyć dla siebie samych — prawda, że to są artyści, a ja byłem od dawna przekonany, że nie będę artystą nigdy — mają zarazem obowiązek to czynić; otóż przyjaźń jest dla nich zwolnieniem z tego obowiązku, wyrzeczeniem się samych siebie. Nawet rozmowa, będąca sposobem wyrażenia przyjaźni, jest powierzchowną dywagacją, nie przynoszącą nam nic. Możemy rozmawiać całe życie, powtarzając jedynie w nieskończoność pustkę jakiejś minuty, podczas gdy krok myśli w samotnej pracy artystycznego tworzenia idzie w głąb w tym jednym kierunku, który nam nie jest zamknięty, gdzie możemy posuwać

się — z większym trudem co prawda — ku zdobyciu prawdy. I przyjaźń jest nie tylko pozbawiona wartości jako rozmowa; jest, co więcej, zgubna. Bo ci z nas, których prawo rozwoju jest czysto wewnętrzne, nie mogą nie odczuwać wrażenia nieodzownej nudy w towarzystwie przyjaciela — wrażenia, że się zostaje na powierzchni samego siebie, zamiast wieść swoją odkrywczą podróż w głąb. Przyjaźń każe nam prostować owo wrażenie nudy, kiedy się znajdziemy sami; każe nam przypominać sobie ze wzruszeniem słowa przyjaciela, każe je nam uważać za cenny materiał, podczas gdy my nie jesteśmy jak budynki, którym można przydać kamieni z zewnątrz, ale jak drzewa, czerpiące z własnego soku następny węzeł swojej łodygi, wyższy szczebel swego rozwoju. Kłamałem samemu sobie, przerywałem wzrost w kierunku, w którym mogłem w istocie naprawdę urósć i być szczęśliwym, wówczas gdy sobie chwaliłem, że mnie kocha i podziwia istota tak dobra, tak inteligentna, tak pożądana jak Saint-Loup; kiedy dociągałem swoją inteligencję nie do własnych mętnych wrażeń, które przeniknąć było moim obowiązkiem, ale do słów przyjaciela. Powtarzając sobie te słowa — każąc je sobie powtarzać owemu drugiemu *ja*, które żyje w nas i na które zawsze jesteśmy tak radzi zwalić ciężar myślenia — siliłem się znaleźć w nich piękno, bardzo różne od tego, które ściagałem w milczeniu, kiedy byłem naprawdę sam, ale takie, które dałoby więcej wartości Robertowi, mnie samemu, memu życiu. W egzystencji, jaką mi stwarzał taki przyjaciel, czułem się pieczołowicie chroniony od samotności, szlachetnie żądny poświęcić dlań samego siebie — w sumie niezdolny do ziszczenia samego siebie. Przy dziewczętach natomiast, jeżeli przyjemność, jakiej kosztowałem, była samolubna, to przynajmniej nie wspierała się na kłamstwie, które stara się w nas wmówić, iż nie jesteśmy nieuleczalnie samotni, i które, kiedy z kimś rozmawiamy, nie pozwala nam wyznać sobie, że to już nie my mówimy, że się kształtujemy wówczas na podobieństwo istoty obcej, nie zaś naszego własnego *ja*, różnego od niej. Słowa, jakie wymienialiśmy z tymi dziewczętami, były mało interesujące, rzadkie zresztą, przerywane z mojej strony długim milczeniem. To mi nie przeszkadzało znajdować w słuchaniu ich, kiedy mówiły do mnie, tyleż przyjemności, co w patrzeniu na nie, co w odkrywaniu w głosie każdej z nich barwnego obrazu. Z rozkoszą słuchałem ich ćwierkania. Lubienie czegoś pomaga nam rozpoznawać, różniczkować. Miłośnik ptaków rozróżnia natychmiast w lesie owe właściwe każdemu ptakowi szczebioty, które zwykli ludzie mieszają. Miłośnik młodych dziewcząt wie, że głosy ludzkie są jeszcze rozmaitsze. Każdy głos posiada więcej nut niż najbogatszy instrument. I kombinacje, w jakich je grupuje, są równie niewyczerpane jak nieskończona różnorodność osobowości. Kiedym rozmawiał z którąś z moich przyjaciółek, spostrzegłem, że modulacje tak jej głosu, jak i twarzy genialnie rysowały mi oryginalny i jedyny w swojej indywidualności obraz, narzucając mi go despotycznie; że to są dwa widowiska, tłumaczące, każde na swojej płaszczyźnie, tę samą poszczególną rzeczywistość. Bez wątplenia linie głosu, jak linie twarzy, nie były jeszcze ustalone: głos miał jeszcze zmutować, tak jak twarz miała się zmienić. Jak dzieci posiadają gruczoł, którego sok pomaga im trawić mleko, a który nie istnieje już u dorosłych, tak w świecie tych dziewcząt były nuty, jakich kobiety już nie mają. I na tym bogatszym instrumencie grały wargami, z gorliwością, z zapalem muzykujących aniołków Belliniego, stanowiącymi wyłączny przywilej młodości. Później dziewczęta te tracą ów akcent entuzjastycznego przekonania, dający wdzięk najprostszym rzeczom, czy to gdy Albertyna z poczuciem swego autorytetu produkowała kalambury, których młodsze słuchały z podziwem, aż je ogarnął szalony śmiech, nieodparty i gwałtowny jak kichnięcie; czy kiedy Anna zaczynała mówić o pracach szkolnych, dziecinniejszych jeszcze niż ich zabawy, z powagą nie mniej dziecinną; i słowa ich detonowały, podobne owym strofom z dawnych czasów, kiedy poezję, jeszcze niewyzwoloną z muzyki, deklamowało się, niemal śpiewając. Mimo wszystko głos owych dziewcząt jasno już określał pojęcie każdej z tych osóbek o życiu, pojęcie tak indywidualne, że zbyt ogólnikowym byłoby powiedzieć o jednej: „wszystko bierze na żart”, o drugiej: „wszystko rozstrzyga apodyktycznie”, o trzeciej: „trwa w wyczekującym wahaniu”. Rysy naszej twarzy to niemal tylko gesty ustalone przyzwyczajeniem. Natura, jak katastrofa Pompei, jak metamorfoza nimfy, utrwaliła nas w nawykowym geście. Toż samo nasze intonacje zawierają naszą filozofię życia, to, co człowiek powiada sobie w każdej chwili o rzeczach.

Bez wątplenia, rysy te nie były wyłączną własnością dziewcząt. Należały do ich rodziców. Indywidualizm zanurzone jest w czymś ogólniejszym od niego. W tym sensie rodzice

przekazują nie tylko ów powtarzający się gest, jakim są rysy twarzy i głosu, ale także pewne sposoby mówienia, pewne uświęcone zwroty, które, prawie równie bezwiedne jak intonacja, prawie równie głębokie, zdradzają jak ona pewne spojrzenie na życie. Prawda, iż gdy chodzi o dziewczęta, są wyrażenia, jakich rodzice nie udzielają im przed pewnym wiekiem; zwykle nie wprzód, aż się staną kobietami. Chowa się je w zapasie. I tak kiedy była mowa o obrazach któregoś z przyjaciół Elstira, Anna nosząca jeszcze warkocze, nie mogła osobiście użyć wyrażenia, jakim posługiwały się jej matka i zamężna siostra: „Zdaje się, że jako *mężczyzna* jest czarujący”. Ale przyszłoby to później wraz z pozwoleniem na farsę w Palais-Royal. A już od pierwszej komunii Albertyna mówiła, jak przyjaciółka jej ciotki: „To by mi się zdawało dosyć okropne”. Dano jej też w prezencie zwyczaj żądania, aby ktoś powtórzył to, co mówił; w ten sposób okazywała zainteresowanie i starała się wytworzyć sobie własną opinię. Jeżeli się mówiło, że obrazy jakiegoś malarza są dobre lub jego domek ładny: „A, dobre są te obrazy? A, ładny jest ten domek?”. Jeszcze ogólniejsza wreszcie niż spadek rodzinny była soczysta materia narzucona przez prowincję, z której dziewczęta czerpały swój głos, a którą trąciły nawet ich intonacje. Kiedy Anna dawała słowu silniejszy akcent, mimo woli perygordzka struna jej krtani wydawała śpiewny ton, harmonizujący zresztą z południową czystością jej rysów; pustotom zaś Rozamondy, co bądź by czyniła, linie twarzy i głosu odpowiadały akcentem północnych stron. Słyszałem jak gdyby pełen wdzięku dialog między tą prowincją a naturą dziewczęcia, dyktującą jej tonację. Dialog, nie dysonans. Żaden dysonans nie zdołałby rozdzielić młodej dziewczyny z jej ziemią rodzinną. Sama jest jeszcze tą ziemią. Zresztą to oddziaływanie lokalnych czynników na ducha, który je spożytkowuje i któremu one przydają świeżości, nie uszczupla indywidualności dzieła — czy to będzie twór architekta, snycerza czy muzyka — nie zaciera najsubtelniejszych rysów osobowości artysty przez to, że ów musiał pracować w kamieniu z okolic Senlis lub w czerwonym kamieniu strasburskim, przez to, że uszanował słoje jesionu, że w swojej kompozycji liczył się z granicami, dźwiękami i możliwościami fletu lub altówki.

Zdawałem sobie z tego sprawę, a przecież rozmawialiśmy tak mało. Z panią de Villeparisis lub z Robertem okazywałem słowami o wiele więcej przyjemności niż jej odczuwałem w istocie, gdyż rozstawałem się z nimi zmęczony. Tu, przeciwnie, kiedy leżałem między tymi dziewczętami, pełnia moich doznań przewyższała nieskończenie ubóstwo i skąpość naszych słów, przelewając się z mojej nieruchomości i z mego milczenia falami szczęścia, których plusk zamierał u stóp tych młodych róż.

Dla rekonwalescenta, odpoczywającego cały dzień w ogrodzie kwiatowym lub w sadzie, tysiąc drobiazgów, z których składa się jego *far niente*, nasiąka zapachem kwiatów i owoców; tym samym był dla mnie ów kolor, ów aromat, których spojrzenia moje szukały u tych dziewcząt i których słodycz zespalała się w końcu ze mną. Tak winogrona nabierają słodyczy w słońcu. I przez swoją powolną ciągłość te tak proste zabawy powodowały też we mnie odprężenie, błogi uśmiech, mętne olśnienie, udzielające się nawet oczom, jak u tych, co nie czynią nic innego, tylko, wyciągnięci nad brzegiem morza, wdychają sól, opalają się.

Czasem przymilność którejś z dziewcząt budziła we mnie żywsze vibracje, oddalające na jakiś czas skłonność do innych. I tak jednego dnia Albertyna powiedziała:

— Kto ma ołówek?

Anna dostarczyła ołówka, Rozamonda papieru, Albertyna zaś oświadczyła:

— Moje kobietki, zabraniam wam zaglądać, co ja piszę. — Dołożywszy starań, aby porządnie wypisać każdą literę na ćwiartce wspartej na kolanach, podała mi ją, mówiąc: — Niech uważa, żeby nikt nie widział.

Rozwinąłem i wyczytałem te słowa: „Bardzo kogoś... lubię”.

— Ale zamiast pisać głupstwa — krzyknęła, obracając się z miną nagle popędliwą i poważną do Anny i Rozamondy — muszę pokazać list, który dostałam od Gizeli dziś rano. Oszalałam, mam go w kieszeni; i pomyśleć, że to się nam może tak przydać!

Gizela czuła się w obowiązku przesłać przyjaciółce — a przez nią wszystkim innym — wypracowanie, które zrobiła na egzamin pisemny. Obawę Albertyny co do trudności zadań pisemnych przewyższyły jeszcze dwa tematy, między którymi Gizela musiała wybierać. Jeden był: „Sofokles pisze z Hadesu do Racine’a, aby go pocieszyć po niepowodzeniu *Atalii*”; drugi: „Przypuść, że po pierwszym przedstawieniu *Estery* pani de

Sévigné pisze do pani La Fayette, aby jej wyrazić, jak bardzo żałowała jej nieobecności”. Otóż Gizela przez nadmiar gorliwości, która musiała wzruszyć egzaminatorów, wybrała pierwszy, trudniejszy, i potraktowała go tak niepospolicie, że uzyskała czternaście punktów i powinszowanie jury. Byłaby dostała klasę „bardzo dobrze”, gdyby się nie obcięła z hiszpańskiego. Albertyna odczytała nam z miejsca wypracowanie, którego kopię przesała jej Gizela, sama bowiem mając przed sobą ten egzamin, bardzo pragnęła usłyszeć zdanie Anny, o wiele tęższej od innych i mogącej jej dać cenne wskazówki.

— Ta ma szczęście — rzekła Albertyna. — Toż to właśnie temat, nad którym jej tu kazała ślęczyć nauczycielka francuskiego.

List Sofoklesa do Racine’a, zredagowany przez Gizelę, zaczynał się tak:

„Drogi przyjacielu, daruj mi, że piszę do ciebie, nie mając zaszczytu być ci osobiście znanym, ale twoja nowa tragedia o Atalii czyż nie wskazuje, żeś doskonale przestudiował moje skromne dzieła? Włożyłeś rymy nie tylko w usta protagonistów, czyli głównych osób dramatu, ale stworzyłeś wiersze, i to urocze — pozwól sobie powiedzieć bez pochlebstwa — dla chóarów, które podobno były ozdobą tragedii greckiej, ale które są we Francji prawdziwą nowością. Co więcej, twój talent, tak zwinny, wykwinny, tak uroczy, subtelny, delikatny, osiągnął siłę, której ci wieszczę. Atalia, Joad — oto osobistości, których twój rywal, Corneille, nie zdołałby lepiej postawić. Charaktery są męskie, intryga prosta i mocna. Nareszcie tragedia, której sprężyną nie jest miłość, co może budzić jedynie najszczerze uznanie. Najśłynniejsze przepisy nie zawsze są najprawdziwsze. Zacytuję ci jako przykład: „Tej czulej namiętności malowidło świeże, do serc słuchaczy drogę najprostszą obierze”.

Okazałeś, iż uczucie religijne, które tryska z twoich chóarów, nie mniej jest zdolne wzruszyć. Szeroka publiczność mogła być zaskoczona, ale prawdziwi znawcy oddają ci sprawiedliwość. Czulem potrzebę przesłania ci swoich powinszowań, do których łączę, drogi kolego, wyraz najoddańszych uczuć”.

Oczy Albertyny błyszcząły przez cały czas, gdy czytała.

— Można by przysiąc, że ona to skądś przepisała — wykrzyknęła, dobiegłszy końca. — Nigdy nie byłabym posądziła Gizeli, że potrafi wysmażyć taki kawałek. I te wiersze, które cytuję, skąd ona to mogła ściągnąć?

Podziw Albertyny, zmieniający co prawda przedmiot, ale jeszcze wzmożony, kazał jej, w połączeniu z wytężoną uwagą, „wybałuszać oczy” przez cały czas, kiedy Anna, której zdania czekano jako najstarszej i najbardziej obkutej, najpierw zaczęła mówić o zadaniu Gizeli z pewną ironią, po czym lekkim tonikiem, zbyt przejrzyście kryjącym intencję serio, odtworzyła na swój sposób ten sam list:

— To wcale niezłe — rzekła do Albertyny — ale gdybym była tobą i gdyby mi dano ten sam temat, co może się zdarzyć, bo go dają bardzo często, wzięłabym się do tego inaczej. Oto, jak bym go potraktowała. Najpierw, gdybym była Gizelą, nie pojechałabym na oślepi, ale na początek naznaczyłabym sobie na oddzielnej kartce plan. W pierwszym rzędzie postawienie kwestii i ekspozycja przedmiotu; potem idee ogólne, jakie bym zamierzała rozwinąć. Wreszcie ocena, styl, konkluzja. W ten sposób, mając wytyczne punkty, wie się, dokąd się idzie. Od samej ekspozycji tematu lub — jeżeli wolisz, Titinko, skoro to jest list — od wprowadzenia w przedmiot, Gizela sfuserowała. Pisząc do człowieka z XVII wieku, Sofokles nie powinien był pisać: *drogi przyjacielu*.

— Powinna była w istocie dać mu napisać: *mój drogi Racine* — wykrzyknęła z zapalem Albertyna. — To byłoby o wiele lepiej.

— Nie — odparła Anna tonem lekko drwiącym — powinna była napisać: „Monsieur”. Toż samo kończąc, powinna była znaleźć coś w rodzaju: „Pozwól, panie (lub, co najwyżej, drogi panie), bym wyraził uczucia szacunku, z jakimi mam zaszczyt pozostawać twoim sługą”. Z drugiej strony, Gizela powiada, że chóry w *Atalii* są nowością. Zapomina o *Esterze* oraz o dwóch tragediach mało znanych, ale które właśnie tego roku rozbiierał profesor, tak iż jedynie cytując je (bo to jest jego konik), byłaby pewna, że przejdzie. Jedna to *Żydówki* Roberta Garnier, druga *Aman* Montchrestiena.

Przytaczając oba tytuły, Anna nie mogła pokryć uczucia życzliwej wyższości, która wyraziła się w jej uśmiechu, zresztą dość miłym. Albertyna nie mogła ochłonąć:

— Anda, ty jesteś oszalamiająca — wykrzyknęła. — Musisz mi zapisać te dwa tytuły. Pomyśl, co za szansa, gdyby to na mnie padło, choćby przy ustnym, zaraz bym je wywaliła i zrobiłabym byczy efekt.

Ale później, ilekroć Albertyna prosiła Anny o podyktowanie jej tytułów tych dwóch sztuk, uczona przyjaciółka twierdziła, że zapomniała, i nie przypomniła ich już sobie nigdy.

— Następnie — (ciągnęła Anna tonem niedostrzegalnej pogardy dla dziecinnych koleżanek, ale szczęśliwa, że może budzić podziw i przywiązując do sposobu, w jaki wywiązałyby się z zadania, więcej wagi, niż chciała okazać) — Sofokles w Hadesie powinien być dobrze poinformowany. Musi tedy wiedzieć, że nie wobec szerokiej publiczności, ale przed Królem-Słońce i garstką wybranych dworaków wystawiono *Atalię*. To, co Gizela mówi z tej racji o uznaniu znawców, jest wcale niezłe, ale można by to rozwinąć. Sofokles, stawszy się nieśmiertelnym, może bardzo łatwo mieć dar proroczy i oznajmić, że wedle Woltera *Atalia* będzie nie tylko „arcydziełem Racine’a, ale arcydziełem ducha ludzkiego”.

Albertyna piła te słowa. Źrenice jej płonęły. I z najgłębszym oburzeniem odparła propozycję Rozamondy, aby zagrać w szarady.

— Wreszcie — rzekła Anna tym samym niedbałym, obojętnym, nieco drwiącym i dość apodyktycznym tonem — gdyby Gizela porządnie wynotowała sobie na początku ogólne myśli, jakie zamierzała rozwinąć, wpadłaby może na to, co ja byłabym zrobiła: mianowicie wykazać, czym się różni natchnienie religijne chórów Sofoklesa a chórów Racine’a. Zrobiłabym ustami Sofoklesa uwagę, że o ile chóry Racine’a nacechowane są uczuciem religijnym jak chóry tragedii greckiej, nie chodzi przecież o tych samych bogów. Bóg Joadą nie ma nic wspólnego z bogiem Sofoklesa. I to wiedzie nas całkiem naturalnie, z końcem rozbioru, do konkluzji: „I cóż stąd, że wierzenia są różne?”. Sofokles nie pozwoliłby sobie nastawać na ten punkt. Bałby się urazić przekonania Racine’a; toteż, natrącając z tej okazji parę słów o jego mistrzach z Port-Royal, woli wieszować swemu rywalowi górności poetyckiego lotu.

Podziw i uwaga rozgrzały Albertynę tak, że pocila się wielkimi kroplami. Anna zachowała uśmiechniętą flegmę żeńskiego dandysa.

— Niezłe byłoby również zacytować parę sądów sławnych krytyków — rzekła, zanim wrócono do gier.

— Tak — odrzekła Albertyna — mówiono mi to. Najbardziej godne uwagi, nieprawdaż, to sądy Sainte-Beuve’a i Merleta?

— Niezupełnie jesteś daleka od prawdy — odparła Anna, która zresztą, mimo błagań Albertyny, nie chciała jej wypisać dwóch innych nazwisk. — Merlet i Sainte-Beuve to niezłe robi, ale zwłaszcza trzeba zacytować Deltoura i Gascq-Desfossés.

Przez ten czas myślałem o kartce z notatnika, którą mi wsunęła Albertyna: „Bardzo kogoś... lubię”, i w godzinę później, schodząc drogami wiodącymi nas z powrotem, zbyt stromo na mój gust, do Balbec, powiadałem sobie, że to z nią przeżyję swój romans.

Stan określony zespołem znaków, z których poznajemy zazwyczaj, iż jesteśmy zakochani — na przykład rozkazy, jakie dawałem w hotelu, aby mnie nie budzono dla nikogo, z wyjątkiem którejś z tych dziewcząt, bicie serca w oczekiwaniu ich (bez względu na to której) i wściekłość moja w te dni, jeśli nie mogłem znaleźć fryzjera, żeby mnie ogolił i miałem się ukazać nie dość piękny oczom Albertyny, Rozamondy lub Anny, — bez wątpienia, ten stan, odradzający się na przemian dla tej lub innej, był równie odmienny od tego, co nazywamy miłością, jak od życia ludzkiego różni się życie zwierzokrzewów, w którym istnienie, indywidualność, jeżeli można tak powiedzieć, rozmieszczone są między rozmaite organizmy. Ale historia naturalna uczy, że taki organizm zwierzęcy da się obserwować i że własne nasze życie, o ile jest już trochę rozwinięte, również zawiera dowody realności dawniej przez nas niepodejrzewanych stanów, przez które mamy przejść, choćbyśmy je potem mieli porzucić. Takim był dla mnie ten stan miłosny, podzielony równocześnie między kilka dziewcząt. Podzielony lub raczej niepodzielony; najczęściej bowiem tym, co mi było rozkoszne, odmienne od reszty świata, tym, co zaczynało mi się stawać drogą tak, iż nadzieja odnalezienia tego nazajutrz była największą radością mego

Miłość

życia, była raczej cała gromadka dziewcząt, wzięta w całości tych popołudni na wybrzeżu, w czasie tych wietrznych godzin, na tym skrawku trawy, gdzie spoczywały owe tak podniecające moją wyobraźnię twarze Albertyny, Rozamondy, Anny. I niepodobna mi było określić, która z nich czyniła mi te miejsca czymś tak szacownym, którą najbardziej miałem ochotę kochać. Z początkiem miłości, jak z jej końcem, nie jesteśmy wyłącznie przywiązani do przedmiotu tej miłości. To raczej chęć kochania, z której wyniknie miłość (a później wspomnienie pozostawione przez miłość) — błądzi rozkosznie w strefie uroków zamiennych — często po prostu uroków natury, łakomstwa, mieszkania — na tyle harmonizujących z sobą, aby się ta chęć nie czuła przy żadnym z nich nie na miejscu. Zresztą, ponieważ w stosunku do tych dziewcząt nie byłem jeszcze zblazowany nawykiem, miałem zdolność widzenia ich, tym samym doznawania głębokiego zdumienia za każdym razem, kiedym się znalazł w ich towarzystwie. Bez wątpienia, zdumienie owo wynika po części stąd, że dana istota ukazuje nam wówczas nowe oblicze samej siebie; ale dowodzi też ono jej bogactwa, bogactwa linii twarzy i ciała, linii, z których tak mało się odnajduje w samowolnym uproszczeniu naszej pamięci, skoro już nie jesteśmy z tą osobą. Ponieważ pamięć wybrała sobie jakąś uderzającą nas właściwość, wyosobniła ją, przesadziła, czyniąc z kobiety, która nam się wydawała duża — szkic przesadzający jej wzrost lub z kobiety, która nam się wydawała różową blondynką — „harmonię różowo-złotą”, przeto z chwilą gdy na nowo znajdziemy się wobec tej kobiety, wszystkie inne zapomniane właściwości, stanowiące przeciwwagę tamtych, oblegają nas w swojej mętnej złożoności, zmniejszając wzrost, topiąc różowość i pod oczekiwane przez nas kształty podstawiając inne właściwości, które — pamiętamy to — zauważyliśmy, widząc ją pierwszy raz, przy czym nie pojmujemy, żeśmy się ich mogli nie spodziewać. Pamiętaliśmy pawia, zbliżamy się do niego i znajdujemy gila. I to nieuniknione zdziwienie nie jest jedyne; obok niego jest drugie, zrodzone z różnicy już nie między stylizacjami wspomnienia i rzeczywistości, ale między istotą widzianą ostatni raz a tą, która nam się dziś jawi pod innym kątem, w innej postaci. Twarz ludzka jest jak twarz Boga wschodniej teogonii; całe grono twarzy sąsiadujących na rozmaitych planach i niewidocznych równocześnie.

Pamięć, Wzrok

Ale w znacznej części zdziwienie nasze pochodzi zwłaszcza stąd, że jakaś istota ukazuje nam również tę samą fizjonomię. Trzeba by tak wielkiego wysiłku, aby odtworzyć wszystko, czego nam dostarczyło coś spoza nas — bodaj smak owocu — że zaledwie odebrawszy wrażenie, osuwamy się nieznacznie po pochyłości wspomnienia i nie zdając sobie z tego sprawy, w krótkim czasie jesteśmy bardzo daleko od tego, cośmy czuli. Tak iż każde nowe ujście jest rodzajem sprostowania, sprowadzającego nas do tego, cośmy widzieli. Nie pamiętaliśmy już, tak dalece to, co się zowie przypominaniem sobie jakiejś istoty, jest w rzeczywistości zapominaniem jej. Ale jak długo jeszcze umiemy widzieć w chwili, gdy się nam zjawia zapomniany rys, poznajemy go, musimy naprostować skrzywioną linię. W ten sposób ustawiczna i płodna niespodzianka, czyniąca mi owe codzienne spotkania z ładnymi dziewczętami na plaży czymś tak zbawczym i uelastyczniającym, składała się tyleż z przypomnień co z odkryć. Skoro dodać podniecenie obudzone tym, czym one były dla mnie (nigdy całkowicie tym, co byłbym przypuszczał: tym samym nadzieją następnego spotkania nie była już podobna do poprzedniej nadziei, ale do drgającego jeszcze wspomnienia ostatniej rozmowy), łatwo pojąć, iż każda przechadzka dawała gwałtowne pchnięcie moim myślom, i wcale nie w tym kierunku, jaki bym mógł wykreślić w samotności mego pokoju i na zimno. Ten kierunek był zapomniany, pogrzebany, kiedy wracałem drgający jak ul od słów, które mnie poruszyły i które długo rozbrzmiewały we mnie. Każda istota jest zniweczona, kiedy przestajemy ją widzieć; następne jej zjawienie się jest nowym tworzeniem, różnym od tego, które je bezpośrednio poprzedziło, o ile nie od wszystkich. Bo minimum różnaitości, mogącej istnieć w tych aktach tworzenia, to liczba dwóch. Jeżeli pamiętamy energiczny wzrok, zuchowatą minę, nieuchronnie za następnym widzeniem zadziwi nas, to znaczy prawie wyłącznie uderzy, profil niemal omdlewający, wyraz marzącej słodczy, — rzeczy zaniedbane przez nas w poprzednim wspomnieniu. W konfrontacji naszego wspomnienia z nową rzeczywistością to właśnie spowoduje nasz zawód lub zdziwienie; uderzy nas jak retusz rzeczywistości, ostrzegając, żeśmy sobie źle przypominali. Charakter twarzy, ostatnim razem przeoczony i z tego powodu najbardziej tym razem uderzający, najrealniejszy, najbardziej korygujący, stanie się z kolei treścią marzenia, wspomnień. Pragniemy ujrzeć jeszcze tęskny i płynny pro-

fil, słodki i marzący wyraz. I wówczas, następnym razem, znowuż samowola bystrych oczu, ostrego noska, zaciśniętych warg skoryguje rozdźwięk między naszym pragnieniem a rzekomym ich przedmiotem. Oczywiście ta wierność pierwszym i czysto fizycznym wrażeniom, odnajdywanym raz po raz u dziewcząt, nie tyczyła jedynie ich rysów. Wspominałem, że byłem równie wrażliwy na ich głos, bardziej może wzruszający (bo nie tylko wywiera to samo swoiste i zmysłowe działanie co twarz, ale należy do niedostępnej otchłani, rodzącej zawrót beznadziejnych pocałunków), na ich głos podobny do jedyne go dźwięku instrumentu, w który każda z nich wkładała siebie całą i który miała tylko ona. Wyczuwalna w każdym akcencie, tajemna linia każdego z tych głosów dziwiła mnie, kiedy ją poznawał, zapomniawszy jej wprzód. Tak że poprawki, jakie za każdym nowym spotkaniem musiałem czynić, aby odzyskać idealną ścisłość, były równie dobrze pracą stroiciela lub nauczyciela śpiewu, jak rysownika.

Co się tyczy harmonijnej spójności, w której od jakiegoś czasu neutralizowały się (przez opór, jaki każda stawiała przewadze innych) rozmaite uczuciowe fale wzbudzone we mnie przez te dziewczęta, spójność ta przerwała się na korzyść Albertyny jednego popołudnia, kiedyśmy się bawili „w lisa”. Było to w gajku na skalnym wybrzeżu. Mając miejsce między dwiema panienkami nienależącymi do „bandy” i zaproszonymi dlatego, żeśmy mieli być tego dnia w liczniejszym gronie, patrzyłem z zazdrością na młodego człowieka, sąsiada Albertyny, powiadając sobie, że gdybym był na jego miejscu, mógłbym dotykać dłoni dziewczęcia, podczas tych niespodzianych minut, które nie wrócą może nigdy, a które mogłyby mnie zaprowadzić bardzo daleko. Już samo z siebie — nawet bez następstw, jakie byłoby zapewne pociągnęło — dotknięcie rąk Albertyny byłoby mi rozkoszne. Nie abym nigdy nie widział piękniejszych rąk. Nawet w grupie jej przyjaciółek ręce Anny, szczuple i o wiele delikatniejsze, miały jakby swoiste życie, posłuszne rozkazom młodej dziewczyny, ale niezależne; i wysuwały się często przed nią niby szlachetne charty, leniwe, rozmarzone, z nagłym przeciąganiem się palców, z powodu którego Elstir zrobił kilka studiów tych rąk. Na jednym, przedstawiającym Annę grzejącą ręce przy ogniu, miały one w blasku złocistą przezroczystość dwóch jesiennych liści. Ale ręce Albertyny, pulchniejsze, poddawały się na chwilę, potem opierały się ściskającej je dłoni, dając wrażenie zupełnie odrębne. Uścisk ręki Albertyny miał zmysłową słodycz, jak gdyby harmonizujący z różową, leciutko lila barwą jej skóry. Ten uścisk dawał wrażenie, że się wnika w dziewczynę, w głębię jej zmysłów — tak samo jak dźwięczność jej śmiechu, nieskromna na kształt gruchania lub pewnych krzyków. Należała do kobiet, których uścisk ręki sprawia tak wielką przyjemność, iż jest się wdzięcznym cywilizacji, że zrobiła z *shakehandu* godziwy akt powitania między pannami a młodymi ludźmi. Gdyby konwenans zastąpił podanie ręki innym gestem, wówczas oglądałbym co dzień nietykalne ręce Albertyny z równie żarliwą ciekawością ich dotyku, jak żarliwą była moja ciekawość smaku jej lic. Ale, myśląc o słodczy trzymaniu długo jej rąk między swymi jako sąsiad przy „lisie”, oceniałem nie tylko samą tę przyjemność; ileż wyznań, ileż oświadczeń zahamowanych dotąd przez nieśmiałość mógłbym powierzyć pewnym uściskom ręki; a i jej jakże byłoby łatwo, odpowiadając wzajemnym uściskiem, dać mi znak porozumienia; co za współnictwo, jaki początek rozkoszy! W kilka minut spędzonych tak obok Albertyny miłość moja mogła uczynić większe postępy, niż ich zrobiła od czasu, jak ją znałem. Czując, że te minuty będą trwały krótko, że się niebawem skończą — bo zabawa nie przeciągnie się z pewnością długo, a skoro raz się skończy, będzie już za późno — ledwie mogłem ustać w miejscu. Umyślnie dałem sobie złapać pierścionek, a znalazłszy się w środku, kiedy pierścionek przechodził, udałem, że go nie widzę; i biegłem za nim oczami, czekając chwili, gdy przejdzie do sąsiada Albertyny, która, śmiejąc się co sił, w radosnym zapale gry, była cała różowa. „Jesteśmy teraz właśnie w ładnym gajku, *jak lisek*”, rzekła do mnie Anna, pokazując otaczające nas drzewa; przy czym uśmiech jej oczu przeznaczony był tylko dla mnie i zdawał się przechodzić ponad grającymi, tak jak gdybyśmy tylko my sami byli dość inteligentni, aby się rozdwoić w tej poetycznej aluzji na temat zabawy. Anna posunęła nawet inwencję aż do zanucenia mi bez szczególnego zapachu rytualnej piosenki: „Przechodził tędy lisek — tak, moje panie, tak — przechodził tędy lisek — z ładnego gajku”, jak osoby, które, kiedy się wybiorą do Trianon, muszą tam zorganizować zabawę w stylu Louis XVI, lub które znajdują wdzięk w tym, aby słuchać utworu muzycznego w stylowej ramie. Byłbym, przeciwnie, z pewnością zasmucony, że nie znajduję wdzięku

w tej realizacji, gdybym miał czas myśleć o tym. Ale mój duch był gdzie indziej. Grających obojgę płci zaczynała zdumiewać moja tępota i to, że nie łapię pierścionka. Patrzałem na Albertynę, taką piękną, taką obojętną, taką wesołą; nie przewidywałem, że ma zostać moją sąsiadką, skoro wreszcie pochwycę pierścionek we właściwych rękach, dzięki manewrowi, którego nie podejrzewałem, a który byłby ją z pewnością pogniewał. W zapale gry długie włosy Albertyny rozplotły się i w krętych pasmach opadały jej na policzki, swoim ciemnym i suchym tonem tym bardziej uwydatniając ich różową karnację.

— Ma pani warkoczki godne Laury Dianti, Eleonory Guyeńskiej oraz jej prawnuczki, tak ukochanej przez Chateaubrianda. Powinna by pani zawsze nosić wpół rozplecione włosy — szepnąłem Albertynie do ucha, aby się do niej przybliżyć.

Naraz pierścionek przeszedł do rąk jej sąsiada. Rzuciłem się, otwarłem mu brutalnie ręce, pochwyciłem pierścionek: musiał iść za mnie do koła, a ja zająłem jego miejsce obok Albertyny. Parę minut wprzód zazdrościłem temu młodemu człowiekowi, kiedy widział, jak jego ręce, ślizgając się po sznurku, spotykają co chwila ręce Albertyny. Teraz, kiedy przyszła moja kolej, zbyt nieśmiały, aby szukać zetknięcia, zbyt wzruszony, aby je smakować, czułem już tylko szybkie i bolesne bicie własnego serca. W pewnej chwili Albertyna pochylała do mnie z porozumiewawczą miną swoją pełną i różową twarz, udając, że ma pierścionek, aby zmylić lisa i nie dać mu patrzeć w stronę, którą pierścionek przechodził. Zrozumiałem natychmiast, że znaczące spojrzenia Albertyny odnoszą się do tego podstępu; ale zmieszałem się, widząc, jak przez jej oczy przechodzi — zmyślony po prostu dla celów gry — obraz sekretu, porozumienia, którego nie było między nami, ale które od tej chwili zdało mi się możebne i byłoby mi bosko słodkie. Podczas gdy mnie kołała ta myśl, uczułem lekki ucisk dłoni Albertyny i jej pieszczotliwy palec wsuwający się pod mój palec; zarazem ujrzałem, że ona zmrużeniem oka daje mi znak, który stara się uczynić niedostrzegalnym. Natychmiast tłum nadziei, dotąd niewidocznych dla mnie samego, skryształizował się: „Korzysta z gry, aby mi okazać, że mnie kocha” — pomyślałem na szczycie radości, z którego runąłem niebawem, kiedy Albertyna powiedziała mi, wściekła:

— Ależ niechże pan bierze, od godziny go panu podaję.

Ogluszony rozpaczą, puściłem sznurek, lis spostrzegł pierścionek, rzucił się na niego, musiałem wrócić do środka, zrozpaczony, patrząc na oszalałe koło wirujące dokoła mnie, smagany drwinami dziewcząt, zmuszony nawzajem śmiać się, kiedy tak mało miałem chęci do śmiechu, podczas gdy Albertyna powtarzała:

— Nie trzeba się brać do gry, kiedy się nie chce uważać i tylko się pakuje innych. Nie będzie się go zapraszać w dzień, kiedy będziemy grali, Anda, albo też ja nie przyjdę.

Anna, wyższa ponad te zabawy i nucąca piosnkę o „lisku”, którą jedynie przez ducha naśladownictwa podejmowała bez przekonania Rozamonda, chciała przerwać wymówki Albertyny, mówiąc do mnie:

— Jesteśmy o dwa kroki od tych Creuniers, które pan tak chciał widzieć. O, zaprowadzę pana na samo miejsce ładną dróżką, podczas gdy te wariatki będą udawały ośmioletnie dzieci.

Ponieważ Anna była dla mnie nadzwyczaj miła, zwierzyłem jej w drodze wszystko, co mi się wydawało sposobne dla pozyskania serca Albertyny. Odpowiedziała, że i ona ją bardzo kocha, że Albertyna jest doprawdy urocza; jednakże moje komplementy pod adresem przyjaciółki nie zdawały się Annie sprawiać przyjemności. Naraz, w zapadłej dróżce, zatrzymałem się wzruszony słodkim wspomnieniem dzieciństwa: po wyciętych i błyszczących liściach wysuwających się jakby na próg, poznałem krzak głogu, odarty, niestety, z kwiatów od końca wiosny. Dokoła mnie unosiła się atmosfera dawnych majowych nabożeństw, niedzielnych popołudni, zapomnianych wierzeń i błędów. Byłbym ją chciał pochwycić. Zatrzymałem się na sekundę; z uroczą intuicją Anna pozwoliła mi rozmawiać chwilę z liśćmi tego krzewu. Pytałem ich, co robią kwiaty, owe kwiaty głogu, podobne do wesołych młodych dziewcząt, roztrzepanych, zalotnych i nabożnych. „Och, te panienki odjechały już dawno” — powiadały mi liście. I może myślały, że jak na tego wielkiego przyjaciela, za jakiego się podawałem, nie wydają się zbyt poinformowany o ich zwyczajach. Wielki przyjaciel, co ich nie widział od tylu lat, mimo swoich przyrzeczeń! A przecież, jak Gilberta była dla mnie pierwszą miłością młodej dziewczyny, tak one były moją pierwszą miłością kwiatu. „Tak, wiem, odchodzą w połowie czerwca — odparłem

— ale miło mi jest oglądać miejsce, gdzie mieszkały. Przyszły mnie odwiedzić w Combray w moim pokoju, sprowadzone przez matkę, kiedy byłem chory. I spotykaliśmy się w soboty wieczór na nabożeństwie majowym. Czy mogę na nie chodzić tutaj?”. „Och, naturalnie! Te panienki są bardzo mile widziane w kościele Saint-Denis du Désert, to najbliższa parafia”. „Więc teraz mógłbym je widzieć...”. „Och, nie przed majem przyszłego roku”. „Ale mogę być pewny, że będą tutaj?”. „Regularnie co rok”. „Tylko nie wiem, czy potrafię odnaleźć miejsce”. „Och, z pewnością, te panienki są tak wesołe, bez przerwy śmieją się, o ile nie śpiewają kantyczek, tak że nie może być pomyłki; od samego początku ścieżki poznasz ich zapach”.

Wróciłem do Anny i zacząłem znów przed nią wychwalać Albertynę. Zdawało mi się niemożliwe, aby Anna nie powtórzyła jej moich słów, zważywszy nacisk, z jakim mówiłem. A jednak nigdy nie słyszał, aby się Albertyna dowiedziała o tym. A przecież Anna miała o wiele więcej od Albertyny inteligencji serca, subtelnej uprzejmości. Celowała w tym, aby znaleźć spojrzenie, słowo, postępek, mogące najdelikatniej zrobić przyjemność; ukryć myśl zdolną sprawić przykrość; poświęcić (nie okazując, że to jest poświęcenie) godzinę zabawy, nawet jakiś podwieczorek, *garden-party*, po to aby zostać z przyjacielem lub przyjaciółką w smutku i okazać tym samym, że przekłada ich towarzystwo nad płochę przyjemności. Ale kiedy się znało Annę trochę lepiej, można by rzec, że z nią jest tak jak z owymi bohaterskimi tchórzami, którzy nie chcą się bać i u których odwaga jest szczególną zasługą; można by rzec, że na dzień jej natury nie było wcale owej dobroci, jaką objawiała co chwila przez dystynkcję moralną, przez wrażliwość serca, przez szlachetną wolę okazania się dobrą przyjaciółką. Słuchając przemitych rzeczy, jakie mi mówiła Anna o możliwym związku serc między Albertyną a mną, sądziłoby się, że ona będzie pracowała wszelkimi siłami, aby ziścić ten związek. Otóż może przypadkiem, ale nigdy nie uczyniła najmniejszego drobiazgu — z tego, co mogła uczynić — aby mnie połączyć z Albertyną; i nie przysięgłbym, czy mój wysiłek dla zdobycia serca Albertyny — jeżeli nie spowodował ze strony jej przyjaciółki tajemnych kontrmachinacji — nie obudził bodaj w Annie gniewu, dobrze ukrywanego zresztą i może przez delikatność zwalczanego przez nią samą. Do tysiąca wyrafinowań dobroci, jakie miała Anna, Albertyna byłaby niezdolna; a mimo to, nie byłem tak pewny głębokiej dobroci Anny, jak później byłem pewny dobroci Albertyny. Zawsze pełna tkliwego wyrozumienia dla kipiącej pustoty Albertyny, Anna miała dla niej słowa i uśmiechy prawdziwej przyjaciółki; co więcej, postępowała jak przyjaciółka. Widziałem co dzień, jak aby dzielić z Albertyną swój zbytek, aby uszczęśliwić tę ubogą koleżankę, zadawała sobie, nie mając w tym najmniejszego interesu, więcej trudu niż dworak żądny pozyskać łaskę panującego. Była czarująco słodka, miała smutne i uroczne słowa, kiedy się przy niej ubolewało nad ubóstwem Albertyny; zadawała sobie dla niej tysiąc razy więcej trudu, niżby to uczyniła dla jakiej bogatej przyjaciółki. Ale jeżeli ktoś zauważył, że Albertyna nie jest może taka biedna, jak się mówi, ledwie dostrzegalna chmura przesłaniała czoło i oczy Anny; była jak gdyby niezadowolona. A jeżeli się ktoś posunął do twierdzenia, że ostatecznie mniej może trudno będzie Albertynie wyjść za mąż, niżby się sądziło, Anna przeczyła energicznie i powtarzała niemal wściekła: „Niestety, nie! Niepodobna jej będzie znaleźć męża! Wiem z pewnością, i bardzo mnie to martwi!”. W stosunku do mnie ze wszystkich dziewcząt ona jedna nie powtórzyłaby mi nigdy czegoś niezbyt miłego, co by ktoś mógł o mnie powiedzieć; co więcej, o ile ja sam opowiadałem coś takiego, udawała, że nie wierzy, lub podsuwała interpretację, odejmującą danym słowom sens ujemny: zbiór tych właśnie przymiotów nazywamy taktem. Jest on właściwością ludzi, którzy, kiedy mamy pojedynek, winszują nam i dodają, że nie było koniecznego powodu do orężnego starcia, aby tym jeszcze pomnożyć w naszych oczach odwagę, jakiej złożyliśmy dowód, nie będąc do tego zmuszeni. Są przeciwieństwem ludzi, którzy w tych samych okolicznościach mówią: „To musi być bardzo przykre dla pana bić się; ale z drugiej strony nie mógł pan połknąć takiego afrontu, nie mógł pan zrobić inaczej”. Ale każda rzecz ma dwie strony. Jeżeli przyjemność lub bodaj obojętność naszych przyjaciół w powtarzaniu nam czegoś obraźliwego, co o nas powiedziano, świadczy, że nie bardzo wczuwają się w nas, waląc w nas jak w bęben, w zamian sztuka skrywania nam zawsze tego, co może nam być niemiłe w sądach, jakie o nas słyszeli, lub w sądzie, jaki powzięli stąd o nas sami, może dowodzić — u przyjaciół drugiej kategorii, u owych przyjaciół pełnych taktu — znacznej dawki

obludy. Obluda niewinna, jeżeli w istocie nie mogą myśleć nic złego i jeżeli owe ujemne sądy o nas sprawiają im jedynie przykrość, jak sprawiłyby ją nam samym. Myślałem, że tak jest z Anną, nie będąc jednak tego absolutnie pewny.

Wyszliśmy z lasku i szliśmy siecią dość mało uczęszczanych drózek, w których Anna orientowała się bardzo dobrze:

— Ot — rzekła naraz — pańskie sławne Creuniers, i ma pan szczęście, właśnie w taki czas, w takim świetle, w jakim je Elstir malował.

Ale byłem jeszcze zbyt smutny, że grając w lisa, spadłem z takiego szczytu nadziei. Toteż bez przyjemności, jaką byłbym z pewnością odczuł w innych okolicznościach, ujrzałem nagle u swoich stóp wtulone między skały, gdzie się chroniły przed upałem, boginie morskie, które Elstir tropił i zdybał, pod ciemnym stokiem równie pięknym, co gdyby był pędzla Leonarda; cudowne Cienie schowane i ulotne, ruchliwe i milczące, gotowe za pierwszą falą światła wślizgnąć się pod kamień, ukryć się w szczelinę, po czym, skoro przejdzie groźba promienia, gotowe wrócić szybko do skał lub wodorostów pod słońcem rozpylającym głazy, i do odbarwionego Oceanu, nad którego sennością zdają się czuwać te nieruchome i lekkie strażniczki, ukazując na powierzchni wód swoje lepkie ciała i uważne spojrzenie ciemnych oczu.

Połączyliśmy się z resztą dziewcząt, aby wracać. Wiedziałem teraz, że kocham Albertynę; ale, niestety, nie kwapiłem się jej tego wyznać. Bo od czasu zabaw na Polach Elizejskich, o ile istoty, jakich się chwytala kolejno moja miłość, pozostawały prawie identyczne, moje pojęcie miłości zmieniło się. Z jednej strony wyznanie, zwierzenie moich uczuć ukochanej osobie nie wydawało mi się już zasadniczym i koniecznym aktem miłości; a sama miłość nie zdawała mi się zewnętrzną realnością, lecz tylko subiektywną przyjemnością. I czułem, że Albertyna tym więcej czyniłaby wszystko, co trzeba, aby tę przyjemność podtrzymać, im bardziej byłaby nieświadoma tego, że jej doznaję.

Przez cały ten powrót obraz Albertyny, roztopiony w świetle promieniejącym z innych dziewcząt, nie był jedynym, który istniał dla mnie. Ale jak księżyc, będący w ciągu dnia zaledwie białą chmurką o bardziej określonej i stałej formie, nabiera całej swojej mocy z chwilą, gdy dzień zgaśnie, tak za powrotem do hotelu jedynie obraz Albertyny wznosił się w moim sercu i zaczął w nim błyszczeć. Własny pokój wydał mi się nagle nowy. Zapewne od dawna nie był już owym wrogim pokojem z pierwszego wieczora. Zmieniamy niestrudzenie swoje mieszkanie dokoła siebie; w miarę jak przyzwyczajenie zwalnia nas od czucia, usuwamy szkodliwe składniki koloru, wymiaru i zapachu, obiektywizujące naszą przykrość. Nie był to już również pokój mający jeszcze dość wpływu na moją wrażliwość, nie aby mi kazać cierpieć, ale aby mi dać radość; to już nie była owa kadź pełna pięknych dni, podobna do basenu, gdzie błyszczał lazur rozcieńczony światłem, jakie skupił na chwilę, nieuchwytny i biały niby emanacja upału, odbity i uciekający żagiel; ani też nie był to czysto estetyczny pokój malarskich wieczorów; to był pokój, gdzie spędziłem tyle dni, że go już nie widziałem. Otóż w tej chwili zacząłem na nowo otwierać na niego oczy, ale tym razem z egoistycznego punktu widzenia, właściwego miłości. Myślałem, że to piękne, skośne lustro, te wytworne oszklone szafy, dałyby Albertynie, gdyby mnie przyszła odwiedzić — korzystne pojęcie o mnie. W miejsce przelotnej siedziby, gdzie spędziłem chwile przed wymknięciem się na plażę lub do Rivebelle, mój pokój stawał mi się znów rzeczywisty i drogi, odnawiał się, bo widziałem i oceniałem każdy jego mebel oczami Albertyny.

W kilka dni po grze w lisa, kiedyśmy się na jakimś spacerze wypuścili za daleko, ucieszyliśmy się, znalazłszy w Maineville dwa wózeczki po dwa miejsca, które nam pozwoliły zdążyć na obiad. Uczucie moje do Albertyny, już wówczas żywe, miało ten skutek, że kolejno zaproponowałem Rozamondzie i Annie, aby siadły ze mną, a ani razu Albertynie; a później, że, wciąż zapraszając szczególnie Annę i Rozamondę, a równocześnie argumentując chytrze względami na godzinę, na drogę i na płaszcze, doprowadziłem je wreszcie do tego, aby zdecydowały, jak gdyby wbrew mojej woli, że najpraktyczniej będzie, gdy zabiorę z sobą Albertynę, na której towarzystwo wydawałem się zrezygnowany. Na nieszczęście miłość dąży do całkowitego wchłonięcia drugiej istoty, nie da się jej spożyć wyłącznie przez konwersację! Toteż daremnie Albertyna była ze mną w tej powrotnej drodze niezmiernie miła; kiedy ją wysadziłem przed domem, zostawiła mnie szczęśliwym, ale bardziej jeszcze zgłodniałym jej niż byłem przy wyjeździe i liczącym spędzone z nią

chwile jedynie jako wstęp — sam przez się mało ważny — do chwil, które nastąpią. Ten wstęp miał zresztą ów pierwszy urok, jakiego się już nie odnajduje. O nic jeszcze nie prosiłem Albertyny. Mogła zgadywać, czego pragnę; ale, nie będąc tego pewna, mogła przypuszczać, że ja dążę jedynie do stosunków bez określonego celu, w których ona sama musiała znajdować ową rozkoszną mglistość, bogatą w oczekiwane niespodzianki, słowem — romantyczność.

W następnym tygodniu ledwie się starałem ujrzeć Albertynę. Udawałem, że wolę Annę. Miłość zaczyna się, chciałoby się zostać dla kochanej osoby nieznanym, którego ona może pokochać; ale potrzebuje się jej, potrzebuje się dotykać nie tyle jej ciała, ile jej myśli, serca. Pisząc do niej, wsuwa się w list jakąś złośliwość, która każe obojętnej poprosić nas o coś miłego; i miłość, wedle niezawodnej techniki, chwyta nas przerywanym ruchem w tryby, w których niepodobna już ani nie kochać, ani być kochanym. Oddawałem Annie godziny, w których inne szły na jakąś zabawę, wiedząc, że Anna poświęci ją dla mnie z ochotą i poświęciłaby mi ją nawet z żalem, przez wykwinął moralny, aby w drugich i w sobie samej nie dopuścić myśli, że przywiązuje wagę do jakiejś światowej rozrywki. Starałem się ją mieć co wieczora wyłącznie dla siebie, nie tyle pragnąc w Albertynie wzbudzić zazdrość, ile zwiększyć w jej oczach swój urok lub bodaj nie stracić go, co mi groziło, gdybym okazał Albertynie, że kocham ją, a nie Annę. Nie mówiłem tego również Annie z obawy, by nie powtórzyła tamtej. Kiedy mówiłem o Albertynie z Anną, udawałem chłód, w który Anna może mniej wierzyła niż ja w jej pozorną łatwowierność. Ona udawała, że wierzy w moją obojętność dla Albertyny i że pragnie najdoskonalszego zbliżenia między Albertyną a mną. Prawdopodobne jest, iż, przeciwnie, ani wierzyła w jedno, ani pragnęła drugiego. Podczas gdy ja mówiłem, że dość mało zależy mi na jej przyjaciółce, myślałem tylko o jednym: o tym, aby wejść w stosunki z panią Bontemps, która znalazła się na tydzień w pobliżu Balbec i u której Albertyna miała niebawem spędzić parę dni. Oczywiście nie zdradzałem przed Anną tego pragnienia i kiedy ja mówiłem o rodzinie Albertyny, robiłem to z pozorną obojętnością. Ścisłe odpowiedzi Anny nie zdawały się podawać w wątpliwość mojej szczerości. Czemuż jednego z owych dni wyrwało się jej: „Właśnie widziałam ciotkę Albertyny”. Zapewne, Anna nie powiedziała mi: „Odgadłem pod wszystkimi twymi słowami, rzucanymi niby na wiatr, że ty myślisz tylko o tym, aby się zbliżyć do ciotki Albertyny”. Ale słówko: „właśnie” zdawało się wiązać w myślach Anny specjalnie z tą myślą, którą uważała za ładniejszą ukryć przede mną. To słówko było z gatunku pewnych spojrzeń, gestów, które, mimo iż nie mają formy logicznej, racjonalnej, wprost wypracowanej dla inteligencji słuchacza, dochodzą doń wszelako w swoim prawdziwym znaczeniu, tak jak słowo ludzkie, zmienione w telefonie w elektryczność, staje się na powrót słowem i dochodzi naszych uszu. Aby zatrzeć w głowie Anny myśl, że ja się interesuję panią Bontemps, mówiłem później o niej nie tylko obojętnie, ale niezbyt chętnie; mówiłem, że spotykałem dawniej tę wariatkę i mam nadzieję, że już mi się to nie zdarzy. Otóż, wręcz przeciwnie, próbowałem na wszystkie sposoby spotkać ją.

Starałem się uzyskać od Elstira, aby, nie mówiąc nikomu, że go prosił o to, wspomniał pani Bontemps o mnie i zetknął mnie z nią. Przyrzekł mi jej przedstawić, dziwiąc się zresztą, że ja sobie tego życzę, uważał ją bowiem za kobietę lichego gatunku, intrygantkę i równie nieinteresującą jak interesowną. Myśląc, iż gdybym wszedł w stosunki z panią Bontemps, prędzej lub później Anna wiedziałaby o tym, sądziłem, że lepiej ją uprzedzić.

— Rzeczy, których najbardziej chcemy uniknąć, bywają właśnie nie do uniknięcia — rzekłem. — Nie może być dla mnie nic nudniejszego niż spotkać panią Bontemps, a mimo to nie ominie mnie to, Elstir ma mnie zaprosić z nią razem.

— Nie wątpiłam o tym ani na chwilę — wykrzyknęła Anna z goryczą, przy czym jej rozszerzone i zmienione niezadowolaniem oczy wpatrywały się w coś niewidzialnego. Te słowa Anny nie były najściślejszym wyrazem myśli, którą można by streścić tak: „Wiem, że kochasz Albertynę i stajesz po prostu na głowie, aby się zbliżyć do jej rodziny”. Były to raczej bezkształtne, ale dające się zestawić szczątki tej myśli, którą przyprawilem o eksplozję, potracając ją mimo woli Anny. Jak owo „właśnie”, tak i te słowa miały sens jedynie pośrednio; to znaczy były z tych, które (bardziej od słów mówiących wprost) budzą w nas szacunek lub nieufność w stosunku do kogoś, stają się przyczyną zerwania.

Skoro Anna nie uwierzyła mi, kiedy jej mówiłem, że rodzina Albertyny jest mi obojętna, znaczy to, że myślała, iż ja kocham Albertynę. I zapewne nie sprawiało jej to przyjemności.

Zazwyczaj Anna brała udział w moich spotkaniach z jej przyjaciółką. Jednakże bywały dni, kiedy miałem widzieć Albertynę samą. Owych dni oczekiwałem w gorączce; mijały, nie przynosząc mi nic rozstrzygającego, nie stawszy się owym zasadniczym dniem, którego rolę powierzałem natychmiast następnemu, niemającemu jej spełnić również; i tak walily się jeden po drugim — niby fale — owe szczyty natychmiast zastępowane innymi.

Blisko w miesiąc po zabawie w lisa, powiedziano mi, że Albertyna wyjeżdża nazajutrz, aby spędzić dwa dni u pani Bontemps i że, zmuszona wstać wcześniej na pociąg, zanocuje poprzedniego dnia w Grand-Hotelu, skąd będzie mogła omnibusem, nie robiąc kłopotu przyjaciółkom, u których mieszkała, zdążyć do pierwszego pociągu. Wspomniałem o tym Annie.

— Nie przypuszczam, aby to była prawda — rzekła niechętnie Anna. — Zresztą to by panu niewiele pomogło, bo jestem pewna, że Albertyna nie zechce się z panem widzieć, jeżeli się zatrzyma w hotelu sama. To by nie było protokolarne — dodała, posługując się przymiotnikiem, którego od jakiegoś czasu lubiła używać w znaczeniu czegoś, co „nie wypada”. — Mówię to panu, bo znam poglądy Albertyny. Bo ja, cóż pan chce, co mi może zależeć na tym, czy ją pan zobaczy czy nie. Mnie to jest obojętne.

Przyłączył się do nas Oktaw, niedrożący się z opowiedzeniem Annie ilości punktów, jakie zrobił poprzedniego dnia w golfa, a potem Albertyna, manewrując po drodze swoim *diabolo* niby zakonnica różańcem. Dzięki tej grze mogła spędzać całe godziny sama, nie nudząc się. Skoro podeszła do nas, uderzył mnie krnąbrny koniuszek jej nosa, który pominąłem, myśląc o niej w ostatnich dniach; pod czarnymi włosami prostopadłość jej czoła przeciwstawiła się — i to nie pierwszy raz — przechowanemu przeze mnie mętnemu obrazowi tego czoła, kiedy swoją białością wgryzało się w moje spojrzenia: wyłaniając się z pyłu wspomnień, Albertyna odbudowywała się przede mną. Golf stwarza nawyk samotnych przyjemności. Te, które daje diabolo, niewątpliwie należą do nich. Jednakże zbliżywszy się do nas, Albertyna ćwiczyła się dalej, wciąż rozmawiając z nami, jak dama, do której zaszły przyjaciółki, nie przerywa sobie roboty szydełkiem.

— Zdaje się — rzekła do Oktawa — że pani de Villeparisis wniosła reklamację do pańskiego ojca... — (i usłyszałem poza tym zdaniem nuty szczególnie właściwe Albertynie; za każdym razem, kiedy stwierdzałem, że ich zapomniałem, przypominałem sobie równocześnie, że już widział za nimi rezolutną i francuską minę Albertyny. Mógłbym oślepnąć, a poznać niektóre z jej energicznych i nieco prowincjonalnych cech w owych nutach, równie dobrze jak w zakończeniu jej noska. Obie te rzeczy były równowartościowe i mogły się zastąpić wzajem; a głos jej był jak ten, który ziści się — powiadają — w fototelefonie przyszłości: dźwiękiem kreślił wyraźnie wzrokowy obraz). — Nie tylko napisała do pańskiego ojca, ale równocześnie do mera Balbec, żeby nie było już wolno grać w diabolo na promenadzie; dostała krążkiem w głowę.

— Tak, słyszałem już o tej skardze. To śmieszne. Nie mamy tu zbyt wiele rozrywek.

Anna nie mieszała się do rozmowy; nie знаła, tak samo zresztą jak Albertyna i Oktaw, pani de Villeparisis.

— Nie wiem, czemu ta dama narobiła takich historii — rzekła wreszcie Anna — stara pani Cambremer też dostała krążkiem, a nie skarżyła się.

— Ja wam wytłumaczę różnicę — rzekł poważnie Oktaw, pocierając zapałkę. — Wedle mego zdania, pani de Cambremer to jest kobieta z wielkiego świata, a pani de Villeparisis tylko się tam wpycha. Czy pójdziecie na golfa po południu?

I opuścił nas, zarówno jak Anna. Zostałem sam z Albertyną.

— Widzi pan — rzekła — noszę teraz włosy tak jak pan lubi; niech pan popatrzy na ten loczek. Wszyscy drwią sobie, a nikt nie wie, dla kogo to robię. Ciotka będzie sobie również żartowała ze mnie. Także nie powiem jej przyczyny.

Patrzałem z boku na policzki Albertyny; często wydawały się blade, ale w tej chwili były nastrzykane jasną krwią, która je rozświetlała i dawała im połysk owych zimowych poranków, kiedy w słońcu kamienie robią się podobne do różowego granitu i wydzielają radość. Radość, jaką mi dawał w tej chwili widok lic Albertyny, była równie żywa, ale

wiodła do innego pragnienia — nie przechadzki, lecz pocałunku. Spytałem, czy naprawdę ma ten zamiar, o którym słyszałem.

— Tak — rzekła — przenocuję w hotelu, a że jestem trochę zakatarzona, położę się przed obiadem. Może mi pan asystować do obiadu przy łóżku, a potem będziemy się bawili, w co pan zechce. Cieszyłabym się, gdyby pan przyszedł na kolej jutro rano, ale boję się, żeby się to nie wydało dziwne, nie mówię Annie, bo ona jest inteligentna, ale innym, które tam będą. Gdyby to powiedziano ciotce, wynikłyby stąd całe historie: ale będziemy mogli spędzić ten wieczór razem. O tym ciotka nic się nie dowie. Pójdę się pożegnać z Anną. Zatem, do zobaczenia. Niech pan przyjdzie wcześniej, będziemy mieli dobrych parę godzin dla siebie — dodała z uśmiechem.

Słowa te cofnęły mnie dalej niż w czasy, gdym kochał Gilbertę; w czas, gdy miłość zdawała mi się istnością nie tylko zewnętrzną, ale mogącą się urzeczywistnić. Podczas gdy Gilberta widywana na Polach Elizejskich była inną od tej, którą odnajdywałem w sobie, zostawszy sam, naraz w Albertynę rzeczywistą, tę, którą widywałem co dzień, którą uważałem za pełną mieszczańskich przesądów i tak szczerą wobec ciotki, wcieliła się Albertyna imaginacyjna, ta, która — kiedy jej nie znałem jeszcze — przyglądała mi się (tak sądziłem) ukradkiem na promenadzie, która szła do domu jak gdyby wbrew chęci, patrząc, jak ja się oddalam.

Poszedłem na obiad z babką, czułem w sobie sekret, którego ona nie znała. Toż samo z Albertyną: jutro przyjaciółki zobaczą ją, nie wiedząc, ile nowego zaszło między nami! I pani Bontemps, całując siostrzenicę w czoło, nie będzie wiedziała, że ja jestem między nimi, w tym uczesaniu, które miało za cel — ukryty dla wszystkich — podobać się mnie, mnie, dotąd tak zazdroszczącemu pani Bontemps, że jest spokrewniona z tymi samymi osobami, co jej siostrzenica, że nosi te same żaloby, składa te same familijne wizyty; otóż ja czułem się dziś dla Albertyny czymś więcej nawet niż jej ciotka. Będąc z ciotką, będzie myślała o mnie. Co się miało dziać za chwilę, nie bardzo wiedziałem. W każdym razie Grand-Hotel i wieczór nie wydawały mi się już puste; zawierały moje szczęście. Zadzwoiłem na windziarza, aby pójść do pokoju (od strony doliny), który zatrzymała Albertyna. Najłżejsze ruchy — na przykład usiąść na ławeczce w windzie — sprawiały mi rozkosz, bo były w bezpośrednim związku z moim sercem; w linach, przy których pomocy aparat się wznosił, w kilku schodach pozostałych do przebycia widziałem jedynie zmaterializowany mechanizm swojej radości. Miałem już tylko parę kroków do pokoju, gdzie była zamknięta szacowna substancja tego różowego ciała. Ów pokój, nawet gdyby się tam miały dziać upajające rzeczy, zachowałby tę codzienność, ten wygląd, że jest — dla niepoinformowanego przechodnia — podobny do wszystkich innych; cechy czyniące z martwych przedmiotów uparcie niemych świadków, skrupulatnych powierników, nieprzedajnych piastunów rozkoszy.

Tych kilka kroków do progu Albertyny, kilka kroków, których już nikt nie mógł powstrzymać, zrobiłem z rozkoszą, ostrożnie, jakby zanurzony w nowym żywiole, jak gdybym posuwając się wolno, przenosił szczęście. Zarazem czyniłem to z nieznanym uczuciem wszechpotęgi, z uczuciem, że obejmuję wreszcie dziedzictwo, od wszech czasów będące moim. Potem nagle pomyślałem, że niesłusznie mam wątpliwości; powiedziała mi, żebym przyszedł, kiedy się położę. To było jasne, drżałem z radości, na wpeł przewróciłem Franciszkę, która znalazła się na drodze; biegłem z błyszczącymi oczami do pokoju Albertyny.

Zastałem ją w łóżku. Odslaniając szyję, biała koszula zmieniała proporcje jej twarzy, która, przekrwiona leżeniem, katarem lub obiadem, zdawała się różowsza; pomyślałem o kolorach, które miałem kilka godzin wprzód obok siebie na promenadzie i których wreszcie miałem poznać smak; policzek jej przecinało pionowo pasmo czarnych i kręjących się włosów, które na moją intencję Albertyna rozplotła całkowicie. Patrzała na mnie z uśmiechem. Obok niej w oknie blask księżycy oświecał dolinę. Widok nagiej szyi Albertyny, widok tych nazbyt różowych policzków, wprawiał mnie w upojenie, to znaczy pomieścił dla mnie rzeczywistość świata już nie w naturze, ale w strumieniu wrażeń, które z trudem mogłem powstrzymać. Widok ten zwichnął równowagę między olbrzymim, niezniszczalnym życiem, toczącym się w głębi mnie, a życiem wszechświata, tak wątlwym w porównaniu z tamtym. Morze, widziane w oknie obok doliny, wzdęte łona najbliż-

szych skał Maineville, niebo, na którym księżyc jeszcze nie dosięgnął zenitu, wszystko to zdawało się lżejsze niż piórko kulom moich źrenic, które czulem między powiekami, rozszerzone, odporne, gotowe dźwignąć na swej delikatnej powierzchni o ileż większe ciężary, wszystkie góry świata! Orbity ich nie wypełniała dostatecznie nawet sfera horyzontu. I wszystko życie, jakie mogłaby przynieść natura, wydałoby mi się bardzo nikłe; wiatr od morza wydałby mi się bardzo słaby dla olbrzymiego wdechu wznoszącego moją pierś.

Nachyliłem się nad Albertyną, aby ją pocałować. Gdyby śmierć miała mnie ugodzić w tej chwili, wydałoby mi się to obojętne lub raczej niemożliwe, bo życie nie było poza mną — było we mnie. Uśmiechnąłem się litośnie, gdyby jakiś filozof mi oznajmił, że pewnego dnia, bodaj odległego, będąc musiał umrzeć, że wiekuiste siły natury przeżyją mnie, siły owej natury, pod której boskimi stopami byłem tylko ziarnkiem pyłu; że po mnie będą jeszcze istniały te okrągłe i wydęte skały, to morze, ten blask księżyca, to niebo! Jakżeby to było możliwe, jakżeby ten świat mógł trwać dłużej ode mnie, skoro ja nie byłem zgubiony w nim, skoro to on był zawarty we mnie, we mnie, którego niezdolny był wypełnić, we mnie, gdzie, czując w sobie miejsce dla tylu innych skarbów, rzucałem wzgardliwe w kąt niebo, morze i skały.

— Przystań, bo zadzwonię — wykrzyknęła Albertyna, widząc, że się rzucam, aby ją całować. Ale ja sobie powiadałem, że jeżeli dziewczyna sprowadza młodego człowieka po kryjomu, urządzając się tak, aby ciotka o niczym nie wiedziała, to nie po to, aby się to skończyło na niczym; że odwaga sprzyja tym, co umieją korzystać ze sposobności. W tym stanie podniecenia krągła twarz Albertyny, oświetlona wewnętrznym ogniem niby nocną lampką, nabierała dla mnie takiej plastyki, że, naśladując obrót płonącej kuli, zdawała mi się kręcić, niby owe twarze Michała Anioła unoszone nieruchomym i zawrotnym wirum. Miałem poznać zapach, smak tego różowego, nieznanego owocu...

Usłyszałem gwałtowny, przeciągły i krzykliwy dźwięk. Albertyna zadzwoniła ze wszystkich sił.

Sądziłem, że miłość moja do Albertyny nie opiera się na nadziei fizycznego posiadania. Jednakże kiedyś — wnosząc za doświadczenia tego wieczoru — uwierzył, że to posiadanie jest niemożliwe i że, wywnioskowawszy pierwszego dnia na plaży, iż Albertyna jest zepsuta, przeszedłszy później przez pośrednie stadia, uznałem obecnie jako niewątpliwy fakt to, że ona jest absolutnie cnotliwa; kiedy, wróciwszy od ciotki w tydzień później, powiedziała mi chłodno: „Przebaczam panu, żałuję nawet, że panu sprawiła przykrość, ale niech pan już nie robi tego nigdy” — wówczas, na wspak memu stanowi ducha po rewelacji Blocha, iż można mieć wszystkie kobiety, doznałem uczucia takiego, jak gdybym w miejsce rzeczywistej młodej dziewczyny, miał do czynienia z lalką woskową. Tym samym znikło gdzieś moje pragnienie wnikięcia w życie Albertyny, pójścia za nią w kraje jej dzieciństwa, wnikięcia przez nią w życie sportu. Moja intelektualna ciekawość tego, co ona myśli o tym lub owym przedmiocie, nie przeżyła wiary w możliwość całowania jej. Moje marzenia porzuciły ją, skoro przestała je podsycać nadzieją posiadania, od której sądziłem, że są niezależne. Z tą chwilą marzenia te uczuły się swobodne, zdolne kierować się na tę lub inną z przyjaciółek Albertyny, szczególnie Annę — zależnie od uroku którejś z nich danego dnia, a zwłaszcza od możliwości i widoków pozyskania ich serca. Jednakże gdyby Albertyna nie była istniała, może nie zaznałbym przyjemności, jaką coraz to więcej przez następne dni zacząłem znajdować w sympatii, którą mi okazywała Anna.

Albertyna nie opowiedziała nikomu mojej porażki. Była ona z tych ładnych dziewczyn, które, od najwcześniejszej młodości, dla swojej urody, ale zwłaszcza dla jakiegoś powabu, dla wdzięku dość tajemniczego zresztą i mającego źródło może w zasobach żywotności, z których mniej szczęśliwe natury czerpią, zawsze — w swojej rodzinie, wśród przyjaciółek, w towarzystwie — podobały się bardziej niż najpiękniejsze i najbogatsze. Była z rzędu istot, od których przed wiekiem miłości, a tym bardziej kiedy ten wiek przyszedł, żąda się więcej, niż one żądają, a nawet niż mogą dać. Od dzieciństwa Albertyna była zawsze przedmiotem podziwu kilku małych towarzyszek; wśród nich Anny, która była od niej o tyle wartościowsza i wiedziała o tym. Może ta siła przyciągania, jaką bardzo mimo woli wywierała Albertyna, była początkiem i podstawą powstania małej „bandy”. Przyciąganie to sięgało nawet dość daleko w środowiska stosunkowo świetniejsze, gdzie kiedy trzeba było odtaćzyć pawane, proszono o to raczej Albertynę niż inną

lepiej urodzoną panienkę. Następstwem tego było, że bez grosza posagu, żyjąc dość lichy zresztą na łasce pana Bontemps, mającego opinię brudasa i pragnącego się pozbyć siostrzenicy, Albertyna bywała zapraszana nie tylko na obiad, ale na dłuższy pobyt do osób, które w oczach takiego Saint-Loup byłyby dalekie od wytworności, ale które dla matki Rozamondy lub Anny, kobiet bardzo bogatych, lecz nieustosunkowanych, były czymś niesłychanym. I tak Albertyna spędzała co roku kilka tygodni w domu regenta Banku Francuskiego, prezesa rady nadzorczej wielkiego Towarzystwa Kolei Żelaznych. Żona tego finansisty przyjmowała znaczne osoby i nigdy nie zaprosiła na swój „żurek” matki Anny, która uważała tę damę za impertynentkę, niemniej interesując się mocno wszystkim, co się u niej dzieje. Toteż zachęcała co roku Annę, aby zaprosiła Albertynę do ich willi, bo (powiadała) to jest dobry uczynek dać odetchnąć morskim powietrzem dziewczynie, która sama nie ma środków na podróż, a którą ciotka prawie że się nie zajmuje. Matka Anny nie powodowała się zapewne nadzieją, że regent banku i jego żona, dowiedziawszy się, iż Albertyna tyle zawdzięcza jej i jej córce, powźmie o nich dobre mniemanie; tym bardziej nie spodziewała się, aby Albertyna, mimo iż tak pocziwa i zręczna, potrafiła wyjednać jej lub co najmniej Annie zaproszenie na *garden-party* u wielkiego finansisty. Ale za każdym razem przy obiedzie, przybierając przy tym wzgardliwą i obojętną minę, z zachwytem słuchała opowiadań Albertyny o jej pobycie w pałacu, o ludziach, którzy tam bywają, a których znała prawie wszystkich z widzenia lub z nazwiska. I nawet myśli, że zna ich tylko w ten sposób, to znaczy nie zna (nazywała to znać ludzi „od zawsze”) wzbudzała w matce Anny cięć melancholii, gdy wypytywała o nich Albertynę wyniośle i od niechcienia. Ta myśl mogłaby tchnąć w matkę Anny niepewność i niepokój co do ważności własnej pozycji, gdyby się nie skrzepiła na duchu sama i nie wróciła do „realności życia”, mówiąc z godnością kamerdynerowi: „Powiedz kucharzowi, że groszek był nie dość soczysty”. Wówczas odnajdywała pogodę ducha. I była zdecydowana pozwolić Annie wyjść za mąż jedynie za człowieka z doskonałej rodziny oczywiście, ale dość bogatego na to, aby mogła mieć kucharza i dwóch stangretów. To było pozytywne, niewątpliwa prawda danej sytuacji. Niemniej fakt, że Albertyna była na obiedzie w pałacu regenta Banku z taką lub taką damą, że ta dama zaprosiła ją nawet na następną zimę, to jednak dawało młodej dziewczynie w oczach matki Anny osobliwy urok. Urok ten kojarzył się wybornie z litością, a nawet politowaniem wzbudzonym jej ubóstwem, a pomnożonym faktem, że pan Bontemps zdradził sztandar i sprzymierzył się — nawet trochę panamista, powiadano! — z rządem. To nie przeszkadzało zresztą matce Anny — przez miłość prawdy — piorunować wzgardy ludzi, którzy zdawali się wierzyć, że Albertyna jest niskiego pochodzenia. „Jak to, ależ to świetna rodzina, co tylko może być najlepszego: Simonet, przez jedno «n»”. Z pewnością w środowisku, w którym się to działo, gdzie pieniądz gra taką rolę, gdzie elegancja daje prawo bywania, ale nie żenienia się lub wyjścia za mąż, żadna znośna partia nie zapowiadała się dla Albertyny jako praktyczne następstwo wysokich stosunków, których nie uznano by za kompensatę jej ubóstwa. Ale nawet same w sobie, bez nadziei konsekwencji matrymonialnych, te jej „sukcesy” wzniewały zawiść niektórych matek, bab złych i wściekłych o to, że żona regenta Banku, a nawet o to, że matka Anny — osoby, które one zaledwie znały — przyjmują Albertynę „jak córkę”. Toteż opowiadały wspólnym znajomym, że te panie byłyby oburzone, gdyby wiedziały prawdę, to znaczy, że Albertyna opowiada u jednej (i *vice versa*) wszystko, co zażyłość, do której ją niebacznie dopuszczano, pozwala jej odkryć u drugiej; tysiąc drobnych sekretów, których obieg byłby zainteresowanej osobie bardzo niemiły. Zawistne baby mówiły to w tym celu, aby poróżnić Albertynę z jej protektorkami. Ale te intrygi, jak często się dzieje, nie działały. Znadto czuć w nich było zawiść, co rodziło tylko nieco więcej wzgardy dla kobiet chwytających się tego sposobu. Matka Anny zbyt dobrze wiedziała, co myśleć o Albertynie, aby miała zmienić sąd o niej. Uważała ją za „nieszczęśliwą”, ale za dobrą dziewczynę, myśląc tylko o tym, aby drugim zrobić przyjemność.

Jeżeli powodzenie Albertyny nie wróżyło praktycznego rezultatu, dało jej ono ową charakterystyczną cechę osób zawsze poszukiwanych, nigdy niepotrzebujących się narzucać (cecha, występująca również, z analogicznych przyczyn, na drugim krańcu społeczeństwa, u kobiet z bardzo wytwornego świata). Albertyna nie tylko nie popisywała się sukcesami, ale raczej kryła się z nimi. Nie mówiła nigdy o kimś: „Przepada za mną”; mówiła o wszystkich bardzo życzliwie, tak jakby to ona uganiała się za innymi, szukając

ich towarzystwa. Kiedy była mowa o młodym człowieku, który kilka minut przedtem robił jej w cztery oczy krwawe wymówki, bo mu odmówiła schadzki, Albertyna, daleka od przechwałek lub urazy, chwaliła go: „To taki miły chłopiec”. Była nawet znudzona swoim powodzeniem, bo ją zmuszało do robienia przykrości, gdy z natury lubiła robić przyjemność. Lubiła robić ją wręcz do tego stopnia, że zaczęła uprawiać kłamstwo właściwe niektórym karierowiczom, czasem ludziom, którzy już zrobili karierę. Ten rodzaj nieszczerości, istniejący zresztą w stanie embrionalnym u wielu, polega na tym, aby czyniąc coś, nie ograniczyć się do sprawienia tym przyjemności jednej osobie. Jeżeli na przykład pani Bontemps chciała, aby siostrzenica towarzyszyła jej na nudną wizytę, czyniąc to, Albertyna mogłaby poprzestać na tej korzyści moralnej, że robi przyjemność ciotce. Ale mile przywitana przez gospodarzy, wołała im powiedzieć, że od dawna pragnąc ich widzieć, schwyciła tę sposobność i wyprosiła u ciotki pozwolenie. To jeszcze nie wystarczyło: Albertyna spotkała tam jakąś przyjaciółkę, mającą wielkie zmartwienie; z punktu mówiła jej: „Nie chciałam cię zostawić samej, myślałam, że to ci dobrze zrobi, iż będziesz mnie miała blisko. Jeżeli chcesz, zostawmy tę zabawę, chodźmy stąd, zrobię, co zechcesz, przede wszystkim chcę, żebyś ty była mniej smutna” (co było zresztą prawdą). Zdarzało się, że ten fikcyjny cel niweczył cel realny. I tak, mając prosić o przysługę dla którejś z przyjaciółek, Albertyna udała się do pewnej damy. Ale przybywszy do tej osoby, dobrej i sympatycznej, Albertyna, bezwiednie posłuszna zasadzie wielorakiego wyzyskania jednego uczynku, uważała za grzeczniejsze udać, iż przyszła jedynie z tęsknoty za tą panią, bardzo ujętą tym, że Albertyna wybrała się tak daleko z czystej przyjaźni. Widząc damę niemal wzruszoną, Albertyna czuła dla niej tym więcej sympatii. Ale oto, co się działo: Albertyna odczuwała tak żywo słodycz przyjaźni, będącej rzekomo pobudką jej przybycia, że bała się w oczach tej damy podać w wątpliwość swoje uczucia (istotnie szczerze), w razie gdyby ją poprosiła o przysługę dla przyjaciółki. Dama sądziłaby, że Albertyna przyszła dlatego (co było prawdą), ale wywnioskowałaby, że Albertyna nie czuje bezinteresownej radości z jej widoku (co było mylnie). W rezultacie Albertyna wychodziła, nie poprosiwszy o przysługę. Coś podobnego zdarza się mężczyźnie, który tak szlachetnie postąpił w stosunku do jakiejś kobiety w nadziei uzyskania jej faworów, że nie oświadcza się, aby swojej dobroci zachować znamię bezinteresowności.

W innych wypadkach nie można rzec, aby Albertyna poświęciła prawdziwy cel dla celu przygodnego i wymyślonego *ex post*; ale pierwszy był tak sprzeczny z drugim, że gdyby osoba, którą Albertyna rozczuliła, wyznając jeden cel, dowiedziała się o drugim, przyjemność jej zmieniałaby się natychmiast w najgłębszą przykrość. Dalszy ciąg opowiadania pozwoli (znacznie później) lepiej zrozumieć ten rodzaj sprzeczności. Pokażmy na przykładzie z zupełnie innej kategorii, że te sprzeczności są bardzo częste w najrozmaitszych sytuacjach. Mąż np. zainstalował kochankę w mieście, gdzie pułk jego stoi garnizonem. Żona została w Paryżu; na wpół świadoma prawdy, gryzie się, pisze do męża listy pełne zazdrości. Otóż kochance wypadło udać się na dzień do Paryża. Mąż, uproszony, aby jej towarzyszył, nie może się oprzeć prośbom kochanki i uzyskuje pozwolenie na dwadzieścia cztery godziny. Ale że jest dobry i cierpi nad tym, iż robi przykrość żonie, zjawia się u niej i powiada, wylewając kilka szczerych łez, że zaniepokojony jej smutnymi listami, zdołał się wyrwać, aby ją pocieszyć i uścisnąć. Mógł w ten sposób, za pomocą jednej podróży, dać dowód miłości i kochance, i żonie. Ale gdyby żona się dowiedziała, z jakiej przyczyny on przybył do Paryża, radość jej zmieniałaby się z pewnością w cierpienie, o ile mimo wszystko widok niewiernego nie dał jej więcej szczęścia, niż jej sprawiły bólu jego kłamstwa.

Człowiekiem najkonsekwentniej uprawiającym system wielorakich celów jest z pewnością pan de Norpois. Czasami godził się pośredniczyć między dwoma zwaśnionymi przyjaciółmi, co sprawiało, że go mieniono najuczynniejszym z ludzi. Ale nie wystarczyło mu oddać przysługę temu, który go o to prosił; drugiemu przedstawiał swoją rolę jako krok podjęty nie na prośbę pierwszego, ale w interesie tego właśnie drugiego, o czym łatwo mu było przekonać człowieka, z góry już zasuggestionowanego, że ma do czynienia z „najuczynniejszym z ludzi”. W ten sposób, grając „*sur deux tableaux*”, uprawiając to, co się nazywa w giełdowym języku asekuracją, nigdy nie wystawiał swojego wpływu na żadne ryzyko, a przysługi, jakie oddawał, nie były naruszaniem, lecz fruktyfikacją części jego kredytu. Z drugiej strony, każda usługa, wyświadczona rzekomo podwójnie,

tym bardziej pomnażała jego reputację człowieka uczynnego; i to uczynnego skutecznie, który nie trafia kulą w płot, którego każdy krok ma jakiś cel, czego dowodziła wdzięczność obu zainteresowanych. Ta dwulicowość w uczynności była — nie bez wyjątków, jak u wszelkiej ludzkiej istoty — ważną stroną charakteru pana de Norpois. I często w ministerstwie ex-ambasador posłużył się moim ojcem, człowiekiem dość naiwnym, dając do zrozumienia, że to on ojcu oddał przysługę.

Podobając się więcej, niż chciała, i nie potrzebując obwieszczać swoich sukcesów, Albertyna zachowała milczenie co do owej sceny w hotelu, którą nieładna dziewczyna roztrąbiłaby przed całym światem. Nie umiałem zresztą wytłumaczyć sobie zachowania się Albertyny podczas tej sceny. Co się tyczy hipotezy absolutnej cnoty, przerabiałem ją na różne sposoby. Hipoteza ta, którą zrazu tłumaczyłem gwałtowność, z jaką Albertyna zabroniła mi się całować i wziąć, nie była zresztą nieodzowną dla moich pojęć o jej szczerzej dobroci i uczciwości; ale była tak bardzo sprzeczna z tą, którą stworzyłem sobie pierwszego dnia, gdy ujrzałem Albertynę! Następnie tyle rozmaitych objawów, zawsze bardzo dla mnie miłych (czułość pełna pieszczoty, to znów niespokojna, czujna, zazdrosna o moją sympatię do Anny), otaczało ze wszystkich stron ów szorstki gest, jakim, aby mi się wyrwać, pociągnęła za dzwonek. Czemuż prosiła mnie, abym spędził wieczór przy jej łóżku? Po co te tkliwe aluzje? Na czym polega chęć widzenia się z przyjacielem, obawa, że może woleć inną, chęć sprawienia mu milej niespodzianki, romantyczne zapewnienie, że nikt nie będzie wiedział o tym wspólnym wieczorze, skoro mu się odmawia przyjemności tak prostej i skoro to nie jest przyjemnością dla niej? Nie mogłem mimo wszystko uwierzyć, aby cnota Albertyny sięgała aż tak daleko; zastanawiałem się w końcu, czy jej wzburzenie nie płynęło z kokieterii — na przykład z obawy, że ma jakiś niemiły zapach (czym bałaby się mnie zrazić) — lub z tchórzostwa, jeżeli na przykład, w swoim niedoświadczeniu realności miłosnych, bała się, że moja nerwowa choroba mogłaby się udzielić przez pocałunek.

Albertyna była z pewnością w rozpacz, że mi nie mogła sprawić przyjemności; dała mi złoty ołówek — przez tę cnotliwą perwersję ludzi, którzy wzruszeni naszym oddaniem, a nie godząc się nam użyć tego, czego ono żąda, chcą wszelako zrobić dla nas coś innego. Tak krytyk, którego artykuł pochlebny powieściopisarzowi, zaprasza go zamiast tego na obiad; księżna nie bierze z sobą snoba do teatru, ale posyła mu swoją łóżę na wieczór, gdy sama z niej nie korzysta. Tak bardzo ci, co robią mniej, a mogliby nie zrobić nic, czują potrzebę zrobienia czegoś. Powiedziałem Albertynie, że dając mi ten ołówek, robi mi wielką przyjemność, ale mniejszą, niż by mi zrobiła, gdyby owego wieczora w hotelu pozwoliła się pocałować.

— To byłoby dla mnie takie szczęście; co tobie to mogło szkodzić, dziwię się, żeś mi tego odmówiła.

— A mnie dziwi — odparła — że panu się to wydaje dziwne. Nie wiem doprawdy, co pan za dziewczęta mógł znać, skoro moje postępowanie pana dziwi.

— Jestem w rozpacz, że panią pogniewałam, ale nawet teraz nie mogę przyznać, abym źle postąpił. Uważam, że to są rzeczy bez znaczenia i nie rozumiem, jak kobieta, mogąc tak łatwo zrobić przyjemność, nie godzi się na to. Nie zrozum mnie fałszywie — dodałem, aby połowicznie uczynić zadość pojęciom moralnym Albertyny, przypominając sobie, jak ona i jej koleżanki potępiły przyjaciółkę aktorki Lei — nie chcę przez to powiedzieć, aby młoda panna mogła zrobić wszystko i aby nie istniało nic niemoralnego. I tak, na przykład, stosunki, o jakich mówiłaś kiedyś z powodu tej smarkatej, co mieszka w Balbec, między nią a pewną aktorką, to mi się wydaje ohydne, tak ohydne, iż myślę, że to jacyś wrogowie oczernili ją i że to jest nieprawda. To mi się wydaje nieprawdopodobne, niemożliwe. Ale dać się pocałować, a nawet więcej, przyjacielowi, bo sama mówisz, że jestem twoim przyjacielem...

— Jesteś, ale ja miałam innych przyjaciół przed tobą, znałam młodych ludzi, którzy, ręczę ci, mieli dla mnie tyleż przyjaźni. No i nie było ani jednego, który by się ośmielił na podobną rzecz. Wiedział, że by oberwał po papie. Zresztą oni nawet nie myśleli o tym; ściskaliśmy sobie ręce bardzo szczerze, bardzo serdecznie, jak koledzy; nigdy nie było mowy o całowaniu, a mimo to było się dobrymi kompanami. Doprawdy, jeżeli panu zależy na mojej przyjaźni, może pan być zadowolony, bo muszę pana bardzo lubić, żeby to panu przebaczyć. Ale ja jestem pewna, że pan gwizdże na mnie. Niech pan przyzna, że

to Anna się panu podoba. W gruncie ma pan rację, ona jest o wiele miłsza ode mnie, no i jest prześliczna! Och, mężczyźni!

Mimo świeżego zawodu słowa te, tak szczere, budząc we mnie wielki szacunek dla Albertyny, były mi bardzo słodkie. I może to wrażenie miało dla mnie później wielkie i oplakane następstwa, bo przez nie zaczęło się tworzyć to niemal rodzinne przywiązanie, to jądro duchowe, mające zawsze trwać w mojej miłości do Albertyny. Takie uczucie może być przyczyną największych cierpień. Bo aby naprawdę cierpieć przez kobietę, trzeba było całkowicie w nią uwierzyć. W tej chwili zarodek szacunku, przyjaźni, istniał w mojej duszy niby przyczajony. Sam przez się nie byłby w niczym groził memu szczęściu, gdyby nie rozrastając się, pozostał w bezwładzie, jaki miał zachować przez rok następny, a z tym większą racją przez te ostatnie tygodnie mego pierwszego pobytu w Balbec. Był we mnie niby jeden z owych gości, których mimo wszystko rozsądniej byłoby się pozbyć, ale których cierpi się i pozostawia w spokoju, tak dalece ich słabość i odosobnienie w obcej duszy czyni ich na razie nieszkodliwymi.

Moje marzenia mogły teraz zwracać się ku tej lub innej przyjaciółce Albertyny, przede wszystkim ku Annie, której względy mniej by mnie może wzruszały, gdyby nie pewność, że Albertyna dowie się o nich. Niewątpliwie, udane wyróżnienie, jakim od dawna darzyłem Annę, stworzyło mi — w stylu rozmowy, w tkliwych wyznaniach — niby materiał gotowej miłości do niej. Miłości tej brakło dotąd jedynie dodatku szczerzego uczucia, którego teraz serce moje, znów wolne, mogłoby dostarczyć. Ale na to, abym się mógł naprawdę zakochać w Annie, była ona zbyt intelektualna, zbyt nerwowa, chorowita, zbyt podobna do mnie. Jeżeli Albertyna zdawała mi się teraz pusta, Anna była wypełniona czymś, co znałem za dobrze. Owego pierwszego dnia, na plaży, widziałem w niej jakąś kochankę rekordzisty, upojoną szałem sportu; otóż Anna powiadała mi, że jeżeli zaczęła uprawiać sport, to na rozkaz lekarza, jako odtrutkę na swoją neurastenię i zaburzenia odżywcze, ale że najmiłsze jej godziny były te, kiedy tłumaczyła powieść George Eliot. Zawód mój, skutek pierwotnej omyłki co do charakteru Anny, nie miał w rzeczywistości dla mnie żadnego znaczenia. Ale omyłka była z tych, które, jeżeli się pozwolą narodzić miłości, a okażą się omyłką aż wówczas, kiedy miłość jest już nie do odrobienia, stają się przyczyną cierpień. Takie omyłki — a mogą być różne od tej, jaką popełniłem wobec Anny, nawet odwrotne — wynikają często — specjalnie w wypadku Anny — stąd, że ktoś przybiera zuchwale postać i wzięcie czegoś, czym nie jest, ale czym by chciał być, aby omamić w pierwszej chwili. Udanie, naśladownictwo, chęć budzenia podziwu w ludziach złych lub dobrych dodają do zewnętrznego wyglądu mistyfikację słów i gestów. Bywają cynizmy, okrucieństwa, które nie wytrzymują próby, tak samo jak pewne dobroci, pewne szlachetności. Jak często odkrywamy próżnego skąpca w człowieku znanym z dobroczynności, tak fanfaronada występku ukazuje nam Messalinę w uczciwej dziewczynie pełnej przesądów. Myślałem, że znalazłem w Annie naturę zdrową i pierwotną, gdy ona była jedynie istotą szukającą zdrowia, jak zapewne wiele osób, co do których Anna również ludziła się, że w nich znalazła zdrowie, a które w rzeczywistości miały go nie więcej niż gruby artretyk o czerwonej twarzy i w białej flanelowej kurtce, niekoniecznie będący Herkulesem. Otóż bywają okoliczności, w których nie jest obojętne dla szczęścia, że osoba, którą pokochaliśmy za to, co się w niej zdawało zdrowe, jest w istocie jednym z owych chorych stworzeń, czerpiących zdrowie jedynie od innych, jak planety pożyczają swego światła, jak pewne ciała tylko przepuszczają elektryczność.

Ale mniejsza: Anna, jak Rozamonda i Gizela, nawet bardziej od nich, była bądź co bądź przyjaciółką Albertyny, dzielącą jej życie, naśladowującą jej wzięcie, tak że pierwszego dnia nie rozróżniłem ich zrazu. Między tymi dziewczętami, gałązkami róży, których głównym urokiem było to, że się rysowały na tle morza, panowała ta sama wspólnota, co w czasie, kiedy ich nie znałem i kiedy zjawienie się jednej z nich wzruszało mnie tak mocno, zwiastując, iż cała gromadka jest niedaleko. I teraz jeszcze widok jednej sprawiał mi przyjemność, w którą — w proporcji niedającej się określić — wchodziło to, że zobaczę niebawem inne, a nawet, jeśli nie przyszły tego dnia, że mogę mówić o nich, być pewnym, że się dowiedzą o mojej bytności na plaży.

To już nie był po prostu czar owych pierwszych dni, to była prawdziwa chęć kochania, wahająca się między wszystkimi — tak bardzo każda z nich była naturalnym zastępstwem innej. Największym moim smutkiem nie byłoby być porzuconym przez tę z dziewcząt,

którą wołałem, ale byłbym natychmiast wołał tę, co mnie porzuciła, bo złożyłbym w niej całą sumę smutku i marzenia, bujającą między wszystkimi. A i wówczas oplakiwałbym nieświadomie wszystkie jej przyjaciółki, w których oczach straciłbym rychło wszelki urok, wyznawszy im ten rodzaj zbiorowej miłości, jaką polityk lub aktor żywią do tłumu, po którego zobojętnieniu nie mogą się pocieszyć, zaznawszy wprzód wszystkich jego faworów. A nawet tych faworów, których nie mogłem uzyskać od Albertyny, spodziewałem się nagle od którejś z nich, kiedy, rozstając się ze mną wieczór, rzuciła mi dwuznaczne spojrzenie lub słówko, dzięki czemu ku niej właśnie przez cały dzień zwracało się moje pragnienie.

Błądziło ono między nimi tym rozkoszniej, ile że na tych zmiennych twarzach prowizoryczne ustalenie rysów zaczęło się na tyle, aby można było rozróżnić — choćby się te rysy miały zmienić jeszcze — ich podatny i płynny kształt. Różnicom istniejącym między nimi nie odpowiadały z pewnością różnice w długości i szerokości rysów, pokrywających się niemal, mimo że dziewczęta zdawały się tak odmienne. Ale nasza znajomość twarzy nie jest matematyczna. Po pierwsze, nie zaczyna od mierzenia części; jej punktem wyjścia jest wyraz, całość. U Anny, na przykład, delikatna słodycz oczu zdawała się przechodzić w wąski nos, cienki niby łuk wykreślony po to, aby sprowadzić do jednej linii subtelny myśl, rozdzieloną poprzednio w podwójnym uśmiechu bliźniaczych spojrzeń. Równie delikatna linia dzieliła jej włosy, miękka i głęboka jak ta, którą wiatr żłobi w piasku. I musiała być dziedziczna; zupełnie siwe włosy matki Anny wicherzyły się w ten sam sposób, tworząc wzgórza i wklęsłości, niby śnieg, gdy się wznosi lub zapada wedle nierówności terenu. Zapewne w porównaniu z subtelnym zarysem nosa Anny, nos Rozamondy uderzał swoimi szerokimi płaszczyznami, niby wysoka wieża wsparta na mocnej podstawie. Wyraz wystarcza, aby dać wrażenie ogromnych różnic, mimo że one są nieskończenie drobne; owo „nieskończenie drobne” może samo przez się stworzyć wyraz zupełnie swoisty, indywidualność. Ale to nie znaczy, aby tylko owe nieskończenie drobne odchylenia linii wraz z oryginalnością wyrazu — czyniły te twarze czymś niedającym się sprowadzić do siebie wzajem. Między twarzami tych dziewcząt koloryt tworzył jeszcze głębszy przedział; nie tyle przez urozmaiconą piękność tonów tak sprzecznych, żem znajdował wobec Rozamondy — napojonej kolorem różowym o odcieniu siarki, który nasycalo jeszcze zielonkawę lśnienie oczu — i wobec Anny — której białym policzkom dawały tyle surowej dystynkcji czarne włosy — ten sam rodzaj przyjemności, co gdybym oglądał kolejno geranię nad brzegiem zalanego słońcem morza i kamelię w nocy; ale zwłaszcza dlatego, że nieskończenie drobne różnice linii rosły nieproporcjonalnie, stosunki powierzchni zmieniały się zupełnie od tego nowego elementu — koloru, będącego zarówno rozdawką karnacji, jak wielkim odnowicielem lub co najmniej przeobrażicielem wymiarów. Tak iż zależnie od tego, czy twarze (mało może różniące się budową) były oświetlone ogniem rudych włosów, różowej cery, czy też białym światłem matowej bledości, wydłużały się lub poszerzały, stawały się czymś innym, jak owe akcesoria rosyjskiego baletu, polegające czasem, kiedy je oglądamy w biały dzień, na prostych krążkach papieru, które geniusz jakiegoś Baksta, wedle szkarłatnego lub księżycowego oświetlenia, w jakim zanurza dekorację, każe inkrustować się w nie twardo na kształt turkusów na fasadzie pałacu lub rozkwitać miękko niby róża bengalska w ogrodzie. Uświadamiając sobie twarze w ten sposób, mierzymy je dobrze, ale jak malarze, nie zaś jak geometry.

Z Albertyną było to samo, co z jej przyjaciółkami. W pewne dnię szczupła, o szarej cerze, chmurna, kiedy fioletowa przejrzystość wnikała skośnie w głąb jej oczu, jak się zdarza czasami z morzem, zdawała się oddychać smutkiem wygnanki. W inne dnię twarz jej, bardziej gładka, więziła pragnienia lepem swojej lakierowanej powierzchni i nie przepuszczała ich dalej; chyba żem ją ujrzał nagle z boku, bo jej policzki, matowe i woskowo-białe na powierzchni, przeświecały różowo, co budziło taką ochotę ucałowania ich, osiągnięcia tej odmiennej, wymykającej się karnacji. Innym razem szczęście kąpało jej policzki w blasku tak ruchliwym, że skóra, stawszy się płynna i mglista, przepuszczała jak gdyby podskórne spojrzenia, sprawiające, iż skóra zdawała się jakby innego koloru, ale nie z innej materii niż oczy; czasami, kiedy się po prostu patrzyło na jej twarz, usianą ciemnymi punkcikami, wśród których pływały jedynie dwie błękitniejsze plamy, to było coś jak jajko szczygłe, często jak opalizujący agat, oszlifowany i gładki tylko w dwóch miejscach, gdzie w ciemnym kamieniu błyszcząły niby przezroczyste skrzydła lazuruwego

motyla: oczy, w których skóra staje się zwierciadłem, dającym złudzenie, że pozwala nam, bardziej niż w innych punktach ciała, zbliżyć się do duszy. Ale najczęściej Albertyna była bardziej kolorowa i wówczas bardziej ożywiona; czasem na jej białej twarzy tylko koniec nosa był różowy, delikatny jak u przebiegłej młodej kotki, z którą miałoby się ochotę bawić; czasem policzki były tak gładkie, że spojrzenie ślizgało się po ich różowej emalii niby po miniaturze, którą uchylone i pokryte jej czarnymi włosami wieczko czyniło jeszcze delikatniejszą, jeszcze bardziej poufną. Zdarzało się, że cera policzków osiągnęła różowy fiolet cyklamenu; czasem nawet ciemną purpurę róż o czerwieni niemal czarnej: było to wówczas, kiedy Albertyna, zgrzana lub podniecona, pozorem chorobliwej kompleksji ściągała moje pragnienie do czegoś bardziej zmysłowego, gdy równocześnie spojrzenia jej barwiły się czymś bardziej perwersyjnym i niezdrowym. I każda z tych Albertyn była tak odmienna, jak odmienne jest każde zjawienie się tancerki, której kolory, kształt, charakter, przeobrażają się wedle bogatej gry reflektorów.

Może dlatego, że tak różne były istoty, jakie w niej oglądałem w owej epoce, przyzwyczaiłem się później stawać się sam innym człowiekiem zależnie od jednej z Albertyn, o której myślałem: zazdrosnym, obojętnym, zmysłowym, melancholijnym, wściekłym, i to nie tylko zależnie od odradzającego się wspomnienia, ale wedle siły wiary wstawionej w jedno i to samo wspomnienie, zależnie od sposobu, w jaki je oceniałem. Bo zawsze do tego trzeba było wracać: do tych wierzeń, przeważnie wypełniających duszę bez naszej wiedzy, ale mimo to ważniejszych dla naszego szczęścia niż jakaś realna istota, którą widzimy, bo to poprzez nie ją widzimy, to one wyznaczają oglądanej istocie jej chwilowe wymiary. Gdybym chciał być ścisły, powinien bym dać odmienne imię każdemu *ja*, które w następstwie myślało o Albertynie; powinien bym tym bardziej dać odmienne imię każdej z owych Albertyn, które zjawiały się przede mną, nigdy te same, jak owe *morza* — nazywane przeze mnie dla większej wygody *morzem* — które następowały po sobie i na których tle ona rysowała się na kształt nimfy. Ale zwłaszcza — tak samo (ale o wiele użyteczniej) jak w opowiadaniu określamy pogodę danego dnia — powinien bym nazwać zawsze po imieniu wierzenie, które danego dnia, kiedy widział Albertynę, władało w mojej duszy, tworząc atmosferę, wygląd ludzkich istot jak wygląd mórz, zależnie od owych ledwie widzialnych chmur, zmieniających kolor każdej rzeczy, przez swoje zagęszczenie, ruchliwość, rozmieszczenie, chyżość — niby owa chmura, którą Elstir rozdarł pewnego wieczora, nie przedstawivszy mi na drodze dziewczętom, których oddalające obrazy wydały mi się nagle piękniejsze. W kilka dni później, kiedy je poznałem, ta chmura znów się skupiła, przesłaniając ich blask, stojąc często między nimi a moimi oczami, nieprzezroczysta i łagodna, podobna Leukothei Wirgiliusza.

Bez wątpienia twarze tych wszystkich dziewcząt zmieniły dla mnie znaczenie od czasu, jak właściwy sposób odczytywania ich odsłonił mi się poniekąd z rozmowy. Słowom ich mogłem przypisywać wartość tym większą, ile że swymi pytaniami wywoływałem je do woli, zmieniałem je jak badacz sprawdzający za pomocą kontrpróby swoje domysły. I ostatecznie to jest nie gorszy od innych sposobów rozwiązania zagadki istnienia; zbliżyć się do rzeczy i osób, które nam się wydały z daleka piękne i tajemnicze na tyle, aby sobie zdać sprawę z ich braku tajemnicy i piękności. To jedna z metod higieny, między którymi można wybierać; higiena ta nie jest może zbyt godna zalecenia, ale daje pewien spokój, pozwalający nam żyć, a także — skoro pozwala niczego nie żałować, przekonywując nas, żeśmy osiągnęli najlepsze i że owo najlepsze to było niewiele — dający nam rezygnację wobec śmierci

Zastąpiłem w mózgu tych dziewcząt pogardę czystości, wspomnienie codziennych miłostek, uczciwymi zasadami, zdolnymi może zachwiać się, ale chroniącymi dotąd od wszelkiego zbłąkania istoty czerpiące owe zasady w swoim mieszczańskim środowisku. Otóż kiedy człowiek się pomylił zrazu, nawet w drobnych rzeczach, kiedy omyłka w domysłach lub we wspomnieniu każe nam szukać w fałszywym kierunku autora złośliwej plotki lub miejsca, gdzie się zgubiło jakiś przedmiot, może się zdarzyć, iż odkryjemy swój błąd jedynie po to, aby go zastąpić nie prawdą, lecz innym błędem. Wyciągnąłem — w tym, co się tyczyło sposobu życia tych dziewcząt i właściwego z nimi zachowania — wszystkie konsekwencje ze słowa „niewinność”, które rozmawiając z nimi swobodnie, wyczytałem w ich twarzy. Ale może czytając w pośpiechu, wyczytałem je niedokładnie i błędnie; może tak samo nie było tam wypisane, jak nazwisko Jules Ferry na programie

spektaklu, gdzie słyszał pierwszy raz Bermę, co mi nie przeszkodziło utrzymywać wobec pana de Norpois, że Jules Ferry, bez najmniejszej wątpliwości, pisuje jednoaktówki.

Gdy chodziło o którąś z tych dziewcząt, w jaki sposób ostatnia jej twarz, jaką widziałem, nie byłaby w mojej pamięci jedyną? Z wspomnień naszych dotyczących danej osoby intelekt wyłącza wszystko, co się nie wiąże z bezpośrednim pożytkiem codziennych stosunków (nawet — i zwłaszcza wtedy — gdy te stosunki mieszczą trochę miłości, która, zawsze niezaspokojona, żyje najbliższą chwilą).

Intelekt pozwala uciekać łańcuchowi minionych dni, zachowuje tylko jego ostatnie ogniwo, często z zupełnie innego metalu niż owe zgubione w nocy i w podróży, jaką odbywamy przez życie; za prawdziwą uważa jedynie krainę, gdzie jesteśmy obecnie. Ale wszystkie wrażenia, już tak odległe, nie mogły znaleźć w mojej pamięci obrony przeciw ich codziennej deformacji; w ciągu długich godzin, jakie spędzałem rozmawiając, jedząc łakocie, bawiąc się z tymi dziewczętami, nie przypominałem sobie nawet, że to są te same bezlitosne i zmysłowe dziewice, którym ujrzał, niby na jakimś fresku, ciągnące nad morzem.

Geografowie, archeologowie prowadzą nas na wyspę Kalipso, odkopują pałac Minosa. Tylko że Kalipso jest już tylko kobietą, Minos tylko królem bez domieszki czegoś boskiego. Nawet przymioty i wady, które, wedle historii, były wówczas własnością tych bardzo realnych figur, różnią się często znacznie od wad i przymiotów, jakich użyliśmy bajecznym istotom, noszącym to samo imię. W ten sposób rozproszyła się cała wdzięczna mitologia oceaniczna, jaką stworzyłem w pierwszych dniach. Ale nie jest całkiem obojętne żyć bodaj czasem w pobliżu czegoś, cośmy uważali za niedostępne i czegośmy pragnęli. W obcowaniu osób, które się nam zrazu wydały niesympatyczne, trwa zawsze, nawet wśród sztucznej przyjemności, jakiej w końcu możemy przy nich kosztować, obrzask wad, jakie się im udało utaić. Ale w związkach takich, jak moje z Albertyną i jej przyjaciółkami, szczerą przyjemność będąca u początku tej przyjaźni, zostawia zapach, jakiego żadna sztuka nie da sztucznie pędzonym owocom, winogronom, co nie dojrzały w słońcu. Nadprzyrodzone istoty, jakimi były dla mnie przez chwilę, wносиły jeszcze, nawet bez mojej wiedzy, coś cudownego w moje najbanalniejsze z nimi stosunki lub raczej chroniły te stosunki od wszelkiej banalności. Moje pragnienie szukało tak chciwie znaczenia oczu, które teraz mnie znały i uśmiechały się do mnie, ale które pierwszego dnia skrzyżowały się z moimi niby promienie z innego świata; tak hojnie i tak starannie rozmieściło barwę i zapach na cieplej powłoce tych dziewcząt, gdy odpoczywając na brzegu podawały mi po prostu sandwicze lub bawiły się w zagadki! Często po południu, leżąc wyciągnięty — niby owi malarze, którzy, szukając w życiu nowoczesnym wielkości antyku, uczęszczają kobiecie obcinającej sobie paznokcie u nogi szlachetności *Wyciągającego cierni* lub którzy, jak Rubens, komponując sceny mitologiczne, robią boginie ze znajomych kobiet — patrzałem na owe ciała o typach tak rozmaitych, spoczywające dokoła mnie w trawie, nie oczyszczając ich może ze wszystkiej mierności, jaką napełniło je codzienne życie, a jednak nie przypominając sobie wyraźnie ich niebiańskiego pochodzenia, jak gdybym, podobny Herkulesowi lub Telemakowi, zabawiał się wśród nimf.

Potem skończyły się koncerty, przyszły niepogody, moje przyjaciółki opuściły Balbec, nie wszystkie naraz, jak jaskółki, ale w ciągu jednego tygodnia. Albertyna wyjechała pierwsza, nagle, tak że żadna z przyjaciółek nie mogła zrozumieć ani wówczas, ani potem, czemu ona tak prędko wróciła do Paryża, dokąd nie wzywały jej ani prace, ani rozrywki. „Nie powiedziała ani co, ani pstro, no i pojechała”, mamrotała Franciszka, pragnąca zresztą, abyśmy zrobili to samo. Uważała to za niedelikatność wobec personelu hotelowego, bardzo już uszczuplonego zresztą, ale więziona przez nielicznych pozostałych klientów; wobec dyrektora, który „przejadał pieniądze”. Prawda, że od dawna z hotelu, który niebawem zamykano, wyjechali prawie wszyscy; nigdy też nie był równie przyjemny. Inne miał o tym zdanie dyrektor; wzdłuż salonów, gdzie się marzło i u których drzwi nie czuwał już żaden groom, przebiegał korytarze, ubrany w nowy tużurek, wyswieżony przez fryzjera tak, że jego mdła fizys robiła wrażenie mieszaniny, gdzie na jedną partię ciała wchodziły trzy partie kosmetyku; zmieniający co chwila krawat (te elegancje kosztują taniej niż palić w piecu i zatrzymać personel: niejeden, nie mogąc już ofiarować dziesięciu tysięcy na cel dobroczynny, robi jeszcze wielkiego pana, dając pięć franków na piwo pocziarowi, który mu przyniesie telegram) dyrektor nasz robił wrażenie inspektora nicości, chcącego

siłą osobistego wykwintu dać coś prowizorycznego nędzy, jaką się czuło w tym hotelu po nieszczególnym sezonie; i zjawiał się niby upiór panującego, który wraca nawiedzać ruiny tego, co niegdyś było jego pałacem. Był zwłaszcza niezadowolony, kiedy lokalna kolejka, nie mając dosyć pasażerów, przestała funkcjonować aż do przyszłej wiosny. „Czego tu braknie — mówił dyrektor — to środków komocji”. Mimo deficytu, jaki właśnie rejestrował, robił na następne lata wspaniałe projekty. Że zaś był mimo wszystko zdolny wiernie zapamiętać piękne zwroty, kiedy odnosiły się do przemysłu hotelowego i miały na celu uświetnienie tegoż, powiadał: „Nie miałem tutaj odpowiedniej współpracy, mimo że w jadalni ekipa była zadowolająca; za to «strzelcy» pozostawiali nieco do życzenia; zobacz pan na przyszły rok, jaką falangę potrafię zmobilizować”.

Na razie przerwa w funkcjonowaniu kolejki zmuszała go do posyłania po listy, a czasem odwożenia podróżnych kariolką. Prosiłem często, aby mi pozwolił się obok woźnicy, dzięki czemu mogłem robić spacer w każdą pogodę, jak w czasie zimy, którą spędziłem raz w Combray.

Czasami jednak deszcz zatrzymywał mnie z babką (kasyno było zamknięte) w pokojach prawie pustych, niby pod pokładem w porze wichru. I co dzień, jak na okręcie, jakaś nowa osoba z tych, z którymi spędziliśmy trzy miesiące, nie zaznajamiając się, prezydent z Rennes, dziekan z Caen, Amerykanka z córkami zbliżali się do nas, zagajali rozmowę, wymyślali nowe zabicie czasu, zdradzali jakieś talenty, uczyli nas jakiejś gry, zapraszali na herbatę lub na muzykowanie, zmagali się na pewną godzinę, aby kombinować wspólnie jakieś rozrywki, posiadające prawdziwy sekret przyjemności, mianowicie ten, aby nie gonić za nią, lecz po prostu pomagać zabić nudę. Słowem, zawiązywali z nami pod koniec naszego pobytu stosunki, które kolejne ich wyjazdy miały nazajutrz pozrywać. Zapoznałem się nawet z bogatym młodzieńcem, z jednym z dwóch jego szlachetnie urodzonych przyjaciół i z aktorką, która wróciła na kilka dni; ale gromadka ich składała się już tylko z trojga osób, bo drugi przyjaciel wrócił do Paryża. Prosił mnie, abym z nimi pojechał na obiad do restauracji; sądzę, iż byli dość radzi, żem odmówił. Ale zaproszenie było najuprzejmiejsze w świecie; pochodziło w rzeczywistości od bogatego młodzieńca (inne osoby były tylko jego gośćmi); ale ponieważ przyjaciel jego, margrabia Maurycy de Vaudémont, był z bardzo wielkiego domu, instynktownie aktorka, pytając, czy nie zechcę przyjść, rzekła, aby mi pochlebić:

— To by zrobiło taką przyjemność Maurycemu.

I kiedy w hallu spotkałem wszystkich troje, bogaty młodzieniec cofnął się na drugi plan, gdy pan de Vaudémont mnie zagadnął:

— Nie robi nam pan tej przyjemności, aby zjeść z nami obiad?

W sumie bardzo mało skorzystałem z Balbec, co jedynie pomnażało moją ochotę wrócenia tam. Zdawało mi się, żem bawił za krótko. Inny był pogląd moich przyjaciół, którzy pytali mnie w listach, czy zamierzam tu siedzieć wiecznie. I widząc, że oni muszą wypisywać na kopercie nazwę Balbec, gdy równocześnie moje okno, zamiast otwierać się na pole lub na ulicę, wychodzi na niwę morza; słysząc w nocy jego szum, któremu przed zaśnięciem powierzałem, niby łódź, mój sen, miałem złudzenie, że to współżycie z falami musi materialnie, bez mojej wiedzy, utrwalić we mnie poczucie ich uroku, na kształt lekcji, których uczymy się, śpiąc.

Dyrektor ofiarowywał mi na przyszły rok najlepszy apartament, ale byłem teraz związany do mojego pokoju. Wchodząc, nie czułem już zapachu „bagna”, a myśl moja, dociągająca się niegdyś tak trudno do jego wymiarów, zdjęła je w końcu tak dokładnie, że trzeba mi było poddać ją odwrotnej kuracji, kiedy wypadło mi spać w Paryżu, jak dawniej, pod niskim sufitem.

Trzeba było w istocie opuścić Balbec; zimno i wilgoć stały się zbyt przejmujące, abym mógł zostać dłużej w hotelu pozbawionym kominków i kaloryfera. Zapomniałem zresztą prawie natychmiast owych ostatnich tygodni. Myśląc o Balbec, oglądałem prawie nieodmiennie chwile, kiedy co rano, w piękną pogodę, gdy miałem po południu wyjść z Albertyną i jej przyjaciółkami, babka nakazywała mi na zlecenie lekarza leżeć przedtem po ciemku. Dyrektor wydawał rozkazy, aby nie robiono hałasu na moim piętrze i sam czuwał, by tego przestrzegano. Z powodu zbytńskiego światła, trzymałem możliwie najdłużej zasunięte fioletowe portiery, tak wrogię mi pierwszego wieczora. Ale mimo szpilek, którymi dla uszczelnienia portier Franciszka spinała je co wieczór i które ona

jedna umiała rozpinąć; mimo kołder, czerwonych kretonowych obrusów, przeróżnych materii, jakie dopasowywała, nie mogła ich spoić całkowicie, ciemność nie była zupełna, a zasłony pozwalały się rozlewać na dywanie niby szkarłatnym płatkom anemonów, i nie mogłem się wstrzymać, aby nie stanąć wśród nich na chwilę bosymi nogami. A na ścianie, częściowo oświetlonej, znajdującej się na wprost okna, złoty walec, niepodparty niczym, stał prostopadle i przesunął się z wolna, niby ów świetny słup poprzedzający Żydów na pustyni. Kładłem się z powrotem, zmuszony kosztować bez ruchu, jedynie przez wyobraźnię, przyjemności gry, kąpieli, spaceru — wszystkich naraz — jakie doradzał ranek; i radość kazała bić hałaśliwie memu sercu niby maszynie funkcjonującej całą parą, ale nieruchomej, która może wyładować swoją szybkość jedynie w miejscu, kręcąc się dokoła samej siebie.

Wiedziałem, że moje przyjaciółki są na promenadzie, ale nie widziałem ich, podczas gdy one szły wzdłuż nierównych pagórków morza, w którego głębi odcinało się niekiedy na niebie Rivebelle, wznoszące się pośród jego sinych wierzchołków, niby włoskie miasteczko, drobiazgowo wyrzeźbione słońcem. Nie widziałem swoich przyjaciółek, ale (podczas gdy do mojego *belvedere* dochodziły krzyki przekupniów dzienników — „dziennikarzy”, jak ich nazywała Franciszka — wołania letników i bawiących się dzieci, punktujących niby krzyki ptaków morskich szmer fal, łamiących się łagodnie) zgadywałem ich obecność, słyszałem ich śmiech, spowity jak śmiech nereid w słodki plusk dochodzący moich uszu.

— Patrzyłyśmy — mówiła mi wieczorem Albertyna — żeby zobaczyć, czy zejdziesz. Ale żaluzje były zamknięte, nawet w porze koncertu.

W istocie, o dziesiątej koncert buchał pod moimi oknami. Kiedy był przyływ, w zespół instrumentów mieszało się płynne i ciągle chlupotanie fali, zdającej się zawijać dźwięki skrzypiec w swoje kryształowe woluty i tryskać pianą ponad przerywane echa podmorskiej muzyki. Chciałem się ubierać, niecierpliwiłem się, że mi jeszcze nie dano rzeczy. Było południe, wreszcie przybywała Franciszka. I przez szereg miesięcy w tym Balbec, którego tak pragnąłem, bom je sobie wyobrażał jedynie smagane burzą i tonące we mgłach, pogoda była tak olśniewająca i stała, że kiedy Franciszka przychodziła otworzyć okno, mogłem zawsze bez zawodu oczekiwać, iż ujrzę tę samą ścianę słońca złożoną w rogu, o niezmiennym kolorze, mniej wzruszającym jako znak lata niż martwym jako znamię nieżywej i sztucznej emalii. I podczas gdy Franciszka wyjmowała szpilki z portier, zdejmowała materie, rozsuwała firanki, odsłaniany przez nią letni dzień zdawał się równie umarły, równie odwieczny, co wspaniała i tysiącletnia mumia, którą by nasza stara służąca ostrożnie odwijała ze wszystkich gizeł, zanim ją ukaże zabalsamowaną w jej złotej szacie.

Światło, Słońce, Lato

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-cieniu-zakwitajacych-dziewczat>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu, W cieniu zakwitających dziewcząt*, tom I-III, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1937.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa pierwszego tomu wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiórek, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0718-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.